


AZJATYCKA SAGA



TANYA
VALKO
OKRUCHY RAJU

Prószyński i S-ka

TANYA
VALKO
OKRUCHY RAJU

Prószyński i S-ka

Bhinneka tunggal ika (Jedność w różnorodności)

– przysłowie starojawajskie

PRZEDMOWA

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy,

w 2012 roku po ponaddwudziestoletnim pobycie w krajach arabskich przeniosłam się do Azji, która urzekła mnie od pierwszej chwili, i postanowiłam Was, moi Drodzy, troszeczkę z nią zapoznać. W tym roku oddaję zatem w Wasze ręce powieść *Okruchy raj*, która jest pierwszą częścią nowej serii *Azjatycka saga*.

W swojej książce jak zwykle fikcyjne losy bohaterów wplatom w wydarzenia historyczne. Przedstawiam dzieje Indonezji, wychodząc od dramatycznego roku 1965 i „komunistycznego upuszczenia krwi”, poprzez czystki wśród ludności chińskiej, aż po czasy współczesne, pełne kontrastów pomiędzy bogactwem a życiem na skraju nędzy w dzikarskich slumsach.

Informacje czerpałam ze sprawozdań prasowych i internetowych oraz z relacji telewizyjnych. W języku polskim brakuje publikacji dotyczących historii Indonezji, dlatego korzystałam głównie z prac w języku angielskim. Najchętniej sięgam po miesięcznik „Tempo”, najbardziej niezależną z indonezyjskich gazet, w której zaraz po moim przyjeździe w październiku 2012 roku znalazłam dodatek specjalny „Requiem for a massacre” (obecnie wydany także jako samodzielna książka), który mną wstrząsnął. Zawiera relacje świadków masakry, która miała miejsce po 30 września 1965 roku, oraz wyznania wykonawców wyroków, którzy opowiadają o tym w sposób tak naturalny, jakby nie chodziło o eksterminację prawie dwóch milionów ludzi. Niektórzy z katów ponoć wciąż żyją, a nawet piastują wysokie stanowiska. Obejrzałam również dwa wstrząsające filmy: oscarowy *Rok niebezpiecznego życia* z 1982 roku oraz dokument z 2012 roku *Act of killing*, reżyserowany przez Joshuę Oppenheimera, który spędził sporo czasu z „emerytowanymi” dowódcami brygad śmierci (film dla ludzi o bardzo mocnych nerwach). Sytuacja ta przypominała mi okres w historii Polski, kiedy w latach 50. i 60. wychwytywano przeciwników reżimu, często bez procesu osadzano w więzieniach, katowano, torturowano, zabijano.

Czystki wśród ludności chińskiej i stosunek Indonezyjczyków do ludzi należących do tej grupy etnicznej do złudzenia przypominają sytuację polskich Żydów – ich wielokrotne prześladowania i eksterminację. Pragnę jednak podkreślić, że przedstawione przeze mnie w *Okruchach raj* sytuacje oraz uczestniczący w nich bohaterowie są fikcyjni i wszelkie ich podobieństwo do osób realnych jest przypadkowe.

W mojej powieści, mówiącej o odległym regionie świata, wprowadzam nowe postacie, które różnią się od znanych dotychczas, ukazują pasje, uczucia i podłoże psychologiczne ich czynów, które tak często są odległe od europejskich motywacji i znanych nam stereotypów. Pojawiają się zatem Meila, Karim i Pravat, jednak obok nich są także moje ulubione bohaterki z *Arabskiej sagi* – Dorota i Marysia, które nadal przemierzają ze mną świat. To za ich pośrednictwem, poprzez ich życie i uczucia, staram się pokazać azjatyckie realia. Jak pół-Arabka odbiera łagodny azjatycki islam, jak reaguje na buddyjską tolerancję seksualną? Co o Indonezji sądzi Dorota i czy jest to kraj dla typowego Polaka? Co się dzieje z porwaną malutką Nadią? Na te i wiele innych pytań otrzymacie odpowiedź na kartach mojej najnowszej powieści.

Będzie tam też można spotkać Polaków, którzy od lat przyjeżdżają do Indonezji

i zamieszkują archipelag, znajdując szczęście oraz spełnienie. Należą do nich również księża misjonarze i siostry zakonne, którzy licznie przybywali tu już w latach 60. zeszłego stulecia – ze względu na ich liczebność wyspa Flores nazywana jest polską wyspą. Polaków można spotkać nawet na końcu świata, a w przyjaznej wszystkim Indonezji tym bardziej.

Dlatego trudno się dziwić moim bohaterkom, Dorocie i Marysi, że oczarowane rajskim archipelagiem postanawiają spędzić tam trochę czasu. Zapraszam do przemierzania krętych azjatyckich ścieżek ich śladem, a dowiecie się wielu niezwykłych, pasjonujących rzeczy, będziecie świadkami ciekawych wydarzeń, które nas, Polaków, mogą szokować, a w monsunowym podzwrotnikowym kraju są zupełnie naturalne.

Drodzy Czytelnicy, możecie sami porównać podejście Azjatów do religii, wolności, do miłości czy seksu z naszym, polskim, a także z przedstawionym przeze mnie w *Arabskiej sadze*. Kiedy to zrobicie, może dojdziecie do wniosku, że chcecie żyć w atmosferze tolerancji, z wiecznym uśmiechem na ustach i życzliwością na co dzień. Jeśli tak, zapraszam na rajski archipelag lub do przeczytania następnych powieści z *Azjatyckiej sagi*.

I

INDONEZYJSKA

DZIEWCZYNA

ANTYKOMUNISTYCZNE „UPUSZCZENIE KRWI”

Marysia siedzi w kuchni w ekskluzywnym apartamencie Senopati na dwudziestym siódmym piętrze wieżowca położonego w centrum Dżakarty. Zadumała się nad swoim życiem i skomplikowanym losem. *Jakże to wszystko się plecie*. Szczuplutka, niska Indonezyjka, będąca najprawdopodobniej w wieku mamy Marysi, Doroty, spogląda na nią poważnym wzrokiem, choć jej twarz wydaje się promienieć radością. *Jak oni to robią?*, zastanawia się pół Polka, pół Arabka. *Uśmiech przyklejony do ust, a niejednokrotnie serce kraje się z bólu i żalu. Muszę się tego w końcu nauczyć. Prawie dwa lata w Tajlandii niewiele mi dały i nie zmieniły mojego genetycznie uwarunkowanego, poważnego czy wręcz ponurego charakteru i negatywnego nastawienia do otaczającego mnie świata. Trzeba to zmienić*, postanawia. *Teraz pojawia się moja kolejna i może ostatnia już szansa*, podsumowuje.

– Nad czym rozmyślasz, kochanie? – pyta słodkim głosem Meila. – Nie smuć się, życie nikogo nie oszczędza.

– Och, droga *ibu*¹. – Marysia wzdycha ciężko i patrzy z ufnością na starszą kobietę. – Nie chciałabyś wiedzieć, co mnie spotkało... – Zawiesza głos, bo wie, że nie jest jeszcze gotowa do zwierzeń.

Kobieta nie naciska, nie zadaje niedyskretnych pytań. Taki sposób bycia też całkowicie różni się od tego, do jakiego przywykła Marysia. Arabowie nie daliby jej spokoju, dopóki nie wyjawilaby prawdy, a i Polacy drażyliby do bólu. Tutaj ma szansę na uleczenie swojej krwawiącej duszy.

– Wiesz co, *putri*²? Nie będziemy dzisiaj gotować w domu – oświadcza Indonezyjka, zdejmując kolorowy fartuszek. – Zjemy na mieście.

– Ale przecież za chwilę przyjdzie Karim. Jak tylko skończy dyżur, ma do nas dołączyć.

– Znajdzie nas. Istnieją przecież telefony komórkowe. – Meila wybucha zaraźliwym śmiechem. – Zapraszam cię do mojego lokalu. Jeszcze tam nie byłaś, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Marysia szeroko otwiera oczy ze zdziwienia. – Karim mówił, że niezbyt bezpiecznie jest jeść w *warungu*³ – wyrwa jej się i jak zawsze zbyt późno gryzie się w język.

– *Warungi* również mam, bo to jest rewelacyjny biznes w naszym kraju, ale tam, gdzie cię zapraszam, to regularna restauracja w piętrowym murowanym budynku – mówi z przekąsem kobieta.

– Przepraszam... – Dziewczyna, zawstydzona, zaciska usta.

– Daj spokój! Nie znasz realiów naszego kraju i jeszcze długo będziesz popełniać takie gafy. – Meila nadal wygląda na rozbawioną i ani deka nieobrażoną. – Moja kochana... Mam dziesięć knajp na kółkach, jedną normalną z pubem i karioką dla *buli*⁴, salony masażu, dwie firmy ojekowe⁵ po dziesięć motorów każda, hotel i trzy apteki. Teraz dobrze jest inwestować w przemysł farmaceutyczny. Zastanawiam się nad otwarciem prywatnej kliniki, ale to śpiewka przyszłości. – Indonezyjka wyznaje prawie obcej osobie jak na spowiedzi. – Stąd też stać mnie na takie mieszkanie w apartamentowcu, służbę, kierowcę, dwa samochody, własny rewelacyjny skuterek, utrzymanie domu w górach Puncak i willi na Bali. Nie wstydzę się tego, że jestem obrzydliwie bogata, i jedno ci powiem, moja droga: do wszystkiego doszłam własną ciężką pracą. A zaczynałam bardzo marnie. – Marszczy czoło i twardo patrzy przed siebie, lecz

już po chwili uśmiecha się słodko, chwyta torebkę i pogania swojego gościa do wyjścia.

Marysia rzuca jeszcze okiem przez okno i widok wielkiego, prawie dwudziestomilionowego miasta zapiera jej dech w piersiach. *Jeszcze dużo muszę się nauczyć*, stwierdza. *Przede wszystkim, jak przyjmować niepowodzenia i ciężki los z radością. Cóż, sądzę, że właśnie znalazłam najlepszą nauczycielkę pod słońcem*, podsumowuje z euforią i przyspiesza kroku, usiłując dogonić żwawo maszerującą, sięgającą jej niewiele nad łokieć Indonezyjkę.

– Masz ochotę na piwo? Bo ja tak. – Meila w swojej restauracji jest witana jak królowa i wszyscy biegną dookoła niej w popłochu.

– Myślałam, że jesteś muzułmanką – wypala Marysia, a jej rozmówczyni mierzy ją tylko rozbawionym wzrokiem.

– Byłam w swoim życiu muzułmanką, jak trzeba było, to chrześcijanką, a nawet pięcioletnią komunistką. – Śmieje się figlarnie. – Przeszłam przez wszystko, przez całe bagno i zawirowania mojego cudownego kraju. – Gwałtownie poważnieje. – Moja historia wcale nie jest wesoła, ale trzeba się cieszyć, że na dzień dzisiejszy mamy happy end. – Meila moczy usta w piwie i pogrąża się w myślach. Milczenie trwa bardzo długo, lecz Marysia go nie przerywa. Wie, że właściwy moment nadejdzie, a cisza jej nie ciąży. Matka Karima sama musi zdecydować, czy wtajemniczyć obcą dziewczynę w swoje losy i zdradzić jej zapewne niejedną tajemnicę. – Miałam pięć lat, kiedy skończyło się moje dzieciństwo – zaczyna w końcu swoją opowieść.

Meila niejedną raz się zastanawiała, czemu pamięta tylko ten rok – rok, w którym skończyła pięć lat. Czemu nie przychodzi jej na myśl nic z wcześniejszego życia? Czemu o niczym innym nie śni, tylko od ponad pięćdziesięciu lat nurza się w koszmarach z zeszłego wieku. Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty był pod każdym względem niezwykły. Aż do września upływał na niekończących się zebraniach, manifestacjach, ogromnych wiecach, paradach, tańcu i śpiewie. Nawet pora deszczowa okazała się nad wyraz łagodna. Mama Fatuma i tata Johan byli tacy szczęśliwi, tacy aktywni, mieli wielu przyjaciół i działali od rana do nocy. Hamza, brat Meili, czuł się coraz lepiej, zwłaszcza od czasu, kiedy zamieszkał z nimi wujek Jusuf. Byli bardzo do siebie podobni – ciągle błędzili gdzieś myślami, nigdy nie patrzyli prosto w oczy, tylko przez człowieka, na wskroś rzeczy albo po prostu w ziemię. Rzadko dawali się do czegokolwiek zmusić albo przekonać. Jedyna różnica między nimi była taka, że wujek niewiele, bo niewiele, ale mówił i można z nim było nawiązać jakiś kontakt. Na pewno wiedział, co się dookoła niego dzieje, bo był tylko skrytym i nieśmiałym inteligentnym nastolatkiem, mały Hamza zaś był po prostu chory.

– Ostrzegam was, uważajcie! – Pewnego ciepłego popołudnia zaalarmował rodzinę młody Jusuf. – Czarne chmury zbierają się nad PKI⁶. Za dużo ludzi jest głodnych, masy nie mają co jeść! – wykrzyknął gwałtownie i wyrzucił ręce do góry, by po chwili spieć raka ze wstydu za swoją zuchwałość.

– Co ty opowiadasz?! – Fatuma popukała się w czoło swoim wypielęgowanym palcem. – Nasz wódz Sukarno⁷ nigdy nie dopuściłby do takiej sytuacji, żeby rodacy nie mieli przynajmniej miski ryżu! – Wściekła, trzepnęła młodocianego szwagra przez plecy. – Jak możesz opowiadać takie bzdury! To są tylko i wyłącznie oszczerstwa! – Obróciła się do niego tyłem, by przygotować się do wyjścia. Jej mąż jak zawsze stał z boku i nie angażował się w kłótnie pomiędzy nimi, pochylał się jednak i szepnął coś do brata z wyrozumiałym wyrazem twarzy.

Johan van der Berg miał otwarty umysł i interesował się wszystkimi sprawami. Nie był

zaślepionym komunistą, takim jak jego żona czy wielu innych towarzyszy, którzy byli dobrzy tylko w wygłaszaniu teorii, czytaniu Marksa i Engelsa i manifestacjach. On autentycznie pragnął równości i demokracji, lecz nie tej sterowanej, dającej dobrobyt nielicznym, a wszystkim pozostałym nędzę i ubóstwo, ale prawdziwej. Niejednokrotnie zabierał swoją ukochaną córeczkę Meilę nad kanały, gdzie pokazywał jej życie biedoty, ale zawsze powtarzał, że nie wolno jej nikomu o tych wycieczkach opowiadać, a w szczególności matce. Przeważnie brał z sobą worek lub dwa ryżu i jakieś warzywa czy owoce, aby wspomóc mieszkańców slumsów. Kiedy wręczał im te dary, rzucali się na jedzenie jak zwierzęta. Meila nie mogła tego pojąć, nie mogła zrozumieć, czemu ona i jej rodzina żyją w pięknym domu z ogrodem, mają wielki amerykański samochód, motor i rowery, a tamci biedacy zamieszkują ciemne nory z klepiskiem zamiast drewnianej podłogi i wszechobecnymi szczurami. Najgorszy jednak był dla niej odór zgnilizny, ale ojciec zawsze spoglądał krytycznym okiem, kiedy się krzywiła lub zatykała nos, więc usiłowała tego nie robić i jakoś wytrzymać. Odwiedzając slumsy dziewczynkę zawsze ciasno otaczali sami dziwni ludzie – ułomni, koślawi i wyglądający na niedorozwiniętych. I brudni, brudni i śmierdzący. *Oni muszą być głupi, że tutaj mieszkają*, to była jej najczęstsza refleksja. Brzydził ją ich strój, ich straszna fizjonomia, a wyraz oczu wręcz przerażał. Spotkali raz małego chłopca, może czteroletniego, który zamiast rąk miał kikuty zakończone trzema długimi, nienaturalnie wygiętymi palcami, a stojąca przy nim dziewczynka, na oko równolatka Meili, miała nadęty brzuch, skórę odbarwioną plamami oraz zdeformowaną stopę z jednym długim wielkim paluchem i jedynie dwoma mniejszymi wyrastającymi tuż koło pięty. Innym razem pewna smutna matka niosła przy piersi w brudnych bawełnianych nosilkach nieruchome niemowlę, które lśniło od potu, a z jego czarnych, głęboko osadzonych oczu bił dziwny blask. Była tam też kobieta, której całe ciało pokrywały guzki, z których wyciekała żółtawo-krwawa substancja. Błagalnie wyciągała ona do Johana i Meili swoje czarne od brudu, lepkie ręce.

– Daj tej pani pieniądze. – Ojciec wyciągnął banknot i podał córce.
– Ja nie chcę! – wykrzyknęła Meila. – Brzydzę się!
– Nigdy nie wiadomo, co komu pisane, córeczko. – Spojrzał na nią karcąco. – Dzisiaj jesteś bogaczem, a jutro możesz wylądować na bruku – łagodnie pouczał. – Nie wolno gardzić ludźmi jedynie z powodu ich niezaradności, biedy czy ułomności.
– Ale dlaczego oni tak mają, papo? – zapytała naiwnie Meila, a on czule pogładził ją po policzku. – Czy my jesteśmy inni?
– Spójrz na twoich rówieśników, którzy tutaj mieszkają – odparł tylko. – Tak samo lubicie się bawić, rozrabiać, śmiać się, uczyć i poznawać świat, lecz te dzieci nie dostają takiej możliwości. Ty masz białą sukieneczkę z falbankami i ręcznie haftowaną krajką, błyszczące butki, dobre jedzenie i zapewne ukończysz renomowaną szkołę, a oni... – Zawiesił głos, chcąc zmusić ją do samodzielnego myślenia i wyciągnięcia własnych wniosków. – To się nazywa nierówność społeczna i niesprawiedliwość – oznajmił poważnie, jednakże córka nie zrozumiała, co miał na myśli. Przytoczył więc argument, który mógł przemówić do pięciolatki: – Te dzieciaczki od najmłodszych lat muszą pracować.
– Nie! Co ty opowiadasz, papku? Przecież oni tylko żebrzą!
– To jest ich praca, kochanie – uświadomił ją.
Wtedy Meila po raz pierwszy trochę przejrzała na oczy, ogromnie się zasmuciła i jednocześnie przestraszyła. *Jak to – jesteśmy tacy sami?*, zadawała sobie pytanie. *To znaczy, że kiedyś ja też mogę żyć w takim strasznym miejscu i być taka chora i biedna?*, męczyła ją ta myśl.

– Czemu nikt ich nie umyje? – zapytała w końcu. – Czemu nikt z nimi nie pójdzie

do lekarza? Nie nakarmi?! – Z oburzenia aż podniosła głos. – Czy na tym polega, tatusiu, ta twoja demokracja? Czy to Amerykanie wszystko popsuli? – Przypomniała sobie slogan wykrzykiwany podczas jednej z komunistycznych manifestacji.

– Nie wiem, córeczko, ale gdzieś został popełniony błąd i ja nie mam już dłużej ochoty się pod nim podpisywać – oświadczył Johan, ciągnąc ją na zbity z desek prowizoryczny prom, przewożący pasażerów z jednej strony kanału na drugą, tę czystsza, tę dostępną tylko dla bogatych zdrowych ludzi.

Meila przechylała się przez rozhuśtaną, ledwo przymocowaną barierkę i z naturalnym dla dziecka zaciekawieniem wszystko bacznie obserwowała.

– Papa, zobacz! – wykrzyknęła, pokazując palcem nabrzeże, na którym zebrał się niemały tłumek. – Co się tam stało?

Po chwili przybili do lichej przystani i dołączyli do zbiegowiska. Mężczyźni hakami, patykami i dzidami przyciągali do brzegu jakieś zawiniątko. Po dłuższej chwili udało im się je wyciągnąć na gliniastą małą plażę pokrytą warstwą zgniłych śmieci, szmat, zardzewiałych puszek i plastikowych opakowań. Wtedy okazało się, że są to objedzone przez szczury szczątki jakiejś biednej zmasakrowanej kobiety. Jej oczy i czubek nosa były wygryzione, a szyję i ramiona oklejały długie, rzadkie czarne włosy. Denatka miała tylko połowę ciała, jej korpus pozbawiony był bioder i nóg. Meila aż podskoczyła, a ojciec mocno przytulił swoją ukochaną córunię i zasłonił jej oczy, sam aż trzęsąc się z oburzenia.

– To się musi zmienić – szeptał pod nosem. – Tak dalej być nie może.

Trzydziestego września rodzice Meili postanowili dołączyć do komunistycznej demonstracji, która miała się odbyć na wielkim placu Merdeka⁸ w centrum Dżakarty. Ich celem było zajęcie budynku telekomunikacji, znajdującego się niedaleko amerykańskiej ambasady. Rodzice zawsze szli w pierwszym szeregu, bo bardzo liczyli się w partii. Dlatego teraz nie mogli zrezygnować jedynie na podstawie pogłosek, że sytuacja się zaognia, że przeciwnicy Sukarno i PKI są coraz mocniejsi, a wojsko, Muhammadija⁹ i PNI¹⁰ ostrzą sobie na nich zęby. Ojciec wprawdzie chciał już wycofać się z partii, bowiem widział jej błędy i niedociągnięcia, ale uznał, że teraz nie jest na to dobry moment, bo wyszedłby jedynie na tchórza.

– Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, żebyśmy byli przygotowani na wszelką ewentualność – delikatnie poprosił żonę przewidujący Johan.

– Jakie rzeczy? – wykrzyknęła oburzona Fatuma. – Co mianowicie? Dom? Kolonialne meble? Szafy?! Obrazy? Nasze pamiątkowe *wayangi*¹¹?

– Kobieto! Cokolwiek! – Mężczyzna już nie wytrzymał, a Meila po raz pierwszy słyszała, żeby ojciec krzyczał na matkę. – Weź pieniądze i biżuterię i przynajmniej raz w życiu mnie posłuchaj!

Zszokowana takim traktowaniem Fatuma ciężko opadła na skórzaną zabytkową sofę, a Johan wyszedł z domu, z rozmachem trzaskając drzwiami. Kobieta przez dłuższą chwilę ani drgnęła, potem wstała, poruszając się jak lunatyk – to brała jakiś przedmiot do ręki, to go odkładała. Meila zawsze trzymała się z matką na dystans, bo Fatuma nigdy nie okazywała jej czułości i nigdy nie rozumiała dwójki swoich dzieci, a córkę ledwie tolerowała. Twierdziła, że właśnie ona pozbawiła ją znacznej części uczuć Johana, który od dnia narodzin Meili po prostu za nią przepadał. Poza tym uważała, że małej za dobrze się powodzi i że jest rozpieszczana przez tatusia, który woli iść na miasto z pięcioletką niż ze swoją piękną, elegancką żoną. Johan zaś czuł, że z niegdyś tak uwielbianą żoną teraz łączą go już tylko partia i wspólne idee,

jednak obecnie i to zaczynało się rozmywać, bo mąż coraz bardziej słabł w swoim entuzjazmie do niegdyś hołubionej organizacji, dzięki której jedynie nieliczni mieli wszystko, podczas gdy tak wielu nie miało niczego. Fatuma wszystko, co posiadała, zawdzięczała partii. Kiedy uciekła z głęboko muzułmańskiego domu w Tugu w górach Puncak¹², rodzina ją wyklęła. Nie była oczywiście przy tym obecna, ale jasno zdawała sobie z tego sprawę. Ani nic od nich nie dostała, ani niczego nie mogła się spodziewać. Wszystko, co osiągnęła, było wynikiem szczęścia, sprytu, inteligencji, miłości wykształconego i bogatego Johana i komunistycznej partii, która pozwoliła im na utrzymanie włości i bogactwa, a nawet spowodowała ich pomnożenie. I dlatego nie miała zamiaru nigdzie się przenieść! Nie zostawi swojego majątku, swoich bibelotów i nie będzie uciekać! Bo niby dokąd? Na wieś? Na pola ryżowe?! Na samo wspomnienie ciężkiej pracy i biedy aż serce podeszło jej do gardła.

– Gdzie Hamza? Gdzie Jusuf? – obwiniającym tonem zwróciła się do Meili, tak jakby to ona zgubiła brata i wujka.

– Skąd mam wiedzieć?

– To leć i ich szukaj! Zaraz wychodzimy!

– Bez taty?! – oburzyła się mała. – Bez taty to ja nigdzie nie idę! – odparła buńczucznie, na co zaraz dostała od matki po karku. – Nie lubię cię! – wykrzyknęła, stojąc w drzwiach prowadzących do ogrodu, a następnie z pełną premedytacją ironią przybrała sztuczny niby-uśmiech i wykonała delikatne *wai*¹³.

Meila wyszła na świeże powietrze i odetchnęła pełną piersią. Uwielbiała to miejsce ciszy i zadumy, nasycone cieniami i tajemniczą atmosferą. Za dnia bzycały w nim pszczoły i natrętne leniwe muchy, wieczorami zaś cykały cykady. Nocą natomiast odzywały się piski obudzonych nagle ptaków i pohukiwania sowy. To była zaczarowana kraina, którą kochał również jej brat. Zazwyczaj chował się w okolicach małej zaniedbanej buddyjskiej świątyni, która stała w kącie ogrodu i ze starości przybrała kolor porastającego ją mchu. Z niedalekiej skały kapała na nią woda, która w porze deszczowej lała się strumieniami, umieszczając to święte miejsce w małym naturalnym jezioru. Nikt nie przynosił już tutaj ofiar, nikt nie przewidywał rzeźby kolorową szarfą i nie palił kadzideł. Wszyscy zapomnieli o znaczeniu tego opiekuńczego przybytku, bo przecież będąc komunistami, nie wierzyli w żadnego boga i głupie zabobony. Dziewczynka minęła wysokie drzewo, obficie obwieszone złocącymi się w słońcu, prawie dojrzałymi papajami, a następnie duży krzew z zielonym awokado o tłustym mięszu. Poglądziła parę kolczastych *sirsaków*¹⁴, które kwitną przez cały rok, a cierpkie w smaku owoce rodzą każdego miesiąca. Na koniec zboczyła ze ścieżki, omijając strzelistą kokosową palmę. Obejrzała się za siebie i z dumą ogarnęła wzrokiem ich rodzinny dom. Był piękny, lśniący czystością i bielą, z drewnianym gankiem z tyłu i podcieniami od frontu. Jej tata zawsze twierdził, że jest to rezydencja w dawnym dobrym kolonialnym stylu, i absolutnie nie chciał jej zamienić na nic innego, nawet bardziej nowoczesnego i komfortowego. Znajomi dobrodusznie śmiali się z pochodzenia Johana i żartowali, iż wiadomo, czemu jest taki wysoki. Domieszka holenderskiej krwi była widoczna tak w jego posturze, jak i w rysach twarzy czy zamięowaniach.

Dziewczynka zbadła wszystkie zakamarki ogrodu i nikogo w nim nie znalazła. Rozglądając się dookoła, ciężko wzdychała. Tak bardzo chciała pójść na tę manifestację, zwłaszcza że prawdopodobnie taka okazja nieprędko się powtórzy, ale teraz wyjście wcale nie było takie pewne. Wtem usłyszała głośny warkot silnika ich samochodu. Boczna furtką wyskoczyła na podjazd przed domem i błyskawicznie usadowiła się na tylnym siedzeniu. Jej matka z wygiętymi ze złości ustami stała na wejściowym podeście i gniewnie patrzyła przed siebie.

– Spakowana? – zapytał ojciec, przekrzykując hałas.
– Nie! Bo nigdzie nie będę się przeprowadzać! – odkrzyknęła wściekła Fatuma, zmierzając w ich kierunku z dumnie podniesioną głową.
– Hamza i Jusuf w domu?
– Nie!
– To poczekaś tutaj na nich. – Johan po raz pierwszy wydał żonie polecenie i ruszył z piskiem kół, pozostawiając ją w osłupieniu.
– Tato! – Meila zaczęła się wiercić, bo nie wiedziała, co ma z sobą począć. Znakając charakter mamy, zdawała sobie sprawę, że znów będzie ją obwiniać i na nią przeleje cały swój gniew.

– Co, kochana? – zapytał czule. – To ostatnia taka przygoda w moim życiu i ty będziesz mi towarzyszyć. Jak tylko coś nas zaniepokoi, coś będzie nie tak, to szybciotko wsiądziemy do auta i pomkniemy do naszego bezpiecznego domku. Dobrze?

Rozanielona taką perspektywą, Meila radośnie klasnęła w dłonie i ochoczo potaknęła. Jadąc na miejsce zbiórki, które było wyznaczone przy Medan Merdeka, tuż koło radiostacji znajdującej się w zachodniej części placu, zaniepokoił ich widok miasta. Jak na wielką metropolię, to wydawało się prawie wymarłe. Ulicami przejeżdżały nieliczne samochody, *becaki*¹⁵ lub *bajaje*¹⁶, lecz w porównaniu ze zwykłym dniem ruch był naprawdę niewielki. Zauważyli, że boczne drogi zostały zablokowane lub obstawione przez tankietki, czołgi i oddziały wojska lub grup paramilitarnych. Johan robił coraz większe oczy, a Meila wciskała swoje małe ciało w tapicerowane siedzenie auta. Na murach pojawiły się drastyczne graffiti ukazujące biedę i nędzę narodu, wzywające, aby go nakarmić, i krytykujące PKI, a szczególnie prezydenta Sukarno. Jego portrety albo przekreślono czerwoną farbą, albo rysowano na nich sierp i młot, a pod spodem wielkim drukiem wypisywano słowa: **TIDAK!**¹⁷ **NO!** **NIET!**

– Papa, jedźmy do domu – wyszeptła córka, lecz mężczyzna spojrzawszy wsteczne lusterko i choć widok go przeraził, nie odezwał się ani słowem, a jedynie przecząco pokręcił głową. – Dlaczego?! – wykrzyknęła, a jej drżący, spanikowany głos odbił się od zamkniętych szyb.

Meila przekręciła się i uklękła na miękkim wysiedzianym fotelu, by spojrzeć na drogę, którą przybyli. Żołnierze zdążyli już ustawić na niej wielkie beczki, w których właśnie wznicali ogień. Zewsząd nadjeżdżały wojskowe pojazdy, aż zrobiło się od nich gęsto.

– Znajdziemy innych towarzyszy i gromadnie ruszymy – niepewnym tonem oznajmił ojciec. – Albo wspólnie uciekniemy. – Zaśmiał się sarkastycznie. – W kupie siła, jakoś uda nam się przebić. – Pocieszał nie tylko swoje przerażone dziecko, ale i siebie. Nagle w bocznej ulicy zobaczył tłum ludzi z opuszczonymi transparentami. Gwałtownie skręcił, zatrzymał samochód i wyskoczył z auta. – Co się dzieje? – zapytał najbliżej stojącego kamrata. – O co tu chodzi?!

– Próbują nas zastraszyć – odpowiedział znajomy Johana, kładąc mu z ufnością dłoń na ramieniu. – Ale my się nie damy! Mamy przecież za sobą naszego prezydenta Sukarno!

– Cały kraj jest z nami! – wykrzyknął ktoś inny.

– Partia rządzi! Jest nas ponad trzy miliony! – Dały się słyszeć głosy. – Rosja z nami! Chiny z nami! Precz z neokolonialistami! Precz z Ameryką!

Ludzka masa zafalowała. Z przyległych domów i podcieni zaczęli dołączać następni. Nie wiadomo skąd wyłoniła się grupa działaczek **GERWANI**¹⁸, do których należała też Fatuma. Jak zawsze kobiety były pięknie ubrane – w białe bluzki i długie barwne sarongi¹⁹ w kolorze złota i czerwieni. Po chwili zaintonowały partyjną pieśń, na co towarzysze ustawili się w szereg, a transparenty z wyrysowanymi sierpem i młotem ruszyły w górę, tłum zaś noga

za nogą, powoli i z dumą ruszył w stronę hotelu Indonezja. Szeroka ulica prowadząca przez plac była jak wymarła, niebo spowiły gęste ciemne chmury. W powietrzu czuć było wilgoć, a upał oblepiał ciała. Smród palonej smoły w beczkach rozchodził się po całym mieście. Pierwsi śmiałkowie zaczęli skandować te same hasła, co podczas wszystkich manifestacji. Wtem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wyrosli przed kolumną żołnierze o groźnych facjatach i zaciśniętych szczękach. Każdy z nich trzymał w dłoniach czarny połyskujący karabin. Meila, niesiona na barana przez wysokiego Johana, miała świetny widok, lecz tym razem wcale nie cieszyła się, że jest tutaj z kochanym tatą. Kurczowo wbijała swoje małe szczupłe paluszki w jego pokręconą czuprynę i z paniką rozglądała się dookoła. *Czy on tego nie widzi? Czy nie widzi, co się tutaj dzieje?*, przebiegło jej przez myśl. *Ja chcę do domu!*, krzyczała w duchu.

– Idziemy stąd. – Johan postawił córkę na ziemi, chwycił mocno za rękę, obrócił się na pięcie i zaczął przepychać na tyły pochodu.

– Towarzyszu! Bracie! – Usłyszał jeszcze za sobą zdziwione głosy. – Co ty wyprawiasz?! Dlaczego?!

W tym samym momencie tłum się zachwiał, jakby stracił swój szyk i duchowy potencjał. Kobiety śpiewały już tylko pojedynczym drżącym głosem, który po chwili całkowicie zamilkł. Żołnierze ruszyli z wrzaskiem i uderzyli w czoło demonstracji, na co partyjni rozbiegli się jak spłoszone kuropatwy. Meila, stanąwszy na nierówny krawężnik, straciła równowagę i runęła jak długa. Johan potknął się o córkę i przewrócił, wpadając wprost pod nogi wysokiego rangą żołdaka, który z dystansu przyglądał się całemu zajściu. Długo się nie namyślając, wojak podniósł do góry kałasznikowa, obrócił go kolbą do dołu, wziął rozmach i z całej siły uderzył w skroń leżącego mężczyzny. Meila wstrzymała oddech; siedząc na brudnym trotuarze, wpatrywała się w ukochanego ojca szeroko otwartymi z przerażenia oczami. Widziała, jak wraz ze strumieniem krwi płynącej z czoła błyskawicznie uchodzi z niego życie. Po chwili jego oczy zaszyły mgłą, a bezwładne ciało opadło. Leżał tak w centrum swojego ukochanego miasta, bezradny, bezbronny, samotny i przez nikogo nieopłakiwany. Gdy tylko żołnierz odwrócił się z niesmakiem od zabitego człowieka i skierował do swoich kamratów, Meila rzuciła się do ojca i zaczęła go szarpać za rękę, a kiedy to nic nie dało, chwyciła za koszulę i z całych sił targała do góry.

– Wstań! Proszę cię, wstań! Chodźmy już stąd! Tatku! – wołała natarczywie. – To moja wina, moja wina! Gdybym się nie przewróciła, gdybym... – Brakło jej tchu. Czowała się tak, jakby umierała wraz ze swoim herosem, swoim idolem, swoim najukochańszym i najważniejszym mężczyzną w życiu. – Papa! – W przypiływie rozpaczycy wsadziła swoje małe dłonie pod jego roztrzaskaną czaszkę i próbowała ją podnieść, lecz głowa ojca bezwładnie opadła na jej kolana, brudząc czerwoną jak wino krwią białą wykrochmaloną sukienkę. – Papa... – Z jej gardła wydobył się cichy szloch.

Nagle poczuła, że jakaś silna ręka chwyta ją w pasie i podnosi do góry, jakby była lekka niczym piórko. Wbiła wzrok w rękaw bluzy. Rozpoznała wojskowy materiał i nie chciała już nawet zerknąć wyżej, bo bała się ujrzeć twarz mordercy swojego ojca. Zapamiętała ją jednak do końca życia, bo takiego oblicza nie można zapomnieć. Wykręciła się z objęcia jak piskorz, skoczyła na nogi i co sił rzuciła biegiem przed siebie. Usłyszała strzał, lecz nie miała pojęcia, czy jest on skierowany w jej stronę, czy gdzie indziej. Poza tym za jej plecami panowała grobowa cisza. Nie wiedziała, czy wszyscy uciekli, co się z nimi stało. Mało ją to obchodziło. Wbiegła w wąską uliczkę, potem skręciła w lewo, po chwili w prawo i tak klucząc, znalazła się daleko od centrum wydarzeń.

Niestety, zupełnie nie orientowała się, gdzie jest. Tutaj ulice wypełniał zwykły gwar

tłum, jeździły pojedyncze stare auta, pełno rikszy, mężczyźni w wieśniaczych strojach i słomkowych kapeluszach wieźli towary na dwukołowych wózkach, a ułomni i żebracy wylegiwali się na poboczach wśród potarganych gazet, pyłu i śmieci. Dziewczynka weszła pomiędzy niskie, brudne i śmierdzące parterowe budynki i wąskim ciemnym przejściem skierowała się w stronę płynącej ze ściany wody. Znajdował się tam mały zardzewiały kranik, który z wielkim wysiłkiem odkręciła. Pod strumień żółtej kranówki podstawiła rączki, a następnie dół sukienki, chcąc choć trochę sprać ślady krwi, które z pewnością rzucały się w oczy. Po chwili, przemoczona, ruszyła znów na gwarną ulicę. *Muszę jakoś dostać się do domu*, postanowiła, lecz nie wiedziała, jak tego dokonać. Adres, którego zawsze uczył ją ojciec, pod wpływem silnych wrażeń i traumatycznych przeżyć wyparował z jej pamięci. *Jalan20... jalan... jalan* jaka?, zastanawiała się, mobilizując wszystkie siły i usiłując się skupić. *Coś było związane z jakąś pustynią? Jakaś znana nazwa*, trudziła się, patrząc w ziemię.

– Podwieźć gdzieś panienkę? – Nagle usłyszała nad sobą przyjazny głos.

– Tak, poproszę – odpowiedziała, ufnie spoglądając w oczy wychudzonego, wyglądającego jak szkielet rikszarza.

– A pieniądze ma? – Zainteresował się, lustrując Meilę od stóp do głów. – Może rodzice zapłacą przy odbiorze? – Widząc jej niepewną minę, chwycił się wszystkiego, chcąc zarobić parę groszy.

– Tak, rodzice zapłacą – potwierdziła, na pewniaka pakując się na lepkie od brudu siedzenie.

– Dokąd jedziemy?

– Jalan... Ulica Gunung Sahari. – Wypowiadając słowa na głos, przypomniała sobie wszystko. – Numer dwa, Dżakarta Pusat21.

Mężczyzna z niezadowoleniem wyduł wargi, bo było to jedynie parę kilometrów i wiele nie zarobi, ale lepsze to niż nic. A panienska, choć brudna i rozczochrana, wyglądała na dziecko z dobrego domu. I dzielnica też niezła. Poczyszony tą myślą, zaczął z wawo pedałowac.

Meila, widząc swoją spokojną, szeroką, czystą ulicę i zarys białej rodzinnej willi prześwitujący pomiędzy drzewami, nie mogła już dłużej czekać – zeskoczyła w biegu z *becaka* i rzuciła się pędem do domu.

– Mamo! – Gwałtownie otworzyła drzwi i zobaczyła trzy pary wielkich czarnych oczu patrzących na nią z wyczekiwaniem.

– Gdzie ojciec? – zapytała Fatuma podniesionym głosem. – Cóżecie tyle czasu robili? Zaraz będzie ciemno!

– Mamo... – powiedziała dziewczynka łamiącym się głosem i wyciągnęła rączki, chcąc się przytulić do swojej rodzicielki.

– Jak ty wyglądasz?! Jak jakiś kocmołuch ze slumsów! – Matka odsunęła ją, mierząc surowo wzrokiem.

– Psze pani? – Rikszarz nieśmiało wślizgnął się przez uchylone drzwi. – *Ibu*... Ja przywiozłem tę małą z centrum.

– Że co? Samą?!

– Ja tylko przywiozłem, psze pani. – Usłużnie uklonił się, gnąc aż po pas i składając przy tym swoje dłonie na piersi, by następnie podnieść je do samego czoła. – Zapłata, pani... – wyszeptał ze strachem.

– Masz i wynoś się! No już! – Fatuma wcisnęła mu parę groszy do brudnej, powykęcanej artretyzmem ręki i kiwnęła lekceważąco, jakby odganiała się od natrętnej muchy.

– Gadaj, co się stało?! I to już! – Kiedy biedak tyłem wycofał się z salonu i cicho zamknął za sobą drzwi, matka ponownie wrzasnęła na córkę, chwyciła ją za ramię i mocno potrząsnęła.

– Tata... Papa... – Meili słowa ugrzęzły w gardle, na co podenerwowana kobieta trzasnęła ją na odlew w policzek.

– Nie umiesz odpowiedzieć na proste pytanie?! – Szarpnęła pełną garścią za splątane włosy córki, na co dziecko wybuchnęło długo wstrzymywanym płaczem.

– Bratowo, dość tego! – zainteresował Jusuf, który nie mógł zdzierżyć tak manier swojej szwagierki, jak i jej agresywnego zachowania. – Nie widzisz, że wydarzyło się coś złego?!

– Tak, na pewno! Znowu się gdzieś zawieruszyła i poszła w sobie tylko znanym kierunku! Ot co! – wykrzyknęła Fatuma, rytmicznie i ze złością uderzając otwartą dłoń w udo. W końcu jednak odstąpiła od Meili i zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. – To jest taki nieusłuchany, rozpieszczony bachor! – Marszcząc brwi, dodała jakby na swoje usprawiedliwienie.

Dziewczynka zerwała się na równe nogi i wybiegła z domu do ogrodu. Skryła się w małej jamie za posążkiem buddyjskiej bogini, który o tej porze dnia był pogrążony w półmroku. Po chwili usłyszała zbliżające się kroki. Jusuf i Hamza doskonale wiedzieli, gdzie jej szukać.

– Jesteś tutaj? Meila? – pytali, wciskając się do jej kryjówki.

– Co się wydarzyło podczas manifestacji? – łagodnie indagował wujek. – Opowiedz na spokojnie. – Objął ją szczupłym ramieniem, a ona poczuła mocne wsparcie z jego strony.

– Czy coś złego przydarzyło się tacie? – niewyraźnie wyszeptał Hamza, usiłując skupić swój rozbiegany wzrok na siostrze.

– Uciekaliśmy, ale było za późno... – zaczęła zwierzenia. – Taki groźny, wielki wojak uderzył tatę w głowę... – Przerwała, głośno nabierając powietrze.

– No i? – Jusuf niecierpliwie poganiał bratanicę.

– No i papa już nie wstał – stwierdziła po prostu. – Już się nie ruszył. Próbowałam go ciągnąć, podnieść, krzyczałam, ale nic nie pomagało. Wtedy ten straszny człowiek chwycił mnie i chciał chyba gdzieś zabrać, ale mu się wywinęłam i uciekłam. – Na wspomnienie sprytu i przebiegłości lekki uśmieszek pojawił się na ustach umorusanego, zapłakanego dziecka.

– Pojadę go szukać – odważnie oznajmił Jusuf pomimo tego, że był jeszcze młokosem i nie miał nawet najmniejszych oznak zarostu. – Może gdzieś tam leży i potrzebuje pomocy. – Szczerze się niepokoił.

– To niebezpieczne! Nie jedź! – Ciałem Meili wstrząsnął dreszcz. – Tam były czołgi, wojsko, krzyczeli na wszystkich – tłumaczyła jak doświadczona osoba. – Towarzysze taty uciekali, więc ci w mundurach to chyba byli źli ludzie. Wujku, nie idź tam!

– Ciemno się robi – dorzucił Hamza, okazując tym samym zaskakujące jak na niego zrozumienie sytuacji.

– Nie ma rady. – Poważny Jusuf był naprawdę zdeterminowany. – To mój brat. On też by mnie ratował. – Meila i Hamza wtulili się w odważnego młodzieńca, zdając sobie sprawę, że nie są w stanie odwieść go od raz podjętej decyzji.

Wszyscy w trójkę wyszli z ukrycia. Chłopak prowadził dzieci za ręce, bo ogród spowijał już całkowity mrok. Było ciemniej niż zazwyczaj, najwidoczniej wyłączono prąd. Nikogo to nie dziwiło, bo zdarzało się to dość często. Jusuf skierował się w stronę bocznej furtki, chwycił za stojący tam rower, pomachał na do widzenia i pokrzepiająco mrugnął do nich. Kiedy cicho odjechał, brat i siostra, szurając nogami, ruszyli do domu. Weszli

do salonu i w drżącym świetle świec zobaczyli srogo spoglądającą na nich matkę. Jej pociągnęła twarz jeszcze bardziej się wydłużyła. W dużych delikatnie skośnych oczach widać było przerażenie i bezradność, lecz na dnie czaiła się złość. *Dokąd mam pójść?*, przez cały czas kobieta zadawała sobie tylko to jedno pytanie. Była zirytowana na męża, że pomimo ostrzeżeń wybrał się na manifestację, a także wściekła, że nie zabrał jej z sobą, i wręcz rozjuszona, że postawił ją w takiej sytuacji. Sama z dwójką małych dzieci i jego nastoletnim bratem! Co robić? Mieli wprawdzie pieniądze ze składek towarzyszy, bo od jakiegoś czasu Johana obdarzono takim zaufaniem, że powierzono mu fundusze organizacji, ale nie może przecież wykorzystać do własnych celów ciężko uciulanego przez druhów kapitału! Fatuma pomimo ciężkiego charakteru była uczciwą osobą.

– Na razie nigdzie się nie ruszamy – obwieściła dzieciom, a one odetchnęły z ulgą. – Jak tata wróci, to pomyślimy, co dalej. – Na te słowa Meila ze zdziwienia podniosła brwi, ale nie odezwała się ani słowem, bo po co ponownie narażać się na gniew matki. – Idźcie spać – zarządziła szorstko Fatuma. – Nic tu po was.

Pół nocy Meila nie była w stanie usnąć. Ciągle powracały do niej wspomnienia ubiegłego dnia. Nie rozumiała, dlaczego sprawy przybrały taki zły obrót. Przecież wszyscy kochali jej ojca. Był dobrym człowiekiem, czułym na ludzką biedę i nieszczęście. Co on i jego towarzysze zawinili tym groźnym żołnierzom, że tak z nimi postąpili? Jej mała dziecięca główka nie mogła znaleźć na to pytanie żadnej odpowiedzi. Johan nigdy nie stosował przemocy i zawsze twierdził, że każdy konflikt można rozwiązać poprzez rozmowy i negocjacje. Manifestacje i wiece komunistyczne przeważnie były pokojowe i dlatego je wspierał. Z rozmowy rodziców Meila dowiedziała się, że pod ambasadą amerykańską towarzysze rzucali kamieniami i byli bardzo źli, ale ojciec całkowicie potępiał takie zachowanie. Nazywał siebie pacyfistą i był z natury spokojny jak baranek. Takim właśnie zapamiętała go córka, choć obraz rozbitej czaszki i kałuży krwi, w której leżał, całkowicie przyćmił te inne, dobre i szczęśliwe wspomnienia.

Nad ranem dziewczynka zapadła w płytki sen, lecz po chwili obudziła się cała złana potem. Przez uchylone okno dochodził głośny warkot silnika jakiegoś wielkiego pojazdu, którego z jej pokoju nie było widać. *Samochody tak nie hałasują*, błyskawicznie wyciągnęła wniosek. Skoczyła na nogi i w nocnej koszuli przebiegła korytarz. Wyrzała przez ledwie uchylone wejściowe drzwi i zamarła. Ich spokojną ulicą jechały wielkie zielone wozy z plandekami. Pognęła co sił do pokoju matki. Speszona, stanęła w progu i w słabym brzasku poranka patrzyła na kontur jej postaci. Fatuma siedziała na łóżku i patrzyła przed siebie.

– Co tam? – zapytała rzeško, choć widać było, że tej nocy nie zmrzuryła oka.

– Pojawiły się takie same wozy jak podczas demonstracji – wyszeptęła Meila, patrząc na matkę z trwogą.

– Jeżdżą takie po ulicach. Nie ma co wpadać w panikę – nakazała i obróciła się do córki plecami.

Meila miała ogromną ochotę wskoczyć do wielkiego kolonialnego łóżka z baldachimem, opuścić zasłony i udawać, że jej nie ma. Tak bardzo pragnęła przytulić się do kogoś bliskiego, schować w bezpiecznych ramionach. Zawsze robił tak ojciec... ojciec, którego już nie ma. Matka ciągle była oziębła i Meila czuła, że wcale jej nie kocha. Nie wiedziała, dlaczego i gdzie tkwiła przyczyna, sądziła jednak, że wina na pewno jest po jej stronie. *Byłam niegrzeczna*, podsumowała w myślach. *Nie upilnowałam papy i zły człowiek go zabił. Zabił go, zabił...* Cichutko pociągnęła nosem i wróciła do swojego pokoju. *Jedyna nadzieja w Jusufie*, pocieszała się. *On go odnajdzie i uleczy*. Jednak młodzieniec nie wracał jeden dzień, drugi, następny, a oni siedzieli w domu, nie wyściubiając z niego nawet nosa.

Powoli kończyły im się zapasy i nie mieli już co włożyć do garnka.

– Hamza! Poleć do sklepu na rogu i kup przynajmniej ryż, marchew, olej i jakieś czekolady – zdecydowała w końcu Fatuma. – Powiesz panu, kim jesteś, to przyniesie ci z magazynu. Rozumiesz?! – Podniosła głos, bo syn nie potrafił skoncentrować spojrzenia, choć twarz miał obróconą w jej kierunku.

– Oczywiście – wymamrotał niewyraźnie.

Kiedy tylko chłopiec się oddalił, rozległo się dziwne skrobanie do drzwi, a potem ktoś z trudem, bardzo powoli nacisnął klamkę. Fatuma i Meila, struchlałe, zobaczyły w progu chwiejącą się ludzką sylwetkę.

– Aresztowali mnie! – ledwo wyszeptał Jusuf. Zrobił parę kroków do przodu i padł na kolana. – W mieście zamieszki... – Głos mu się rwał i chłopak ledwo łapał oddech. – Mówią, że ponoć komuniści przeprowadzili akcję trzydziestego września. Zamordowali sześciu czy siedmiu oficerów, przeciwników Sukarno... rządu... w sumie nie wiem kogo i czego... Bestialsko zamordowali – powtórzył dla podkreślenia swoich słów i bezwiednie opadł na dywan.

Fatuma z niedowierzaniem patrzyła na młodego szwagra, a Meila cofnęła się i zakryła usta dłońmi, żeby nie krzyknąć. Twarz Jusufa była poobijana jak jabłko, pod oczami miał czarne sińce, przez czoło biegła długa szrama zadana zapewne jakimś ostrym narzędziem, a na szyi widoczny był krwistoczerwony pas – najwidoczniej ktoś usiłował go udusić. Koszulę miał potarganą i zakrwawioną, a spodnie brudne i mokre w kroczu.

– Włączcie radio – wymamrotał. – Cały czas mówią o komunistach.

Fatuma włączyła odbiornik i z głośników popłynął ostry, rozkazujący głos:

– Taka straszna zbrodnia musi zostać ukarana! – wojskowym tonem perorował mężczyzna. – Nasi generałowie byli torturowani w sadystyczny i plugawy sposób, a potem zostali bestialsko zamordowani. Bez litości! Ich oczy wyłupano, genitalia zaś obcięły im działaczki GERWANI. Czy to są kobiety, czy zwierzęta?! Mówię wam, że to wściekle zwierzęta, komunistyczne bydlaki niemające litości! Teraz my musimy wypłenić tę zarazę z naszego kraju! Nadszedł czas, aby oczyścić Indonezję z komunistycznej plagi! – wrzasnęła na całe gardło, a Fatuma zrobiła się biała jak papier i po raz pierwszy mocno przytuliła do siebie córkę. – Jeśli tego nie zrobimy, to podobny los może spotkać każdego, kogo *Gestapu* PKI²² uzna za wroga. Obywatele i obywatelki! Indonezyjczycy! Bracia! Zabijcie albo was zabiją! – Straszne słowa echem wypełniły salon, w którym trzy osoby zamarły ze zgrozy.

Pierwsza ocknęła się Fatuma. Prędko wyłączyła radio i pobiegła do sypialni. Po chwili wróciła ubrana w kwieciste wytarte pantalone, zwykłą szeroką bluzkę i wydeptane klapki. W ręce trzymała potargany, wysłużony plecak. Wszystkie te rzeczy należały do ich służącej, która od paru dni nie pojawiała się w pracy.

– Na łóżku masz przygotowaną sukienkę. Prędko się przebierz! – wydała polecenie córce, a potem przyklękła przy szwagrze. – Czy nikt cię nie śledził, Jusuf? Nikt nie gonił? – Męczyła pytaniami ledwo przytomnego chłopaka. – Dasz radę wstać? – Próbowała mu pomóc, lecz jak tylko pociągnęła go za rękę, wydał z siebie żałosny jęk.

– Mam połamane zębra... – wycharczał. – Wy uciekajcie! Teraz musisz chronić siebie i dzieci. Nie ma chwili do stracenia! – Słabo odepchnął ją od siebie.

W tej samej chwili na ulicy rozległ się pisk opon, a po nim dały się słyszeć krzyki ludzi.

– To tutaj! To ten dom! – Rozpoznali głos sąsiadki, która choć sama była bogata, zazdrościła im wszystkiego. – Widziałam tego młodszego! To jaskinia komunistów! Bierzcie ich! – Odsuwała od siebie podejrzania, kierując pogrom na innych.

Fatuma chwyciła za rękę Meilę, która akurat weszła do pokoju, zarzuciła torbę przez plecy, zerknęła na zmaltretowanego Jusufa, po czym obie wybiegły do ogrodu. Ich ciemne sprane ubrania w kolorze wyblakłej zieleni i granatu zlewały się z barwami liści i kwiatów. Córka pociągnęła matkę w kierunku swojej kryjówki. Kiedy tylko do niej wpadły, usłyszały łoskot wyważanych frontowych drzwi, a potem wrzaski dobiegające z wnętrza domu:

– Gdzie te komunistyczne świny?! – Żołdak stał nad zakrwawionym Jusufem i przyglądał mu się z pogardą. – Gdzie twój braciszek i jego zbrodnicza kompania?! He? Zadałem ci pytanie!

– Ty mi to powiedz. – Chłopak z wysiłkiem otworzył oczy. – Trzy dni temu zabiliście go bezkarnie w centrum miasta – wyszeptał, z całą mocą akcentując słowa.

Na taką hardą odpowiedź mundurowy zareagował błyskawicznie. Wziął rozmach i wojskowym butem kopnął chłopaka centralnie w twarz, łamiąc mu przy tym nos. Młody zalał się krwią i zwinął w kłębek.

– Gdzie trzymał fundusze partii? Gdzie jest forsa, ty złodziejskie nasienie?! – Żołdak rozsierdził się jeszcze bardziej, miotając pioruny oczami i plując się przy każdym słowie. Dłonie miał zaciśnięte w pięści i co chwila uderzał nimi w uda. Chciał już skończyć z krnąbrnym młodym komuchem.

– Więc o to chodzi? – Jusuf wykrzywił zakrwawione usta w kpiarskim, makabrycznym uśmiechu. – Chcecie szmal? – Dyszał ciężko. – To nie trzeba go było zabijać! Teraz już nic wam nie powie – zakomunikował z dużą satysfakcją.

– Brać tego gagatka! – krzyknął mężczyzna w kierunku drzwi. – I tak nam wszystko wyśpiewa, trzeba tylko będzie nad nim odpowiednio popracować.

Dwóch osiłków wzięło rannego Jusufa pod pachy i powlekło na zewnątrz jak worek.

– Przeszukać mieszkanie! Każdy kącik, każdy zakamarek! – Rozkazy dowódcy brzmiały jak szczeknięcia. – Dwóch ze mną do ogrodu!

Grupa około dziesięciu chłopów rzuciła się do pracy. Brudnymi łapskami podnosili piękne stare porcelanowe wazy i kryształ, w których światło migotało niebieskim blaskiem, i rzucali je na ziemię. Ręcznie malowane talerze rozbijali o ścianę lub o drewniane sprzęty. Meble rozbierali na części pierwsze, a następnie łamali, układając z nich wielki stos na środku salonu. Widać było, że sprawia im to niewypowiedzianą przyjemność.

Szef brygady tymczasem wyszedł na dwór i badawczo rozglądał się po ogrodzie. Nagle wśród pogrążonych we wczesnym mroku drzew i krzewów zauważył poruszający się kształt.

Fatuma i Meila, widząc żołnierza stojącego na ganku i uważnie lustrującego teren, wstrzymały oddech. *Gdzież ten Hamza się podziewa?*, niepokoiła się matka. *Byleby teraz nie wrócił*, zdrząła na samą myśl o takiej możliwości. Żeby nie zbliżał się do domu, zaklinała w myślach.

– Mamo? – Jak na złość w tej samej chwili usłyszała słaby głos syna. – Mamo, wróciłem! – Chłopiec koślawo maszerował zarośniętą ścieżką wiodącą w stronę budynku, nie zauważając obserwującego go żołdaka.

– Co my tutaj mamy? – Wielki mężczyzna zrobił parę kroków w stronę swojej następnej ofiary i wyrwał chłopcu z ręki worek z zakupami. – Taki dobrobyt?! – oburzył się, wyrzucając produkty na mokrą trawę i glinianą glebę. – Czekolady?! A ludzie nie mają co do gęby włożyć! Ryżu w kraju brakuje! – Chwycił za poły koszuli Hamzy tuż przy samej szyi i podniósł za nią chłopca do góry. – Patrz na mnie! Patrz mi prosto w oczy, ty komunistyczny pomiole!

Na te słowa Fatuma spięła się w sobie jak gotowa do skoku lwica, lecz Meila chwyciła dłoń matki w swoje maleńkie rączki i mocno ścisnęła. Spojrzały na siebie, lecz w ciemnicy

widziały tylko połyskujące białka swoich oczu. Cicho dyszały, bo przewidywały już, co się stanie. Hamza przecież nigdy nie umiał skoncentrować wzroku na niczym i na nikim.

– Strzelasz oczami na boki?! – kontynuował napastnik, a w jego głosie pobrzmiwały furia i szaleństwo. – Tylko oszuści mają takie rozbiegane gały! – wycharczał jak obłąkany. – I komuchy! – Przy tych słowach jednym ruchem obrócił chłopca, docisnął plecami do siebie, złapał za szyję i szarpnął, łamiąc mu kark.

Hamza padł na wydeptaną ścieżkę. Leżał bez ruchu wśród zakupów, które zrobił na polecenie matki. Fatuma, siedząc w kucki, wsadziła łokcie między kolana i głośno zazgrzytała zębami. Potem podniosła się i chciała ruszyć przed siebie, by pomóc syna, nie dbając już ani o bezpieczeństwo, ani o życie.

– Mamo... – wyszeptła Meila, chwytając ją za szarawary. – Mamo, nie zostawiaj mnie. Proszę... – błagała, szlochając bezgłośnie.

Kobieta znów zgięła się wpół i wcisnęła za buddyjską rzeźbę, która została tutaj postawiona wieki temu, aby chronić to domostwo przed nieszczęściami, a mieszkańcom zapewnić miłość, dobrobyt i wszelką pomyślność. Po krótkim czasie, który dla ukrywających się trwał całą wieczność, piękna neokolonialna willa zajęła się ogniem. Żołnierze wzniecili go, polewając benzyną stare drewniane ściany i połamane meble. Przygarbiona indonezyjska kobieta wraz z dziewczynką wymknęły się cicho z ogrodu i ruszyły truchtem przed siebie.

Meila nie pytała matkę o nic, bo nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. O świcie miasto wyglądało na wymarłe i dla uciekinierek była to idealna sytuacja. Jednak Fatuma zdawała sobie sprawę, że daleko nie zajdą. Do jej rodzinnej wioski było ponad pięćdziesiąt kilometrów i takiego dystansu na piechotę nie pokonają. Przechodząc koło bogato wyglądającego budynku, w oczy kobiety rzucił się oparty o mur rower. Błyskawicznie do niego doskoczyła, chwyciła pojazd, usadowiła córkę na ramie, a sama nacisnęła na pedały. Były uratowane. Nie przejmowała się tym, że dopuściła się kradzieży, bo wrócił jej wrodzony instynkt samozachowawczy. Dokładnie pamiętała, jaka była kiedyś, jeszcze dziesięć lat temu, kiedy uciekła z wioski i przyjechała do Dżakarty. Miała tylko szesnaście lat, ani grosza przy duszy, a jej całe bogactwo stanowiły niezwykła uroda, spryt i przebojowość. Przed życiem w slumsach, nędzą i biedą uratowało ją jednak szczęście. I Johan. Kiedy ją zobaczył, stojącą nieporadnie między straganami na warzywnym targu i patrzącą wygłodniałym wzrokiem na produkty, podszedł i zaproponował, że kupi jej coś do jedzenia. Bogaty, zadbany mężczyzna był dla wieśniaczki księciem z bajki. Jego ojciec, holenderski profesor, zagwarantował synowi świetną edukację, a matka, jawajska piękność, obdarzyła go niezwykłą urodą. On sam uczył w wyższej szkole technicznej i działał w komunistycznym stowarzyszeniu. Fatuma została przygarnięta przez nowoczesną rodzinę Johana, która traktowała ją jak córkę. Dali jej wszystko, włącznie z wykształceniem, lecz ona, wraz z umocnieniem swojej pozycji w domu i w partii, coraz bardziej hardziała i odsuwała się od swoich dobrodziej. Nie chciała ani opiekować się chorą teściową, ani utrzymywać kontaktów z nieliczną rodziną męża, ani nawet o nich słyszeć. Jedynym celem w jej życiu było posiadanie Johana na własność, co zresztą prawie jej się udało. Zakochany mężczyzna zgadzał się na wszystko, lecz część serca oddał także swoim dzieciom, a w szczególności Meili. I dlatego Fatuma nie mogła ścierpieć córki. Jej obłądna zazdrość o męża była dosłownie chorobliwa. Teraz zaś musiała pogodzić się ze swoim losem i wrócić tam, skąd wyszła, skąd uciekła całe wieki temu.

Po dwóch godzinach jazdy Meila nie mogła już wytrzymać, siedząc na twardej

metalowej ramie, która bezlitośnie wbijała się w jej delikatną dziecięcą pupę.

– Mamusiu, długo jeszcze? Bo ja już nie czuję siedzenia. Nie czuję nóg. I straszliwie chce mi się pić. – Ledwo mówiła, bowiem z pragnienia język stał jej w ustach kołkiem.

– Już niedaleko. Zatrzymamy się na odpoczynek u twojej ciotki – odpowiedziała cicho matka, która sama była już u kresu wytrzymałości. Szeroka bluzka dawno przykleiła się do jej spoconych pleców, a chropawy materiał szarawarów otarł jej nogi. Twarde siodełko roweru wbijało się w krocze, wywołując przy każdym ruchu niemiłosierny ból.

– Jedziemy do cioci?! – Dziewczynka była w szoku. – To ja mam ciocię? Czemu nigdy jej nie odwiedzaliśmy?

– Sama widzisz, jak daleko mieszka. – Fatuma nie miała zamiaru się tłumaczyć.

– Ale samochodem to byłoby całkiem blisko – podsumowała bystra pięciolatka.

– Przestań się wymądrzać i lepiej się trzymaj. – Fatuma rozpoznała boczną drogę, w którą należało skręcić, aby dojechać do osady. Była tutaj tylko raz – na ślubie siostry Johana, ale miała nadzieję, że pamięć jej nie zawodzi.

Jadąc po wertepach i z trudem omijając dziury w ubitym trakcie, nie mogła się nadziwić decyzji krewniaczki. *Co za idiotka z tej Nury!*, podsumowała szwagierkę w duchu.

Mając takie pieniądze, wykształcenie i dobre pochodzenie, wyniosła się na prowincję.

Kretynka!, stwierdziła, ze wzgardą wykrzywiając usta. *Wyjść za mąż za wieśniaka, kiedy miała tylu absztyfikantów z miasta!*

– *Selamat siang*²³ – pozdrowiła przechodzącą kobietę, niosącą na głowie wielki dzban.

– Czy zechciałabyś użyczyć nam parę kropli wody? – Zatrzymała rower i zsadziła z niego Meilę, która ledwo trzymała się na nogach. – Jedziemy z bardzo daleka i jesteśmy straszliwie spragnione.

– Ależ oczywiście, moja kochana. – Życzliwa baba ukazała swoje bezzębne dziąsła. – Siądźmy w cieniu.

– *Terima kasih*²⁴. – Fatuma pochyliła głowę i podziękowała w tradycyjny sposób, dotykając złożonymi dłońmi twarzy. Meila zrobiła głupią minę ze zdziwienia, bo nigdy jeszcze nie widziała swojej matki wyrażającej za coś wdzięczność z taką pokorą.

– *Sama-sama*²⁵. – Kobięcina przycupnęła na przydrożnym kamieniu, wyciągnęła zza pazuchy mały gliniany kubeczek i chlusnęła do niego krystalicznie czystej, lodowatej wody. – Prosto ze źródła. Pijcie, kochanieńkie. – Dziewczynka rzuciła się tak łapczywie, że zaraz się zachłysnęła i zaczęła kaszleć, lecz staruszka patrzyła na nią łagodnie i ze zrozumieniem. – A dokąd to się wybieracie, moje gołąbeczki? – W końcu ciekawość zwyciężyła. – Odwiedzacie kogoś w okolicy? Bo chyba jesteście nietutejsze?

– Chcemy się spotkać z moją szwagierką. Ma na imię Nurijah – bąknęła niepewnie Fatuma. Z niecierpliwością czekała na reakcję, bo nadal się bała, czy nie pomyliła drogi.

– A, to do naszej wielmożnej pani!

– Jak to „wielmożnej pani”? – Nie mogła się nadziwić i aż uniosła swoje czarne regularne brwi.

– A tak to! – stanowczo odpowiedziała chłopka. – To żona naszego *BUPATI*²⁶.

Każdego dnia dziękujemy Bogu, że się pobrali. Odkąd Nurijah osiadła w naszym *kampungu*²⁷, wszyscy stanęliśmy na nogi, a osada rozrosła się dwukrotnie. Pani nasza to jest mądra! – Jakby na potwierdzenie swoich słów kiwała głową. – Taka mądra! Produkujemy piękne rzeczy, a że *ibu* zna języki i ważnych ludzi, to sprzedajemy je daleko za granicą. Aż w Holandii u kolonialistów! Dzieci do szkoły zaczęliśmy posyłać, a starych i głupich, takich jak ja, sama wielmożna Nurijah uczy czytać i pisać. Ot co! – zawołała, wyrzucając ręce do góry.

Fatuma, słysząc te słowa, smutno uśmiechnęła się pod nosem. Przekreśliła szwagierkę,

uważając ją za idiotkę, kiedy ta wyjechała na prowincję, a teraz okazało się, że ta mądra kobieta była szanowana przez lud, kochana i szczęśliwa. *Dziś ja nie mam nic, a ona ma wszystko*, podsumowała, wzdychając ciężko.

– Chodźmy już. – Ledwo powłócząc nogami, powlekła się za kobietą. – Córka jest zmęczona. – Tłumaczyła swój pośpiech.

Drogę z obu stron coraz szczelniej otaczał gęsty las bambusów. Im bliżej osady, tym więcej ludzi widziało się na trakcie i w polu. Wieźli na wozach zaprzężonych w bawoły ścięte drzewa, produkty na targ i zwierzęta. Wszyscy byli zadowoleni, schludnie ubrani i widać było, że nie cierpieli biedy.

Kampung był zbudowany na planie okręgu z majdanem na środku i licznymi chatami rozchodzącymi się promieniście dookoła. Na centralnym placu stał duży budynek z palmowych bali kryty strzelistym dachem. Fundamenty miał solidne, murowane i wznosił się na grubych betonowych palach, które chroniły przed deszczem i powodzią, a także gryzoniami i gadami. Na najniższym poziomie w cieniu rozłożyły się domowe zwierzęta; pełno tam było kur, kaczek, kóz, psów, zmieściły się nawet dwa bawoły. Z boku ustawiono narzędzia i maszyny rolnicze, a także parę rowerów i motorów. Na częściowo odkrytej werandzie siedziały kobiety w otoczeniu gromadki dzieciaków. Niektóre wieśniaczki przebierały ziarna kawy, inne tkwały *ikat*²⁸, lecz większość była zajęta wyplataniem koszy i małych domowych sprzętów z *rotangu*²⁹. Skupiły się one kręgiem wokół jednej z nich, która coś żywo opowiadała. Co chwila słyszało się wybuch śmiechu. Fatuma z zazdrością spojrzała na nielubianą krewniaczkę, bo to właśnie ona była liderką grupy. W ciągu ostatnich ośmiu lat sporo utyla, zmieniła uczesanie, a strój miejski zamieniła na tradycyjny *adatowy*³⁰. Jej obfity biust i ramiona zakrywała cienka bluzka z długimi rękawami przewiązana paskiem, a nogi zasłaniał długi wzorzysty sarong. Jednak pomimo wszystkich tych zmian poznałaby ją na końcu świata. Była bardzo podobna do jej męża, bowiem geny ich holenderskiego ojca prawie całkowicie zdominowały indonezyjskie. Kobieta miała jasną karnację, pociągłe rysy z regularnym prostym nosem i kręcone grube brązowe włosy, a jedyne, co przekazała jej rodzicielka, to lekko skośne, typowo azjatyckie oczy. Stara przewodniczka w pokłonach pokonała parę stopni i stanęła wśród zebranych na tarasie. W głębokim *wai* tłumaczyła coś swojej pani; ta po paru słowach delikatnie odsunęła ją i wyszła na spotkanie gościom. Zaciskała wargi i patrzyła na przyjezdną twardym wzrokiem. Po chwili wykrzywiła usta w sztuczny uśmiech, lecz jej oczy nadal pozostały zimne.

– Fatuma! Witaj w moich skromnych progach – powitała ją dumnie, lustrując przy tym od stóp do głów. – Co cię sprowadza na prowincję? – dogryzła, bo przecież miastowa paniusia nigdy nie chciała do niej przyjechać nawet z krótką wizytą.

– W Dżakarcie rozpoczęły się rozruchy – wyznała krótko Fatuma, przytulając przy tym córkę do boku. – Musiałyśmy uciekać – rzekła śmiertelnie poważnym tonem, co wywołało wśród zebranych szmer. Kobiety zaczęły spoglądać jedna na drugą, szeptać między sobą i nerwowo się rozglądać.

– Pomimo tego, że żyjemy na wsi, wiemy, co się dzieje w stolicy – oświadczyła Nuri, kierując te słowa nie tyle do swojego gościa, ile do wszystkich zebranych. – Komuniści dopuścili się straszliwych zbrodni, bestialsko zabijając naszych najlepszych generałów, więc wojsko i patrioci, nie chcąc dopuścić do dalszych mordów na indonezyjskim narodzie, musieli ukrócić tę chorą wywrotową działalność. Wsadzenie do więzienia czerwonych komuchów i ich wściekłych bab to jedyne rozwiązanie, żeby zapanować nad sytuacją w kraju.

– Nie wiesz, co mówisz! – Fatuma usiłowała odparować zarzuty.

– Antykomunistyczne upuszczenie krwi stało się koniecznością! – Nuri wykrzyknęła

slogan głoszony przez generała Suharto³¹ i jego popleczników.

– Czy palenie domostw, zabijanie niewinnych obywateli podczas pokojowych manifestacji, torturowanie nastolatków i skrucenie karku siedmioletniemu dziecku uważasz za słuszną drogę?! – Fatuma nie wytrzymała i wrzasnęła histerycznym głosem, po czym zalała się niekontrolowanym, długo hamowanym strumieniem łez. Meila, słysząc słowa matki i widząc ją w takim stanie, dołączyła do niej w głośnym zawodzeniu.

Wieśniaczki w popłochu zerwały się na równe nogi i wbiegły do budynku, Nuri zaś podeszła do krewniaczek, chwyciła je za ręce i pociągnęła przez plac do drugiego pod względem wielkości domu w *kampungu*. Wspięły się po paru stopniach, zrzuciły klapki na ganku i weszły do środka, gdzie panował miły chłód i półmrok.

– Spalili nasz rodzinny dom? – zapytała martwym głosem, opadając ciężko na duży rattanowy fotel. – Naszą kolonialną willę po ojcu? – Wskazała bratowej sofę, zachęcając ją do odpoczynku.

Meila, wycierając nos w palce, przysiadła w nogach matki i patrzyła wielkimi oczami to na jedną, to na drugą kobietę.

– Tak. – Już spokojnie odpowiedziała Fatuma.

– Zabili Hamzę?! – Nuri podniosła głos.

– Tak.

– Toż to czysty jak łza i na dokładkę chory dzieciak. Mój Boże!

– Właśnie. Na tym polega ta czystka. Nie patrz ani na wiek, ani na to, czy ktoś jest winny.

– Kogo zabili w czasie manifestacji? Tylko mi nie mów... – Jęknęła słabo gospodyni.

– Tatę, proszę cioci – włączyła się Meila. – Po tym, jak żołnierz uderzył go kolbą, nie mógł już się ruszyć.

Nuri zakryła twarz rękami. Jej ciałem wstrząsały spazmy. Zapadła martwa cisza.

– A Jusuf? Żyje? – w końcu pełna nadziei zapytała o drugiego brata.

– Ledwo dowłókł się do domu. Był w strasznym stanie. Nie mógł się ruszać. Chyba połamali mu zebra. – Fatuma rzucała krótkie zdania, które trafiały w serce Nuri jak kule. – Zanim podłożyli ogień pod nasz dom, chyba zabrali go z sobą.

– Miejmy nadzieję, że nic nie powie... Na nikogo nie wskaże, bo to przecież odważny młodzieniec. – Gospodyni zmarszczyła brwi i zaniepokojona spojrzała bratowej prosto w oczy.

– Nie sądzę, żeby mógł komuś coś opisywać czy odpowiadać na pytania. On ledwo mówił. Lepiej dla niego byłoby od razu umrzeć, zresztą już był prawie trupem.

– Może wspomnieć o naszej osadzie. – Nuri naprawdę się martwiła, bo po słowach krewniaczki i sloganach, które przynosił do domu jej mąż, zdała sobie nagle sprawę, że fala pożogi zbierze potężne żniwo. – Niewykluczone, że opisze dojazd. – Aż przygryzła usta ze strachu.

– Jakim sposobem? Przecież w takim stanie nie da rady przypomnieć sobie drogi. Często tutaj nie bywał...

– Jakże się mylisz! – Przerwała jej z dużą satysfakcją. – Nie dość że przyjeżdżał z twoim mężem przynajmniej raz w miesiącu, to jeszcze parokrotnie spędzał u nas wakacje. Bardzo mu się tu podobało.

– Boże! – wykrzyknęła Fatuma, zrywając się na równe nogi. – Co to będzie?!

– Nie panikujmy. – Realistka Nuri nie poddawała się hysterii. – Przecież mój mąż jest znanym nacjonalistą i zagorzałym zwolennikiem generała Suharto. Wszyscy o tym wiedzą! Nikt nie da wiary, że mógł być z wami powiązany. Nikt! Spokojnie możecie się u nas zatrzymać. – Na koniec podjęła odważną decyzję.

– To dobrze. – Fatuma westchnęła z ulgą, bo zdecydowanie wolała zostać tutaj, niż jechać do znienawidzonej rodziny w islamskim Tugu.

– Oby tylko Jusuf wytrzymał! Oby przeżył! – Serce siostry krwawiło. – Może znajdziemy jakieś dojsćia, żeby go wyciągnąć? Mój Jawito nie pozwoli mu zginąć! – Była pewna swego mężczyzny. – A wy nic się nie bójcie, bo jesteście w dobrych rękach i wśród życzliwych wam ludzi. – Po raz pierwszy od przyjazdu krewniaczek serdecznie się do nich zwróciła, a następnie ze współczuciem wzięła je w ramiona.

Jusuf nie czuł swojego ciała, nic go nie obchodziło i co chwila zapadał w nicość. Kiedy ciężarówka zatrzymała się, otworzono pakę i więźniowie jeden po drugim zeskakiwali na nierówny, podziurawiony asfalt. Wszyscy rozglądali się niepewnie, ale uspokajał ich fakt, że nadal byli w Dżakarcie. Przed nimi stał duży piętrowy budynek ogrodzony wysokim metalowym płotem.

– Ruszać się! Wchodzić do środka! Nie opierdalać się! – Wrzaski żołnierzy były wzmacniane razami i kopniakami. – A ten co? Zasnął gnój jeden?! – Wojak rzucił okiem do środka wozu i wściekł się, widząc leżącego na podłodze Jusufa. Chłopiec był nieprzytomny i wyglądał, jakby już nie żył. – Po co przywieźliście nam trupa?! Mało mamy swoich? – kpiarsko zapytał koleś z transportu.

– Dawaj go! To jakiś ważny! Trza jeszcze coś z niego wyciągnąć – poinformował jeden z oprawców, obecnych podczas plądrowania domu.

– Taki gówniarz i ważny? – Starszy i doświadczony żołdak nie mógł uwierzyć, ale nie dyskutował. Wygiął tylko protekcjonalnie wargi i nieznacznie się uśmiechnął. – No, skoro tak mówicie... Zresztą nasz spec ze swoją brygadą i z niemowlaka potrafi wydobyć zeznania. – Zarechotał rubasznie, po czym chwycił młokosa za fraki, podniósł bez trudu i oddał w ręce czekających już na swoją ofiarę gangsterów.

Jusuf na chwilę się ocknął, otworzył przekrwione oczy i powiódł błędnym wzrokiem po terenie. Podwórzec był wielki, z jednej strony, przy wysokim betonowym murze, zasłany masą krwawiących ciał ofiar. Następna grupa skazańców była właśnie ustawiana w szeregu. Wśród pojmanych znajdowało się też parę kobiet. Jednej z nich powieszono na szyi tarczę, wyglądającą na strzelniczą z wyrysowanym sierpem i młotem. Przerażone ofiary jęczały, błagając o litość, płakały rzewnymi łzami, a z przerwania uginały im się kolana. Niektórzy ze strachu sikali pod siebie. Nikt jednak nie uciekał, nikt nawet nie wykonał kroku, by się ratować. Wszyscy mieli związane na plecach ręce i połączeni byli z sobą jednym długim sznurem. Rozległy się strzały i zabici padli na ziemię, jak ścięty łan zboża. Egzekutorzy sprawdzali, czy dobrze wykonali swoją robotę, w dwóch przypadkach zamachnęli się jeszcze karabinem lub maczetą i poprawili dzieło, dla pewności masakrując leżące ciała. Jusufowi zrobiło się niedobrze. Słodki zapach krwi pomieszany z odorem fekalii wisi w powietrzu.

Podjechała kolejna ciężarówka z następną „dostawą”, lecz chłopak nie widział już przybyłych, bo został brutalnie wciągnięty do środka. Schody oświetlała tylko jedna goła żarówka wisząca na półpiętrze. Betonowa podłoga i ściany były pobrudzone plamami zaschniętej, ciemnobordowej posoki. Smród był nie do wytrzymania ze względu na upał i wilgoć panujące w budynku. Na piętrze utrapionego chłopaka owiało rześkie powietrze wpadające na klatkę schodową przez otwarte drzwi na taras. Kątem oka Jusuf zauważył, że tam również leżą nieruchome ciała. *Bogu dzięki, ja nie jestem do rozwałki*, pocieszał się w duchu, bo tak jak każdy kurczowo trzymał się życia.

Wprowadzono go do niewielkiego pokoju, w którym znajdowały się jedynie

kwadratowy drewniany, tekowy stół i dwa krzesła. Na parapecie stał adapter, a wysoki mężczyzna w czarnym eleganckim garniturze i kapeluszu z szerokim rondem właśnie zmieniał płytę.

– Co my tu mamy? – zapytał, tak jakby ktoś przyniósł mu prezent albo smakołyk, szczerząc przy tym nierówne, poślizgnięte od nikotyny zęby.

– Jusuf van der coś tam. – Jego pomocnicy wyglądali na wyjątkowe prymitywy, choć ubrani byli w same zagraniczne markowe ciuchy.

– Jak się nazywamy? – Szef pochylił się nad ledwo siedzącym nastolatkiem i dmuchnął mu prosto w nos skiśniętym odorem nikotyny i przetrawionego alkoholu.

– Nazywam się Jusuf van der Berg – odpowiedział chłopak dumnie, lecz z wielkim trudem z powodu opuchniętych i pokaleczonych warg.

– Aaa! Hrabia? Kolonialista? – Wielki drab rzucił okiem do kajetu leżącego po drugiej stronie stołu i z zainteresowaniem, a zarazem zdziwieniem na twarzy coś w nim czytał. – Azjatycko-holenderski kolonialista i komunista w jednym! – Wybuchnął śmiechem, klepiąc się z zadowolenia po chudym tyłku, jednak jego czarne jak noc, puste, na wpół przykryte napuchniętymi powiekami oczy nie wyrażały żadnych emocji, a już na pewno nie zdradzały najmniejszych oznak wesołości. – A gdzie podziewa się braciszek jaśnie paniczyka? – Bandzior przeszedł do interesujących go konkretów.

– Już zdążyliście go zabić – syknął Jusuf przez zaciśnięte ze złości zęby.

– Pyskujemy?! – Oprawca jednym ruchem zerwał koszulę z przesłuchiwanego. Okiem znawcy spojrzął na jego wcześniejsze rany i połamania. – Boli? – Niewielką deseczką dotknął miejsca, gdzie widać było wylewy i połamane żebra. – A chcesz, żeby bolało bardziej?

– Mówię wam, że brata już nie posiadam – wycharczał młody. – Nie macie co ze mnie wyciągnąć. – Pochylił się i ledwo oddychał.

– A bratowa? Ta komunistyczna suka, która tak samo uwielbia wylizywać facetom jaja, jak je obcinać! – Przy tych słowach, wypowiedzianych podniesionym głosem, mężczyzna otwartą dłonią uderzył Jusufa w policzek. Chłopak spadł z krzesła, lecz zaraz został na niego znowu posadzony. – Gdzie ona jest?! Gadaj!

– Nie wiem – wymamrotał. – Zapewne leży już gdzieś z kulką w głowie – podsumował smutno.

– Na kulkę trzeba zasłużyć. – Napastnik gryzł wargi, głęboko się nad czymś zastanawiając. – No i co teraz? – zapytał koleś, ale oni tylko wzruszyli obojętnie ramionami. – Muszę pomyśleć. – Podeszedł do adaptera i włączył płytę z latynoską muzyką. – Lubisz salsę? – zapytał, jakby prowadził z Jusufem towarzyską rozmowę. – Wiesz, jak to się tańczy? – Młokos podniósł na niego umęczony wzrok, z niedowierzaniem obserwując mężczyznę wykonującego kroki w takt muzyki. – Lubię takie rytmy – wyznał psychol, zapalając skręta, którego zapach w niczym nie przypominał zwykłego papierosa czy indonezyjskiego *kreteku*³², tylko raczej marihuanę. – Gdzie mieszka jej rodzina? – Opryszek prawdopodobnie pod wpływem narkotyku doznał olśnienia i kontynuował śledztwo. – Tylko nie mów, że nie wiesz!

– Czyja rodzina? – Jusuf nie wiedział, o co chodzi, bo słyszał już jedynie nasilający się szum.

– Tej dziwki Fatumy! – wykrzyknął kat i już podniósł rękę do ciosu, ale opanował się, widząc, że mogłoby to zakończyć życie chłopaka, przez co jego śledztwo utknęłoby w martwym punkcie.

– Gdzieś w górach Puncak. Przysięgam! – Jusuf mówił szybko, bo widział groźne błyski w oczach trzech zbirów, którzy byli już zmęczeni jałową dyskusją i zapewne nudziło ich

przesłuchiwanie bez przemocy. – Nie mam pojęcia, w którym mieście, miasteczku czy *kampungu*. Nigdy w życiu nikt z nas tam nie był. Przyjechała do Dżakarty i tutaj została.

– Jak to? Nie pojechała ani razu w odwiedziny do mamusi? Do tatusia? Babcy, siostry, kuzynki?! – Wściekły szef darł się chłopcu prosto do ucha. Nagle chwycił jego rękę w nadgarstku i jednym ruchem ją złamał. Jusuf zawył, po policzkach popłynęły mu łzy.

– Nie! Nie pojechała! – wykrzyknął rozpaczliwie. – Za młodu uciekła od swoich, więc...

– Taka suka! – Zadowolony rzezimieszek zachichotał, lecz po chwili zmarkotniał, widząc, że jego dochodzenie nie posunęło się ani na krok. – Masz jeszcze jakąś rodzinę? Do kogo mogła zwrócić się o pomoc?

– Z nikim nie utrzymywała żadnych kontaktów. Żyła dla domu, dla swoich dzieci i męża. – Jusuf nie potrafił dobrze blefować, a jego zmieszanie od razu zostało zauważone. – Po co wam ona? Po co wam głupia komunistka? – Pytaniami chciał odwrócić uwagę oprawców, żeby nie wychwycili jego chwili wahania, ale od razu poczuł na plecach mocne uderzenie szeroką deską. Krzyknął przeraźliwie, zakaszłał, zadławił się, a z ust chlusnęła mu krew. W pionie trzymał go tylko mocny chwyt za włosy na potylicy.

– Familia van der Berg! Twój krewniacy zatem! – Gangster przybliżył twarz do twarzy Jusufa. – Rodzice, rodzeństwo... twój brat miał ciebie i kogo jeszcze?

– Nikogo... – słabo rzeźił chłopak.

– Skróć sobie i nam cierpienia, młody – łagodnie doradził sadysta, widząc, że nastolatek ledwo zipie. Obawiał się, że za chwilę wyda ostatnie tchnienie. Połamane żebra przebiły już płuca i zapewne uszkodziły też serce. – Jeśli nie powiesz, to będziemy cię ożywiać i męczyć tak jeszcze godzinami. – Spróbował ostatecznie zastraszyć torturowanego, kładąc na stole strzykawkę z jakąś miksturą.

– Moja siostra Nurijah mieszka w takim *kampungu* niedaleko Dżakarty...

– W jakim?! – ryknął gangster jak dzikie zwierzę.

– Nazywa się Wodo... – wyszeptał Jusuf i z tymi słowami na ustach, unikając dalszego bólu i męczarni, które były ponad jego siły i ponad jego młodzieńczą odporność, wyzionął ducha, uduszony drutem przez zadowolonego z siebie oprawcę.

Tego roku pora deszczowa przyszła z falą monsunów o niespotykanej sile, jakby chciały one zmieść umęczony kraj z powierzchni ziemi. Całymi nocami nad terytorium Indonezji przewalały się burze, ogłuszając huraganem grzmotów, których błyskawice przecinały niebo aż po horyzont – czasami były one jedynym światłem dla miast i wsi, w których prąd częściej był wyłączany niż włączany. Błota zalały pola ryżowe, drogi i *kampungy*. Powódź ogarnęła również Dżakartę, zmywając z ulic krew ofiar i zakrywając ślady zbrodni brudem wypływającym z wezbranej rzeki Ciliwung i przepełnionych kanałów. Pola śmierci pokrył szlam w kolorze rdzy, a ciała zabitych komunistów gniły w tysiącach miejsc ukrytych przed ludzkim wzrokiem.

Fatuma i Meila prawie zapomniały o okropnościach, które dotknęły ich rodzinę kilka miesięcy temu. Całkiem dobrze wtopiły się w środowisko *kampungu* i zostały zaakceptowane przez wiejską społeczność. Fatuma z zabranych z sobą składek partyjnych sfinansowała zakup starego, ale całkiem sporego busa i dzieci nie musiały już dojeżdżać do szkoły małymi *bemo*³³, w których gniotły się niemiłosiernie i które często grzęzły w mule na wiejskich drogach. Podjęła też pracę jako nauczycielka, a taka funkcja zawsze wiązała się z szacunkiem i poważaniem. Dodatkowo pomagała swojej szwagierce i uczyła starszych ludzi pisać, czytać

i liczyć oraz prowadziła zajęcia dla maluchów, którym opowiadała o wspaniałej historii i tradycji Indonezji. Wszyscy ją lubili i zaczęli traktować prawie na równi z Nuriyah, która – jakkolwiek by było – miała męża *bupatiego*. O względy miastowej zaczął zabiegać lokalny przystojniak, którego do tej pory żadna z wiejskich dziewczyn nie zdołała usidlić. Szczęśliwa Meila odzyskała miłość matki, która teraz wszystkie swoje uczucia przelała na córkę.

Na razie mieszkały wraz z rodziną, bowiem ich dom był ogromny i bardzo komfortowy jak na lokalne warunki, ale mężczyźni z wioski zobowiązali się wybudować dla nich ich własną chatę na palach, gdy tylko ustąpi pora deszczowa. Jednak większość dnia matka i córka spędzały w domu społecznym, największym budynku w osadzie, gdzie przesiadywały z kobietami, uczyły się pleść koszyki, opowiadały o życiu w mieście i poznawały lokalną mentalność i zwyczaje. Meila, będąc bystrym i ruchliwym dzieckiem, szybko znalazła sobie przyjaciółki, w tym swoją kuzynkę równolatkę, i przemierzała wraz z nimi okoliczne leśne dróżki, odkrywała tajemnice, ukryte buddyjskie świątynie, a nawet plac ze starymi megalitami. Dziewczynki uwielbiały przesiadywać tam o zmierzchu, opowiadając niewtajemniczonej mieszczce o duszach zmarłych, które od wieków mieszkają w tych starożytnych kamieniach. Ze strachem wychodziły na najwyższy z nich, bo z jego wierzchołka widziały całą swoją wioskę wraz z placem i wszystkimi domostwami.

Kiedy pod koniec lutego pora deszczowa dobiegała końca, drogi obeschły, słońce coraz dłużej gościło na niebie, ciepły wiatr zaś przeganiał resztki czarnych chmur, Fatuma postanowiła wtajemniczyć córkę w swoje plany:

– Wiesz, kochanie – zaczęła nieśmiało, kąpiąc dziewczynkę pod prysznicem, który tylko oni mieli w domu, bowiem cała wieś korzystała z publicznych łaźni wykorzystujących wodę bezpośrednio z głębinowych studni – jest tutaj taki miły pan... – Zawiesiła głos, speszona.

– Wujek Jawito? – spytała mała.

– Nie. Jawito jest mężem cioci.

– To który inny jest miły?

– Taki jeden, co zawozi dzieci busem do szkoły. I mnie przy okazji też.

– Aha! Ten kierowca! Wygląda jak amant filmowy. – Stwierdziła mała kokietka, rumieniąc się po same uszy. – Wszystkie moje koleżanki się w nim kochają! – Na te słowa Fatuma wybuchnęła beztróskim śmiechem.

– Bo widzisz, ten pan i ja myślimy o tym, czy nie założyć wspólnego domu – zaanonsowała oględnie.

– A ja będę z wami mieszkać czy zostanę z wujostwem? – Meila trochę się zaniepokoiła.

– Oczywiście, że będziesz mieszkać z nami, kochanie.

– Fajnie! Bardzo fajnie! Super! – Dziewczynce nieco zrzędła mina, gdy przypomniała sobie kochanego papę, ale jak to dziecko, nie smuciła się długo i nowe uczucia zdominowały te stare, już prawie zapomniane. – A będziecie mieć dzieci? – wypaliła, a matka tylko delikatnie się zaczerwieniła i spuściła oczy.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy. Nie od razu...

– Wiem, wiem. Ciocia Nuri już całe wieki ma nowe dziecko w brzuchu i wygląda, jakby miała zaraz pęknąć. – Meila, szcękając zębami, prędko się wytarła, włożyła koszulę nocną, owinęła się barwnym sztywnym *ikatem* i pognęła do ich pokoju, który znajdował się na tyłach domostwa. – Wrócisz dzisiaj wcześniej czy znowu kiedy koguty będą piałły? – zapytała matkę, stojąc jeszcze w drzwiach.

– Za chwilę będę. – Fatuma narzuciła na siebie gruby wełniany szal, bowiem noce były jeszcze chłodne, i wybiegła w ciemność.

Jej romans z wiejskim przystojniakiem trwał już od dwóch miesięcy, ale ostatnio przerodził się w czystą namiętność i pasję. Ten mężczyzna kochał ją ponad życie i widział w niej wymarzoną jaśnie panią, bez reszty wielbiąc ją w każdym calu, akceptując wszystko, co zrobiła, powiedziała czy zdecydowała. W tym związku Fatuma czuła się jak królowa, a nie biedny Kopciuszek przygarnięty przez bogatą rodzinę, przed którą ciągle musiała chylić czoło i spełniać jej oczekiwania. Przyznawała sama przed sobą, że chyba po raz pierwszy w życiu była naprawdę szczęśliwa. A ponadto ten kobieciarz znał tyle sposobów i sztuczek, żeby rozgrzać kobietę i ją zadowolić, że Fatuma sama zaczęła tracić dla niego rozum i serce; spędzała w jego domu długie deszczowe noce, podczas których ich młode ciała ogrzewały się gorącą pożądania, zaspokajały zmysły i realizowały najśmielsze seksualne marzenia. Jednak dzisiaj w serce kobiety wkradł się jakiś nieuzasadniony lęk. Nieznane przecucie kazało jej pożegnać się z niezadowolonym kochankiem tuż po północy i pognać do córki, która smacznie spała w domu krewniaków na drugim końcu osady.

Ledwo wemknęła się do środka tylnymi drzwiami prowadzącymi z małego ganeczku bezpośrednio do ich pokoju, kiedy ciszę *kampungu* zakłócił ryk silników. Pognała na bosaka na frontowy taras wychodzący na główny plac i z przerażenia wytrzeszczyła oczy, nie mogąc złapać tchu. Na słabo oświetlony majdan wjechały dwie ciężarówki, dżip i parę głośno rżących osobowych aut. Kiedy Fatuma zobaczyła, że furgon ma wojskowe nakrapiane plandeki, a na dachu dżipa w świetle księżyca połyskuje karabin maszynowy, wpadła jak burza do pokoju, porwała Meilę na ręce, chwyciła torebkę z paroma groszami, które jej pozostały, i wybiegła z domu, kierując się prosto do pobliskiego bambusowego lasu.

– Mamusiu, co się dzieje? – jęknęła Meila, próbując wyrwać się z mocnych ramion spanikowanej kobiety. – Mamusiu! Łamiesz mi kości! Co się stało?!

– To znowu oni – wyszeptła Fatuma, stawiając córkę na wilgotnym leśnym poszyciu. – To oni! – wykrzyknęła, lecz od razu zakryła usta dłonią.

– Jacy oni? – Mała naciągnęła na siebie ciepłe *ikatowe* okrycie. – Kto cię tak przestraszył?

– Wojsko! – syknęła przez zęby kobieta. – Ci żołdacy, mordercy twojego ojca, brata i zapewne też Jusufa! – Nie przebierała w słowach, chcąc uświadomić córce czyhające na niebezpieczeństwo.

– Chodź ze mną. – Z tymi słowy Meila błyskawicznie odgoniła od siebie resztki snu, mocno chwyciła matkę za rękę i pociągnęła w sobie tylko znanym kierunku.

– Gdzie chcesz iść? W lesie też jest niebezpiecznie. – Fatuma zapała się gołymi skostniałymi z zimna stopami.

– Mamo! Zaufaj mi. Znam tę dżunglę jak własną kieszeń, a na pewno lepiej niż ty. Już raz w Dżakarcie zaprowadziłam cię do mojej kryjówki i dzięki temu jeszcze żyjemy. Uwierz mi! I tym razem się uda! – przekonywała jak dorosła osoba.

Fatuma pobiegła za córką, lecz serce jej drżało z niepokoju o rodzinę, ukochanego i wszystkich niewinnych i bezbronnych mieszkańców *kampungu*. Po chwili z ciemności dobiegły ich dźwięki pierwszych strzałów i dalekie krzyki. Meila szarpnęła matkę za sarong i skierowała na boczną wąską ścieżkę, która jakby zbliżała je do osady, zamiast od niej oddalać.

Po omacku znalazły największy megalit z wgłębieniem na wierzchołku. Było ono kryjówką przed niepożądanym okiem, a zarazem mogło służyć za świetny taras widokowy. Kiedy wdrapały się na górę, pojawiła się przed nimi panorama osiedla. Płonęły już pierwsze mieszkalne budynki, które najwidoczniej zajęły się od stojącego w ogniu domu społecznego. Ze starego mercedesa wysiadł wysoki Indonezyjczyk w ciemnym garniturze i kapeluszu

z szerokim rondem. Nawet o tak wczesnej godzinie trzymał fason.

– Ona musi mieszkać w tym największym domu! – gangster wykrzyknął do żołnierzy.
– W końcu panna van der Berg to nie byle kto, nawet jeśli związała się z naszym rodzimym chłopkiem. Wyciągać mi za wszarż całą tę parszywą komunistyczną rodzinę! Ruchy! – Poganiał młodzików w mundurach, którzy mieli nie więcej niż siedemnaście czy osiemnaście lat i panicznie bojąc się władczego opryszka, przestępowali tylko z nogi na nogę. – Kto daje mi do pomocy takich żółtodziobów?! – wściekał się. – Chcecie tu zostać na piknik czy na zawsze razem z mieszkańcami? – Dla przykładu wyjął zza pasa pistolet i strzelił do zszokowanej starej kobiety, która stała na jednym z ganków i nie wiedziała nawet, co się dzieje. Padła jak długa i już się nie podniosła. Młokosi, którzy najwyraźniej dostali odpowiednią dawkę motywacji, skoczyli ile sił w stronę najpiękniejszego domostwa.

– Panie! Panie! To jakieś nieporozumienie! Ja jestem Jawito, starosta tego okręgu i zagorzały zwolennik generała Suharto. Wszyscy o tym wiedzą! – Wyrwany ze snu korpulentny niewysoki mężczyzna mówił tubalnym głosem. Ubrany był tradycyjnie, zdążył nawet włożyć czarną welurową czapkę *pici*, jaką noszą nacjonałiści i muzułmanie. Tym atrybutem chciał dodać sobie powagi i dokładnie zaznaczyć swój status społeczny i polityczny.

– Ukrywacie u siebie komunistów! – rzucił oskarżenie przybyły i niespodziewanie uderzył lokalnego patriotę w twarz. – Gdzie twoja żona?! Gdzie szwagierka?! Gdzie Fatuma?! Daj nam paniusię z Dżakarty, to może jeszcze zdołasz ocalić siebie i wioskę. – Spróbował handlu wymiennego, ale Jawito, widząc, co się dzieje, zrozumiał, że wszyscy są już zgubieni.

Starzy żołnierze wylapywali prowincjonalne młódki, gwałcili je na oczach wszystkich, a później zabijali jednym sprawnym uderzeniem karabinu, pistoletu, kamienia czy dechy – co im tylko wpadło w ręce. Cywilne brygady paramilitarne, składające się z wyrzutków społeczeństwa, morderców, więźniów, gangsterów, członków mafii lub innych degeneratów, zganiały wszystkich pozostałych przy życiu mieszkańców do dużej szopy, w której mieściła się fabryka *rotangu*. Inni pakowali na ciężarówkę dobytek: inwentarz, maszyny, rattanowe meble, kupony *ikatu* i batik. Worki z ryżem i kawą cieszyły się największym powodzeniem. Na ganek największego domu w *kampungu* wywleczono postawną dumną kobietę. Zdołała jeszcze na krótką chwilę chwycić za rękę swojego dobrego, kochanego męża, kiedy została powalona silnym kopnięciem w wielki brzemienny brzuch.

– Nurijah! – Jawito pochylił się nad nią i z przerażeniem patrzył na spoconą, zwijającą się z bólu żonę.

– Powiecie, gdzie jest ta suka Fatuma, czy nie?! – Kryminalista chwycił za włosy zrozpaczonego mężczyznę, założył mu na gardło pętlę z plastikowej żyłki i zaczął dusić, przybliżając jego nabrzmiące oblicze do leżącej. – Daję wam ostatnią szansę!

– W domu! W naszym domu! Tylne wejście! – krzyknęła zrozpaczona Nuri.

– W środku nie ma już nikogo. – Stojący obok młody żołnierz z niezdrową ciekawością obserwował poczynania sadysty, który jednym wprawnym ruchem pozbawił życia *bupatiego*, a następnie podniósł za włosy ciężarną i osobiście wepchnął ją do drewnianej szopy, którą następnie zaryglował.

– Podpalić! – wydał rozkaz. – Nie obijać się! Polewać benzyną! – Jeszcze na chwilę wskoczył do pokoju, który zamieszkiwała przez kilka szczęśliwych miesięcy Fatuma z córką, lecz choć przewrócił wszystko do góry nogami, niczego nie znalazł. – Spalić wszystko, a potem zrównać z ziemią! – wykrzyknął na pożegnanie, wsiadając do samochodu. – Żeby mi śladu po tej komunistycznej zgniliznie nie zostało!

Fatuma z Meilą widziały całe zajście ze szczegółami, bowiem z miejsca, w którym siedziały, wieś rozpościerała się przed nimi jak na dłoni. Lekkie wzniesienie terenu i wysokość

megalitu stworzyły im ku temu idealne warunki. Czuli się jak w starożytnym teatrum, gdzie wystawiano okrutną tragedię, a one były jedynie biernymi widzami. Żadna nie zapłakała, żadna się nie odezwała. Fatuma nawet nie zasłoniła córce oczu, bo całą uwagę skupiła na wychwytywaniu wzrokiem bliskich osób, które w bestialski sposób, jedna za drugą, zabijano. W pełni zdawała sobie sprawę, że to przez nią giną, bowiem do jej uszu doleciały wielokrotnie wykrzykiwane przez oprawców jej imię i nazwisko. Sprowadziła nieszczęście na bezbronnych ludzi i to ona jest winna ich śmierci. *Niech Bóg mnie przeklnie! Zabij mnie, Panie, gromem z jasnego nieba!*, błagała tego, w którego nie wierzyła. *Zabij mnie!*, krzyczała w duchu. Jednak jej prośba nie została wysłuchana.

Podczas tej krótkiej chwili, w której stała się świadkiem kaźni, w ciągu jednej nocy z młodej dumnej damy przeistoczyła się w posiwiąłą, przygarbioną nędzarkę, która nie tyle niczego nie miała, ile już niczego od życia nie chciała. Gdy ogień zaczął wygasać, a słodki dym ze spalonych ciał rozwiął poranny wiatr, Fatuma obudziła córkę, śpiącą jak kociak w jej nogach, i razem podkraśli się do wioski. Zbliżyły się na bezpieczną odległość, lecz nie widząc wśród zgliszczy żadnych oznak życia, obróciły się do swojej przeszłości plecami i znów ruszyły przed siebie.

1 *Ibu* (indonezyjski) – pani; matka.

2 *Putri* (indonezyjski) – córka.

3 *Warung* (indonezyjski) – mały rodzinny biznes, restauracja, kawiarnia, sklep; często wózek na kółkach oferujący sprzedaż owoców oraz dań kuchni azjatyckiej. W Indonezji, Malezji i Tajlandii nieodzowna część życia i element kultury.

4 *Bule* (indonezyjski slang) – biały cudzoziemiec; albinos; zwrot kolokwialny.

5 *Ojek* (indonezyjski) – motor służący za taksówkę na jednego pasażera.

6 PKI (Partai Komunis Indonesia) – Komunistyczna Partia Indonezji założona w 1921 r.

7 Ahmed Sukarno (1901–1970) – pierwszy prezydent niepodległej Indonezji. Syn jawajskiego nauczyciela. Był przywódcą indonezyjskiego ruchu niepodległościowego. Po odzyskaniu wolności 17 sierpnia 1945 r. ogłosił powstanie Republiki Indonezji. Ustanowił system polityczny, który nazwał demokracją sterowaną. Polegał on na skupieniu w jego rękach większości władzy wykonawczej przy utrzymywaniu skłóconego i rozbitego wewnątrz parlamentu. W czasie swoich rządów coraz bardziej polegał na armii i Komunistycznej Partii Indonezji (PKI). Ustanowił rządową kontrolę nad mediami oraz prawo dyskryminujące Chińczyków zamieszkujących Indonezję. Doszło do zwiększenia pomocy dla Indonezji z krajów bloku wschodniego. Od 1966 r. aż do śmierci był przetrzymywany w areszcie domowym.

8 Medan Merdeka (indonezyjski) – plac Niepodległości. Nazwa nadana przez Sukarno w 1949 r. Ma powierzchnię 1 km² i z przyległościami jest uważany za największy plac na świecie.

9 Muhammadiyah – reformatorska organizacja muzułmańska założona w 1912 r.; z czasem przekształcona w silną islamską partię (dzisiaj liczy 29 mln członków).

10 PNI (Partai Nasional Indonesia) – Indonezyjska Partia Narodowa założona w 1928 r.

11 *Wayang* (indonezyjski) – kukielka w jawajskim i balijskim teatrze cieni; teatr cieni.

12 Puncak – wym. punciak.

13 *Wai* (tajski, wym. uaj) – buddyjski tradycyjny ukłon; złączenie na wysokości piersi dłoni i przybliżenie do ich palców czoła; stanowi przywitanie, pożegnanie, podziękowanie, przeprosiny; charakterystyczny dla Tajlandii, ale obowiązujący również w innych kulturach azjatyckich, np. indonezyjskiej.

14 *Sirsak* – flaszowiec miękkiociernisty rodzący owoce o specyficznym smaku; pochodzi

z Ameryki Środkowej i Antyli.

15 *Becak* (indonezyjski, wym. beciak) – riksza z napędem rowerowym.

16 *Bajaj* (indonezyjski, wym. badżaj) – 3-kołowa riksza z motorem.

17 *Tidak* (indonezyjski) – nie.

18 GERWANI (Gerakan Wanita Indonesia) – Ruch Kobiet Indonezyjskich zrzeszonych z PKI.

19 Sarong – rodzaj spódnicy upiętej z jednego płata tkaniny, noszonej przez kobiety i mężczyzn na Malajach.

20 *Jalan* (indonezyjski; wym. dżalan) – ulica.

21 *Pusat* (indonezyjski) – centrum; centralny.

22 Gerakan September Tigapuluh (GS30) – Ruch 30 Września. Grupa działaczy komunistycznych, którzy zostali oskarżeni o uprowadzenie, a następnie zabicie sześciu wysokich rangą generałów. Zostali aresztowani przez gen. Suharto, który następnie przejął władzę w Indonezji. Mówiąc o GS30, używano akronimu *Gestapu*, mającego budzić jednoznaczne skojarzenia. Panika i antykomunistyczna histeria utrzymywane były przez kolejne kilkadziesiąt lat. Ocenia się, że w czasie czystek zostało zamordowanych od 600 tys. do 2 mln osób (dane do tej pory nie są jednoznaczne).

23 *Selamat siang* (indonezyjski) – dzień dobry (przywitanie w godz. od 11.00 do 15.00).

24 *Terima kasih* (indonezyjski) – dziękuję.

25 *Sama-sama* (indonezyjski) – tak samo; odpowiedź na *terima kasih*: proszę bardzo.

26 *Bupati* (indonezyjski) – starosta.

27 *Kampung* (indonezyjski) – wieś, osada.

28 *Ikat* (indonezyjski – wiązanie) – specjalnie barwiony materiał; tradycyjnie nitki niefarbowane lub farbowane na inny kolor obwiązuje się łykiem.

29 *Rotang* (indonezyjski) – rattan; liana z rodziny palm o wiotkich pędach.

30 *Adat* (indonezyjski) – prawo zwyczajowe.

31 Generał Suharto (1921–2008) – indonezyjski polityk, wojskowy, wieloletni prezydent (trzydzieści dwa lata u władzy, sześć kadencji). Studiował na holenderskiej akademii wojskowej. Służył w holenderskiej armii kolonialnej, od 1945 r. dowodził partyzantką niepodległościową, a od 1949 r. piął się po szczeblach kariery w indonezyjskiej armii państwowej. Należał do frakcji prawicowej. W 1965 r. krwawo stłumił próbę przewrotu lewicowych wojskowych i komunistów oraz stopniowo odsunął od władzy prezydenta Sukarno. W latach 1966–1998 pełnił funkcję prezydenta, opierając się na władzy wojskowej i stosując do teorii „order baru” (nowy porządek). W 1998 r. został odsunięty od władzy w wyniku powszechnych protestów społecznych przeciwko łamaniu praw człowieka, korupcji oraz cenzurze. Spowodowane to było również kryzysem gospodarczym, który ogarnął Azję.

32 *Kretek* (indonezyjski) – papierosy o najwyższej zawartości nikotyny na świecie produkowane z mieszanki tytoniu, goździka i dodatków smakowych. Papierosy goździkowe zaczęły powstawać w Indonezji pod koniec XIX w. Palenie tytoniu Indonezyjczycy uważają za ich dziedzictwo narodowe i część kultury, a nie nałóg. Od chorób z tym związanych umiera ponad 200 tys. Indonezyjczyków rocznie.

33 *Bemo* (indonezyjski) – mały bus, publiczny lub prywatny.

ŻONA ZA WOREK RYŻU

Po godzinie jazdy Fatuma i Meila wysiadły z zatłoczonego małego *bemo*. Aby wygospodarować więcej miejsca, wymontowano z niego miękkie fotele, a wzdłuż okien ustawiono drewniane ławki. Pasażerowie siedzieli na dechach albo na ziemi pomiędzy warzywami, workami z ryżem, dwoma związanymi za nogi kurami i meczącą małą kózką.

Miastowej dziewczynce wszystko to strasznie się podobało, lecz jej matka od momentu ucieczki z Wodo nie przejawiała żadnych uczuć – jej twarz przypominała maskę, oczy były martwe, a powolne, tak nietypowe dla niej ruchy sprawiały wrażenie, jakby lunatykowała. Pomimo to kobieta zdawała sobie sprawę, gdzie jest i co się dookoła niej dzieje, choć odsuwała od siebie otaczającą ją rzeczywistość, spychając ją na daleki plan.

Doskonale pamiętała ścieżkę wiodącą na zbocze góry, gdzie rozpościerała się jej osada. Przez dziesięć długich lat niewiele się tu zmieniło, może jedynie przy głównej dojazdowej asfaltowej drodze stało trochę więcej *warungów* i pojawiło się parę nowych dużych murowanych budynków. Jednak trakt pod górę wiodący do jej rodzinnego domu nadal był ten sam; kamienisty, wąski, zaśmiecony, z cieknącą rurami źródlaną wodą pitną i kanałami po bokach. Znowu mijała bogate przysiółki, z dużymi zielonymi ogrodami, otoczone przez plantacje herbaty i z przyklejonymi małymi poletkami ryżu, lecz im wyżej, tym osady były mniejsze i biedniejsze. Z rzadka ogradzały je metalowe siatki czy mury, a częściej naturalny żywopłot z kłujących krzewów lub chaszczy. Przy drodze stały niskie solidne murowane domy, lecz do gospodarstwa rodziny Fatumy prowadziła wąska ścieżka między nimi. W głębi znajdowały się chaty wybudowane z tego, co mieszkańcy mogli znaleźć w swoim otoczeniu. Przeważnie stały one na drewnianych grubych palach, wbitych w skaliste podłoże, a ich ściany sklecono byle jak z drewna palmowego. Dachy były spadziste i w większości wykonane z palmowych gałęzi, lecz tu i ówdzie położono już na drewniany stelaż kawałki blachy falistej, lepiej zabezpieczającej przed deszczem niż naturalny materiał.

Fatuma omiotła teren smutnym wzrokiem. Po latach spędzonych w Dżakarcie wszystko wydawało jej się mniejsze i jeszcze uboższe. Po niewielkim placu biegały jak zawsze umorusane, rozwrzeszczane dzieci, bawiąc się z psami, kurami czy kozami, a kobiety na gankach zajęte były swoją pracą i nie zwracały na nie uwagi. Część z nich, zwłaszcza te starsze, siedziała beczynnie, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. Wyglądały na szczęśliwe, ale Meila stanęła jak wryta, kiedy dokładniej im się przyjrzała.

– Mamusiu, czemu te panie mają takie dziwne usta? – zapytała przestraszona i chwyciła matkę za spódnicę, zatrzymując ją w miejscu.

– To betel³⁴, moja droga – tłumaczyła Fatuma łagodnym głosem. – Nie ma co się bać, bo one po tym zielsku stają się łagodne jak baranki. No może z wyjątkiem twojej babci... – Zawiesiła głos i po raz pierwszy od tragicznych przeżyć wykwitł na jej policzkach delikatny rumieniec, a usta wykrzywił ironiczny uśmiešek.

– Wyglądają jak wampirzyce. – Córka podśmiechiwała się w kułak. – Jesteś pewna, że one nie piją krwi? – Nadal trochę się niepokoiła.

– Są wśród nich wyjątkowe bestie, ale nie dlatego, że wysysają ludzi czy zwierzęta. Takie po prostu mają charakterki. Nic się nie bój, ale lepiej nie odzywaj i nie reaguj na głupie zaczepki – ostrzegła Fatuma. – Musisz wiedzieć, że nie za bardzo mnie tutaj lubiano, a teraz to dopiero dadzą mi w kość.

– Kogo my tu widzimy? Któż to łaskawie zechciał przestąpić nasze wieśniacze progi? – Z jednego z tarasów rozległ się zachrypnięty podniesiony kobiecy głos.

– *Selamat sore*³⁵. – Fatuma uprzejmie odpowiedziała na atak, gnąc przy tym plecy w pokornym pokłonie. – Witaj, matko. – Ukłoniła się ponownie i zrobiła parę drobnych niepewnych kroczków naprzód.

– Ha! Chodźże no tutaj! Pokaż się! Pokaż, jak się dorobiłaś z daleka od domu i z daleka od rodziny – perorowała wściekłym tonem. – I czego się dorobiłaś?! – Spojrzała złym wzrokiem na małą Meilę, która ze strachu jakby stopniała w oczach.

– Matko... – Fatuma nie znalazła słów na swoje usprawiedliwienie. – Ja...

– Czyje to dziecko? – Starucha wskazała na przerażoną dziewczynkę, która była już bliska płaczu.

– Moje, matko – wyznała wyrodna córka. – Miałam męża, ale on niedawno zginął... – tłumaczyła oględnie, nie chcąc nic mówić o swoich ostatnich tragicznych przejściach ani o wcześniejszym cudownym życiu i przynależności do komunistycznej partii. Gdyby ci głęboko wierzący muzułmanie dowiedzieli się, że należała do stowarzyszenia, które odrzuca istnienie Boga, to błyskawicznie wymierzyliby jej ostateczną karę, która i tak zapewne wisiała nad nią już od dziesięciu lat. Fatuma liczyła na to, że fatwa³⁶ wygasa i teraz będzie mogła jakoś funkcjonować w swoim znieawidzonym klanie. Może nie tyle funkcjonować, ile przetrwać.

– Mąż ci zaginął? – kpiła bezwzględna kobieta. – Uciekł znaczy się?

– Nie zaginął, ale umarł.

– To musiał być stary. – Kontynuowała złośliwości, postanawiając od razu usadzić swoją dumną córkę. – Jako młódka uciekłaś z domu, żeby z własnej nieprzymuszonej woli wydać się za starucha?! – Wybuchnęła wrednym śmiechem, przy czym obróciła się do swoich kum, które siedziały z nią na tarasie. Słuchały one tej gwałtownej wymiany zdań jak zamurwane, nie odzywając się ani słowem, a jedynie podśmiechiwały się pod nosem, ukazując przy tym swoje nieliczne bordowoczerwone, starte od żucia zęby lub opuchnięte dziąsła. Czekwały na rozwój wypadków, licząc, że w końcu ktoś ożywi ich leniwą i nudną egzystencję.

– Był młody, ale niestety umarł i nie miałyśmy gdzie się podziać, więc przyszłyśmy do was – jednym tchem wyrzuciła z siebie Fatuma. – Przyjmiecie nas czy nie? – zapytała otwarcie, bo już dłużej nie mogła znieść tej niepewności. Jej matka złożyła jedynie usta w trąbkę i twardo patrzyła córce w oczy.

– Jak ten bękart ma na imię? – Wskazała palcem na wnuczkę. – Wygląda jak nie nasza. Co to za jasna skóra, wielgachny nos i jakie dziwne włosy! Jak u konia! – Swoimi słowami wywołała w towarzystwie atak wesołości.

– Nazywa się Meila – wyszeptała urażona matka. – Idź, kochanie, przywitaj się – zachęcała, delikatnie popychając córkę.

– Ile masz lat? – Serce babki topniało na widok urodziwej dziewczynki.

– Już sześć, proszę pani.

– Jesteś muzułmanką?

– Nie wiem, proszę pani.

– Siadaj tu koło mnie. – Stara poklepała miejsce na macie. – Jadłaś coś dzisiaj?

– Nie, proszę pani. – Mała była tak przerażona, że ledwo łapała oddech. Bała się, że wampirzyca zaraz rzuci się jej do szyi i wyssie z niej całą krew jedynym wielkim zębem, jaki pozostał jej w ustach. – Głodna jestem – dodała, zdobywając się jednak na odwagę.

– Na, jedz. – Kobieta podsunęła jej miskę z pokrojonym kwaśno-słodkim ananasem

i ciemnopomarańczową dojrzałą papają. – Podoba ci się tutaj? – nadal sondowała, ale już dużo łagodniej. Widać było po oczach, że rezolutna wnuczka przypadła jej do gustu. – Fajnie jest w górach?

– Bardzo. – Meila przełknęła ślinę i dla kurażu poprawiła się na siedzeniu.

– A co takiego ci się podoba?

– Powietrze takie czyste... W Dżakarcie nigdy takiego nie ma, bo *bajaje* straszliwie dymią i coraz więcej jest samochodów, motorów, ciężarówek i autobusów. Całe mnóstwo, proszę pani... – Rozkręcała się już na dobre, bo jak to dziecko lubiła być w centrum uwagi, a tutaj wszystkie stare i młode kobiety chłonęły każde jej słowo i aż wyciągały szyje, żeby lepiej ją słyszeć.

– Mów mi *nenek*³⁷, jak już tak ma być – zadowolona staruszka przerwała wnuczce. – Opowiadaj dalej, mała gadułka. Większość z nas nie była nigdzie poza naszym *kampungiem*, miasteczkiem Tugu czy regionalnym Bogor – zagadała już całkiem miło, lecz Fatumę wciąż lekceważyła, jakby jej tu wcale nie było.

– Dżakarta to wielkie miasto, są tam wysokie domy, duże place i białe wielkie urzędy – kontynuowała Meila. – My mieliśmy willę z ogrodem, ale ludzie mieszkają tam także nad kanałami.

Stara spojrzała wymownie na swoją pierworodną, ale się nie odezwała. Przez te wszystkie lata miała nadzieję, że żyje ona w bogactwie, lecz przykro jej było, że zapomniała o swojej rodzinie, zapewne wstydząc się jej i gardząc ich nędzą. Teraz okazało się to prawdą. Jednak sprawiedliwości stało się zadość! *Przyszła koza do woza*, podsumowała w duchu z dużą satysfakcją, wcale nie żalując podłej córki.

– Jak to możliwe, że ci się tam nie podobało? – zapytała cichutko jedna z zebranych, a jej latorośl, równolatka Meili, bacznie obserwowała nową koleżankę. – Takie wielkie sioło!

– Miasto, proszę pani. Nie podobało się, bo... – Mała przez chwilę namyślała się, gdyż czuła przez swoją dziecięcą skórę, że nie można opowiadać ludziom o wszystkim. – Potem przyszli tacy niedobrzy panowie i Dżakarta stała się już inna – wybrnęła. – A tutaj jest tak cicho, tak spokojnie i bezpiecznie... – Wyrwało się jej, a babka wiedziała już, co spotkało męża jej córki i ją samą.

– Czy będziemy mogli tutaj zostać, matko? Powiedz... proszę cię uprzejmie. – Fatuma nie była w stanie dłużej zwlekać z wyrażeniem swojej prośby. – Przynajmniej na jakiś czas... – wyszeptała błagalnym tonem.

– Trzeba będzie zdać się na decyzję *banjaru*³⁸ i zobaczymy, co też postanowi imam³⁹. – Chcąc ją nastraszyć, odrzekła krótko staruszka, marszcząc przy tym groźnie brwi.

– A nie mógłby po prostu zadecydować ojciec? – nalegała córka, bo rady starszych bała się jak ognia, a religijnego przywódcy jeszcze bardziej. Co będzie, jeśli przypomną sobie o jej przewinieniach i odświeżą rzuconą na nią fatwę? Aż zadrżała na myśl o tym.

– Ojciec nie żyje. Wiedziałybyś o tym, gdybyś się z nami kontaktowała – poinformowała z wyrzutem kobieta, zaciskając swoje zabarwione na bordowo usta.

– To z kim mieszkasz? Kto jest twoim opiekunem?

– Jak to kto? Twój brat, który obdarzył mnie gromadką rozwrzeszczanych wnucząt.

– A może on chciałby...

– Przygarnąć pod swój dach wywłokę?! – Z domu wyszła młoda brzemienna kobieta z małym dzieckiem na ręku i w spranej chuście zarzuconej na włosy. – Taką, co to uciekła w świat i po latach wraca z bękartem? – Nie przebierała w słowach. – Jesteśmy muzułmanami i takie zachowanie jest *haram*! Grzech! – Zaczęła wygrażać Fatumie pięścią.

– Gadis, dajże spokój! – Teściowa usiłowała powstrzymać zapędy synowej, bo ta gotowa

była jeszcze pobić swoją szwagierkę. Wszyscy znali ją z nieobliczalnego, agresywnego charakteru, bo nieraz widzieli tak jej męża, jak jego matkę i małe dzieci poobijane jak jabłka. – Bóg nakazuje miłosierdzie.

Ostatecznie stara, która chciała tylko dać córce słowną nauczkę, wzięła Fatumę i Meilę za rękę i pociągnęła pod pale na najniższy poziom chaty, gdzie mieściły się skromna zagroda dla domowego inwentarza oraz kuchnia z prymitywnym paleniskiem.

– Ja tej nierządniczy pod swój dach nie wpuszczę! – słychać było jeszcze wygrażania.

– Cóż... Nie przejmujcie się. – Staruszka pocieszała załamane przyjezdne, czule przy tym głaszcząc wnuczkę po policzku. Widać było, że to dzięki niej topniał lód w jej sercu.

– Dziękuję, matko. – Fatuma pochyliła się do spracowanej, powykręcanej reumatyzmem dłoni swojej rodzicielki, by ją ucałować.

– Dajże już spokój! Ale żeś pańskich zwyczajów nabrała! – Wyrwała się zażenowana góralka. – Tutaj w kącie macie wyrko. – Pokazała zgrubiałym brudnym palcem. – Znajdźcie sobie jakieś deski czy blachę na podwórzu, żeby się odgradzić od wiatru, bo o ile pamiętasz, noce potrafią być u nas zimne. Na razie tyle musi wam wystarczyć – oznajmiła i podreptała w swoją stronę, ciągnąc długim spranym sarongiem po ziemi i poprawiając co chwila potarganą przetartą chustkę zasłaniającą nieliczne już posiwiące włosy.

Matka z córeczką przysiadły na piętach. Wyglądały jak dwie zmokłe kury. Już nawet Meila nie cieszyła się, że się tu znalazła, choć na początku wszystko tak bardzo jej się podobało.

– Czemu ta pani w ciąży nas nie lubi? – zapytała, a Fatuma w odpowiedzi tylko podniosła ramiona i zagryzła wargi, czując, że z tą furiatką będą same kłopoty.

– Jak masz na imię? – rozległ się nagle miły głosik. W podcienie chałupy weszła mała śliczna dziewczynka, rozglądając się z ciekawością. – Ja jestem Dewi.

– A ja Utami. – Jedna z kobiet obserwujących awanturę na tarasie postanowiła zapoznać się z nowo przybyłymi. – To moja córeczka. Mieszkamy zaraz obok.

Postawna wieśniaczka stała pośrodku i rozglądała się niepewnie. Nie miała ust zabarwionych betelem, była schludnie i ładnie ubrana. Jej batikowy sarong był w żywych kolorach, a biała bluzka lśniła czystością. Tak jak większość kobiet w Tugu i okolicy zasłaniała włosy, ale nie przesadnie, bo po bokach kokieteryjnie wychodziły spod materiału długie czarne kosmyki. Jej pociecha była zadbanym dzieckiem o pięknej twarzy aniołka z cudnymi, troszkę skośnymi czarnymi oczkami.

– Dziękujemy za odwiedziny. – Fatuma wykrzywiła usta w bezradnym uśmiechu, by po chwili wybuchnąć szalonym chichotem, który przeszedł w głośny szloch.

– Daj spokój! Na początku to może i wygląda tragicznie, ale ani matka, ani brat, ani nasza muzułmańska społeczność nie da wam zginąć.

– Tak myślisz? – Zrozpaczona nędzarka zasłoniła usta, chcąc pohamować łkanie.

– Ja wiem, co się dzieje w świecie – wyszeptała Utami. – I w Dżakarcie na ten przykład. – Ze zdenerwowania przełknęła ślinę. – Mój mąż przez pewien czas... – Zawiesiła wstydliwie głos i ciężko westchnęła. – Jedyne na początku wspierał czystki i był za pozbawieniem władzy komunistów, ale jak się zorientował, na czym to polega, przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekł i wrócił do domu.

– Naprawdę? – Fatuma, ocierając łzy, słuchała z niedowierzaniem.

– Oczywiście! Nasz reformatorski ruch i nasza partia Muhammadija nie będzie bestialsko mordować ludzi! Na setki schwytych może paru jest winnych, a większość katuje się, zabija, więzi, opierając jedynie na pomówieniach. Czy ty i twój mąż byliście komunistami? – zapytała całkiem swobodnie kobieta, ale Fatuma miała się na baczności. *Nikomiu nie ufać, nie dać się podpuścić*, powtarzała w duchu.

– Ależ skąd! – prawie wykrzyknęła, popierając swoje słowa podniesionymi w poddańczym geście rękami.

Słyszac taką odpowiedź, Utami odetchnęła z ulgą i wyciągnęła dłoń do nowej sąsiadki.

– Pomożemy wam trochę się zagospodarować. Mam do oddania całkiem niezły pled i poduszkę – poinformowała pogodnie.

– A ja parę sukienek, co nie, mam? – Dewi nie chciała być gorsza.

– Chodźcie. Przejdziemy po domach, to do wieczora będziesz już całkiem urządzona.

Utami i Dewi były pierwszymi orędowniczkami Fatumy i Meili. Okazało się, że muzułmańska partia, do której należeli prawie wszyscy w tym rejonie, ma budżet ze składek członków, a meczet nie odwraca się od zblakanych owieczek. Błyskawicznie poszła fama, że Fatuma wyjechała jako młoda dziewczyna do krewnych w stolicy, aby się uczyć. Tam poznała męża, niezbyt zamożnego, ale pocziwego nauczyciela, który niestety zmarł. Matka i córka, nie mając środków do życia, powróciły do rodzinnego domu. Ot, wszystko. Bardzo ładna bajeczka, która krążyła z ust do ust, za każdym razem z dodatkowymi detalami.

W Tugu i przyległych siołach nic się nie działo, więc powrót córki marnotrawnej był nie lada wydarzeniem. Przyjezdne szły za swoimi dobrodziejkami od chaty do chaty, a każdy dokładał coś do wielkiego plastikowego worka, który Fatuma dostała od Utami. Zebrały sakiewki z ryżem, trochę warzyw i owoców, obiecany pled, zatechłą poduszkę, parę kuponów batiku na sarong oraz kilka znoszonych sukienek dla Meili i prawie nowy mundurek do szkoły. Oczywiście islamskiej, postawionej w Tugu przez Muhammadiję, która miała mnóstwo popleczników. Pod ochroną muzułmańskiej wspólnoty były bezpieczne, co pocieszało Fatumę, podłamaną warunkami życia, jakie nadal tu panowały, oraz przyjęciem przez rodzinę. Zdawała sobie jednak sprawę, że wieś nie będzie ich sponsorować bez końca. Wszyscy dadzą coś na początek, a później same będą musiały się o siebie zatroszczyć.

– Trzeba, żebyś jak najszybciej wyszła za męża. – Jakby czytając w myślach nowej koleżanki, Utami udzieliła jej konkretnej rady.

– Tak od razu? – broniła się Fatuma.

– Do pory deszczowej musisz znaleźć jakiś ciepły kątek, choć i teraz będzie wam ciężko mieszkać na otwartej przestrzeni. Może nie pamiętasz, ale mamy tu dość ostry klimat. Zmarzniecie, pochorujecie się... – wymieniała zagrożenia. – Komary was zeżrą i jeszcze złapiecie malarię albo dengę⁴⁰.

– Wszystko to wiem, moja droga, ale kto przy zdrowych zmysłach będzie chciał wziąć ubogą dojrzałą kobietę z dzieckiem?

– Znajdzie się jakiś... – odparła tajemniczo Utami.

– ...głupek – dokończyła za nią Fatuma i obie zgodnie wybuchnęły śmiechem.

– No nie... raczej desperat. Jest taki jeden w naszym klanie, całkiem niezła partia, bo sama widzisz, że jesteśmy troszkę bogatsi od twojej rodzinie – wyznała szczerze, nie wywyższając się jednak przy tym.

– Tak, masz rację, ale może o tym pogadamy przy następnej okazji. Umieram ze zmęczenia i nie mam już siły myśleć o czymkolwiek, a co dopiero o zamążpójściu.

– Racja. Ale ze mnie bezczelna i bezwzględna baba. – Kobieta serdecznie chwyciła Fatumę za dłoń. – Wiesz, gdzie mieszkam. Jakby co, wal jak w dym.

– Ja też przyjdę! Ja też! – Meila podskoczyła do matki, bo od pierwszej chwili wyczuła w Dewi bratnią duszę i nie chciała się z nią rozstawać.

– Ty jutro rano podejdź pod nasze sioło, to pojedziesz razem z naszymi dziećmi do szkoły – zaproponowała Utami, po czym zwróciła się do Fatumy: – Mój mąż je zawozi, więc na pewno wszystko dobrze załatwi. Może uda mu się wyprosić dla was, bidulek, jakąś ulgę

lub nawet zwolnienie z opłat.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. – Fatuma opa nowała łzy napływające jej do oczu.
– Jak ci się odwdzięczę?

– Już ja coś wymyślę. – Kobieta zabawnie uniosła brwi. – Każdy potrzebuje w czymś pomocy, więc na pewno spłacisz swój dług. Nic się nie martw.

Matka z córką opuściły przyjazny przysiółek, który znajdował się poniżej ich rodzinnych zabudowań. Im wyżej wchodziło się na wzniesienie góry, tym smutniejszy był widok i tym uboższe chaty. Ich należały chyba do najbiedniejszych, a majdan, który zajmowały, był brudny i zaśmiecony. Prawie w ogóle nie było trawy, jedynie ubite klepisko z licznymi kałużami i plamami ścieków. W tym miejscu śmierdziało ubóstwem i nie było świeżego powietrza tak typowego dla gór Puncak. Cuchnęło zwłaszcza wieczorem, kiedy gospodynie gotowały na kolację bieda-zupkę lub smażyły ryż z dużą ilością sosu rybnego. Z wygódek wylewały się fekalia, bo nikomu nie zależało, żeby odprowadzać ścieki do kanału biegnącego wzdłuż głównej bitej drogi. *Banda brudasów!* Fatuma przeklinała w duchu swoją rodzinę. Meila zaś stwierdziła w duchu, że za dnia było tu zdecydowanie ładniej. *Może dlatego, że podczas szarówki wszystko wygląda bezbarwnie i fletuchowato*, próbowała znaleźć wytłumaczenie. *Jutro, jak przyświeci słońce, na pewno znów będzie pięknie!* Optymistyczny charakter dziecka zwyciężył i zaczęła radośnie podskakiwać, idąc przy matce ciągnącej wielki wór wypełniony różnymi ofiarnymi darami.

– Już myślałam, żeście sobie poszły. – Gderliwie przywitała je babka, pochylając się nad paleniskiem i mieszając w wielkim garze *nasi goreng*⁴¹. – Dopóki będziecie tu mieszkać, ja będę warzyła wszystkie posiłki – oświadczyła. – Tak będzie lepiej. A wy nie wchodzić wiedzcie Gadis w drogę. Uważajcie na nią, dziewczyny – ostrzegła, a kiedy obróciła się do nich, zauważyły świeżego sińca, który wykwitł pod jej lewym okiem.

– Matko! – Fatumie zrobiło się żal rodzicielki, która najwyraźniej znów stanęła w jej obronie.

– Babciu! Tak nie można! – Meila wtuliła się w poły babcinego spranego sarongu. – Ta pani jest niedobra – wyszeptwała, patrząc poważnie w wyblakłe smutne oczy staruszki.

– Nie ma co! Jeszcze nie rozmawiałam z Mhamedem, bo ten, wiedząc, co się szykuje, najpierw poszedł do łaźni. Może twój brat w końcu ukróci to jej wredne i bezczelne zachowanie. – Kobięcina z nadzieją poklepała córkę po plecach, odsypała dla banitek trochę ryżu do małej miseczki i taszcząc wielki gar, z trudem wspięła się po stromych schodach prowadzących do wnętrza chaty.

Fatuma z Meilą, rozpakowując rzeczy i moszcząc sobie posłanie w kącie jak najbliżej paleniska, drżały na całym ciele. Same nie wiedziały, czy to z powodu napływającego wraz z wiatrem lodowatego powietrza z gór, czy awantury rozgrywającej się na piętrze, tuż nad nimi. Od jedynej izby zamieszkaanej przez całą rodzinę dzieliła je tylko cienka uginająca się drewniana podłoga, która nie zatrzymywała odgłosu krzyków, szlochów i rąków, jakie przewalały się na górze. Żywo zainteresowane, wiedziały, że właśnie decyduje się ich los. Albo zostaną natychmiast wyrzucone, czego z każdym słowem, przekleństwem i wymierzonym ciosem domagała się Gadis, albo łaskawie pozwoli im się tutaj zostać. Doskonale zdawały sobie jednak sprawę z tego, że jeśli nawet zatrzymają się w tym nikczemnym miejscu, to ich sytuacja będzie tymczasowa i jak najszybciej będą musiały znaleźć sobie nowe schronienie. Klótnię, trwającą całą wieczność, zakończyło trzaśnięcie wejściowych drzwi, po czym na ganku zaczęły ciężkie męskie kroki. Po chwili Fatuma i Meila poczuły słodki zapach papierosów z *kretek*, które w tak biednym miejscu paliło się raczej przy wielkiej okazji.

– Synku, dziękuję ci. – Matka cicho podeszła do podenerwowanego mężczyzny. – To

twoja starsza siostra i teraz ty w imieniu swego nieżyjącego już ojca musisz się nią opiekować.

- Wiem – burknął męski głos.
- Ona na pewno ci się odwdzięczy – szeptała staruszka. – A twoją żonę to już dawno powinieneś był postawić do pionu. Całe sióło się śmieje, że to ona obija ci gębę, a nie ty jej.
- Matko! – ostrzegawczo podniósł głos.
- Dobrze, już dobrze. Nie denerwuj się, synku. Jeszcze przed nocą na pewno da się przeprosić – powiedziała z zabawną nutą w głosie. – Ja mogę dzisiaj przespać się przy kuchni.
- Znajdź jej męża – powiedział na pożegnanie. – I to jak najszybciej.
- Tak, oczywiście.
- Oddam ją za byle co... nawet za darmo. – Fatuma, słysząc te słowa, tylko przełknęła ślinę.
- Może uda się coś utargować. Masz piękną siostrę...
- Żebraczkę z dzieckiem niewiadomego pochodzenia. Z bękartem! Nie kombinuj, matko! – uprzedził groźnie. – Przed zimą ma jej tu nie być. Albo ktoś tę dziadówkę przygarnie, albo niech idzie na żebry do miasta. Rzekłem.

Po tych słowach odcharknął i siarczyście splunął, a następnie wszedł do środka. Potem nastąpiła cisza. Słychać było tylko cykanie cykad i pojedyncze krzyki wyrwanych ze snu ptaków. Monotonnie pohukiwał samotny puszczyk mieszkający w niedalekim lesie na szczycie góry, na której zboczach ulokowała się biedna wioska Tugu. Wszyscy mieszkańcy spali snem sprawiedliwego po męczącym dniu ciężkiej pracy na polach ryżowych czy plantacjach herbaty. Jedynie smutna stara kobieta, młoda przerażona banitka i jej mała córka leżały wtulone w palenisko i długo nie mogły zamknąć oczu. Nie rozmawiały. Każda z nich tłumiała swoje tragiczne uczucia we własnym sercu.

Następnego dnia Fatuma zapukała do gościnnych drzwi swojej nowej koleżanki Utami. Dzieci pojechały już do szkoły, więc miały chwilę czasu, żeby spokojnie porozmawiać.

- Kto jest tym desperatem poszukującym żony? – Od razu przeszła do rzeczy.
- Więc jednak? Ile masz czasu? Mam nadzieję, że te łachudry nie od razu wyrzucą cię na bruk. – Oburzona Utami nie panowała nad słowami.
- Mam niepisany termin do jesiennych deszczy, ale sama wiesz, że miejsce, które mi użyczyli, jest nie do życia.
- Niestety...
- Taka prawda. – Fatuma zacisnęła wargi. Kobiety zamyśliły się, każda rozpamiętując swój ciężki los, bo nawet zamożna Utami znalazłaby sporo ciemnych stron w swoim życiorysie. Siedziały tak dłuższą chwilę i żadna nie chciała pierwsza poruszyć krępującego tematu. – Powiedz mi coś o tym mężczyźnie – podjęła w końcu zainteresowana. – Kim on jest? Dlaczego jest sam? Czemu tak pilnie potrzebuje żony? Czemu miałby się zdecydować nawet na taką biedę z nędzą jak ja, i to na dokładkę z dzieckiem? Czemu...
- Hej, hej! Spokojnie! – Utami zaśmiała się, wymachując rękami. – Po kolei. – Nabrała głęboko powietrza i zaczęła charakteryzować kandydata na męża: – Po pierwsze, to całkiem przystojny z niego facet. Nie ma garbu czy zeza, obie nogi i obie ręce, pozostałe rzeczy chyba też na swoim miejscu, bo zrobił naszej kuzynce aż pięcioro dzieci – zachichotała, a Fatuma spiekła raka.
- O, to już coś konkretnego! Ale w tej sytuacji potrzebuje raczej niańki do bachorów, a nie kobiety dla siebie. – Zdenerwowała się nieco.
- Teraz dziećmi opiekuje się młodsza siostra mojego męża. Dziewczyna ma już swoje

lata, ma narzeczonego i w końcu też chciałyby urządzić sobie życie, więc...

– Więc poprzecie każdą, która chciałyby przejąć ten kłopotliwy żywy bagaż na swoje barki. – Fatuma już jasno widziała przeznaczone jej miejsce w tej układance.

– To nie do końca tak. – Tłumaczyła się speszona Utami, której knowania tak szybko zostały rozszyfrowane. – Jesteś inteligentną kobietą z doświadczeniem i na pewno potrafisz sobie wszystko ułożyć. A ta młódka szarpie się jak wesz na postronku, bo z jednej strony musi spełnić powinność wobec rodziny i pomagać, a z drugiej aż się rwie do swojego wybranka. Jeszcze się zapomną i nieszczęście gotowe. A przecież my jesteśmy muzułmańską społecznością i sama wiesz, że pewne czyny są u nas surowo zabronione i przykładowo karane!

– No tak. – Fatuma zamyśliła się. – Czemu zmarła wasza kuzynka, nieboszczka żona numer jeden? – Zasztydziła, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Przy porodzie piątego dzieciaka. Były jakieś komplikacje... – Niepewnie tłumaczyła Utami, ale widać było jak na dłoni, że skrywa jakąś tajemnicę.

– A w jakim wieku są maluchy?

– Tak mniej więcej od pięciu w dół. Najmłodsza ma niecały rok.

– To oznacza, że ten rewelacyjny kandydat na męża jest nieokrzesanym rozplodowym ogierem, który co roku obdarzał waszą krewną potomstwem. Pięć lat w ciąży, pięć lat karmienia piersią, pięć porodów... i piątego już biedaczka nie przetrzymała. – Oburzona kobieta miała już zupełną jasność. – Widocznie macica jej pękła!

– Nie wiem, co jej pękło, ale mnóstwo kobiet często rodzi i nic im się nie dzieje. Takie jest życie tutaj, u nas na wsi. Dzięki dzieciom ma się więcej rąk do pracy...

– I więcej gęb do wyżywienia – przerwała ostro.

– Powiem ci jeszcze tylko, że oprócz naszego rodzinnego dużego pola ryżowego Hari ma kawałek dalej także swoje własne. I całkiem sporą plantację herbaty. Do tego drzewa owocowe, pole kapusty i cebuli. U niego nie cierpiałabyś głodu. Mądra kobieta wie, co zrobić, żeby co roku nie chodzić z brzuchem. No nie?

– A twoja kuzynka? – Fatuma uniosła brwi. – Była głupia?

– Młoda, zakochana i... co tu dużo gadać, może i głupia. – Niezbyt chętnie wyznała Utami, wstając z maty, by zasugerować, że wizyta jest już zakończona. – Będziesz chciała, to wyślesz do nas swoją matkę i my, kobiety, sobie szczerze pogadamy. A potem oczywiście mężczyźni dobiją targu i podpiszą kontrakt ślubny.

– A jaka będzie moja rola? Matka się dogada, brat wytarguje, a ja? – Wściekła Fatuma całkiem zapomniała o tradycyjnych zwyczajach panujących w jej rodzinnej muzułmańskiej wiosce.

– Ty zajmiesz się domem, przychówkiem i mężem. Będziesz mu dalej rodzić dzieci, to przynajmniej do pola cię nie zagna. Jeśli już nie pamiętasz, to ci przypomnę, że u nas na roli muszą pracować również kobiety, kiedy nie mają co robić w chacie, posiadając tylko dwójkę lub trójkę małego potomstwa. Będziesz miała dach nad głową, zapewnisz córce spokojne życie, wykształcenie i pełny brzuch. Czy to jest zły układ? Co masz teraz, he? – Utami rzuciła retoryczne pytanie i obróciła się na pięcie, zostawiając swojego zszokowanego gościa na ganku.

No to pięknie!, podsumowała Fatuma, wystawiając swoją płonąca z gniewu twarz na podmuch chłodnego wiatru. Z nerwów aż grunt uciekał jej spod nóg i musiała przystanąć, aby ochłonać. Oddychała ciężko. Jej przerażone serce trzepotało w młodej piersi, kiedy wyobrażała sobie swój przyszły los. *Albo już przegrałam życie, albo matka znajdzie kogoś uczciwego i mądrego, kto chciałby ożenić się z miastową inteligentną kobietą, umiejacą pisać, czytać, liczyć, znającą stare podania i baśnie, była nauczycielką...*

Ta myśl trochę ją uspokoiła. Rozejrzała się i w świetle dnia zauważyła znaczną różnicę pomiędzy jej rodzinnym przysiółkiem a tym, w którym stała chata, do której niebawem mogłaby się wprowadzić. Ona pochodziła z biednej rodziny, która z roku na rok stawała się uboższa, a tutaj widać było dobrobyt i schludną rękę dobrego gospodarza – przywódcy rodu. Teren był zagrodzony, czysty, zielony, a na jego obrzeżach rosły gaje drzew papajowych oraz mango, tuż obok nich były grzędy ananasów i pogrupowane krzewy *sirsaku* i gujawy. Przed domami gospodynie miały grządki, gdzie uprawiały cebulę, marchewkę, czosnek i papryczki chilli, żeby mieć pod ręką warzywa na przygotowanie codziennej sutej kolacji. Chaty były solidne i obszerne, wzniesione na wysokich kamiennych palach – każda z gankiem. Nikt nie musiał gnieździć się w jednej izbie. Kury, koguty, kaczki i psy leniwie włóczyły się po *kampungu*, a ze specjalnej zagrody dochodziło meczenie owiec i kóz.

Nie widziało się wielu mieszkańców, bo zapewne większość była w pracy w polu, ale dziadkowie i babki oraz kobiety z małymi dziećmi spędzali czas w domach bądź na tarasach albo wylegając się na *gazebo*⁴². Tak spędzano czas w cieniu, ciszy i spokoju na świeżym powietrzu. *Kuszące*, pomyślała Fatuma. *Lepsza oferta od tej może mi się nie przytrafić*, powoli godziła się z losem.

– Matko, byłam u Utami w sąsiednim siole. – Od razu zagadała staruszkę, która niemrawo krzątała się przed ich domem, usiłując zamieść klepisko miotłą zrobioną z miękkich witek. – Już wczoraj powiedziała mi o pewnym mężczyźnie poszukującym żony.

– Jak się nazywa? – Kobieta natychmiast przerwała pracę i zamieniła się w słuch.

– Poczekaj... Nie pamiętam...

– No toś mądra, moja córko! – Kpiarsko zaśmiała się, odsłaniając czerwone dziąsła z jednym również zabarwionym zębem pośrodku.

– Na imię ma chyba Hari. Jest całkiem zamożnym wdowcem z piątką dzieci. – Fatuma w końcu sobie przypomniała. – Teraz opiekuje się nimi szwagierka Utami, ale ona też chce wyjść za mąż i dlatego...

– Już wiem! To ten łajdak, który doprowadził swoją młodą żonę do śmierci, a potem chciał utopić nowo narodzoną córeczkę! – zawołała staruszka. – To dziwkarz, jakich mało, jeździ do sąsiednich wsi i podrywa dziewczyny pracujące w *warungach*, bo nasze już boi się zaczepiać. Parokrotnie ojcowie lub bracia obili mu za to mordę! – Wykrzykując te słowa, z podekscytowania trzepała swoim małym łebkiem jak kura. – Poza tym to pijus pierwszej wody, prawie codziennie zachlewa się winem palmowym albo ryżową whisky, które wysoko w górach pędzi ze swoimi braćmi, takimi samymi psubratami jak on. A niby muzulmanin! Dostarcza też nam betel, ale spróbowaliby brać za niego jakieś wygórowane pieniądze, to już baby rozerwałyby go na strzępy.

– To dlaczego taka dobra bogata rodzina wydała za niego swoją dziewczynę? Jak to możliwe? – Fatumie na te wszystkie wieści aż oczy wyszły z orbit, ale czegoś w tej historii nie mogła zrozumieć.

– Mówią, że biedulka zaszła z nim przed ślubem, ale ponieważ mąż Utami to starosta, a do tego wysoko postawiony w Muhammadiji działacz partyjny, nikt nie wnikał w szczegóły i nie podawał w wątpliwość jego decyzji. Dobry chłop nie chciał, żeby na dziewczkę padła fatwa, którą jako jej opiekun musiałby wykonać, zatuszował więc całą sprawę. Wydali ją za mąż za psubrata, dali dom, pola, wszystko, ot co! Ale i tak im się to nie opłaciło, bo teraz mają tylko strup na dupie, szwagra alkoholika z gromadą zasmarkanych dzieci.

– A na mnie była wydana klątwa? – Fatuma zmieniła temat. W końcu zadała pytanie, które nurtowało ją od lat.

– A za co? Za chłopakami nie latałaś, brzucha nie miałaś, jeno nie chciałaś harować

na roli, wiedzy i świata byłaś ciekawa – odpowiedziała łagodnie stara kobieta. – Mam nadzieję, że zaznałaś szczęścia, moja córko? – zapytała i z wyczekiwaniem spojrzała swojej pierworodnej w oczy.

– Tak, *ibuku*. Miałam wspaniałego męża, cudowną rodzinę, przyjaciół i zajmującą pracę. Miałam idee i pasje!

– To teraz schowaj to wszystko na dnie swojego serca, żebyś miała co wspominać w ciężkie dni.

– Jeśli nie rzucono na mnie fatwy, to czemu wczoraj okazałaś mi taką złość?

– Nawet jeśli wejdzie się na sam szczyt, z którego widać tylko słońce, to nigdy nie należy zapominać o swojej głupiej rodzinie; nie wolno wstydzić się biedy i nędzy, z której się wyszło. Nie wiadomo bowiem, co przyniesie przyszłość i jak potoczą się nasze losy.

Z piedestału bardzo łatwo się spada, moja droga. Sama teraz widzisz, jakie to wszystko kruche i ułudne – pozycja, szczęście i pieniądze.

– Przepraszam. – Córka pochyliła czoło i złożyła je na kościstym ramieniu swojej rodzicielki, a ta, nie umiejąc okazywać czułości, poklepała ją tylko delikatnie po plecach. – Ty nie jesteś głupia, mamó – wyszeptwała.

– Zdobyłam jedynie życiową mądrość i dzięki temu jeszcze jakoś egzystuję, bo dola kobiet w naszym kochanym kraju nigdy nie była łatwa. Zawsze było nam ciężej niż chłopom, bo od wieków byłyśmy od nich zależne. To się nigdy nie zmieni! – podniosła głos, pokazując swoją buntowniczą naturę, którą najwidoczniej córka odziedziczyła po niej.

– Zmieni się, zmieni – szepnęła Fatuma. – My byliśmy już bardzo blisko, a kobiety szły ramię w ramię z mężczyznami...

– Cicho bądź! – Matka zasłoniła jej usta brudną, spoconą ręką. – Domyślałam się tego, ale teraz musisz o tym zapomnieć. Nie waż się o tym nawet pisać, bo wszystkich nas do grobu wpędzisz!

– Oczywiście, masz rację. – Przed oczami Fatumy przemknęły jak w kalejdoskopie obrazy z eksterminacji Wodo. Postanowiła, że nigdy już na ten temat nie puści pary z ust. – Nie wolno narażać niewinnych ludzi, bo ich śmierć idzie na nasz rachunek i obciąża nasze sumienie – wyznała.

– Och, córko ty moja... – westchnęła ciężko stara babka. – Postaram się znaleźć dla ciebie lepszego męża i zrobię wszystko, żebyś nie musiała wiązać się z tym łachmytą Harim. – Jak gdyby nigdy nic zmieniła temat, by już nigdy nie poruszyć kwestii przynależności córki do komunistycznej partii.

Suche miesiące letnie minęły jak jeden dzień. Wszyscy ciężko pracowali przy zbiorach ryżu, nie mieli czasu na rozmyślanie, odpoczynek czy spotkania towarzyskie, a tym bardziej na aranżowanie małżeństw. Fatuma wychodziła na pole wraz z całym klanem skoro świt, a po szkole przybiegała do pomocy roześmiana i szczęśliwa Meila. Ich ręce zrobiły się szorstkie, z licznymi przecięciami i skaleczeniami, stopy od chodzenia na bosaka zgrubiały, a pięty popękały. Pomimo że chroniły się szerokimi słomianymi kapeluszami, ich policzki ogorzały od słońca i wiatru, a włosy stały się tak suche, że szeleściły w dotyku.

Bratowa Gadis trochę się uspokoiła, ale nie znaczyło to bynajmniej, że zaakceptowała szwagierkę i jej córkę. Kobiety schodziły sobie z drogi, lecz w oczach wieśniaczki nadal czały się złość i nienawiść. Fatuma wiedziała, że Gadis pamięta o postawionym ultimatum i terminie wyprowadzki bezdomnych krewniaczek. Zresztą w porze deszczowej nie mogło być mowy o mieszkaniu na klepisku pod palmami, bowiem kiedy nadchodziły monsunowe ulewy,

całe osiedla tonęły w wodzie i szlamie spływającym z gór. Temperatura spadała jeszcze bardziej, dochodząc nieraz nawet do pięciu stopni. Oszałałe komary cięły niemiłosiernie, gdyby nie ochrona moskitier w domowym zaciszu, od ilości ukąszeń można było nawet umrzeć, zdarzały się już takie przypadki.

Pod koniec zniw Fatuma postanowiła jednak poruszyć kłopotliwy temat:

– Matko, coraz częściej niebo robi się czarne i zbierają się chmury. Chmury także piętrzą się nad nami – dodała, uśmiechając się lekko. – Widzisz, jak Gadis na mnie patrzy? Jakby mogła, to wydłubałaby mi oczy!

– Cóż zrobić? – Stara wykrzywiła twarz i z bezradności szarpała swoje siwe przerzedzone włosy. – Zaraz po twoim powrocie rozesłałam wici po wszystkich osadach na naszym stoku, ale do tej pory nie zgłosił się ani jeden chętny – westchnęła ciężko. – U nas jest pełno młodych zdrowych dziewczuch, a ty już do takich nie należysz. Nie wiem dlaczego, ale nawet sypnęła ci się już siwizna. Z tym też coś trzeba zrobić.

– A byłeś w *kampungu* Utami? Rozmawiałas z nią? – Fatuma zaniepokoiła się nie na żarty. Istniało ryzyko, że za chwilę wyląduje wraz ze swoją córką na bruku.

– To zostawiłam sobie na deser – zakpiła matka.

– Chyba już nadeszła pora. A jak on w międzyczasie znalazł sobie inną kandydatkę?! – Ze strachu podniosła głos.

– Nie bój się, nie ma takiej frajerki. – Staruszka poklepała podenerwowaną córkę po plecach. – To ostateczność! Ja spróbuję jeszcze pójść na wyższe zbocze, to przy samym lesie. Może mieszkają tam biedni ludzie, ale uczciwi – podsumowała.

– Jak uważasz. Byle nie przeholować, bo zdaje się, że ten łajdak jest dla mnie jedyną szansą. I dla twojej wnuczki również.

Stara kobieta, pomimo wszelkich możliwych starań i zabiegów, nie znalazła nikogo chętnego do ożenku z jej inteligentną i wykształconą córką. Bo kto miał docenić jej mądrość, kiedy w górach Puncak prawie nikt ze starego czy choćby średniego pokolenia nie umiał czytać i pisać, a większość mówiła nie w *bahasie*, ale w lokalnym góralskim dialekcie? Zatrokana matka postanowiła w końcu zejść drogą w dół i odwiedzić nielubianą przez siebie, fałszywą Utami.

– Witaj, sąsiadko! – zawołała, stojąc przed gankiem bogatej krajanki. – Co tam u ciebie słychać? Czemu nie odwiedzasz naszego siola?

– Sama wiesz najlepiej, ile teraz było pracy – odpowiedziała gospodyni z pańskim uśmiechem i gestem zaprosiła swojego gościa na górę. – Nasz klan ma spore ryżowiska, a ręk do roboty mało, bo większość z nas to kobiety i dzieci. Szczególnie dużo dzieci – skarżyła się jakoś nienaturalnie. – Kiedy nie cierpią głodu, to wszystkie przeżywają trudny okres dzieciństwa i są zdrowe jak ryby – znów docięła, lecz staruszka nie dała się sprowokować.

– Tak, moja kochana, masz rację. Najważniejsze to pełna miska – westchnęła i ścisnęła usta w ciup, ciągle myśląc o pustych brzuchach w jej domu.

– A co cię do mnie sprowadza, kumo? – Utami chciała przejść do rzeczy, bo dobrze wiedziała, co jest przyczyną odwiedzin, których spodziewała się już od dawna.

– Mam na wydaniu córkę. – Babka też nie owijała dłużej w bawełnę.

– A którą to?

– Dwie już wyszły za mąż i przeprowadziły się do swoich domów, pozostała mi tylko jedna, miastowa i wykształcona. Perła po prostu!

– Biedna perła, matko. Na dokładkę z dzieckiem... może bękartem – dodała kąśliwie Utami, a swatka już wiedziała, że będzie miała twardy orzech do zgryzienia. *Byle parę groszy wydostać, byle worek ryżu, żeby nie było wstydu*, nerwowe myśli tłukły się po biednej matczynej

głowie.

– Perła to perła, nawet z niewielką rysą ma swoją wartość – zachwalała konsekwentnie.

– A twoja młoda szwagierka, która ma teraz tyle obowiązków przy dzieciach nieboszczki kuzynki, nie chciałaby uczestniczyć w naszym spotkaniu? – zapytała grzecznie.

– Chciałaby, pewnie, że by chciała, ale jest zajęta. Nie ma co młodym głowy zawracać, tylko dojrzały i doświadczony ludzie powinni ustalać poważne sprawy.

– Cóż... Hari nadal wolny? A może zajęty już waszą kolejną młódką? – Teraz stara dopiekła ważniacze, bo to przecież wielki wstyd, że niespokrewniona z mężczyzną dziewczyna, na dodatek muzułmanka, mieszka u niego w domu i opiekuje się jego dziećmi.

– Wiesz, że ona innemu przyrzeczona i wiano już dane, tak że czeka tylko, żeby do domu swojego wybranka się przenieść. A Hari na razie mieszka i pracuje na swojej plantacji w górach – wyjaśniła Utami. – Sam na sam nigdy z sobą nie przebywają – tłumaczyła, mocno speszona nieciekawą sytuacją, którą zapewne ludzie z przyjemnością roznoszą na językach.

– Czy zatem twoja rodzina chciałaby przyjąć do swojego klanu moją ukochaną córkę? – Matka zadała zasadnicze pytanie, specjalnie nie wspominając nic o kandydacie na męża, którego nadal uważała za skończonego drania.

– Myślę, że byłoby to dobre dla ogółu.

– Co wobec tego oferujecie za ciężką pracę mojej pierworodnej? Wychowanie pięciorga maluchów, prowadzenie domu, harówka w polu – to nie lada wyzwania. Wiesz, że moja córka jest wykształconą osobą po szkołach w Dżakarcie...

– To jej tutaj na nic – bezpardonowo przerwała Utami. – U nas najważniejsze jest zdrowe, młode ciało i silne ręce do roboty. Koniec kropka. Czy miastowa paniusia podoła temu wszystkiemu?

– Oczywiście, że tak! – Stara podniosła głos. – A co dostanie w zamian?

– Nad tym już powinni podyskutować mężczyźni. – Gospodyni wstała, chcąc skończyć tę również dla niej nieprzyjemną rozmowę. – Ty przedstawiłaś ofertę, a mój mąż z Harim spotkają się z twoim synem i dobiją targu.

– Jednak jako rodzicielka chcę wynegocjować jak najlepsze warunki! – Staruszka nie dawała się zbyć.

– Ja sama dołożę worek ryżu. – Zza progu doszedł cichy, lecz zdecydowany kobiecy głos i do chaty weszła młoda dziewczyna. Jedno dziecko niosła na rękę, a dwójka drobiazgu uwieszona była u jej długiej do ziemi spódnicy. – Co jeszcze chcesz?

– Widać pilno ci do narzeczonego. – Matka odetchnęła z ulgą, że jej córka nie zostanie oddana za darmo. – Przydałyby się kupony batiku na spódnice, bluzki, buty, nowa pościel...

– Dość! – przerwała jej młoda. – Wszystko dam ze swego, ale kontrakt niech podpiszą jeszcze w ten piątek.

– Dobrze – zgodziła się swatka.

Wściekła Utami obróciła się plecami do gościa i chwyciła za rękę swoją szwagierkę.

– Głupia jesteś. Po co rozdajesz swoje wiano? – wyszeptała. – To ona powinna zapłacić, że się taką przygarnia do dobrej rodziny.

– Nie zgadzam się z tobą. Dobrze wiesz, tak samo jak ja i wszyscy w okolicy, że będzie z nim miała krzyż pański! – wykrzyknęła wzburzona młódka. – Ale żeś ty wredna, Utami! Bogactwo niektórym bokiem wychodzi, innym na mózg pada, a wszystkich całkowicie znieczula na otaczające ich cierpienie! – Przepchnęła się, odsuwając chytrą krewniaczkę, po czym schyliła się do starowiny i wzięła ją pod pachę. – Będę tutaj zaglądać i pomogę jej we wszystkim. Niech się pani nie martwi – pocieszała dobra dziewczyna.

Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Mężczyźni oczywiście nie ustalili żadnych nowych warunków i nie dołożyli ani grosza do wiana nieszczęsnej podstarzałej panny młodej, bo bogaci byli chytry, a biednemu bratu nie zależało na zarobku – chciał mieć jedynie święty spokój i zakończyć wieczne awantury ze swoją żoną. Pragnął pozbyć się siostry z domu za wszelką cenę.

Fatuma dostała worek ryżu i znoszoną niebieską suknię, najprawdopodobniej należącą do żony nieboszczki. Ubrała ją w dniu ślubu, ale i tak wyglądała w niej pięknie i dostojnie. Hari zszedł z gór dopiero w piątek. Do meczetu zmierzał, ledwo trzymając się na nogach, otoczony welonem oparów sfermentowanego palmowego trunku. Na skromną ucztę wydaną przez pocziwego starostę siostra *bupatiego* przyniosła mniejsze dzieci, babka przyprowadziła za ręce starsze, a Meila snuła się na szarym końcu, pocieszana przez przyjaciółkę Dewi. Jedyne co było dla niej pociepające, to że teraz będzie mieszkała w jednym *kampungu* z koleżanką i będą mogły przebywać z sobą od rana do nocy. Czuła, że matkę już straciła – widziała w jej oczach pustkę i mrok, większe nawet, niż obserwowała po przeżyciach w Wodo. Teraz jednak nikt jej nie ścigał, nikt nie chciał zabić, lecz dobrowolnie oddała swoje życie w imię przetrwania i ratowania ostatniego dziecka, które było owocem związku z ukochanym mężczyzną – dobrym, mądrym, czułym i wspaiałym Johanem.

Myślała o tym wszystkim, kiedy wchodziła po drewnianych skrzypiących schodach do domu człowieka, który swoim wyglądem i zachowaniem od razu wzbudził w niej odrazę. Na tę jedną noc dzieci zostały rozlokowane po domach rodziny, a Meila z chęcią została u przyjaciółki, choć co chwila zerkiała w stronę chaty, w której zniknęła jej matka.

Następnego ranka zaczął się pierwszy dzień ich zwykłego życia na stoku gór Puncak. Dzień jak co dzień, jeden podobny do drugiego, jeden gorszy od drugiego. Meila, śpiąc ze wszystkimi swoimi przyrodnymi braćmi i siostrami, dusiła się w małym pokoiku bez okna, lecz bała się ruszyć. Nasłuchiwała odgłosów dobiegających z dużego pomieszczenia, służącego jednocześnie za salon i pokój do spania dla matki i ojczyma. Niejednokrotnie słychać było gardłowe jęki wydawane przez mężczyznę, ale często też razy i ciche piski kobiety.

Pijak nadal spędzał sporo czasu w swojej bimbrowni, bowiem miał łatwy grosz płynący z produkcji araku. Sprzedawał go i spożywał w dużych i chyba proporcjonalnych ilościach. Jeśli nieprzytomny nie mógł zejść czy zjechać na dół, żeby wrócić do chaty na noc, wszyscy domownicy mieli święto. Dały się wtedy słyszeć nawet śmiechy i szczęśliwe kwilenia dzieci, ale kiedy wracał w stanie alkoholowego zamroczenia, zaczynała się gehenna. Cały *kampung* był wówczas świadkiem krzyków i bijatyk, a Meila nieraz zabierała z sobą przyrodnie rodzeństwo i gnała do babki, obwieszona szlochającymi dziećmi jak ulęgałkami. Zdarzało się, że nawet dumna ważniaczka Utami oferowała poszkodowanym pomoc.

W końcu klan postanowił ukrócić te haniebne wybryki. Poważny *bupati* wraz z kilkoma starszymi mężami przyszedł pewnego ranka w odwiedziny do ich domu.

– Jeśli się nie uspokoisz i nie zaczniesz traktować swojej rodziny godziwie, to wyrzucimy cię ze społeczności – zagroził.

– Mnie? Z mojej chaty? – Skacowany Hari chwiał się na nogach i leniwie drapał po zmierzwionych włosach.

– Tyś do nas przyszedł, wkradłeś się do naszej rodziny podstępem, więc to nie twój dom. – Starosta nadal pozostawał spokojny. – Co ty wyprawiasz z tą swoją kobietą? – Pokazał na Fatumę, która w zaawansowanej ciąży, z obitą twarzą i pękniętą wargą ledwo stała, opierając się o framugę wejściowych drzwi. – Co czynisz dzieciom?! – wykrzyknął, patrząc na zbite w gromadkę, zasmarkane i przerażone maluchy.

– Robię, co mi się podoba – odpowiedział gburowato Hari i już chciał się obrócić

do poważnych mężów plecami, kiedy dwóch krępych młodzików, którzy już wcześniej byli na to przygotowani, podbiegło do niego. Chwycili go pod ręce i ponieśli w okoliczne chaszczce. Po chwili doszły stamtąd wrzaski i wyklinania towarzyszące razem zadawanym grubą drewnianą pałą.

– Za każdy siniec i każdy wrzask w twojej chałupie będziesz dostawał dwa razy tyle batów. Widać ojciec cię nie lał, to zhardziałeś i nie masz szacunku do starszych, kobiet i dzieci – wygrażał zadowolony z siebie *bupati*. – A jeśli to nie pomoże, to nasz przełożony meczetu znajdzie dla ciebie karę. – Wyciągnął w górę wskazujący palec, jakby chciał powiedzieć, że w osobie świątobliwego imama ukarze go sam Allah.

– Za co?! – Opryszek, siedząc w kucki i obejmując obolałe ciało, miał jeszcze czelność dyskutować. – Za przetrzepanie kobiety?

– Nie, mój drogi! Za chłanie na umór i za handel alkoholem – wycodził przez zęby starszy mężczyzna, a brzmiało to naprawdę groźnie. – W Koranie jest zakazane nawet picie wina, nie mówiąc już o wódce i jej dystrybucji! Ostrzegam cię i mam nadzieję, że odebrałeś naukę z tej lekcji.

Bupati i starszyzna odeszli do swoich zajęć, a zebrany tłumek szybko topniał, z dezaprobatą mrucząc pod nosem.

Od tego czasu Hari pił i robił burdy poza domem i nigdy już nie wracał do *kampungu* na rauszu. Bijatyki i awantury skończyły się, a Fatuma i dzieci odetchnęły. Nie zmieniło to jednak faktu, że kobieta co roku zachodziła w kolejną ciążę i słabła w oczach. Meila natomiast rosła na śliczną dziewczynę, za którą zaczęli oglądać się chłopcy.

– Meila, Dewi! Idziecie do ciepłych źródeł?! Chodźcie z nami! – Roześmiani koledzy kusili pięknotki. – Taka cudna pogoda, można będzie popływać.

Po skończonych lekcjach w muzułmańskiej szkole co bardziej wyzwolone dziewczyny szybko ściągały chusty i rozpięły ściśle zapięte pod szyją bluzki. Do takich należały dwie przyjaciółki, które były jak papużki nierozłączki. Codziennie wracały razem ze szkoły do domu, i to oczywiście w towarzystwie kolegów. Dwie dzierlatki cieszyły się ogromnym powodzeniem u płci przeciwnej, co niezbyt radowało ich rodziców. Ale co zrobić? Młodość – podsumowywali starsi, pamiętając jeszcze siebie z czasów, kiedy byli w ich wieku. Islam w Indonezji od zawsze był bardzo tolerancyjny, a reformatorska partia Muhammadija tylko wspierała te idee. Oczywiście wszystko w granicach zdrowego rozsądku i w zgodzie z religią i Koranem.

– Ty głupku, chcesz pływać we wrzątku? – Dewi była pyską dziewczuchą o ciętym języku, tak jak jej matka. – Chyba żeby sobie dupsko poparzyć! – Wybuchnęła niepohamowanym młodzieńczym śmiechem.

– Można pospacerować, pomoczyć nogi, popalić papierosy... – Sutanto nie poddawał się.

– *Haram, haram, haram!* – drażniła się ze swoim kawalerem, podczas gdy Meila, mniej bezpośrednia w stosunku do chłopaków, stała z boku i jedynie przysłuchiwała się rozmowie, podziwiając kunszt flirtowania. – Chcesz mnie namówić do grzechu? – Dewi dla zabawy trzepnęła chłopca po czarnej czuprynie, a następnie wśród chichotów i przepychanek ruszyli pod górę ich stałym traktem do osady.

Indonezja jak długa i szeroka na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat bardzo się zmieniła. Nikt już nie pamiętał o czystkach i nagonce na komunistów, wszyscy zaś chwalili i wielbili nowego prezydenta generała Suharto. To nieważne, że w każdym najmniejszym biurze, szkole,

na uniwersytetach i w ministerstwach pełno było wojskowych. Narodowi wiodło się coraz lepiej i to było najistotniejsze. Nawet najbiedniejszy Indonezyjczyk mógł złożyć do urzędów pisma o finansowe wsparcie i bywało, że je dostawał; wysyłał dzieci do szkół, których coraz więcej otwierano, i leczył się w nowoczesnie wyposażonych państwowych ośrodkach czy szpitalach. To przemawiało do ludzi. A że nadal panował głód i kraj nie mógł wyprodukować wystarczająco dużo ryżu dla swoich obywateli, że minimum socjalne było na pograniczu ubóstwa – trudno. W tych dniach wszyscy cieszyli się wolnością i wierzyli w słowa wodza, że każdy może zostać milionerem.

– Chcesz tam z nimi iść? – Meila wahała się, bo zawsze w mieszanym towarzystwie czuła się nieswojo. Było to chyba spowodowane jej doświadczeniami z ojczymem, który był paskudnym jurnym ogierem. Wydoroślała przedwcześnie dziewczyna nie mogła znieść wieczornych i nocnych odgłosów jego „sekscesów” z biedną matką. Jej nigdy nie słyszała, ani najcichszego westchnienia, lecz ten obrzydliwy chłop nieraz ryczał jak bawół w okresie godowym, zupełnie nie przejmując się tym, że za cienką drewnianą ścianką usiłują spać dzieci.

– A czemu się nie zabawić? – Dewi była rozrabiarą pierwszej wody. – Chcesz wracać do *kampungu* i zajmować się rodzeństwem? A może obiad ugotować? – kpiała z koleżanki, bo ta przy dziesięciorgu młodszych braci i sióstr wiecznie miała pełne ręce roboty.

– Szkoda mi mamy – wyznała Meila, jak zawsze się usprawiedliwiając.

– A mnie szkoda ciebie! – zawołała podżegaczka. – Musisz myśleć o sobie, bo jeszcze chwila i zobaczysz, co będzie. Twój stary lada moment wywali cię z domu. Już opowiada na prawo i lewo, że jesteś dojrzałą kobietą i powinnaś wynieść się na swoje.

– Naprawdę? – Dziewczyna z przerażenia stanęła jak zamurowana, a potem zaczęła gwałtownie łapać powietrze. – Co mam zrobić? Mój Boże! Co robić?! – Wzięła pod rękę swoją towarzyszkę i mocno się w nią wtuliła.

– Znaleźć sobie chłopca, zanim on to zrobi. Wierz mi, ten typek nie będzie przebierał i weźmie pierwszego lepszego, byle się ciebie pozbyć i zagarnąć posag, jaki za ciebie dadzą. Tyle! – oświeciła ją przebiegła koleżanka.

– Ale kiedy ja nie chcę chłopca! – Meila była w kropce, bo jeszcze zupełnie nie dojrzała do małżeństwa, a mężczyzna bała się jak ognia.

– To musisz zacząć zarabiać i przynosić pieniądze do domu. Może wtedy ci odpuści – podsumowała rzeczowo Dewi.

– Ale gdzie znajdę pracę?

– Moja mama potrzebuje kogoś do pomocy w *warungu*. – Zrobiła wymowną minkę i figlarnie uniosła brwi. – Ja się nie nadaję, bo po pierwsze, nie umiem gotować, a po drugie, chcę dalej się uczyć. – Dobitnie podkreślała słowa świadczące o jej wyższości. – Ale ty i tak godzinami siedzisz w kuchni, więc jakbyś robiła to samo za wikt i opierunek, a może też za parę groszy, to niewykluczone, że na razie by się od ciebie odczepił. Wiesz, jaki on jest pies na forszę, a moja mama zawsze coś by ci zapłaciła.

– Skąd wiesz? Nie miałabym śmiałości prosić ją...

– W tym tkwi twój problem! Nie masz śmiałości, nie masz siły przebiccia, nie masz jaj! A dziewczuchy też muszą mieć jaja! – przyjaciółka wykrzyknęła prosto do ucha zszokowanej Meili. – Teraz idziemy nad źródła i obiecuję, że nikt cię tam nie zje ani nie zgwałci, a potem pójdziemy do mnie i wszystko załatwimy. Jeszcze mi podziękujesz! – To mówiąc, mocno ścisnęła dłoń naiwnej koleżanki, którą manipulowała, jak chciała, i pociągnęła ją boczną zalesioną dróżką na stok góry. Chłopcy i parę innych odważnych dziewcząt rzuciło się za nimi pędem.

Goście źródło wypływało z głębi gęstego lasu, którego ścieżki były trudno dostępne

ze względu na ogromną ilość drzew, paproci, lian, grubych bambusów oraz wszechobecnych chaszczy. Na pięknej szerokiej polanie wrząca woda łączyła się z lodowatą górską rzeką i w tym miejscu biła w niebo para przypominająca wyziewy siarki z wnętrza wulkanu. Cały teren był mokry i wprost emanował zielenią, a turkusowe kamienie strumienia lśniły głębokim granatem. Większość ludzi bała się tutaj przychodzić ze względu na pradawne pogańskie przesady, według których miejsce to zamieszkiwane było przez dusze potępionych. Słońce przebijało się przez seledynowe liście, dając niesamowitą, upiorną wręcz poświatę. Młodzi, na początku trochę zaniepokojeni, jednak po chwili już rozbawieni, biegali wte i wewte, krzycząc i pohukując jak młode rozbrykane źrebaczki. Hormony w nich buzowały, chłopcom dreszcz przechodził po plecach, a dziewczęta nie mogły złapać tchu.

– Wchodzimy? – Odważna Dewi pierwsza rzuciła hasło, na które młokosi tylko czekali. Ściągnawszy białe szkolne koszule i błękitne szerokie spodnie, w samych szortach wskoczyli w głębię w miejscu połączenia wód. Dziewczęta jedynie nieśmiało podniosły długie do ziemi spódnice i niepewnie zamoczyły stopy. – No co wy! Wszyscy do wody! – zarządziła prowodyrka.

U podnóża wielkiego rzeczno-kamienia, żłobionego wodami od tysiącleci, bulgotała kipiela, o której legenda głosiła, że mieszka w niej zły brodaty duch wciągający wszystkie niewinne duszyczki, które się do niego zbliżą. Młodzież, beztraska i niepompna przepowiedni, opuszczała się w nurt, który pieścił ich ciała wodą cieplejszą niż ta, jakiej na co dzień używali do kąpieli.

Meila, która nie chciała dołączyć do beztraskiego baraszkowania, jak kozica wspięła się po śliskich otoczkach nad źródło. Z tego miejsca miała wspaniałą widok tak na swoich kompanów, jak i na piękną przyrodę. Jak zwykle oddała się swoim wspomnieniom i rozpamiętywaniu okresu dzieciństwa i szczęśliwych lat. I znów wróciła myślami do pamiętnego roku, kiedy miała pięć lat. Tata gładził ją po twarzy, całował, pouczał, brat figlował z nią w ich pięknym ogrodzie, a młody wujek Jusuf wygłaszał swoje mądrości i uśmiechał się skromnie. Taki inteligentny chłopak! Miał wtedy tyle lat, co ona teraz, może był niewiele starszy.

Widmo tamtych czasów mroziło jej krew w żyłach. Meila czuła się w wiejskiej społeczności jak obca, przez tyle lat nie potrafiła się tutaj zaaklimatyzować. Nie miało to związku z jej pochodzeniem czy umiejętnościami, lecz marzeniami i potrzebami. Choć nie pamiętała szczegółów, wiedziała, że życie może wyglądać inaczej. Ciągle miała wrażenie, że otacza ją bezdenna, beznadziejna próżnia, nic nie było w stanie jej zadowolić i uszczęśliwić. Nie była taka jak jej nastoletnie koleżanki, drżące na myśl o chłopakach z sąsiedztwa. Dla Meili ci poczciwi młokosi byli nikim, chciała i potrzebowała czegoś więcej. Nie знаła żadnych ksiązek oprócz tych przerabianych w szkole, a w większości były to Koran, hadisy⁴³ i muzułmańskie przypowieści, pamiętała jednak opowieść taty o Ramajanie i jego ukochanej żonie Sicie oraz ich wspólne rodzinne wyjście do magicznego teatru cieni w Dżakarcie na spektakl, który był połączeniem widowiska z *wayangami* i artystami. Do tej pory nie zapomniała pięknego aktora, grającego Ramę, bo właśnie ten mężczyzna stanowił dla niej ideał urody. Zaczęła przypominać sobie przedstawianą wtedy, tak dobrze znaną w całej Azji baśń...

Daśaratha, król Ajodhji, dzięki składanym ofiarom został pobłogosławiony kilkoma synami, zrodzonymi z trzech żon. Ramajana, najstarszy i najbardziej umiłowany przez mieszkańców Ajodhji, miał odziedziczyć po nim tron. Jednakże macocha Ramy, Kajkeji, knuła przeciwko ukochanemu synowi króla, powodując, że Rama został wygnany do lasu, a jej syn, Bharata, wyznaczony na następcę tronu. Rama, posłuszny woli ojca, zgodził się odejść, bowiem jego życie opierało się na prawdzie i uległości, a banicję uważał za swoje przeznaczenie.

Towarzyszyła mu wierna żona, Sita, oraz brat Lakszman. Wspólnie opuścili miasto. Rama był lojalny i nigdy nie łamał danego słowa i złożonego ślubu, błąkał się zatem po bezdrożach ze swoją ukochaną i bratem.

Pod koniec wędrówki przez piękny las natrafili na pustelnię, w której osiedli. Tam też znalazła ich siostra demona Rawany, która chciała uwieść Ramę i zniszczyć Sitę, lecz kiedy jej się to nie udało, powróciła do swojego domu na Sri Lance. Opowiedziała bratu o urodzie Sity i demon postanowił ją pojmać. Przy pomocy innego czarta, który pod postacią jelenia odciągnął dwóch braci, Rawana w przebraniu świętego męża porwał Sitę do swojego miasta na Cejlonie. Rama i Lakszman zwrócili się do małp z prośbą o pomoc w znalezieniu i uwolnieniu Sity. Rama najpierw pomógł księciu małp, Sugriwie, który sam znajdował się w podobnej sytuacji, a następnie Sugriwa wysłał swoich poddanych w poszukiwaniu Sity. Kiedy ją odnaleźli, Rama wraz z armią sprzymierzeńców dostał się na Sri Lanke mostem utworzonym przez małpy, pokonał Rawanę i wrócił z Sitą w pełni chwały. Mąż wahał się, czy przyjąć Sitę ze względu na jej pobyt w domu demona, lecz ona poddała się próbie ognia, aby przekonać ukochanego o swojej cnotce.

Po powrocie do Ajodhji Rama został królem, lecz nie ustawały plotki dotyczące czystości Sity. W końcu więc, choć niechętnie, Rama skazał ją na wygnanie. Schronienia udzielił jej Walmiki, który przekazał ludziom tę opowieść. Sita urodziła Ramie synów bliźniaków i opuściła ten świat, aby spocząć w ziemi, z której się zrodziła. Kiedy Ramajana się o tym dowiedział, pogrzyżył się w rozpacz i wraz ze swoimi zwolennikami wstąpił do nieba. Zachowanie Sity było typowe dla kobiet i godne naśladowania. Nie oczekiwano się wtedy od nich zbyt wiele, musiały one jedynie spełnić swój obowiązek jako córki, a następnie żony. Podjęta przez Sitę decyzja, aby mimo protestów towarzyszyć Ramie na wygnaniu, oraz jej wierne postępowanie podczas pobytu na dworze Rawany stanowiły właściwe działanie oddanej, spełniającej swe obowiązki małżonki. A jak odwdzieczył się żonie piękny, dobry Rama? Skazał ją na wygnanie! *Ależ to okrutne!*

Meila zawsze, ilekroć wspominała zachowanie cudownego, wielbionego przez wszystkich Ramajany, nie mogła pojąć jego stosunku do żony i na samą myśl o tym bolało ją serce. Wiedziała jednak, że Rama, będąc królem, musiał postawić tę rolę ponad osobistymi pragnieniami, uczuciami czy wiarą w cnotliwość Sity. Jego łagodna reakcja spowodowałaby chaos, wywołała zwątpienie w umysłach poddanych, a jego podstawowym obowiązkiem, mimo że wiedział o niewinności żony, stało się uspokojenie tych obaw oraz zapobieżenie niepokojom społecznym. Rama do końca był przedstawiany jako król idealny, choć nieszczęśliwy. *Och, biedny Ramajana!* Serce nastolatki drżało z bólu, a przed oczyma wciąż miała przystojnego ucharakteryzowanego aktora. *I biedna Sita!* Meila westchnęła ciężko. Była posłuszna, lojalna, dobra oraz piękna, silna i spokojna, a jednocześnie posłuszna, choć musiała walczyć o swoją sprawę, aby działać zgodnie z tym, co uważała za właściwe. Wykazywała opanowanie i nie uległa Rawanie. Po uwolnieniu z zapalem broniła się przed oskarżeniami Ramy.

Azjatki widziały w postaci Sity wiele cech godnych naśladowania. Mimo że powszechnie uważało się ją za wzorzec uległości, posłuszeństwa i lojalności, które to cechy wielu mężczyzn pragnęłoby widzieć u swoich żon, kobiety często wyciągały z jej zachowania odmienne wnioski. Historia Sity nie była traktowana jak bajka – to było samo życie. Opowiadały o niej pieśni ludowe, które wieśniaczki często śpiewały w polu czy w domu, opiekując się dziećmi i wykonując ciężkie prace. Mówiły o istotnych zdarzeniach z życia ich kobiecego wzorca – o dojrzewaniu, ślubie, ciąży, narodzinach synów, a także o tym, co przytrafiło się Sicie w dżungli, na Sri Lance i podczas wygnania. Słowa pieśni wskazywały na to, że

śpiewającym kobietom niezwykle bliskie są doświadczenia i uczucia Sity – niezrozumienie ze strony mężów oraz cierpienia, które musiała znieść. *Ja jestem taką Sitą*, powracając do rzeczywistości, podsumowała Meila. *Moja mama i większość sąsiadek. Jesteśmy i zawsze będziemy pokrzywdzone i wykorzystywane.*

– Czemu tak dumasz w osamotnieniu? – Dziewczyna aż podskoczyła na dźwięk głosu Mohameda, szkolnego kolegi. – Czemu nie dołączysz do zabawy?

– A ty? – zapytała, w duchu ciesząc się z obecności bratniej duszy, młokosa samotnika, najlepszego ucznia, któremu wszyscy wróżyli karierę imama.

– Ja się do tego nie nadaję – wyznał szczerze, z ironią wykrzywiając się w stronę hasającego w najlepsze towarzystwa, któremu przewodniczyła Dewi w mokrej bluzce opiętej na młodzieńczych jędrnych piersiach. – Ty chyba też – podsumował, siadając obok Meili.

– Tak sobie myślałam o naszej pięknej legendzie o Ramajanie i jego żonie i doszłam do wniosku, że jestem taką Sitą. Uległa, pokorna, beznadziejna...

– To bardzo dobrze! – Ucieszył się chłopak. – Przecież ona jest wzorcem dla wszystkich bogobożnych kobiet. A przynajmniej powinna być.

– Ech, wolałabym być taką Dewi. – Meila patrzyła z zazdrością na wyzwoloną koleżankę. – Dewi po prostu jest Dewi.

– No coś ty! Przecież to bogini występku!

– Jeśli tak, to czemu bogowie ofiarowali jej broń, lwa, którego dosiadała, i wino do picia?

– No właśnie! – wykrzyknął oburzony Mohamed. – Wino i wszelki alkohol jest *haram!* Sama powinnaś coś o tym wiedzieć. – Niezbyt delikatnie nawiązał do problemu jej ojczyma, który w *kampungach* stanowił tajemnicę poliszynela. – A żeby jeszcze kobieta piła, to już wielki grzech!

– Nie opowiadaj! – fuknęła dziewczyna. – Poza tym nie bądź taki zaściankowy! Przecież historie o bogini Dewi donoszą o jej urodzie i wielkich przymiotach. Nie wiesz, że zabiła demona trójzębem i dyskiem? Nawet starożytni buddyjscy bogowie byli pełni uznania dla jej dokonań.

– Ona się wyłamuje. – Chłopak nie dał się przekonać.

– Jako mężczyźni, przyszłemu mężowi i ojcu może ci się to nie podobać. – Meila przyznała mu rację i ze smutkiem pomyślała, że kolega, którego darzyła sympatią, jest taki sam jak wszyscy. – Dewi obrazuje zaprzeczenie kobiety, jako posłusznej obowiązkom żony. Nie wychodzi za mąż i nie może nią zawładnąć żaden mężczyzna czy bóg. Jest wojownicza i agresywna, a nie uległa i zgodna. Wydaje się idealna, powabna i piękna, lecz pije wino i jest niezależna. To coś wspaniałego! – Zafascynowana nastolatka aż klasnęła w dłonie. – Przypomina mi wyzwolone kobiety, które otaczały mnie w czasach dzieciństwa. Te panie w czystych eleganckich ubraniach, niektóre nosiły nawet krótkie sukienki, takie jak w świecie, paliły papierosy, piły wino, rozmawiały z mężczyznami jak równy z równym...

– No i co się stało z tymi elegantkami? – zapytał Mohamed zaczepnie, szybko wstając, by skończyć tę rozmowę. Lubił Meilę jako wcielenie Sity, ale gdy okazało się, że ona marzy, aby być Dewi, gardził nią. – Czy to samo, co z twoją matką?! – Wbił jej szpilę prosto w serce. – Tak się kończy babska emancypacja i rozpusta! Zobaczysz, to samo czeka twoją bezwstydną koleżaneczkę.

– Zamknij się! – stanęła w obronie przyjaciółki. – Spieprzaj stąd!

– Jeszcze popamiętasz moje słowa! – Bogobożny młodzian wykrzywił kpiarsko twarz. – Ona się doigra! – Zeskoczył z kamienia i wszedł w gęsty las, by po chwili zniknąć z oczu oburzonej dziewczyny.

– Dewi, idziemy do domu! Już! – Przeżona przepowiednią, Meila postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. – Bez marudzenia! Zaraz zacznie się ściemniać i dostaniemy wciry!

– Jeszcze pięć minut. Nie bądź taka stara malutka! – Dewi, obejmowana przez swojego adoratora, nie chciała rezygnować z tak przyjemnych, choć jeszcze nie za bardzo znanych doznań.

– To ja idę! Nie będę wечно na ciebie czekać! – zawołała wściekle Meila, nie chcąc być posądzona o takie same lubieżne czyny.

– Dobra, już lecę! – Dewi nie była jednak aż tak odważna i również nie chciała ryzykować dobrej reputacji.

– Od dzisiaj będę cię pilnować – wyznała zadowolona przyzwoitka. – Nie dam ci zginąć!

– A ja tobie. – Rozrabiara przytuliła się do niej swoim rozgrzanym mokrym ciałem. – W jedności siła!

– Jedność w różnorodności! – Wszyscy młodzi wykrzyknęli państwowy slogan, który stał się sentencją ich indonezyjskiego narodu.

– Jak ci idzie? – Dewi codziennie odwiedzała swoją przyjaciółkę, która już od paru miesięcy pracowała w *warungu* jej matki.

– Świetnie – odpowiedziała Meila, udając radość. – A jak w szkole? – Starła się, żeby nie było słyhać zazdrości w jej głosie, bo ona sama musiała zrezygnować z nauki, podczas gdy głupsza Dewi rozpoczęła edukację w liceum w sąsiednim miasteczku Bogor.

– Nudy, ale za to jak skończę państwowy ogólniak, to będę mogła pójść na studia. Może nawet do Dżakarty albo Jogjakarty⁴⁴! – oznajmiła dumnie dziewczyna, jakby już miała papier magistra w kieszeni.

– Świetnie – powtórzyła koleżanka, odwracając wzrok, by zamieszać wielką chochlą w garze z zupą.

– Dasz nam coś zjeść? – Dewi usadowiła się wygodnie na drewnianej ławce pod zadaszeniem z potarganej folii i zapraszała gestem gromadkę swoich nowych znajomych.

– Kochana, twoja mama powiedziała, że nie wolno mi rozdawać jedzenia za darmo...

– Co?! Mnie nie nakarmisz?! – wściekła się dziewczyna. – Cała twoja rodzinka napycha sobie tutaj brzuchy!

– Moja rodzina i twoja rodzina może – dobitnie odpowiedziała Meila. – Ale nikt poza nimi. Inaczej ja nic nie zarobię i moje poświęcenie i praca pójdą na marne. – Z nerwów aż zacisnęła zęby.

– No cóż... – Dewi nieco złagodniała i ze śmiechem zwróciła się do swojego towarzystwa: – Płaćcie, darmozjady! Stać was na szkołę, na dojazdy, to musi być was stać i na koryto!

– A jakaśniżka dla kolegów? – zapytali przymilnie chłopcy, ale Meila przecząco pokręciła głową. – Dla studentów? – drażyli, ale była nieugięta.

– My poprosimy dwa *bakso*⁴⁵ i jeden *nasi goreng*. – Skromne uczennice, które pozostały w muzułmańskiej szkole w Tugu, wyciągnęły pieniądze i dały przykład pozostałym.

– Już się robi! – Młoda kucharka zabrała się do smażenia ryżu, w międzyczasie nalewając zupę do plastikowych miseczek.

– Powinno się wywiesić tutaj jakąś reklamę, wymalować większy szyld. – Dewi miała zmysł organizacyjny i było jej szkoda koleżanki, która od rana do wieczora pracowała za marne grosze. – Na nasze żarcie waliby setki chętnych!

– Nie jest źle – uspokajała ją Meila. – Odkąd zaczęłam tu gotować, zyski się podwoiły, a nawet potroiły! – Zaśmiała się dumna, że ona też coś osiągnęła. – Cała nasza była klasa przychodzi do mnie na zupę albo ryż. Nawet twój Sutanto i jego koledzy. – Adorator Dewi nie kontynuował dalej nauki, lecz tak jak większość z rocznika robiącego małą maturę został we wsi i zdobywał fach.

– Jeśli o nim mowa... – Przyjaciółka zniżyła głos. – Idziemy dzisiaj nad źródła. Może w końcu dołączyłabyś do nas? Nie wolno tak egzystować, dziewczyno! Tylko praca, dom, praca, dom, a w domu też masz od groma roboty. Chodź z nami! Nic ci się nie stanie, jak raz na trzy miesiące trochę się zabawisz i spędzisz czas z rówieśnikami – namawiała.

Meila rzeczywiście zaczęła żyć jak ascetka lub raczej wyrobnica. Zero przyjemności, zero odpoczynku. Od stania przy *warungu* bolały ją plecy i puchły nogi, a w domu nadal pomagała matce i nosiła jej młodsze dzieci w nosilkach, żeby były spokojne i nie płakały. Czowała się, tak jakby sama już miała rodzinę i wychowywała swoje pociechy. Była dojrzała jak na swój wiek, doświadczona przez życie i całkowicie załamana. Przyszłość, którą przed sobą widziała, malowała się wyłącznie w czarnych barwach. Zawsze ciężko pracowała w domu, usiłując ulżyć matce, lecz szkoła była miejscem, które dawało jej radość i pozwalało się zrelaksować. Teraz została pozbawiona nawet tego. Mała matura to według jej ojczyma i tak aż nadto dla dziewczyny, której jedynym przeznaczeniem jest wyjść za mąż i rodzić dzieci. Dlatego też najchętniej, tak jak wróżyła Dewi, wydałby ją za byle kogo i pozbył się dorosłej według niego pannicy z domu. Matka przestała już nawet oponować, bo jej podły mąż coraz częściej spozierał na ładną i powabną Meilę pożądliwym wzrokiem. Fatuma bała się najgorszego, izolowała więc swoją córkę, jak tylko mogła.

– Idź się zabaw – zachęcała ją do wyjścia, licząc, że dziewczyna sama znajdzie sobie chłopaka lub nawet przyszłego męża i zazna choć trochę szczęścia. – Nie możesz non stop tylko harować.

– A ty? – zapytała Meila z troską w głosie.

– Nie żartuj sobie! – Kobieta wybuchnęła śmiechem, pokazując nieliczne już zęby. – Ja jestem żoną, matką i taki mój los. Ty jesteś młoda i powinnaś mieć trochę przyjemności z życia, zanim wylądujesz w takim szambie, w jakim ja wylądowałam. – Pokazała ręką dookoła, a że akurat były w kuchni i siedziały na klepisku wśród jarzyn, obierek i śmieci, to jej słowa dosadnie zobrazowały sytuację.

– Myślisz, mam, że nie mam już szansy na powrót do szkoły? – cichutko i nieśmiało sondowała Meila.

Fatuma tylko pokręciła głową, patrząc ze smutkiem w oczy swojej ukochanej córki. Ścisnęła wąskie usta, wokół których zagęszczała się sieć głębokich zmarszczek. *Boże, jak ona się postarzała!*, pomyślała Meila, z przerażeniem drżąc na całym ciele. *Jaka jest zniszczona, wyczerpana, wykorzystana! Ja tak nie chcę!*

– Co ci jest? – Fatuma przytuliła ją do wyschniętej obwisłej piersi.

– Ja tak nie chcę! – krzyknęła dziewczyna. – Nie chcę takiego życia! – powtórzyła, po czym z płaczem wybiegła z domu i ruszyła pod górę do lasu nad ciepłe źródła.

Całe zabawowe towarzystwo zebrało się już na rozległej polanie otoczonej gęstym podzwrotnikowym lasem. Światło z trudem przebijało się przez wielkie liście, przybierając ich turkusowo-nefrytową barwę. Jako że była sobota, wszyscy świętowali weekend i jutrzejsze wolne, którym jedynie Meila nie mogła się cieszyć, bo pracowała siedem dni w tygodniu. Chłopcy przynieśli blaszaną miednicę, w której teraz rozpalali ogień, a dziewczęta wyciągały z koszyków smakołyki. Chcieli upiec kurczaka *satey*⁴⁶, do którego słodki sos Dewi podebrała matce; inna dziewczyna wyciągała z zawiniątka biały ryż ugotowany na parze. Meila,

z trudem stąpając po grząskiej ścieżce, podmokłej, gliniastej i szczelnie pokrytej mchem, zorientowała się, że nie przyniosła nic, co mogłaby dołożyć do biesiady. Zdesperowana, już chciała się wycofać, kiedy zainteresował ją niewyraźny kształt na oddalonej od polany, samotnej skale, na której uwielbiała przesiadywać. Rozpoznała Mohameda, chłopaka, który jakiś czas temu ją adorował, a po ukończeniu gimnazjum zaczął praktykować w meczecie. Ich ostatnia dyskusja całkowicie zniechęciła Meilę do niego.

– Hej, młoda! Co się tak skradasz? – Rozbawiony Sutanto wypatrzył ją wśród zarośli. – Chodźcie no do nas! – Z obszernego wora wyciągnął zielone szklane butelki. – Mam coś dla was, dziewczęta. – Mrugnął do swojej Dewi. – Lubicie słodkie wino palmowe, no nie?

– Skąd to masz? – Meila nie była zadowolona z takiego obrotu spraw.

– Od twojego tatusia, Hariego. Produkuje najlepsze w okolicy – zaśmiał się.

– Chcesz skończyć tak jak on? – Nie kryła oburzenia. Znała Sutanto jako zdolnego ucznia i dowcipnego, dobrego człowieka, ale od kiedy musiał stać się dorosły i podjąć pracę, zmienił się nie do poznania i zatracił gdzieś całą swoją uczciwość.

– Źle mu się nie powodzi. – Sutanto znów zachichotał, a Dewi, chcąc powstrzymać go od dalszego komentarza, szarpnęła za rękaw jego rozchełstanej koszuli. – W *kampungu* na zboczach góry ma wielki rozległy dom, kupił sobie samochód, ma motor i młodą żonkę, ubraną jak z obrazka w amerykańskiej gazecie. Co mu więcej trzeba? – wypalił figlarnie, podnosząc przy tym ramiona do góry.

– Żonę, dom, pieniądze...? – wyszeptła zszokowana Meila, po czym podniosła głos: – A my nieraz nie mamy co do pyska włożyć! Mojej mamie każe jeszcze w polu pracować, bo jak chcemy ryż, to musimy go sobie wyhodować! – Łzy stanęły jej w oczach. Widząc to, Dewi szybko wstała i mocno przytuliła koleżankę. – Od kiedy tak mu się wiedzie? Od kiedy ma drugą żonę?! – Dziewczyna nie panowała już nad sobą.

– Od dawna. I wszyscy o tym wiedzą. Myślę, że twoja matka też – wyszeptła przyjaciółka. – Godzi się na to i tyle, bo widać nie ma innego wyjścia.

– Dziewuszk! Napijcie się na te smutki. – Sutanto podał im wino w plastikowych kubkach. – Zaraz wam się humor poprawi! – Sobie i kolegom nalał ryżowej whisky.

Po minach zebranych widać było, że ta sytuacja nie za bardzo przypada im do gustu. Trzech chłopców pochodziło z ubogich, ale uczciwych rodzin i klepało biedę tak jak Meila i jej matka. Musieli rzucić szkołę i znaleźć jakkolwiek pracę, więc handlowali na ulicy czy szkolili się w okolicznych warsztatach. Uczestniczące w spotkaniu dwie odważne dziewczyny wykorzystywały zaufanie swoich rodzin, które składały się na ich naukę, aby w przyszłości, będąc nauczycielkami czy lekarkami, to one sprawowały nad starymi pieczę. W całym towarzystwie jedynie Dewi i Sutanto, wieczny kombinator, nie mogli narzekać na swoje położenie.

– Ja nie piję alkoholu, bo to jest *haram*. – Meila otarła oczy i w przeczącym geście wyciągnęła przed siebie ręce. – Dzięki.

– Zgłupiałaś? – zdziwiła się Dewi z szelmowskim błyskiem w oku. – Jesteśmy buntowniczkami, nie poddajemy się, będziemy emancypantkami, które walczą o swoje prawa, popijając wino – zaśmiała się gromko.

– Ani się obejrzysz, a nie będziesz Dewi, lecz Sitadewy⁴⁷ – ostrzegła przyjaciółka, wiedząc, jak w większości kończą zbuntowane dziewczyny.

– Bzdurzysz! – Dewi dała jej kuksańca w bok. – Nie dam się usidlić żadnemu niechcianemu mężczyźnie. Sama wybiorę sobie męża... a zresztą już wybrałam. – Spojrzała namiętnie na swojego chłopaka, który przechylał właśnie kolejny kubek alkoholu.

– Zobaczysz, wspomnisz moje słowa – upierała się Meila. – Faceci lubią się zabawiać

z wesołymi dziewczętami, ale przeważnie się z nimi nie żenią. Po wszystkim ponoć tracą do nich szacunek.

– Skąd ty masz takie informacje? Kto ci takich głupot nakładł do tej twojej zakutej muzułmańskiej łepetyny? Mamy już przecież siedemdziesiąty szósty rok! Jakbyś chodziła do świeckiej szkoły, to wiedziałabyś, jak prowadzą się kobiety w Ameryce czy Europie. A jak się ubierają! Ha! Tam jest swoboda! Nie to co u nas, długie sarongi, rękawy i głowy zakryte chustami po uszy, a co poniektóre i razem z uszami.

– My żyjemy w Indonezji, a nie w Ameryce – odpowiedziała rozsądnie Meila, ale znudzona Dewi lekceważąco obróciła się do niej plecami.

– Kto tam jest? – Nagle chłopcy usłyszeli szelest na wzniesieniu, a że zaczęła zapadać szarówka, na gęsto porośniętym terenie nie mogli rozpoznać, czy to zwierzę, czy człowiek. – Kto tam? – Rzucili się biegiem, skacząc zwinnie po skałach.

Dewi, nie przejmując się niczym, błyskawicznie ściągnęła z siebie tradycyjne ubranie. Oczom wszystkich ukazało się jej prawie nagie ciało – jedynie w kuszach szortach i kolorowym staniku.

– Och! Co to?! – Sutanto jedynie kątem oka zauważył strój swojej dziewczyny, ale tak to na niego zadziało, że zachwiało się, poślizgnął na mokrym otoczaku i z otwartą buzią wpadł do najgłębszej kipieli z gorącą wodą.

– To, moi drodzy, nazywa się kostium kąpielowy. – Nastolatka, w której buzowały hormony, wypięła swoją małą pierś i seksownie kręcąc biodrami, podeszła do brzegu, by podać rękę swojemu chłopcu. Sutanto tylko na to czekał – złapał dłoń Dewi i wciągnął dziewczynę do rzeki. Ich młode ciała złączyły się w zmysłowym uścisku, a spragnione wargi łapczywie szukały upragnionych ust.

Zszokowana Meila i zgorznione koleżanki odwróciły wzrok od erotycznej sceny i podążyły za krzyczącymi kolegami na wzgórze.

– Patrzcie, kogo my tu mamy! – wykrzyknęli młokosi. – Podglądacz! Wredny szpieg imama! – Ze złością ciągnęli Mohameda za poły długiej prawie do ziemi koszuli.

– Co tu robisz? Kto cię nasłał? – pytały piskliwym głosem przestraszone dziewczyny. – Czego od nas chcesz?

– Nasza *umma*⁴⁸ nie potrzebuje takich wyrzutków jak wy! – groźnie wykrzyknął młodzieniec, rzucając przy tym gromy oczami. – Jesteście źli! Zepsuci do szpiku kości! Takich grzeszników imam nie chce widzieć pod swoim dachem! Bóg też już was nie chce! – użył najpoważniejszego argumentu.

– Spadaj stąd, oszołomie! – wrzasnął Sutanto, gramoląc się na nabrzeże. – Wieś nie chce takich jak ty! – podsumował, na co religijnemu chłopakowi zrzędła mina. – Nie lubimy donosicieli!

– Stary, ta skała aż ścieka! – Pozostali chłopcy, którzy byli już na górze, chichotali lubieżnie. – To nie żaden szpieg, ale masturbator! – Z rozbawienia aż klepali się po udach. – Świnia!

– Precz! Precz z nim! – darli się, popychając Mohameda w dół ścieżki.

– Wynocha! – Dołączyły dziewczyny. – Nie będziesz nas straszyć!

Młodzież, dopingując się nawzajem, stawała się coraz bardziej agresywna. Na polanie chłopcy chwycili intruza, podnieśli leżące na ziemi kije i zaczęli go nimi okładać, dziewczyny zaś kopały pseudodewota po łydkach. W końcu poobtłukiwany i obolały Mohamed wyrwał się i wbiegł między drzewa.

– Jeszcze zobaczymy, czyje będzie górą! – wykrzyknął na pożegnanie. – Jeszcze mnie popamiętacie!

W całym tym zamieszaniu Meila czuła się jak piąte koło u wozu. Po cichu weszła w las, gdzie otoczyła ją głęboka ciemność. Powoli wracała do domu, obiecując sobie, że w tej kompanii nad ciepłe źródła już więcej nie pójdzie. Cały czas słyszała gorzkie słowa Sutanto o jej ojczymie i jego bogactwie. *Co za niesprawiedliwość!*, nie mogła się nadziwić. *Co to za człowiek, który pozwala głodować swoim bliskim, podczas gdy sam pławi się w dostatku? Co to za życie?!*, wzdychała co chwila, błakając się bez celu.

Do domu wróciła, kiedy niebo zaczęło barwić się pierwszą zorzą, a góry tonęły jeszcze we mgłach i różowej poświacie. Nikt na nią nie czekał, nikt się nie martwił, nikt o nic nie zapytał. Padła na wyrko w kuchni pod palami i wbiła tępy wzrok w osmolone deski sufitu. *Nie pozwolę sobą pomiatać, jak robi to moja matka! Nie dam się tak traktować! Ja będę miała inne życie!*, obiecała sobie. Z takim postanowieniem zapadła w mocny sen, akurat gdy muezin wzywał na poranną modlitwę, by obudzić się silna i rześka po dwóch godzinach i pójść do codziennej pracy w *warungu*.

– Meila, przywiozłam plakat! Rewelacja! – Dewi nie przestała wpadać do swojej byłej przyjaciółki, choć nie wiadomo, czy robiła to ze względu na codzienny obiad, czy z prawdziwej sympatii i sentymentu. – Zrobiłyśmy w szkole z koleżankami na zajęciach technicznych.

– I dostałyśmy jeszcze za niego piątki! – Chwaliły się rozbawione dziewczęta.

– Teraz będziemy miały reklamę i w końcu zaczniemy godziwie zarabiać! – oznajmiła emancypantka. – Mama chce kupić większy *warung*, a może nawet postawimy lokal przy drodze. Miałabyś fajnie, nie? Zadaszenie, ławeczki, krzeselka... – Zachwalała, nie zastanawiając się nad tym, że w związku z poszerzeniem działalności Meila będzie miała dwa razy tyle pracy, a do tej pory nikt nie pomyślał o zatrudnieniu kogokolwiek do pomocy zaharowanej dziewczynie. – Czemu się nie odzywasz?! Ciągłe masz muchy w nosie?! – Dewi nie wytrzymała obojętnej postawy i braku aprobaty koleżanki.

– Chciałabym pracować sześć dni w tygodniu, to znaczy mieć przynajmniej jeden wolny. – Meila w końcu odważyła się na postawienie jakiegoś warunku. – Może w niedziele ty mogłabyś mnie zastąpić? – zaproponowała.

– Co?! Chyba ci się we łbie pomieszało! – wściekle wykrzyknęła Dewi. – Ja mam szkołę i naukę! Poza tym nie jestem od gotowania! – postawiła sprawę jasno.

– A twoja mama nie mogłaby kogoś znaleźć na ten jeden dzień? – pokornie zapytała Meila.

– Słuchaj, ona na twoje miejsce znajdzie setkę dziewczyn! Rozejrzyj się, ilu ludzi nadal żyje na ulicy. Ilu nie ma pracy. Każda jedna baba z wioski dałaby się zabić, żeby siedzieć sobie w ciepélku i mieć co zeżreć – zastraszała Dewi, pokazując swoje prawdziwe oblicze. – Może ty w ogóle nie potrzebujesz roboty, co?! Powiedz! Nie krępuj się!

– Przepraszam. – Biedna dziewczyna nie miała już co dyskutować. Widziała, że Dewi z roku na rok coraz bardziej upodabnia się do swojej wrednej matki Utami. – To był głupi pomysł – korzyła się i starała nie patrzeć rozsierdzonej rozmówczyni w oczy, żeby jeszcze bardziej jej nie zdenerwować.

– Zamontować mi ten plakat! – Młoda bogaczka krzyknęła do wychudłych mężczyzn, którzy siedzieli pod murem i nie mając nic do roboty, kurzyli papierosa za papierosem. – Dostaniecie za to miskę dobrej zupy – zaoferowała. Dopiero na te słowa zbiegło się chyba z dziesięciu chłopów. – Wystarczy, wystarczy! – Brutalnie odepchnęła paru pomocników. – Nie będę za jedną drobną usługę żywić tylu nierobów! – znów podniosła głos. – A ty dzisiaj możesz

sobie dodatkowo zjeść moją porcję – zjadliwie wyszeptala do przyjaciółki. – Ja straciłam apetyt.

Fajsal jechał wąską zatłoczoną drogą w kierunku gór Puncak, które w Rijadzie polecił mu kolega z pracy. Piekł się niemiłosiernie w nagrzanym samochodzie, bowiem mały wąty wentylator miał jedynie upalne wilgotne powietrze. *Po co ja go posłuchałem?*, złościł się na siebie. *W takich warunkach to chyba dostanę zawału serca i zdechnę marnie w tym dzikim, prymitywnym kraju. Trzeba było przeczekać w Taif lub w koczowniczym beduińskim obozie, a nie ulegać jakimś głupim sentymentom do odkrywania nowych lądów i słuchać opowieści o cudownym życiu w Azji. Po co mi to, skoro mam swoją pustynię, którą dobrze znam i na której nadal czuję się jak u siebie w domu? Wallahi49!*, wzdychał, raz za razem ocierając pot z twarzy.

Nagle samochód gwałtownie zahamował, a zniesmaczony mężczyzna z nudów zaczął baczniej przyglądać się temu, co się dzieje na ulicy. Jacyś niezdarne wychudzeni ludzie usiłovali przymocować wielką reklamę do cienkich deseczek nad *warungiem*. Ostatecznie wszystko, włącznie z jadłodajnią, wylądowało na ulicy. Saudyjczyk z pogardliwym uśmiechem pod nosem patrzył na spanikowanych ludzi, którzy nieudolnie próbują pozbiierać wszystko z drogi. Nagle jego wzrok padł na indonezyjską dziewczynę w spranym, ale czystym, barwnym, długim do ziemi sarongu, białej bluzce z rękawami i z czarnymi włosami splecionymi w gruby, sięgający pasa warkocz. Młoda kobietka była śliczna i rysy jej twarzy oszołomiły cudzoziemca, bowiem jeszcze nigdy nie widział czegoś tak delikatnego i subtelnego. *Wygląda jak azjatycka porcelanowa laleczka*, stwierdził, nie mogąc oderwać od niej oczu. Dziewczyna biegła w kółko, krzycząc i targając włosy. *Prawdopodobnie to cały jej dobytek*, podsumował Fajsal i po raz pierwszy poczuł współczucie dla biednego człowieka.

– Zjedź na pobocze! Zaparkuj! Już! – krzyczał do kierowcy po angielsku, ale ten, niewiele rozumiejąc, wytrzeszczał tylko oczy ze zdumienia. – *Kanan! Kanan! Jalan... kanan! Berhenti!* – Obcokrajowiec przypominał sobie podstawowe słowa, których nauczył się z małego indonezyjskiego słowniczka, próbując połączyć je w jakąś logiczną całość.

– *Baik, tuan.* – Przerażony wrzaskami szofer aż skurczył się w sobie i zdesperowany przeciął zatłoczoną drogę, niemal taranując ludzi.

– Co się stało? – Fajsal zwrócił się do tłumu. Wszyscy zamarli i z rozdziawionymi ustami gapili się na wysokiego mężczyznę w białej jak śnieg, długiej do ziemi sukni i czerwono-białej chuście na głowie. – *Ada apa?* – powtórzył po indonezyjsku.

– Mały problem, nic takiego – tłumaczyli łamaną angielszczyzną, nisko gnąc przed nim plecy. – Zaraz naprawimy, za pięć minut droga będzie przejezdna, panie.

– A co z tobą? – Saudyjczyk bezpośrednio zwrócił się do dziewczyny, której łzy ciurkiem ciekły po twarzy.

– Pani Utami mnie zabije! – wyjęczała Meila, przyciskając drobne dłonie do piersi. – Pani Utami da mi w kość! Nie wypląć się!

– To nie twój biznes? Więc co tutaj robisz?

– Pracuję tylko. Ja biedna jestem i nie stać mnie na *warung* – wyznała, patrząc ufnie w surowe oczy przybysza.

– Mieszkaś tutaj? – Fajsal, nie kryjąc obrzydzenia, rozejrzał się po okolicy, a ponieważ od lat był bogatym człowiekiem, ogrom brudu i ubóstwa rozpościerający się dookoła zrobił na nim dojmujące wrażenie. – Żyjesz na ulicy?! – Oburzył się i już chciał odejść, bo przecież osoba na jego poziomie nie będzie zadawała się z żebrakami czy nawet z najpiękniejszymi żebraczkami.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła Meila, żywo przy tym gestykując. – Kwateruję w domu w *kampungu* na wzgórzu z mamą i rodzeństwem.

– Nie masz ojca? – Mężczyzna znów pogardliwie wygiął wargi, bo nieślubne dzieci dla Araba są nie do przyjęcia. Są jak zgniłe jaja, które czym prędzej należy wyrzucić.

– Mój ojciec nie żyje – wyjaśniała, używając kiepskiej szkolnej angielszczyzny, do której co chwila wtrącała indonezyjskie czy arabskie słówka. – Mama wyszła powtórnie za mąż, ale jej men nie za bardzo się o nas troszczy. Zostawił nas z piątką swoich dzieci, a drugie tyle jeszcze jej dorobił. Ale posiadamy całkiem dużą i porządną chatę i zawsze worek ryżu, trochę owoców i warzyw, więc nie jest tak źle. – Meila uśmiechała się już promiennie, bo młodość szybko wpada w rozpacz, ale jeszcze szybciej z niej wychodzi.

Z zadowoleniem obserwowała, jak mężczyźni pod srogim okiem cudzoziemca podnieśli wózek na kółkach, postawili na swoje miejsce, a nawet zaczęli zbierać z trotuaru zapiaszczone, brudne mięsne kulki.

– *Baik-baik*⁵⁰ – stwierdzili, usatysfakcjonowani swoją robotą.

– Macie tutaj na zupę. – Fajsal wyciągnął w ich stronę parę groszy, ale po chwili cofnął dłoń, by dać pieniądze Meili. – Żebyście się nie rozmyślili co do jedzenia w tym barze, to kucharka od razu weźmie kasę.

– Ależ, panie... – Wieśniacy trochę się krzywili, ale i tak byli zadowoleni, że napełnią burczące brzuchy, i to dwukrotnie: raz dzięki obietnicy panienki Dewi, a drugi przez szczodropliwość tajemniczego przyjeźdnego.

– Masz brata? – Saudyjczyk przysiadł na zakurzonej ławce i obserwował, jak młoda Indonezyjka uwija się przy doprowadzeniu jadłodajni do stanu używalności, a następnie przy gotowaniu.

– Dwóch – odparła, nie przerywając pracy. – Jeden jest trochę młodszy, a drugi starszy ode mnie. Ten to straszny łobuz, bo poszedł w ślady tatusia, a mojego ojczyrna, i już pije alkohol.

– Jak to możliwe? – Fajsal nie mógł się nadziwić. – Słyszałem, że w tym regionie mieszkają w większości muzułmanie! Nie do pomyślenia! – Zbulwersowany, pospiesznie wyciągnął z kieszeni białej sukni arabski różaniec i błyskawicznie zaczął przerzucać koraliki między palcami.

– No... muzułmanie. – Meila speszyła się. – Ale tacy... nasi, indonezyjscy muzułmanie. – Używała naiwnych argumentów jak dziecko. – Nie tacy jak w Koranie czy w hadisach.

– A dlaczego nie? – krzyknął głęboko wierzący Saudyjczyk. – Islam jest ten sam na całym świecie... a w każdym razie powinien być. – Złagodniał trochę, bo zobaczył, że mocno przestraszył niewinną dziewczynę.

– Przepraszam, panie. – Opuściła wzrok.

– A za cóż ty mnie przepraszasz?

– Nie zakrywam włosów – usprawiedliwiła się, patrząc nieśmiało w ziemię. – Nie mam chusty...

– Jutro ode mnie dostaniesz, dobrze? – zapytał życzliwie, całkiem nie jak surowy i despotyczny, bogobojny wahabita, po czym podniósł jej małą buzię za brodę i spojrzał z rozanieleniem w oczy. – Jaki kolor chcesz? Bo tutaj chyba nie nosi się czarnych?

– Barwną... w kwiatki... nie wiem... – jąkała się, zszokowana i uradowana swoim niespodziewanym szczęściem.

– Gdzie cię znajdziesz?

– W tym samym miejscu – wyszeptała, z podniecenia nie mogąc złapać tchu. – Od rana aż do zmierzchu, panie.

– Mów mi Fajsala. Tak mam na imię. – Przedstawił się i zadowolony skierował w stronę czekającego na niego dzia. – Jak przygotujesz jutro dobrą zupę, to z chęcią skosztuję – obiecał, a dziewczynie z radości aż chciało się skakać.

Gdy Fajsala dochodził do samochodu, podbiegł do niego indonezyjski młody mężczyzna w szarej długiej do pół łydki galabii i turbanie.

– *Pak! Said!* – tytułował go unieźlenie, kłaniając się w pas. – Ja znam arabski, troszkę angielski i oczywiście indonezyjski – wymieniał jednym tchem, mieszając wszystkie trzy języki. – Może się panu przydam jako tłumacz?

– A skąd arabski? – Fajsala zdziwił się dziwną wymową młodzieńca.

– Chodzę do islamskiej szkoły i jednocześnie studiuję Koran i hadisy. Chcę być muzułmańskim duchownym, proszę wielmożnego pana – wyjaśnił z dumą. – Mam na imię Mohamed, tak jak nasz prorok, niech będzie błogosławione imię jego.

– No to, Mohamed, wskakuj do samochodu. – Saudyjczyk był bardzo zadowolony, bo zobaczył, że jego chwilowe zesłanie do tego prymitywnego kraju może nie będzie aż takie tragiczne. – Znasz tę dziewczynę? – zapytał, ogarnięty tylko jedną myślą.

– Oczywiście! Mieszka tutaj chyba od dziesięciu lat. Dobra panna, ale uboga. Ojciec szmata. – Młokos potwierdził wcześniejsze słowa Meili. – One były miastowe, przyjechały z Dżakarty, matka wykształcona, piękna kobieta, a teraz...

– Musiała być piękna, skoro wydała taką córkę – oznajmił autorytatywnie Fajsala, na co Mohamed zmarkotniał, bo po tych słowach zorientował się, o co chodzi Arabowi.

– To dokąd teraz? – zapytał ogłupiały szofer.

– Tam gdzie jechaliśmy. Do hotelu jakiegoś Polaka, nie jestem w stanie wymówić nazwiska. – Pokazał mu kartkę z napisaną nazwą. – Że też ci z Europy tak upodobali sobie tę Azję! Ale żeby aż się tutaj osiedlać? – Nie mógł się nadziwić.

– Bukit Indah⁵¹ to bardzo piękne miejsce – zaznaczył z dumą tłumacz. – A mister Bleszyński to wspaniały gość. Pokochał indonezyjską kobietę i nasz kraj jednocześnie. Hotel Bukit Indah to wysoki poziom na pięknym szczycie. – Zaśmiał się ze swojego dowcipu, ale widać było, że Saudyjczyk albo go nie słuchał, albo nie zrozumiał.

Fajsala oddał się rozmyśleniom i wspomnieniom, które ostatnimi czasy stale go dręczyły. Nie zawsze był takim eleganckim zamożnym mężczyzną jak teraz. Urodził się w beduińskim namiocie i należał do plemienia, które od wieków zajmowało się wypasem wielbłądów na wielkiej saudyjskiej pustyni Rub al-Chali. Lider ich rodu, jego dziad, pomimo że był analfabetą, wiedział, do kogo się przyłączyć i kogo popierać.

To dzięki takim jak on, fanatycznym *ichwanom*, którzy byli zbrojnym ramieniem rodziny Saudów, podbiła ona ogromne terytorium Arabii i była w stanie zyskać plemienną i militarną przewagę na terenach Półwyspu Arabskiego. Przy pomocy grup beduińskiego pochodzenia Saudowie zwalczyli beduiński styl życia, który funkcjonował do momentu, gdy zrealizowali swoje wielkie ambicje – uzyskali władzę absolutną.

W tamtych odległych czasach, kiedy dziad Fajsala był wojownikiem, a ojciec młodym mężczyzną, radykalizm religijny *ichwanów* był wygodnym pretekstem do tego, by przekonać zasadniczo odmienne klany do zjednoczenia się. Sam ruch miał na celu zastąpienie prymitywnej kultury radykalnym islamem. Za pośrednictwem żarliwych kazań oraz przy użyciu brutalnej, budzącej grozę siły lokalne społeczności nomadów zostały podporządkowane i zachęcone do tego, by podążać ścieżką proroka Muhammada, nawet jeśli rekomendowano im to pod przymusem. Fanatyzm religijny stał się tkanką spajającą rozdrobnione lenno we wspólne królestwo. W ten sposób ogromne społeczności koczowniczych Beduinów z saudyjskich stepów przekształciły się w ludność osiadłą. Jednak siła i brutalność były dobre

do czasu – w momencie, kiedy Arabia Saudyjska zechciała funkcjonować na arenie międzynarodowej, stały się niedopuszczalne. Po pewnym czasie główne narzędzie, które doprowadziło Saudów do władzy, zostało przez nich odrzucone i potępione.

Ichwani, na czele których stał dziad Fajsala, poczuli się głęboko urażeni, zwłaszcza że uważali się za Armię Boga. Wtedy też skończyła się ich cierpliwość i nie wykazywali już niezachwianej lojalności wobec swojej monarchii i króla. Król Abd al-Aziz dzięki brytyjskiemu wsparciu uporał się z narastającą bolączką. Przywódcy *ichwanów* zostali uwięzieni i przetransportowani do Rijadu, gdzie wybitni spośród nich zostali wcieleni do Komisji Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom – funkcjonowali pod nazwą *mutawwa*. Zajmowali się oni nadzorem nad państwem i zapewniali bezpieczeństwo słabej monarchii, która ich pobiła, znieważyla i odsunęła.

Fajsal, kiedy tylko zaczął cokolwiek rozumieć z wielkiej polityki, nie mógł podarować ojcu, że zdradził swoich braci i zamiast ich wspierać w niedoli, zajął się ich wychwytywaniem i osadzaniem w więzieniach, a potem przeciąganiem na rządową stronę. Mądry i wykształcony człowiek jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy – albo celowo odsuwał od siebie ten fakt – że gdyby ojciec nie zaprzedał się monarchii, w najlepszym wypadku Fajsal nadal pasałby wielbłądy na saudyjskich stepach, żył w nędzy, biedzie i poniżeniu. A tak mądry Beduin mógł zagwarantować synom wykształcenie, pieniądze i lepszy start, niż miał sam. Kiedy odchodził ze stanowiska, zaproponował na swoje miejsce pierworodnego syna, gwarantując jego lojalność i prawość oraz pełne oddanie prawu szariatu i rodzinie królewskiej.

Fajsal jednak wołał pracę w biurze od uganiania się za przestępcami po zakurzonych upalnych ulicach Rijadu. Z grzeczności i posłuszeństwa w stosunku do ojca udał się jednak do naczelnej siedziby komisji, która mieściła się na starej Dirze. Kiedy czekał na wizytę u naczelnego szefa w wielkiej hali archiwum, gdzie kazano mu wejść, z nudów sięgnął do otwartej kartoteki i zorientował się, że od samego początku *mutawwa* rekrutowali się spośród biedoty miejskiej i wiejskiej, a nawet więźniów, którzy wyszli na wolność, bo nauczyli się na pamięć Koranu i poddali się wahabickiej indoktrynacji, zgadzając się na śledzenie, donoszenie i więzienie Boga ducha winnych obywateli królestwa. Znalazł tam akta całej swojej rodziny, począwszy od dziadka, beduińskiego przywódcy, który walczył ramieniem z Abd al-Azizem, założycielem dynastii Saudów. Na każdego mieli jakiegoś haka, a kiedy zobaczył zapisaną wysokość posagu, jaki jego ojciec zapłacił za żonę, włosy stanęły mu dęba. *Co za szpicle!*, pomyślał, drżąc na całym ciele. Była tam też jego teczka, jakby specjalnie wyciągnięta i położona na małym podręcznym stoliku. Otwarto ją na stronie, gdzie odnotowano to, o czym on sam od lat usiłował zapomnieć. Wybiegł z tego paskudnego miejsca jak oparzony i udał się do domu. Jego żona i małe córeczki nie wiedziały, co się dzieje, ale Fajsal zrozumiał, że albo weźmie tę niechcianą, pogardzaną pracę, albo wyładuje w więzieniu. Błyskawicznie zdecydował, że musi wyjechać ze swojego ukochanego kraju.

Teraz doszedł do wniosku, że jednak dobrze, iż posłuchał kolegi i przyjechał do odległej Indonezji. Przez okno samochodu oglądał piękne widoki, głębokie kotliny, rwące rzeki i obfite rybne stawy. Strzeliste góry porośnięte były gęstym podzwrotnikowym lasem, który przeplatał się z pasmami pól ryżowych i plantacjami herbaty. Kiedy zobaczył hotel Bukit Indah, poczuł podziw dla nieznanego Polaka, który wybudował nadzwyczaj piękny kompleks w tak niezwykłym miejscu. Był też pełen uwielbienia dla Boga, że stworzył taki piękny świat dla niegodnych grzesznych ludzi. Postanowił jak najszybciej się zakwaterować i w końcu oddać modlitwie, którą w okresie podróży zaniedbywał. Gdy tylko wskazano mu kierunek na Mekkę, dokonał ablucji, nic nie jadł, nie pił, bił jedynie pokłony przed Allahem aż do samego zmierzchu.

Następnego dnia rano Fajsala obudził muezin wołający na modlitwę z pobliskiego meczetu. Jego piękny, tęskny głos głoścący całemu światu *Allahu Akbar*⁵² ucieszył głęboko wierzącego Saudyjczyka. W końcu poczuł się jak w domu. Pierwszą czynnością, jaką wykonał po przebudzeniu i umyciu, była oczywiście modlitwa. Po niej już mógł się zająć realizacją swojego planu.

– Mohamed! – zawołał na chłopaka, który siedział na podłodze przed drzwiami jego pokoju i czekał na polecenia. – Zawieź mnie do miasteczka, a potem pojedziesz z moim kierowcą poszukać ojczyma tej dziewczyny. Jak jej na imię?

– Meila, panie – odpowiedział usłużnie chłopak i wbił smutny wzrok w podłogę.

Będąc inteligentnym młodzieńcem, od razu domyślił się, jaki to wredny zamiar ma jaśnie pan z ortodoksyjnego islamskiego kraju. Saudyjczycy nigdy nie cieszyli się poważaniem wśród tolerancyjnej ludności indonezyjskiej, nie tyle za to, że byli psami na amerykańskiej krótkiej smyczy, ile przede wszystkim, ponieważ tak surowo przestrzegali prawa szariatu, co dla Azjatów było niewykonalne. A co najgorsze, coraz częściej wychodziło na jaw, że ich głęboka wiara i reżim są tylko udawane. Teraz zaś, kiedy Faisal chciał się spotkać z opiekunem Meili, Mohamed wiedział dokładnie, o co chodzi Saudyjczykowi. Słyszał już o takich szybkich czasowych małżeńskich kontraktach, które umożliwiają głęboko wierzącemu muzułmaninowi z czystym sumieniem wykorzystać niewinną dziewczynę, a następnie bezpardonowo ją porzucić. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał pośredniczyć w takim procederze, zwłaszcza że sam marzył o uczciwym poślubieniu pięknej Meili. Jeśli już myślał o jakiegokolwiek kobiecie, to tylko o niej. Stanowiła ideał, perłę pośród wszystkich rozpasanych dziewczuch z wioski. *Co za pech!*, gryzł się w duszy. *Że też ten człowiek nie ma wstydu!* Wczoraj ją zobaczył, a już dziś wali do jej ojca!

– Czegoś się tak zagapił? – Podenerwowany Saud szturchnął chłopaka. – Ruszamy!

Kiedy Meila w świetle poranka zobaczyła mężczyznę, którego poznała poprzedniego dnia, zamurowało ją. Nie mogła się ruszyć ani oddychać. Nie uwierzyła w jego wczorajsze słowa, że przyjdzie na *bakso*, bo gdzież taki elegant w bieli, przystojny, wysoki, wypielęgnowany chciałby jeść zupę w *warungu*? A tu proszę! Jej sny i najśmielsze marzenia się spełniły. Była tak podekscytowana, że nie panowała nad drżeniem rąk, spowodowanym palpacją młodzieńczego zakochanego serca. *To jest mój książę z bajki*, powtarzała w duchu. *Właśnie na niego czekałam.*

– *Selamat pagi, tuan* – grzecznie przywitała mężczyznę.

– *Salam alejkum* – odpowiedział po arabsku, a jego gardłowy głos przyprawił dziewczynę o kolejny dreszcz rozkoszy.

– Masz dzisiaj świeżą zupę czy wczorajszą z piaskiem? – zapytał żartobliwie.

– My nigdy nie zostawiamy jedzenia na następny dzień – odparła oburzona Meila. – Zawsze jest świeże. W naszym klimacie wszystko szybko się psuje.

– Tutaj nie jest jeszcze tak gorąco jak u mnie w kraju. – Wyjaśniał mężczyzna z delikatnym pańskim uśmiechem na pełnych namiętnych ustach. – Temperatury mamy straszne, ale przynajmniej nie jest tak wilgotno.

– To dobrze. U nas człowiek ciągle jest mokry. – Otarła czoło zroszone kropelkami potu, muskając przy tym kosmyk włosów miękko opadający jej na twarz. Faisal z podniecenia aż przelknął ślinę. Dla niepoznaki wbił czarne oczy w zaśmiecone klepisko. *Jakże dawno nie miałem kobiety*, pomyślał. *Żona nie chce tego ze mną robić, bo kiedy tylko się zbliżymy, zachodzi w ciążę i daje mi kolejną dziewczynkę, co stało się powodem kpin całej rodziny,*

a szczególnie ojca i braci. *Nazywają mnie damskim krawcem! Tak jakby to była moja wina!*, obruszył się na wspomnienie oskarżeń. *A przecież to zawsze jest wina baby! Z wściekłości aż ścisnął zęby. Zawsze jej wina!* Nawet na odległość złościł się na swoją nielubianą połowicę. *Tym razem sam sobie wybiorę kobietę i przynajmniej przez chwilę będę szczęśliwy, nie myśląc już o tym, co komu mam udowodnić. Jak zafunduję tej dziewczynie warung, to będzie mi wdzięczna do końca życia i może jeszcze worek ryżu dorzucę...* Już szykował się do targu z ojczymem Meili. *A może wystarczy sam ryż?*, przemówiła w nim chytra natura. *Nie należy przesadzać, muszę jej przecież jeszcze kupić parę ciuchów, żeby jakoś wyglądała. No i chustę, koniecznie chustę. Pokazywanie włosów to obraza Boga, ale też prowokowanie innych mężczyzn i wielki grzech. Wszyscy mogą się patrzeć na ten jej kruczoczarny gruby warkocz!* W duchu już był o nią zazdrosny i złym wzrokiem rozglądał się dookoła, próbując zobaczyć, który facet śmie gapić się na jego wybrankę. Żadnego konkurencyjnego absztyfikanta jednak nie zauważył, bo otaczający ich mężczyźni byli zajęci sobą lub pracą, poza tym widok kobiecych włosów nie stanowił dla nich nic nadzwyczajnego. *Jednak nie jesteśmy tacy głupi, zasłaniając nasze saudyjskie kobiety od stóp do głów*, podsumował Fajsal. Przyzwyczajenia, które wyniósł z domu, były silniejsze niż beztroska i poznawanie nowego świata. Będąc kilometry od Arabii Saudyjskiej, nadal pozostawał ortodoksem i pragnął przenieść swoje tradycje do otaczającego go środowiska. *Jak będzie moja, to pomyślimy, co z tym zrobić*, postanowił.

– Witaj, panie. – Zziębnięty Mohamed błyskawicznie uwinął się ze swoją misją. – Hari przyjdzie tutaj dzisiaj na obiad, więc będziecie mogli porozmawiać, o czym tylko chcesz – oznajmił usłużnie, po czym tęsknie spojrzął na dziewczynę stojącą do nich tyłem. Zaraz jednak opuścił wzrok, żeby nikt nie rozszyfrował jego uczuć.

– No to dobrze. W międzyczasie przejdę się po miasteczku. Pokaż mi coś ciekawego – rozkazał władczy głosem Saudyjczyk.

– Oczywiście. Może chcesz, panie, zobaczyć *kampung*, gdzie mieszka Meila?

– Dobry pomysł – łaskawie przytaknął Fajsal i bez słowa oddalił się od zdziwionej dziewczyny.

– *Tuan*, a zupa? – zawołała, nie chcąc pozwolić odejść swojemu ukochanemu.

– Później! – Lekceważąco machnął ręką, bo kiedy czuł już przez skórę, że zdobył tę śliczną kobietkę, od razu przestał jej nadskakiwać, a jego szaleńcza pasja zdecydowanie osłabła. – Zjem z twoim ojczymem – rzucił na pożegnanie, a młodą aż zamurowało.

Po co on ma się spotkać z Harim?, zadawała sobie w duchu pytanie. *Czyżby...* Nie mogła uwierzyć w szczęście, które graniczyło z cudem.

Fajsala nie zachwyciły osady położone na zboczach góry, choć w blasku poranka wyglądały one urzekająco. Nie zrobiły na nim wrażenia drewniane chaty na palach, bawiące się wokół nich małe dzieci, biegający inwentarz, kobiety w barwnych sarongach, pola ryżowe rozpościerające się jak pajęczce sieci, plantacje herbaty oraz liczne drzewa i krzewy owocowe. Widział tylko gnój, brud i smród, kanały z nieczystościami ciągnące się wzdłuż drogi i płataninę ciekących rur, które prowadziły wodę pitną ze źródeł na szczyt. Wykrzywił wargi w pogardzie dla biedy i prymitywizmu mieszkańców, nie pamiętając już, w jakich warunkach sam żył, kiedy był małym chłopcem. Zapomniał, jak uwielbiał otwarte przestrzenie, jak dusił się w murowanym domu, do którego przenieśli się w ramach programu zasiedlania miast i zamiany koczowniczego życia na ustabilizowane. Teraz nie potrzebował już bliskości przyrody, a jedyne, co był w stanie tu docenić, to świeże rześkie powietrze przefiltrowane przez ogromne powierzchnie podzwrotnikowego lasu.

– Chcesz poznać matkę Meili? – zapytał niepewnie Mohamed.

– A po co? – zdziwił się Arab. – Na co mi to potrzebne?

– W końcu to rodzina... – Młody zawahał się, ale nie drażył tematu.
– Macie jakąś normalną restaurację przy drodze? Albo przynajmniej kafeterię? – chciał wiedzieć Saud. – Czy tylko te cholerne brudne *warungi*?
– To właśnie są nasze restauracje – cierpliwie wyjaśnił chłopak, ale nie podobał mu się lekceważący, wyniosły ton gościa.
– To znaczy, że kawę i herbatę też pije się w *warungach*, siedząc na ziemi? – kpił przybysz.
– Są przecież ławki, nie trzeba siedzieć na klepisku.
– To dlaczego większość tak robi?
– Bo lubimy... Czujemy wtedy, że jesteśmy bliżej matki natury.
– A słyszeliście o postępie i nowoczesności? – zapytał z przekąsem Fajsal.
– Indonezyjczycy są szczęśliwi, żyjąc w prostocie – wyznał dumnie Mohamed, a Saud nie kontynuował już dyskusji, bo uważał ją za jałową.

Znudzeni, spoceni i umęczeni, po dwóch godzinach powrócili do Meili. Dziewczynie oczy błyszczały ze szczęścia, bo jej ojczym już czekał na konkurenta. Cieszył się, że pozbędzie się dorosłej dziewczki z domu, bo uważał ją za zbędny bagaż i kolejną gębę do wyżywienia. Nie widział, jak ciężko pracuje, jak pomaga matce w wychowaniu gromady jego dzieci. Nie przemyślał też, że jeśli Meila przestanie pracować w *warungu*, to cała jego rodzina zostanie pozbawiona jednego ciepłego posiłku dziennie. Zacierał już ręce na posag, który bogaty arabski mężczyzna zapłaci, choć w swojej głupocie stwierdził, że jak da worek ryżu, to też będzie dobrze. Hari po prostu chciał uwolnić się od krnąbrnej dziewczuchy, która coraz bardziej niebezpiecznie działała na jego zmysły, a zdawał sobie sprawę, że jeśli ją tknął, to Fatuma byłaby gotowa poderżnąć mu gardło.

– *Selamat* – zaczął niepewnie, widząc postawnego przystojnego Araba. Nie spodziewał się takiego kandydata dla biednej Meili. Od razu rzucił mu się w oczy jego wielki złoty zegarek, którego cyferblat aż skrzył się od drogich kamieni, oraz spinki w manszetach wykonane w tym samym stylu. Na prawej ręce Fajsal nosił sygnet, również wysadzany diamentami. Jego biała wykrochmalona *toba* kontrastowała z odzieżą, którą nosili tutejsi mężczyźni – z ich spranymi długimi obstrzępionymi sarongami i pomiętymi koszulami. Przyjezdny wyglądał jak panisko.

– *Salam alejkum* – odpowiedział Saud i delikatnie się pochylił, ale bardziej ze względu na ostre słońce niż na chęć okazania szacunku. – Chodźże tutaj, Mohamed, i tłumacz. Ten chłopina chyba nie zna żadnego cywilizowanego języka, a jedynie tę waszą *bahasę indonesię*.

– Obawiam się, panie, że nawet tego nie. On mówi w lokalnej góralskiej gwarze. W Indonezji mamy ponad pięćset dialektów – oświadczył z dumą Mohamed, ale spojrzawszy na minę Sauda, speszony, odwrócił wzrok. *Oj, Meila wcale nie będzie miała dobrze z tym bogaczem*, podsumował w myślach. *Oj, da on jej w kość. Nie będzie jej szanował, nie będzie kochał, tak jak ja mógłbym.*

– Siadajmy. Zjedzmy zupę i porozmawiajmy. – Fajsal przycupnął na skraju drewnianej oheblowanej ławki i od razu przeszedł do sedna sprawy, bo chciał jak najszybciej mieć zaklepaną transakcję. Widział w zapuchniętych od alkoholu oczach ojczyma Meili całą jego pazerność, podłość i kombinatorstwo. – Chciałbym podpisać kontrakt małżeński – zakomunikował krótko. – Masz dorosłą córkę i najwyższy czas wydać ją za mąż.

– A którą to? – zapytał głupio Hari, bo myślał, że jak podroczy się z napalonym pretendentem do ręki dziewczyny, to więcej wytarguje.

– Słuchaj, kpie! Ty sobie ze mną nie pogrywaj! – podniósł głos, na co Mohamed i Hari aż skurczyli się w sobie. – Dzisiaj dogadujemy sprawę, jutro idziemy do notariusza albo

imama, nie wiem, kogo wy tu macie od tych spraw, w piątek zrobi się wesele, ale nie w *warungu*, tylko porządne, a potem dziewczka jest moja – ustalał detale, tak jakby kupował jakiś towar, a nie wiązał się z żywą istotą.

– Może trzeba by jeszcze zapytać pannę? – Mohamed chwycił się ostatniej deski ratunku, ale kiedy spojrzął na rozpromienioną Meilę, wiedział już, że dziewczyna dla niego przepadła.

– Po co? Cóż to za niemuzułmańskie zwyczaje?! – Fajsal, wściekły, aż podniósł się z ławki.

– Panie, spokojnie, wszystko się ustali. Umowę podpiszemy u *bupatiego* w obecności naszego imama, kolację przygotowują kobiety w *kampungu*, jeno dogadajmy się, co i jak, i gotowe. – Hari aż zgiął się wpół i złożył ręce na piersi. Meila cały czas z niepokojem obserwowała rozwój sytuacji. *Co ci idioci wyprawiają?!*, panikowała. *Czyżby ten dureń nie chciał wydać mnie za mąż? Na Boga! Co robić? Jak temu zaradzić?*

– To może zjecie zupę? – Jak to kobieta, chciała przez żołądek trafić do serca i przy wspólnym posiłku rozładować nerwową atmosferę. – Jak się posilicie, to na pewno dojdziecie do porozumienia.

– Niech tak będzie. – Saud ze zmarszczonymi brwiami wziął z rąk dziewczyny plastikową miskę. Przez chwilę niepewnie lustrował jej zawartość, lecz czując smakowity zapach, zaczął jeść i od razu wrócił mu humor. – Dobra... Całkiem niezła – stwierdził, głośno mlaszcząc dla podkreślenia swoich słów.

– *Baik-baik* – potwierdzili Indonezyjczycy.

– Ile chcecie za dziewczynę? – otwarcie zapytał Fajsal, kiedy zjadł drugą miskę i poczuł przyjemne ciepło ostrej chilli rozchodzące się po jego trzewiach. – Jaki posąg? Jestem przyjezdny i nie pracuję tutaj, więc koszty nie mogą być za duże. Poza tym to kobieta zniszczona, spracowana, ma szorstkie ręce i spaloną słońcem skórę. – Słyszac to, Meili zrobiło się przykro. Pocieszała się jednak w myślach: *Musi tak mówić. Jest sprytny i nie da się oszwabić mojemu wrednemu ojczymowi.*

– Robisz ucztę weselną dla naszego *kampungu* – zaczął Hari, wycierając przy tym w palce ciekący nos.

– Dobrze, ale wszystko ma być *halal*.

– Ma się rozumieć, przecież my też jesteście muzulmanami.

– Żadnego alkoholu, bo słyszałem...

– Głupie pogłoski, panie. Nie ma mowy o alkoholu. – Hari energicznie machał rękami.

– Co jeszcze? – zapytał ostrożnie Fajsal, nie chcąc wyskoczyć z czymś niepotrzebnym.

– Worek ryżu, ma się rozumieć.

– Dobrze – potwierdził spokojnie i aż zachichotał w duchu, bo wiedział, że to będzie jeden z głównych elementów przetargowych.

– Ale nie jakiś mały. – Hari bał się, że będzie stratny. – Taki, co to z zagranicy przywożą. Pięćdziesiąt kilo – powiedział zdecydowanym tonem.

– Toż ta dziewczucha nawet tyle nie waży – zaśmiał się konkurent. – Ale niech wam będzie.

– A kiedy postawisz dom? – zapytał zwyczajnie indonezyjski góral.

– Jaki dom? – Saud nie krył zdziwienia.

– No w naszej osadzie. Bo niby gdzie chcesz mieszkać?

– Na pewno nie w chacie na palach. Żenię się, biorę dziewczynę, a na razie mam zarezerwowany hotel.

– Zaraz, zaraz... Chcesz do końca życia mieszkać w hotelu? – Prostny chłop nie mógł

zrozumieć toku myślenia cudzoziemca, a Mohamed, uwijając się z tłumaczeniem, domyślał się, że muzułmański spryciarz nie przewiduje dłuższego pobytu u nich.

– Dom się dziewce należy! – napierał Hari, trochę skonfundowany sytuacją, bo nie spodziewał się, że Meila opuści *kampung* i już dłużej nie będzie pracować dla rodziny.

– Pomyślmy o tym później – wymigiwał się Fajsal, bowiem takich wysokich kosztów się nie spodziewał.

– Ale w umowie ma być napisane. – Ojczym obstawał przy swoim.

– Jak ja mówię, to tak będzie. Słowo się liczy!

– Panie, może ja i prymityw jestem, niepisaty i nieczytaty, ale jedno wiem. Słowo pisane się liczy.

– Chatę zatem wy postawcie, a ja kupię drewno. Ale to później, jakbym wyjeżdżał... – Za późno ugryzł się w język.

– A kiedy przewidujesz wyjazd? Bo z tego, co wiem, to dopiero wczoraj przyjechałeś. – Hariemu już przestała podobać się taka umowa. On tylko będzie stratny, bo po wszystkim dziewczucha stanie się bezwartościowa. – Za dziewicę musisz coś dorzucić – orzekł ostatecznie.

– Dam dwadzieścia dolarów. – Z wyniosłą miną Fajsal wyciągnął banknot z portfela i pomachał nim przed nosem biedaka.

– A ile to na nasze? – dopytywał Hari.

– Na pewno dużo, *warung* sobie kupisz. – Saud traktował Indonezyjczyków jak idiotów.

– Na restaurację taką jak ta, w której pracuję, trzeba by minimum sto dolarów, panie – wyrwało się Meili. – A za dwadzieścia to można kupić rower i rozwozić nim kawę i herbatę.

– Jej przyszły mąż spozjrzał na nią ostrym wzrokiem.

– Ty w ogóle nie powinnaś uczestniczyć w naszej rozmowie! Nie mówiąc już o odzywaniu się! – zrugął ją, groźnie marszcząc brwi. Z wściekłości ruszał chrapami jak narowisty koń.

– Wybacz, ale taka jest prawda. – Niezrażona dziewczyna twardo stała przy swoim.

– Nie chcecie dwudziestaka, to nie – Fajsal zwrócił się do Hariego. – Wyszczekana dziewczyna dostanie i kupi sobie za to ubranie, bo przy mnie nie będzie się tak nosić.

– To znaczy jak? – Meila znów się wtrąciła.

– Trzeba zasłaniać włosy i wkładać buty zakrywające palce, a nie jakieś klapki. Swoim widokiem obrażasz Boga, dziewczyno! – Saud zdenerwował się nie na żarty, bo nie miał zamiaru nawet na chwilę wiązać się z krnąbrną babą, która cały czas będzie z nim dyskutować. *Po jaką cholere jest mi potrzebna kolejna wredna żona?*, zaczął się zastanawiać, a Hari błyskawicznie wychwycił wahanie w jego oku.

– Proponuję pójść do *bupatiego* już teraz. Po co odkładać na jutro to, co można zrobić dziś. – Zaśmiał się, zadowolony z siebie.

– Do kogo? – Fajsal nie był już pewien, czy dobrze robi. Ostatecznie najchętniej by się wycofał.

– Do naszego starosty. Na pewno jest w *kampungu*. – Hari chwycił Saudyjczyka za rękaw białej sukni i pociągnął za sobą. *Worek ryżu piechotą nie chodzi*, rozmyślał. *I dom wcześniej czy później postawi, to się ten cały majdan jakoś rozłoży na dwa, bo te cholerne dzieciary robią się coraz większe i za chwilę moja chata pęknie w szwach. Poza tym zawsze już jedno pójdzie na swoje i będzie lżej.*

– A ja? Czy ja nie będę tam potrzebna? – Podenerwowana Meila dreptała w miejscu, bo przecież nie mogła zostawić *warungu*, a z drugiej strony chciała być tam, gdzie ważą się jej losy.

– Nie ma takiej potrzeby! – Ojczym aż zazgrzytał zębami, bo widział, że bezczelność i obcesowość dziewczki działają konkurentowi na nerwy.

– Mam ci nadal towarzyszyć, panie? – zagadnął Mohamed. Wolałby zostać z dziewczyną i może w końcu wyłożyć karty na stół, wyznać jej miłość i zapewnić może nie bogatsze, ale godziwsze życie niż to, które szykował dla niej ten obcy facet.

– A jak?! – Fajsal wrzasnął tak głośno, że młodzik aż podskoczył. – Kto niby będzie tłumaczył, he?

– Dobrze, dobrze, tylko zapytałem. – Chłopak jeszcze raz rzucił tęsknym wzrokiem na skrycie umiłowaną i podążył za mężczyznami.

Weszli pospiesznie na teren *kampungu* i skierowali się do największego i najładniejszego domu, stojącego na wysokich betonowych palach obłożonych otoczkami z górskiej rzeki. Było tam wiele okien i solidne drzwi z framugą ręcznie rzeźbioną w roślinne wzory. Na deskach ganku w promieniach słońca leniwie wygrzewały się kobiety i dzieci, pan domu zaś leżał na macie w zacienionym kącie i ucinał sobie drzemkę. *Sielskie życie, jak z obrazka*, pomyślał Fajsal. *Ciekaw jestem, kto na nich pracuje?*

– *Pak bupati, pak bupati.* – Hari bezpardonowo wydarł się na całe gardło, zanim jeszcze stanęli na progu stromych schodów prowadzących na taras.

– Człowieku, zamknij się! Nie widzisz, że mój mąż odpoczywa?! – Pulchna niska kobieta zerwała się na równe nogi, z oburzenia machając rękami. – Czegóż chcesz? – Z trudem zbiegła na dół i wbiła rozwścieczony wzrok w intruzów.

– *Ibu* Utami, chcielibyśmy spisać kontrakt, więc może twój mąż, jako najmądrzejszy człowiek w okolicy i nasza władza, doradziłby, co i jak. – Bezczelny chłopiec nie dał się zbić z pantafyku.

– Co za kontrakt? – Mile podłechtana odezwała się już łagodniej.

– Ślubny, pani.

– A kogo chcesz wydać za mąż? Twoje córki jeszcze młode, do szkoły byś je posłał, a nie do rodzenia dzieci.

– Jedna jest odpowiednia do zamążpójścia – oznajmił hardo Hari. – Meila to już dorosła kobieta.

– Że co? – Na te słowa wylegująca się na tarasie Dewi aż siadła. – Ma dopiero szesnaście lat!

– W sam raz – zawyrokował ojczym ze stanowczą miną. – Jak pojawia się dobra okazja, to trzeba ją wykorzystać. Wielu bogatych cudzoziemców do nas nie przyjeżdża.

– Niby ten? – Dziewczyna niezbyt ładnie pokazała palcem na Fajsala, który oczywiście nie rozumiał ani słowa z prowadzonej rozmowy. Mohamed widać też nie uznał jej za ważną, bo nie przetłumaczył mu ani słowa. – Jakiś dziwny. Imam czy inny *ulem*? Czemu tak głupio się ubiera?

– I ty, dziewczucho, chodzisz do szkoły i niby taka edukowana jesteś?! – Hari zaśmiał się szyderczo. – Wiedziałem, co robię, że zakończyłem to głupie pseudokształcenie Meili na czas. Bab i tak niczego się nie nauczy, ot co! – zarechotał. – Jakbyś tylko oglądała obrazki w książkach, to wiedziałabyś, że facet jest z Arabii, a tam tak się nosi i wszyscy są straszliwie wierzący, więc może i jest jakimś ichniejszym duchownym. On u nas potrzebuje jedynie żony, ot co! – powiedział, pyszniąc się, że akurat padło na jego wychowankę.

– Na jak długo chce ją wypożyczyć? – zadrwiła Utami. – Zaraz, zaraz! A kto będzie *warung* dla mnie prowadził? He?! – Nagle ją oświeciło.

– Masz swoje córki, to niech się wezmą do jakiejś pożytecznej roboty – odszczeknął chłopiec.

– W takim razie koniec z darmowymi obiadkami dla ciebie i całej twojej ferajny! – wrzasnęła, wściekła. – Przez was i tak prawie nic nie zarabiałam na tym biznesie, więc w końcu mi ulży. Wzięłam tę waszą dziewczuchę z litości dla niej i jej matki. Ciekawam, ile on da w posagu i czy ci się to tak bardzo opłaci, ty idioto! – Jej złośliwość zwyciężyła i w końcu powiedziała nikkczemnemu facetowi, co o nim myśli.

– O co chodzi? – Fajsal był już zmęczony toczącą się na jego oczach awanturą, z której nic a nic nie rozumiał. – Czemu nie tłumaczysz, gamoniu?! – Trzepnął Mohameda w owiniętą turbanem głowę.

– Mówią o pracy w *warungu*, bo Meila prowadziła restaurację tej pani – wyjaśnił chłopak, nie wdając się w szczegóły.

– Na razie na pewno nie będzie stała przy garach – oburzył się mężczyzna. – Śmierdziałaby oliwą jak smażony ziemniak. Ale wiesz, w zasadzie zastanawiam się, czy... – zawiesił głos. Zdecydowanie chciał się już wycofać, bo miał dość szarpania się, kłopotów i komplikacji.

– Czemu tak się handryczycie? – *Bupati* wśród coraz głośniejszych krzyków nie dał rady dłużej spać. – O co chodzi?

– Kontrakt ślubny chcemy podpisać. – Hari nie wyglądał na zadowolonego, bo właśnie zobaczył wszystkie minusy, które wiązały się z odejściem Meili. Fajsal też miał skwaszoną minę i coraz mocniej ścisnął usta.

– No to jaki problem? Mam wzór, siadamy, piszemy, podpisujemy, tylko przestańcie już tak wrzeszczeć.

– Niech tak będzie – oświadczył góral, choć tak on, jak i Fajsal mieli już niepewne miny.

Dwaj mężczyźni, którzy mieli zadecydować o losie młodej kobiety, weszli po schodach na ganek i patrząc na siebie spode łba, postanowili jak najszybciej zakończyć formalności.

Żaden z nich nie uważał, że trzeba by zapytać zainteresowanej o jej zdanie i że powinna teraz z nimi tutaj być, że można by uznać ją za człowieka, który ma prawo sam decydować o swoim życiu. Meila zaś mogła się jedynie domyślać przebiegu wypadków – nadal była zaskoczona zaistniałą sytuacją i niespodziewaną zmianą swojego losu. Sądziła, że na pewno wszystko idzie ku lepszemu, bo przecież gorzej już być nie może. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście i nerwowo kręciła się przy *warungu*, to z podekscytowania rozlewając zupę na ziemię, to przypalając ryż.

Nagle usłyszała znajomy głos:

– No i co, moja koleżanko?! – To Dewi nie mogła wytrzymać w domu i jak tylko transakcja została podpisana, przybiegła do przyjaciółki, bo pomimo pewnego oddalenia i różnicy poglądów nadal bardzo lubiła dziewczynę, z którą razem dojrzewały i dzieliły niejedną tajemnicę. – Pierwsza wychodzisz za mąż! – krzyknęła z nutą zazdrości w głosie. – Gdzież ty znalazła tego dziwoląga? Mama mówi, że coraz więcej się takich u nas pojawia, ale związki z nimi to nic dobrego. – Wykrzywiła usta i podsumowała: – A na pewno nic stałego.

– Niby czemu? – Meila nie miała ochoty słuchać głupich plotek, ale jednak słowa Dewi mocno ją zaniepokoiły.

– Oni z Azjatkami żenią się na chwilę. Ponoć mają obsesję na punkcie dziewcząt, które rozdziewiczają. Ale potem szybciotko tracą do nich pociąg i sympatię i wracają do swoich starych brzydkich zakwefionych żon w Arabii. Mówi się, że Saudowie nie mają szacunku dla dziewczyn z naszych rejonów.

– Też gadanie! – Meila uważała takie pogłoski za wierutne bzdury. Machnęła więc tylko lekceważąco ręką i obróciła się plecami do Dewi.

– Przecież wiesz, że kto jak kto, ale ja życzę ci jak najlepiej. – Przyjaciółka podeszła i objęła obrażoną w pasie. – Bóg da, uda ci się. – Widząc smutną minę i łzy w oczach narzeczonej, próbowała ją pocieszyć i choć trochę zbagatelizować negatywne aspekty zamążpójścia, które sama przed chwilą jej nakreśliła. – Może on rzeczywiście zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia? Kto wie? Niezbadane jest serce faceta, no nie? – Zachichotała figlarnie i otarła łzy ze smutnej buzi koleżanki. – Dał za ciebie worek ryżu i obiecał postawić dom. Dorzucił jeszcze forsę na mnóstwo ciuchów, więc nie jest źle – dodała szeptem. – I wielkie przyjęcie dla całego *kampungu* wyprawi, więc na pewno bardzo mu na tobie zależy. – Na takie nowiny Meila znów się rozpogodziła.

– No widzisz! – wykrzyknęła. – W końcu los się do mnie uśmiechnął. Może mój mąż zabierze mnie do eleganckiego domu w Dżakarcie albo jeszcze dalej, do swojego kraju? Tam jest straszliwe bogactwo, wiesz? Widziałas jego zegarek i biżuterię?

– Jak dobrze pójdzie, tobie też kupi takie cacka – stwierdziła Dewi, ale mina jej zrzędała, bo wiedziała, że jej samej Sutanto na pewno nigdy czegoś takiego nie zafunduje.

– Może... – Rozmarzona Meila patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– A na razie nasze mamy już wszystko dogadują i szykują dla ciebie wspaniałe wesele. – Koleżanka otrząsnęła się z niewesołych myśli. – On dał aż sto dolarów na ten cel! Aleś bogacza upolowała!

Wszystkie przygotowania szły pełną parą, bowiem Fajsal chciał mieć ślub w ekspresowym tempie. Utami i Fatuma były głównodowodzącymi i nie dały do rąk gotówki na wesele żadnemu mężczyźnie, a tym bardziej Hariemu. Teraz ojczym Meili był już zupełnie niezadowolony, bo jedyne, co udało mu się faktycznie wytargować za dziewczkę, to worek ryżu, gdyż dom miał być postawiony w bliżej nieokreślonym terminie, a i odzież dla Meili kupiona później. Dobrze, że Utami zgodziła się na prowadzenie *warungu* przez jego niespełna czternastoletnią córkę, to przynajmniej kwestia wyżywienia rodziny miała pozostać niezmienna. Ryż chłopek od razu zabrał do swojej chaty w lesie i wiadomo było, że za chwilę będzie sprzedawał wyprodukowaną z niego ryżową wódkę.

Jako że Meila nie miała żadnych wyjściowych strojów, a nie mogła przecież paradować w tak ważnym dniu w swoich starych ubraniach czy szkolnym mundurku, który był najlepiej zachowany, kobiety z *kampungu* postanowiły własnym sumptem wyposażyć pannę młodą. Specjalistka od tkania batików przyniosła długi kupon cudnego materiału w kolorze czerwieni i błękitu, przetykany żółtymi niemi imitującymi złoto. To z niego miał powstać sarong. Inna sąsiadka dała jej koronkową długą białą bluzkę, która stanowi nieodzowny tradycyjny element stroju jawajskiej narzeczonej. Bogata *ibu* Utami postanowiła wypożyczyć sąsiadce rodzinny skarb – pozłacaną kolię oraz długie do ramion kolczyki, w których wedle zwyczaju panna młoda paraduje podczas uroczystości weselnych.

– Niech sobie ten Arab nie myśli, że wypadliśmy sroce spod ogona – oznajmiła wszystkim z dumą w głosie. – Jak oceni naszą dziewczynę, tak ją będzie traktował – stwierdziła mądrze. – Niech nie sądzi, że bierze sobie żebraczkę z ulicy, bo u nas nie ma nędzarzy. Biedni ludzie i owszem, ale każdy ma rodzinę, dom i kąt pod dachem. No! – krzyknęła lokalna patriotka, a kobiety przygotowujące przyjęcie rosły w dumę, że pochodzą z takiego dobrego *kampungu* i mają taką opiekuńczą żonę starosty.

Saudyjczyka nie angażowano do przygotowań, zwłaszcza że wszyscy zdawali sobie sprawę z odmienności kultury i jego poważnego charakteru. Niestety, ustalona przez niego data ślubu była wybitnie zła i pechowa, co obwieściła stara kobieta znająca się na kosmologii, jednak obawiano się powiedzieć o tym Fajsalowi, bo jeszcze pomyślałby, że Indonezyjczycy są jakimiś przekłętymi poganami, a nie wierzącymi muzułmanami. Wszystko wskazywało jednak

na niekorzystne ułożenie gwiazd w tym dniu i nie wróżyło tej parze nic dobrego. Meila machnęła na to ręką, bo nie chciała denerwować przyszłego męża, a jedynie starsze kobiety jęczały i narzekały z tego powodu.

Naręczona starała się przynajmniej przez kilka nadchodzących dni pościć od świtu do zmierzchu, jak każe czynić stara tradycja. Usiłowała też kontrolować swoje emocje, nie wpadać w gniew, złość, nie obruszać się, ponieważ było to zakazane w okresie poprzedzającym zamążpójście. Sprawiało jej to jednak wiele kłopotu, gdyż przygotowania szły opornie, organizacja była żadna, Meila gonila od jednego do drugiego, a i tak nikt jej nie słuchał. Kiedy już myślała, że nie wytrzyma i zacznie krzyczeć na ludzi, nieprzejmujący się niczym pomocnicy bezradnie rozkładali ręce i uśmiechali się radośnie.

Dzień przed weselem matka oraz kilka starszych zamężnych kobiet zaprowadziło naręczoną w okolice głębinowej studni, wokół której znajdował się teren publicznej łaźni. Tam rozebrała Meilę, pozostawiając jej jedynie materiałową przepaskę na biodrach, a następnie chlusnęła na nią lodowatą wodą. Dziewczyna panicznie piszczala ku ogólnej ucieście kobiet. Potem Fatuma zmoczyła głowę córki, dokładnie wymyła jej długie czarne włosy w ziołach i namaściła olejem kokosowym, a na koniec obciąła kosmyk, który dziewczyna miała wsadzić pod kamień „na szczęście”.

W dniu wesela nadeszła chwila na jeden z najważniejszych elementów przygotowań do ślubu – na makijaż. W osadzie była jedna jedyna kobieta, która potrafiła go prawidłowo wykonać. Jak każe obyczaj, pościła już od dnia podpisania kontraktu ślubnego przez Fajsala i Hariego, bowiem wiedziała, że naręczona i jej matka zwrócą się do niej o pomoc w tak ważnej sprawie. Jej obowiązkiem było nic nie jeść od rana do wieczora przynajmniej przez miesiąc przed wykonaniem tradycyjnego malunku, ale tym razem wszystko odbyło się w ekspresowym tempie, więc i jej niespełna tygodniowy post musiał wystarczyć.

– Nic się nie bój, kochanieńka – rzekła do Meili, która z przerażeniem patrzyła na brzytwę w ręce kobiety. – Muszę trochę podgolić ci włosy, żebyś wyglądała jak typowa jawańska panna młoda.

– Naprawdę? Myślałam, że tylko delikatnie mnie umalujesz. – Meila broniła się, jak mogła. – Pan młody nie jest typem zabawowym i może mu się nie spodobać, że przyszła żona robi z siebie kolorową lalę.

– Nic się nie martw. – Czterdziestolatka ukazała w uśmiechu starte przez betel czerwone zęby i zabarwione dziąsła. – Słyszałam, że Arabki na wesela też się malują – uspokajała dziewczynę. – Tak mówili, kiedy za młodu byłam na kursach w mieście – dodała z dumą właściwą osobie obytej i wykształconej.

– Dobrze, skoro *ibu* tak twierdzi...

Kobieta z dużą wprawą ogoliła nieco włosów nad czołem panny młodej, tworząc głęboko wcięte zakola, a powstałą w ten sposób przestrzeń pomalowała henną.

– Arabki barwią sobie tym dłonie i stopy – poinformowała. – Jak chcesz, mogę wykonać parę tatuaży, to twój naręczony poczuje się jak w domu.

– Wspaniale! – Meila była uszczęśliwiona, bo bardzo chciała dogodzić mężczyźnie, który okazał się tak dobry, że bezinteresownie wyciągnął ją z biedy i beznadziei, nie zważając na jej pochodzenie i brak majątku.

– Dobra! Wszystko po kolei. Teraz zakola, potem arabskie tatuaże, a na koniec malujemy facjatę. – Specjalistka rozrabiała już więcej brązowego pudru w małej miseczce.

Po paru godzinach przygotowań Meila wyglądała jak świeżo wyprodukowany *wayang* – makijaż był mocny i bardzo wyrazisty, brwi miały nienaturalny, dziwny kształt, a zakola zniekształcały jej śliczną okrągłą i delikatną buzię, czyniąc ją wręcz upiorną. Tatuaże

na dłoniach i stopach od razu rozmazały się, bowiem kobieta zapomniała, że trzeba je kłaść przynajmniej dzień wcześniej i nie dotykać. Jednak nic nie było w stanie popsuć humoru panny młodej, szczególnie kiedy z ganku swojego rodzinnego domu ukradkiem obserwowała teren *kampungu*, który wyglądał, tak jakby organizowano tu wielki wiosenny piknik. Ogrodzenie było przyozdobione kwiatami z przewagą białych drobnych kwiatuszków z krzewów *sirsaku*, a wydeptane klepisko wyłożono palmowymi liśćmi i posypano różową i czerwoną bugenwillą. Tam też zniesiono wszystkie tradycyjne instrumenty, jakie były w wiosce – *anklungi*⁵³ i *gamelany*⁵⁴ oraz różnej wielkości drewniane bębny, na których tak chętnie grano na co dzień. Na niskich ławach, które ustawiono na matach dookoła głównego placu, leżały całe masy owoców i klasyczne indonezyjskie desery, których biegające wokół dzieciaki najchętniej próbowaby już teraz, odganiane jednak ze śmiechem przez starszych, którym też leciała ślinka. Był tam pudding z ryżu z mlekiem kokosowym, mus kawowy posypany orzeszkami pistacjowymi, a także krem cytrynowy i małe kruche ciasteczka pełne bakalii i polane miodem z pasieki z okolicznego lasu. W pewnym oddaleniu w kotłach wrzało główne jadło: delikatesowa zupa na bawolich ogonach, oczywiście *bakso*, zasmażany ryż i makaron z różnymi mięsnymi wkładkami, a na wielkich rusztach piekły się ryby *gurami* złowione w pobliskiej rzece oraz sprowadzone z gór i tradycyjnie ubite barany i kozy. Zapach był oszałamiający, zwłaszcza dla Meili, która połowy tych rzeczy nigdy nie miała w ustach. Słyszała jednak, że para młoda na weselu siedzi na dwóch specjalnie przygotowanych siedziskach, wita się z gośćmi, zbiera prezenty i... nic nie je. *To niemożliwe!*, stwierdziła. *Mamy głodować, kiedy horda ludzi napycha sobie brzuchy?* Zachichotała beztrudno i wpadła do domu, aby się przebrać. Fatuma także się wystroiła – w odświętnym ubraniu było widać, że kiedyś była piękną kobietą, lecz lata poniewierki, zmęczenie i częste porody niesamowicie ją postarzyły. Meila ze smutkiem patrzyła na swoją matkę, ciesząc się w duchu, że jej pisany jest lepszy los.

Tuż po południowej piątkowej modlitwie panna młoda wsiadła do pięknie przystrojonego *delmana*, aby w pół drogi spotkać się z panem młodym i zabrać go do swojego *kampungu* na ucztę weselną, której był fundatorem. W okolicy krążyły już legendy o tym wydarzeniu, bowiem tak wielkiego przyjęcia nie było jeszcze w Tugu, a nawet w całych górach Puncak. Meila była dzisiaj najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, a kiedy widziała swoje družki i družbów jadących lub maszerujących za powozikiem, nie mogła opanować radości i zalewającej ją dumy. Z jej wymalowanych pełnych, namiętych ust nie schodził uśmiech. Trzymała się sztywno, bowiem nie chciała pomicać misternie przewiązanego sarongu, delikatnej koronkowej bluzki, a przede wszystkim bała się, że przymocowany spinkami wysoki diadem spadnie jej z głowy. Kiedy dojechała w umówione miejsce, rozejrzała się z niepokojem, bo powozu z panem młodym nigdzie nie było. *Co się dzieje?*, zastanawiała się, a do głowy przychodziły jej coraz bardziej tragiczne scenariusze. *Może w ostatniej chwili zrezygnował? Może się rozmyślił?*

– Nie przejmuj się! – Dewi, która podążała na skuterku tuż za przyjaciółką, widząc panikę w oczach Meili, próbowała ją pocieszyć. – Jak zapłacił tyle forsy, to teraz nie ucieknie. – Mrugnęła szelmowsko. – Może koń się znarowił? Może koło odpadło od powozu? Jest tysiące bzdurnych powodów, żeby się spóźnić.

– Tak myślisz? – Meili od razu poprawił się nastrój.

– A może tak długo prasuje tę swoją białą sukienkę, żeby jeszcze szykowniej wyglądać?

– zakpiła jawajska góralka, której cięty dowcip znali już wszyscy.

– Ej, Dewi! – Panna młoda parsknęła śmiechem, ale zaraz się uspokoiła i zaczęła poprawiać obsuwający się diadem.

– Jedzie, jedzie! – rozległy się krzyki. – Autem pruje! Ale panicho! – Ludzie robili

pogardliwe miny i ze złością odpluwali żółtą od tytoniu ślinę. – Wstyd mu wsiąść do naszej bryczki! – krytykowali.

– Co się stało, *tuan*? – Meila aż wytrzeszczyła oczy, widząc czerwoną z wściekłości twarz swojego narzeczonego.

– Nie wsiądę do tego gówna! – oświadczył bezdyskusyjnie. – Jedziemy normalnie, jak zamożni ludzie, a nie jak wieśniacy! – Chwycił ją za rękę i na siłę wyciągał z dorożki.

– Taka jest tradycja, niezależnie od tego, czy ktoś jest biedny, czy bogaty, wieśniak czy pan! – Młoda zaparła się nogami i nie dała ruszyć z miejsca. Fajsal miotał oczami pioruny, ale nic to nie pomogło.

Co za uparta dziewczucha!, pomyślał, wyraźnie niezadowolony. *Nie będę się wygłupiać i pchać do tej maleńkiej furmanki, żeby rozleciała się pod moim ciężarem. Nie dam wszystkim powodu do uciechy*, postanowił i ruszył piechotą obok powoli biegnącego konika.

Droga zajęła im pół godziny, lecz gdy dojechali na miejsce, nawet oczy zezłoszczonego Fajsala rozbłysły – musiał przyznać, że przyjęcie zostało zorganizowane z rozmachem. Kiedy przekroczyli ozdobną wysoką bramę wplecioną z palmowych gałęzi na stelażu z bambusów, pan młody pomógł wsiąść pannie młodej z powoziku. Następnie oboje zostali zaprowadzeni przez Fatumę i Hariego, w asyście *bupatego* i jego żony, na dwa wielkie fotele okryte białym materiałem, do którego na zagłówkach przyczepiono małe różyczki. Jak tylko usiedli, muzykanci zaczęli grać na *gamelanie*, a zebrani goście klaskać i tupać do rytmu. Co chwila ktoś podchodził do młodej pary, całował Meilę, a dumnemu Saudowi podawał tylko rękę, bowiem pierwszy, który próbował go pocałować, został bezpardonowo odtrącony. Obok dziewczyny stała asysta druhen – szkolnych i osiedlowych koleżanek, które wszystkie oczywiście były jeszcze pannami. Przejmowały z rąk gości skromne, acz użyteczne prezenty: kupony *ikatu* i *batiku*, woreczki z ryżem i przyprawami, kolorowe tkane pledy, poduszki, jaśki, a nawet jedną kołdrę. Meila w życiu nie dostała tylu prezentów, więc promieniała radością. Starosta wraz z Utami wręczyli jej kopertę, a panna młoda nie mogła uwierzyć, że ktoś może jej za nic podarować pieniądze. Kiedy już wszyscy zebrani złożyli gratulacje, drużny otoczyły Meilę kołem i każda dała jej jakiś drobiażdżek: naszyjnik, bransoletkę czy kolczyki z naturalnymi perłami, których w Indonezji od wieków było pod dostatkiem, uboższe zaś sprezentowały wisiorki i zawieszki na skórzanych rzemyczkach, które same wykonały z tego, co dała im natura. Były tam więc pięknie oszlifowane półszlachetne kamienie, drewniane, ręcznie rzeźbione figurki, symboliczne znaki i nawet parę bambusowych małych szkatulek. Wbrew obawom Meili matka zaserwowała jedzenie najpierw państwu młodym, a dopiero potem do stołów zostali dopuszczeni goście. Kiedy rozpoczęto ucztę, nawet muzykanci przestali grać i rzucili się biegiem do misek.

– Smaczne, prawda? – młoda żonka zagadnęła męża, przekrzykując odgłosy mlaskania, siorbania i ciamkania ponad setki gości.

– Nie powiem, ale oni żrą jak świnie. – Fajsal wyraził kolejną negatywną opinię. – A ty czemu nie używasz łyżki? Jak prymityw jakiś!

– Mogę jeść łyżką, jeśli chcesz – zgodziła się. – Nie ma problemu. Ale bardziej naturalnie jest palcami, bo tak ludzie jadali od wieków.

– Chyba raczej przed wiekami. – Wykrzywił się kpiarsko. – Nie sądziłem, że ten kraj jest aż tak zacofany.

– Ciesz się dobrym jedzeniem i nie oceniaj tak surowo innych – swobodnie powiedziała świeżo upieczona żona, bo coraz więcej przypominała sobie angielskich słów, a nawet zaczęła się intensywnie uczyć arabskich zwrotów z Koranu.

– Nie instruuj mnie, dziewczko! – Saud aż podskoczył. Chwycił Meilę za wymalowaną

henną dłoń, wytrącając z niej miskę, tak że całe pyszne, luksusowe jadło wylądowało pod nogami. – Jak mąż coś mówi, to tak jest, a baba ma znać swoje miejsce i nie odpyskowywać! – Miażdżył ją tak mocno i bezlitośnie swoją wielką łapą, że aż słychać było chrzęst drobnych kosteczek.

– Auć! Puszczaj, no! – Dziewczyna wyrwała się po chwili, ale spora część obserwujących ich gości zauważyła tę pierwszą małżeńską scenę. Wszyscy, zde gustowani, opuszczali wzrok i jedynie Fatuma nadal lustrowała młodych, mocno przy tym ściskając usta, bo wiedziała już, że jej córka jest skazana na taką samą albo jeszcze gorszą gehennę jak ona.

Jako że na wsi wszyscy chodzą spać z kurami, przyjęcie skończyło się grubo przed północą, ale z perspektywą kontynuacji następnego dnia. Państwo młodzi wsiedli pospiesznie do wynajętego przez Fajsala samochodu i odjechali do hotelu Bukit Indah na szczycie Puncaku. Na miejscu okazało się, że mąż wynajął większy apartament, a że zapłacił za miesiąc z góry, to dostał dobrą ofertę. Meila z zachwytem oglądała sprzęty, drewniane szafy, łóżka, komody i etażerki, a łożo małżeńskie wprawiło ją w osłupienie. *Zupełnie jak u rodziców w Dżakarcie, w naszym starym wielkim domu*, pomyślała z rozrzewnieniem. Zanim zdążyła zapoznać się z nowym mieszkaniem, Fajsal pchnął ją na łóżko, przygniótł swoim ciałem i wściekle zaczął targać z niej sarong.

– Panie, poczekaj! – Ledwo dyszała pod jego ciężarem. – Panie, może powinnam się umyć... Było gorąco, jestem spocona, nieświeża...

– No tak! – Mężczyzna znów się wykrzywił. – Śmierdzisz – orzekł bezceremonialnie. – Myj się prędko!

Meila wyszła z sypialni ze łzami w oczach, bo tę pierwszą noc z mężczyzną swojego życia wyobrażała sobie zupełnie inaczej. Powinna być pełna miłości i czułości, namiętna, lecz delikatna. Nie spodziewała się takiego zwierzęcego instynktu po mężczyźnie, który usiłował wyglądać na obytego i dystyngowanego. Kiedy weszła do łazienki i zobaczyła prysznic, wiedziała, co robić i jak go używać, bo przecież w dzieciństwie żyła w nowoczesnym świecie. Porządnie umyła oczy, choć pozbycie się mocnego makijażu nie było łatwe, wyczyściła zęby specjalnym proszkiem z miętą, a na koniec posmarowała skronie olejkiem z lawendy. Matka specjalnie na tę okazję uszyła jej luźną białą koszulę do kostek, pięknie zdobioną koronkami i z bukietem materiałowych czerwonych różyczek przy dekolcie. Meila przejrzała się w lustrze i zadowolona westchnęła. *Będzie dobrze*, pomyślała dla kurażu i weszła do sypialni.

Fajsal nie widział potrzeby, żeby się odświeżyć. Od razu zabrał się do dzieła. Małżonkowie bardzo różnili się budową, nie tylko wzrostem i wagą, bo kobietka była maleńka i drobniutka, a mężczyzna potężny, ale przede wszystkim byli całkowicie niedopasowani pod względem seksualnym. Szczodrze obdarzony przez naturę Arab usiłował jak najszybciej pozbawić dziewictwa młodszą dziewczynę, nie wiedząc o tym, że Azjatki, nawet te wysokie czy korpulentne, z natury mają bardzo wąską waginę. Napalony Fajsal męczył się z wejściem w nowo poślubioną żonę przez krótką chwilę, lecz szybko stracił cierpliwość i z całej siły pchnął swoim fallusem w małą kobiecą szczelinę. Zszokowana Meila krzyknęła na cały głos, a przy następnych brutalnych ruchach mężczyzny straciła przytomność. Fajsalowi to nie przeszkadzało i brał swoją zdobycz parokrotnie, a później zostawił ją nieprzytomną w wielkim kolonialnym małżeńskim łożu, sam zaś przeniósł się do drugiej sypialni. Z pokancerowanej dziewczyny jeszcze długo wypływała dziewicza krew pomieszana z kremową spermą. Kiedy nad ranem ocknęła się, zobaczyła, że leży w kałuży różowej mazi. Całym wysiłkiem woli, zaciskając zęby, zwlekła się z łóżka i podreptała do łazienki. Tam siadła na posadzce pod prysznicem i pod zimną wodą usiłowała zmyć z siebie brud i przemoc, z którą zetknęła się po raz pierwszy w życiu i to, niestety, podczas swojej nocy poślubnej.

– Jak ci się wiedzie, kochanie? – Matka patrzyła z niepokojem w smutne oczy swojej córki. Jej drobna buzia wydawała się jeszcze bardziej wymizerowana.

– Dobrze, mamó – odpowiedziała lakonicznie Meila, bo nie była w stanie zdobyć się na nic więcej.

– Zmieniłaś się... – wyszeptała Fatuma i łzy zalśniły w jej oczach.

Meila rzeczywiście przeistoczyła się w zupełnie inną osobę. Fajsal zażądał od niej noszenia tradycyjnego stroju muzułmańskiej kobiety z długim aż po pas welonem i spódnicą do ziemi, a i tak nie był do końca zadowolony, bo ubrania były w granatowym lub brązowym kolorze, a on zdecydowanie wolałby czarny. Mężczyzna przede wszystkim wpłynął na psychikę swojej żony i z wesołej, dowcipnej i pełnej nadziei dziewczyny przemienił ją w kobietę, która bała się własnego cienia. Najbardziej obawiała się cielesnego zbliżenia z mężem, który okazał się bezwzględny potworem i seksoholikiem domagającym się coraz to bardziej wyszukanych i obrzydliwych ekscesów. „Zapłaciłem za ciebie, więc teraz to rób!” – wykrzykiwał w ekstazie. „Kupiłem cię!” – darł się innym razem. „Dałem za ciebie aż worek ryżu!” – śmiał się przez ściśnięte żądzą gardło. „Nakarmiłem darmożjadów! Jesteś moją własnością! Ty suko! Ty dziwko!”. Były to stałe epitety, którymi obrzucał żonę od rana do nocy, a szczególnie w nocy.

– Może jak zajdziesz w ciążę, to trochę się uspokoi? – próbowała pocieszyć ją matka.

– Ja to bym takiego w dupę kopnęła! – Dewi nie przebierała w słowach. – Od razu podejrzenie mi wyglądał. Taki elegancki zboczeniec!

– O czym wy mówicie?! – Meila nie chciała zdradzać tajemnic swojej alkowy. – To nie tak!

– No pewnie! A chodzisz, jakbyś miała w tyłku ananasa albo arbuza. – Przyjaciółka była oburzona.

– To raczej kaktus! – Młoda żonka już nie wytrzymała. – I to niesamowicie wielki. – Uśmiechnęła się słabo, rozbawiona babskimi pogaduszkami.

– To interesujące... – Podeksytowana Dewi nadstawiła uszu i pochyliła się w stronę koleżanki. – Duży to chyba dobrze, nie?

– Dziewczyno, nie grzesz! – Fatuma nie wytrzymała i rubasznie trzepnęła rozpustnicę mokrą ścierką. – Jeszcze się doigrasz! – Zabawnie pogroziła jej palcem. – O takich rzeczach panna nie powinna nawet myśleć – dodała już całkiem poważnie.

Również Meila ostrzegła przyjaciółkę:

– Uważaj z tymi wycieczkami nad źródła. Jak ktoś was zobaczy i doniesie imamowi albo twojemu ojcu, to będzie niewesoło. Mówię ci, uważaj, Dewi!

– Ty mi doradzasz, a sama wpadłaś jak śliwka w kompot. – Młoda latawica tylko beztrósko wzruszyła ramionami.

– Żebyś ty wiedziała, jaki Fajsal jest bogobożny! Każe mi się modlić pięć razy dziennie, a sam chyba nawet bije pokłony częściej, jednak żaden Allah czy Koran nie jest w stanie powstrzymać go od złych uczynków – westchnęła Meila. – Jakież to zakłamanie!

– Myślisz, że ten arabski dewot wtrącałby się w nasze lokalne sprawy? – zaniepokoiła się koleżanka.

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że jest oburzony tolerancją i nieprzestrzeganiem prawa szariatów od a do zet. On jest nawiedzony!

– To prawie tak jak nasz młody Mohamed, twój były zalotnik.

– Żebyś wiedziała. Często widuję ich razem, chodzą po meczetach, łążą po krzakach...

Nasz kolega chce chyba zrobić błyskawiczną karierę duchownego i myśli, że ortodoksyjny Arab mu w tym pomoże – podsumowała Meila. – Więc powtarzam, uważaj, bo mamy już dwóch mużłmańskich szpicli, którzy tylko węszą i marzą o znalezieniu grzesznej owieczki, żeby ją przykładowo ukarać.

– E tam! – Dewi lekceważąco machnęła ręką, a Fatuma przysłuchująca się rozmowie młodych tylko bezradnie podniosła ramiona i ciężko westchnęła. *Jeszcze tego nam było trzeba*, pomyślała, zaniepokojona. *Jakbyśmy sami mieli mało kłopotów, to obcy musi nam ich przysparzać.*

Meila trafnie przewidziała rozwój wypadków. Dwaj ortodoksyjni mużłmanie, Fajsal i Mohamed – jeden z nudów, a drugi dla kariery – rozpoczęli poszukiwania grzeszników na spokojnych osiedlach na wzgórzu. Saudyjczyk posunął się do tego, że w piątek biegał od domu do domu, dzierżąc w rękach gruby kij, i wyganiał mężczyzn oraz chłopców na modlitwę do meczetu. Kobietom chwilowo odpuścił, ale wspólnie z popiecznikiem zaczął uważnie śledzić każdy ich krok.

W nagrodę za religijną działalność oszołomiony i zdominowany imam, który do tej pory nikomu nie zależał za skórę i był spolegliwym człowiekiem, umożliwił zamieszkanie Fajsalowi i Meili w pobliżu meczetu, w murowanym domu należącym do *ummy*. Oczywiście nie musieli płacić ani grosza, bo lokalny duchowny twierdził, że to zaszczyt gościć tak bogobojnego człowieka. Wszyscy zaczęli też ze strachu znosić podarki, w tym głównie jedzenie, więc małżonkowie mieli darmowy wikt i opierunek. Wyglądało na to, że całkiem nieźle się urządzili. Meila miała teraz bliżej do matki, sióstr i braci, jednak nie była szczęśliwa. Mąż nie dawał jej spokoju nie tylko nocami, ale również w dzień i bez przerwy wykorzystywał ją seksualnie, a ona, z natury uległa i pokorna, oddawała mu się za każdym razem, gdy tego żądał. Jego seksualny apetyt wciąż rósł, a jedynym wytchnieniem dla dziewczyny było parę dni, kiedy miała menstruację, bo wtedy czysty jak łza Arab nie tykał jej nawet palcem i odganiał się od niej jak od trędowatej. Jednak po dwóch miesiącach kobieta zauważyła, że nie ma krwawienia, a jedynie plamienie, które zdarzało jej się notorycznie po gwałtownych stosunkach z agresywnym kochankiem.

– Mówiłam ci. – Matka poklepała ją czule po plecach. – Teraz da ci spokój. Mężczyźni nie lubią używać kobiet z brzuchem.

– Nie wiem, czy to dotyczy mojego męża – odpowiedziała ze smutkiem Meila. – Bez odpoczynku od tych spraw chyba umrę, mamó.

– Bliskie kontakty damsko-męskie powinny być przyjemnością. Liczyłam, że takowej doświadczysz.

– A ty? Powiedz mi jako dojrzałej kobiecie.

Fatuma zamyśliła się nad swoim życiem.

– Z twoim ojcem to był raj, ale on był inny, wykształcony, inteligentny, delikatny i bardzo, bardzo mnie kochał – zwierzyła się córce po raz pierwszy w życiu, a z jej smutnych, zmęczonych oczu popłynęły wielkie łzy. – Nie wykorzystyłam tego należycie, nie doceniłam... – Jej wyznania stłumił szloch. – Ale ja byłam już w życiu szczęśliwa. I modliłam się tylko, żebyś ty tego zaznała.

– Nie udało się, choć przez chwilę wyglądało to bardzo obiecująco – wyjawiała szczerze Meila. – Przez bardzo krótką chwilę, mamusiu.

Córka i matka, siedząc na bambusowej podłodze w biednej górskiej chacie, objęły się szczupłymi ramionami i wyplakiwały swój żal i smutek. Wiedziały, że nie odmienią swojego losu i przeznaczenia, a jeśli już, to tylko na gorsze.

Wtem na placu *kampungu* rozległ się męski krzyk i cienki kobiecy pisk. Wszyscy,

którzy byli w domach lub obrabiali pobliskie poliska ryżu, przybiegli zobaczyć, co się dzieje. Na środku osady stał dumny Fajsal. U jego stóp klęczała Dewi, a on trzymał ją za włosy. Jej sarong był poluzowany i rozchodził się na boki, bluzka rozerwana, a poturbowana dziewczyna na całym ciele miała liczne krwawiące rany i sińce. Obok Mohamed trzymał na grubym powrozie związanego za ręce Sutanto, który zamiast bać się czy kajać, z kpiarskim uśmiechem na ustach hardo patrzył przed siebie.

– Takich grzeszników tutaj trzymacie?! – ryknął Saud i jeszcze mocniej pociągnął za zmierzwioną czuprynę Dewi, aż z jej oczu pociekły strużki łez. – Na własnej piersi wyhodowaliście bezwstydników, którzy łamią prawo szariatu, postępują wbrew Koranowi i wszystkim regułom islamu. Hańbią siebie, was i gniewają Allaha! – wykrzykiwał z takim zapalem, że z ust tryskała mu ślina. – Lecz ramię Boga jest długie i dosięgnie każdego!

– Co ty gadasz, człowieku?! – Zadziorny Sutanto w ogóle nie przejmował się swoją nieciekawą sytuacją i spoglądał na obcego z lekceważeniem. – O co ci chodzi? Pilnuj ty swoich spraw, a uczciwych ludzi zostaw w spokoju!

– Oddaj mi moją córkę! – Utami z wyciągniętymi rękami pobiegła w stronę Dewi, lecz Fajsal tylko zamachnął się grubym kijem, który trzymał w wolnej ręce, a przerażona matka zamarła w pół kroku.

– *Pak* Fajsal. – *Bupati* próbował zareagować dyplomatycznie, zwracając się do strażnika cnoty łagodnie i grzecznie. – To nasza dziewczynka i my sami na pewno przykładnie ją ukarzymy.

– Tak! Tak będzie! Osobiście tego dopilnuję – oświadczył stojący w tłumie imam i na poparcie swoich słów podniósł rękę.

– Już ja znam tę waszą surowość! Jedyne rozpusta i grzech! Grzech na każdym kroku! – Saud nie rezygnował i jeszcze mocniej szarpnął warkocz Dewi, która patrzyła na niego przez łzy błagalnym wzrokiem. – Jeśli nie wymierzycie tej występnej parze kary zgodnie z wymogami muzułmańskiego prawa szariatu, to Allah ześle na wasze wioski ogień piekielny! – groził, a wszyscy zdali sobie sprawę, że jeśli nawet nie Allah, to ten obcy wariat zrobi to na pewno.

– Czego chcesz, panie? Co mamy uczynić, żeby cię zadowolić? – Starosta spojrzął twardo na człowieka, którego przyjął do swej wioski z otwartymi ramionami, wspierał, a nawet wyprawił dla niego na swym terenie ucztę weselną. Teraz ten niewdzięcznik odpłaca mu pięknym za nadobne. – Jakie mają być konsekwencje? – Coraz bardziej zdenerwowany, podnosił głos. – Czyż to nie ojciec powinien wyznaczyć pokutę krnąbrnej córce i następnie ją wykonać?! – wykrzyknął, zwracając się przy tym w stronę imama, który tylko kiwnął głową.

– Cieszę się, że bierzesz to na siebie. Karą za cudzołóstwo i rozpustę jest dla kobiety ukamienowanie – z szyderczym uśmiechem oświadczył Fajsal, obserwując przy tym miny rodziców oskarżonej, którzy tylko otworzyli usta, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Młokos dostanie baty. – Spojrzął przez ramię na chłopaka, który nagle stracił cały swój rezon i jedynie wytrzeszczał na niego oczy. – Sto batów! – sprecyzował religijny muzułmanin.

– Panie! *Pak!* *Tuan!* *Said!* – posypały się wołania, które miały dotrzeć do sumienia wahabity, ale ten pozostał niewzruszony.

– Do czasu wykonania wyroku skazaną zamkniemy w tym opuszczonym domu na skraju waszego *kampungu* – objaśnił zebranym, pokazując palcem na starą rozlatującą się ze starości chatę, która służyła *bupatiemu* jako składzik na gminne narzędzia. – Uprzątnąć ją! Zabezpieczyć! Dać klucze od kłódki! – wydawał rozkazy tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mohamed do jutra jej popilnuje, a ja zajmę się w tym czasie waszym wiejskim lowelasem. – Na te słowa młody z całej siły zamachnął się i uderzył niczego niespodziewającego się Mohameda. Padając na ziemię, praktykujący strażnik wiary i czystości puścił powróż, co

umożliwiło Sutanto błyskawiczną ucieczkę. – Łapać go! Łapać bezbożnika! – Fajsal ryczał na całe gardło, ale tłum krajan, nie zważając na słowa obcego, rozstąpił się przed swoim, tworząc wąską szczelinę. Gdy tylko Sutanto przemknął się nią, ludzie zeszli się z powrotem, zamykając przejście. Pokorni, ze spuszczoneym wzrokiem i zgarbionymi plecami, pokazali swą jedność i solidarność. – Wy dranie! Grzesznicy! – Saud podniósł kij, ale jako że został sam na placu boju, bo Mohamed nadal leżał z zakrwawionym nosem, był bezradny – nie mógł przecież rzucić się między gawieź i jednocześnie trzymać Dewi. – Ja cię jeszcze dopadnę! Dopadnę wszystkich zbereźników w tym zafajdanym kraju! – wygrażał zaciśniętą pięścią, ale po młokosie nie było już śladu.

Wieśniacy ze skwaszonymi minami rozeszli się do swoich domostw. Nikt nie powiedział ani słowa i wszyscy omijali wzrokiem skamieniałą z bólu rodzinę oskarżonej i skazanej Dewi. Stali nieruchomo, jakby ktoś zamienił ich w słupy soli. Fatuma podbiegła do Utami i usiłowała ją przytulić, lecz kuma padła bez tchu na klepisko. Dzieci i mąż wnieśli ją do chaty.

– Proszę cię, idź i powiedz mu, żeby zmienił zdanie. – Dumny do tej pory *bupati* chylił czoło przed Meilą. – W tobie jedyna szansa. – Patrzył jej głęboko w oczy.

– Ublągaj go! Przecież to twoja przyjaciółka! – Matka ścisnęła Meilę za lodowate z nerwów ręce.

– On tego nie zrobi – wyszeptwała dziewczyna. – Nie znacie go. Jak się wścieknie, to może nie tylko mnie pobić, ale też przykładnie ukarać razem z Dewi. I tyle będzie z mojego pośrednictwa.

– Co ty mówisz?! To niemożliwe! To jest jakiś potwór, a nie człowiek! – wykrzykiwali, nie panując już nad sobą.

– Niestety... – Dziewczyna zawiesiła głos i spojrzała ze smutkiem na zrozpaczoną rodzinę swojej przyjaciółki. Siedzieli bez ruchu na ganku swego bogatego domu i wsłuchiwali się w krzyki i biadolenie uwięzionej.

– Powiedz mu, że jesteś w ciąży i że urodzisz mu syna. – Fatuma poddała ostateczny argument, który powinien udobruchać każdego mężczyznę. – Poproś, żeby zrobił to dla waszego nienarodzonego dziecka, bo inaczej śmierć dziewczyny przyniesie mu pecha. – Była dumna z siebie i zadowolona, że wymyśliła takie trafne uzasadnienie.

– Spróbuję... – odparła niepewnie Meila, choć wiedziała, że coś będzie musiała zrobić, żeby zaradzić tej patowej sytuacji.

Wszyscy w napięciu czekali na mający nastać dzień. Czy to możliwe, żeby w ich wiosce miał dokonać się mord? Żeby celowo i bez litości zabić ich krajanke? Sąsiadkę? Dziewczynę, którą znali od urodzenia? Nigdy czegoś takiego nie było! Najstarsi mieszkańcy Tugu i okolic byli oburzeni. Nawet za czasów komunistycznych czystek, o których jedynie słyszeli, zawsze złe rzeczy działy się gdzieś daleko, bo oni żyli z dala od wielkiej polityki i cywilizowanego świata, w zgodzie z naturą. Do zdzierzenia były romanse, łajdactwo, kradzieże, picie, bicie, nieszczęśliwe porody i ciężkie choroby, ale nie umyślne zabicie bezbronnej kobiety! Nikt nie chciał uwierzyć, że taka straszna rzecz naprawdę się tutaj stanie.

– Fajsal – wyszeptwała w środku nocy Meila.

– No? – zapytał zaspanym, pełnym zadowolenia głosem.

– Czy ty naprawdę chcesz zabić Dewi? – zagadała niewinnie, na co mężczyzna aż siadł na łóżku i zaświecił światło. – Czy musisz? – Głos się jej trząsł z przerażenia, kiedy patrzyła w szalone, gorejące oczy męża.

– Zabić?! – wykrzyknął na całe gardło. Nie musiał już krępować się żadnych sąsiadów, bowiem cały dom należał do nich i mógł w nim robić, co mu się żywnie podobało. – Taka jest

pokuta za rozpustę! – Coraz groźniej spoglądał na swoją żonę. Meila kurczyła się w sobie, chcąc stać się niewidzialna.

– Nie ma możliwości ułaskawienia? – Wiedziała, że skoro zaczęła, to musi kontynuować, bo kara i tak będzie sroga.

– Żartujesz?! Dla grzeszników są męki piekielne!

– Nie dałoby się wobec tego zostawić tej sprawy do rozstrzygnięcia wszechmocnemu i wszechwiedzącemu Bogu, zamiast samemu wykonywać wyrok na ziemi?

– Zamknij się! Widzę, że jesteś taką samą ladacnicą jak ta dziewucha! – Fajsal był coraz bardziej wściekły. – No tak, przecież to twoja najlepsza przyjaciółeczka! – Strzelił ją na odlew, aż głowa odskoczyła jej do tyłu i uderzyła w drewniany zagłówek małżeńskiego łóża.

– Można zrobić dobry uczynek... – wyszeptala jeszcze, na co kolejne tęgie razy spadły na jej piersi, aż zaparło jej dech. – A gdybym dała ci coś w prezencie... Coś ważnego...

– Co ty mi możesz dać, żebraczkco?! – ryknął mężczyzna, po czym podniósł Meilę jedną ręką i rzucił nią o ścianę jak piłką.

– Mogę dać ci dziecko, syna! – szybko wymamrotała drżącym głosem, bo nie było sensu dłużej zwlekać z tą informacją. Zdała sobie jasno sprawę, iż ten szaleniec jest gotów zabić nie tylko Dewi, ale także ją. – W imię syna, ulituj się!

– Niby co? – Spojrzał na nią uważnie. – Jesteś brzemienna?!

– Tak – wyszeptala.

– Już to widzę! Kłamiesz, jak cała twoja parszywa nacja! – Przybliżył twarz do jej skancerowanej buzi i uważnie spoglądał w oczy. – Łżesz, suko! Indonezyjska kłamliwa suka! – Chwycił ją za mały miękki brzuszek i z rozmysłem zmiażdżył go w żelaznym uścisku, aż Meili zabrakło oddechu. Kiedy puścił, zacisnął dłoń w pięść i z całej siły uderzył w brzemiennie łono żony. Wtedy dziewczyna straciła przytomność.

Kiedy rano się ocknęła, skostniała i zboliała, na zimnej, kamiennej podłodze ich sypialni, Fajsala już nie było. Z trudem dowlekała się do łazienki. Delikatnie polewała swoje obtłuczone ciało lodowatą wodą, co przyniosło minimalną ulgę. Spomiędzy nóg wyciekał jej krwawy płyn, a ogromny ból, umiejscowiony głównie w podbrzuszu, oszołamiał.

Nie zważając na to, że prawie nie widziała na oczy, Meila po omacku ubrała się i najszybciej jak mogła, na miękkich nogach podreptała w stronę rodzinnego *kampungu*. Wiejska kamienista droga była pusta, nie biegały po niej dzieci, nie jeździły furmanki, nie widać było kobiet siedzących jak zwykle na tarasach, w oknach czy na progu przed domami. Osady na wzgórzu wyglądały na wymarłe. Wtem do uszu kuśtykającej dziewczyny dobiegło zwierzęce wycie, dochodzące z łąki za zabudowaniami. Aby ułatwić sobie marsz, chwyciła leżący na poboczu gruby kij i ile sił pospieszyła w tym kierunku.

Zobaczyła zwarty tłum ludzi zgromadzonych na oddalonym od osiedli miejscu. Przypomniała sobie, że była tam stara głębinowa kamienna studnia, która już wieki temu wyschła. Wszystkie dzieciaki bały się do niej podchodzić, gdyż według legend zamieszkiwały ją duchy. Meila przepchnęła się przez ciżbę i stanęła bliżej, skąd mogła zobaczyć, co się dzieje.

Fajsal, wystrojony w świeżą, nienagannie wyprasowaną białą *tobę*, w narzuconej na ramiona brązowej pelerynie ze złotymi obszyciami, stał nad krawędzią studni, trzymając skrępowaną powrozami Dewi. Dziewczyna wyglądała strasznie. Włosy miała skołtunione, policzki posiniaczone, a odsłonięte ramiona pokrywały ślady po licznych razach. Ledwo trzymała się na nogach. Tłum milczał i jak zamurowany patrzył na rozgrywającą się scenę. Nagle Arab chwycił wielkimi łapskami drobną Indonezyjkę, podniósł ją i wrzucił do szybu jak kukielkę. Dziewczyna wydała z siebie krótki pisk, lecz kiedy ciało uderzyło o podłoże, już

jedynie cicho jęczała. Ze studni jej głos rozchodził się echem po całej okolicy i przypominał zawroźenie podziemnych duchów. Ludzie byli przerażeni, ale nikt się nie ruszył, nikt nie zareagował. Następnie Saud przy pomocy Mohameda i robotników z Tugu, którzy prawdopodobnie przywieźli wóz pełen kamieni, zaczął rzucać do środka szuter.

– Panie, miej litość! – *Bupati* nie wytrzymał i odważnie zastąpił wysokiemu mężczyźnie drogę. Jego żona nawet nie drgnęła; wyglądała, jakby w ogóle nie wiedziała, co się dookoła niej dzieje. – Koran mówi o miłosierdziu... – Starszy tysięjący człowiek zgiął się pokornie i w błagalnym geście złożył ręce jak do modlitwy.

– Kara musi zostać wykonana, a ty podjąłeś się jej wymierzenia. Więc rób, co do ciebie należy! – fanatyk zagrzemiał jak szalony i wręczył staroście łopatę, aby ten zasypał swoją córkę żywcem.

– Nie! Ja tego nie zrobię! – Zrozpaczony ojciec odskoczył od niego.

– Imamie! Ten człowiek nie przestrzega prawa szariatu. – Saud zwrócił się do przestraszonego jak wszyscy duchownego. – Mam nadzieję, że zostanie przykładowie ukarany!

Imam nic nie odpowiedział, jedynie odwrócił wzrok, lecz przerażeni krajanie spoglądali na niego nieufnie. Fajsal dał znak, by Mohamed wskoczył na drewniany wóz. Chłopak błyskawicznie znalazł się na szczycie i z dzikim zapalem zaczął wywijać szpadlem. Do studni gęsto posypały się drobne kamyczki. Z głębi rozległ się najpierw słaby jęk, a potem mocniejsze, pełne trwogi nawoływania:

– Mamo! Tato! Ludzie! Ratunku! – Dewi usiłowała przebłagać kogokolwiek, aby jej pomógł, ale młody religijny chłopak, jeszcze nie tak dawno jej kolega z muzułmańskiej szkoły, tylko przyspieszył pracę. – Pomocy! – Nikt się nie ruszył i wszyscy stali oniemiałi.

Po krótkiej jak okamgnienie chwili wołanie ucichło. Teraz słyħać było już tylko dźwięk spadających kamieni. Meila podeszła do matki i dotknęła jej ramienia. Gdy Fatuma podniosła na nią wzrok i zobaczyła zmasakrowaną twarz córki, krzyknęła, lecz szybko zasłoniła usta ręką i patrzyła już jedynie swoimi wielkimi współczującymi oczami.

– Dzisiaj zostaniesz u nas – oznajmił cicho Hari, pochylając się nad pasierbicą. – Jak ten islamski wykołejeniec poczuł krew, gotów zabić i ciebie.

– Dziękuję – wyszeptła Meila. Po raz pierwszy spotkała się z litością tak ze strony tego mężczyzny, jak i wszystkich ludzi, którzy mijając ją, widzieli jej obrażenia i byli do żywego oburzeni takim traktowaniem kobiety.

Kiedy znaleźli się na kamiennej krętej drodze prowadzącej do ich *kampungu*, Hari już odważniej wygłaszał swoje sądy:

– Przyjęło się takiego mordercę do swojej rodziny, wpuściło pod dach, głaśkało i pieściło, zrobiło wielkie przyjęcie, żeby potem nam wszystkim tak się odwdzięczył.

Mieszkańcy osady wstydzili się jeden przed drugim, że nie wykazali się bohaterstwem, stanowczością i solidarnością. Jedyne, co umieli, to biernie obserwować i bać się, a przecież w duchu nie byli tchórzami. Zdawali sobie sprawę, że dali się zastraszyć obcemu nawiedzonemu mężczyźnie, co rzuciło cień hańby na nich wszystkich. Sąsiad sąsiadowi nie mógł spojrzeć w oczy i wszyscy pozamykali się w domach. Fajsal nie przyszedł po Meilę, choć jej ojczym i przyrodni brat czekali w gotowości, dierzząc w rękach grube kije. Dopiero gdy zapadał zmierzch, na placu zrobił się lekki ruch. Kolejny raz nie było prądu, więc wioski i osady na zboczu góry tonęły w mroku; widać było tylko zarysy przemykających cieni i słabe płomyki naftowych lamp, które skwierczały w wilgotnym powietrzu. Mężczyźni zebrałi się na odwagę i chyłkiem pobiegli do studni na niedalekiej łące. Nie dochodził z niej już żaden dźwięk, lecz krwawiące serce ojca kazało mu wybierać kamienie rękami, aby wydobyć z dna

szybu swoją małą córeczkę. Wszyscy pomagali mu, jak tylko umieli. Spuszczali wiadra na długich sznurach, ktoś przyniósł rozhuśtaną już drewnianą drabinę, lecz zanim starosta wybrał szutru do połowy, jego ręce spływały krwią, plecy potem i był bliski śmierci.

– Chodź do domu, kochanie. – Nieprzytomna z bólu Utami przyszła wesprzeć męża. – Zostawmy ją tam, gdzie leży – przekonywała. – Już nic nie możemy zrobić, nie możemy pomóc naszej malutkiej ślicznej córuni. – Westchnęła ciężko, a jej pomarszczona okrągła twarz w świetle księżyca lśniła od łez. – Widać takie miejsce wiecznego spoczynku było jej pisane.

Nagle nieoczekiwanie zerwał się wiatr, który nadszedł od górskich szczytów, niosąc z sobą chłód i mżawkę. Podmuch omiółł cały teren, szarpiąc ubrania na ludziach, kładąc palmy i wysokie drzewa eukaliptusowe, wyrwijając krzewy i podbijając z drogi kamyki oraz pył. Po chwili wpadł do zasypanej do połowy studni i zawył w niej przeraźliwym głosem, który niósł się echem po górach i dolinach. Wszystkim wydawało się, że słyszą jęki Dewi, jej płacz i wołanie. Zebrani w tym strasznym miejscu krajanie zostawili lampy, łopaty, wiadra i co tam trzymali w rękach i rzucili się do ucieczki. Pozostali tylko rodzice dziewczyny, bo jakżeby mieli bać się własnego dziecka. Nawet po śmierci córeczka pozostanie ich małą kochaną dziewczynką, ich rozrabiaką i oczkiem w głowie. Trwali więc bez ruchu, nasłuchując. Pragnęli choć jeszcze jeden raz usłyszeć nie smutne zawodzenie, ale zaraźliwy, wesoły śmiech Dewi.

Meila pozostała w domu rodziców, bo uwierzyła, że na swoim ojczyźnie, przynajmniej na razie, może polegać. Tragedia, która dotknęła osadę, dotyczyła każdego z jej mieszkańców, połączyła ich i zjednoczyła. Sutanto, chłopak Dewi, ponoć błąkał się po górach, widziano go w różnych miejscach, jak rozmawiał z drzewami lub śpiewał piosenki o swojej ukochanej, które znało już chyba każde dziecko w okolicy. Dewi stała się legendą, bohaterką baśni i przypowieści, symbolem nieszczęśliwej miłości i poniesionej za nią niesłusznie straszliwej kary. Za życia nigdy nie przypuszczałyby, że będzie aż tak sławna, lecz teraz co jej po rozgłosie.

Imam uciekł z Tugu i mówiono, że nie pojawił się nigdzie w górach Puncak. Możliwe, że albo załamała się jego wiara, albo postanowił poszukać nowego, nieskażonego terenu działań. Tutaj jego pozycja była spalona. Mohamed, chcąc uniknąć linczu, ze strachu zapadł się pod ziemię, bowiem mieszkańcy otrząsnęli się z lęku i postanowili zemścić się za krzywdy i morderstwo, którego był współwinnym. Hari długo próbował złapać Fajsala, żeby wydebić od niego resztę przyrzeczonego wiana i jakiegokolwiek pieniądze dla mającego narodzić się dziecka, bo Meila pomimo podłego traktowania, pobicia i załamania nerwowego utrzymała ciężę. Jednak Saudyjczyk potrafił się dobrze kamuflować – nie był uchwytny ani w rejonie meczetu, ani w hotelu, w którym mieszkał na początku swojego pobytu. Ludzie mówili jednak, że widzieli go to tu, to tam.

Tego ranka Hari miał szczęście, bowiem zauważył Fajsala jadącego w wynajętym samochodzie.

– Halt, panie! Stop! – zawołał do kierowcy, a gdy ten zatrzymał auto, uderzył w maskę kijem, który trzymał w dłoni. – Czemu uciekasz od nas chyłkiem? Co?

Saud uchylił okno.

– Z drogi! Już! – wrzasnął władczo.

– Nie! Nie ustąpię i wezwę innych na pomoc! – buńczucznie oznajmił po indonezyjsku Hari, choć Fajsal potrafił odczytać przekaz jedynie z gwałtownych ruchów rękami i groźnej miny.

– Czego chcesz, szumowino? – wysyczał wściekle. – *What do you want?*

– Widzę walizeczki i paki w samochodzie. Czyli dajesz dyla, paniczyku. –

Indonezyjczyk trafnie potrafił wyciągać wnioski. – *Case, case.* – Pokazywał palcem. – *You go, Saudi* – rzucał pojedyncze angielskie słowa.

– Jestem wolnym człowiekiem i mogę jechać, gdzie mi się podoba. *I am free man.*

– Tak ci się tylko wydaje, bo my możemy zgłosić na policję i w miejskim urzędzie, a nawet w samej Dżakarcie, żeś bezprawnie zabił naszą dziewczkę, a innej nie dał obiecane go wiana. – Hari kiwnął ręką na przechodzącego ucznia i poprosił go o przetłumaczenie swoich słów.

– Działalem zgodnie z prawem szariatu, prawem muzułmańskim, a przecież w tym waszym dziadowskim kraju obowiązuje islam. To wasza religia państwowa, no nie? – Nic nie było w stanie zbić z pantałyku ortodoksa.

– Jesteś w błędzie, mój kochanieńki. My rządymy się świeckim prawem międzynarodowym, co nie przeszkadza nam wierzyć w Allaha. Fanatyczny szariat na co dzień nas nie obowiązuje, a jedynie w meczecie i w kwestiach duchowych. Pomyliły ci się kierunki świata i miejsce na ziemi. U siebie możesz działać bezprawnie, u nas nie! – Uczniak aż się poccił, tłumacząc tak skomplikowane zdania, a Hari nie miał pojęcia, skąd przychodzą mu do głowy takie mądrości.

– Czego chcesz, łachudro? – Fajsał trochę spuścił z tonu.

– Obiecałeś dziewczynie dom – wygłosił ostatecznie ojczym. – Zostawiasz ją z twoim dzieckiem w brzuchu, bez środków i miejsca do życia.

– Wy i tak gnieździecie się wszyscy na kupie – ironizował Saud, lecz Hari przez otwartą szybę błyskawicznie wsunął rękę w głąb samochodu i chwycił prześmiewcę za gardło. Jego spracowane dłonie były szorstkie i popękane, ale siłę miały niesamowitą i ścisnęły delikatnego Fajsała jak kleszcze. – Ile? – wycharczał.

– Dużo – odparł Hari, a że nie miał pojęcia, ile to oznacza, bo przeważnie był bez grosza przy duszy, trochę się speszył. Fajsał wykorzystał ten moment, by odtrącić agresora.

– Masz tu dwieście dolarów. Za to cała twoja rodzinka będzie mogła żyć nawet przez rok. I odwal się! – Wręczył Hariemu dwa zielone banknoty i odjechał, wzburzając kurz z drogi. Tyle go widziano.

Życie w *kampungu* toczyło się swoim odwiecznym trybem według zegara, który odmierzała natura. Czy nastawała pora deszczowa, nadchodziły monsuny i tajfuny, czy pora sucha, dla mieszkańców gór zawsze był to okres wytężonej pracy i troski o rodzinę, żeby przeżyła w zdrowiu i nie cierpiała zbyt wielkiego głodu. A niestety deficyt jedzenia w tym regionie notorycznie dawał się we znaki.

Meila wydała na świat ślicznego zdrowego chłopczyka, którym zachwycała się cała osada. Wprawdzie akcja porodowa trwała ponad dwadzieścia godzin, ale dzielna dziewczyna dała radę siłami natury urodzić dziecko, które było największe wśród noworodków w okolicy.

– To po jej ojcu – mówiła dumna Fatuma. – Był taki wysoki, w końcu półkrwi Holender.

– Tak, tak... – Wszystkie kobiety przytakiwały i nikt nawet nie wymieniał imienia Fajsała, który przekazał synowi i wzrost, i karnację, i duży semicki nos.

– Nie opowiadajcie! – oponowała szczęśliwa młoda mama. – Karim ma przecież miodową skórę i czarne jak węgielki oczka, to po mnie. To mój syneczek. – Tulila niemowlaka do piersi.

– Kiedy się przeprowadzacie? – zainteresowała się Utami, która po ostatnich przejściach zmieniła się nie do poznania. Była teraz pokorną, przyjacielską, siwą i pomarszczoną staruszką, która nic innego nie robiła, tylko żuła betel. Może to jego lekko otumaniające działanie pomagało jej przetrwać tragedię. – Mój mąż mówi, że wszystko już gotowe.

– Wiemy. Mężczyźni odnowili ten mały domek, były składzik, tak że teraz jest nie do poznania – przyznała Fatuma. – Meila musi jednak chcieć się do niego przenieść – podkreśliła, ale żadna z kobiet nie zapytała, czemu nie ma na to ochoty. Wszystkie kumy pamiętały przecież, że to w tym miejscu spędziła swoją ostatnią noc Dewi, przyjaciółka dziewczyny. – W końcu będzie trzeba, córeczko. Hari już mocno się denerwuje – nalegała, a kobiety były pełne zrozumienia dla takiej postawy.

Meila nie miała wyjścia, bo dłuższe zwlekanie byłoby nie w porządku, tak w stosunku do rodziny, która gnieździła się na minimalnej powierzchni, jak i wobec serdecznych sąsiadów, pomagających przy remoncie. Zabrała parę swoich rzeczy i zamieszkała na obrzeżach osady, gdzie czuła się jak wyrzutek. Jednak nie mogła żyć tam sama, bez męskiego opiekuna. W końcu Indonezja to muzułmański kraj, który może bez fanatyzmu, ale przestrzega prawa szariatu. Dlatego też połowa jej rodzeństwa z niezwykle zapałem dołączyła do Meili i jej synka. Dzięki temu nie była samotna, a i w małej chacie Fatumy zrobiło się więcej miejsca.

– Karim jest już wystarczająco duży, żebym mogła pracować – oświadczyła, trzymając swojego niespełna rocznego synka w nosilkach na biodrze. – Ja nie za bardzo nadaję się do pola, za to do *warungu* znakomicie. Jestem dobrą kucharką i postanowiłyśmy z siostrą, że ją zmienię – zwróciła się do Utami, której i tak było wszystko jedno, kto na nią pracuje.

– A mała co będzie robić? – zaciekała się kobieta.

– Chce nauczyć się tkania batiku. To dobry zawód.

– No i świetnie. Róbcie, co chcecie, byleby wszystko chodziło, jak należy.

Od tego dnia co rano Meila stawiała przy garach i była szczęśliwa, bowiem miała czym zająć myśli i ręce. Praca dawała jej też możliwość spotkań z ludźmi i zamienienia z nimi przynajmniej paru słów. Dzięki temu powoli zapomniała o swoich przejściach, nieszczęśliwej pierwszej miłości i zranionym sercu. Karim rósł jak na drożdżach, a ponieważ był nad wiek wyrosniętym dzieckiem, nie siedział stale u zapracowanej mamy w nosidelku, lecz kręcił się wokół *warungu* i bawił w przydrożnym kanale czy między ławkami. Każdy, kto przychodził, brał go na ręce i zachwycał się jego urodą, pogodnym usposobieniem i dźwięcznym śmiechem, więc chłopiec szybko stał się ulubieńcem nie tylko osady, ale prawie całego Tugu i maskotką zapracowanych mieszkańców. Meila przestała zazdrościć swoim koleżankom, że mogą chodzić do szkoły i uczyć się, teraz to one zazdrościły jej cudownego synka, który daje tyle radości. Życie płynęło leniwie, bez większych zwrotów i zawirowań, każdy dzień był podobny do poprzedniego – wypełniony pracą i małymi przyjemnościami. Koło ładnej, zadbanej i spokojnej Meili zaczęli kręcić się zalotnicy, więc istniała możliwość, że dziewczyna w końcu ułoży sobie życie i zazna choć trochę szczęścia.

Pewnego dnia wpadła do chaty Fatumy, niosąc na rękach Karima.

– Mamo! Coś z nim jest nie tak! Zobacz, jaki rozgrzany! Jak piec! – krzyczała przerażona.

– Spokojnie, dzieci miewają wysoką temperaturę i nie oznacza to od razu końca świata – uspokajała ją matka.

– Ale on mi leci przez ręce! – Młoda kobieta położyła szczupłego trzylatka na macie w głównym pomieszczeniu.

– Zaraz zawołamy znachorkę, która pomogła ci utrzymać ciążę. Przyjdą też inne kobiety, biegłe w wychowaniu dzieci. Kochana, prawie każda z nas urodziła z dziesięcioro potomstwa, więc mamy dość praktyki i doświadczenia w leczeniu dziecięcych chorób.

Rzeczywiście wystarczyła chwila, by dom wypełnił się kobietami, chcącymi wesprzeć przerażoną matkę i jej chorego synka.

– Głowa boli, mama... – ze łzami w oczach wyszeptał Karim. – Rączki i nóżki też. I zimno mi, straszliwie lodowato. – Zaszczekał zębami.

– Może ma malarię? – zaczęła snuć przypuszczenia pierwsza kuma. – Mam w domu korę drzewa chinowego, zaraz przyniosę i zaparzemy.

– Pij, kochanie. – Chłopiec dostał napar z dodatkiem oleju kokosowego, żeby lek lepiej się wchłonał.

– Nie dość że działa przeciwgorączkowo, to jeszcze likwiduje wszystkie zapalenia i ból – poinformowała obeznana sąsiadka. – Dziesiątki razy leczyłam tym moje dzieci i zawsze mam zapas tego specyfiku.

– Gorzkie! – Malec krzywił się, a jego ciałkiem wstrząsały dreszcze.

– Jak wypijesz, to zaraz będziesz zdrowy i pójdiesz bawić się z dziećmi – obiecywała Meila.

– Otwórz buzię. W nagrodę dam ci słodkiego miodku. – Do chłopca przyskoczyła też babcia, lecz zanim wsadziła łyżeczkę do ust wnuczka, ten zwrócił całą zawartość trzewi na jej spódnicę.

– Razi mnie światło, mamuniu – wyznał płaczkliwie, trąc oczy. – Śpiący jestem. – Obrócił się na bok i zwinął w kłębek, lecz drgawki go nie opuściły, bez przerwy szarpały jego wątłym ciałkiem.

Meila przeniosła synka do swojego domu i siedziała przy nim dzień i noc, lecz serwowane napary i maści nie pomagały. Chłopiec, który miał biegunkę na przemian z wymiotami i cały czas wysoką gorączkę, nikał w oczach. Po tygodniu do chorobowych objawów dołączył spazmatyczny kaszel, po którego atakach nie mógł złapać tchu.

– Trza jechać do lekarza do miasta – postanowił Hari, który od jakiegoś czasu częściej bywał w domu Fatumy niż u swojej drugiej rodziny na wzgórzu. – *Bupati* pożyczyci nam auto, a sąsiedzi może wspomogą trochę finansowo.

– Zawieziemy doktorowi herbaty, ryżu, trochę owoców, bo przecież oni tam nie mają takich dobrych i świeżych – podsunęła myśl zapobiegliwa Fatuma.

Zrozpaczoną Meilę ogarnęły złe przeczucia. Czuli, że jej dziecko odchodzi z tego świata, i obawiała się, że już nic i nikt nie będzie w stanie mu pomóc. Jedyna radość jej życia, jedyny najbliższy człowiek, krew z krwi, kość z kości. Sama wyglądała niewiele lepiej od synka i snuła się po domu jak cień.

W dniu wyjazdu do miasta Karim od rana nie odzyskał ani na chwilę przytomności i Meila była przekonana, że wiezie go na śmierć.

– Gdzie dziecko się bawiło? Z kim stykało? Od kiedy trwa gorączka? – poważny lekarz zarzucał rodzinę pytaniami.

– Bywał tam, gdzie pracuję – niepewnie tłumaczyła młoda matka. – Wszyscy brali go na rękę, bo to bardzo towarzyski maluszek.

– Córka prowadzi jadłodajnię u nas w Tugu – dodała Fatuma z dumą. – Jedną z najlepszych, i to przy głównej drodze na Puncak.

– Malec urzędował przy *warungu*? Przy ulicy i kanale z fekaliami?! – wykrzyknął medyk.

– Że co? – zapytał Hari, bo nie rozumiał ani oburzenia doktora, ani jego ostatniego słowa. – O co szanownemu panu chodzi?

– Tymi rowami płyną ścieki, wasze siki i gówna! – nie wytrzymał lekarz, bo do szału doprowadzała go indolencja niewykształconych ludzi, którzy często sami byli sobie winni infekcji, prowadzących do licznych zgonów, szczególnie wśród małych dzieci. – Do tych fos nie powinno się nawet zbliżać, a co dopiero moczyć w nich ręce!

– Że niby te wielkie kanały w Dżakarcie są wypełnione szczynami i kupą? – Meila wściekła się, że wyedukowany człowiek opowiada takie głupoty. – Kto by tego tyle naprodukował? Widziałam je w dzieciństwie i dobrze pamiętam, że bezpośrednio przy nich mieszkają ludzie, bawią się dzieci i niczym takim nie śmierdzi. Może jedynie biedą i zwyczajną zgnilizną.

– Kanały, o których pani mówi, to są bardziej fosy irygacyjne i przeciwpowodziowe. Kiedy napada za dużo deszczu, mają się gdzie zebrać wezbrane wody, zanieczyszczone przez ludzi jedynie odpadkami i codziennymi śmieciami. Lecz rowy, które wykopano w miasteczkach, na wsiach czy w osadach takich jak wasza, to po prostu rynsztoki – oświecił prostaczków.

– *Astana*55! – równocześnie wykrzyknęły kobiety.

– Cóż... – Ułagodzony nieco lekarz podniósł ramiona. – Dziecko zostaje w klinice. Musimy zrobić testy, analizy, wszystkie badania i wtedy się dowiemy, co złapał ten biedny maluch. Oby tylko przetrzymał. Ale wygląda na silnego, więc bądźcie dobrej myśli – zakończył typowym lekarskim sloganem.

– My nie mamy za dużo pieniędzy... – Hari bezradnie rozłożył ręce.

– Nie potrzeba. W naszym szpitalu jest fundusz dla biednych. Mamy przecież wspaniałe rządy naszego dobrodzieja generała Suharto. – Ze słów lekarza wynikało, że jest gorącym zwolennikiem prezydenta, który zapewne wysłał go, jak i tysiące innych, na stypendium zagraniczne, aby mógł zdobyć konieczne wykształcenie, by potem pomagać swoim rodakom.

– Czy mogę zostać tu z synkiem? – zapytała cicho Meila.

– Niestety. – Medyk pokręcił głową. – Rodziny pacjentów są tak liczne, że uniemożliwiałyby nam pracę. Chłopczyk zresztą został umieszczony na oddziale intensywnej terapii, a tam wchodzić nie wolno. – Na takie wieści oczy młodej mamy błyskawicznie wypełniły się łzami. Widząc to, lekarz się ulitował: – Dobrze, niech pani wejdzie. Ale tylko na chwilkę, żeby się z nim pożegnać.

– Kiedy będzie wiadomo, co mu jest? – Babcia Fatuma też nie zamierzała odejść, nie wiedząc, co dolega wnuczce.

– Jak chcecie, możecie poczekać na wyniki podstawowych badań przed szpitalem albo zrobić sobie przy okazji wycieczkę do bogorskiego ogrodu botanicznego. Byliście już tam?

Meila i Fatuma zgodnie pokiwały głowami. Doskonale pamiętały wiosenny wiec partii komunistycznej, który odbył się lata temu właśnie w tym miejscu. Dziś wydawał się tak nierealny, jakby miał miejsce w innym życiu, w innym świecie. Hari jedynie spojrział na kobiety ze zdziwieniem i nie powiedział ani słowa.

– Przejdziemy się – zdecydowała Fatuma. – Powspominamy dawne czasy.

Jednak nie był to dobry moment ani na wspominki, ani na spacer. Wszyscy troje przycupnęli przy wielkim drzewie, które rosło tuż przy ogrodzeniu, i nie ruszyli się stamtąd na krok. Milczeli, bo i o czym było rozmawiać. Kobiety zanurzyły się w swoich niewesołych myślach, a mężczyzna odpalał jednego papierosa od drugiego. Kiedy zaczęło się ściemniać, uznali, że na pewno już coś wiadomo. Przepchnęli się przez tłum pacjentów i ich rodzin i weszli do kliniki. Tam też było gęsto, co dawało iskierkę nadziei, że jeśli do szpitala przyjeżdża tylu chorych, to musi być dobry, a może nawet najlepszy w regionie, i że lekarze będą wiedzieli, jak pomóc słabemu, choremu Karimowi. Przykucnęli w kącie i cierpliwie czekali, spodziewając się, że w końcu zostaną wywołani.

– Mamy parę wyników, ale nie dają pełnego obrazu – usłyszeli w końcu zdawkową informację.

Po kolejnej godzinie znów pojawił się lekarz, trzymając w rękach plik papierów.

– Teraz najistotniejsze jest zabicie gorączki, bo w takim stanie nie możemy dziecka męczyć skomplikowanymi badaniami. Proszę się nie martwić, malec jest pod dobrą opieką, a jego stan jest stabilny. – Użył pustosłowia, bo nie miał pojęcia, na jaką chorobę zapadło dziecko. – Przyjdźcie jutro – powiedział na koniec i przeszedł do następnej rodziny czekającej na informacje.

Meila jeździła do Bogor najpierw codziennie, a później co drugi dzień. Karimowi poprawiło się, ale nie na tyle, żeby można go było wypisać. Gorączka spadła, wymioty i biegunka minęły, lecz jego wychudzone ciało nadal łapały gwałtowne skurcze, a jedną nóżkę miał nienaturalnie wygiętą ze zwiniętą do środka stopą.

- Mama, to mnie boli. – Pokazywał palcem, wyginając usta w podkówkę.
- Przejdzie, na pewno minie – pocieszała go Meila.
- Ale boli...

Maluszek wtulał się w pierś mamy i obejmował ją mocno, nie chcąc, żeby odeszła. Za każdym razem przy pożegnaniu odgrywały się dantejskie sceny, więc medycy doradzili Meili jak najrzadsze odwiedziny.

– Kiedy wychodzisz, to on nie może dojść do siebie, ale jak dłużej cię nie ma, zaczyna przywykać, jeść, bawić się z innymi dziećmi. Dla jego dobra przyjeźdź dopiero za tydzień – doradziła europejska siostra zakonna, która opiekowała się chorymi dziećmi na oddziale dla biednych. – Sama widzisz, że już jest znacznie lepiej, więc bez obaw – pocieszała, ściskając rękę Meili.

Młoda matka wróciła więc do zwykłych zajęć, ale co parę dni pojawiała się na oddziale wieczorami i z ukrycia obserwowała synka. Jego ogólny stan był dużo lepszy, ale kłopoty z nogą się pogłębiały.

– W poniedziałek możemy już wypisać pani malca. – Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie oznajmił lekarz.

– Jak to? – zdziwiła się Meila. – A co z tym paraliżem? Jak on będzie chodził?

– Karim przeszedł polio. Na spustoszenia, które choroba poczyniła w jego organizmie, nic nie możemy poradzić.

– Cóż za zaraza? – zawołała oburzona Meila, bo według niej chory człowiek albo zdrowieje, albo umiera. Nie знаła żadnych pośrednich rozwiązań.

– Niestety, zapadają na nią dzieci. Ale i tak może pani być dumna ze swojego synka, bo z tak ostrego stanu mało kto wychodzi.

– No właśnie! On też nie chodzi, tylko kuśtyka! Podskakuje!

– Miałem na myśli, że kilkulatki często na tę chorobę umierają – wytłumaczył lekarz.

– Aha... – Meila spuściła wzrok.

– Chyba lepiej, by trochę kulał, niż żeby go nie było – pocieszał, poklepując ją po plecach. – Z czasem nauczy się sprawniej poruszać i na pewno będzie dawał sobie radę. Lecz na razie postępujący paraliż musi się zatrzymać. Niewykluczone, że nawet trochę się cofnie.

– To znaczy, że może być lepiej? – Matka chwyciła się iskierki nadziei.

– Musi pani pamiętać, że może też być gorzej – uświadomił ją lekarz. – Na chwilę obecną my nic więcej nie możemy zrobić. Na świecie w renomowanych klinikach po ustabilizowaniu się stanu małego pacjenta przeprowadza się specjalną rehabilitację, ale u nas, w Bogor, nie mamy profesjonalistów, którzy by się na tym znali. W przypadku polio zwyczajny masaż nie pomoże. – Westchnął smutno i widać było, że żal mu biednych ludzi. – Na razie trzeba poczekać, dobrze go karmić, dawać dużo mięsa, jaj, mleka i jeszcze więcej warzyw.

– A skąd ja mam wziąć takie specjały?! – Matka bezradnie rozłożyła ręce. – To nasi

goreng już mu nie wystarczy?

– Oprócz zapchania brzucha ta potrawa nie dostarcza żadnych wartościowych składników odżywczych – autorytatywnie oświadczył doktor.

Kobieta spojrzała na niego z niedowierzaniem, uznając, że mówi głupoty.

– To znaczy, że wszyscy, których znam, źle jedzą? – zakpiła już trochę zezłoszczona.

– Niestety tak, a to powoduje genetyczne uszkodzenia.

– Że co? – Przemądrzały medyk zaczynał jej działać na nerwy. Chyba specjalnie mówił takim językiem, żeby go nie rozumiała i żeby mógł pokazać swoją wyższość.

– Oznacza to, że dziecko, które jeszcze jest w brzuchu matki, już rozwija się nieprawidłowo, a z wiekiem te ułomności jeszcze bardziej się potęgują. Powodem jest awitaminoza i niedożywienie.

– Czyli my, Indonezyjczycy, w większości jesteśmy ułomni! – wrzasnęła oburzona. – Sami debile!

Dłużej już nie mogła tego znieść. Niegrzecznie obróciła się do doktora plecami i wybiegła ze szpitala. W domu opowiedziała rodzinie własnymi słowami, czego się dowiedziała, przekazała też, jak powinno się teraz żywić małego Karimka. Wszyscy jedynie zrobili wielkie oczy i pukali się palcem w czoło. *Może rzeczywiście medyk miał rację?*, pomyślała Meila, kiedy patrzyła na głupie miny swojego rodzeństwa i jeszcze bardziej kretyński wyraz twarzy Hariego. Mama i ja jednak przez pewien czas żyłyśmy w dobrobycie i normalnie się odżywiałyśmy. A tutaj przy powszechnej biedzie miska suchego białego ryżu czasami bywa rarytasem.

– To co zrobimy? – zapytała już na głos. – Nie jesteśmy w stanie zapewnić mu koniecznej rekonwalescencji ani dobrych warunków życia, a tym samym powrotu do zdrowia.

– Nie mam pojęcia, jak to zorganizować. – Zrozpaczona Fatuma zmarszczyła czoło i zacisnęła wargi. – Może ja też najmę się u kogoś do pracy, to zarobię parę dodatkowych rupii. W domu jest teraz mniej roboty...

– Chybaś oszalała! – oburzył się Hari. – A kto będzie sadił ryż w naszym polu, nawadniał działki, plewił, zbierał? Kto wszystkiego dopilnuje? Ty pójdziesz do kogoś, a my weźmiemy najemników, którzy nic innego nie robią, tylko kradną. Gdzie tu sens?! Skończy się tak, że i my nie będziemy mieli co do pyska wsadzić.

– Masz mój kontrakt ślubny? – przerwała mu Meila.

– Mam. A co?

– Sprawdźmy, czy jest tam zapisany adres Fajsala. Może kiedy dowie się, że jego syn jest chory i potrzebuje pomocy, to zmięknie mu serce.

– Nieźle to wymyśliłaś. – Ojczym poklepał ją po plecach, a cała rodzinka zgodnie zaaprobowała tę inicjatywę.

Mężczyzna przysunął starą drewnianą skrzynię, w której znajdowały się najcenniejsze rzeczy należące do rodziny. Były tam kupony batiku i *ikatu*, obrączka Fatumy, parę groszy, które trzymali na czarnej godzinę, akty ślubów oraz wszystkie szkolne świadectwa dzieci.

– Jest. – W końcu dumny wyciągnął pomięty papier. – Bierz i czytaj. – Wręczył go swojemu niewiele młodszemu od Meili synowi, który miał znakomite wyniki w szkole. Co piątek w meczecie czytał też Koran po arabsku, więc przynosił chlubę nie tylko rodzinie, ale i całej osadzie.

– Co to za karteczka? – Meila wyciągnęła rękę, bo przecież ona także potrafiła czytać i dopóki mogła się uczyć, również dostawała dobre oceny. – Co to za pismo?

– Napisane jest po arabsku – objaśnił z dumą chłopak. – Muhammad... ibn... Fajsal – dukał, rozszyfrowując esy-floresy. – Al-Nadźdi. – Odetchnął z ulgą.

– To nie Fajsal – stwierdziła siostra. – Czemu dał namiary na kogoś innego?
– Czekajcie, odczytam resztę. – Chłopak wziął głęboki oddech i z intelektualnego wysiłku aż poczerwieniał. – *Haj'atu alamar bil...* Już wiem! – wykrzyknął. – Komisja do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom. Ha! Naczelnik!

– Oho! To musi być niezła szyszka, jakiś ważny krewniak tego drania. Taki *bupati* w jakiejś komisji czy arabskiej partii. – Hariemu aż zabłyśły oczy, bo już zwęszył duże pieniądze. – Napiszemy do niego – postanowił. – Na adres tego urzędu. To będzie musiał odebrać i nie wyrzuci na śmietnik.

Wspólnie ułożyli zgrabny tekst, który młodzik przełożył na arabski i skonsultował jeszcze z imamem: „Szanowny Panie Muhammadzie, synu Fajsala. Jest Pan zapewne ojcem też Fajsala, który nosi imię po dziadku. Ożenił się on w Tugu w górach Puncak w Indonezji z naszą córką Meilą. Jednak kiedy była brzemienna, haniebnie ją porzucił. Urodziła syna, Karima. On teraz się rozchorował, ale może być zdrowy, jak będzie dobrze leczony i karmiony. Pana wnuk oczekuje pomocy. Z poważaniem – Hari Haryonto”. Kiedy prymus zaniósł tekst do urzędu pocztowego w Bogor, okazało się, że nadanie go telegramem do Rijadu będzie kosztować majątek, bowiem było w nim zbyt wiele słów. Młody chłopak wyciągnął więc z niego to, co niezbędne: „Do Muhammada, ojca Fajsala, byłego męża Meili, Indonezycji. Ma pan wnuka. Chory. Oczekuje pomocy. Hari”.

Wszystko było jasne i bez zbędnego gadania, jednak upłynął jeden miesiąc, potem drugi, a odpowiedzi nie było. Karimowi nie polepszało się, często polegiwał, nie bawił się z dziećmi i był osowiały. Kobiety usiłowały karmić go najlepiej, jak umiały, dawały mu to, na co pozwalały marne fundusze, lecz noga i stopa chłopca nie wyprostowały się, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej wygięły, co sprawiało malcowi niesamowity ból. Coraz częściej płakał, nie spał po nocach i chudł. Przy swoim wysokim wzroście wyglądał jak szkielet, a przecież dostawał same najlepsze kaski. Rodzina w ogóle nie widziała mięsa czy warzyw, bo wszystko było przeznaczone tylko dla niego.

– Trzeba napisać jeszcze raz. – Pewnego dnia Hari wręczył synowi banknot o wysokim nominale. – Może tak skróciłeś tekst, że stał się niejasny?

– Oni po prostu mają gdzieś indonezyjskie dziecko – podsumowała ze smutkiem Fatuma.

– Od początku to małżeństwo było fikcyjne – oświadczyła mądra po szkodzie Meila. – On tylko chciał się przez jakiś czas zabawić, a potem wrócić, jak gdyby nigdy nic, na swoje piaski.

– Zadzwoń do niego – oznajmił chłopak. – Jeśli tylko zechce zamienić ze mną parę słów, to mu nagadam!

Nie zwierzył się, jak przebiegła międzynarodowa rozmowa, lecz po tygodniu otrzymali telegram z informacją, że Fajsal wkrótce przybędzie.

– Po co on tu? – Meila zaniepokoiła się, bo przypomniawszy sobie wszystkie krzywdy, których zaznała od swojego męża. – Ja go nie chcę!

– Przyjeżdża zabrać Karima do siebie – oświecił ją brat, który jako jedyny był w stanie odszyfrować arabski tekst.

– Jak to?! Niech da pieniądze i spieprza! – Fatuma też nie zapomniawszy upokorzeń i cierpienia swojej córki.

– Arabia to bogaty kraj. – Chłopak specjalnie przyniósł do domu książki i parę gazet, by pokazać rodzinie, dokąd uda się ich mały pupilek. – Tam Karim ma szansę na wyleczenie, tam są wielkie szpitale i zagraniczni lekarze.

– Nie zgadzam się! – Meila szlochała, wzbraniając się przed przekazaniem dziecka, choć

wiedziała, że brat ma rację. – Nie oddam mojego synka!

– To skądziesz go na powolną śmierć albo wieczne kalectwo, siostrzo! – Wyciągnął rękę, by ją objąć, lecz ona uciekła do swojego małego domku. Chciała jak najwięcej pozostałego jej czasu spędzić ze swoim ukochanym chłopczykiem.

Nastała pora deszczowa. Najgorsza, jaką Meila pamiętała w swoim życiu. Młoda, szczupła dziewczyna stała na ganku swojego drewnianego domku na palach, osłaniając się przed ulewą plastikowym kawałkiem worka po ryżu. Była ubrana w tradycyjny indonezyjski strój, wyblaknięty i poplamiony oliwą sarong, miała spraną koszulę, a obszarpaną, niegdyś barwną chustą niedbale okryła swoje długie falujące włosy. Monsunowy deszcz zaczął i co chwila musiała kryć się pod pochyłym daszkiem, żeby całkowicie nie zmoknąć. Czarne niebo obniżyło się jeszcze bardziej, a gęste, wełniaste chmury groźnie się na nim kłębiły. Po chwili rozległ się pierwszy grzmot, a zaraz potem uderzyła błyskawica. W jej świetle widać było małego chudziutkiego chłopca stojącego na progu pomiędzy domem a gankiem. Jego ciało było niepokojąco rachityczne, a jedna noga przygięta i założona za drugą. Podmuchy mocnego wiatru prawie go przewracały, więc kurczowo trzymał się framugi.

Niechże on już przyjedzie, błagała zatroskana matka, ocierając spływające po jej twarzy krople ciepłego deszczu.

Niech on nie przyjeżdża!, krzyczał w duchu Karim. *Na Allaha, niech ta burza go zatrzyma!*

Ich rozmyślenia przerwał ryk silnika i po chwili przed domem zatrzymał się stary, wysłużony džip. Kierowca wyskoczył z wozu i od razu zanurzył się po kolana w błotnistej mazi, która przelewała się przez podwórko. Przez okno pasażera widać było drugą postać. Mężczyzna ubrany był w białą *tobę*, a na głowie miał udrapowaną kraciatą, biało-czerwoną chustę. Z jego postawy i rysów biła duma, a grymas ust zdradzał pogardę i zniecierpliwienie. Uchylił łufcik i ponagląco kiwnął wypiełgnowaną dłonią. Meila z drżeniem po raz ostatni przytuliła do swojej piersi drobnego wątłego synka.

– Kochany mój – szepnęła mu do ucha. – Tak musi być. To twoje wybawienie...

– Nie, mamó! – krzyczał malec. – Mamó! Ja nie chcę!

– Tutaj nie przeżyjesz, mój najdroższy!

– Wolę umrzeć przy tobie niż...

– Cicho bądź! – Matka uderzyła chłopca. – Nie grzesz! Nie zmarnuj takiej szansy!

– Mamó! – Karim trząsał się na całym ciele, nie tylko ze wzburzenia, ale i z powodu przeszywającego zimna.

– Idź! Natychmiast maszeruj do swojego ojca! – Próbowała być twarda. – A jak dorośniesz, będziesz silny, zdrowy i mądry, to może kiedyś mnie odwiedzisz. Nie zapominaj o mnie, synku... – Szlochała bezgłośnie, a zalewający ją deszcz mieszał się ze słonymi łzami.

– Ja tutaj wrócę – obiecał synek. – Czekać na mnie! – Z tymi słowami obrócił się od swojego domu, oparł na małej lasce i pochylony pokuśtykał przed siebie.

– Karim! – Niekontrolowany krzyk wyrwał się załamanej Meili, lecz zdusiła go, przyciskając spracowaną rękę do ust. – Synku, nie opuszczaj mnie... – wyszeptwała, łkając. Miała wrażenie, że jej serce z rozpaczony rozpękło się na tysiące krwawiących kawałeczków.

34 Betel – pieprz żuwny; rodzaj używki stosowanej w krajach Dalekiego Wschodu przeważnie przez kobiety (mężczyźni głównie palą papierosy, co w Indonezji wśród kobiet nie jest przyjęte). Ma działanie orzeźwiające, lekko podniecające (przy dużej ilości otumaniające) i lecznicze – zabija pasożyty i odkaża przewód pokarmowy. Ubocznym skutkiem jest barwienie

zębów na czarno, a śliny i ust na czerwono. W wyniku regularnego żucia mogą też wypadać zęby i następuje sztywnienie szczęki. Betel zwiększa ryzyko zachorowalności na raka jamy ustnej, astmę i podnosi zagrożenie ataku serca.

35 *Selamat sore* (indonezyjski) – dzień dobry, przywitanie od godz. 15.00 do zachodu słońca.

36 *Fatwa* (arabski) – opinia teologa muzułmańskiego mająca charakter zalecenia; ma szersze znaczenie jako klątwa, nakaz czy wypowiedzenie świętej wojny; fatwą wydaje się też wyroki skazujące, np. wyrok śmierci.

37 *Nenek* (indonezyjski) – babcia.

38 *Banjar* (indonezyjski – wym. bandziar) – sąd, rada starszych, samorząd, szczególnie w systemie kastowym. Składa się przeważnie z 60 mężczyzn.

39 *Imam* (arabski) – muzułmański przywódca duchowy; głowa meczetu.

40 *Denga* – potencjalnie śmiertelna choroba wirusowa przenoszona przez komary, w ostatnim stadium przyjmująca objawy gorączki krwotocznej. Objawia się przeważnie wysoką gorączką, bólami głowy, mięśni i sztywności stawów. Do dzisiaj nie wynaleziono na nią skutecznej szczepionki.

41 *Nasi goreng* (indonezyjski) – ryż smażony – podstawowe danie kuchni indonezyjskiej; może być przyrządzany z kurczakiem, rybą, owocami morza lub warzywami; kupiony w *warungu*, zawsze będzie zawierał śladowe ilości mięsa. Obecnie porcja kupiona z wózka na ulicy kosztuje ok. 1 dolara.

42 *Gazebo* (indonezyjski) – dosł. balkon; tradycyjny podest na palach charakterystyczny dla indonezyjskiego pejzażu; stawiany z drewna, posiada zadaszenie i czasami specjalne zasłony; na podium kładzie się maty lub materace i poduszki; miejsce odpoczynku.

43 *Hadis* (arabski: al-hadith) – opowieść przytaczająca wypowiedź proroka Muhammada, jego czyn lub mówiąca o milczącej aprobacie. Jest to najważniejsze po Koranie źródło muzułmańskiego prawa szariatu.

44 *Yogyakarta* (według zasad sprzed ostatniej reformy indonezyjskiej ortografii pisało się *Jogjakarta*); wym. Dżogdzakarta – potocznie *Yogya* (wym. Dżogdża); leży w środkowej części Jawy u podnóża wulkanu Merapi; ośrodek administracyjny okręgu; centrum kulturalne, gdzie znajdują się najważniejsze indonezyjskie uniwersytety.

45 *Bakso/baso* (indonezyjski) – indonezyjska tradycyjna zupa z kulkami mięsnymi (najczęściej wołowymi, ale też z kurczaka, ryby lub krewetek), serwowana z makaronem ryżowym, tofu, smażonym jajkiem i chrupkami (często o smaku rybnym lub krewetkowym); ulubiona zupa Baracka Obamy w czasach, kiedy mieszkał w Indonezji.

46 *Ayam satey* (indonezyjski) – szaszłyki z kurczaka serwowane z gęstym sosem z orzeszków ziemnych, popularne danie w Indonezji, Malezji i Singapurze.

47 *Sitadewy* lub *Sintadewy* – żeńskie imię indonezyjskie, które powstało z połączenia imion Sita i Dewi, co ma symbolizować kobietę uległą, pokorną, a jednocześnie kreatywną i dążącą do celu.

48 *Umma (ummah)* (arabski) – społeczność, wspólnota; w znaczeniu religijnym oznacza całą wspólnotę islamską; każdy meczet skupia wokół siebie *ummę*, muzułmańską wspólnotę wsi czy miasta, którą jednoczy pod swoim dachem.

49 *Wallahi* (arabski) – Na Boga.

50 *Baik-baik* (indonezyjski) – bardzo dobrze.

51 *Bukit Indah* (indonezyjski) – piękny szczyt.

52 *Allahu Akbar* (arabski) – Bóg (Allah) jest wielki; zwrot ten stanowi takbir – muzułmańskie wyznanie wiary; często powtarzany jest w wielu codziennych sytuacjach

życiowych.

53 Anklung (indonezyjski) – bambusowy instrument muzyczny, na którym gra się jak na grzechotce.

54 Gamelan (indonezyjski) – instrumenty o różnej wielkości i grubości wydające przenikliwe dźwięki podobne do dzwonu; gra się na jednym lub na kilku naraz.

55 *Astana* (indonezyjski) – O mój Boże; na Boga.

II

BYĆ ALBO NIE BYĆ

ŻYCIE NA DŻAKARCKIEJ ULICY

Wczesnym niedzielnym rankiem Karima i Marysię wyrywa ze snu sygnał domofonu.

– Któż to może być? – Młoda kobieta przeciąga się leniwie, ale nie chce jej się wstać z łóżka.

– Na pewno jakiś żebrak. – Mężczyzna przewraca się na drugi bok i wtula w rozgrzane ciało partnerki. – I weź kup mieszkanie w strzeżonym apartamentowcu! Co za granda! Co robi ochrona? Pewnie śpi! – Ze złości sen go opuszcza i postanawia sprawdzić, kto zaczął, w momencie kiedy u drzwi rozlega się dzwonek. – A to dobre!

Wściekły Karim wkłada ortopedyczne wiązane buty do kostki z podwójną podeszwą w jednym, a następnie trochę kuśtykając, prawie biegiem udaje się do przedpokoju.

– Witaj, synku. – Zaskoczona Marysia słyszy cieniutki pogodny głos Meili. – Mam nadzieję, że was nie obudziłam. Wiesz, przez tyle lat wstawiałam z kurami, że teraz choćbym chciała, to po ósmej już nie wyleżę w łóżku – wyznaje. – Może zjemy razem śniadanie?

– *Selamat pagi*56, *ibu* Meila. – Marysia szybko narzuca na skąpą piżamkę jedwabny szlafrok i wita się od progu, przesuwając Karima, zszokowanego nagłą wizytą matki. – Proszę, wejdź do środka. – Wpuszcza Meilę, za którą stoi szczupła Indonezyjka w bliżej nieokreślonym wieku; jedyne, co rzuca się w oczy, to jej wyzywający strój i makijaż.

– *Pagi*, kochana, *pagi*. – Meila przyciąga dziewczynę do siebie i po matczynemu całuje ją w czoło. – Oto moja córka, Adinda. – Pokazuje na młodą, po której minie widać, że przysła tutaj z musu.

– Witaj. – Gospodyni uśmiecha się i wyciąga rękę.

– Cześć – mówi Adinda, po czym omija Marysię i bez pardonu wchodzi do mieszkania.

– Po moich ostatnich zwierzeniach pomyślałam sobie, że jak rzekło się „a”, to trzeba powiedzieć „b”. Jako że to „b” dotyczy w głównej mierze mojej wiecznie obrażonej i zezłoszczonej córki, to przyprowadziłam ją z sobą. Mam nadzieję, że nie gniewacie się na mnie? Przyniosłam croissantsy. Zaparzcie tylko kawę i możemy zaczynać. – Widać, że matka chce jak najszybciej wyrzucić wszystko, co zbierało się latami w jej małym poranionym sercu.

– Siadajcie wygodnie. – Karim po pierwszym szoku zaczyna pełnić rolę pana domu. – Pozwolicie, że narzucę tylko jakieś dłuższe spodnie, bo nie przywykłem do obnoszenia się z moją ułomnością – mówi zwyczajnie, bo widzi, że przybyłe kobiety nie mogą oderwać wzroku od jego zdeformowanej nogi.

– Nie za dobrze cię tam jednak wykurowali – smutno stwierdza matka.

– Mogło być gorzej – przyznaje mężczyzna. – Teraz, jako lekarz, mogę ci to autorytatywnie powiedzieć.

– Kiedy oddałam cię twojemu ojcu pod opiekę, myślałam, że w moim życiu nie może już być gorzej. Ale myliłam się. – Meila przechodzi do przerwanej wątku swojej historii, tak jakby zakończyła opowieść wczoraj. Wzdycha ciężko. – Samo dno miałam dopiero przed sobą, jeszcze na mnie czekało.

Po wyjeździe Karima Meila nie mogła się pozbierać, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Jedyne ukojenie dawała jej praca, więc tyrała od rana do nocy. Ciężka harówka w *warungu*

i na polach ryżowych wykańczała ją fizycznie, lecz powodowała również, że nie miała już siły rozmyślać i rozpaczać nad swoim przeklętym losem. Kiedy wieczorem przychodziła do domu, padała na łóżko i usypiała kamiennym snem.

– Karim, kochany mój! Wróć do mamusi! – krzyczała często przez sen. – Fajsał, nie rób mi krzywdy... Nie znęcaj się nad naszym dzieckiem... – szeptała błagalnie i kiedy tylko widziała we śnie wredną twarz swego męża, budziła się przerażona i zlane zimnym potem. – Nie mam nikogo. – Płakała często do poduszki. – Nie mam żadnej bratniej duszy na tym świecie.

Przyrodnie rodzeństwo Meili, które z nią mieszkało, w ogóle się nią nie interesowało, a że wszyscy wydorosleli, to w zasadzie wiedli własne życie. Matka, całkiem już zaaklimatyzowana w *kampungu*, przywykła do prostego, wiejskiego życia i oddawała mu się z przyjemnością, przesiadując z kobietami na *gazebo* lub tarasach domów, plotkując, żując betel czy przebierając ryż. Hari na dobre przeniósł się do ich sioła, porzucając swoją drugą rodzinę na stoku góry. Przekazywał teraz Fatumie i dzieciom swoje niezłe dochody z nielegalnego handlu arakiem, winem palmowym i ryżową whisky. Można by powiedzieć, że ich życie rodzinne się ustabilizowało, uspokoiło, wszyscy byli teraz szczęśliwi i zadowoleni. Wszyscy poza Meilą. Nie wiedziała, czy ojczym wrócił do nich ze względu na przyzwoitość, co było mało prawdopodobne, czy druga żona po prostu wyrzuciła go z domu, czy raczej dlatego że coraz bardziej podobała mu się pasierbica, która obecnie była niezamężna i całkowicie bezbronna. Dziewczyna czuła pismo nosem, bowiem Hari coraz częściej odwiedzał ją w jej domu, przynosił smakołyki i łakocie. Kiedy podarował jej piękny kupon batik, wyrzuciła go za próg. Matka nie zauważała, co się święci, a Meila nie chciała być tą, która ją uświadomi. Bała się jej reakcji i tego, że to ona zostanie oskarżona o podrywanie ojczyma. Znalazła się w matni i nie miała pojęcia, jak się z niej wydostać. Jako że nie było wokół niej nikogo na tyle bliskiego, żeby mogła się zwrócić o radę i pomoc w tak delikatnej sprawie, miotała się ze swoim problemem sama, usiłując jak najmniej czasu spędzać w *kampungu*. Przemykała się po nim bocznymi ścieżkami jak złodziej, żeby tylko być niewidoczna.

– Idziesz na wesele Faridy? – zapytała ją pewnego razu młodsza, piętnastoletnia przyrodnia siostra. – Wszyscy z osady są zaproszeni i cała nasza rodzina też, więc może tym razem byś do nas dołączyła?

– Nie mam czasu – szybko odpowiedziała Meila i spuściła wzrok.

– Co za głupoty opowiadasz?! – oburzyła się Ade. – Zawsze jesteś zajęta, nie utrzymujesz kontaktów z żadnym z sąsiadów, nawet ze swoimi najbliższymi – krytykowała siostrę. – Ja już nie wiem, co o tym myśleć. We wsi mówią, że masz jakiś tajemny romans – oznajmiła, na co Meila ze zdziwienia wytrzeszczyła oczy. – No tak! Ciągłe cię nie ma, ciągle się skradasz, gdzieś ukrywasz. Ja cię nie rozumiem! Miałaś już jednego parszywca Sauda, przybłądę ze świata. Nie mogłabyś teraz uczciwie poznać jakiegoś faceta od nas, z gór, związać się z nim i żyć po bożemu?

– Mylisz się, myśląc, że postępuję nieuczciwie. – Kiedy okazało się, że Ade tak się nią interesuje, Meila postanowiła jednak się wytłumaczyć. – Ja po prostu ciężko pracuję i wieczorami jestem już tak zmęczona, że nie mam ochoty na przyjemności.

– No to po co tak harujesz? Przecież tata daje teraz wystarczająco pieniędzy, żeby wszystkim było lżej. Nawet pozwala nam, dziewczynom, chodzić do szkoły, a Agusa wysłał do liceum w Bogor. Za rok młody pojedzie na uniwersytet do Dżakarty, może nawet zostanie lekarzem albo prawnikiem. Nie rozumiem cię...

– Nie jestem dzieckiem Hariego i nie należą mi się wasze przywileje – wyjaśniła Meila.

– Bzdura! Pomagałaś nas wychowywać, kiedy była bieda, to i w bogactwie powinnaś partycypować.

– Nie leży to w mojej naturze.
– Ech tam! Ty jakaś dziwna jesteś! – wybuchnęła nastolatka. – Idziesz w sobotę na to wesele czy nie? Mogę ci pożyczyć sarong. – Wyciągnęła materiał, który Meila ostatnio wyrzuciła z domu razem z ojczymem, który go przyniósł.

– Zastanowię się, dobrze?

Nie chciała zranić życzliwej sobie siostry, ale wiedziała, że nie nadaje się do zabawy, kawałów, dowcipów, tańców i flirtowania z chłopakami. Coś w jej duszy się zamknęło i nieprędko otworzy. Teraz pracowała i odkładała pieniądze na czarną godzinę, bo czuła przez skórę, że na pewno nadejdzie. Nie sądziła jednak, że tak szybko.

Kiedy wszyscy udali się na ucztę do sąsiadów, a *kampung* całkiem opustoszał, Meila postanowiła poświęcić wieczór dla siebie. Jakże ją to cieszyło, że w końcu w domu i obejściu nie było nikogo. Takie sytuacje często się nie zdarzały – jedynie przy okazji wydawanych w okolicy wielkich weselnych przyjęć lub pogrzebów. Najpierw postanowiła posprzątać swoją małą izbę, którą od początku zaanektowała, bo reszta rodzeństwa spała w dużej, która służyła wszystkim również jako pokój dzienny i jadalnia. Kiedy uporała się z robotą, poszła do łaźni, znajdującej się przy wielkiej głębinowej studni na tyłach *kampungu*. Od czasu ukamienowania Dewi wszyscy, którzy byli tego świadkami, nie zbliżali się do żadnej studni w okolicy. Meila jednak nie wierzyła w gusa i twardo stała na ziemi. Rozebrała się, pozostając jedynie w opasce na biodra, i polala ciało lodowatą wodą ze szlauchu. *Jak miło*, rozkoszowała się chwilą. *Ależ relaks*, wzdychała zadowolona. Nie usłyszała żadnego ostrzegawczego szelestu, żadnego krzyku spłoszonego ptaka, lecz kiedy przetarła oczy, zauważyła nad otaczającym łaźnię murem kędzierzawą łepetynę Hariego. Patrzył na nią lubieżnie, a po mętym spojrzeniu można się było domyślić, że jest pijany.

– Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła, przerażona, usiłując jednocześnie zakryć się kawałkiem bawełny. – Wynocha!

– Jak kobieta zostaje sama na całym osiedlu, to znaczy, że albo ma z kimś schadzkę, albo daje zaproszenie do odwiedzin – wybełkotał, nie ruszając się z miejsca.

– Chybaś oszalał!

– No nie... – zachichotał obleśnie. – Ciągłe mnie prowokujesz, ciągle spozierasz spod oka... – Przerzucił nogi przez obmurowanie i zeskokczył tuż przed dziewczyną.

– Staram się w ogóle cię nie widzieć, ty zbroceńcu! – Meila usiłowała uciec, ale jej stopy ślizgały się na mokrych kamieniach, a że nie miała pod ręką nic, czego mogłaby się chwycić, runęła na twarde podłoże jak długa.

– Ależ jesteś dyspozycyjna, ty kokietko. – Hari oblizał wargi jak pies patrzący na spyrkę.

Pomimo że był podpity, trzymał równowagę. Błyskawicznie się pochylił, chwycił w swoje żylaste mocne dłonie nogi dziewczyny i rozłożył je na boki, po czym rozchylił swój sarong i ukazał jej całą swoją podnieconą męskość.

– Nie! – Meila wiała się jak piskorz. – Powiem mamie, zobaczysz! – Usiłowała go zastraszyć. – Poderżnię ci gardło!

– Raczej tobie. – Hari niczym się nie przejmował, bo gołą dziewczynę miał przed sobą jak na tacy. – Albo z zazdrości wyrzuci cię na bruk. – Uśmiechał się chytrze.

– Ratunku! Zostaw! – Piszcząca, kiedy ojczym wpychał się w nią siłą.

– Cicho bądź – wycharczał jej do ucha – to może ci się upiecze.

Szybko skończył to, co zaczął, a że nie chciał ryzykować przyłapania, przeskoczył zwinnie przez mur i już go nie było. Meila zdawała sobie sprawę, że teraz ten podły mężczyzna trzyma ją w szachu.

Dla młodej kobiety zaczęły się tygodnie gehenny i wiecznej ucieczki, jednak nie było miejsca, w którym czułaby się bezpieczna i gdzie mogłaby się schować. Hari śledził każdy jej krok, a w miarę jedzenia jego apetyt rósł. Minał pierwszy miesiąc, drugi, trzeci, a to, co się działo między ojczymem i pasierbicą, nadal było tajemnicą. Lecz pewnej sprawy długo nie dało się utrzymać w ukryciu. Meila przestała miesiączkować – spodziewała się dziecka. Wiedziała, że ciążę może zakamufłować jeszcze przez parę miesięcy, ale nawet takim szczupłym kobietom jak ona brzuch prędzej czy później urośnie. Zamartwiała się całymi nocami, wylewała potoki łez, lecz nie widziała żadnego dobrego dla siebie rozwiązania. Zdawała sobie sprawę, że jeśli zostanie w wiosce, niechybnie oskarżą ją o cudzołóstwo i Bóg jeden wie, jak zareaguje na to muzułmańska społeczność.

A jeśli potraktują mnie tak jak Dewi? Jeśli i mnie ukamienują?, truchlała niewinna dziewczyna.

Nie mogła nawet pożalić się matce, nie mogła powiedzieć o swojej sytuacji nikomu, bo jakby prości ludzie ze wsi dowiedzieli się, że współżyje z ojczymem, to na pewno ją by oskarżyli i surowo ukarali, a na przewinienie mężczyzny przymknęliby oko. *Co robić?*, łamała sobie głowę. *Jak z tego wybrnąć?*, dzień i noc pytała samą siebie.

Uzbierała wprawdzie parę groszy, ale dokąd miała pójść? Poza Tugu nie posiadała rodziny ani przyjaciół, a co gorsza, nie знаła żadnego miejsca poza *kampungiem* i okolicą. Kiedyś marzył jej się wyjazd do Dżakarty, ale zawsze w czyimś towarzystwie, z kimś zaufanym i w konkretnym celu.

Pewnego dnia, gdy rodzeństwo jak zawsze udało się do swoich zajęć, Meila czuła się tak podle, że nie mogła wstać z łóżka. Bolały ją krzyże, podłoga uciekała spod nóg, miała mdłości i kolkę. Postanowiła ten jeden raz poleżeć i nabrać sił. Zapadała w płytki sen, lecz co chwila budziły ją dolegliwości. Koło południa usłyszała ciche kroki. Po chwili drzwi do jej pokoju otworzyły się ze skrzypieniem i w progu zobaczyła zarys męskiej postaci.

– Co ty tutaj robisz?! – krzyknęła. – Nie znasz już umiaru?! Nie masz wstydu?! – Trzęsła się na całym ciele.

– Czy to źle, że się martwiłem, bo cię nie ma w pracy? – zapytał Hari z miną niewiniątka i przysiadł na brzegu materaca, wyciągając ręce do Meili.

– Niepotrzebnie zawracasz sobie dupę moim stanem zdrowia. Powinieneś raczej zacząć się bać, cóżes mi zmajstrował! – W końcu postanowiła powiedzieć mu o kłopotcie, którego był sprawcą.

– Że co?

– To, że jestem w ciąży! – Gwałtownie siadła, ale że kręciło jej się w głowie, szybko padła z jękiem na łóżko.

– Cóż... – Mężczyźnie trochę zrzędała mina. – Zatem ożenię się z tobą, w końcu jesteśmy muzułmanami, więc to nic takiego – oświadczył butnie.

– Świetnie! Tylko że ja nie chcę mieć takiego starucha za męża. A czy zastanowiłeś się, co na to powie twoja żona, a moja matka? – uzmysłowiła mu kobieta. – Sądzisz, że nas pobłogosławi?

– No... nie wiem. – Zrobił niby żartobliwą minę, ale po chwili głęboko się nad czymś zadumał. – Fatuma może być trochę niezadowolona...

– Ach, ty idioto! W najlepszym wypadku rozwali ci łeb, a niewykluczone, że jeszcze urznie ci te małe śmierdzące jaja!

– To nie moja wina! – Zerwał się na równe nogi. – Cały czas mnie kokietowałeś, chodziłaś za mną, prosiłaś się – zaczął wyliczać kłamstwa, których Meila się spodziewała i najbardziej obawiała. – Już jeden się na tobie poznał i uciekł, więc widocznie jesteś niezłe

ziółko – użył argumentu, który mógł przyjść na myśl tylko wrednemu człowiekowi.

– Ale żeś ty podły! – Kobiecie łzy ciurkiem popłynęły po policzkach. – Ale okrutny... – Zachlipała, zrozpaczona.

– No już, uspokój się. – Hariemu jednak zrobiło się jej żal. – Mam trochę odłożonych pieniędzy. Dam ci je, tylko masz się stąd wynieść. Wyjedź, i to natychmiast!

– A dokąd? Gdzie się podzieję? Mam się zapaść pod ziemię? – zarzucała go natrętnymi pytaniami, lecz Hari, który nie dbał o nią ani o jej dobro, tylko lekceważąco wrzusał ramionami.

– Może do Dżakarty? – wymyślił rozwiązanie. – Wrócisz na stare śmieci.

– Do kogo mam tam pójść? Mam żyć na starych śmieciach czy na śmietniku? – Oburzona, zerwała się i rzuciła się na ojczyrna z rozcapierzonymi palcami, ale ten odepchnął ją tak mocno, że odbiła się od ściany i padła na podłogę.

– Nic mnie to nie obchodzi – wyznał szczerze. – Jesteś dorosła, radź sobie sama.

– A dlaczego to nie ty miałbyś stąd wyjechać, co? – zapytała logicznie. – Czemu ja mam uciekać?

– Bo to ty nosisz w brzuchu bękarta, a nie ja – powiedział z naciskiem, pochylając się nad nią i szarpiąc za włosy.

Podczas namiętnej kłótni kochankowie nie zauważyli, że ktoś wszedł do pokoju dziennego i z ukrycia przysłuchiwał się ich burzliwej wymianie zdań.

– Pakuj się. Ja przyniosę forszę i jeszcze dzisiaj masz zniknąć. Zrozumiano? – Hari spojrzał groźnie na Meilę, a następnie obrócił się na pięcie i zamaszystym krokiem wszedł do drugiej izby, wpadając prosto na swoją żonę.

– Fatuma... Co ty tu robisz? – Aż mu dech zaparło.

– Słucham i dowiaduję się ciekawych rzeczy – oświadczyła zimno kobieta. W jej głosie nie było słyhać deka złości, jedynie pogardę i oziębłość.

– Mamo... – Meila pozbierała się z podłogi i ze łzami w oczach stanęła na miękkich nogach w progu. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

– Daj jej te pieniądze, i to natychmiast, a ty, mała kurewko, wypierdalaj, gdzie pieprz rośnie – Fatuma zwróciła się do swojej córki. – Ty zaś, gnoju... – Przystąpiła do Hariego tak gwałtownie, że wyglądało, jakby chciała go uderzyć. – Ty popieprzony ogierze! Nie zbliżaj się ani do mnie, ani do mojego domu. Forszę na życie masz podawać przez Agusa i radzę ci, żebyś przekazywał ją regularnie. – Z tymi słowy, nie obejrzawszy się za siebie, wyszła z chaty Meili, zostawiając osłupiałego męża i córkę pogrążoną w czarnej rozpacz.

Meila skoro świt opuściła *kampung*. Zeszła do miasteczka Tugu i wsiadła do pierwszego *bemo*, które jechało do Dżakarty. Nie płakała, nie rozczułała się nad sobą, nie myślała o tym, co zostawia, jedynie ścisłała w rękach mały tobołek z ubraniami i parędziesiąt rupii. Nie zastanawiała się, na co wystarczą jej te pieniądze, co będzie robiła w wielkim mieście i dokąd się uda. Zdała się na los. Jeśli będzie jej dane przeżyć, to przeżyje, a jeśli nie, to trudno. Nie zmieni swojego przeznaczenia. Patrzyła przez okno szeroko otwartymi oczami, lecz krajobraz zupełnie nie robił na niej wrażenia. Przesuwał się jedynie jak w kalejdoskopie.

– A panienka dokąd? – zagadnęła ją starsza kobieta, która widocznie nudziła się i chciała sobie skrócić czas podróży pogawędką. – Do samej Dżakarty czy w okolice?

– Do Dżakarty – odburknęła Meila, bo nie miała najmniejszej chęci na rozmowę.

– Do rodziny? – Babka nie zraziła się tonem głosu dziewczyny. – Masz tam kogoś?

– Nie.

– A masz gdzie spać?

– Nie.

– Masz co jeść?

– Nie.

– Jedziesz do pracy? – Kobieta nachyliła się nad Meilą i lustrowała ją z niepokojem na poczciwej twarzy.

– Pracy też nie mam! – podniosła głos dziewczyna. – Nic nie mam, więc nie musi mnie już pani o nic rozpytywać. Każda odpowiedź będzie brzmiała tak samo.

– Czemu od razu się denerwujesz i jesteś opryskliwa? Tak nie można! W mieście nie rozmawiaj tak z ludźmi, moja panno, bo krzykiem niczego nie osiągniesz – pouczała surowo, ściągając przy tym usta w ciup. – Nigdy nie wiadomo, czy ktoś chce ci dokuczyć, czy pomóc, więc lepiej uzbroić się w cierpliwość i poczekać. – Sięgnęła do wyladowanego po brzegi koszyka, wyciągnęła zatłuszczone zawiniątko z gazety i wcisnęła je do rąk Meili. – Na! Jedz. – Przez chwilę patrzyła spode łba, ale w końcu rozpogodziła się i roześmiała się serdecznie. – Córce wiozę wiejskie smakołyki, bo pomimo że zięć ma od groma *warungów*, to jej najbardziej podchodzi domowe jedzenie – tłumaczyła zajadającej się ryżem dziewczynie. – Raz w tygodniu płacą mi za przejazd, a ja tacham im ser tofu, jaja, mleko od krowy, herbatkę prosto z krzaka, ziółka, owoce...

Kobieta aż się zapowietrzyła od wymieniania, lecz cały czas serdecznie obserwowała, jak Meila pochłania jej niedokończony posiłek. Dziewczyna wybrała każde najmniejsze ziarenko i okruszki, wylizała papier i odetchnęła z ulgą.

– Nawet nie wiedziałam, że byłam taka głodna – wyznała. – Dziękuję pani. – Uśmiechnęła się słabo.

– Masz jeszcze *jeruk*, prosto z krzaka, dzisiaj rwałam. – Towarzyszka podróży wcisnęła do jej zatłuszczonej dłoni małą zielonkawą pomarańczkę.

– Ale przecież pani to wiezie dla rodziny – wzbraniała się Meila. – Jakżebym śmiała...

– Jak dają, to bierz, bo inaczej w mieście nie przeżyjesz – doradzała. – A co umiesz robić? Pracowałaś gdzieś poza polem ryżowym czy plantacją herbaty?

– Tak, *ibu* – już chętnie odpowiedziała Meila. – Całe lata gotowałam w *warungu*. Ponoć jestem specjalistką od zupy *bakso* i *nasi goreng* – wyznała z dumą dziewczyna. – Nawet mój malutki synek mi nie przeszkadzał, bo najpierw trzymałam go w nosilkach na biodrze albo na plecach, a potem gonił dookoła... – Zasmuciła się na wspomnienie ukochanego dziecka.

– Co się z nim stało? – zapytała cicho staruszka.

– Musiałam go oddać jego ojcu – odrzekła Meila przez ściśnięte bólem gardło.

– Jesteś muzułmanką? – Babina знаła prawo szariatu i wiedziała, że jak dziewczyna opuszcza sioło, to nie może zabrać z sobą dziecka, a już zwłaszcza syna.

– Całe Tugu jest islamskie, a stąd pochodzi moja mama, lecz jak byłam mała i mieszkałam w Dżakarcie, moi rodzice byli ateistami i nikt w domu się nie modlił. Więc korzenie mam muzułmańskie, chodziłam nawet do muzułmańskiej szkoły, ale sama pani widzi, że trudno to w moim wypadku jednoznacznie określić: muzułmanka czy ateistka. – Meila zaśmiała się smutno. – Myślę, że nie robi mi to większej różnicy, bo i tak w ciężkiej sytuacji żaden Bóg mi nie pomoże.

– Trzeba w coś wierzyć, moje dziecko. Łatwiej się wtedy żyje. Bóg czuwa nad człowiekiem i dobru nie da zginać. Ot co! Dlatego spotkałaś mnie, moja duszko. – Kobięcina wymownie podniosła jedną brew. – A wracając do tematu... – Wzięła głęboki oddech, aż zaświszczało jej w płucach. – Wspomniałam ci, że mój zięć ma kilka *warungów*, prawda?

– Tak. – Meili aż zadrżało serce.

- Jak przyjedziemy na miejsce, to pójdziesz ze mną i może uda się gdzieś cię wcisnąć.
- Dziękuję! – wykrzyknęła i rzuciła się starej do powykręcanych reumatyzmem, spracowanych rąk.
- Dajże spokój! Ale wyciągnij wniosek z dzisiejszego dnia. – Starowinka poklepała ją po policzku. – Nie zamykaj się w sobie, nie odgradzaj od świata, tylko chłoń go i wychwytyj każdą okazję. Inaczej zginiesz. I jeszcze jedno. – Pokiwała palcem jak poważny mentor. – Kiedy jesteś w dołku, nigdy nie pokazuj tego, co czujesz, co cię żre i gryzie, smutku, rozpaczy, załamania... Ludzie tego nie lubią, nie chcą mieć kontaktu ze smutasami i zrzędami. – Wyszczерzyła nieliczne zepsute zęby i zrobiła figlarną minę. – Zawsze miej pogodne liczko – doradziła. – Choćby nie wiem co!
- Dobrze, ma pani rację. Kiedyś byłam wesołą dziewczyną, lecz później...
- Nie musisz być wesoła, nie musi być ci do śmiechu, masz mieć miłą buźkę, bo tylko taka optymistyczna facjata sprawia dobre wrażenie i wzbudza w otoczeniu ciepłe uczucia, radość i życzliwość. Rozumiesz w końcu?
- Oczywiście! – Meila uśmiechnęła się i uśmiech ten miał już nigdy nie zejść z jej ust. Przynajmniej kiedy przebywała wśród ludzi.

- Mam jedną taką restaurację... – Zięć staruszki był indonezyjskim Chińczykiem i straszliwym waźniakiem. – Jakiś czas temu odeszła kobita, która ją prowadziła, więc na razie stoi zamknięta.
- No to świetnie się składa! – Teściowa aż klasnęła w ręce. – Daj dziewczynie pracę, to zrobisz dobry uczynek. – Mężczyzna pogardliwie wygiął usta. – I sam na tym zarobisz, no nie? – Wiedziała, jak go podejść, bo z jego oczu wycierała chytryść, a z bogactwem obnosił się bez skrpułów.
- No nie wiem... – Udawał brak zainteresowania, choć w jego oczach pojawił się błysk chęciowości. – Trzeba by to odnowić, pomalować, kupić nowe gary, butlę gazową, produkty spożywcze... Na początek jedynie same wydatki – narzekał, drocząc się z kobietami.
- Na biednego nie trafiło – docięła mu w końcu stara. – Nie rozumiem tylko, jak taki człowiek biznesu mógł zamknąć dochodową knajpę? – zainteresowała się, bo sprytu jej nie brakowało i wyczuła w tym jakiś szwindel.
- Ma złą lokalizację, ale że zainwestowałem, bo postawiłem tam też dobudówkę z blachy, to szkoda mi się stamtąd wynieść.
- Gdzie znajduje się ten *warung* z zabudową? – podpytywała kobiecina, a Meila dopiero teraz widziała, że jest ona nie tylko mądra, ale i przebiegła. Dlatego też chłonęła każde jej słowo i każdą chwilę, ucząc się od specjalistki.
- W drodze na stare miasto, Batavię – wyznał w końcu mężczyzna. – W dzielnicy Kota, nad kanałem.
- Cóż... – Babka jakby wstrzymała oddech, bo zamarła w bezruchu, ale po chwili się rozpogodziła. – Od czegoś trzeba zacząć – oświadczyła rozważnie.
- Bierzesz tę robotę? – Dopiero teraz Chińczyk zwrócił się do Meili.
- Będę mogła spać na zapleczu? – zapytała, a kiedy przytaknął, ze szczęścia chciała mu zarzucić ra miona na szyję. Ograniczyła się jednak do niemego ukłonu.
- To jedziemy – oznajmił szybko. – Wezmę moją półciężarówkę i od razu przewieziemy parę rzeczy. O finansach pogadamy później.
- Jadąc ulicami Dżakarty, Meila nie poznawała miasta ze swoich szczenięcych lat.

Rozrosło się w moloch, na drogach tłoczyły się samochody, motory, rowery, riksze, ciężarówki i autobusy. Powietrze było aż ciężkie od spalin, a sygnały klaksonów i dzwonek ogłuszały.

Boże, jakże mam tu żyć?, pytała siebie. Jak się odnaleźć pośród tych tłumów, pośród milionów ludzi? Spanikowana dziewczyna oddychała szybko i wyłamywała sobie palce ze strachu. Mina mimowolnie jej zrzedła, lecz pamiętając radę mądrej staruszki, szybko przybrała pogodny wyraz twarzy.

W drodze do Koty minęli chińską dzielnicę Glodok, w której bieda była już widoczna. Ulice stawały się coraz węższe, coraz bardziej zatłoczone, a poruszające się po nich samochody były chyba jeszcze z okresu Sukarno. Chińczyk przejechał przez most zawieszony nad szerokim kanałem i skręcił w prawo, przepychając się pomiędzy ludźmi, wózkami z jedzeniem i motorami. Droga była tak wąska, że samochody, żeby się minąć, musiały mieć złożone lusterka – w wielu były one po prostu urwane.

Meila przypomniała sobie swoje wizyty z ojcem w takim miejscu jak to. Wciąż pamiętała przerażenie i pogardę dla żyjących tu ludzi. „Nie odwracaj się od biednych, bo nigdy nie wiadomo, co komu pisane”, powiedział wtedy tata.

Jakże prorocze były słowa mądrego Johana wypowiedziane piętnaście lat temu! Bez swojej winy i wpływu na los po latach Meila znów znalazła się w slumsach, ale nie z krótką charytatywną wizytą, w eleganckiej sukience i błyszczących butach, nie z pełnym brzuchem, miękkimi rękami i zadbanym ciałem, lecz jako jedna z tutejszych nędzarzy.

Kobieta nie bała się ciężkiej pracy, bo już do niej przywykła, lecz nadal przerażali ją ludzie, którzy żyli w tym miejscu. To nie był *kampung* z poczciwymi mieszkańcami, lecz zbieranina różnych typków, i to często spod ciemnej gwiazdy. Mieszkali tam też wprawdzie dobrodusznicy biedacy, którym się w życiu nie powiodło, ułomni, kalecy, chorzy, lecz stanowili oni niewielki procent ogromnej ludzkiej masy szczelnie wypełniającej wąski pas nad kanałami. Dlatego też dziewczyna zaraz pierwszego dnia poprosiła właściciela *warungu*, Yaominga, o zakup tasaka, ostrego noża i siekiery. Trochę się zdziwił, ale natychmiast spełnił jej życzenie.

Po paru dniach miła, młoda, wiecznie uśmiechnięta dziewczyna miała już pierwszych klientów oraz znajomych, którzy przychodzili posiedzieć na ławkach przed jej *warungiem*, napić się herbaty, poplotkować czy palić papierosy. Kobiety z sąsiedztwa same nie miały nic, więc i nic nie przyniosły nowej mieszkanca, ale zawsze chętnie służyły dobrą radą i pomocą. Przeważnie posiadały tylko liczną gromadkę dzieci i męża, jedyne go żywiciela, który usiłował zarobić cokolwiek na mieście, lecz na ogół były to tak małe pieniądze, że wystarczyły jedynie na worek ryżu na miesiąc, litr oleju palmowego i papierosy dla pana domu. Nikt tutaj nawet nie marzył o innej szkole dla dzieci, jak lokalna muzułmańska, kończona zazwyczaj po sześciu klasach, nikt nie myślał o nowych ubraniach czy lekarzu. Wszystko to slumsy musiały sobie zagwarantować we własnym zakresie. Choć w kraju ponoć panował dobrobyt, to mieszkańców tej części miasta wciąż przybywało, bowiem do Dżakarty zjeżdżała cała uboga i niewykształcona prowincja. Walili tu wszyscy ci, którzy mieli dość ciężkiej i bezowocnej harówki na polach ryżowych czy plantacjach herbaty lub tytoniu, liczyli bowiem, że w stolicy dostaną pracę i szybko staną się bogaczami. Często jednak marzenia te kończyły się w lepiance nad kanałem.

Meila mimo wszystko miała coraz liczniejszych klientów, gdyż jej restauracja znajdowała się w newralgicznym miejscu – tuż przy zjeździe z mostu przerzuconego nad kanałem, który prowadził z miasta bogatych do miasta nędzarzy, oraz niedaleko przystani promu,

przewożącego, zwłaszcza w godzinach szczytu, mieszkańców z jednej strony na drugą. Ci, którzy jechali do pracy, przychodzili do Meili na szybkie śniadanie, bo albo nie mieli czasu na jedzenie w domu, albo mieszkali w klitce bez okna i kuchni, bądź też nie miał im kto gotować. Tak więc rano od piątej do siódmej dziewczyna obsługiwała tłumy, a jej liczni goście siadywali wtedy, gdzie popadło: także na ziemi pod murem czy nad brzegiem fosy. Wieczorami ci sami umordowani robotnicy wracali z pustymi brzuchami do domów i marzyli jedynie o misce czegoś gorącego i rozprostowaniu zbolałych kości. Za dnia klientów też było trochę, także ławki cały czas były zajęte.

Wspaniały biznes, myślała Meila. *Gdyby tylko należał do mnie*, marzyła skrycie, lecz wiedziała, że musiałby się zdarzyć cud, żeby została właścicielką takiej restauracji. „Ależ ty masz rękę do interesów”, chwalili ją wszyscy. „Ani się obejrzysz, a będziesz mieć własny *warung*”, dodawali otuchy, ale były to zupełnie bezpodstawne mrzonki.

– Czemu Yaoming trzymał tę knajpę tak długo zamkniętą? – Któregoś razu Meila zapytała zaprzyjaźnioną sąsiadkę, która codziennie przesiadywała u niej ze swoimi pociechami i godzinami zajmowała się iskaniami swoich córeczek, które pomimo fatalnych warunków higienicznych miały długie włosy.

– Kochana, to ty nic nie wiesz? – zdziwiła się Siska, a dziewczyna żywo zaprzeczyła. – Prowadziła ten interes straszliwie wredna baba, widać ten Chinol uznał, że tylko taka tutaj wytrzyma, tak jakbyśmy byli bandą wilków.

– A to podle podejście – fałszywie potwierdziła Meila, bo przecież sama nadal bała się tych ludzi i nie czuła wśród nich bezpiecznie.

– No właśnie. Więc ona serwowała małe głodowe porcje, talerzy to nawet nie płukała, nigdy nikomu nie dała na krechę, nawet znanym sobie sąsiadom, którzy codziennie chlipali tę jej wodę z solą.

– To moje jedzenie jest lepsze?

– Ba! Też pytanie! Ona brała pieniądze od właściciela i sama robiła zaopatrzenie, więc okradała i szefa, i nas, nie dając do zupy nic z wyjątkiem wody, soli, odrobiny cebuli i jednej kulki mięsa.

– Ja daję cztery, tak mnie nauczono... Może to za dużo? – myślała głośno młoda kucharka, a w jej głowie już zaczął się rodzić pewien plan. Może jej poprzedniczka nie była taka głupia?

– Wiesz co? Rób pieniądze na ilości sprzedanych porcji, a nie na oszukiwaniu ludzi! – oburzyła się koleżanka.

– Tak, masz rację... – przyznała dziewczyna. – I co z nią? – podjęła.

– Pewnego pięknego ranka zniknęła. – Siska zrobiła wymowną minę.

– Widać miała już dość harówki na cudzym i może odłożyła fundusze na swoje – doszła do wniosku Meila.

– Słuchaj dalej, kochanieńka! – Kobieta chwyciła ją za ramię i spojrzała głęboko w oczy. – Biedny uczciwą pracą nigdy się nie dorobi – zdradziła swoją zasadę. – Trzeba by kraść, i to dużo, albo kogoś zamordować.

– Mówisz? – Meili aż dreszcz przeszedł po plecach, bo w okolicy ciągle się słyszało, że ktoś zniknął albo miał tajemniczy wypadek, przeważnie śmiertelny. Nie mówiąc już o zaginionych dzieciach, najczęściej dziewczynkach, których nikt nigdy nie miał ani ochoty, ani potrzeby szukać. – Więc co z nią? – zapytała trwożliwie.

– Ktoś ją sprzątnął, ale zrobił to niezbyt fachowo – Siska zniżyła głos do szeptu. – Głupiec myślał, że kanał i szczury w nim żyjące załatwią wszystko. A to była wysoka, gruba baba i widać nawet gryzonie nie mogły sobie z nią dać rady – zachichotała, wykazując się

poczuciem czarnego humoru.

– No i? – Meila poganiała, tak jakby nie dość jej było straszliwych wieści.

– Stara lampucera wypłynęła! – Siska wybuchnęła śmiechem, pokazując zepsute zęby. –

Podpłynęła na wzdętym jak balon brzuchu aż pod swój *warung*.

– Na Allaha! – Dziewczyna z przerażeniem rzuciła okiem na pobliską czarną wodę, która stała nieruchomo, zanieczyszczona śmieciami, połamanymi dechami, resztkami żywności i wszystkim tym, co parę milionów ludzi potrafi wyprodukować.

– Jak ją wyławiali, to z tego jej wielkiego bandziocha jeszcze wyskakiwały obzarte jak baki szczury – bezdusznie kpiła zahartowana przez życie kobieta. Meila przytknęła dłoń do ust, bo zrobiło jej się niedobrze.

– Kto ją zabił? – zapytała, spanikowana. – A może to był wypadek? Może się poślizgnęła, jak myła naczynia albo robiła coś nad kanałem, i po prostu wpadła?

– No pewnie, pewnie... Miała podejrzięte gardło, o tak! – Siska przejechała palcem wskazującym w poprzek swojej pobrużdżonej szyi.

– Znaleźli winnego?

– Tyś chyba nie z tego świata! A kto by szukał? Była tu jedynie z córką, może dwunastolatką, a ta też się gdzieś rozmyła, więc...

– A co ludzie gadają? – Meila chciała uzyskać przynajmniej jakąkolwiek poszlakę, żeby wiedzieć, przed kim się chronić.

– To raczej nikt stąd, bo my wiemy, że ciało trzeba porzucić na mniejsze kawałki, żeby zniknęło w kanale. – Siska powiedziała to tak po prostu, jakby zabijanie i cięcie nieboszczyka na porcje było normalną, codzienną procedurą. – Podejrzewali... – zawiesiła głos, a strach wyrzał jej z oczu.

– Mówże w końcu, jak już tyle powiedziałaś – naciskała słuchaczka.

– Uważaj na swojego szefa – postanowiła jednak ostrzec dziewczynę. – Choć on nie lubi takich starych jak ty. Ale jakbyś miała dojrzewającą córkę, to radziłabym ci stąd zwiewać. – Po rzuceniu tak mocnego oskarżenia zerwała się na równe nogi, zagoniła gromadkę swoich dzieci jak gąski przed siebie i pobiegła do pobliskiej blaszanki, która była jej domem o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych.

Meila postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, i to tak szybko, jak to tylko było możliwe. Jej ciężowy brzuszek zaczął już rosnać i nie pomogły szerokie ubrania, chusty czy opończe. Był widoczny.

– Myślisz, że ja mam zamiar otworzyć tu przedszkole? – zapytał w końcu Yoaming, a w jego oczach płonęła wściekłość, bo dziewczyna świetnie prowadziła restaurację i dostarczała mu niemałych dochodów.

– Skądże, panie. – Meila pokornie patrzyła na bogacza. – To w ogóle nie wpływa i nie wpłynie na moją pracę.

– Już to widzę! – Mężczyzna ironicznie wydał swoje małe okrągłe wargi.

– Proszę mi wierzyć! – Położyła rękę na sercu. – Miałam już syna i jednocześnie bez zarzutów prowadziłam *warung*. Proszę dać mi szansę – błagała, bo gdyby teraz znalazła się na bruku, bez pracy i kąta do spania, niechybnie czekałaby ją i jej nienarodzone dziecko śmierć.

– No zobaczymy – odparł ułagodzony Chińczyk, bo dziewczyna była śliczna i pomimo lat ponieważ wyglądała jak niewinna nastolatka.

– Wezmę sobie kogoś do pomocy, ale pana to nic a nic nie będzie kosztowało, dobrze?

– Popatrzyl na nią z wyższością, lecz nie zaproponował. – Wtedy mogłabym sama kupować produkty i szef nie musiałby tracić czasu, by co rano tu jeździć. – Konsekwentnie wprowadzała w życie swój plan.

– Niech ci będzie – odrzekł w końcu, bo wolał się nie narobić, a ciągnąć zyski. – Raz na parę dni przyślę po pieniądze umyślnego, a ty z dochodów odliczysz sobie jeszcze na zakupy. Mam nadzieję, że będziesz uczciwa i nie zaczniesz mnie okradać – ostrzegł władczy tonem, marszcząc przy tym surowo brwi.

– Absolutnie, panie! – zawołała dziewczyna. – Przysięgam. – Złożyła ręce na piersi, przybierając przy tym służalczą pozę.

Koło *warungu* już od jakiegoś czasu kręciła się dziewczynka w bliżej nieokreślonym wieku, na oko dwunasto-, czternastoletnia. Swoim zachowaniem przypominała Meili Hamzę, jej nieżyjącego brata, bowiem podobnie jak on była jak dzikie zwierzątko, ciągle przyczajone, spłoszone, niedające się dotknąć. Kobieta jeszcze nigdy nie słyszała z jej ust choćby jednego słowa. Gdy tylko chciała spojrzeć małej w oczy, dziewczynka błędziła gdzieś wzrokiem, omijając jej postać i patrząc w przestrzeń. Jednak po miszkę zupy wyciągała rękę – chwyciła ją sprawnie, lecz zaraz uciekała nad brzeg kanału i tam jadła, zachłannie siorbiąc prosto z talerza. Nie wiadomo było, czy dziecko ma rodzinę, czy do kogoś należy, ale jej wyjątkowo zaniedbany stan jasno świadczył o tym, że jest sama jak palec. Wszyscy wiedzieli, że biedaczka chodzi po śmietnikach i zbiera resztki, ale że po stronie slumsów niewiele się wyrzucało, dlatego przebiegała, zgarbiona, na drugi brzeg i tam buszowała. Coraz częściej wieczorami zjawiała się w okolicy blaszanki Meili, a pewnej nocy usnęła na dworze pod ścianą budynku.

– Jeśli chcesz być blisko mnie, musisz się umyć – oświadczyła kobieta, taksując wzrokiem umorusaną dziewczynkę. – Nie mam zamiaru dostać wszy, pcheł, mend czy co tam jeszcze na sobie nosisz. – Jak masz na imię, mała? He? – zapytała już łagodniej, ostrożnie zbliżając się do niej.

– Ida – odpowiedziała dziewczynka chropawym głosem.

– Ile masz lat?

– Nie wiem.

– A masz już krwawienie? – Meila postanowiła jednak jakoś określić jej wiek.

– Mam.

– To idziemy pod szlauch – oznajmiła, biorąc z sobą parę kawałków materiału, szare mydło i naftę. – Siska, pomóż mi, proszę! – zawołała, przechodząc koło domu koleżanki.

– A w jakim względzie? – Kobieta wychyliła się tylko, bo akurat była w trakcie karmienia niemowlęcia obwiśniętą piersią.

– Siądź na chwilę w restauracji, a ja zajmę się doprowadzeniem do porządku, a przede wszystkim dezynfekcją mojej małej pomocnicy.

– Oho, ho! Spryciara z ciebie – przyznała Siska. – Ale nie wiem, czy to zwierzątko na coś się nada.

– Odstap mi, proszę, jakąś starą sukienkę twojej córki, a dam ci podwójną porcję zupy.

– Meila skutecznie handlowała wymiennie, a koleżanka z chęcią się godziła, bo choć nie miała pieniędzy, tak naprawdę ich nie potrzebowała. Już od jakiegoś czasu Meila dokarmiała ją w zamian za drobne przysługi lub popilnowanie *warungu*.

Po półgodzinie wróciła z małą Idą, która po zmyciu z niej pokładów brudu okazała się śliczną dziewczynką. Skołtunionych włosów niestety nie dało się uratować, więc Meila przycięła je na wysokości uszu, dwukrotnie wymyła i wysmarowała naftą, bo aż roily się od robactwa.

– Widzę, że zaczynasz na dobre się u nas zdomawiać. – Siska obserwowała, jak dziewczyny raźnie maszerują z powrotem. – Tylko co zrobisz ze swoim bagażem, kiedy już się

rozpakuje? – Gminna dowcipnisia zachichotała, pokazując na brzuch ciężarnej. – Wiesz, zawsze pozostaje ci najprostsze rozwiązanie. – Wymownie spojrzała na kanał, lecz Meila aż się cofnęła i wstrzymała oddech.

– W życiu! – wykrzyknęła. – Wprawdzie nie chciałam tego prezenciku – ironicznie wykrzywiła usta – a sprawcy nienawidzę całym sercem, ale jak już jest i żyje, to przecież nie można bożej istoty... – zawiesiła głos – ...wpuścić do kanału. – Znalazła najbardziej ogłędne słowa na określenie zwykłego zabójstwa.

– Powinnaś zatem jakoś się przygotować, coś kupić, zaopatrzyć się – doradzała doświadczona kuma.

– Tak, wiem. Pomagałam mamie wychowywać dziesięcioro rodzeństwa, a i sama miałam syna, więc...

– To masz niezłą zaprawę. – Siska znów się zaśmiała, bo pomimo biedy i tragicznych warunków życia miała pogodne usposobienie i była wieczną śmieszką.

– Teraz sama będę robić spożywcze zaopatrzenie, to po drodze może coś mi wpadnie w rękę. Jakbyś rano doglądnęła, czy Ida daje sobie radę...

– Pewnie, nic się nie martw. – Koleżanka poklepała Meilę po ramieniu. – Przeszkol ją tylko choć trochę, bo na moje oko to ona jest jakaś dziwna.

– Nie dziwna, tylko chora – wyjaśniła. – Mój brat miał to samo. Ale jak się takich ludzi czegoś nauczy, to będą to robić całkiem sprawnie. To, że są nieobecni duchem, nie oznacza, że nie mają mózgu.

– Znaczą się nienormalni?

– Normalni inaczej, babo jedna! – Meila zachichotała, bo docinki koleżanki zawsze wprawiały ją w dobry humor, choć często też szokowały.

Tak jak przewidywała, w błyskawicznym tempie przyuczyła Idę do obsługi *warungu*, także teraz mogła już o świącie spokojnie wyruszać na poszukiwanie dobrych i tanich produktów do swojej restauracji. Okazało się, że Glodok, chińska dzielnica, wcale nie jest tak daleko, a zaprawiona w marszrutach młoda góralka pokonywała odległe trasy bez zmęczenia i w błyskawicznym tempie.

– Paniusia kupi u mnie kłapeczki – zachwalała chińska handlarka. – Gatuneczek prima sort – zachęcała, podnosząc towar.

– Ej tam! Kłapki nie są dla mnie – tłumaczyła kobiecie, przebierając w wystawionym obuwiu. – Przy nierównościach terenu, przekopach wzdłuż drogi i otwartych studzienkach ściekowych są niewygodne i niebezpieczne, bo co chwila spadają ze stóp.

– Co racja, to racja – ucziwie potwierdziła kobieta, ale mina jej zrzędła.

– Ale pani da te gumowe buty z piętami, które podczas wędrówek mocno będą trzymały mi nogę.

– Już się robi, kochanieńka! – Radość znów zawitała na pomarszczonej twarzy sprzedawczyni.

Na małych przydrożnych bazarkach Meila zaopatrzyła się w niedrogie drobiazgi dla mającego się narodzić dziecka, kupiła też sporą płachtę tetry na pieluszki i pierwsze zawijaki dla malucha. Wygospodarowała nawet pieniążki na używaną, ale całkiem dobrą sukienkę dla Idy, żeby dziewczynka miała strój na przebranie i mogła utrzymywać czystość.

– *Ibu* taka dobra. – Ida zagryzła drżące ze wzruszenia usta, ale i tak po chwili zaczęła bezgłośnie płakać. – *Ibu* jak matka dla mnie. – Rzuciła się Meili do rąk.

– Daj spokój. – Po raz pierwszy kobieta delikatnie ją przytuliła i poklepała po chudych plecach. – Musimy sobie pomagać. – Chciała spojrzeć jej w oczy, ale się nie udało, bo dziewczynce wzrok uciekał na boki.

– Będę pomagać, pani, będę z całych sił. – Nerwowo kiwała się do przodu i do tyłu, zaraz jednak się opanowała. Stała przy kuchni i z rozmachem zaczęła mieszać w garze.

– To ja polecę kupić jeszcze tofu do zupy – z radością oświadczyła Meila. Kiedy tylko mogła, wyrwała się ze slumsów, czasami tylko po to, by powłóczyć się bez celu po nieznanym sobie miejscach i całkiem nowych rejonach.

Głodok w porównaniu z Kotą wydawał się cudowną dzielnicą – wzdłuż drogi stały murowane piętrowe kamienice, a w podcieniach umieszczono restauracje, warsztaty, banki, biura, salony masażu i medycyny chińskiej. Jednak ludzie zamieszkujący ten rewir wcale nie byli tak mili i uczynni jak ci z bezpośredniego otoczenia Meili i na początku patrzyli na nią jak na intruza lub złodziejkę. Dzielnica chińska była rejonem wyizolowanym, a jej mieszkańcy nie przepadali za Indonezyjczykami, bowiem wiele razy spotykali się z ich strony z rasizmem i niechęcią. Było to zapewne związane z tym, że Chińczycy stanowili mocną kastę w państwie i zaliczali się do lepiej sytuowanych obywateli, nie wspominając już o bogaczach, bankierach, właścicielach klinik i hoteli. Jednak Meila nie przejmowała się niczym i z chęcią robiła zakupy w tym miejscu, zwłaszcza że ceny były niskie, towar świeży i najwyższej jakości, a ludzie po pewnym czasie ją polubili i zaczęli okazywać życzliwość.

– Dzisiaj nie idę na zakupy – oznajmiła pewnego pochmurnego dnia Sisce, która jak co rano z dzieckiem uwieszonym przy piersi przybiegła do *warungu*. – Nigdzie się nie ruszam.

– No cóż... – Koleżanka nie musiała o nic pytać, bo kobiety w tym względzie miały szósty zmysł. – Przyniosę ci wodę w wiadrze, to ją sobie zagrzej – zaoferowała pomoc.

– Tylko pamiętaj, żeby nabrać z kranu przy głównym trakcie, proszę.

– No coś ty! Taki kawał mam iść?

– Mówią, że gdzie indziej jest skażona, a ja nie chcę stracić następnego dziecka.

– To jakieś gusła! Po prostu bzdury! – obruszyła się nieświadoma kobieta.

– Syn rozchorował się przez to, że pozwalałam mu bawić się przy wiejskiej fosie, więc lepiej mi uwierz.

– Ależ ja używam wody, która idzie rurami, nie z kanału, choć niektórzy się nie przejmują i myją nawet w tym bajorze.

– Debile po prostu! – wściekła się Meila. – To jedna wielka infekcja! A z większości publicznych kranów też leci zaraza, bo rury z wodą pitną położono pod rurami z kanalizacją, a że ich nie zaimpregnowano i nie zakonserwowano, te na górze przeciekają, zalewając głównym to, co my potem pijemy.

– Skąd to niby wiesz? – Siska nie dowierzała.

– Gadałam z robotnikami, którzy próbowali coś naprawiać po tym, jak wybuchła epidemia zarazy. Pamiętasz, jaka była afera? Niestety, dość szybko uciszono narzekających i rodziny zmarłych, więc dalej jest, jak jest. I tak mamy tu malarię, gorączkę krwotoczną dengę⁵⁷, cholere i od cholery zakażeń dróg oddechowych – smutno skwitowała Meila. – Więc lepiej nie dokładać sobie czegoś ekstra.

– Ależ ty się w tym wszystkim orientujesz! Doktorka jakaś z ciebie czy co? – zapytała kuma już z pełnym szacunkiem.

– Kiedy mój syn leżał w szpitalu, lekarze dali mi całą górę broszur. Byłam wtedy mocno zainteresowana tematem zakażeń, to się nastudiowałam.

– Więc co my mamy robić? – zaniepokoiła się prosta kobiecina. – Jak się bronić?

– Nic nie wskóramy, bo głos biednego się nie liczy. – Meila krytycznie wydeła wargi. – Musimy poczekać na następny pomór, to może wtedy coś więcej wyreperują, ale według mnie to wszystko nie nadaje się do remontu, ale do wyburzenia i zrównania z ziemią.

– No to fajnie! A gdzie my się wtedy podziejemy? – Spanikowana Siska rozejrzała się

dookoła, bo przecież to straszne miejsce od zawsze było jej domem i nie wyobrażała sobie życia gdziekolwiek indziej.

– Państwo powinno zadbać o wszystkich swoich obywateli i nawet biedakom dać jakieś godziwe mieszkania. Może na wsi, poza Dżakartą? – Meila układała optymistyczny scenariusz.

– Tyś chyba zgłupiała! – Koleżanka popukała ją w czoło. – Przecież myśmy wszyscy właśnie uciekli z prowincji, gdzie nie ma jak zarobić na miskę ryżu. Nie ma tam pracy, a tutaj jest, bo nasza stolica się rozrasta i potrzeba budowlańców i innych wyrobników.

– Tak, rozrasta się – pokpiwała Meila – szczególnie dzielnica slumsów. Ma już ponoć ponad milion mieszkańców, więc więcej niż niejedno wielkie miasto w Europie.

– Aleś ty mądra! – westchnęła Siska. Jej spojrzenie wyrażało pełny podziw. – Wierzę, że kiedyś zostaniesz kimś i będziesz zarabiać wielką kasę. Tylko nie zapomnij wtedy o nas. – Objęła ją czule.

Nagle Meila zgięła się wpół.

– Oj! – Od długiego stania podczas zbędnego pytlowania językiem chwycił ją pierwszy ostry skurcz. Podczas dyskusji całkiem już zapomniała o łapiących ją od rana raz lżejszych, raz silniejszych boleściach. – Już chyba czas – wyszeptała, ledwo łapiąc oddech.

– No tak, my tu gadu-gadu o durnej polityce, a ty jeszcze na środku drogi urodzisz! – Kiedy Siska zobaczyła, co się dzieje, szybko chwyciła wiadro i co sił w nogach niezgrabnie pobiegła po wodę. – Tylko nie spiesz się za bardzo – dowcipkowała jeszcze. – Do wieczora musisz wydać ze sto zupek. – Chichocząc, zmierzała do głównego kranu z wodą pitną.

– Dam radę. – Meila opanowała pierwsze skurcze i kroczek po kroczeniu podreptała do *warungu*, by pomóc Idzie. *Obowiązek pierwszy, a dziecko musi jeszcze trochę poczekać*, postanowiła.

Gdyby nie liczyć boleści przedwstępnych i wstępnych, które trzymały ją przez długie godziny pracy, swoją maleńką córunię Meila urodziła właściwie błyskawicznie. Około ósmej wieczorem zostawiła Idę samą przy kuchni i położyła się na wilgotnej macie w blaszance, która stała się jej domem. Zamiast myśleć o straszliwym bólu w krzyżach, a później kleszczach, które rozrywały jej podbrzusze, marzyła o lepszym życiu i wyobrażała sobie swoją przyszłość – piękny dom, zdrowe roześmiane dzieci i kochającego męża. Te fantazje pozwoliły jej przetrwać i z uśmiechem na ustach wydać na świat kruszynkę, która była maleńka i delikatna jak porcelanowa laleczka. Dziewczynka miała długie splecione włosy, po trzy rzęski na każdym migdałowym oczku i usteczka wygięte jak do pocałunku. Po pierwszym głębokim oddechu jedynie parę razy pisnęła, by następnie zapaść w zasłużony sen.

– Ona jest w czepku urodzona! – wykrzyknęła Siska, choć przy słabym płomyku naftowej lampy niewiele mogła zobaczyć. – Musisz jej dać dobre imię, żeby poprzeć to szczęście, które jest już jej pisane.

– Będzie się nazywać Adinda – wyszeptała młoda mama.

– Dlaczego? Przecież nie masz innych dzieci – zdziwiła się sąsiadka.

– Mam syna i ona dla niego będzie kochaną młodszą siostrą.

– Myślałam, że twój syn nie żyje.

– Nie ma go przy mnie, ale daleko stąd wie gdzie na pewno szczęśliwy i dostatni żywoć. Jak stanę na nogi, to go odnajdę i skontaktuję się z nim.

– Myślisz, że będzie chciał cię oglądać?

– Nie wiem, ale liczę na to, że gdzieś w głębi jego serca miłość do matki przetrwa.

Już na drugi dzień po porodzie młoda mama stała przy garach i od szóstej rano wydawała jedzenie, bowiem właśnie o tej porze największa grupa robotników jechała na place budowy w całym mieście. Często zjadali u niej skoro świt pierwszy posiłek, a późnym wieczorem ostatni. Zdarzało się, że między nimi już nic nie brali do ust, bo nie wystarczało im pieniędzy. Każdy z tych mężczyzn zaharowywał się na śmierć, marząc o tym, żeby wydostać siebie i swoją rodzinę z przeklętych slumsów, ale rzadko komu to się udawało.

Czas płynął nieubłaganie i Meili powoli wszystko zaczęło się układać, ciułała grosz do grosza i miała już może na jedno koło do swojego własnego *warungu*. Cały czas się pocieszała, że zawsze to coś. Wszyscy ją zaakceptowali, z kobietami nawet się zaprzyjaźniła, a Siska stała się jej powiernicą i doradczynią w każdym względzie. Chiński szef dał jej spokój i tylko sporadycznie pojawiał się nad kanałem. Mieszkanie w blaszance blisko wody nie było jednak ani bezpieczne, ani zdrowe. Podczas pory deszczowej prowizorycznego budynekczku omalże nie zmyło, a wezbrane wody prawie porwały dobytek Meili. Ale sąsiedzi pomagali sobie nawzajem, więc i do niej wyciągnęli pomocną dłoń i przenieśli jej rzeczy na suchy teren.

Ida tak dobrze sobie radziła, zastępując szefową w kuchni, że Meila myślała nawet o wprowadzeniu herbaty i kawy w swoim biznesie oraz o sprzedaży papierosów, które w Indonezji zawsze znajdują zbyt. Z chuderlawej, zaniedbanej autystycznej dziewczynki Ida wyrosła na całkiem ładną pannicę, która dzięki porodom Meili i Siski zamiast patrzeć na wskroś człowieka, wbijała po prostu spojrzenie w ziemię – wydawała się więc nieśmiała, a nie upośledzona, za jaką dotychczas ją uważano. Coraz więcej też mówiła i całkiem łatwo było się już z nią skomunikować. Pieszczoty i uściski nadal nie wchodziły w grę, ale uwielbiała, kiedy Meila czesała jej włosy, które od czasu radykalnego obcięcia zdążyły już odrosnąć, i namaszczała dezynfekantami przeciwko wszechobecnemu robactwu. Insekty, pasożyty i szczury zatruwały im życie, ale najbardziej we znaki dawały się komary, które przносиły groźną malarię i dengę.

Strach o zdrowie Adindy paraliżował młodą matkę i często spędzał jej sen z powiek, ale i tak maleńka, chudziutka dziewczynka chowała się dużo lepiej niż kiedyś duży i silny Karim. Meila pomimo drugiego porodu, fatalnych warunków życia i ciężkiej pracy rozkwitała. Nie na darmo mówi się, że córka dodaje matce urody. Kobieta w ekspresowym tempie wróciła do swojej szczupłej sylwetki i nic nie straciła z nieokiełznanego wigoru i wiary w siebie oraz w lepszą przyszłość. Każdego dnia obdarowywała uśmiechem wszystkich dookoła, za co mieszkańcy slumsów traktowali ją jak kwiatek na śmietniku. Zawsze czysta, zawsze zadbana, ubrana biednie, ale schludnie, natłuszczała włosy i ciało olejem kokosowym – schładzała go w zimnej wodzie, pod wpływem której zamieniał się w biały balsam. Nie potrzebowała drogich kreacji, perfum czy wysokich obcasów, by być gwiazdą. Jednak nadal pamiętała czasy swego dzieciństwa i zadbane kobiety z tamtych lat, więc pewnego dnia postanowiła trochę zaszaleć i zrobić coś tylko dla siebie.

Jak co dzień wybrała się na chiński targ, lecz tym razem z zamiarem popełnienia małego grzeszku: chciała kupić sobie sukienkę i czernidło do oczu, które już wcześniej wypatrzyła na stoisku pewnej miłej handlarki. Kreacja leżała idealnie, więc zadowolona sklepikarka dała uroczej dziewczynie rabat, żeby tylko do niej wróciła i kupiła następną. Meila pozostała już w nowym fatalaszku, który miał żywe kolory i modny zagraniczny krój, a na zapleczu stoiska poczerzyła sobie jeszcze oczy. Czuła się teraz jak księżniczka lub aktorka filmowa i wydawało jej się, że każdy mijany przechodzień zwraca na nią uwagę. Rozkoszując się chwilą wolności, powoli kierowała się do domu. Szła przed Glodok, zaglądając do sklepów i zielarskich aptek, podglądając pracę specjalistów od akupunktury i akupresury. W końcu, zmęczona, przysiadła na chwilę na rozchwierutanym taborecie przed *rumah makan*, gdzie

serwowano jakieś smacznie pachnące potrawy, których nie znała. W środku stał telewizor i kobieta nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Chcesz wejść? – Młody Chińczyk z dziobatą po ospie cerą zagadnął ją mile. – Możesz pooglądać telewizję w środku.

– Widziałam kiedyś taki odbiornik w miasteczku Tugu w wielkiej restauracji w centrum, ale dzieciaki zawsze przeganiało, bo zabieraliśmy miejsce klientom – wyznała, przymilając się słodko.

– Wchodź, tutaj nikt cię nie przegoni – zapewniał brzydal, oczarowany urodą dziewczyny. – Widuję cię często, jak idziesz z zakupami z targu, więc jesteś już jakby znajoma.

– Dziękuję panu. – Meila złożyła dłonie i przytknęła czubki palców do czoła.

– Jestem Atan, właściciel tego lokalu. Zaraz zaserwuję ci coś do jedzenia – zaproponował sympatycznie, a dziewczyna stwierdziła w duchu, że po raz pierwszy spotyka kogoś, kto coś posiada i nie jest pyszałkowaty. – Jadłaś już jakiś chiński przysmak? – zapytał z zabawną minką.

– Nie.

– To się cieszę, bo będziesz musiała tutaj dłużej posiedzieć. Nie dam ci odejść, dopóki wszystkiego nie spróbujesz. – Na te słowa oboje wybuchnęli młodzieńczym śmiechem.

– Z radością, panie. – Meila była onieśmielona, bo do tej pory nikt tak szarmancko jej nie traktował.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział, na co znów wspólnie zachichotali. – Gdzie mieszkasz? Chyba w pobliżu? – zaczął rozpytywać, kiedy na stole pojawiły się małe półmiski z parującym jadem.

– Na Kocie, koło mostu nad kanałem – odpowiedziała szczerze.

– Uhm... – Nie skomentował, ale jego skośne oczy jeszcze bardziej się zwęziły. – Masz rodzinę?

– Daleko w górach. Tutaj jestem tylko z córką.

– A mąż?

– Rozwiedziona.

– Dlaczego?

– To było czasowe małżeństwo... ojczym wydał mnie za worek ryżu. – Kobieta czuła się coraz mniej pewnie. – Tak bywa u muzułmanów – tłumaczyła się.

– Popróbuj wszystkiego, pooglądaj telewizję... – Atan wstał, bo nagle stracił zainteresowanie dziewczyną, która nie dość że była muzułmanką z nizin, to jeszcze po przejściach. – Za nic nie musisz płacić, czuj się moim gościem. O tej porze mamy niewielu klientów, więc nikomu nie będziesz przeszkadzać, ale o dziesiątej zamykamy – powiedział to takim tonem, jakby właśnie wybiła dziesiąta.

– To ja już sobie pójdę. – Urażona Meila zerwała się na równe nogi.

– Do zobaczenia. – Nie zatrzymywał jej, ale gdy stanęła w progu, zawołał: – A jak masz na imię?

– Meila, panie – odparła, po czym obróciła się i wybiegła we wczesny dzakarcki zmierzch. Powietrze przepełniały smog, wilgoć i smród spalin, a hałas powodowany przez setki motorków i zdezelowanych aut rozsadał czaszkę.

Co za idiotka ze mnie!, krzyczała w duchu kobieta. Co mnie naszło, żeby mówić prawdę?! Kretynka, skończona debilka! Już nigdy w życiu... nigdy w życiu! Ma być tak jak ze szczerzeniem zębów. Choćby dusza płakała, trzeba się wdzięczyć i mizdrzyć! I kłamać w żywe oczy, choćby nie wiem jak przyjemny był facet! Ot co!

Była na siebie tak wściekła, że aż biegła do swojego blaszaka, bo nagle zdała sobie

sprawę, że nie pomogą jej uroda i wdzięk, kiedy mieszka sama w takim strasznym, obskurnym miejscu i jest niby-rozwódką z trzyletnim dzieckiem.

– Niech to szlag! – przeklinała co chwila, choć wcześniej jej się to nie zdarzało.

Wpadła do przybudówki, z rozmachem odsuwając zasłonę wykonaną z plastikowego worka po ryżu, i zamarła w pół kroku. W kącie pomieszczenia nie większego niż sześć metrów kwadratowych na macie siedziała jej mała niewinna córunka i ze zdenerwowania ssała róg swojej pieluszki. Jej małe, zawsze wesołe oczka były szeroko otwarte z przerażenia. Po drugiej stronie stał rozkraczony Yaoming z opuszczonymi do kolan spodniami. Trzymał za włosy klęczącą przed nim Idę i usiłował wsadzić swojego sztywnego grubego członka do jej ust. Dziewczynka broniła się, zaciskając wargi i bezradnie wymachując rękami. To targała go za rozchełstaną koszulę, to szarpała za portki albo drapała po wydętym opasłym brzuchu, żeby tylko odtrącić jego fallusa od swojej buzi.

– *Astana!* – wykrzyknęła przerażona Meila. – Co ty wyprawiasz, zbrodźcu jeden?! – Widocznie mężczyźnie potrzebny był ten jeden bodziec, żeby zakończyć swoje nieczne działania, bowiem w tym momencie na Idę trysnęła mlecznobiała sperma. Dziewczyna zaczęła trzeć oczy, a Chińczyk, śmiejąc się gardłowo, rozmażywał substancję po jej twarzy i włosach, nadal mocno przyciskając ją do swojego podbrzusza. Jęczał przy tym obrzydliwie, a podniecenie tak uderzyło mu do głowy, że z kącika ust ciekła mu ślina. Sprawiał wrażenie, jakby nic dookoła siebie nie widział i nie słyszał. Przymknął małe skośne oczy i rozkoszował się chwilą. – Przestań już! Przestań! – Meila przyskoczyła do niego, lecz przy otyłym chłopie wyglądała jak mały kurczaczek skaczący koło worka ryżu. – Zostaw ją! – Ścisnęła drobne dłonie w pięści i waliła nimi po otłuszczonych plecach gwałciela. – Natychmiast! – Kiedy to nie poskutkowało, wściekła z powodu straszliwej sytuacji, a jednocześnie załamana i rozgoryczona swoim życiem i brakiem możliwości zmiany czegokolwiek na lepsze, skoczyła do kąta izby, gdzie składowała narzędzia, chwyciła za trzonek solidnego młotka, przyskoczyła do mężczyzny i uderzyła go nim z całej siły w skroń. Dopiero wtedy otworzył oczy, w których malowało się zdziwienie. Jak na zwolnionych obrotach odepchnął Idę, obrócił się w stronę atakującej, opuszczając bezwładnie ręce wzdłuż ciała i rozcapierzając palce, by w końcu paść jak długi na plecy. Po chwili wydał z siebie ostatni charkot i przestał oddychać. Z jego czaszki strumieniem lała się krew. Meila nieruchomo stała na swoim miejscu, a Ida jak zamurowana patrzyła na jeszcze ciepłe zwłoki. – Szybko! – Kobieta otrząsnęła się z otumanienia i zaczęła dyrygować. – Ida, umyj się. Adinda, bądź cichutko. – Przyłożyła palec do ust. – Musimy pozbyć się ciała, bo jak nas złapią, to wszystkie wylądujemy w więzieniu, a ja mogę jeszcze dostać karę śmierci. Nie ma czasu do stracenia. Trzeba odrąbać mu łeb – oznajmiła zimno, na co nastolatka wytrzeszczyła tylko oczy.

– Jak to, *ibu?* – Siedziała w kucki i huśtała się to do przodu, to do tyłu.

– Siska powiedziała mi kiedyś, że przed wrzuceniem do kanału ciało należy pociąć na kawałki, bo inaczej wypłynie i wtedy jest wielki klops – tłumaczyła jak cierpliwa matka, tak jakby mówiła córce, w jaki sposób rysować szlaczki w zeszycie.

Ida nic na to nie odpowiedziała, bo była wychowana w slumsach i niejedno już widziała. Meila kazała jej się odsunąć, wzięła do rąk siekiere, zamachnęła się i z całej siły rąbnęła w szyję oprawcy. Jego głowa odskoczyła dobre parę metrów i wylądowała pod nogami małej Adindy, która podkuiliła kolanka pod brodę i nawet nie pisnęła. Widać dziecko instynktownie wyczuwało poważną sytuację. Meila chwyciła za rzadkie posklejane włosy ściekający posoką czerep Chińczyka i wsadziła go do worka po pięciu kilogramach ryżu.

– W sam raz! – Z szaleństwem w oczach uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. – Trzymaj – zwróciła się do Idy, podając jej pakunek. – I idź na most. Jak już będziesz

na środku, ciśnij to w rynsztok.

W ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Nie myślała też o tym, że całą tę potworną scenę obserwuje jej trzyletnia córka. Z obłądną zaciętością zabrała się do ćwiartowania reszty zwłok, jednak jej agresja i siły się wyczerpywały, choć za wszelką cenę starała się kontynuować zaczęte dzieło. Kiedy waliła siekierą w kolano mężczyzny, chcąc odrąbać mu nogę, wróciła Ida. Widząc krwawą jatkę, zaczęła rozpaczliwie zawodzić. Wtedy dopiero Meila zatrzymała się w pół ruchu.

– Nie dam rady... – wycharczała. – Nie dam rady – powtórzyła i opadła na klepisko tuż przy zmasakrowanym ciele.

– Wrzućmy resztę jak leci – szepnęła Ida, drżąc jak osika. – Samego korpusu nie poznają.

– Masz rację. Nie możemy się poddać, nie damy się zamknąć w więzieniu. Tam byłoby jeszcze gorzej niż tutaj.

Meila rozebrała mężczyznę do naga, zdjęła jego ciężki zegarek z przegubu ręki, z drugiego złotą bransoletę, a z małego palca sygnet. Na szyi miał jeszcze kosztowny łańcuch ze sporym krzyżem, który też zagarnęła. Następnie chwyciła go za jedną nogę, Ida złapała za drugą i wspólnymi siłami pociągnęły denata do wyjścia.

Kiedy zwłoki znalazły się na nasypie, wystarczyło je pchnąć, a same sturlały się do brudnej wody. Jakiś czas utrzymywały się na powierzchni przy brzegu, lecz po chwili niewidzialny prąd porwał je dalej i wyniósł na środek. Meila podbiegła do kanału i zanurzyła ręce w czarnej mazi. Cała była we krwi, jej nowa sukienka została tak zachlapana, że kolorowych kwiatków w ogóle nie było już widać. Kobieta wyciągnęła z wody jakąś szmatę i zaczęła przecierać nią skórę i ubranie. Nie myślała już o zarazie, która znajduje się w ścieku, ale jedynie o tym, że jest brudna. – Czego tak stoisz?! – krzyknęła z wyrzutem do Idy. – Leć do domu i pakuj nasze rzeczy!

Dziewczyna jakby tylko czekała na instrukcje, bo od razu zniknęła w spowijającym slumsy mroku. Meila spojrzała w niebo. *Zaraz będzie świtać*, zauważyła z rozpaczą. *Musimy stąd uciekać, i to jak najszybciej*. Wytarła ręce w kraj materiału i rzuciła się pędem do przeklętej blaszanki. Porwała na ręce Adinę, która nadal patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Posadziła ją pod blatem *warungu*, gdzie upchnęła też ich niewielki dobytek, na wózek położyła zapasową butlę i wok, a produkty spożywcze zapakowała do worka i przyczepiła go do rączki. Na koniec zrolowała zakrwawioną matę i wrzuciła ją do kanału. *Ten rynsztok strawi wszystko*, pomyślała z obłądem w oku i wariackim chichotem na ustach.

– Ruszamy, Ida – oświadczyła i chwyciła za metalowy uchwyt.

Wehikuł na dwóch kołach z jednej strony i podpórcę z drugiej stawiał opór. Dziewczyny szarpały, a on ani drgnął. Całe lata stał w jednym miejscu, obmywał go deszcz, a jego koła zalewało błoto, więc przyrósł do podłoża na dobre. Jednak gdy zdesperowana Meila zapała się nogami i z całej siły uderzyła pojazd biodrem, wózek ruszył. Uciekiniarki z wielkim trudem wepchnęły go pod górkę na most, a potem poturlały po prostej drodze, kierując się w stronę dzielnicy Glodok. Ani razu nie obejrzały się za siebie, bo nie żał im było niczego zostawiać. Mała Adinda kurczowo trzymała się gumowej rurki pod spodem, ale przezorna matka zabezpieczyła ją, zastawiając otwór nielicznymi rzeczami, jakie posiadały, więc malutka siedziała tam jak w kokonie. Dla dwóch drobnych Indonezyjek wpychanie wózka na pochyłości było nie lada wyczynem, lecz utrzymanie ciężkiego metalowego *warungu*, kiedy droga schodziła na dół, okazało się jeszcze trudniejsze. Wtedy Meila trzymała za rączki, a Ida szła z przodu i zapierając się bosymi stopami, hamowała pojazd własnym kruchym ciałem.

Minęły lokal, gdzie jeszcze wczorajszego wieczoru kobieta siedziała z miłym młodym mężczyzną, który uraził jej dumę i zranił serce. Szły dalej przed siebie, lecz ze zmęczenia leciały już z nóg. Nagle spadek terenu zrobił się ostrzejszy i wózek wyślizgnął się ze spoconych, obtartych rąk Meili, tocząc się bez kontroli po pełnej dziur jezdni.

– Uważaj, bo cię zmiażdży, Ida! – Kobieta zdążyła krzyknąć sekundę przed tym, zanim furgon zatrzymał się na zderzaku zaparkowanego przy drodze samochodu. Zgrabna dziewczynka błyskawicznie odbiła się od drogi i wskoczyła na maskę auta.

Na ulicach zaczęło pojawiać się coraz więcej przechodniów, umordowani i zaspani robotnicy niechętnie ciągnęli do pracy, dostawcy pędzili z towarami do jadłodajni, kafeterie na kółkach rozwoziły gorącą kawę i herbatę, nieustannie dzwoniąc, by przyciągnąć klientów, a restauratorzy z hukiem podnosili żaluzje i otwierali swoje lokale. Parę *warungów* pchanych przez żyłastych mężczyzn przejechało poboczem w kierunku dużej budowy – zapewne kolejnego centrum handlowego albo biurowca. Wykończona Meila siedziała na chodniku, mokrymi od potu plecami opierając się o chłodny filar, a Ida przykucnęła przy niej jak mały spłoszony ptaszek.

Nagle z restauracji pod arkadami wypadła mała pulchna Chinka.

– Czyj to *warung*?! – wrzasnęła. – Kto zniszczył samochód pana Shinto, co?! – Rozejrzała się groźnie i jej wzrok spoczął na dwóch dziewczynach. – Co wy tu robicie? Gadać! – Wycelowwała w nie palec wskazujący, a mały tłumek ciekawskich błyskawicznie zebrał się za jej plecami, patrząc z zainteresowaniem na oskarżone.

– Ja niechcący – wyszeptała Meila. – Już nie mogłam utrzymać – kajała się, pokazując zdarte do krwi dłonie.

– Ładnie mi niechcący! – zabalgotała kłótniwa, bezwzględna baba. – Myślisz, że rozłożysz się tu z tym twoim marnym dziadowskim biznesem?! – Zrobiła krok do przodu, jakby chciała ją uderzyć. – Na progu restauracji pana Shinto?

– Co się dzieje? – stanowczy męski głos rozległ się wśród zebranych i z tłumu wyłonił się niewielki, drobny i chudy Chińczyk w jedwabnym szlafroku, szlafmocy i śmiesznych pantoflach z czerwonymi pomponami. – O co chodzi? Czemu drzesz się wniebogłosy i budzisz porządnych obywateli? – zwrócił się spokojnie do nerwowej kobiety.

– Pana piękny samochód został rozbity!

– Co?! – Teraz on też się zirytował. – Kto to zrobił?

– Ta tutaj wywłoka! – Kobieta wskazała na Meilę, a ona tylko zacisnęła usta, spodziewając się najgorszego.

Nagle z przewróconego *warungu* dobiegło ciche dziecięce kwilenie, które szybko zmieniło się w donośny płacz. Zanim matka stanęła na nogi, do blaszanego wózka przyskoczył długonogi wysoki blondas z włosami spiętymi w kitkę, w roboczych ciężkich buciorach i z hełmem przypiętym do paska.

– *Di sini anak!* – wykrzyknął, kalecząc indonezyjski, po czym podniósł wysoko do góry małą dziewczynkę.

– Jeszcze bachora ma z sobą! – Chinka ściągnęła usta, ale widać było, że na widok malutkiej dziewczuszki jej serce zaczęło topnieć. – Głodna pewnie.

– *Terima kasih, pak* – Meila podziękowała przystojniakowi. Wzięła od niego córeczkę i przytuliła ją do piersi.

– *Sama-sama* – odpowiedział zadowolony z siebie cudzoziemiec i łobuzersko odrzucił kosmyk jasnych jak len włosów, który spadał na jego błękitne oczy. – Co za problem z tym furgonem? – zapytał, podkasując rękawy. – Zaraz go postawię, gdzie się należy. – Chwytał za rączki i bez wysiłku pociągnął wózek na górkę, wtoczył na chodnik i ustawił

w podcieniu koło filara. Potem zabawnie otrzepał ręce i uśmiechnął się do wszystkich promiennie. – Teraz dobrze? Wszyscy zadowoleni? – Usiłował mówić w *bahasie*, co zebrany bardzo się podobało, bo potakiwali radośnie. – A auto mogę wyklepać po robocie, nie ma problemu – zaoferował. – Kiedyś robiłem jako mechanik.

– Już wystarczy tej pomocy. – Shinto był całkiem rozkrochmalony postawą *bule*. – Dam do warsztatu.

– Ona ma tu sprzedawać jedzenie? – Baba z chińskiej knajpy zwróciła się do właściciela. – Zabierze nam gości – skarżyła się, bo widocznie była na prowizji i zależało jej na ilości sprzedanych porcji.

– To jest całkiem niezły pomysł, Aiko – szef podchwycił koncept. – Nikogo nam nie podbierze, bo mamy swoją stałą klientelę, ale za to może ściągnąć tych, których nie stać na naszą wytworną restaurację. – Widać było, że jest zadowolony, bo na poczekaniu wymyślił dobry interes. – Co gotujesz? – zwrócił się do przerażonej i wykończonej Meili.

– Zupę *bakso* i *nasi goreng* – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

– Czyli indonezyjska klasyka. A my mamy chińskie menu. No i co ty na to, Aiko? Nie będziemy z sobą konkurować, lecz współpracować. – Zaśmiał się i ukontentowany klasnął w dłonie. – Idźcie już stąd! – Machnął lekceważąco na gapiów. – A jutro przyjdźcie na dobre domowe żarcie.

– Ja też spróbuję. – Wysoki blondyn musiał aż się zgiąć w pół, by szepnąć do ucha Meili: – *Namaku*58 Janek. – Jego ciepły uśmiech był jak balsam na krwawiące serce kobiety.

– Ile bierzesz za porcję, mała? – Shinto chciał dogadać ostatnie szczegóły.

– Dziesięć rupii, panie.

– Chyba na prowincji są takie ceny – stwierdził protekcjonalnie. – Jako że u mnie najtańsze danie jest za dwadzieścia, ty będziesz liczyć po piętnaście. Dziesięć dla mnie, pięć dla ciebie. – Meila tylko potakiwała, bo czuła, że znów udało jej się spaść na cztery łapy. – Masz gdzie mieszkać?

– Nie.

– Będzie spała w składziku – zakomunikował, a zadiorna wcześniej Chinka o dziwo nie oponowała. – Za to masz wieczorem myć podłogi w restauracji i zamiatać przed lokalem. Postawimy tutaj parę taboretów albo nawet ławkę, żeby twoi klienci nie żarli na ziemi jak świnie. – Łebski mężczyzna czuł przez skórę, że to będzie dochodowy interes. – Umiesz pisać? – zapytał ni z tego, ni z owego.

– Tak. – W tej chwili Meila potrafiła odpowiadać tylko monosylabami.

– To napisz na kartce, co i ile kupić ci na jutro. Codziennie dostawca przywozi towar. Kosztami dzielimy się po połowie... to chyba ucziwie? – Młoda kucharka na potwierdzenie pokornie złożyła dłonie na piersi. Szef ułożył usta w dzióbek, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniał. – To na razie byłoby wszystko. – Obrócił się do niej plecami i ruszył do domu. Po chwili jednak zatrzymał się i podniósł do góry palec. – Umyj się prędko i zrób porządek z tą zakrwawioną sukienką, bo nam nie tyle odstraszyś klientów, ile zwabisz policję – powiedział cicho, lecz dobitnie.

Uwadze Chińczyka nic nie umknęło, ale Meila odetchnęła, czując wsparcie w tym małym, lecz silnym mężczyźnie. Chwyciła swoje tobołki i wbiegła do środka. Znów była uratowana.

Meila czuła, że jej życie w końcu zmierza ku lepszemu, lecz nie mogła pogodzić się z faktem, że ma krew na rękach. Po czasie zrozumiała, że powinna była być jak zawsze uległa

i poddać się swojemu losowi, lecz sytuacja, kiedy dorosły silny mężczyzna gwałcił nastoletnią chorą dziewczynkę, tak nią wstrząsnęła, że doprowadziła do zabójczej furii. Nałożyło się na to jeszcze wiele innych rzeczy, jak życiowe niepowodzenia, ciągłe porażki sercowe, wykorzystywanie, utrata syna i przyjaciółki Dewi oraz ciągłe staczanie się po równi pochyłej na sam dół, w największe czarne odmęty ludzkiego bytowania. Jednak będąc z natury uczciwym i dobrym człowiekiem, zdawała sobie sprawę, że nic jej nie usprawiedliwia, i nie mogła sobie wybaczyć swojego czynu. Mimo wszystko życie płynęło dalej i podczas codziennych obowiązków od świtu do nocy Meila nie miała chwili czasu na odpoczynek, a co dopiero na rozmyślenia. Znajdowała jednak minutkę lub dwie dla swojego nowego znajomego, wielkiego słowiańskiego chłopca z gór, który regularnie odwiedzał jej *warung* i zjadał się indonezyjskimi daniami z wielkim upodobaniem.

– Skąd ty pochodzisz, bo zapomniałam? – zapytała kiedyś, ciekawa świata i życia w odległych krajach.

– Z Polski, kochanieńka. – Mężczyzna mówił łamaną *bahasą* pomieszaną z angielskim, a kiedy nie mógł się wysłowić, żywo gestykulował.

– Powiedz mi, jak tam u was jest?

– Kiepsko teraz się dzieje, ale bywało jeszcze gorzej. Dlatego też wyjechaliśmy z żoną – wyznał szczerze, a kobietę aż zamurowało. *Kolejny, który nie jest dla mnie*, podsumowała i żal ścisnął jej serce, bo mężczyzna szalenie jej się podobał. – Komuchy rządziły krajem, aż się zadławiły. Na początku lat osiemdziesiątych niczego nie było w sklepach, tylko puste półki. Na jedzenie były kartki, na papierosy też. – Pomimo pogodnej natury, gdy wracał do tych wspomnień, całkiem spoważniał.

– Nie rozumiem, jakie kartki? – dopytywała Indonezyjka. – Palili je zamiast tytoniu? – Zaśmiała się, mieszając ryż.

– Wszystko było wyliczane i normowane – wyjaśniał.

– Dobrze by było, jakby u nas dawali wszystkim po równo. Mój tata i mama o to walczyli. – Po raz pierwszy Meila wyznała komuś prawdę o przynależności rodziców do partii.

– Byli komuchami?! – Janek aż skoczył na równe nogi.

– Nie złość się – poprosiła łagodnie, wystraszona jego reakcją. – Teraz w Indonezji już nie ma partyjniaków, wymordowali chyba wszystkich – tłumaczyła spokojnie.

– Tak, wiem, przepraszam za niepotrzebne nerwy, ale u nas to czerwoni zabijali.

– Zupełnie inaczej jest w tej dalekiej Polandii...

– Nie tak do końca. U nas i u was krwawo rozgramiano manifestacje, mordowano ludzi, osądzano bez procesów, przetrzymywano w więzieniach i obozach...

– Cicho bądź! – Kobieta zamknęła mu usta zatłuszczoną ręką. – Jak nie chce się mieć kłopotów, to się o tym nie gada. Najlepiej udawaj, że nic nie wiesz o tych czasach.

– Ale dlaczego? Przecież to już przeszłość, uporaliście się z czerwoną zarazą.

– Sam przed chwilą mówiłeś, jakimi metodami. Ojca zabili na moich oczach podczas pokojowej demonstracji, potem to samo spotkało mojego niewinnego siedmioletniego brata i nastoletniego wujka, spalili niejedną bezbronną wioskę, wcześniej gwałcąc kobiety, mordując dzieci i rabując mienie... – mówiła jak nakręcona. Na koniec musiała wziąć głęboki oddech, bo ze wzburzenia zabrakło jej powietrza. – Dlatego u nas lepiej się nad tym nie rozwodzić. Ponoć winni tych zbrodni nigdy nie zostali ukarani i nie zanosi się na to.

– No to ładnie! – Teraz mężczyzna już rozumiał jej przerażenie. – Dzięki, że mnie ostrzegłeś, bo jeszcze coś bym chlapnął na budowie i byłaby katastrofa.

– Lepiej opowiedz mi jeszcze o swoim kraju. – Meila nudziła jak mała ciekawska dziewczynka. Nie przerywała jednak swojej pracy i nalewała klientom kolejne porcje zupy.

– Tak więc... – Janek zamyślił się. – Młodzi ludzie nie mieli szans na lepsze jutro i rozpoczęła się ogromna emigracja, głównie do Ameryki.

– Oj, tak daleko! – Mieszając ryż i pocąc się nad wokiem, kobieta nadstawiała uszu.

– Do was wcale nie mieliśmy bliżej, a nawet dalej. – Zaśmiała się beztrudno, pokazując białe jak mleko zęby.

– To czemu tutaj przyjechaliście?

– Udało nam się wyjechać z Polski tuż przed stanem wojennym, jeszcze latem... – Mężczyzna snuł opowieść o swoim życiu, wtrącając coraz więcej polskich słów. Jednak Meila zależało nie tyle na informacjach, ile na słuchaniu jego przyjemnego, głębokiego głosu. – Mieliśmy fart! – Zatarł ręce, robiąc przy tym zabawną minę. – Żona dostała stypendium do Stanów, a ja podążyłem za nią. Małżeństw nie rozdzielali, więc bezproblemowo dostałem wizę. A w Chicago ona na uniwersytet, a ja do fabryki. Tam to dopiero jest wyzysk! Pracowałem dziesięć godzin dziennie na taśmie, porcjując prosiaki. Jak któryś z robotników nie wysikał się, jak była przerwa, to później musiał łać w portki, bo od linii produkcyjnej odejść nie wolno. A nocami, czy raczej nad ranem, dodatkowo sprzątałem w pubie.

– A co to takiego? *Warung*? – Dziewczyna, kiedy tylko wychyciła jakieś całkiem nieznanne słówko, zaraz pytała.

– To takie miejsce, gdzie głównie pije się wódkę, podrywa dziewczyny, słucha muzyki i... wali w mordę – znów zażartował Janek.

– Coś trochę jak salon masażu u pana Shinto. Na dole można napić się sake, a na górze podrywa się masażystki – tłumaczyła sobie po swojemu. – Muzyka też jest.

– No powiedzmy szczerze, tak nie do końca. – Po błysku w oku widać było, że podejście dziewczyny rozbawiło Polaka. – Twój szef ma po prostu zwykły burdel, a pub to pub. Z czasem i u was takie się pojawią, a może już są w elegantszych dzielnicach lub tam, gdzie mieszkają cudzoziemcy.

– Kto wie? – Meila zamyśliła się, obiecując sobie, że w najbliższe wolne wybierze się na wycieczkę do któregoś z tych ekskluzywnych rejonów miasta. – To mówisz, że biedna ta wasza Polandia? – podsumowała, żywo zainteresowana jego ojczyzną, bo o Ameryce coś słyszała, ale o europejskich krajach nic. – Slumsy też macie? Jak taka bieda, to musowo.

– Tak tragicznie to jeszcze nie jest, ale ludzie żyją na granicy nędzy... – Mężczyzna zawiesił głos, bo nagle zdał sobie sprawę, że ubóstwo w Indonezji jest znacznie gorsze niż gdziekolwiek w Europie. – No, w każdym razie było źle, jest źle i nie zanosi się, żeby miało być lepiej. Jak się naród ruszy, to kamień na kamieniu nie zostanie, a kiedy tę cholerną przyczajoną żydokomunę zaczną mordować, to popłyną rzeki krwi.

– Chciałbyś, żeby tak było? – Kobieta nie dowierzała, bo Janek wydawał się łagodnym człowiekiem. – Tak jak u nas w sześćdziesiątym piątym?

– Ja tylko co nieco słyszałem o tym okresie w historii Indonezji, bo niewiele się o tym mówi, a tym mniej pisze. Teraz, kiedy wyznałaś, co cię spotkało, wiem już troszkę więcej. Takich ludzi jak ty, którzy byli świadkami, jest coraz mniej i dlatego sądzę, że powinnaś o tym komuś powiedzieć.

Na te słowa Meila rzuciła chochlę i podniosła ręce w geście samoobrony.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – krzyknęła. – A jeśli dalej po cichutku robią czystki? – wyszeptwała, przerażona. – Przecież mamy rządy generała Suharto, który to wszystko rozpetał. – Ostatnie słowa wymówiła bezgłośnie, tylko ruszając ustami.

– Nie mówię przecież, żebyś szła z tym do prasy. – Położył jej swoją wielką jak bochen chleba dłoń na ramieniu. – Moja żona, Gośka, to mądra babka... Może zajrzałaś do nas kiedyś wieczorem, to nakarmimy cię polskim jadem, a ty opowiesz jej o waszej

historii. Jest naukowcem, więc byłoby to dla niej niezmiernie ciekawe, a w przyszłości mogłaby o tym napisać jakiś artykuł, opracowanie, książkę...

– Dzięki za zaproszenie, ale ja non stop pracuję. – Meila próbowała się wymigać, bo wolała siedzieć z tym pięknym jasnoskórym mężczyzną niż z jego żoną, a poza tym postanowiła nie puszczać już pary z ust na drażliwe tematy.

– Przyjdź, nie pożałujesz. Jak chcesz, to weź swoje córki. Gosia uwielbia dzieci, ale na własne jeszcze nas nie stać.

– Powiedz mi, Janku, jak to jest. Ty robisz na budowie, a żona, mówisz, profesor. To jakżeście się dobrali?

– Kiepsko! – Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem i klepnął się po udzie, na co Meilę z rozkoszy aż przeszedł dreszcz. – To się w Polsce nazywa mezalians.

– Nic nie rozumiem – przyznała, ale buzia też jej się śmiała. – Jak dałeś radę zapłacić za jej posag?

– Nijak. – Janek znów zachichotał. – Wziąłem ją na swój urok osobisty i charyzmę, a nie za pieniądze.

– Tak się da? Ależ u was jest dobrze – rozczuliła się. – To jest wolny świat!

– Nie wszystko w naszym małżeństwie wygląda tak różowo. Jak chcesz dowiedzieć się więcej, to musisz do nas wpaść. Mieszkamy niedaleko, zaraz w sąsiedniej kamienicy.

– Wy, *bule*, na Glodoku?

– Przepraszam, ale my żadne *bule*, tylko *orang barat*... No! – sprostował Janek i żartobliwie pogroził Meili palcem. – Jeszcze się dorobimy i przeniesiemy do własnej willi z basenem, zobaczysz, mała.

– Może przyjdę. – Ciekawość jednak wzięła górę. – Muszę załatwić z szefem jakieś wolne, bo nie można pracować przez całusieńki tydzień od świtu do nocy. Nie uważasz, że to trochę za dużo?

– Z deczka. – Pokiwał głową. – U was pracownik nie ma żadnych praw i to jest straszne. Mam tylko nadzieję, że to się zmieni, bo chociażby mnie, zagranicznego majstra, chcieliby widzieć w robocie codziennie. – Mężczyzna zasmucił się, bo nawet po nim, silnym i wielkim, widać było zmęczenie. – Przyjdź do nas w niedzielę o jedenastej, moja żywicielko, to jak się uda, najpierw pójdziemy razem do kościoła, a potem zjemy obiad. Gośka wprawdzie nie umie gotować, ale ja radzę sobie w kuchni znakomicie.

– Spróbuję się wyrwać. – Meila już czuła dreszcz emocji i nie mogła się doczekać spotkania z kobietą naukowcem.

W niedzielę postawiła przy swoim *warungu* Aiko, z którą zdążyła się zaprzyjaźnić, bo Chinka okazała się uczuciową i dobrą kobietą, a jedynie troszkę wybuchową. Idę i Adinę porządnie wyszorowała, przejrzała im włosy, czy czasami nie mają wszy, i ubrała w najlepsze sukienki. Potem sama się wystroiła, pociągnęła oczy *kohlem* i z duszą na ramieniu pierwszy raz w życiu poszła w gości do cudzoziemców.

Kamienica wskazana przez Janka była ruiną w porównaniu z trzypiętrowym gmachem pana Shinto. Klatka schodowa śmierdziała moczem i pleśnią pomieszanymi z zapaszkiem sosu rybnego i smażonej cebuli dochodzącym z mieszkań. W kątach siedziały szczury, tłuste stonogi żerowały w zgnitych deskach podłogi, po sufitach biegały gekony, a w powietrzu pełno było komarów i insektów różnej maści. Meila i Ida zatkały sobie nosy, nawet mała Adinda usiłowała to zrobić, kładąc rozcapierzoną rączkę na buzi. Dziewczyny rzuciły się biegiem po schodach i zanim się obejrzały, były na trzecim piętrze i waliły do drzwi.

– Ciebie rzeczywiście Pan Bóg opuścił, żeby zapraszać gości do tej naszej rudery! – zawołała po polsku Gośka na widok przerażonych dziewczyn, które wpadły do środka. – *Good morning*. – Zreflektowała się, sztywno wyciągając rękę na powitanie.

– *Selamat siam* – grzecznie odpowiedziała Meila, po raz pierwszy dając komuś swoją dłoń do uściśnięcia.

– *Salama, salama...* – Gospodyni wyraźnie nie była uszczęśliwiona wizytą. – Nie wiem, Janie, ale chyba kiedy była kolejka po mózg, ty stałeś po nogi – podsumowała złośliwie męża, i choć Meila, Ida i Adinda nie rozumiały z jej wypowiedzi ani słowa, czuły się mocno skrępowane.

– Czemu tak nieładnie traktujesz takie przyzwoite dziewczuchy, kochanie? Przecież one przez skórę czują twoją niechęć, a ja chciałem jedynie cię rozweselić i zapewnić towarzystwo. – Janek próbował objąć żonę ramieniem, lecz ta odsunęła się od niego ze wzgardą. – To jest Meila, moja bardzo interesująca żywicielka – dokonał prezentacji, wciąż się uśmiechając, tak jakby nie był przed chwilą rugany. – A to jej córki, których imion nie znam. *Siapa namanya?* – zapytał po indonezyjsku, ale jak tylko wyciągnął rękę w stronę Idy, ta skuliła się w sobie z żalonym jękiem.

– *Permisi!* – powstrzymała go Meila. – Ida nie jest moim dzieckiem, tylko przybłądą, którą przysparzę. Jest trochę chora i nie wolno jej dotykać – wytłumaczyła, stosując podstawowy angielski przepleciony z jej rodzimym językiem. – Adinda jest za to moją córeczką.

– *Nama saya Adinda*⁵⁹ – malutka zgrabnie się przedstawiła i uroczo uśmiechnęła, nie bojąc się obcych ludzi, bo od urodzenia otaczali ją ciągle nowi nieznajomi.

– Rezolutna jak na takiego malucha – zauważyła Gośka i widać było, że złość powoli w niej topnieje.

– Proszę się nie przejmować warunkami mieszkalnymi, bo nie ma się czego wstydzić. – Meila chciała pocieszyć gospodynię, bo domyślała się przyczyn jej wyrzutów. – Widziałyśmy gorsze. Żyłyśmy w strasznych miejscach, zresztą nadal bytujemy jak zwierzęta.

– Przykro mi...

– Mnie też, ale co zrobić – podsumowała beztrosko. – Janek mówił, że na pewno kupicie sobie dom w lepszej dzielnicy, i to z basenem.

– On zawsze obiecuje, a potem... – Meila odczytała z twarzy Polki zawiedzione nadzieje. *Ja z takim pięknym facetem nie potrzebowałabym żadnych luksusów, pomyślała zazdrośnie. Niektórzy nie doceniają, co mają, dopóki tego nie stracą. Tak jak moja matka...* – Nie będziemy chyba stać w tym zapchlonym korytarzu! – Kobieta przywołała się do porządku. – Chodźciez do środka. Wprowadźcie mamy tylko jeden pokój...

– Ale jaki wielki! – Meila była szczerze zafascynowana. – I łóżko jest, i stół, i fotele! – Wszystkie te podstawowe słówka знаła z angielskiego, więc bezproblemowo mogła wyrazić swój zachwyt. – Jak będziesz chciała narzekać na swoje lokum, to zajrzyj do mnie – zakpiła gorzko.

– Więc gdzie mieszkasz, miss Meila? – zapytała powoli gospodyni, bowiem nie znała *bahasy* i mogła porozumieć się z dziewczyną tylko po angielsku.

– W sąsiednim budynku, po drodze do pracy Janka – tłumaczyła dziewczyna. – Mam tam *warung* i kąt do spania w składziku na antresoli, ale cieszę się, że jestem pod dachem i w kamienicy, bo przez ostatnie trzy lata mieszkałam w blaszance w slumsach na Kocie – powiedziała, żeby trochę wstrząsnąć zadufaną ważniaczką.

– No to ładnie. – Polka spoważniała, bo rzeczywiście głupio się poczuła. – Opowiedz mi coś o sobie – poprosiła. – Janek wspominał, że doświadczyłaś strasznych rzeczy.

– Wszystko bym chętnie wyznała, ale nie wiem jak. Mój angielski strasznie kiepski. Nie umiem. Nie umiem się wysłowić – wyznała skrępowana Meila.

– To mam dla ciebie propozycję. – Gośka położyła jej dłoń na ramieniu. – Jak tylko będziesz miała chwilę czasu, możesz do mnie wpadać, a ja cię poduczę. Przy okazji może sama chwyć parę indonezyjskich słówek.

– Ale ja nie chciałabym przeszkadzać. Pani jest naukowcem, to gdzie będzie głupią języka uczyć?

– Co ty mówisz? Jestem nauczycielką i aktualnie pracuję za marne grosze w szkole misyjnej przy kościele.

– Co? Nauczycielka? Moja mama też kiedyś była, ale potem... – Meila przypomniała sobie matkę z ustami czerwonymi od betelu i w wiejskich łąkach. – To dlaczego mało pieniędzy? Przecież to wspaniała, lekka praca, niosąca wdzięczność ludzką i zawsze dająca coś w rewanżu.

– To jest mit! – Gospodyni mogła dogadać się z nową znajomą tylko za pośrednictwem domowego lingwisty Janka, który siedząc w małej kuchence i pichcąc coś smakowicie pachnącego na dwupalnikowym kocherze, co chwila przekładał pojedyncze słówka to na *Bahasę*, to na polski. – Robota nie jest lekka, bo cały czas trzeba pracować głową, a do domu przynosi się tony zeszytów do poprawy. Wdzięczności nie ma żadnej, bo dzieciaki przeważnie nie chcą się uczyć, a o rewanżu nie słyszałam.

– To trafiłaś na głupców, bo inaczej nie można nazwać tych, którzy nie chcą przyswajać wiedzy. – Meila ze złości aż zmarszczyła brwi. – Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnęłam dalej chodzić do szkoły, ale nie mogłam. A co się tyczy wdzięczności, to u nas jest i wyraża się bardzo materialnie. Ludzie dają jedzenie, kupony materiałów, kawę, herbatę, papierosy, warzywa i owoce – wymieniała wszystkie wspaniałości, które jej matka dostawała za nauczanie niepiśmiennych wieśniaków w Wodo.

– Uczniowie muszą zapłacić – wyjaśniła jej Gośka. – Na ananasach i arbuzech domu nie postawię.

– Ale lepszy rydz niż nic – skwitowała Indonezyjka, po czym zadeklarowała: – Znajdę ci chętnych. To wprawdzie kiepska dzielnica, ale Chińczycy mają pieniądze, i to duże.

Popołudnie u Polaków, choć zapowiadało się beznadziejnie, okazało się wspaniałe. Meila jeszcze nigdy nie czuła się tak dobrze i swobodnie, Adinda baraszkowała na wyleniałym dywanie, oglądając książeczki do angielskiego, a Ida zagłębiła się w pięknym albumie z europejskimi krajobrazami. *Poznam angielski i będę już inną osobą*, cieszyła się Meila. *Będę gotowa na zagraniczne kontakty i obsługiwanie buli w mojej restauracji. A jeśli ci dwoje przyjechali z tak daleka, to inni na pewno podążą ich śladem.*

Zaraz w poniedziałek udała się do szefa, który urzędował w swoim kantorze.

– Panie Shinto, chciałam zapytać o to mieszkanie na poddaszu, które się zwolniło.

– Tak? – zapytał z zainteresowaniem mężczyzna, patrząc na nią znad okularów.

– Drogie jest? Bo ja bym tak chciała mieć jakiś godziwszy kątek dla siebie i dziewczynek.

Tam jest ponoć woda i kanalizacja, a tutaj musimy się myć nad zlewem w kuchni i chodzić do sławojki na tyłach budynku.

– Zaczęło ci się lepiej powodzić i od razu z parteru chcesz wskoczyć na czwarte piętro? – Shinto ścisnął wargi, lecz jego mina była nieodgadniona. Nie wiadomo było, złości się czy popiera ambicje kobiety.

– Każdy powinien dążyć do czegoś lepszego – argumentowała swoją prośbę Meila.

– Niech ci tam... – Machnął ręką.
– To ile za ten lokalik? – naciskała z drżącym sercem.
– Zastanowię się i powiem ci później. Ale jak chcesz, możesz już się przeprowadzać. –
Oświadczenie mężczyzny zadziwiło Meilę i zaczęła się obawiać, jakie będą jego żądania.
– Chciałam też zapytać, czy mogłabym postawić taką małą szafkę z frontu. – Kuła żelazo póki gorące, bo być może trafiła na dobry dzień bogatego właściciela.
– A co tam będziesz trzymać?
– Pomyślałam sobie, że jeśli tuż obok mamy dużą budowę, na której pracują setki Indonezyjczyków, to oni potrzebują papierosów. Już niejeden mnie o nie pytał. Narzekają, bo muszą chodzić aż na targ, a tak mieliby pod nosem.
– Spryciara z ciebie! – Chińczyk tak się zainteresował, że nawet wyszedł z za lady. – A co ja z tego będę miał? Kto ci zrobi witrynę?
– Jest taki jeden... – Kobieta zarumieniła się, bo nie mogła przestać marzyć o Janku.
– To ten wielkolud, hę? Jakiś Jankes czy Australijczyk od krokodyli?
– Polak – powiedziała dumnie.
– A w której części świata oni żyją? – Jak na bogacza Shinto wykazał się niesamowitą ignorancją, co zadziwiło Meilę, bo myślała, że jest wykształcony.
– Polandia jest w Europie. Dokładnie to nie wiem gdzie, ale jakoś tak pośrodku.
– No dobra. – Machnął ręką. – To co z moją prowizją? Szafa twoja, papierosy twoje, ale miejsce moje.
– Więc ile? – Chciała najpierw usłyszeć jego ofertę.
– Dobra, niech ci będzie! – zawołał rubasznie i poklepał Meilę delikatnie po plecach. –
Zero!
– Dziękuję, jaśnie panie! W imieniu mojej córki też.
– Niby czemu? Co ma do tego twoja córka?
– Bo ja już zaczynam zbierać na jej edukację. Adinda musi być wykształcona!
Absolutnie! – wykrzyknęła z pasją.
– Przecież to jeszcze berbeć, a ty już myślisz o tym, co będzie za pięć czy dziesięć lat?
– Berbeć, nie berbeć, ale na odłożenie odpowiedniej sumy potrzeba czasu. Chciałabym, żeby poszła do dobrej podstawówki, a nie jakiejś państwowej czy muzułmańskiej. A potem gimnazjum, liceum i studia. Może nawet za granicą! – Meila patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby już widziała tę świetlaną przyszłość Adindy.
– Ty marzycielko! – Mężczyzna zaśmiał się, ale był pełen podziwu dla tej malutkiej, drobnej kobietki o niespożytej energii i silnej wierze.
Janek pomagał Meili we wszystkim, odnowił dla niej izbę na poddaszu, włącznie z załataniami podłogi, pomalowaniem ścian i odświeżeniem kącika do mycia, w którym była bieżąca woda i ubikacja turecka. Pozbijał dla niej nie tylko witrynę na papierosy, ale również wąski stół dla klientów w *warungu*, niską ławę i taborety do mieszkania oraz stelaż na materac, żeby dłużej nie musiała spać na podłodze. Do wszystkiego wykorzystywał surowe deski tekowe albo bambus z szalunku na budowie. Gośka natomiast albo pracowała w szkole, albo dawała prywatne lekcje na mieście, na które dojazd zajmował jej całe godziny, wieczorami zaś siedziała nad skryptami, poprawiając prace uczniów. Jednak na parapetówkę przyszła i wręczyła uszczęśliwionej Meili kwiatka w doniczce i polską ludową makatkę na stół.
– Boże, jakie piękne! – Indonezyjka zarzuciła bladolicej nauczycielce ręce na szyję. – Jakże się cieszę, że was poznałam! Teraz ja zacznę pomagać wam. Słuchajcie, możliwe, że

na drugim piętrze zwolni się całkiem niezłe mieszkanie. Moglibyście przenieść się do mojej kamienicy. Przynajmniej nie ma szcurków na klatce schodowej, a i inne insekty zostały wypłenione. Cokolwiek by mówić, pan Shinto o to dba. A lokal, o którym mówię, to elegancki dwupokojowy apartament z łazienką i dużą kuchnią. Super, nie?

– Zobaczmy, koleżanko. Lepiej pozbierać już coś na docelowe lokum. – Gośka ostudziła jej zapał.

– Coś ty! – Meila broniła swojego pomysłu jak lwica, bo skrycie kombinowała, żeby mieć Janka jak najbliżej siebie. – Jakby zaczęli do ciebie przychodzić uczniowie, to w waszej norze raczej ich nie przyjmiesz, nieprawdaż? – użyła ostatecznego argumentu.

– Jak już się tacy znajdą, to wtedy zobaczymy.

Nauka z surową i zimną Małgošką stanowiła dla Meili ogromne wyzwanie. Nie lubiła swojej nauczycielki już za sam fakt, że była żoną Janka i stała na drodze do jej szczęścia. Poza tym ciężko pracująca uczennica wieczorami ze zmęczenia podierała się nosem i często mała Adinda kojarzyła więcej niż jej mama. Raz nawet Ida odpowiedziała na zadane pytanie, a Meila położyła głowę na stole i przysnęła na dwie minuty.

– Dziewczyno, to nie ma sensu. Ja tracę cenny czas, a ty i tak nic nie korzystasz. – W końcu Polka postawiła sprawę jasno. – Będziemy się spotykały tylko w niedziele, a jak będziesz miała chwilę w tygodniu, to sama coś zrobisz.

– Mama, *tomat*. – Adinda pokazała na obrazek.

– *Tomato*, ty mała mądralo – pochwaliła ją Gośka, ciesząc się, że przynajmniej ktoś cokolwiek wynosił z jej lekcji.

– A to *apel*. – Dziewczynka obróciła kartkę i wskazała paluszkami na jabłko.

– *Apple* – znów poprawiła nauczycielka.

– Te słowa są bardzo zbliżone do naszego indonezyjskiego i dlatego Adinda tak się cieszy.

– Nie wiedziałam. – Belferka była szczerze zaskoczona. – To teraz i ja będę umiała powiedzieć coś w *bahasie*.

Na najbliższą niedzielę polsko-indonezyjscy znajomi mieli bardzo ambitny plan. Najpierw chcieli pojechać do katolickiego kościoła na mszę, potem spotkać się w zakrystii z międzynarodowym towarzystwem na kawie i herbacie, następnie wrócić do domu Polaków na Głodoku i jak zawsze zjeść rosół z azjatyckim makaronem ryżowym i schabowego z kapustą i tłuczonymi ziemniakami, które przygotowywał Janek.

Meilę i dziewczynki kościół zafascynował. Stojąc w głównej nawie, kobieta zgarbiła plecy i pochyliła się. Czuła, jakby chrześcijański Bóg patrzył na nią z wyżyn ołtarza i wskazywał palcem. „Ty oszustko! Jesteś ni to komunistyczną ateistką, ni to muzułmanką, a teraz przychodzisz tutaj, aby mnie obrażać?!”, prawie słyszała karcący głos.

Meila spodziewała się gromu z jasnego nieba, ale nic się nie wydarzyło. Jednak podczas mszy wierciła się i rozglądała, chłonąc wszystkie pierwszy raz w życiu widziane cuda – spokój, urok i poczucie wspólnoty. Ciepło świec stwarzało wręcz nieziemską atmosferę.

Szkoda, że od dziecka nie byłam chrześcijanką, żałowała w duchu. Ale od tej chwili będę nią z wyboru.

Kątem oka dostrzegła przepiękny obraz w bocznej nawie. Nie mogła się pohamować, wstała i podeszła bliżej. Przed ołtarzem stał klęcznik, na którym jakaś wierna opierała kolana o podnózek. Meila poszła za jej przykładem i podniosła spłoszony wzrok na kobietę spoglądającą na nią z płótna. Potem odwróciła się i przyjrzała Gośce. Żona Jana była uderzająco podobna do Madonny, z tą tylko różnicą, że oczy matki Jezusa były ciepłe i czułe. Polka, tak jak i święta, miała blade lico, długie jasne włosy, prosty nos, zielone oczy o krótkich

jasnych rzęsach i szerokie regularne usta. Meila zauważyła szlachetność rysów obu kobiet.

On nigdy od niej nie odejdzie. Teraz jasno zdała sobie z tego sprawę. *Choćbym nie wiem co osiągnęła i do czego doszła. Choćbym dawała mu moje serce na dłoni, Jan na zawsze pozostanie moim przyjacielem, tylko i wyłącznie przyjacielem. Ale czyż można zabierać mężczyznę kobiecie wyglądającej jak święta?*, zadała sobie pytanie, a najgłębsze pokłady jej duszy krzyczały, że można. *Ja też jestem madonną, tylko że ciemną!*, przekonywała siebie, lecz w to nie wierzyła. *Boże, wybacz mi moje grzechy i złe myśli, jestem tylko słabą kobietą*, nieporadnie próbowała się modlić.

Meila wyszła z kościoła zupełnie odmieniona.

– Jak pierwsze wrażenia? – Janek, który tego dnia był bardzo elegancki w garniturze i kolorowym krawacie, śmiał się, widząc uduchowioną twarz Indonezyjki.

– Nie mam słów – odparła Meila i rozplakała się rzewnymi łzami, bo po mszy czuła się oczyszczona z całego błota, które przez jej krótkie życie do niej przyłgnęło, i z wszystkich grzechów, które popełniła.

Na jej żywą reakcję zbiegły się siostry zakonne, a po chwili podszedł też polski ksiądz.

– Czyżbyśmy zyskali jeszcze jedną owieczkę do naszego stadka? – zagadał bezbłędnym indonezyjskim. – Mam na imię Tadeusz i nie dziw się, że mówię w twoim języku, bo dwadzieścia lat spędziłem w chrześcijańskiej misji w miasteczku Rue na Flores.

– A gdzie to jest? Gdzieś u nas? – spytała Meila, ocierając łzy.

– Tak, u was, ale wyspę tę nazywają polską, dlatego że tylu polskich księży tam żyje i pracuje, pomagając waszemu narodowi.

– Coś niesamowitego! – Westchnęła z zachwytem. – A ja jeszcze nie tak dawno nie wiedziałam, gdzie się ta wasza Polandia znajduje.

– Przychodź do kościoła tak często, jak chcesz. Jego drzwi zawsze stoją otworem, a nasze siostrzyczki na pewno z chęcią ci pomogą.

– Dziękuję wielmożnemu panu.

– Na nas mówi się „ojcze”. Od dziś będę twoim ojcem, dobrze?

– Cieszę się, bo własnego straciłam, mając pięć lat. Od tego czasu wszystko w moim życiu przewróciło się do góry nogami.

– Jeśli kiedyś będziesz chciała mi o tym opowiedzieć, to daj znać. – Duchowny objął ją mocnym ramieniem, przycisnął do serca, a potem ruszył do pozostałych wiernych.

Któregoś dnia Janek jak zawsze przyszedł na swoją miskę zupy w porze lunchu, lecz tym razem przyprowadził z sobą białego mężczyznę, tak samo wielkiego jak on, ale dużo brzydszego, o piegowatej jasnej cerze i przeredzonych prostych blond włosach.

– Mówisz, że można tutaj smacznie i bezpiecznie zjeść, Johny? – zapytał nowo przybyły. – Nie chwyci się tyfusu albo salmonelli?

– Skądże! Spójrz na kucharkę, czysta, zadbana, umyte ręce i jaka śliczna. – Polak wybuchnął swoim zaraźliwym śmiechem, a Meila, która całkiem nieźle rozumiała już po angielsku, zaczerwieniła się aż do nasady włosów.

– *What can I help you?* – zapytała, chcąc się wykazać. – *Today we have bakso soup and frying chicken rice.*

– Ho, ho! – Facetowi opadła szczeka, a stali klienci, siedzący na ławkach i chlipiący zupę, ze zdziwienia aż otworzyli buzie. – A co lepsze? – zapytał Australijczyk.

– Wszystko jest pyszne, daję słowo – zachwalał z zapałem Janek.

Kobieta nie zauważyła, że jej lingwistycznemu popisowi przysłuchiwał się stojący

za filarem pan Shinto. Kiedy zagraniczni goście skończyli jeść, szef podszedł do niej z błyskiem w oku.

– Ty to nie tylko jesteś ambitna, ale jeszcze zdolna – powiedział z podziwem. – Ten białas nauczył cię miauczeć w obcym języku?

– Nie, panie. On nie umie mówić tak dobrze jak jego żona. Gośka daje lekcje i uczy w szkole.

– Każdy *bule* to potrafi – skwitował kwaśno, myśląc, że trafił na naciągaczy, z jakimi często się stykał.

– Małgorzata jest po uniwersytecie w Polandii i Ameryce. To profesorka! – zawołała Meila. – Może chciałby pan zacząć się u niej uczyć? Coraz więcej Australijczyków i Amerykanów przyjeżdża do Indonezji i pan jako biznesmen powinien to wykorzystać. Robić z nimi interesy to dopiero są pieniądze! – Trąciła jego czułą strunę. – W obecnych czasach także Chińczycy studiują angielski, bo to przecież język międzynarodowy. – Nie wiedziała, skąd przychodziły jej do głowy takie mądre słowa, ale może wiązało się to z tym, że często sięgała po prasę, którą wypożyczała w pobliskim sklepiku.

– Gdzie ta kobieta mieszka? – złamał się w końcu Shinto.

– Niedaleko, na Glodoku. – Meila wiedziała już, że go kupiła, a tym samym zrewanżuje się dobrym Polakom za pomoc, przyjaźń i darmową naukę.

– Podaj mi adres. – Shinto denerwował się jak uczeń.

– Jeśli pan pozwoli, to przekażę jej, że jest pan zainteresowany, i ona przyjdzie do kantoru. – Wolą nie pokazywać szefowi warunków, w jakich żyje nauczycielka, bo wiedziała, że wtedy cena za lekcję drastycznie spadnie.

– Niech ci będzie. Ale niech się pośpieszy, bo jeszcze się rozmyślę. – Obrócił się i podreptał do siebie.

– Jakby znał pan kogoś chętnego do nauki, to... – powiedziała jeszcze, ale mężczyzna tylko pomachał jej ręką.

Meila nie mogła doczekać się wieczoru, kiedy Janek jak zawsze w drodze do domu przyjdzie powiedzieć jej „cześć”. To było pierwsze słówko, którego nauczyła się po polsku. Całe popołudnie kręciła się w kółko, ale czas jakby stanął w miejscu, bo o tej porze klientów było jak na lekarstwo. Chcąc czymś się zająć, ustawiła Idę przy kuchni, a sama pobiegła na plac targowy. Zawsze w tym miejscu można było coś podpatrzeć, czegoś się nauczyć i usłyszeć trochę nowinek. Wszyscy już ją znali, więc z każdym witała się i pogadała chwilę. Zauważyła, że kobieta, która miała tutaj mały *warung* z zupą *bakso*, obsługujący lokalnych handlarzy, gotuje na potęgę mnóstwo mięsnych kulek. Jan wspominał kiedyś, że można dostać gotowe gałki i wrzucić je do wywaru, ale dziewczyna wolała serwować zawieszistą sycącą zupę niż wodę z sosem sojowym i produktem niewiadomego pochodzenia. Spostrzegła jednak, że po te kulki ustawia się spora kolejka, bo były tańsze od zupy i było ich w worku tyle, że mogły wystarczyć dla paru osób.

Dobry pomysł. Idealny biznes. Kolejny zresztą, pomyślała zadowolona.

– Mam nowy koncept – obwieściła Aiko, gdy tylko wróciła z zakupami.

– Ty to masz główkę nie od parady! – pochwaliła dziewczynę kobieta, gdy już jej wysłuchała. – Zrobisz jeszcze wielkie pieniądze, kochanieńka.

Meila już z daleka zobaczyła swojego przyjaciela, bo przewyższał tłum robotników co najmniej o pół metra.

– Janku, załatwiłam Gośce prywatne lekcje – obwieściła z wielką powagą.

– Dzięki, ale nie wiem, czy ona da jeszcze radę. Dojazdy zajmują tutaj pół życia.

– Człowieku, żadna jazda! Lekcje na miejscu i to u najbogatszego Chińczyka

w okolicy! – wyjaśniła, a mężczyzna nadstawił uszu. – Pan Shinto jest zainteresowany. Wyobrażasz ty sobie? – wiwatowała radośnie. – Jak jemu się spodoba, to zaraz nagra jej z pół tuzina kuzynów, braci, szwagrów i Bóg wie kogo jeszcze. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Ale gdzie ich będzie uczyć? – Janek nagle posmutniał. – Do nas nikt nie przyjdzie, a jeśli nawet, to nauczycielom żebrakom, którzy mieszkają w takim miejscu, płaci się może paczką papierosów lub miską zupy.

– Wspominałam wam już o tym eleganckim dwupokojowym mieszkaniu w mojej kamienicy – odrzekła z przekąsem, pękając z dumy, że i tak wyszło na jej. – Dzisiaj twoja żona ma przyjść się dogadać. Jak chcecie, to mogę jej towarzyszyć i wynegocjować dobre warunki.

– Oj, Meila, Meila! – Jan z niedowierzaniem pokiwał głową. – Ależ ty szybko obrastasz w piórka. Aż strach się bać!

– Dla mnie najważniejsze w życiu, to żebym liczyła się dla paru bliskich memu sercu osób – oznajmiła dwuznacznie. – I żebym miała przyjaciół... – Spojrzała mu głęboko w oczy, ale mężczyzna albo był ślepy, albo nie chciał widzieć uwielbienia malującego się na twarzy ślicznej kobiety.

Za pół godziny przybiegła roztrzęsiona Gośka.

– Ale jak ja go będę uczyć w tej mojej zapyziałej klitce? – zapytała nerwowo. – Może lepiej u niego? – prosiła o poradę Meilę, której nie tak dawno okazywała tylko wyższość i pogardę.

– Ciągłe jest do wzięcia mieszkanie, o którym wam mówiłam. Sprawdziłam, lokatorzy już się wyprowadzili i na razie stoi puste.

Nauczycielka tylko westchnęła i ścisnęła usta. Ona doskonale widziała, co się święci, i wprawdzie nie dopuszczała do siebie myśli, że prymitywna, niewykształcona Indonezyjka mogłaby być jej rywalką, to jednak miała się na baczności.

Po ustaleniu szczegółów i dogadaniu godzin pan Shinto przeszedł do finansów:

– Ile za godzinę, pani profesor?

– Nie podawaj ceny – Meila szepnęła po angielsku do ucha nauczycielki. – Niech on to zrobi. Jemu zależy, więc może nieźle zapłacić.

– Ile pan proponuje? – Gośka posłuchała rady, bo przecież lokalna kobieta lepiej znała panujące tutaj zwyczaje.

– Tysiąc pięćset rupii – rzucił Shinto, patrząc na kontrahentki przez swoje grube soczewki.

– Tak... – Gośka nie mogła złapać tchu, bo tyle pieniędzy nigdzie jej nie płacono, a Meila rugała się w duchu, że trzeba było się uczyć. *Toż to równowartość stu moich zup*, zazdrościła.

– Za miesiąc oczywiście – doprecyzował Chińczyk, mrużąc chytrze skośne oczka.

– Aha. – Belferka westchnęła żałośnie.

– Chyba że wolisz w zamian za lekcje wziąć to mieszkanie na drugim piętrze.

A gotówką zapłaci ci dwóch moich braci – zaoferował, a Gośka zastanawiała się, czy czasami Meila nie maczała w tym palców.

– Uczciwa propozycja. – Polka musiała przyznać, że zmiana lokalu jest konieczna, a nadarzająca się okazja być może jedyna. *W naszej norze z chrobotem szczurów za ścianą niedługo zwariuję*, pomyślała. – Dobrze. Kiedy moglibyśmy się przenieść?

– Zaraz, teraz, natychmiast. – Zadowolony Shinto wyciągnął małą drobną dłoń na dowód ubicia targu. – Jutro przychodzę na pierwszą lekcję, więc musisz przygotować jakies godziwe miejsce.

– Tyś mu powiedziała o tym mieszkaniu?! – Gośka nie wytrzymała i po wyjściu chwyciła małą Indonezyjkę, miażdżąc jej ramię.

– Zgłupiałaś? – Oburzona Meila wyrwała się z uścisku. – On wszędzie ma wtyki, wszystko wie, w końcu to jego dzielnica. Możliwe nawet, że jest właścicielem również waszej rudery.

– Co jest grane? – Stojący za winklem Jan nie mógł doczekać się wieści. – O co chodzi?

– Przeprowadzamy się – zimno obwieściła mu żona, wbijając ponury wzrok w nierówne chodnikowe płyty.

– Do apartamentu? – Ucieszył się. – To chyba dobrze, co? – zapytał, zdziwiony złością swojej partnerki. – Ciągle ciosałaś mi kołki na głowie, że mieszkamy w tragicznych warunkach, to teraz będziesz miała lepiej.

– Poza tym mieszkanie będziecie mieć za darmo – dodała Meila.

– Za moją ciężką pracę, a nie za darmo! – wybuchnęła Polka.

– Ty nie wiesz, moja droga, co to jest ciężka praca! – odgryzła się ostrym tonem Indonezyjka, bo miała już dość ciągłych fochów kobiety. – Kiedy pracujesz fizycznie, i to za tyle, żeby mieć co do pyska wsadzić, to wtedy możesz powiedzieć coś o harówce.

– Dziewczyny! Co z wami?! – Jan nie mógł pojąć powodu ich nagłych animozji.

– Na początek będziesz miała jeszcze dwóch uczniów, którzy zapłacą ci miesięcznie ponad sto dolarów każdy, więc chyba dobiłyśmy dobrego targu! – Meila czuła, że zamiast zacieśnić stosunki, teraz, kiedy Jan będzie mieszkał tak blisko, zostaną one albo zerwane, albo zamrożone. *Wszystko przez tę jego lodowatą madonnę*, podsumowała, bo nie znosiła tej kobiety coraz bardziej.

Jan jednak nie przestawał wysiadywać u swojej ulubionej kucharki, bo żona miała teraz jeszcze więcej obowiązków, lecz Gośka zrezygnowała z dawania lekcji Meili, tłumacząc się brakiem czasu. Powoli wycofała się też z niedzielnych polskich obiadków oraz wspólnych wyjazdów do kościoła. Jednak ambitna Indonezyjka nie zrezygnowała z raz obranej drogi. Kupiła parę podręczników do gramatyki i czytała powieści po angielsku, które chyłkiem z domu wynosił dla niej Jan. Drogę do chrześcijańskiej świątyni знаła już bardzo dobrze i co niedziela sama jeździła tam ze swoimi dziewczynkami. Swoją prywatny biznes ciągle poszerzała, bo nowe pomysły nieprzerwanie pojawiały się w jej kreatywnej główce. Zatrudniła też na stałe kobietę, która stała przy garach, podczas gdy ona mogła zacząć działać na innych frontach i na większą skalę. Planowała zakup kolejnego *warungu*, który postawi przy innej budowie, których było w Dżakarcie coraz więcej. W końcu zaczął się dla niej dostatni czas.

56 *Selamat pagi* (indonezyjski) – *Dzień dobry* (od godz. 7.00 do 11.00).

57 Dengu – gorączka krwotoczna, na którą w dalszym ciągu zapadają mieszkańcy Indonezji, w tym Dżakarty.

58 Namaku (indonezyjski, slang) – Mam na imię.

59 Nama saya Adinda (indonezyjski) – Mam na imię Adinda.

CENA DOBROBYTU

– Mam dla ciebie wiadomość. – Jan jak zawsze zajrzał do Meili w porze lunchu, by zjeść z nią swoją ulubioną zupę *bakso*.

– Co takiego? – Spojrzała na niego już nie skromnie jak kiedyś, ale zalotnie, otwarcie i z pełną świadomością dojrzałej kobiety, która wie, czego chce.

– Przeprowadzamy się – powiedział. – Głównie dzięki tobie zaoszczędziliśmy niezbędne pieniądze, żeby zamieszkać w dobrej dzielnicy i wynająć dom.

Kobietę jego słowa zmroziły do szpiku kości.

– To świetnie! – krzyknęła trochę za głośno. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę z waszego szczęścia!

Polak po raz pierwszy zatrzymał na niej wzrok jak mężczyzna, a nie tylko kolega czy przyjaciel, i Meila przez ułamek sekundy mogła zobaczyć w jego szczerych oczach smutek i palącą namiętność. *A niech tam! Jeśli nawet miałabym go już nigdy w życiu nie zobaczyć, to...*, szybko podjęła decyzję.

– Wpadniesz na chwilę wieczorem? – zapytała drżącym głosem. – Chciałabym dać wam jakiś pamiątkowy prezent.

– Pewnie, z chęcią – odparł poważnie, patrząc jej prosto w oczy. – Zresztą Gośka już jest w nowym mieszkaniu i urządza się, więc przy okazji zabiorę ostatnie rzeczy... – zawiesił głos, lecz Meila słyszała, jak żal ścisną mu gardło.

– Chyba nie było wam tutaj aż tak źle? – zapytała cicho.

– Dla mnie super! – wyznał Janek. – W pracy awansowałem, miałem doborowe towarzystwo i pyszne jedzenie, życzliwych ludzi dookoła. Czego chcieć więcej?

– To skąd taka decyzja?

– Żona nie znosi tej dzielnicy, otoczenia, wszystkiego...

– Przede wszystkim chyba mnie – zakpiła kobieta.

– Tak, niestety, masz rację. Choć osobiście nie wiem, jak można cię nie lubić. – Po raz pierwszy chwycił jej małą dłoń z całą żarliwością i pożądaniem, jakie odczuwał. Mieli wrażenie, że iskry przechodzą pomiędzy ich palcami, jakby ich skórę palił ogień.

– Kiedy przychodzi twoja pracownica? – zapytał na bezdechu, a jego błękitne oczy stały się prawie granatowe.

– Za pół godziny.

– Będę na piętrze w apartamencie – zaprosił ją niedwuznacznie. – Przyjdź – dodał, jakby się bał, że mogła go nie zrozumieć.

Czy to jest nieuczciwe, kochać mężczyznę, który jest żonaty?, Meila pytała samą siebie, biegnąc jak na skrzydłach po dwa stopnie do mieszkania Jana. *Czy to moja wina, że poznał tę lodową madonnę, zanim spotkał mnie? Ludzie przecież się rozstają... rozwodzą...* Liczyła na cud, ale w głębi serca wiedziała, że ten Słowianin nie należy do takich mężczyzn i raz danego słowa dotrzyma do końca życia. *Boże muzułmanów, Boże chrześcijan, daj mi tego faceta, pozwól mi go kochać i być kochaną! Weź mi wszystko, a zostaw tylko tę miłość!*, błagała, zaprzędając duszę diabłu.

– Meila? – Już w progu usłyszała jego tubalny głos.

– Janek! – zawołała. – Gdzie jesteś? – Stała na środku salonu i nie mogła wykonać kroku.

– Tutaj. – Drzwi do sypialni otworzyły się i oczom Meili ukazał się przepięknie zbudowany mężczyzna, ubrany jedynie w skąpe slipki. – Chcesz tego? Na pewno? – zapytał, a jego rozpuszczone blond włosy, sięgające ramion, zafalowały delikatnie.

– Niczego bardziej nie pragnę – wyznała kobieta, po czym podbiegła do swojego ukochanego i wyciągnęła do niego ręce. Podniósł ją jak piórko i dopiero wtedy mała kobietka mogła mu zarzucić ramiona na szyję. – Kocham cię, Janku – wyszeptała do jego ucha.

– Wiem. I Gośka niestety też to wie – zaśmiał się smutno. – Ale ja nigdy nie odejdę od żony, mówię ci to uczciwie. – Meila czuła, jak z rozpaczyny pęka jej serce.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznała. – Jesteś po prostu porządnym człowiekiem.

Dotknęła spragnionymi, namiętymi wargami jego twardych ust. Jan wniósł ją do swojej małżeńskiej sypialni, położył na łóżku i delikatnie rozebrał. Patrzył na nią, podziwiając jędrne, młode, miodowe ciało.

– Jakaś ty piękna – wyszeptał. – Jak z obrazów Gauguina.

– A ty dla mnie jesteś mitycznym herosem – wyznała. – Nie z tego świata! Nie z mojego świata. I tak jestem szczęściarą, że zechciałeś na mnie spojrzeć.

Położyła dłonie na jego szerokiej, umięśnionej piersi, przejechała opuszkami palców po brzuchu i sięgnęła niżej. Jego fallus ją zatrwożył i zadziwił jednocześnie, bo nawet Arab Fajsł nie mógł się pochwalić takim rozmiarem. *W Europie to chyba z zimną im takie rosną*, uśmiechnęła się pod nosem, ale po chwili całkowicie zatoneła w oszalamiającej namiętności i pożądaniu. Ich ciała, pomimo że tak różne, spłotły się z sobą i złączyły w jedno. Nie było już śniadej kobiety i białego mężczyzny, powstał organizm zjednoczony w spazmie uniesienia. W pewnej chwili Jan odsunął ją od siebie, sięgnął do szafki nocnej po małą torebkę, roztargał ją zębami i założył sobie na członka dziwny gumowy pokrowiec.

– Co to jest? – zapytała nieprzytomna z uniesienia kochanka.

– Prezerwatywa – wymruczał.

– Po co?

– Żebyś nie zaszła w ciążę i nie cierpiała przeze mnie.

Meila zamknęła oczy, tłumiąc szloch. Akurat z tym człowiekiem chciałyby mieć dziecko, chciałyby, żeby zostawił jej część siebie, a nie tylko próżnię, tęsknotę i żal. Załkała, czując, jak jego potężny penis wypełnia szczelnie jej wnętrze. Czuła każdy jego ruch, każde drgnienie i skurcz. Ich mięśnie zgodnie pulsowały, nerwy splatały się z sobą, jednak oddzielała ich plastikowa, sztuczna bariera. *Ten mur już na zawsze pozostanie między nami*, pomyślała kobieta, postanowiła jednak wykorzystać ten jeden jedyny raz w życiu, kiedy była z mężczyzną, którego kochała, pragnęła i sama wybrała – z miłością swojego życia. Choć jej szczęście miało trwać nie dłużej niż mgnienie oka, to tym bardziej pragnęła pić miłość wielkimi haustami. Gdy wsadzała w usta Jana swój język, czuła się jak odkrywca penetrujący górską nieznaną jaskinię. On muskał wargami jej miękkie uszy, wielkości małych ślimaczków, śliskie i słone od potu. Kobieta zlizywała słony pot z boskiej białej skóry kochanka, pieściła czułe miejsce na jego umięśnionej szyi, wgłębienie nad obojczykiem, małą uroczą dziurkę na pępek. Ssała z zapamiętaniem jego męskość, delikatnie przygryzała napletek, doprowadzając go do ekstazy, badała zakamarki żołądki. Smakowała białą spermę, która była dla niej jak najlepszy słodki ryżowy pudding. Nie wiedziała, skąd u niej takie pragnienie i żądza, nie znała przecież wcześniej żadnych miłosnych technik, ale natura podpowiadała jej, co czynić, by sprawić ukochanemu nieziemską rozkosz. On przywoził ją do szaleństwa swoim mocnym, męskim dotykiem, kiedy pieścił jej lechtaczkę szorstkimi, spracowanymi palcami, kiedy miażdżył ją swoim wielkim ciałem. Meila wdychała jego ciężki zapach, który otaczał ich jak kokon i oddzielał od zewnętrznego okrutnego świata. Wielokrotnie osiągnęli orgazm w tym samym

czasie, zgodnie krzyczeli i płakali. Ich dłonie splatały się z sobą, uda tarły jedno o drugie, brzuchy ślizgały się po mokrej skórce. Kiedy Janek brał swoją drobną kochankę w ramiona, ona ginęła w jego objęciach jak w białym całunie i jedyne, czego pragnęła, to pozostać tam na wieki.

Spędzili z sobą całe popołudnie i całą długą noc. Kochali się namiętnie i zaborczo, chcieli siebie pochłonać, wtopić się jedno w drugie, aby nic nie mogło ich rozdzielić. Jednak cały czas wiedzieli, że jest to niemożliwe. Nie mieli szans na wspólne szczęście.

– Nie obwiniaj mnie, dobrze? – poprosił Jan nad ranem.
– Nigdy – odrzekła Meila, wtulając się w niego jak kotka. – Ale może...
– Nie, Meila. Niestety. Gośka jest w ciąży – wyznał, kiedy pierwsze ptaki budziły się za oknem i radośnie świergotały, ciesząc się na nadchodzący dzień.

Spojrzała na niego smutno spod swoich długich czarnych rzęs i nic już nie powiedziała. Wstała, włożyła sukienkę i odeszła bez słowa. Janek jeszcze jakiś czas leżał w łóżku, wdychając woń namaszczonego olejem kokosowym ciała kochanki. Był to najpiękniejszy zapach, jaki czuł w swoim życiu.

– Adinda, szybciej, bo spóźnisz się do szkoły. – Meila jak co rano poganiała córkę, bo dziewczynka nie lubiła wstawać i zawsze zwlekała do ostatniej chwili. – Jak będziesz codziennie przychodziła po dzwonek, to w końcu cię wyleją – postraszyła, a pilna uczennica błyskawicznie zerwała się i pobiegła do ojeka, motoru z kierowcą, który już od piętnastu minut czekał na nią przed domem.

Dziewczynka uwielbiała misyjną szkołę i jak tylko kończyły się lekcje i musiała iść do domu, marzyła już o następnym dniu, kiedy znów przekroczy progi tego tajemniczego, cudownego miejsca. Nie rozumiała jednak, czemu ona jest w klasie ze swoimi rodakami, a piękne białe dzieci uczą się oddzielnie. Nurtowało ją to tak mocno, że w końcu postanowiła zapytać swoją ulubioną wychowawczynię, siostrę Teresę.

– Kochana, cudzoziemcy mają zajęcia tylko po angielsku, a wy, Indonezyjczycy, nie znacie tego języka.

– Ja znam – oświadczyła dumnie Adinda.

– Jeśli wykażesz się podczas lekcji, to może cię przeniesiemy – obiecała nauczycielka, choć wcale nie była tego taka pewna, bowiem w lokalnych klasach obowiązywał całkiem inny program.

Indonezyjskie dzieci uczyły się swojej rodzimej historii, poznawały tradycję i miały więcej zajęć z religii, bo przecież to one były tymi nowymi owieczkami, które Kościół próbował przyciągnąć do siebie. Na tym polegała praca misyjna, a zajęcia dla cudzoziemców, którzy i tak byli chrześcijanami, to dodatkowa sprawa, która miała jedynie dostarczać misji pewnych pieniędzy na utrzymanie. Okazało się jednak, że Adinda na tyle zna angielski, że lekcje dla początkujących były w jej przypadku całkowicie zbędne. Dobra siostra uzgodniła więc z niechętnym zarządem szkoły, że jej pupilka będzie mogła chodzić przynajmniej na lekcje języka do elitarnej równoległej klasy.

– Muszę sprawdzić ci włosy. – Siostra Teresa zatrzymała szczęśliwą dziewczynkę, zanim ta weszła do sali.

– Dlaczego? – zapytała zdziwiona Adinda.

– Czy nie masz wszy. Taka procedura.

– Ależ ja jestem czysta, mama dba o mnie, myje mi głowę szamponem, a raz w miesiącu smaruje śmierzącą naftą.

– Wiem, że twoja mama to mądra i porządna kobieta, ale tak mi kazali. Inaczej nie wpuszczę cię do klasy. Przykro mi. – Adinda pokornie nadstawiła głowę, czując ogarniający ją wstyd. Nigdy nie widziała, żeby dziewczynki o blond czy brązowych włosach były sprawdzane pod kątem wszy. *Czy jestem gorsza?*, pytała samą siebie.

– W porządku, możesz wchodzić. – Zakonnica uchyliła drzwi, za którymi dało się słyszeć głos nauczycielki prowadzącej lekcję.

– Ciocia! – Adinda rzuciła się do biurka, widząc przy nim Goškę.

– Jaka ciocia?! – ryknęła na nią kobieta, odpychając małą Indonezyjkę, która chciała jej zarzucić ręce na szyję.

Natychmiast dały się słyszeć pojedyncze głosy wśród szumu, który zapanował w klasie:

– Ciocia?

– Ale numer!

– To ona jest lokalna?

– Czemu zatem nas uczy?

– Jej siostra puściła się z Indorem!

– Cisza, cisza! – Goška próbowała zapanować nad chaosem. – Co ty tutaj robisz? – ostro zwróciła się do uczennicy.

– Ja... – Adindzie łzy napłynęły do oczu i wygięła usta w podkówkę.

– Ta dziewczynka zbyt dobrze zna angielski, żeby uczyć się ze swoimi rodakami, więc ksiądz dyrektor zdecydował, że te lekcje będzie zaliczała tutaj. – Siostra Teresa, która nadal stała w progu, patrzyła na nauczycielkę spod zmarszczonych brwi. – Czy ma pani z tym jakiś problem?

– Ja? Absolutnie! Niech to coś siada i nie przeszkadza, ot co! – Goška mocno pchnęła Adindę w stronę osłej ławki, lecz ta nie trafiła pupą na krzesło i jak długa upadła na podłogę, co wywołało wybuch gromkiego śmiechu wśród uczniów. Dziewczynka tak się spieszyła, że z płaczem wybiegła z klasy.

Na podwórku rozejrzała się, bo nie wiedziała, co ma teraz z sobą począć. Jej dobra, mądra ciocia odtrąciła ją i potraktowała jak śmiecia, a co najgorsze, napiętnowała przy całej cudzoziemskiej klasie, do której ambitna Adinda tak bardzo chciała się dostać.

Nieoczekiwanie zobaczyła Jana. Siedział w cieniu na ławce i huśtał niemowlęcym wózkiem.

– Wujku!

– Malutka, chodź no tutaj! – Polak, w odróżnieniu od swojej żony, bardzo się ucieszył na widok znajomej, zwłaszcza że dziewczynka była małą kopia swojej pięknej mamy. – Co się stało? Czemu płaczesz?

– Nic takiego, wujku. – Wtuliła się w jego wielkie ciało. – Dlaczego już się nie spotykamy? Tęsknię za tobą.

– Ja też – przyznał, choć bez zwykłego dla siebie luzu i radości. – A jak tam mama? – zapytał mimochodem.

– Dobrze. Ciągle tylko pracuje i pracuje. Mieszkamy teraz w waszym wielkim mieszkaniu, a mama robi coraz to nowe interesy. Jest już ważną panią i wszyscy się jej kłaniają.

– To się cieszę. – Janek zadumał się. – Cała Meila, zawsze da sobie radę.

Nagle oboje usłyszeli wściekły głos Goški:

– A co ty tu z nią porabiasz?! Ta gówniara skompromitowała mnie wobec całej klasy i zapewne szkoły! – Wyglądała, jakby chciała uderzyć przerażoną dziewczynkę.

– Co takiego straszego zrobiła? – zapytał spokojnie Jan.

– Nazwała mnie ciocią! Co za wstyd!
– Nie widzę w tym nic zdrożnego. Koleżanki i przyjaciółki rodziny to dla dzieciaków też ciocie.

– Ale ja nie jestem ani koleżanką, ani przyjaciółką jej rodziny! Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi wywłokami!

– Przestałabyś już zachowywać się i wyrażać w ten sposób, bo z jasnie panienki i pani psorki stajesz się zwykłą straganiarą. – Mężczyzna wstał i surowo spojrzął na swoją żonę.

– Jeśli tak jesteś za nimi, to może sobie do nich pójdziesz?! – zapytała groźnie, wrywając mu wózek. – Ja w każdym razie przez tę gówniarę straciłam pracę – obwieściła wyniośle i ruszyła szybko w kierunku bramy.

– Pa, Adindo – wyszeptał Jan, schylając się do dziewczynki. – Pozdrów mamę i przepraszam cię za nieprzyjemności. Nie przejmuj się. – Pocałował ją czule w głowę i pognał za swoją wściekłą połowicą.

Dla Adindy jego słowa były jak miód na serce, bowiem dziewczynka kochała tego mężczyznę prawie tak jak jej matka albo jeszcze bardziej. Chciała wierzyć, że Jan jest jej ojcem. Przecież przez tyle lat widywała go ciągle przy swojej matce, rozpoznawała ich miłosne spojrzenia, a jednej nocy, kiedy matka po raz pierwszy wróciła nad ranem i przytuliła ją, dziewczynka poczuła od niej charakterystyczny zapach potu tego mężczyzny. *Nie jestem czystej krwi Indonezyjką*, wmawiała sobie. *Przecież nie mam krótkiego nosa jak Jawajczycy ani szerokiego jak Papuasi. Moja skóra jest bielsza niż skóra tubylców*, przekonywała siebie, nie dostrzegając, że ma karnację nawet ciemniejszą niż jej matka, bo w kolorze cukru palmowego. Dziewczynka nie chciała pogodzić się z faktem, że nie ma ojca, a tego białego człowieka pokochała jak papę, bo był dla niej zawsze tak dobry, jak powinien być rodzony tata. *To ta bezduszna wredna nauczycielka nam go odebrała!*, złościła się. *Ale my go odzyskamy! Przyjdzie czas*, pocieszała się, kiedy wylewała łzy po nocach.

– Co się stało, Adindo? – Meila nie mogła zrozumieć zachowania córki, bo ta wyraźnie unikała pójścia do szkoły. – Czy ktoś cię skrzywdził? – Zaniepokojona, czule pogłaskała ją po policzku.

– Nie, nic... – Mała tępym wzrokiem patrzyła w podłogę.

– Spójrz na mnie. – Matka chwyciła ją za brodę. – Jeśli ktoś zrobił ci przykrość, to powiedz, a ja ci pomogę. Zawsze możesz na mnie liczyć.

– Tak? – Dziewczynka była pełna wątpliwości, czy wtajemniczać nadpobudliwą matkę w swoje problemy.

– Mówię poważnie. Cokolwiek by się działo, musisz mnie o tym informować – nakazała surowo Meila, a mała uśmiechnęła się słabo, bo znów przekonała się, że mama zrobi dla niej wszystko.

– Dobrze.

– Więc... – zachęcała kobieta, siadając przy stole naprzeciwko Adindy.

– Wczoraj przeniesiono mnie na angielski do klasy z zagranicznymi dziećmi...

– Znęcali się nad tobą?! – przerwała jej, oburzona. – Nie chodź tam, bo *bule* zawsze będą cię traktować jak kogoś gorszego! Zapamiętaj sobie moje słowa!

– Mamo! Pozwól mi skończyć. – Adinda wzięła głęboki oddech i spojrzała matce prosto w oczy. – W tej klasie uczy Gośka Polandia.

– Że co?! – Meila zbladła gwałtownie. – Przecież ona już dawno odeszła z tej szkoły

i chyba nawet odwróciła się od Kościoła.

– Była tam. Podobnie jak wujek Janek – wycedziła dziewczynka, bacznie obserwując matkę, która na te słowa zerwała się i podbiegła do kredensu. Złapała się białej blaty i stała tak, nieruchoma, odwrócona do niej plecami. Mądre dziecko widziało wzburzenie, które targęło ciałem Meili, i niekontrolowane dreszcze przebiegające jej po plecach.

– I co? – zapytała w końcu nieswoim głosem.

– Nazwałam tę podłą babę ciocią! – wyjęczała mała, a na wspomnienie upokorzenia łzy napłynęły do jej ślicznych czarnych oczu. – A ona mnie odtrąciła, bo wstydziła się być ciocią takiego śmiecia jak ja. Cała klasa, teraz już zapewne i cała szkoła, będzie mnie, głupią, pokazywać palcami.

– Nie mów tak! Nie jesteś żadną szumowiną, menelem czy żebraczką. To ona jest nikim, jedynie złym człowiekiem, a już na pewno nie powinna być nauczycielką! Co za szmata! – Ciskając gromy, oburzona Meila walnęła pięścią w stół. – Dzisiaj razem pojedziemy do szkoły! I to zaraz!

– Ale wujek Jan nadal mnie lubi. – Dziewczynka ledwo nadązała za matką, która zaczęła zbierać się do wyjścia. – Tylko jest jakiś taki smutniejszy.

– Bo to porządny chłop, choć głupi. – Kobieta gwałtownie zatrzymała się i obróciła do córki. – Wpadł w związek z tą babą jak śliwka w gówno! – stwierdziła z tragicznie poważną, nietypową dla niej miną.

Wypadły na podjazd przed kamienicą, gdzie zdenerwowana Meila zdecydowanie odsunęła zdziwionego, czekającego na Adinę kierowcę motocykla, wzięła od niego kask, drugi włożyła córce i ruszyła z kopyta. Świetnie dawała sobie radę w tłoku pojazdów, szczególnie dwusładowych, jednak po jej wariackiej jeździe było widać, że jest poruszona do żywego. Gwałtownie zahamowała przed bramą wjazdową do szkoły i hardo ruszyła do gabinetu dyrektora. Po drodze natknęła się na miłą zakonnice Teresę.

– Ibu Meila, gdzie pani tak pędzi?

– Wczoraj moja córka... – nie mogła złapać tchu – ...została tutaj zdyskryminowana. To się nazywa rasizm, proszę siostry.

– Kochana, spokojnie. – Zakonnica delikatnie przytrzymała rozsierdzoną matkę. – Ta kobieta dostała u nas swoją drugą szansę, ale jej nie wykorzystała.

– Nie rozumiem. – Indonezyjka brała głębokie oddechy, żeby się uspokoić.

– Adinda, idź do swojej klasy, moje dziecko. Twoja pani już na ciebie czeka i na pewno jest stęskniona za tak mądrą uczennicą. – Siostra, jako doświadczony pedagog, nie chciała, żeby dziecko było świadkiem rozmowy dorosłych. – Droga pani, ta cała Małgorzata w ogóle nie nadaje się na szkolną profesorkę albo po prostu chorobliwie nie znosi Indonezyjczyków. Kiedy poprzednio była tu zatrudniona, szykanowała miejscowych uczniów, wyzywała ich od idiotów i musieliśmy ją w końcu zwolnić. I co z tego, że ma znakomite kwalifikacje i posiada szeroką wiedzę, kiedy nie umie jej przekazać i każdego postponuje. Ale jeśli tak nie lubi tego kraju, to dlaczego tu przyjechała? Po co tu mieszka? Aż mi wstyd za nią, że jest taką rasistką – przyznała ze smutkiem i spuściła głowę.

– Czemu siostra świeci za nią oczami? – zdziwiła się Meila. – Przecież to nie siostry wina.

– Wiesz, to moja rodaczka, ale my, Polacy, wcale tacy nie jesteśmy. Popatrz, ilu nas żyje w Indonezji, bo dajecie nam satysfakcję i szczęście naszym podejściem do ludzi, do świata i do Boga.

– Och, jak miło to słyszeć. – Wykończona Meila westchnęła ciężko. Opuściła ramiona i poczuła, jak uchodzi z niej cała złość.

- Poszliśmy tej ważniaczce na rękę, ale to był ostatni raz. Zlitowaliśmy się, bo gdy urodziła drugie dziecko, wyrzucili ją z kolejnej pracy.
- To mają już dwójkę? – Kobiecie ścisnęło się gardło.
- Tak. Janek przyszedł i prosił w jej imieniu, więc zgodziliśmy się, bo przecież jemu nie można odmówić. To taki dobry, uroczy chłop z Podhala. – Siostrzyczce aż zaświeciły się oczy. Widać było, że tak jak Azjatka była pod wrażeniem przystojniaka, a może nawet też się w nim podkochiwała.
- No i co będzie? Co z Goską?
- Już tutaj nie pracuje. Gdy wielebny prałat dowiedział się o incydencie, wściekł się chyba bardziej niż ty – wybuchnęła szczerym śmiechem, którego echo rozniosło się po pustych korytarzach. – Nie masz się więc co martwić. Twoja córka jest dla nas skarbem, tak jak i dla ciebie, i nie damy jej skrzywdzić. Za nic w świecie. – Otworzyła ramiona i przytuliła do siebie biedną roztrzęsioną matkę.
- Dziękuję, ogromnie dziękuję – wyszeptala Meila, z trudem panując nad łzami wdzięczności.
- Nie ma za co. – Siostra jeszcze raz mocno ją uścisnęła, po czym odsunęła od siebie i spojrzała w jej śliczną dziewczęcą buźkę. – U nas na takie jak ty mówi się matka Polka, ale od teraz będę używała zwrotu matka Indonezyjka, bo tak żarliwie broniłaś swojej małej córki.
- Żyję dla niej i zrobię wszystko, żeby miała lepszy start i otwarty świat przed sobą, żeby nie musiała przechodzić przez piekło, przez które ja przechodziłam w dzieciństwie i młodości – wyznała Meila i już ze spokojem ducha opuściła teren chrześcijańskiej misji.

Jakimś cudem po pierwszym wybuchu niechęci zagraniczni uczniowie przyjęli Adinę z otwartymi ramionami, a przełożeni stwierdzili, że mądra dziewczynka marnuje się w indonezyjskiej grupie, i na stałe przenieśli ją do lepszej klasy dla *buli*. Dobrzy pedagodzy wiedzieli bowiem, że miejscowi uczniowie chodzą do szkoły przeważnie przez sześć lat, tylko wyjątki zdają małą maturę, a większość jest tu tylko po to, żeby nauczyć się pisać i czytać, ponieważ taki jest odgórny przykaz prezydenta Suharto – obowiązek nauczania dla wszystkich bez wyjątku. Pomimo wydanej dyrektywy tak szkoły państwowe, jak i muzułmańskie były płatne, a jedynie w misyjnych można było uzyskać ulgę czy nawet kształcić dziecko za darmo, co biednemu społeczeństwu bardzo odpowiadało. Stąd też takie niesamowite powodzenie chrześcijańskiej edukacji. Kandydaci często zatajali prawdziwe wyznanie, ale Kościół się tym nie przejmował, bo zyskiwał nowych wiernych i kształcił młodych chrześcijan – często przyszłych księży i siostry zakonne. Na tym polegała ich misja, która w tolerancyjnej Indonezji zdawała swój egzamin.

- Adinda, idziesz w tym roku do komunii? – zagadnęła ją wysoka jak żyrafa australijska koleżanka Susie o włosach w kolorze lnu i piegowatej jak indyjskie jajo twarzy.
- A co tam się będzie robiło? – zapytała Indonezyjka, która po dwóch latach nauki tylko po angielsku, mówiła już z bezbłędnym akcentem i bez najmniejszego wysiłku, a nawet śniła i marzyła w tym języku.
- Nie mam pojęcia, ale jakiś miesiąc temu mama dała do szycia białą długą sukienkę dla mnie. Taką, jaką mają panny młode na ślubie. – Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie, ukazując przy tym swoje wybrakowane mleczne zęby.
- Ja oczywiście też przystępuję do tej wyjątkowej eucharystii – włączyła się Alicja, córka Polki i Indonezyjczyka, która urodą i budową ciała całkowicie przypominała rodowitych mieszkańców Jawy. – Babcia z Polski przysłała mi piękną tiulową kiecusię z falbankami –

chwaliła się, dumna z podarku.

– Jak wszyscy idą, to ja na pewno też – oznajmiła pewnym głosem Adinda. Ale że jej matka nic o tym nie wspominała, mała na własną rękę postanowiła zbadać sprawę. – Siostrzo Tereso! – Chwyciła za rękę swoją ukochaną nauczycielkę, do której chodziła na dodatkowe lekcje polskiego, bowiem obiecała sobie, że kiedyś z Janem będzie rozmawiała w jego ojczystym języku. – Co to jest komunია? Wszystkie moje koleżanki się szykują, a ja nic nie wiem.

– To sakrament święty, drugi najważniejszy po chrzcie – wyjaśniła zakonnica, siadając ze swoją ulubienicą w ogrodzie. – Nie proponowaliśmy twojej mamie, abyś do niego przystąpiła, bo pomimo że chodzicie do kościoła, odnieśliśmy wrażenie, że tak jak większość waszego społeczeństwa jesteście muzułmankami.

– Przecież nie modlimy się na Allaha! – oburzyła się po dziecięcemu, na co siostrzyczka parsknęła śmiechem.

– Że co?

– Jak na Allaha wołają – tłumaczyła prosto z mostu. – W życiu nie byłam w meczecie i kiedy muezin wzywa do modlitwy, ani ja, ani mama nie bijemy przed nikim pokłonów.

– Powiedz zatem w domu, żeby twoja *ibu* skontaktowała się ze mną.

– Powiem na pewno! – Drobnutka Adinda z błyskiem w oku zerwała się z ławki i pobiegła do klasy oznajmić wszem i wobec, że też będzie miała długą białą suknię.

– Czy to nie zanadto? – ze strachem zapytała Meila. – Moja matka pochodziła z muzułmańskiej rodziny, ja mam muzułmańskie imię, kiedyś waliłam czołem w posadzkę meczetu pięć razy dziennie... – We wspomnieniach wracały stare dzieje.

– Ale nie robiłaś tego ze mną, mamó. – Adinda była zdecydowana i koniecznie chciała być taka sama jak wszystkie dziewczynki z jej klasy i mieć kreację panny młodej. – Ja nie mam z tym nic wspólnego! – oznajmiła ostro i ze złości aż tupnęła nogą.

Matka nie tylko nie oburzyła się na zachowanie smarkatej, ale z dumą patrzyła na swoją nieodrodną córunię.

– Ona do czegoś w życiu dojdzie – chwaliła się przed Aiko. – I bynajmniej nie będą to *warungi* ani *ojeki*.

– Tak, tak – potwierdziła starsza kobieta. – Cała mamusia, tylko dzięki tobie ma większe możliwości.

– Do gimnazjum i liceum pójdzie do szkoły międzynarodowej, i to najlepszej w Dżakarcie. A potem na studia do Ameryki. – Zaprzyjaźnionej kobiecie Meila uchyliła rąbka tajemnicy i przyznawała się do marzeń związanych ze świetlaną przyszłością jej małej ukochanej Adindy.

Aktualnie świetnie jej się powodziło i stać ją było na zachcianki córki, a nawet już teraz na jeszcze lepszą szkołę niż misyjna. Jednak dlatego że dziewczynka dobrze się w niej czuła, postanowiła nie przenosić jej do innej podstawówki. O Idę też nie musiała się już martwić, bo dzięki terapii jednej z sióstr zakonnych, która była pielęgniarką, jej podopieczna ustabilizowała swoje emocje, otworzyła się na świat zewnętrzny i zaczęła normalnie funkcjonować. Jako prawie dorosła kobieta wybrała życie w zakonie sercanek i wyjechała na daleką Flores. Meila miała tylko nadzieję, że dziewczynie dobrze się wiedzie i jest szczęśliwa.

– Pogadam z panem Shinto, to może sprowadzimy ci jakąś ekstrakreację z Ameryki –

oświadczyła córce po rozmowie z prałatem i organizatorami uroczystości. – Żebyś wyglądała jak mała księżniczka z królestwa Mejapahit.

– Sorry, mamuś, ale ja wolę wyglądać jak europejska królowna. – Adinda przyznała się do swojej słabości.

– Z taką karnacją i pochodzeniem, moja panienko, mogłabyś być tylko niewolnicą na książęcym dworze – matka ostudziła jej zapał.

– Nie żartuj sobie! Dlaczego?

– Poczytaj trochę historii. Mieszkańcy naszego regionu czy Afryki byli bardzo źle traktowani przez białych. Później to się zmieniło, bo zaczęto zauważać w nas nie tylko siłę czy urodę, ale również inteligencję i człowieczeństwo. Jednak przez całe wieki ludzi o ciemnej skórze wykorzystywano jako maskotki, kochanków albo robotników skazanych na niewolniczą pracę. Bogu dzięki, świat poszedł z postępem, lecz pilnuj się, bo nadal jest na nim sporo rasistów. – Meila nawiązała do incydentu z Gošką, a dziewczynka zrobiła kwaśną minę, bo sama też nigdy nie zapomniała tego wydarzenia.

Adinda posłuchała matki i sięgnęła do źródeł. Okazało się, że Meila miała rację, bo przez lata zdobyła szeroką wiedzę z wielu dziedzin, ucząc się indywidualnie i nadrabiając braki w wykształceniu. Małej dziewczynce ciężko było zrezygnować ze swojego marzenia bycia *bule*, dlatego postanowiła przynajmniej „wybielić” swoje zachowanie, nawyki, nawet zwyczaje jedzeniowe, ale przede wszystkim pochodzenie, opowiadając wszystkim legendy o swoim białym ojcu. Absolutnie nie akceptowała niczego, co było indonezyjskie. Naśladowała swoje zagraniczne koleżanki we wszystkim, bo tak bardzo chciała być do nich podobna. Matka ze zgrozą patrzyła na poczynania córki, ale zdawała sobie sprawę, że nie ma na to wpływu.

W dzień komunii Adinda dostała piękny ciężki krzyż na złotym łańcuchu, który lata temu Meila zabrała Chińczykowi, którego zamordowała – pierwszemu niefortunnemu szefowi w Dżakarcie. Kobiecie nie przeszkadzało, że jest na nim krew, bo już dawno przestała się tym zadrećcać i uważała, że to przyzwoita rekompensata dla niej i dziecka za wszystkie krzywdy. Właściciel kamienicy, pan Shinto, człowiek, który nadal bezinteresownie jej pomagał, dał małej w prezencie szwajcarski zegarek, obsługa jego restauracji złożyła się na rower, a zatrudnieni w biznesach Meili pracownicy przynieśli komplet biżuterii, składający się z naszyjnika, bransoletki i kolczyków z pereł – Adinda wyglądała w nim nawet nie jak europejska księżniczka, ale jak prawdziwa królowa.

Wystrojona w bogatą białą suknię zdobioną cekinami, sztucznymi perełkami i piórkami, w wianuszkach na głowie, rękawiczkach, błyszczących lakierkach i z torebką w ręce w niczym nie była gorsza od innych dziewczynek przystępujących do sakramentu Eucharystii, a nawet wyróżniała się spośród tłumu urodą i karnacją, która kontrastowała z bielą materiału. *Ona jest zbyt śliczna*, znów martwiła się troskliwa mama. Żeby tylko jakiś paskudny chłop tego nie wykorzystał. Trzęsa się na samą myśl o tym, choć przekonywała siebie, że nie może przynieść swoich złych doświadczeń i lęków na córkę. *Teraz są inne czasy, Adinda żyje na zupełnie innym poziomie, a w świecie zamożnych ludzi takie rzeczy, jakie mnie się przytrafiały, się nie zdarzają. Przecież drugiej rewolucji nie będzie*, pocieszała się. *Jedna na jeden kraj i jedno stulecie wystarczy. Takie jest historyczne prawo*. Teraz Meila miała w domu swój prywatny telewizor, więc często nocami oglądała programy edukacyjne i filmy, najczęściej amerykańskie. Oburzały ją morderstwa, przemoc, wyzysk i postanowiła, że do tego kapitalistycznego siedliska zła córki na studia nie wyśle. *Najlepiej Anglia albo inny kraj europejski*, układała plany, a jej mała kruszynka żyła w błogiej nieświadomości, ileż to obaw i niepokojów targa jej biedną matką.

– Nie chciałabyś w gimnazjum zmienić szkoły? Na przykład na renomowaną międzynarodową? – zapytała Meila, kiedy Adinda z wyróżnieniem ukończyła podstawówkę. – Zmieniłabyś otoczenie, nauczycieli, miałabyś same świeckie przedmioty – wymieniała niepodważalne zalety.

– No coś ty?! – Córka tylko wytrzeszczyła oczy. – Wszyscy z mojej klasy zostają i tylko ja miałabym przenosić się nie wiadomo gdzie? International kosztuje majątek! Za dużo masz pieniędzy? To kup sobie kolejny złoty pierścionek – docięła, bowiem Meila rzeczywiście coraz więcej zaczęła wydawać na kreacje i biżuterię.

– Nie bądź arogancka, moja panienko – ostrzegła ostro. – Nie pozwalaj sobie, bo nadal mogę ci przetrzepać skórę.

– No tak! To w twoim stylu... stylu kucharki z *warungu* – wypaliła mała bez zastanowienia, a Meili aż dech zaparło.

– Od lat nie stoję już przy blasze i nawet nie jadam w takich miejscach, więc jeśli to miała być złośliwość, to niezbyt trafna – odparowała, ale zrobiło jej się tak przykro, że nie miała ochoty dłużej dyskutować i wyszła z domu.

Coraz częściej przesiadywała w kantorze pana Shinto, który teraz funkcjonował jako bank. Po odejściu Jana ten podstarzały Chińczyk stał się jej jedynym powiernikiem i najlepszym przyjacielem. Pomimo że nie miał dzieci, udzielał jej cennych i trafnych rad.

– Nie przejmuj się, bo to przecież dobra dziewczyna, na pewno wszystko się ułoży. Taki ciężki jest okres dojrzewania – mówił zawsze. – Ona dopiero wchodzi w trudny wiek, to tylko początek. Musisz się uzbroić w cierpliwość, moja droga.

– Ładnie mnie pocieszasz. – Meila załamała ręce. – Gdyby miała ojca, to byłoby zupełnie inaczej. Samotna kobieta nigdy nie da sobie rady z wychowaniem dzieci, ot co! Respekt i szacunek ma się do ojca.

– Czyżbyś mi się oświadczała? Mam się z tobą ożenić? – zażartował mężczyzna, mrużąc skośne oczka. Meila nie wiedziała, że robił to celowo, żeby nie domyśliła się po jego spojrzeniu, że kocha ją od lat i tylko czeka na sposobność, by jej to wyznać. Takowa jednakże nie nadchodziła, a mężczyzna miał zbyt mało śmiałości, żeby otwarcie to wyjawić.

– Daj spokój, Shinto. – Udawała, że gani jego dowcipy, choć była zadowolona z adoracji. – Mało mam problemów? Ja nie potrzebuję chłopca!

– Cóż, myślałem...

– Żle myślałeś. – Spojrzała na niego z powagą. – Poza tym ja już zaliczyłam wszystkie możliwe wpadki damsko-męskie.

– Facet mógłby cię chronić, dać ci poczucie bezpieczeństwa i stabilizację. – Chińczyk postanowił jednak zagrać *va banque*.

– Bardzo cię lubię, ale zmieńmy temat. – Kobieta postanowiła nie kontynuować, żeby nie musiała mu odmówić i tym samym zniszczyć ich wieloletniej przyjaźni.

– Słuchaj... – Shinto zawiesił głos i zamyślił się nad czymś głęboko. – Jak tylko kiedyś zmienisz zdanie, to jestem do twojej dyspozycji, dobrze? Masz mnie jak w banku – zaśmiał się ze swojego dowcipu.

– Wiem – odparła Meila, bo pomimo swojej niezależności i wyemancypowania czuła się dużo lepiej ze świadomością, że ma wsparcie w bogatym i wpływowym mężczyźnie.

Młodzież z chrześcijańskiej szkoły przy kościele św. Teresy w Dżakarcie nie była wcale święta, lecz taka jak w każdej innej placówce edukacyjnej. Byli ciekawi świata, życia, a przede

wszystkim rzeczy zakazanych i nieznanym. Adinda, która na bierzmowaniu przyjęła imię Natalia i teraz tylko nim się posługiwała, miała paczkę swoich zaufanych przyjaciół, w skład której wchodził Australijczyk, Amerykanin, Polak Andy i polsko-indonezyjska dziewczyna Alicja, która nie miała takich kompleksów i ambicji jak Adinda i wcale nie chciała wyrzec się swojego pochodzenia, a nawet była dumna z azjatyckich korzeni. Mieszkała już od paru lat w internacie misyjnym, bowiem jej rozwiedzeni rodzice nie mieli czasu ani dla niej, ani dla jej dwóch sióstr. Matka żyła w Balikpapan⁶⁰ na Kalimantanie⁶¹ i robiła karierę na tamtejszym uniwersytecie, a indonezyjski ojciec stale podróżował po Europie, szczególnie do Paryża, gdzie robił intratne interesy. Dziewczyna była skromna i cicha, jedyną jej pasją była nauka, a słabością wielka sympatia do zbuntowanej Adindy.

– Ponieważ puszczają nas dziś wcześniej z budy, proponuję wam wycieczkę krajoznawczą po Dżakarcie. – Piegowata Susie tajemniczo modulowała głos. – Ostatnio chcieliśmy z rodziną dojechać do Cafe Batavia, lecz tata pobłądził i wylądowaliśmy w slumsach. – Popatrzyła na towarzystwo wymownym wzrokiem. – Byliście tam kiedyś?

– Nie... skądże... no coś ty! – zaprzeczali jeden przez drugiego, a Adinda na sam dźwięk słowa określającego dzielnicę bezdomnych pogardliwie wykrzywiła usta.

– Co ciekawego jest w rewirze zamieszkiwanym przez żebraków i śmieciarzy? – Lekceważąco odrzuciła włosy do tyłu. – Macie ochotę obserwować bandę indonezyjskich nierobów?

– Wiesz... to jest jakby inny świat. Wokół nas jak grzyby po deszczu rosną wieżowce, centra handlowe, kina, buduje się autostradę, a tam jest jak na księżycu – tłumaczyła podekscytowana Susie.

– Też byłem na Kocie, bo moja mama od czasu do czasu pomaga żyjącym tam biedakom – przyznał się Andy. – Jednak uważam, że nie ma powodu do niezdrowej ekscytacji, a raczej powinno się pomyśleć, jak tych nieszczęsnych i często chorych ludzi można wesprzeć, a może nawet stamtąd wyciągnąć.

– Wy, Polacy, jesteście takimi społecznikami! – Krytykantka wybuchnęła sarkastycznym śmiechem. – Musicie się solidaryzować z wszystkimi uciśnionymi i niepozbitymi ludźmi na całym świecie. Lituje się nad każdym bezdomnym, a to są po prostu śmierdzące lenie i banda debilów, jeśli decydują się na egzystencję w takim miejscu.

– Nie masz racji, Adinda – cicho włączyła się Alicja, która nie mogła uwierzyć, że Indonezyjka tak lekceważy problemy swojego narodu i cierpienie rodaków.

– Jestem Natalia, idiotko! – Dziewczyna nikomu z wyjątkiem matki nie pozwalała używać swojego dawnego imienia.

– Niech ci będzie, Natalio – poprawiła się koleżanka. – Ludzie mieszkający w slumsach nie mają wpływu na swoje życie ani szansy na wyrwanie się z tego miejsca. Udaje się to jedynie najsilniejszym jednostkom. Wyobraź sobie, że oni tam się rodzą, nie mają pieniędzy, koneksji, czasami nawet ubrania i jedzenia. Jak twoim zdaniem mają się stamtąd wydostać i zacząć wieść normalne życie, co?

– A cóż mnie to obchodzi?! – odparła Adinda, a towarzystwu ze zdziwienia z powodu takiej znieczulicy zrzedły miny. – Nieudacznicy są na całym świecie, a Indonezja to po prostu ich wylegarnia – dodała jeszcze, stawiając kropkę nad „i”.

– Ja w każdym razie mam do dyspozycji auto z kierowcą i wielką ochotę tam pojechać – ucięła dyskusję Susie. – Jeśli ktoś jest zainteresowany...

– Cóż, pewnie, że do was dołączę! – Prychnęła zadufana w siebie nastolatka. – Potraktuję to jak wycieczkę do zoo – zaśmiała się kpiarsko.

Siedmioosobowe towarzystwo wpełzło do wielkiego dżipa, który miał dodatkowy

rząd siedzeń z tyłu. Podekscytowana Australijka otoczyła się dwoma najbliższymi przyjaciółkami i ciągle szeptała im coś na ucho. Adinda i Alicja siedziały naburmuszone, nie patrząc na siebie, a eskortujący ich chłopcy, Polak Andy i Amerykanin Richard, usiłovali pomieścić na ciasnej przestrzeni wozu swoje długie chude nogi.

– Dokąd, panienko? – Miejscowy szofer usłużnie zwrócił się do Susie. – Do rezydencji?

– Skądże! – zaprzeczyła gwałtownie dziewczyna. – Dzisiaj urządzimy sobie ciekawą eskapadę. Jedź na Kotę – rozkazała najbardziej surowym głosem, na jaki było ją stać.

– Ależ panienko! Tam jest niebezpiecznie! – zaoponował mężczyzna. – Po co się tam zapuszczać? Nic ciekawego w tym rejonie nie ma. Może zawiozę was do *Taman62* *Mini63* albo *Taman Safari64* pod miastem? – kusił atrakcyjnymi miejscami, gdzie młodzież mogła spędzić miło czas na łonie natury.

– Powiedziałaś ci, dokąd chcę jechać! – Dziewczyna podniosła głos.

– A czy ojciec panienki o tym wie? – Kierowca nie dał się zastraszyć małolacie.

– Oczywiście! – skłamała jak z nut, pozbawiając mężczyznę ostatnich argumentów.

– Może najpierw do McDonalda? – Był to ulubiony lokal młodzieży, znajdujący się niedaleko domu towarowego Sarina, i szofer liczył, że dzieciaki po zjedzeniu hamburgera i frytek po prostu jak zwykle pójda na zakupy.

– W porządku, *pak*. Ale tym razem ty kupisz nam wałówkę, a my zjemy po drodze w samochodzie. – Podstęp się nie udał i niezadowolony szofer nie odezwał się już ani słowem.

Samochód przepychał się przez zatłoczoną Dżakartę. Wyjechali szerokim ocienionym szpalerem drzew z eleganckiej dzielnicy Menteng, gdzie mieściły się kościół, szkoła oraz wille i rezydencje dyplomatów i bogaczy, i kierowali w coraz to gorsze rewiry. Po półgodzinie znaleźli się w chińskiej strefie. Adinda z nerwów aż zacisnęła usta, tak bardzo się bała, że ktoś zobaczy tutaj jej matkę, która wciąż osobiście nadzorowała pracę *warungów*.

– Jaka rewelacyjna budowla! – zawołała młoda Australijka, wskazując wysoki budynek ze spadzistym dachem i drewnianym młynem na szczycie. – Jak *Moulin Rouge*!

– To sieć piekarni *Holland Bakery* – wyjaśniła Alicja. – Są od czasów kolonialnych.

– Ja wyburzyłabym wszystkie te stare rudery i postawiła na ich miejscu wieżowce ze szkła i stali – dorzuciła swoje trzy grosze pełna krytyki Adinda. – Nie ma się co chwalić tym, że ten uległy kraj tyle wieków był czyjąś kolonią.

– Dobrze, że nie jesteś we Francji, bo kazałabyś zrównać z ziemią Wersal – zakpił Andy.

– Ten pałac to chluba Francuzów, a Indonezyjczycy nie mają powodu szczycić się, że byli niewolnikami – odparowała zmanierowana dziewczyna.

– Ależ jaśnie panienka ma dzisiaj humor! – Alicja nie wytrzymała. – Lepiej nic nie gadać, niż opowiadać takie bzdury – podsumowała.

Zamilkli zgodnie, bo wszystkim odechciało się konwersacji, zwłaszcza że dojeżdżali już do celu. Duże auto z trudem lawirowało w wąskich uliczkach, by w końcu wcisnąć się na most przerzucony nad kanałem i powoli zjechać do slumsów. Młodzież zaniemówiła i odłożyła rozpoczęte jedzenie – widok za oknem przeraził ich i całkowicie pozbawił apetytu.

Kanał pokryty był gęstym szlamem, na którym utrzymywał się biało-żółty kożuch pełen różnego rodzaju śmieci. Pomimo to przy brzegu, gdzie znajdowało się przynajmniej trochę piaszczystej plaży, bawiły się dzieci – moczyły ręce w zakażonej wodzie lub puszczały statki. Były to maluchy na oko od dwóch do dziesięciu lat, które nie pozostawały pod niczyją opieką i samopas włóczyły się, gdzie chciały. Główna ulica dzielnicy biedoty była tylko częściowo asfaltowa, bowiem większość twardej nawierzchni została albo uszkodzona, albo

wymyta przez powódzie czy przykryta mułem. Było w niej mnóstwo dziur, głębokich i płytszych, w większości wypełnionych wodą lub nieczystościami. Po obu stronach drogi rozpościerały się skupiska mieszkalne. Jak tylko gdzieś stały kamienne fundamenty lub mury, dolepiano do nich kwatery, często tworząc jedno lub nawet dwa piętra, które wyglądały tak niestabilnie, jakby zaraz miały runąć. Ściany były najczęściej z blachy falistej, pilśni czy desek szalunkowych – powstałe w ten sposób mieszkania przeważnie nie miały okien, a światło wpadało do środka jedynie przez odrzwia, często zasłonięte kawałkiem materiału czy plastikową płachtą z worka po ryżu. Zdarzało się, że pomysłowi konstruktorzy doklejali balkony lub tarasiki na piętrze, opierając je na bambusowych drzewcach, skradzionych z placów budowy gdzieś w mieście. Loggie były pełne rozwrzeszczanych półnagich dzieci, kobiet i starców. Ludzie siedzieli również na ulicy, na krawężnikach lub pod ścianami domostw. Nastoletni chłopcy i dziewczęta stali przy drodze, a widząc wielki zagraniczny samochód, pokrzykiwali z uznaniem lub poklepywali blachę. Młodzi pseudoturcy robili się coraz bledsi i z gardłami ściśniętymi strachem obserwowali szerczącą się wokół nich nędzę.

– Mówiłem wam, że to nic przyjemnego. – Andy był zły, że dał się namówić na takie zwiedzanie.

– W niedzielę tylu ich tu nie było. – Susie wyraźnie straciła rezon.

– Słabo mi – oznajmiła siedząca obok niej blondynka, której ciało, pomimo klimatyzacji, pokrywały kropelki potu. – Wody, dajcie mi wody – wyszeptła i bezwładnie oparła się o Richarda.

– Nie ma wody! Ma ktoś jeszcze coś? – zapytała spanikowana Susie, lecz koledzy tylko pokręcili głowami. – Wy jesteście stąd, znacie język, to przelećcie się do tamtego sklepu – rozkazała indonezyjskim koleżankom, pokazując palcem mały blaszany markecik na rogu.

– Jak to? Dlaczego? – obruszyła się Adinda i podniosła głos: – Co znaczy, że jesteśmy stąd?! W życiu tutaj nie byłam, a ty jesteś już drugi raz, więc raczej o tobie można by to powiedzieć.

– Nie ściemniaj, do cholery! – wybuchnęła Australijka. – Masz ten sam kolor skóry i takie same rysy jak oni, znasz *bahasę*, tylko ciuchy nosisz porządniejsze. To twoja nacja, więc tobie nie zrobią krzywdy – podsumowała, a Adinda dopiero teraz się zorientowała, co tak naprawdę myśli o niej jej biała przyjaciółka.

– Dobrze, ja pójdę. – Alicja otworzyła drzwi. – W końcu to nie zwierzęta, nie zjedzą mnie. – Ze złości aż fukała przez nos.

Na te słowa Andy wyskoczył z auta.

– Bez przesady, żebyś puszczał dziewczynę samą – powiedział szarmancko, patrząc z naganą na szkolnych kumpli. – Swoją drogą, jak się ma słabe nerwy, klaustrofobię i jest się wrażliwym, to nie jeździ się w takie miejsca.

– Cóż... Fajne macie pomysły, nie ma co! – Adinda bardzo niechętnie dołączyła do odważnych posłańców. Nie chciała puszczać Polaka z koleżanką, bo Andy jej się podobał, a Alicji nie lubił i nie ufała jej za grosz.

– Zawróćcie w międzyczasie. Jak tylko wrócimy, od razu startujemy z powrotem! – wykrzyknął chłopak, zataczając w powietrzu kółko palcem, po czym dołączył do maszerujących żwawo koleżanek. – W sumie fajnie wsiąść z zatłoczonego auta i rozprostować nogi – powiedział z zadowoleniem. – Nie dość że śmierdziało w nim potem i fast foodem, to jeszcze ciągnęło tchórzem – dodał z zabawną miną, chcąc rozbawić poważne dziewczyny.

Adinda wbijała wzrok w pokrytą pyłem drogę, nie chcąc nic widzieć i słyszeć. Z przerażenia i obrzydzenia zamknęła się w sobie jak w skorupie. Jedyne, czego pragnęła, to

mieć tę nonsensowną wycieczkę za sobą. Pod wpływem dzisiejszych przeżyć i słów koleżanki zaczęła się zastanawiać nad propozycją matki, żeby po ukończeniu gimnazjum przenieść się do innej szkoły. Nagle z zadumy wyrwał ją jakiś dziwny trzask, zagłuszony przez dominujący charkot motorów i riks, klaksony i rżenie silników starych zdezelowanych aut. Trójka uczniów obróciła się gwałtownie i ich oczom ukazała się straszna scena. Wielki terenowy samochód Susie, nie mogąc zmieścić się w poprzek uliczki i sprawnie zawrócić, zawadził zderzakiem o bambusową podpórkę balkonu. Misternie sklecona konstrukcja zakołysała się niebezpiecznie, a kiedy auto, prąc do przodu, złamało cienki filar, zawisła nad drogą niczym na niewidzialnym sznurku. Widać było dzieci ześlizgujące się z podłogi loggii, ich matki kurczowo trzymające się poręczy i jakąś starą babulinę, która utknęła między sztachetami, wyjąc przy tym na całe gardło.

Przyjaciele w pierwszym odruchu rzucili się pędem na miejsce wypadku. Andy, jako że był wysokim chłopcem, ściągał z niskiej nadbudówki dzieci i stawiał je bezpiecznie na poboczu, Alicja podała rękę jakiejś przerażonej kobiecie i tylko Adinda stała z boku i przyglądała się wydarzeniu bez większych emocji. Uważała, że jeżeli ci ludzie są na tyle nierozważni, żeby stawiać takie prowizoryczne budowle, to sami są sobie winni. Ani trochę nie było jej ich żal.

– Meila?! Meila, to ty?! – W pewnej chwili z tłumu gapiów wyszła obtargana, zgarbiona leciwa kobieta.

– Przepraszam? Chyba mnie pani z kimś pomyliła. – Dziewczyna starała się być grzeczna, bo dobre wychowanie wzięło w niej górę.

– No tak! Przecież ty nie możesz być Meilą! – Kobieta zachichotała serdecznie, ukazując przy tym jedyny ząb, który pozostał jej w zapadniętych ustach. – Meila jest już taką samą starą babą jak ja. Ty musisz być jej córką... – Zawiesiła głos i widać było, że intensywnie o czymś myśli. – Adinda! Tak! Masz na imię Adinda, nieprawdaż? Skóra zdarta z matki!

– Że jak?! Co?! – Dziewczyna zbaraniała, bo najwidoczniej ta brudna żebraczka znała jej matkę i ją samą. *Jak to możliwe?*, pytała siebie w duchu. *To jakiś absurd!*, krzyczała jej dumna urażona dusza.

– Tak się cieszę, że żyjecie! – Na pomarszczonej twarzy nędzarki widać było autentyczną radość. – Powiedz mamie, że Siska ją pozdrawia. Pogratuluj jej, bo wszyscyśmy już dawno ją oplakali, myśląc, że zginęła. A tutaj proszę! Chyba nawet dobrze wam się powodzi, nieprawdaż? – Lustrowała młodą od stóp do głów, kiwając przy tym z uznaniem głową.

– Nie wiem, na co ostrzysz sobie swoje brudne pazury, stara, ale nie znam cię i nie mam ochoty poznać – wyszeptowała zjadliwie zbulwersowana pannica. – Odczep się ode mnie!

– Może nic nie pamiętasz i niczego nie chcesz się dowiedzieć, twoja sprawa. Ale serce, moje dziecko, wszyscy powinniśmy mieć czułe i otwarte na ludzką krzywdę. To jest prawdziwy skarb, a nie powłoka, którą można sobie kupić i bardzo łatwo stracić – odparła gorzko kobiecina, a Adindzie wydało się, że w jej zaropiałych oczach dostrzegła łzy. – Mam nadzieję, że przekazesz swojej matce pozdrowienia. – Siska ze smutkiem odwróciła się i odeszła z jeszcze bardziej zgarbionymi plecami.

Adinda obserwowała kątem oka, czy jej szkolni znajomi słyszą cokolwiek z konwersacji, ale byli tak zajęci pomocą poszkodowanym, że w ogóle nie zwracali na nią uwagi. Niewiele myśląc, ruszyła przed siebie.

Gdy dotarła do głównej drogi, wzięła taksówkę i wróciła do domu. Nie wspomniała Meili o spotkaniu, ale świadomość nieznannej przeszłości tkwiła w niej jak zadra. Nie zapytała jednak o nic, bo tak jak powiedziała poznana kobieta, Adinda nie chciała wiedzieć. Oddaliła się za to od swojej rodzicielki jeszcze bardziej, unikała jej i gardziła nią skrycie. Jedyne, o czym

marzyła, to żeby uciec z domu, wynieść się z parszywej chińskiej dzielnicy Glodok i zapomnieć o wszystkim, co się z nią wiązało.

– Cóż ci studenci wyprawiają! – oburzała się Meila, zwierając się swojemu powiernikowi panu Shinto. – Jeszcze dojdzie do rewolty! – Aż rwała sobie włosy, które od jakiegoś czasu na chińską modłę zawijała w ślimaczka i spinała z tyłu głowy.

– Sytuacja jest niewesoła – przyznał mężczyzna, smutniejąc. – Kryzys niby obejmuje całą Azję, ale nasza biedna Indonezja szczególnie dostaje w kość.

– Mamy zbyt dużo biednych, żeby to przetrzymać. Nawet ja odczuwam spadek dochodów, choć przecież ludzie muszą coś jeść i korzystać z najtańszych jadalni, jakimi są *warungi*.

– Kobieto, liczba osób oficjalnie zarejestrowanych jako żyjący na skraju ubóstwa podwoiła się. Nasze slumsy pękają w szwach, żyje tam już podobno ponad dwa miliony ludzi! – Shinto załamał ręce.

– Slumsy slumsami, ich mieszkańcy i tak pokornie będą znosić swój los – skwitowała kobieta, bo akurat to wiedziała z doświadczenia. – Ale ta cholerna młodzież doprowadzi do kolejnego rozlewu krwi! – Zaciśnęła usta, znów przypominając sobie straszne lata sześćdziesiąte, które odcisnęły się piętnem na jej życiu. – Nieodpowiedzialni sztubacy nie zdają sobie sprawy, że jak już coś się u nas ruszy, to liczby ofiar idą w miliony.

– Jakbyś nie wiedziała, to protestują nie tylko studenci – zauważył mężczyzna. – Na terenie całego kraju dołączają do nich robotnicy, chłopci lub po prostu mieszkańcy danych regionów. Jednoczą się różne partie polityczne, lewicowe, demokratyczne, islamskie, więc Suharto nie ma wyjścia i musi odejść.

– Wcale mi go nie żal. To on jest odpowiedzialny za zamordowanie tysięcy czy wręcz milionów komunistów... – Meila zawiesiła głos i pochyliła się nieco do swojego rozmówcy. – Podobno ponad połowa zabitych w ogóle nie miała nic wspólnego z partią – wyszeptala. – Wojskowi zrobili czystki i usunęli niewygodnych ludzi, ot co!

– Nie dla nas wielka polityka, Meilo. – Shinto nie chciał poruszać niebezpiecznych kwestii. – Ja muszę jedynie troszczyć się o interesy, a ty o to, żeby pięknie wyglądać. Zamiast wdawać się w debaty ideologiczne, może w ramach relaksu pojechałabyś ze mną na Bali? – Zaśmiał się, uderzając wskazującym palcem w stół.

– Nie mogę wyjechać, no coś ty... – Meila odmówiła od razu, ale uczyniła to w sposób niezdecydowany i Shinto widział błysk zainteresowania w jej oczach. – Przecież nie zostawię mojej krnąbrnej, nieodpowiedzialnej córki samej! Przy nasilających się protestach studenckich to ryzykowne. Wiesz, że młodzież jest nieobliczalna. A jak Adinda zechce przyłączyć się do rebeliantów, to co wtedy?

– Weźmy ją z sobą. Przecież i tak będzie miała teraz przerwę międzysemestralną. To idealny moment!

– Chcesz spędzać czas z moją córką? – Meila kpiarsko wykrzywiła usta. – Samobójca czy co? – zapytała z niedowierzaniem, ale zarzuciła Shinto ręce na szyję i z wdzięcznością pocałowała go w łysinkę.

– Teraz już lepiej. – Mężczyzna aż poczerwieniał z radości.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Palcem do nosa byś sobie nie trafiła – zażartował. – W takim razie pakujcie się, a ja załatwię całą resztę. Chcę ci pokazać inwestycję, którą poczyniłem na tej rajskiej wyspie. To coś na pewno będzie przynosić zyski. – Zatarł z zadowoleniem ręce.

– Ty spryciarzu! Zawsze wiesz, jak wybrnąć z najbardziej patowej sytuacji. Nawet w największym kryzysie potrafisz robić pieniądze – Meila pochwaliła przyjaciela.

– Moja droga, ty też za każdym razem spadasz na cztery łapy, więc dobraliśmy się jak w korcu maku.

Wracająca ze szkoły Adinda zobaczyła przez szybę, jak Shinto całuje jej matkę na pożegnanie. *Ależ dno!*, podsumowała i aż otrzepała się z obrzydzenia. *Moja matka dałaby dupy każdemu, kto choć trochę śmierdzi groszem. Ale żeby takiemu parszywemu, małemu, tysemu Chińczykowi, to już przesada.*

– Witam panienkę. – Młody policjant, którego rewir obejmował ich ulicę, przymlał się do uczennicy, która imponowała mu szkolnym uniformem i pańskimi manierami.

– Cześć, Joko. *Apa kabar?* – zapytała zdawkowo Adinda.

– *Bagus*, jestem już posterunkowym pełną gębą – pochwalił się. – Patrz, jaki mam mundur. – Adinda pomyślała, że facet jest ambitny, bo ze zwykłego obszarpanego cywila, ochotniczo kierującego ruchem, przez funkcjonariusza drogówki i krawężnika, sam wspiął się na stanowisko rewirowego.

– Gratulacje – pochwaliła go z nietypowym dla siebie uśmiechem, na co mężczyzna aż zmiękł w kolanach.

– Może zjadłabyś ze mną zupę u twojej mamy? – zaproponował nieśmiało.

– Chyba żartujesz! – Dziewczyna prychnęła z oburzenia. – Ja takich gówien nie jadam. Człowiek powinien żywić się w restauracjach, a nie na ulicy – zawyrokowała, obróciła się na pięcie i wbiegła do budynku. – *Sampai jumpa!* – zawołała jeszcze beztrząsco, podnosząc rękę.

Ależ ważna panienczka!, skwitował ze złością, bo pamiętał czasy, kiedy Adinda zajadała się krewetkowymi prażynkami ciekącymi tłuszczem, *bakso* i *nasi goreng*, chodziła w wyblakłej, ubożuchnej sukieneczce i gumowych klapkach. Kiedy dawał jej lizaka czy cukierka, patrzyła na niego z wdzięcznością, a teraz tak jej się w głowie przewracało. *Co też pieniądze robią z człowiekiem?!*, nie mógł się nadziwić. *Przyjdzie kryska na Matyska!*, wygrażał w duchu Adindzie która zraniła jego dumę. *Jeszcze się policzymy, ty gówniaro!* Z wściekłości aż zgrzytał zębami, choć jednocześnie uprzejmie uśmiechał się do ludzi przesiadujących przed domami.

– Córeczko, jesteś już? – Podekscytowana propozycją wyjazdu Meila z radością wbiegła do mieszkania. – Mam dla ciebie nowinę!

– Co takiego? – odburknęła młoda, stając przed matką i taksując ją pogardliwym wzrokiem. – W końcu żenisz się z tym kurduplem? – zapytała ironicznie.

– Nie wyrażaj się w ten sposób o panu Shinto. To nasz dobrodziej. – Kobiecie zrzędała mina, bo córka od razu wylała jej na głowę kubel zimnej wody. – Poza tym to mężczyźni się żenią, kobiety wychodzą za mąż, ty mądralo. – Ciężko westchnęła, czując, że nie będzie miała łatwej przeprawy ze zbuntowaną córką.

– No więc? – naciskała dziewczyna, chcąc zamknąć sprawę i zaryglować się, jak zwykle, w swoim pokoju.

– Więc jedziemy na przerwę świąteczną na Bali – obwieściła Meila, ale w jej głosie nie było już wcześniejszej ekscytacji.

– No to sobie jedźcie!

– Ty niestety pojedziesz z nami – dodała twardym, stanowczym głosem. – Chyba nie sądzisz, że zostawię cię tu samą?

– Nie żartuj sobie! – wybuchnęła Adinda. – Wybieracie się na miodowy czy raczej godowy miesiąc i ja mam wam towarzyszyć?!

– Nie bądź ordynarna! Dobrze ci radzę! – Wyprowadzona z równowagi Meila postąpiła krok do przodu. – Nie mamy o czym dyskutować, więc pakuj swoje rzeczy, bo jutro z rana wylatujemy.

– Bo co? Zmusisz mnie?! Zapakujesz do klatki i nadasz na cargo? – kpiła dziewczyna. – Nie bądź śmieszna, dobrze? Mówię, że nie jadę, to nie jadę!

W tym momencie na policzek zbuntowanej dziewczyny ze świstem padł pierwszy raz, a potem nagromadzona w Meili złość i rozczarowanie eksplodowały. Zadawała córce liczne ciosy to w twarz, to w plecy, a na koniec w brzuch i piersi. Adinda była tak zszokowana, że nawet się nie broniła. Siła uderzeń zwała ją z nóg i dziewczyna leżała na podłodze, zwinięta w kłębek. Nie płakała, nie jęczała, ani razu nie krzyknęła. Nie błagała o litość czy przebaczenie. Zacięła się w sobie jeszcze bardziej, a pogarda i wstręt do rodzicielki zamieniły jej i tak nieczułe serce w sopel lodu.

Zemszczę się na tobie, ty suko!, obiecywała w duchu. Oto cała ty, koleżanka Siski ze slumsów. Ale gównu mnie obchodzi, kim byłeś, jesteś i będziesz. Dla mnie nie istniejesz! Możesz mnie bić, możesz nawet zabić, ale nie wymusisz na mnie ani szacunku, ani miłości.

Spod na wpół przymkniętych powiek Adinda na zimno obserwowała swoją rozdygotaną matkę, którą w końcu udało jej się sprowokować i doprowadzić do szewskiej pasji. Drżąca jak osika Meila stała nad córką i patrzyła na jej niezwykłą reakcję. Opadły jej ręce, włosy miała potargane, a jedwabna bluzka była cała rozchełstana. *Co to za dziecko?*, pytała samą siebie. *Co to za człowiek?! Kogóż ja wychowałam na swojej piersi? Potwora! Nie! To nie jej wina!*, krzyczało serce matki. *Ona ma genetyczne spaczenie po swoim tatusiu, draniu, wieśniaku i alkoholiku. Choć on w porównaniu z tą dziewczuchą był idealnym, wrażliwym człowiekiem.*

Meila wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Idź do łazienki, weź prysznic, przebierz się, a potem zacznij się pakować – powiedziała martwym głosem.

Adinda bez szemrania podniosła się z podłogi i ruszyła wypełnić polecenia matki. Meila poszła za nią, wyciągnęła klucz z drzwi jej pokoju i schowała do kieszonki. *Czas skończyć tę samowolkę i izolację*, postanowiła. Nie zauważyła pełnego nienawiści, zaciętego wyrazu twarzy Adindy, jedynie nagłe posłuszeństwo. *Trzeba było gówniarę zacząć wcześniej lać*, doszła do smutnego wniosku.

– Adinda, wstawaj. Śniadanie gotowe. – Meila już nie miała siły do ciągłego musztrowania i namawiania córki, by ta zechciała zrobić cokolwiek. – Będziesz dzisiaj coś jeść czy też nic? – zapytała beznamiętnie przez drzwi, a kiedy nie doczekała się odpowiedzi, wyszła z domu, trzaskając drzwiami.

– Nie przejmuj się – pocieszał ją Shinto, choć sam miał już dość rozwydrzonej pannicy. – Służące mówią, że jak tylko znikamy z pola jej widzenia, to ona leci do kuchni i najada się po korek, więc nie musisz się martwić o jej zdrowie fizyczne. Gorzej z psychicznym – zachichotał kpiarsko.

– Raczej psychiatrycznym – zawtórowała mu Meila.

– Byle ciebie nie wpędziła do psychiatryka. Bo wierz mi, takie małe świry bezwzględnie znęcają się nad dorosłymi, a po nich wszystko spływa jak po kaczce. Musisz ją olać, kochanie. Chodź, dla relaksu przejdziemy się promenadą nad brzegiem oceanu.

– Masz rację. Cieszymy się życiem, swobodą, słońcem i pięknem tej rajskiej wyspy. – Meila ruszyła za swoim towarzyszem. – Nawet nie sądziłam, że w Indonezji są takie cudowne miejsca. Coś niesamowitego!

- Jest ich mnóstwo. Dżakarta niestety jest najbrzydsza – powiedział Shinto.
- W takim razie wynoszę się z tego paskudnego miasta – oświadczyła żartobliwie Meila, chociaż wiedziała, że jest to niemożliwe. – Mam dość smogu, hałasu i tłumów ludzi dookoła. Jak byłam młoda, mieszkałam w górach Puncak. Tam też było uroczo, ale nie miałam ani czasu, ani siły, by to zauważyć – wyznała nieoczekiwanie.
- Dlaczego? – zapytał delikatnie Shinto.
- Bo harowałam od rana do nocy. Nie wiedziałam, jak sama żyję, nie mówiąc już o dostrzeganiu uroków natury. A potem wydali mnie niefortunnie za męża i miałam już całkiem przechłapano. – Bez skrupułów opowiadała przyjacielowi o swojej tragicznej przeszłości, a nawet potrafiła się z niej beztrudnie śmiać. – Jedyne dobre wspomnienia mam z beztrudnego dzieciństwa, kiedy całą paczką uczniów włóczyliśmy się po górach. Pamiętam obrazy jak za mgłą, ale pomimo to wydają mi się przepiękne. Może wybierzemy się tam kiedyś? – zapytała niespodziewanie, bo podczas pobytu na Bali podjęła decyzję, że jednak zwiąże się z tym delikatnym, czułym i dobrym człowiekiem.
- Oczywiście! Będzie fantastycznie! – Shinto ucieszył się jak dziecko.
- Ta willa, w której mieszkamy, jest rewelacyjna. – Meila zmieniła temat. – Musiałeś zapłacić majątek za jej wynajęcie.
- Niekoniecznie. – Mężczyzna nagle zrobił się niezwykle tajemniczy.
- Nie rozumiem. – Meila zatrzymała się, czekając na odpowiedź.
- Kupiłem grunty wieki temu, jeszcze jako młodzik, kiedy na tej wyspie nie było nic z wyjątkiem biednych rybaków i tanich pereł. Wydałem na nie pierwsze zarobione pieniądze, bo stwierdziłem, że inwestycja w ziemię jest najpewniejsza.
- Masz rację.
- Później na skraweczku mojego landu postawiłem ten domek w stylu balijskim, który zawsze mnie zachwycał. Mój brat wszystko zaprojektował, bo to on był tym, który się uczył i aktualnie jest architektem, a ja, obibok i leniuch, tylko biznesmenem. Co by to było, gdyby nie wymyślono tego terminu? Nazywałbym się zwykłym handlarzem – znowu zażartował.
- Mówisz, że „na skraweczku”, a mnie się wydawało, że twoja rezydencja jest otoczona wielkim ogrodem z basenem, sadzawkami i buddyjską świątynią – zakpiła Meila, nie wiedząc, czego ostatecznie ma się spodziewać.
- Kochanie! – Chińczyk nie chciał dłużej bawić się z ukochaną w kotka i myszkę. – Zapraszam cię na obiad do hotelu, którego jestem właścicielem. – Wziął ją za rękę i skręcił z widokowej promenady, przechodząc pod wysoką zdobioną bożkami bramą.
- Meila Hotel? – Kobieta przeczytała wielki napis nad wejściem i aż zaparło jej dech. – To przecież moje imię! – wykrzyknęła zadziwiona.
- Tak właśnie – przyznał Shinto. – Nie w mówisz mi, że nie wiesz, iż kocham cię od zawsze. – W końcu odważył się wyznać całą prawdę, po czym objął ukochaną i w miejscu publicznym czule pocałował ją w usta.

Przed nimi na żyznych balijskich hektarach rozpościerał się ogromny hotelowy kompleks z czterema basenami, kortami tenisowymi, polami do minigolfa, rzędami piętrowych budynków, w których znajdowały się pokoje, sklepy, biura podróży i transportu oraz wielki hol z recepcją, fontanną i fotelami dla turystów. W miejscu oddalonym od gwaru wśród bujnej zieleni wystawiono parę małych bungalów dla specjalnych gości ze szczególnie wypchanym portfelem. Jadalnie na świeżym powietrzu kusily zapachem grillowanych mięs, ryb oraz owoców morza, liczne bary dawały uciechę młodym, a starsi mogli się ukryć przed rozrabiającą działywą nad odgradzonymi od reszty obiektu basenami z jacuzzi z napisem: „Tylko dla dorosłych”.

– Życie nie umierać! – wykrzyknęła Meila. – Co za luksus i zbytek! Raj na ziemi! – Z podekscytowania raz za razem wyrzucała ręce do góry albo łapała się za głowę. – Mój ty Boże! – Nie dowierzała własnym oczom.

– A to wszystko dzięki tobie – powiedział Shinto.

– Jak to?

– To ty namówiłaś zgnuszonego, starego nieuka do studiowania języka angielskiego i nawiązywania zagranicznych kontaktów. Przecież sam nie dałbym rady postawić takiego obiektu. Mam w nim jedynie sześćdziesiąt procent plus grunty, które dzierżawię współwłaścicielowi na dwadzieścia lat.

– Naprawdę? – Kobiątka była w szoku. – To chyba całkiem niezłe.

– Też tak myślę. – Shinto stał naprzeciwko niej i mocno trzymał ją za ręce, zbierając się na odwagę. – Wszystko zawdzięczam tobie i tylko tobie, więc jeśli przyjmiesz moje oświadczenia, chciałbym darować ci ten hotel w prezencie ślubnym – wyznał to, co od lat leżało mu na sercu.

– Shinto, ty szalony głuptasie! – Meila nie chciała już dłużej opierać się swojemu przeznaczeniu. – Nawet bez tego hotelu chciałabym być twoją żoną – wyjawiała czule.

Meila i Shinto postanowili nie mówić nikomu o swojej decyzji. Nie chcieli dopuścić do plotek, niesnasek i fałszywej oceny sytuacji. W urzędzie na Bali wzięli cichy ślub, na którym świadkami była australijska para turystów. Nowożeńcy nie chcieli rozgłaszać nowiny tak ze względu na zbuntowaną Adindę, jak i na chińską rodzinę, bo wszyscy na równi by ich potępili i na pewno nie zaakceptowali tego związku i ich miłości. Po powrocie do Dżakarty ich życie wróciło do starego trybu, ciągnęli swój kierat bez wielkich przełomowych zmian. Shinto pracował od rana do nocy, robiąc interesy z indonezyjskimi kontrahentami i zagranicznymi inwestorami, Meila zaś kontrolowała *warungową* firmę gastronomiczną, składającą się już z piętnastu wózków, i inwestowała pieniądze w bardziej trwałe przedsięwzięcia. W nocy podążała bocznymi schodami dla służby do apartamentu swojego cichego, dobrego męża.

Lokum Shinto zajmowało całe najwyższe piętro i było bardzo komfortowe. Okazało się, że mężczyzna uwielbia antyki i sztukę, a jednocześnie nie unika nowinek technicznych, więc obok kolonialnych mebli można było tam znaleźć wielki telewizor Sony, adapter z diamentową igłą i zmieniarką na dziesięć płyt, bezprzewodowy telefon z antenką oraz komputer, których w Indonezji było jak na lekarstwo. Shinto czuł pismo nosem i jako jeden z pierwszych zajął się sprowadzaniem elektroniki i montażem Internetu w biurach i hotelach. Meila nadal podziwiała mężczyznę, ale teraz dodatkowo jako swojego męża. W końcu zaznawała odrobiny szczęścia, życia przepelnionego spokojem i małą stabilizacją, nic więcej nie było jej potrzebne. Ale czytając prasę i oglądając telewizję, widziała, że nad Indonezją znów zbierają się ciemne chmury.

– Czemu ten tyran nie ustąpi? Za cholerę nie chce oddać stołka! – perorowała wieczorami, kiedy była tylko z mężem za zamkniętymi drzwiami. – Chyba przyrósł mu do dupska! – ironizowała, choć traktowała tę sprawę bardzo poważnie. – To jest nie do pomyślenia, że nie da nikomu innemu rządzić naszym krajem, podczas gdy sam doprowadził Indonezję na skraj bankructwa! Megawati⁶⁵ byłaby wspaniała, to oczywiście podłożyli jej nogę!

– Mówisz tak, bo jesteś kobietą. Solidarność jajników, ot co! – zaśmiał się Shinto. – Ludzie boją się rządów Megawati, bo u nas nigdy nic nie przebiega normalnie i tak, jak by się

człowiek spodziewał. Niby jest demokratką, ale nie wiadomo, czy w jej przypadku niedaleko pada jabłko od jabłoni i czy nie poszłaby w ślady tatusia komunisty.

– Też gadanie! Demokracja do komunizmu ma się jak pięść do nosa! – Oczytana i nauczona przez życie Meila coś na ten temat wiedziała. – To jest baba, och! – zachwycała się wyemancypowaną, wykształconą i odważną kobietą. – I nie boi się tego mordercy Suharto, potrafi mu się przeciwstawić!

– Wielka polityka powinna obchodzić takich jak my, maluczkich, jedynie pod kątem bezpieczeństwa, uczciwości, dostatku, bo to daje możliwość szczęśliwej egzystencji – Shinto wyraził swoją konsumpcyjną ideologię. – A teraz aż strach wyjść na ulicę.

– W tym momencie cieszę się, że mieszkamy na Glodoku, a nie w centrum, gdzie odbywają się te wszystkie manifestacje. Na jednej takiej już byłam, jako pięciolatka, i wierzę mi, że na kolejną nie dałabym się namówić.

– Jednak twoja córka... – westchnął zatroskany mężczyzna, bo pomimo że Adinda go nienawidziła, on martwił się o nią jak dobry ojciec. – Ona pcha się wszędzie tam, gdzie jest niebezpiecznie. Niedobrze, niedobrze... – Zmarszczył czoło i zmrużył małe, skośne oczka.

– Mój kochany! Już dawno doszłam do wniosku, że ja o nią kopii nie będę kruszyć, bo to walka z wiatrakami. Nigdy jej nie wygram – oświadczyła chłodno zawiedziona matka. – Jak sobie pościeli, tak się wyśpi i koniec. Dałam jej, co mogłam, wliczając w to moją ogromną miłość. Wszystko bym dla niej zrobiła, ale do tej małej głupiej gęsi nic nie przemawia. Moje gadanie to dla niej jak szum wiatru za oknem. – Meila spoważniała i zapatrzyła się smutno przed siebie.

– Będzie dobrze, nie zadreżaj się, to tylko nastolatka. – Shinto jak co wieczór próbował podnieść żonę na duchu. – Muszę cię jednak dodatkowo zmartwić. W naszej dzielnicy wcale nie jest tak bezpiecznie, jak ci się wydaje. Zawsze jak w kraju dzieje się coś niedobrego, oskarża się o to Chińczyków, a wiadomo, że Indonezyjczycy ich nie znoszą. Przy każdym przewrocie czy kryzysie dochodziło do czystek etnicznych, więc teraz też trzeba by się zabezpieczyć.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się Meila. – O co mogą was oskarżać? Obalając Sukarno i jego prokomunistyczną politykę, można było jakoś to wytłumaczyć, bo Chiny to kraj komunistyczny i wspierający nas w tamtych latach, ale teraz?

– Meila! Jestem Indonezyjczykiem chińskiego pochodzenia, ale tak mi do Chin, jak stąd do Pekinu – zażartował gorzko Shinto. – Mój pradziad na początku zeszłego stulecia urodził się w starej chińskiej dzielnicy na Batavii, zanim po kolejnych czystkach wyrzucono nas na Glodok. Więc które to już pokolenie żyjemy i pracujemy dla tego niewdzięcznego kraju?

– Macie za dużo pieniędzy i dlatego nie jesteście lubiani. Czy widziałeś w slumsach kogoś o chińskich rysach? – Na te słowa oboje zgodnie wybuchnęli śmiechem. – W naszej wspaniałej ojczyźnie – zakpiła – jesteście traktowani tak jak Żydzi w Europie. Wszyscy wam zazdroszczą i najchętniej bezkarnie przejęliby wasze majątki, co zresztą robią podczas pogromów. – Meilę zasmucił ten nagły wniosek. – A jeśli spełnią się twoje słowa i rzeczywiście teraz znów zaczną się prześladowania? – Panika chwyciła ją za gardło.

– Nie martw się tak bardzo. Przecież faktycznie nic się nie dzieje, tylko my układamy głupie, tragiczne scenariusze. – Mężczyzna objął ją szczupłym, lecz mocnym ramieniem. – Nie chcę cię straszyć, jedynie dmucham na zimne, żeby chronić ciebie i twoją córkę – wyznał. – Na koniec maja powinni skończyć ostatnie roboty wykończeniowe w naszym nowym domu na Mentengu. Uważam, że powinniśmy się tam jak najszybciej przeprowadzić. Nie ma co gnieździć się w wyizolowanej etnicznie dzielnicy, która stanowi łatwy cel i jest jak getto.

– Ale co powie na to Adinda?! – zaniepokoiła się Meila.

– Kiedy zamieszka w wielkiej rezydencji z basenem i służbą, to może nam wybaczy,

w końcu będzie mogła popisywać się swoim bogactwem przed koleżankami ze szkoły. A jak jej pozwolimy zaprosić towarzystwo, zobaczysz, że od razu nas rozgrzeszy. Poza tym wydaje mi się, że ona od dawna wie o wszystkim. Przecież nie jest głupia!

– Wolałabym tłumaczyć jej zachowanie głupotą niż kamiennym serduszkciem. – Matce zrobiło się przykro, bo pomimo iż każdego dnia wmawiała sobie, że ma córkę w nosie, cierpiała katusze z powodu jej oziębłego, taksującego spojrzenia i pogardy okazywanej na każdym kroku.

– Co to za hałasy na dole? – Shinto nadstawił uszu, słysząc krzyki i rumor, nietypowe nawet dla Dżakarty w tak późnych godzinach wieczornych. – Idź do siebie, a ja sprawdzę, czy dobrze zamknęli żaluzje w banku. Dziś wyszedłem wcześniej i sam tego nie dopilnowałem, a wiesz, jak można liczyć na pracowników. – Narzucił bluzę i skierował się do wyjścia.

– Może wezmę Adinę i przyjdziemy do ciebie? – W oczach Meili pojawiło się przerażenie.

– Lepiej, żebyś była w swoim małym mieszkanku, a nie w apartamencie Chińczyka. Tak na wszelki wypadek.

– Dobrze – przytaknęła i ruszyła za mężem.

– Pamiętasz kod do sejfów? To bardzo ważne, bo są tam wszystkie dokumenty i akty prawne. Jakby co, będziesz zabezpieczona do końca życia – powiedział smutno Shinto, a kiedy żona próbowała oponować, zamknął jej usta pocałunkiem. – Leć już! – Popchnął ją, bo przy wejściu do budynku dało się słyszeć wrzaski.

Meila wpadła do domu i pierwsze kroki skierowała do pokoju Adindy.

– Jesteś, córeczko? – zawołała od drzwi, lecz nie doczekała się odpowiedzi. – Adinda! – Zaświeciła światło i zobaczyła, że łóżko dziewczyny jest puste. – Mój Boże! Gdzie ty poszła?! – Rzuciła się do kuchni, potem łazienki, a na koniec weszła do swojego pokoju i padła na fotel. – Co ci znowu strzeliło do głowy? – szeptała przez łzy. – Przecież mówiłaś, że jesteś zmęczona i idziesz spać... Powinnam była tu siedzieć i cię pilnować. To moja wina, moja wina... – oskarżała się, szlochając.

Krzyki na ulicy się nasiliły, a przez okno do pokoju wpadał jakiś dziwny migający blask. Meilę zaniepokoiło to na tyle, że pomimo rozpaczy wstała i wyjrzała na zewnątrz. Z przerażenia aż zapało jej dech.

Po chodnikach i asfaltowej drodze biegał oszalały tłum ludzi, wykrzykując niezrozumiałe słowa. Niektórzy trzymali w rękach płonące pochodnie, które wrzucali do otwartych bram albo pod podcienia budynków. Kobieta słyszała trzask tłuczonego szkła, widziała uciekających ludzi obładowanych towarami. Na środku ulicy leżał jej zdewastowany *warung*, a tuż obok witryna, z której skradziono wszystkie papierosy. Część rzezimieszków nie była zainteresowana łupami, jedynie niszczeniem. Co chwila w kolejnym sklepie wybuchał pożar, bo przez rozbite szyby wrzucano łatwopalne materiały lub po prostu lano benzyną i podpalano.

– Bij Chińczyka!

– Łap Chińczyka!

– Krwiopijcy!

– Złodzieje!

– Naciągacze!

– Chinole!

Do uszu Meili docierały wykrzykiwane z agresją obelgi.

Przed domy wywlekano kobiety, a mężczyźni przepychali się, chcąc je zniewolić. Meila

zauważyła starą dobrą panią Aiko, którą dopadło dwóch młodych rosłych Indonezyjczyków. *Astana!*, wykrzyknęła w duchu. *Gdzie jest Shinto?* Rozglądała się po ulicy, ale nigdzie nie widziała męża. Jednak w oko wpadła jej znajoma kolorowa bluzka – Adinda szybko maszerowała w stronę domu, trzymając w obu rękach wypchaną torbę z McDonalda.

– Moje dziecko! – wrzasnęła Meila na całe gardło. – Nie podchodź tutaj! Nie zbliżaj się! Uciekaj!

Otworzyła okno i błagała w duchu córkę, żeby spojrzała w górę. Jednak Adinda niczego nie zauważała, jak zawsze zadumana i najwyraźniej zadowolona z dobrego amerykańskiego jedzenia, które kupiła sobie na późną kolację. Meila dreptała w miejscu, nie wiedząc, co robić. Nagle dostrzegła podążającego za jej córką rewierowego policjanta, który pomimo że był Indonezyjczykiem, nigdy nie okazywał niechęci w stosunku do mieszkających na Głodoku Chińczyków.

– Bogu niech będą dzięki – wyszeptała. – Jako na pewno pomoże nam się stąd wydostać.

Wybiegła z mieszkania, zamknęła drzwi na klucz i ruszyła mroczną klatką schodową, kryjąc się w półmroku przy ścianie. Skulona, wyszła na ulicę i rzuciła się pędem w kierunku córki. W trwającym zamieszaniu nikt jej nie zauważył.

– Adinda! – Dobięła do dziewczyny i pociągnęła ją w cień pod mur budynku. – Dziecko moje! Zaczęły się zamieszki! Wykańczają Chińczyków! – wyrzucała z siebie hiobowe wieści, ale w oczach córki nie znalazła współczucia czy choćby zainteresowania.

– No to co? Co nas to może obchodzić? – zapytała Adinda ze zwykłą dla siebie pogardą. – Cóż, może twój Shinto coś tam straci, ale dużo mu nie ubędzie, nie martw się – docięła matce i zaśmiała się nonszalancko. – Na biednego nie trafiło.

– Ty idiotko! – Meila nie wytrzymała, chwyciła córkę za ramiona i potrzęsła nią gwałtownie. – Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Jak te rzezimieszki poczują krew, to i nas mogą przy okazji zarznąć!

Na te słowa Adindzie trochę zrzędała mina, ale trzymała swój luzacki fason i lekceważąco wzruszyła ramionami.

Po chwili podszedł do nich Joko.

– *Ibu* Meila! – Objął kobietę ramieniem. – Nie wolno teraz spacerować po ulicy. Czy pani nie widzi, co się dzieje?! – Ze wzburzenia aż podniósł głos.

– Zobaczyłam cię przez okno i tak się ucieszyłam! Może pomógłbyś nam stąd uciec? – zapytała kobieta z nadzieją.

– Owszem, ale nie teraz – odparł, co zdziwiło przerażone kobiety. – Jak się trochę uspokoje, może jutro... – zawiesił głos i spod rzęs ukradkiem spojrzął na nastolatkę. – Teraz trzeba iść do domu, zamknąć drzwi i siedzieć cicho.

– Ale tam kotłuje się banda rozsalałych krwiożerczych łobuzów. Jak mamy się niepostrzeżenie przemknąć? Oni rabują mienie, niszczą domostwa, sklepy, restauracje, banki, a na domiar złego gwałcą kobiety! – krzyczała Meila, tak jakby policjant sam nie widział, co się wkoło wyprawia.

– To co teraz będzie? – W końcu zainteresowała się blada jak ściana Adinda. Ze strachu skurczyła się w sobie i w jednej chwili cała jej poza uleciała z wiatrem.

– Macie przecież czyste indonezyjskie pochodzenie i jawajskie korzenie. Nikt nie będzie was atakował, bo dzisiejsza akcja jest skierowana przeciwko ludności o chińskich genach. Nasz naród od stuleci ich nienawidzi, bo to podła nacja złodziejskich handlarzy – niespodziewanie wyraził radykalną opinię. – Przeprowadzę was i dam wam ochronę. – Zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. – Bez obaw, przy mnie jesteście bezpieczne.

Joko mocno chwycił je za dłonie i prawie ciągnął przez rozszalały tłum. Tak jak przewidywała zahartowana przez życie kobieta, hołota, dopingując się wzajemnie, stawała się coraz bardziej bezwzględna i groźna. Z mieszkań, w których w większości były już powybijane szyby, dochodziły piski kobiet i płacz dzieci. Jakiś oprawca wyrzucił może dwuletniego malucha z pierwszego piętra – dziecko spadło na beton i leżało bez ruchu, z roztrzaskaną czaszką. Ciżba tłoczyła się pod żaluzją zabezpieczającą bank pana Shinto. Dziesiątki małych azjatyckich rąk rwały ją i ciągnęły, aż w końcu wejście stanęło przed rabusiami otworem. Jednym uderzeniem kija wybili wielką witrynę. W tej samej chwili rozległ się strzał, potem drugi, lecz tłum, nie zważając na nic, wparował do środka. Meila, Adinda i Joko obserwowali zajście, stojąc za dużym filarem. Nikt z nich nie drgnął, nawet funkcjonariusz policji. Sam jeden przeciwko wściekłemu tłumowi i tak nie mógłby nic zdziałać. Widzieli, jak hałastrą wyciągnęła małego, chudego właściciela banku na ulicę. Część rzezimieszków, zainteresowana tylko zdobyczą, plądrowała wewnątrz kantoru, lecz większość była żądna krwi i mordu. Matka i córka wytrzeszczały oczy, widząc, co się dzieje. Bandyty chwycili bankiera za ubranie, które po chwili, potargane na kawałki, latało w powietrzu, a potem ludzka masa zakryła jego postać. Szarpali i drapali jego kruche ciało, wyjąc przy tym jak dzikie zwierzęta. Ludźmi tymi kierowała tłumiona latami nienawiść, odezwały się w nich głód i brak perspektyw, które trafiły w Bogu ducha winnych Chińczyków, jakby to oni byli przyczyną ich tragicznej sytuacji. Biedacy nie wiedzieli, że są manipulowani, lecz znalezienie ujścia dla swojej złości w pełni ich satysfakcjonowało.

– Oni go zabijają, rozerwą na strzępy – wyszeptwała Meila. – Zrób coś, Joko! – zawołała, ale policjant spojrzał na nią jak na głupią.

– Czyś ty oszalała?! Tam jest z dwudziestu albo i więcej żądnych krwi zbirów. Nikt i nic ich nie powstrzyma. Występowanie przeciwko nim w pojedynkę to samobójstwo – powiedział, po czym chwycił kobietę za ramię i popchnął w kierunku domu. – Chodźmy stąd.

– Co z ciebie za policjant?! Co za stróż prawa?! – Nie miała zamiaru pozostawić swojego dobrego męża na pastwę chmary zwyrodnialców.

– Chcesz, żeby na was też się rzucili? – ostrzegł Joko. – Chcesz, żeby zabrali się za twoją nieletnią córkę? – Wskazał podbródkiem Adindę, która obserwowała tragiczne zajścia zupełnie oniemiała. – Do domu! – rozkazał w tej samej chwili, kiedy dziki tłum zawył głośniejsze, bowiem udało im się w końcu rozerwać pana Shinto na kawałki.

Zakrwawieni oprawcy wyglądali jak zombi – z ich brudnych rąk ciekła posoka niewinnego człowieka, ich indonezyjskiego brata, który różnił się od nich tylko tym, że miał skośne oczy i żółtawą karnację. Adinda pochyliła się gwałtownie i zwymiotowała. Z jej rąk na ziemię wypadła torba z McDonalda. Dziewczyna gwałtownie łapała powietrze. Rzuciła się do bramy kamienicy i wbiegła na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Kiedy Meila dotarła do drzwi, jej córka trzymała już za klamkę i czekała na ich otwarcie. Jej wielkie czarne oczy w popłochu rozglądały się dookoła. Dziewczyna wpadła do niewielkiego mieszkanka i od razu skierowała się do swojego pokoju.

Gdy dogonił je Joko, Meila stała bezradnie na środku salonu, nie wiedząc, co ma z sobą począć. Czuła, że nie powinny tutaj zostawać, że muszą jak najszybciej uciekać. Rozszalały tłum nie będzie patrzył, czy ktoś jest Indonezyjczykiem, czy nie. Po tym, jak poczuli krew, będą grabić i zabijać każdego, kto im się nawinie.

– Słuchaj – zwróciła się do policjanta, który zamykał właśnie ciężkie metalowe drzwi wejściowe na zamek i zasuwę. – Zabiorę parę najpotrzebniejszych rzeczy i zwiewamy stąd. – Mężczyzna w ogóle nie zareagował, jakby jej nie słyszał. – Na dole, na tyłach restauracji trzymam mój motor. Może nikt go jeszcze nie znalazł. Jakbyś tylko mógł nas asekurować,

byłabym ci bardzo wdzięczna.

Funkcjonariusz w końcu podniósł na nią swój wzrok. W jego oczach malowały się pogarda i chytrość. Widać było, że przemyślał sobie coś, z czego był bardzo zadowolony.

– Nigdzie nie idziecie – oznajmił i mocno pchnął Meilę na sofę. – Powiedziałem, że zostajecie, to zostajecie.

Skierował się prosto do pokoju Adindy, która niestety nie mogła zamknąć drzwi, bowiem matka już jakiś czas temu zabrała jej klucz.

– Dokąd to? – Meila rzuciła się jak lwica, zasłaniając swoim kruchym ciałem wejście do pokoju córki.

– Spadaj, kurwo! – Tym razem policjant odepchnął ją jeszcze mocniej, tak że najpierw wpadła na fotel, a następnie przeleciała z łoskotem przez mały kawowy stolik. – Jak się zadaje z Chińczykami i pieprzy z jednym z nich, to skóra żółcieje – rzucił pogardliwie. – Myślisz, że nikt nic nie wie?

– O czym ty mówisz? Pan Shinto był dla ciebie taki dobry, pomagał ci! A ile razy dostałeś u mnie zupę za darmo?

– W dupie mam tę twoją darmową bieda-zupkę. Teraz ja jestem panem, a ty nikim. I jak ci się podoba taki układ? – Mężczyzna poczuł władzę i stawał się coraz bardziej bezwzględny. – Wolisz, żebym sam się tutaj trochę zabawił czy mam gwizdnąć na tych z dołu? – wycedził przez zęby, ujawniając swoje nikczemne zamiary.

– Przecież ona ma dopiero szesnaście lat! – Meila aż zadrżała z oburzenia. – Zostaw ją, ty zbrodźcu! – Pomimo obolałego, potłuczonego ciała wstała na nogi i z wyciągniętymi przed siebie rękami zbliżyła się do Joko. – Błagam cię...

– Spieprzaj, stara! – Mężczyzna jedną ręką chwycił ją za włosy, a drugą uderzył najpierw w podbrzusze, a potem w twarz. Cios był tak silny, że Meila przeleciała przez pokój jak piłka, uderzyła głową w kant komody i padła na podłogę bez tchu. – No i dobrze. – Oprawca uśmiechnął się z zadowoleniem. – Wszystko i tak spadnie na bandę złodziei i pogromców Chińczyków. Ja mam czyste ręczki. – Nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Adinda siedziała na łóżku z podkurczonymi pod brodę kolanami. – Jak się masz, mała? Lubisz mnie choć trochę? – Dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem pełnym odrazy i nienawiści. Te uczucia miały zagnieździć się w jej sercu już na zawsze.

– I tak właśnie moja mamusia załatwiła mnie na cacy! – mówi Adinda z wściekłością. – Sprzedała moją cnotę za swoją wolność i bogactwo – stwierdza autorytatywnie, tak jakby nie słyszała opowieści swojej matki.

– Adindo, córeczko, jak możesz?! Czemu przeinaczasz fakty?

– Nie jestem żadna Adinda, tylko Natalia. Kiedy chciałaś za półdarmo posyłać mnie do chrześcijańskiej szkoły, to zgodziłaś się na mój chrzest i bierzmowanie. Więc teraz zaakceptuj również tę zmianę. Nie jestem już muzulmanką... – zawiesza głos. – Zresztą przez ciebie w ogóle nie wiem, kim jestem.

– Uważasz, że cię sprzedałam? Jak możesz? – Meila drżącą dłonią masuje sobie czoło. – Leżałam tam nieprzytomna przez całą noc. Joko tak mocno mnie trzasnął, że od uderzenia w komodę miałam wstrząśnienie mózgu. Do tej pory męczą mnie przez to straszliwe migreny.

– Gównu mnie to obchodzi! – ordynarnie odpowiada córka. – Po prostu sobie leżałaś, udając nieprzytomną, żebyś nie musiała interweniować. Wolałabym umrzeć podczas pogromu Chińczyków, niż oddać się temu parszywemu policjantowi. A ty sprzedałaś niewinną jak lilia córkę, która była jeszcze dziewczicą, jedynie po to, żeby móc dalej prowadzić swoje interesy. To

była twoja szczęśliwa noc. Nie dość że pozbyłaś się skośnookiego współnika, to jeszcze przejęłaś jego majątek. I to zupełnie legalnie!

– Co cię skłania do takiego osądu?! – krzyczy oburzona matka, nie zwracając uwagi na Karima i Marysię.

– Poświęciłaś mnie, żeby chronić własne życie, i jeszcze na dokładkę się wzbogaciłaś. Ty zyskałaś, a ja jedynie straciłam.

– Moja droga, nie masz pojęcia, co to przemoc i strata, bo całe życie cię przed tym chroniłam. Z wyjątkiem tego jednego razu... Ten jeden, jedyny raz... – Kobieta wzdycha ciężko.

– Poza tym tej nocy ja również wiele straciłam. Zabrano mi nie współnika, ale męża, opiekuna i człowieka, który prawdziwie i głęboko mnie kochał.

– Też mi coś! – Adinda lekceważy poważne i szczere słowa matki.

– Nie przerywaj mi przez chwilę, dobrze? – Meila zaciska usta. – Straciłam również dziecko.

– No tak, nawet dwójkę. – Adinda patrzy wymownie na Karima. – Ale, zdaje się, że już dużo wcześniej.

– Adinda! Zamknij się w końcu i daj matce skończyć! – Brat nie wytrzymuje i wrzeszczy na opryskliwą dziewczynę, na co ta wstaje od stołu, podchodzi do okna i ostentacyjnie zapala papierosa.

Meila bierze głęboki oddech i podejmuje rozedrganym głosem:

– Od uderzenia w brzuch poroniłam. Straciłam nienarodzone dziecko. Liczyłam, że będzie miało normalny, zwyczajny dom z tatą i mamą, że będzie miało szansę na szczęście. – Po jej policzku spływa samotna wielka łza.

– Przykro mi, mamó. – Karim bierze jej małe dłonie w swoje ręce i ścisną pokrzepiająco, a Marysia nie wie, co ma z sobą począć, bo czuje się skrępowana całą tą sytuacją. Indonezyjska rodzina po raz pierwszy wyjawia sobie swoje tajemnice, a ona jest tego świadkiem. Nigdy by nie przypuszczała, że w tym kraju, pełnym pogodnych i uprzejmych ludzi, działy się tak straszne i okrutne rzeczy. I zapewne nadal się dzieją.

– Adinda po prostu zawsze miała taki charakterek, zawsze całą winę za swoje niepowodzenia zrzucała na innych. – Tym razem Meila patrzy zimno na córkę. – Po tych wydarzeniach nie wróciła już do szkoły, za którą wcale nie płaciłam groszy, jak twierdzi, bo w tamtych latach była to jedna z najlepszych placówek edukacyjnych w Dżakarcie. Zresztą do dziś jest na szczycie rankingowej listy. Powiedziała mi też, że nie będzie ze mną mieszkać, nowy wielki dom na Mentengu był jej zdaniem do niczego, ale łaskawie zgodziła się wyjechać na Bali. Urzędowała tam przez ładnych parę lat w naszej willi, przepraszam, mojej willi zaraz obok mojego hotelu – podkreśla słowa z goryczą w głosie. – Bóg wie, co ona tam wyprawiała, ale niestety ja też wiem. Oczywiście służba donosiła mi o wszystkim. Robili to nie dlatego, że są podli, ale ze strachu o nastoletnią latawicę.

– No pewnie, pewnie... – warczy Adinda, która nie odpuści sobie ostatniego słowa.

– Kiedy podrosła, dostała fikcyjną pracę w moim wypoczynkowym kompleksie. – Meila znów zaakcentowała, do kogo należy nieruchomości. – Dlaczego byłam taka dobra? – pyta z goryczą. – Bo nie miałam wyjścia. Gówniara i tak całymi dniami przesiadywała wśród hotelowych gości, a szczególnie chętnie w otoczeniu nowobogackich Ruskich lub prymitywnych Australijczyków z kopalni diamentów. Oni to szastali forszą! Prawda, kotku? – Kpi, patrząc na córkę z wyraźną niechęcią.

– Odwal się, mamó, dobrze?

– Po chwili miała już swoje czerwone porsche, rolexa z brylantami, góry ciuchów, butów, torebek i biżuterii na kilogramy. Ciężko na to zapracowała, ale jak zaczęło dochodzić

do burd między jej klientami, to musiałam moją cnotliwą córeczkę kopnąć w dupę i wypieprzyć z nieruchomości na Bali, żeby dokumentnie mnie nie skompromitowała. Jeszcze ludzie by pomyśleli, że ja jestem jakąś bajzelmamą, a ta wywłoka dla mnie pracuje!

– Kopać w dupę to ty potrafisz, a bajzel bez skrupułów sama byś założyła, jeśli tylko dawałby ci zyski. – Adinda w ogóle nie przejmuje się, że jej matka tak dobrze zna i opisuje jej profesję, a Marysia i Karimowi na takie wieści oczy wychodzą z orbit.

– Cóż... – Meila pogardliwie wydyma wargi. – Po powrocie do stolicy na dobry początek zafundowałam mojej małej kurewce dwupokojowe mieszkanie w centrum Dżakarty, żeby nie koczowała w slumsach pod mostem, więc i tak spadła na cztery łapki. Teraz je wynajmuje, bo z własnych dochodów – specjalnie modeluje głos i kpiarsko się uśmiecha – kupiła już sobie wielki apartament ze stumetrowym ogrodem na dwudziestym szóstym piętrze.

– Żebyś wiedziała, że dobrze zarabiam. – Córka sięga po następnego papierosa, na co Marysia i Karim krzywią się, ale nic nie mówią. – Jestem menedżerem w hotelu Ritz Carlton, więc mam raczej dobrą pensję.

– Więc dlaczego nie ma cię na żadnej liście zatrudnionych? – Matka orientuje się we wszystkim i nie da się dłużej okłamywać. – Może pracujesz na siódmym lub ósmym piętrze, dokąd prowadzi prywatna winda, he?

– Wiesz co? Pocałuj mnie w dupę! – wykrzykuje młoda elegantka ubrana w sukienkę i buty w najnowszym fasonie prosto z Paryża. – Gdybyś mnie wtedy nie sprzedała temu glińiarzowi, to byłabym nadal porządną, uczciwą córunią mamuni. Możesz mieć pretensje tylko do siebie – oznajmia, kierując się do drzwi.

– Nie zgadzam się z tobą – wypala ni stąd, ni zowąd milcząca dotąd Marysia. – Po pierwsze, twoja matka nie była winna temu, że cię zgwałcono, a jeszcze stanęła w twojej obronie, osłaniając cię własnym ciałem. A po drugie, nie jesteś pierwszą i ostatnią ofiarą gwałtu. Przeszła przez to tak Meila, jak i ja – oświadcza, a wszyscy, zszokowani, obracają się w jej stronę. – I jakoś nie spowodowało to, że zaczęłyśmy uprawiać najstarszy zawód świata, prawda? A twoja matka, żyjąc w tak ciężkich warunkach, miałaby do tego pełne prawo i idealne wytłumaczenie.

– Wszystkie jesteśmy dziwkami, bo każda z nas za coś się sprzedała – odpiera zarzuty wściekła Adinda. – Sprzedajemy swoje ciała, swoje dusze, poglądy i przekonania. – Porywa torebkę od Gucciego i zdecydowanie kieruje się do wyjścia. – Nie będę się wam zwierzać! Nie o mnie nie wiecie i niech tak zostanie! – podnosi głos. – Nie mam zamiaru wyplakać się na czyimś ramieniu ani chwalić, jaka to jestem wspaniała, bo pomimo przesranego startu osiągnęłam nie wiadomo co. – Patrzy na rodzicielkę wymownie i z pełną pogardą. – Wszystkie baby to kurwy! – dodaje, po czym zamasyżuje trzaska drzwiami. Pozostaje po niej jedynie ostry zapach francuskich perfum i goździkowych papierosów *kretek*.

– Nie przejmuj się, Marysiu. – Meila pocieszająco poklepuje zszokowaną dziewczynę po ręce. – Może jej słowa dotyczą tylko indonezyjskich czy azjatyckich kobiet. Na pewno nie europejskich, a tym bardziej arabskich.

– Czy ja wiem... – zamyśla się dziewczyna. – Moja mama była ofiarą... ofiarą mojego ojca i własnych słabości. Całymi latami miałam do niej nieuzasadniony żal... – Zawiesza głos i zapada niezręczna cisza. Karim wstaje, aby zaparzyć kolejną kawę, a Meila duma nad ciężkim losem kobiet na całym świecie. – Polubiłybyście się – ciągnie Marysia. – Bo pomimo tak różnych tragicznych doświadczeń jesteście do siebie bardzo podobne, silne i twarde, obie potraficie wyjść z największych tarapatów.

– Opowiedz nam o niej – prosi Meila.

– Moja mama jest Polką, a ojciec był Libijczykiem. Poznali się w Polsce, podczas jej

osiemnastych urodzin, kiedy był na stypendium. W europejskich warunkach wydawał się normalnym człowiekiem. – Marysia chce wyrzucić z siebie ukrywane od lat tajemnice i tym razem z własnej nieprzymuszonej woli sama przechodzi do zwierzeń. Czuje, że jest wśród swoich, wśród ludzi, którzy wiele przeszli i których życie nie oszczędzało. Wie, że nie ma powodu, aby się przed nimi czegokolwiek wstydzić. Bierze głęboki oddech i po raz pierwszy bez zażenowania opowiada o swoim życiu. – Urodziłam się w małej miejscowości pod Poznaniem i przeżyłam tam prawie pięć lat otoczona miłością i szczęściem. Niestety, mama zgodziła się wyjechać do Libii na wakacje, aby rodzina ojca poznała nowego członka rodu Salimich. Utknęliśmy tam na długie lata, podczas których ojciec z pełnym wyrachowaniem i sadyzmem znęcał się nad moją matką, więził ją i niewolił. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, tatuś – sztych – porwał mnie i moją siostrę, a mamę wywiózł do beduińskiej osady na Saharze, gdzie była traktowana jak niewolnica, wielokrotnie gwałcona i wykorzystywana do najgorszych prac. Dzięki uporowi, zawziętości i odwadze cudem udało jej się uciec z tego piekła na ziemi, ale podstępem odzyskała tylko moją siostrę Darię. Ja zostałam z libijską rodziną, przekonana, że matka nie żyje. Potem pojechałam do Ghany, bo ciotka była dyplomatką i w Akrze dostała stanowisko w ambasadzie libijskiej. Gdy miałam trzynaście lat, podczas szkolnej wycieczki dokonano na mnie zbiorowego gwałtu. – Marysia mówi przez zaciśnięte gardło, a wzburzony Karim w milczeniu zamyka oczy.

– Jakże to tak? Uczniowie to zrobili? – Meila nie wytrzymuje i przerywa, żeby zapytać o szczegóły.

– Nie. Jeden typ spod ciemnej gwiazdy, mój koleżka ze szkoły, który potem zastrzelił moją ciotkę Malikę, opłacił zwyrodnialców, handlarzy bimbrem i marihuaną. Ucieszyli się z młodego kęsa i czuli się zupełnie bezkarni. Było to w afrykańskim buszu koło fortu Elmina.

– *Astana!* – wykrzyknęła Indonezyjka. – Co za życie!

– I co było dalej? – pyta Karim, patrząc ze smutkiem na ukochaną.

– Niestety, zaszłam wtedy w ciążę, lecz dzięki wspaniałej, wyrozumiałej cioci pozbyłam się problemu, a nawet odbudowano mi błonę dziewiczą. Zdajecie sobie sprawę, co to znaczy dla Arabki?

– Oczywiście. – Mężczyzna kiwa głową. – Parę ładnych lat mieszkałem w Arabii Saudyjskiej i rozłożyłem ich mentalność na czynniki pierwsze. – Marysia bacznie spogląda w oczy mężczyzny, ciekawa, czy nie znajdzie w nich pogardy lub potępienia, ale nic takiego nie widzi. Karim ma ciepłe, azjatyckie spojrzenie ufającego jej człowieka.

– Cóż... Życie płynęło dalej i przynosiło kolejne zmiany. W międzyczasie mój ojciec powtórnie się ożenił, a mama, mieszkająca już w Polsce, cały czas bezskutecznie mnie poszukiwała. Po tragicznej śmierci ukochanej Maliki wróciłam z Ghany do Libii i przez chwilę znów mieszkałam w Trypolisie, tym razem z moją cudowną babcią Nadią. Jednak niedługo cieszyliśmy się spokojem, bo musiałyśmy uciekać przed ojcem, który widział we mnie swoją kolejną niewolnicę i chciał, żebym służyła jego nowej rodzinie w Kandzie. Przez pięć lat ukrywałam się u dalekich krewnych w Jemenie. Biedny kraj, życie bez żadnych luksusów, ale byłam tam bardzo szczęśliwa. W Sanie poznałam mojego eksmęża. Prowadził filię znanej powszechnie, wielkiej saudyjskiej firmy Bin Laden, która przy współpracy z UNESCO charytatywnie rekonstruowała i konserwowała zabytki w Jemenie. Jednak to była tylko przykrywką, bo de facto zajmował się on zwalczaniem terroryzmu islamskiego i był tajnym agentem. Obawialiśmy się, że został zdekonspirowany jako saudyjsko-amerykański szpieg, a nasze podejrzenia udowodnił terrorystyczny atak, w którym zginęła całkiem niewinna osoba, moja ukochana babcia. Wtedy z mężem błyskawicznie wyjechaliśmy, by zamieszkać w jego

ojczyźnie. Uznaliśmy, że tam jest bezpiecznie. – Marysia wszystko opisuje tak ciekawie i płynnie, jakby czytała książkę. – Wyobraźcie sobie, że w Rijadzie po ponad piętnastu latach rozłąki przez przypadek odnalazłyśmy się z moją mamą. – Na te słowa zaciekawiona opowieścią Meila klaszcze w ręce, a Karim z niedowierzaniem kręci głową.

– Och! Niesamowite! – wykrzykuje żywiłowo Indonezyjka.

– Tak, to rzeczywiście cud! – przyznaje Marysia ze łzami w oczach. – Jednak sielanka znowu nie trwała zbyt długo, bo obie mamy straszliwie skomplikowane życie. A może same je sobie komplikujemy... Na początku dwa tysiące jedenastego roku udałyśmy się w podróż sentymentalną do Libii i na ponad pół roku ugrzęźłyśmy tam podczas arabskiej wiosny, w której straciłam praktycznie całą najbliższą libijską rodzinę.

– Moje ty biedactwo! A myślałam, że to ja mam pecha. – Meila, okazując zrozumienie i współczucie, głaszcze Marysię po plecach, a następnie kładzie jej rękę na ramieniu.

– Co gorsza... – Dziewczyna bierze głęboki oddech, w końcu jednak postanawia szczerze i bez cenzury kontynuować opowieść, nie zastanawiając się nad konsekwencjami dla jej nowego związku. – Podczas rewolucji... – Znowu przerywa, a Meila i Karim patrzą na nią z milczącym wyczekiwaniem. – Wyjechałam do Libii, będąc w niezbyt dobrych stosunkach z moim ówczesnym mężem. Myślałam, że nasze małżeństwo już się wypaliło, więc kiedy poznałam kuzyna Raszida, długo się nie zastanawiałam. Całkowicie przepadłam w miłości do niego – wyznała jednym tchem i zamilkła na chwilę, ze wstydu gryząc wargi. – Owocem tego uczucia była moja śliczna córeczka Nadia, lecz jej biologiczny ojciec nie doczekał jej narodzin. Zginął na moich oczach na libijskiej prowincji z rąk rządowych najemników.

– I co? Jak się stamtąd wydostałaś, moja piękna? – Meila jest niecierpliwa, bo losy dziewczyny bardzo ją poruszają. Tak inne, a zarazem tak tragiczne jak jej własne.

– Wtedy dowiedziałam się, że mój mąż również uczestniczy w rewolucji, dostarczając partyzantom broń i pieniądze, a na koniec wy dostał mnie i moją mamę z tego piekła.

– A dziecko? – Karim ściska wargi. – Co z twoją ciążą? – Marysia doskonale rozumie, że męska solidarność nie pozwoli mu tak łatwo przełknąć jej zdrady i późniejszego kłamstwa.

– Mama doradziła mi, żebym... – Nie wie, jak to powiedzieć.

Na szczęście wyręcza ją Meila.

– No pewnie, że tak! – woła. – Mąż i opiekun pod bokiem zawsze lepszy niż tatuś nieboszczyk. Dobrze zrobiłaś, moja droga, a twoja mama to mądra kobieta. Koniecznie chciałabym ją poznać. Tak jak mówisz, jesteście ulepione z tej samej gliny.

Karim, Indonezyjczyk wychowany w arabskim kraju, sądzi chyba inaczej, bo gwałtownie wstaje od stołu i podchodzi do okna.

– To chyba trochę nieuczciwe – stwierdza z poważną miną. – Nie uważasz?

– Tak, ale...

– Lepiej dla niej i dla dziecka, że miały rodzinę, a dla samego Saudyjczyka, że o niczym nie miał pojęcia. – Doświadczona kobieta znowu wspiera dziewczynę.

– Później jednak wyszło sztydło z worka i on przez przypadek o wszystkim się dowiedział, ale tak kochał naszą małą córunię, że się do tego nie przyznawał. Nie ten jest ojcem, który spłodzi dziecko, ale ten, który je wychowa. – Marysia ma oczy pełne łez.

– To gdzie jest teraz twoja Nadia? Z nim? – Meila poważnieje, bo zna prawo szariatu, które rządzi szczególnie Królestwem Saudów.

– Została porwana... zniknęła... rozmyła się we mgle. – Głos Marysi łamie się, a Karim znowu siada przy stole i ze współczuciem patrzy na swoją przyjaciółkę. – Wyjechaliśmy na wakacje do Tajlandii i tam ktoś wykradł naszą malutką z pokoju hotelowego.

– Jak to? Jak to możliwe? – dopytuje mężczyzna.
– Nikt tego nie wie, choć śledztwo było prowadzone bardzo solidnie, i to na międzynarodową skalę.

– Co za tragedia! – Wstrząśnięta Meila drży jak osika.
– Moje małżeństwo straciło rację bytu – ciągnie Marysia. – Rozstaliśmy się. Ja nie ustawałam w poszukiwaniach, bo postanowiłam, tak jak moja mama, nie poddawać się, ale to nic nie dało. Ślad po małej Nadii zaginął i niczego nowego nie odkryłam, choć spędziłam w Bangkoku, a potem na wyspie Phuket długie miesiące...

Marysia nie może już dłużej tłumaczyć szloch, zrywa się i biegnie do łazienki. Długo myje twarz lodowatą wodą. Kiedy w końcu doprowadza się do porządku, wraca do swoich powierników.

– Przepraszam, ale na dzisiaj mam już dość zwierzeń – wyznaje słabym głosem.
– Ależ oczywiście, kochanie. – Meila obejmuje ją czule. – Może następnym razem pojedziemy gdzieś poza Dżakartę, to będziemy mieć więcej czasu dla siebie i na spokojne opowieści.

– Z chęcią. W zasadzie jeszcze nigdzie w Indonezji nie byłam. Karim od razu rozpoczął pracę i przez to jesteście uziemieni w tej paskudnej, zadymionej stolicy.

– To błąd! Nasz archipelag jest naprawdę piękny, a teraz, kiedy wiem, że masz ochotę trochę pozwiedzać, pozwól, że będę twoim przewodnikiem.

– Cudownie! – potwierdza Marysia, choć w tej chwili pragnie jedynie zamknąć się w czterech ścianach i uspokoić.

– Do zobaczenia, dzieci – wykrzykuje matka na pożegnanie.

Po wyjściu Meili Karim i Marysia czują się skrępowani. On wychodzi, tłumacząc się kolejnym całodobowym dyżurem, a ona rozmyśla, siedząc w ciemnym pokoju. Nie wróży swojemu kolejnemu związkowi przyszłości. *Co mnie tak wzięło na szczerość?*, wyrzuca sobie, ale jest już za późno. Słowo się rzekło... i to niejedno.

60 Balikpapan – stolica Kalimantanu (Borneo).

61 Kalimantan (indonezyjski) – Borneo.

62 Taman (indonezyjski) – park, ogród.

63 Taman Mini – Indonezja w miniaturze; park na ogromnej przestrzeni prezentujący różnorodne style architektury.

64 Taman Safari – park pod Dżakartą w drodze do Bogor; rodzaj otwartego zoo.

65 Megawati Sukarnoputri – córka Sukarno; liderka Indonezyjskiej Partii Demokratycznej; prezydent Indonezji w latach 2001–2004.

III

AZJATYCKA

PRZYGODA

POSZUKIWANIA

– Dałam Karimowi adres, bo może uda mu się zamienić dyżur w szpitalu z jakimś kolegą i dołączyć do nas. – Meila obejmuje Marysię i czuje, że dziewczyna sztywnieje. – Czy zrobiłam coś nie tak? Wiesz, od powrotu do Indonezji jeszcze nie był w Tugu i jak się dowiedział, że jedziemy, to nie mógł przeboleć. Mówi, że sporo pamięta...

– Przepraszam, *ibu*, ale jestem w połowie Arabką i nie przywykłam do zwierzeń przed mężczyznami – tłumaczy się dziewczyna. – Kiedy ostatnim razem postanowiłam bez skrępowań, choć tylko z grubsza, opowiedzieć o tym, co mnie spotkało, miałam potem duże wątpliwości. Zresztą nadal nie wiem, czy dobrze postąpiłam, ujawniając Karimowi moje tajemnice. Uważam, że faceci nie powinni wszystkiego wiedzieć o swoich kobietach, bo bywa, że potem, chcąc nie chcąc, się nimi brzydzą. Szczególnie muzułmanie. A w moim życiu, kochana, wydarzyło się wiele złego. Gwałt w wieku trzynastu lat i romans z kuzynem to tylko wstęp... – ironizuje, choć tak naprawdę przestraszyła ją reakcja Karima na wiadomość o nieślubnej Nadii i nieuczciwości Marysi wobec Hamida.

– Nie żartuj. – Meila bierze ją za rękę. – Ja opowiedziałam wszystko jak na spowiedzi, a wiele tego miałam na sumieniu. Myślisz, że mój syn mnie przez to znienawidzi? Nie sądzę. Więc nic się nie bój! Teraz ty uruchom pokłady uczciwości i całą swoją polską odwagę i wyrzuć z siebie wszystko. Nawet nie wiesz, jak dobrze się potem poczujesz – przekonuje.

– Masz rację, muszę się wyżyć arabskich kompleksów, świadczących o niższości kobiet i konieczności zachowania przez nie bezwzględnej czystości, którą i tak odbierają im mężczyźni. Ty też nieźle sobie podżyłaś z tym Saudyjczykiem, więc wiesz, co mam na myśli.

– Och, tak! Doskonale!

Marysia jednak nie chciała tak do końca zwierzać się przed Karimem. Nie chciała opowiadać o swoim poplątanym życiu, również dlatego, że dręczyło ją jedno niewyjaśnione wspomnienie, jeden obraz z przeszłości, kiedy widziała swojego obecnego partnera w zupełnie innej roli. Odsuwa jednak tę myśl i chłonie azjatyckie klimaty, które tak przyjemnie jest oglądać zza szyby klimatyzowanego komfortowego samochodu. Kobiety milczą i cisza wcale im nie ciąży. Napawają się oszałamiającym widokiem, który rozpościera się za oknem. Nie jest on może piękny, ale charakterystyczny dla tego miejsca na kuli ziemskiej. Uroda tutejszego świata przeplata się z brzydotą biedy i ubóstwa, powab indonezyjskich kobiet ze szpetotą kalek i chorych, ciepło uśmiechniętych twarzy z krzykiem okradanych.

– Tutaj mieszkałaś? – Marysia pierwsza przerywa ciszę.

– Tak, przez ponad piętnaście lat – potakuje Meila. – Widzisz tę restaurację o nazwie „Gurami”?

– Pewnie. Jest tak wielka, że trudno jej nie zauważyć. – Śmieje się, oglądając prymitywnie namalowaną reklamę z wielką rybą.

– Należy do mnie – ogłasza triumfalnie mała kobietka, po czym zakreśla dłonią całą długość chodnika. – I *warungi* przy głównej ulicy też.

– Które?

– Od szutrowej ścieżki, prowadzącej do mojego dawnego *kampungu*, aż do asfaltowej drogi. – Dziewczyna robi wielkie oczy, bo to odcinek ponadstumetrowy, na którym aż gęsto jest od różnego rodzaju biznesów, prowadzonych zarówno w parterowych murowanych barakach, jak i w wolno stojących jadłodajniach.

– Nieźle – przyznaje z podziwem. – Całkiem nieźle jak na dziewczynę o splamionym honorze, wyrzuconą z domu z powodu ciąży. – Oczy jej się śmieją, bo jest naprawdę dumna z dzielnej Indonezyjki.

– A oto i mój domeczek – oświadcza Meila, kiedy zatrzymują się na wyłożonym marmurem podjeździe przed ogromnych rozmiarów willą z basenem. – Rano nie będziesz musiała iść na pole pikować ryż, więc nic się nie martw. Ja też będę się lenić, a kawę z ciepłymi ciasteczkami przyniosą nam do łóżek.

– Ależ musisz mieć satysfakcję, co?

– Gwarantowaną, moja droga. Ale to nie wszystko... – Tajemniczo zawiesza głos. – Człowiek potrzebuje trochę szczęścia, bo ponoć pieniądze go nie dają. – Gospodyni otwiera solidne drewniane wejściowe drzwi. – Oto Janek, o którym wam opowiadałam. – Kobieta z figlikiem w oku przedstawia Marysi wysokiego łysiejącego blondyna, który wychodzi im na spotkanie.

– Cześć. – Mężczyzna wita się po polsku, wyciągając do gościa wielką jak bochen chleba dłoń. Po chwili jednak przytula dziewczynę i energicznie poklepuje po plecach.

– Cześć. – Marysia jest w szoku, słysząc w indonezyjskim domu polską mowę. – Przepraszam, ale nie mówię za dobrze – usprawiedliwia się, bo jak zawsze jest przekonana, że kaleczy język, choć włada nim całkiem poprawnie.

– Nie ma sprawy, choć uważam, że chyba trochę przesadzasz. – Janek uroczo się uśmiecha, a zmarszczki w kącikach jego błękitnych oczu stają się odrobinę bardziej widoczne. – Ależ byłem ciekaw tej polsko-arabskiej dziewczyny w azjatyckim kraju. Losy ludzkie są nieprzewidywalne. – Wprowadza do środka speszoną Marysię i usadawia w wielkim klubowym skórzanym fotelu w kolorze écru. Salon ma ponad pięćdziesiąt metrów, ale jest tak urządzony, że sprawia wrażenie przytulnego gniazdka.

– Jednego, moja droga, nie mogę zrozumieć z twojej wstępnej opowieści. – Meila od razu przechodzi do nurtujących ją tematów. – Dlaczego pojechałaś szukać swojej córki akurat do Phuket? To bez sensu! – Widać, że jest bardzo poruszona nieszczęściem Marysi.

– Nie, kochana. Bez sensu było zostawać w Arabii Saudyjskiej. – Zraniona matka, po miesiącach pracy nad sobą i licznych próbach wyciszenia, może już rozmawiać o swojej tragedii niemal spokojnie. – Jak jakiś Saudyjczyk mógłby wywieźć błękitnookie dziecko o jasnorudych włosach z Bangkoku, i to na dokładkę bez paszportu? Jakim sposobem wwiozłby je do restrykcyjnej i konserwatywnej Saudi? I jak taki rudzielec pasowałby do semickich rodziców, co? Nikt nie dałby rady jej przeszmuglować – oświadcza autorytatywnie – więc jeśli żyje, to tylko w Tajlandii, może właśnie w Phuket, gdzie zaginęła, albo gdzieś na okolicznych wyspach... – Pomimo starań głos jej się łamie, a oczy zachodzą łzami.

– Przepraszam, że cię dręczę. – Meila pochyla się nad biedną dziewczyną i czule ją obejmuje. – Już ani słowem nie wspomnę o Nadii.

– Bo widzisz, *ibu*, moja matka już chyba całkiem zwariowała. Opowiada mi na przykład, że widziała moje dziecko w Polsce, w Gdańsku, na skwerze w parku koło swojego domu. – Marysia skarży się załości. – No powiedz mi, jakim cudem? – wybucha. – Jakim cudem?!

Hamid i Marysia, po paromiesięcznych poszukiwaniach, z nerwami zszarganymi przez mało wiarygodne maile i telefony od naciągaczy, zdecydowali się odwołać wszystkie służby śledcze i prywatnych detektywów. Zamknęli się w domu i prawie z niego nie wychodzili. Ona, zalewając się łzami, przeglądała zdjęcia i filmy ze swoją maleńką ukochaną córeczką,

a on porządkował papiery. W końcu przyszła jedna, jedyna noc, kiedy z rozpaczy tulili się do siebie i po długiej przerwie kochali wśród bólu, łez i krzyku. Nad ranem mężczyzna odsunął się od żony, siadł na łóżku i zapalił światło.

– Trzeba w końcu szczerze porozmawiać, Miriam – oznajmił, twardo patrząc przed siebie.

– O czym? Masz jakiś plan ścigania porywaczy? – zapytała Marysia z nadzieją w głosie.

– Dłużej już nie ma sensu. To była jakaś Cyganka, złodziejka, która po zabranii biżuterii wzięła też Nadię, bo może mała zaczęła płakać. Zapewne wyrzuciła nasze dziecko do morza albo do kanału. I tyle. Został przekopany każdy kąt, każdy zakamarek i nic. Rozstąp się, ziemio! Pozostało nam tylko się z tym pogodzić.

– Ale przecież ktoś odpowiedział na nasz anons! Ktoś ją widział.

– To jakaś hiena albo znudzony nastolatek. – Hamid pokręcił głową. – Nikt nie stawiał się w umówionym miejscu, więc sama widzisz. Nie ma co nadal się okłamywać.

– Nigdy nie przestanę szukać naszej córeczki! – wykrzyknęła trzęsącym się głosem kobieta. – Jak długo będę żyła! – oświadczyła, zaskoczona obojętnością i zniechęceniem męża. – Więc o co chodzi? O czym chcesz gadać, jeśli nie o odszukaniu naszego dziecka?

– W Tajlandii straciłem moją ukochaną córkę, ale już dużo wcześniej odeszła druga bliska mi osoba – zaczął Hamid śmiertelnie poważnym tonem. – Tylko Nadia była powodem, dla którego tyle czasu byliśmy razem. Ty już dawno temu wybrałaś i oddałaś swoje serce i honor innemu... A że on zginął, postanowiłaś podle mnie oszukać i wykorzystać.

– Co ty wygadujesz? – Strach i wstyd chwyciły Marysię za gardło. *A więc jednak! Więc jednak się dowiedział. Oszustwo zawsze wypłynie i zemści się na wiarołomcy,* podsumowała, szykując się na swój los.

– Odsuń sobie kłamstwa! – zdesperowany Hamid podniósł głos. – Na nic się już zdadzą. Nie ten jest ojcem, który przypadkowo daje życie, ale ten, który kocha i wychowuje. A ja zakochałem się w naszej... twojej małej dziewczynce całym sercem, wszystkimi zmysłami, każdą cząstką mojego jestestwa...

Marysi serce się krajało, a łzy zalewały twarz.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem.

– Przez przypadek oczywiście. – Zraniony mąż zaśmiał się szyderczo. – Nawet o tym nie wiesz, bo większość czasu spędzałaś z koleżankami, ale kiedyś mała miała wysoką gorączkę, wzdęty brzusek i postanowiłem zawieźć ją do lekarza. Ten, obawiając się, że to wyrostek i trzeba będzie operować, wykonał wszystkie analizy. Do zabiegu potrzebna jest też grupa krwi i okazało się, że dziecko ma wyjątkowo nietypową, niespotykaną również w obu naszych rodzinach. Z naszego 0 RH+ nie powstanie AB RH-. Geny takich figli nie płatają – zakpił smutno.

Marysia milczała dłuższą chwilę. W końcu wstała z łóżka i oznajmiła martwym głosem:

– Jutro się wyprowadzę.

– W moim gabinecie na biurku leżą papiery rozwodowe. Podpisz je – poprosił skrzywdzony mężczyzna. – Jest tam również trochę gotówki na niezbędne wydatki, a na koncie masz te sto tysięcy dolarów, które dostałaś ode mnie w prezencie ślubnym.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy, bo nie dla pieniędzy za ciebie wyszłam! – wykrzyknęła żona. – I chcę ci oświadczyć po raz ostatni: ja nigdy nie zaprzestanę szukać Nadii. Nigdy! – Wpadła w histerię i drżała na całym ciele. – Ja wiem, czuję to moim matczynym sercem, że ona żyje! Tak jak mama odnalazła mnie, tak ja odnajdę moją córeczkę. Choćbym

miała na to poświęcić resztę swojego życia. – Położyła rękę na piersi, składając przysięgę przed swoim byłym mężem, a następnie udała się do pokoju gościnnego.

Kiedy obudziła się z koszmarne snu, Hamida nie było już w domu. Pozostał po nim tylko zapach markowych perfum, których używał od lat. Teraz, kiedy bezpowrotnie go straciła, Marysia zdała sobie sprawę, że kocha tego dobrego i uczciwego mężczyznę całym sercem. Był dla niej od młodzińskich lat opiekunem, wzorem, ideałem, tak różnym od jej podłego ojca Ahmeda czy nieodpowiedzialnego pyszałkowatego kochanka Raszida. Tak się tragicznie złożyło, że jedynej prawdziwej miłości zaznała z człowiekiem, którego najdotkliwiej skrzywdziła.

Od razu zadzwoniła do Doroty, by najcięższą przeprawę mieć jak najszybciej za sobą.

– Mamo, wyjeżdżam. Za dwie godziny mam lot – poinformowała zimno.

– Dokąd, córeczko? – Kobieta czuła się odepchnięta, bo po straszliwej stracie pierworodna nie chciała jej widzieć, nie chciała z nią rozmawiać i chyba w ogóle nie chciała jej znać. Dorota jednak zawsze starała się tłumaczyć córkę jej rozpaczą i całkowitym załamaniem. – Powiedz, kochanie.

– Nie wiem jeszcze... Byle dalej... Przed siebie. – Marysia rzuciła pojedyncze wyrazy, nie chcąc wyjawiać matce celu podróży.

– A Hamid? Czy on też z tobą leci? – delikatnie zapytała i nawet przez telefon słysząc było, jak wstrzymała oddech.

– Nie. Jesteśmy już po rozwodzie – odparła córka z kpiarską nutką w głosie.

– Jak to? Niewiarygodne! Przecież on cię tak strasznie kocha! – Nie mogła się nadziwić.

– Wszystko do czasu. Ponoć już dużo wcześniej dowiedział się, że nie jest biologicznym ojcem Nadii, i był ze mną tylko i wyłącznie ze względu na nią. – Marysia wiedziała, że bez szczegółów się nie obejdzie. – Tak więc kiedy teraz nie ma dziecka, nie ma też naszego pseudozwiązku.

– Ależ nie można tak pochopnie podejmować decyzji! – Dorota nie poddawała się. – Może ja z nim porozmawiam?

Na taką propozycję Marysi włosy stanęły dęba.

– Tylko spróbuj, to nie odezwę się do ciebie już do końca życia – zagroziła śmiertelnie poważnym głosem. – Stracisz i córkę, i wnuczkę za jednym zamachem. Wybór należy do ciebie.

– Maryniu! Dziecko kochane! Co ty mówisz?

– Jak gdzieś osiądę, to prześlę ci mailem mój nowy numer telefonu. Na razie. – Rozłączyła się, pozostawiając po drugiej stronie linii swoją zrozpaczoną, szlochającą i kochającą ją na zabój matkę.

Marysia nigdy nie była nadmiernie czuła i wylewna, ale teraz jej serce zamieniło się w lodowy głaz. Jak lunatyk chodziła po mieszkaniu, zbierając swoje rzeczy. Postanowiła zapakować się w jedną walizkę, więc nie zajęło jej to zbyt wiele czasu. Potem siadła przed komputerem, wykupiła bilet on-line i od razu zrobiła check-in, jako że lot był za parę godzin. Weszła jeszcze na stronę ambasady i sprawdziła możliwość dostania wizy na lotnisku. Okazało się, że nie ma z tym żadnego problemu, bo w końcu to państwo żyje z turystyki. Przejrzała też kilka stron internetowych, by zarezerwować sobie w miarę godziwy, ale niedrogi hotel. Wszystko szło jak po maśle. Kiedy bagaż i podręczna torba stały już w przedpokoju, pozostało jedynie zakończyć sprawy formalne.

Kobieta weszła do gabinetu męża i wzięła z biurka plik rozwodowych dokumentów. Uśmiechnęła się ironicznie, czytając, że przyczyną ich rozstania jest niezgodność charakterów. Bez chwili namysłu podpisała w zaznaczonych miejscach. Na stole leżały jej dwa paszporty: polski, w którym występowała jako Maria Salimi, oraz saudyjski wystawiony dla Miriam

Ahmed Salimi Bin Laden. W pierwszym była wbita wiza wyjazdowa, a w drugi został wsadzony akt notarialny, w którym Hamid Bin Laden zezwala swojej żonie na samodzielny wyjazd z Królestwa Arabii Saudyjskiej w celu poddania się leczeniu. Do tego wykonano legalizację kopii *iqamy*, gdzie widniała jako żona Saudyjczyka. Przewidujący eksmałżonek dał jej dwie możliwości opuszczenia kraju i każda była zgodna z prawem szariatu. Jako Polka Maria nie musiała mieć *mahrama*⁶⁶ i przed nikim się tłumaczyć, a jako Arabka Miriam miała stuprocentowe papiery na bezproblemową przeprawę na lotnisku. Marysia rzuciła jeszcze okiem na plik dolarów leżący obok dokumentów. Odliczyła dziesięć tysięcy, naskrobała na kartce informację, że pożycza tę kwotę i niedługo odda, po czym żwawo wyszła z domu. Kiedy zatrzęsnęły się za nią drewniane, ciężkie drzwi, jej ciałem wstrząsnął nagły dreszcz. Kobieta czuła, że w tej sekundzie zamknął się w jej życiu okres, który oprócz wzlotów i upadków obfitował w najszcześniejsze momenty, jakich doświadczyła. Zakreśliła jej się łza w oku, lecz bez wahania wsiadła do czekającego na nią samochodu. Uważała, że ten etap jej życia został definitywnie zakończony. Chcąc iść do przodu, musiała się z tym pogodzić. Jedynym faktem, którego nie zaakceptowała, było zniknięcie jej córki. Dlatego też postanowiła udać się na dalsze poszukiwania do Tajlandii.

Marysia wylądowała w Bangkoku i ruszyła za tłumami do odprawy. Wizę dostała bezproblemowo, do hotelu dojechała w ciągu dwóch godzin i dopiero w pokoju zaczęła się zastanawiać co dalej.

– No i co teraz? – pytała samą siebie. – Na jaką cholerę ja tutaj przyleciałam? Przecież Interpol przekopał w Tajlandii każdy kąt, każdą dziurę i każdy kanał. – Ciężko przełykała ślinę, usiłując zapanować nad płaczem. – Nic to! – wykrzyknęła, zrywając się na równe nogi. – Nawet jeśli Nadii tu nie ma, to ja muszę odmienić swoje życie. Mam dość Arabów i arabskich krajów. Czas na Azję! – Pełna werwy chwyciła za torebkę i wybiegła z hotelu.

Przez pół dnia zwiedzała wszystkie najbardziej znane miejsca. Cały czas poruszała się trasą, którą jeszcze nie tak dawno przemierzała z kochającym ją mężem i najśladszą córeczką. Wielki Pałac Królewski zmalował w jej oczach, nefrytowy najcenniejszy na świecie Buddha stał się małą, niewiele wartą statuetką jakiegoś świętego, a leżący ponaddwudziestometrowy posąg buddyjskiego boga wydawał jej się wręcz komiczny. Wszystkie śmiejące się rzeźby Siddharthy Gautamy⁶⁷ były dla Marysi beznadziejnie głupie i nie mogła zrozumieć wiernych, którzy wpatrywali się w nie z estymą. Kiedy pielgrzymi wchodzili do zasadniczej świątyni, padali plackiem na podłogę z obróconymi do góry dłońmi, co niemal wywołało u zwiedzającej wybuch śmiechu. *Tyle się mówi o ortodoksyjnym islamie, a tutaj proszę!, pomyślała. Też walą czołami przed swoim bogiem, uwielbiają go i słuchają jego nakazów, pomimo że Buddha był człowiekiem i nie ma w nim nic świętego, groźnego czy godnego szacunku.* Młoda kobieta, nie wiedząc nic o buddyzmie, z pogardą wyduła wargi i postanowiła, że nie będzie już więcej uczestniczyć w tym cyrku. *Dość kościołów, meczetów i innych świątyń,* obiecała sobie. *Ja byłam wychowywana w dwóch religiach, mam aż dwóch bogów i co? Czy któryś z nich oszczędził mnie lub moją córkę? Czy ochronił nas przed cierpieniem? Cała ta wiara jest gównem warta!* stwierdziła i skierowała się do świeckiej części miasta. Postanowiła pojechać do sklepu jubilerskiego, gdzie kupili Nadii piękną złotą bransoletkę z figurkami z bajek Disneya. *Może będą jeszcze mieli taką samą, to zafunduję sobie na pamiątkę,* zdecydowała.

– Witamy serdecznie! – Sprzedawczynie stały w szpalerze, czekając tylko na napalonych na zakupy *farangów*. – Czym możemy służyć? Co panią interesuje? Złoto? Żółte, białe, kolorowe? A może srebro? Mamy też piękne szafiry ze Sri Lanki. A może

granaty? Diamenty? – zachwalały swój towar, wymieniając całą listę przepięknej biżuterii, która była wystawiona wzdłuż i wszerz wielkiego sklepu, a Marysia tylko machała rękami, chcąc zatrzymać potok ich słów.

– Byłam tutaj jakiś czas temu – zaczęła, gdy w końcu udało jej się dojść do głosu. – Kupiłam wtedy córce taką dziecięcą bransoletkę...

– Ach, tak! To pani! – Młoda sprzedawczyni wystąpiła przed swoje koleżanki. – Już pamiętam! Malutka była taka niezwykła, taka piękna! – zachwyciła się Nadią. – Jej rude włosy robiły furorę, a te błękitne jak bławatki oczy to po prostu cud świata! – Widać było, że dziewczynka bardzo jej się spodobała, bo który sprzedawca zapamiętałby tak dokładnie rysy jednego ze swoich klientów. – Jak się ma? Tym razem też z panią przyleciała? – zadawała grzecznościowe pytania, które raniły serce matki.

– Tak, tak... – Marysia wzięła głębszy oddech, żeby się opanować. – Jest w hotelu z ojcem – łągała jak z nut. – Chciałabym zakupić podobne caczusko do kompletu.

– Oj, niestety! – zawołała z żalem ekspedientka. – To była jednorazowa dostawa, prosto z Italii.

– No trudno. – Marysia chciała jak najszybciej wyjść ze sklepu, bo czuła, że sytuacja ją przerasta. – Zajrzę tu jeszcze – znów skłamała, chcąc dać Tajce nadzieję na przyszły zysk.

– Niech pani zaczeka. – Młoda chwyciła ją za rękę. – Może tym razem wybierze pani coś dla siebie?

– Nie, dziękuję. – Kobieta, zirytowana natarczywością, stała się bardziej oficjalna.

Niezrażona sprzedawczyni pochyliła się jednak w jej kierunku z tajemniczą miną.

– Wie pani co? Szkoda, że ostatnim razem już później państwo do nas nie zajrzeli.

– Czemu? – zaciekawiła się, choć pod wpływem powracających wspomnień ledwo oddychała i wydawało jej się, że za chwilę zemdleje.

– Pojawiła się taka Arabka, Saudyjka chyba, bo całkiem zasłonięta. – Młoda z obrzydzeniem wyduła swoje ładne wargi. – Nie taka jak pani, normalna, ale dumna i arogancka baba, lecz miała do sprzedania taką biżuterię, że mucha nie siada.

– Tak? – Marysia nadstawiła uszu i zapomniała o chwilowym kryzysie.

– Jakie ona kolie przyniosła! Jakie wisiory, zawieszki, bransolety i kolczyki! – Młoda z zachwytem raz po raz wyrzucała ręce do nieba. – Oddałaby to za bezcen, ale szef nie chciał kupić, bo bał się, że kradzione.

– Dlaczego miałyby być kradzione?

– Nie pamięta pani tej afery saudyjsko-tajskiej, przez którą nawet stosunki dyplomatyczne zostały zerwane?

– Nic o tym nie wiem.

– Jedna księżniczka ukradła drugiej kolie wartą parę milionów dolarów, a ktoś od nas pośredniczył w sprzedaży, nie spodziewając się oszustwa. Niestety, to drogocenne cacko kupiła żona naszego ministra spraw zagranicznych i kiedy pojechali z wizytą do Europy, ona założyła kolie na oficjalne przyjęcie. Zrobił się z tego międzynarodowy skandal, więc teraz my, Tajowie, dmuchamy na zimne. Saudyjczycy nie mają skrupułów, a potem, kiedy szwindel ujrzy światło dzienne, umywają od wszystkiego ręce i zrzucają winę na innych.

– Ciekawa informacja... – Marysia zadumała się. – Myśli pani, że to była księżniczka? – dopytywała, a serce biło jej jak młotem.

– A jak?! Taka wyniosła i nadęta lampucera, z manierami jak królowa! Wszyscy z Półwyspu Arabskiego to tak mają poprzewracane w głowach, że koniec świata! – wyraziła swoją opinię Tajka.

– Ma pani może jakieś dane tej kobiety? – Marysia starała się zachowywać na luzie

i opanować drżenie głosu.

– Mam – szepnęła młoda. – Pokażę pani, ale tak po cichu, żeby nikt się nie dowiedział. Wzięłam od niej jeden komplecik biżuterii, bo wkrótce miałam wychodzić za męża i mój narzeczony zgodził się na zakup, bo na taką kwotę było go stać.

– Co to ma do rzeczy?

– Dała mi go prawie że na krechę – powiedziała, robiąc smutną minę. – Wręczyłam jej tylko sto dolarów zadatku, a resztę miała odebrać później.

– Odebrała?

– Niestety, nie. – Sprzedawczyni pociągnęła Marysię na zaplecze, mimo że współpracownicy patrzyły na nią z naganą. – Ja nie chcę mieć żadnego długu, nikogo oszukać ani tym bardziej okraść – wyznała z powagą. – Szczególnie że tę biżuterię miałam dostać w prezencie ślubnym. Zła karma, proszę pani, i nieszczęście gotowe, a ja chcę być szczęśliwa z moim mężem.

– I co zrobiłaś? – Marysia nie rozumiała zachowania i słów Tajki, bo według niej każdy ucieszyłby się z darmowego skarbu.

– Pisałam do niej maile, dzwoniłam, ale nic to nie dało. Po pewnym czasie dostałam informację, że skrzynka internetowa jest przepelniona, a telefon odłączony. Tyle.

– Czyli zyskałaś drogocenne błyskotki za stówkę. – Zaśmiała się, w dalszym ciągu nie pojmując przerażenia młodej mężatki.

– Wcale nie! Nic nie mam! – wybuchnęła oburzona kobieta. – Trzymam to tutaj, w sejfie. – Obróciła się od rozmówczyni, otworzyła pancerną kasę i wyciągnęła sporych rozmiarów irchowe etui. – Niech pani spojrzy! Przecież to jest warte majątek! Uczciwie stargowałam na tysiąc dolarów, ale bez zapłaty nie mogę tego przyjąć. Jedno z przykazań moralnych zakazuje brać to, czego nam nie darowano, a ona za darmo dać mi nie chciała.

Marysia wbiła wzrok w zawartość pudełka i zamarła. Serce stanęło jej w miejscu, nie mogła złapać tchu. Po chwili cały świat odpłynął, a ona jak długa padła na podłogę w sklepie jubilerskim w centrum Bangkoku.

– Proszę pani... – Słyszała jak przez mgłę. – Proszę pani... Co ja takiego zrobiłam?! Co ja powiedziałam?! – Ledwo dochodził do niej kobiecy krzyk.

Kiedy poczuła zimną wodę na czole i mokry materiał na dekolcie, powoli powróciła do żywych i otworzyła oczy. *Lamia była tutaj w tym samym czasie co my*, stwierdziła. *Czy to zbieg okoliczności? Dla tej oszustki nie ma zbiegów okoliczności.*

– Przepraszam – powiedziała słabo. – Pokaż mi to cacko. Spodobało mi się do utraty przytomności – zażartowała.

Wstała, wzięła z rąk przestraszonej dziewczyny pudełko i wyciągnęła ciężki od szlachetnych kamieni naszyjnik. Pamiętała jak dziś księżniczkę na huczonym przyjęciu wydanym w jej pałacu w Rijadzie. Wtedy zobaczyła na własne oczy, jak bawią się klasy wyższe w najbardziej ortodoksyjnym muzułmańskim kraju na świecie. W centrum wahabickiego miasta, w murach rezydencji była świadkiem publicznie uprawianego seksu, zachlewania się markowym alkoholem i ćpania wszelakiej maści narkotyków. Tego właśnie wieczoru Lamia była ubrana w cieniutką gładką jedwabną suknię udrapowaną tylko na jednym ramieniu i piętnastocentymetrowe szpilki. Kreacja była bez ozdób czy nadruków, bowiem całą jej oprawę stanowiła drogocenna biżuteria. Komplet był jedyny w swoim rodzaju i na pewno wykonany na zamówienie. Wielkie jak paznokcie brylanty otoczone zostały tęczowymi topazami i szmaragdami o nieregularnym kształcie i umocowane w czystym osiemnastokaratowym złotym i białym złocie. Marysia w zamyśleniu delikatnie jeździła opuszkami palców po klejnotach.

– Niezła błyskotka, prawda? – Sprzedawczyni aż błyszczały oczy.
– Ile za to dałaś? – wtrącił szef dziewczyny, który przybiegł na zaplecze, słysząc o omdleniu klientki.
– Sto dolarów zaliczki – odpowiedziała cicho. Mężczyzna spojrzął na swoją pracownicę z wściekłością, na co ta aż skurczyła się ze strachu. – Przecież miałam dopłacić resztę... – tłumaczyła coraz mniej pewnie, wyrzucając sobie, że dała się ponieść i wyznała tej nieznannej Arabce prawdę.
– To jest warte co najmniej pół miliona dolarów, moja droga – obwieściła Marysia. – Prawda? – Chciała potwierdzić swoją opinię u menedżera, a ten jedynie milcząco potaknął. – Masz wizytówkę tej pani. Ja też jestem z Arabii Saudyjskiej, to może mogłabym ci pomóc uregulować dług.

Zebrany otworzyły się buzie, bo kobieta była skąpo ubrana w krótkie szorty i zwykły bawełniany podkoszulek bez rękawków, a na dokładkę mówiła perfekcyjnym brytyjskim angielskim.

– To wspaniale. – Ekspedientka podniosła wieczko, wyciągnęła małą złotą karteczkę i wręczyła zainteresowanej. – Może wzięłaby pani ten zestaw i oddała księżniczce, co? – zapytała błagalnym głosem. – Nie miałam tego na sobie i nigdy nie założę.

– Moja droga! A co ja bym z czymś takim zrobiła w hotelu? I jak bym to niby miała przewieźć przez granicę?

– Nie wiem. A jak ona to zrobiła?

– Zapewne przyleciała tutaj prywatnym odrzutowcem – wyjaśniła Marysia, bo najwyraźniej ci ludzie byli nieobeznani z saudyjskimi realiami.

Wbiła wzrok w wizytówkę. Było na niej tylko imię: Princess Lamia, e-mail i telefon. Nic więcej, nawet nazwiska. *Jakaż ona musiała być zdesperowana, że chciała oddać tak drogocenną biżuterię za jedyne tysiąc dolarów*, pomyślała. Odgrzebała w pamięci starą informację, jeszcze z Rijadu, o wyprzedawaniu się przez księżniczkę z licznych dóbr, ale dopiero teraz dało jej to do myślenia. Oddawała ponoć wszystko za bezcen! Marysia przypomniała sobie relację Polki chwalać się zrobieniem interesu swojego życia. Te wszystkie dane oznaczały jedno – księżniczka Lamia była bez grosza przy duszy. *Może to ona porwała nasze dziecko? Może liczyła na wysoki okup?*, załamana matka zadawała sobie pytania, ale wiedziała, że nikt nie jest w stanie udzielić jej odpowiedzi. *Jeśli tak, to nie zabijałaby malej, zemsta nie dałaby jej przecież pieniędzy*. Nadzieja znów pojawiła się w jej sercu. *Wiedziałam, że Nadia żyje, i wiedziałam, gdzie trzeba jej szukać!* Podbudowana, uśmiechnęła się do zebranych. Była tak radosna, jakby już odnalazła swoją rudowłosą dziewczynkę.

– I jak? Zna ją pani? – Menedżer też okazał zainteresowanie tym niezwykle dziwnym zbiegiem okoliczności.

– Znałam, dawno temu... – odparła tajemniczo. – I gwarantuję, że pojawi się po te pieniądze. Nie podarowałaby takiej kasy. – Pocieszała dziewczynę, ale przede wszystkim siebie. – Weź mój numer telefonu i maila, kochana. Jak tylko do ciebie zadzwoni, daj mi znać – proszącym, acz stanowczym tonem zwróciła się do Tajki.

– Dobrze, ale właściwie po co? – Młoda nie widziała związku saudyjskiej księżniczki z tą dziwną egzaltowaną turystką.

– Mam z tą panią od dłuższego czasu na pieńku i też nie mogę jej nigdzie znaleźć – wyznała Marysia, patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Ma wobec mnie honorowy dług – wyjawiała najszczerzą prawdę, bo to przecież księżniczka ukradła jej grube pieniądze i z nich sponsorowała akty terrorystyczne w Arabii Saudyjskiej, co omalże nie spowodowało osadzenia Marysi w więzieniu lub nawet zasądzenia najwyższej kary.

- Jeśli tak... – Ekspedientka wzięła kartkę z danymi i schowała ją do torebki.
- Gdy tylko się z tobą skontaktuje, poinformuj mnie – powtórzyła swoją prośbę i mocno chwyciła sprzedawczynię za dłonie.
- Oczywiście, oczywiście! – Tajka wyrwała się, bo podekscytowana kobieta miażdżyła jej palce.

Wykończona gwałtownymi emocjami, Marysia wyszła z chłodnego, klimatyzowanego sklepu i od razu oblepiły ją bangkocki upał i wilgoć, a do uszu wdarł się hałas samochodów, motorów, rikszy i denerwujące trąbienie. Zatrzymała się przed witryną, nie wiedząc, gdzie się teraz udać. Głowę rozsadał jej natłok myśli, goniących jak szalone jedna drugą.

– Może jaśnie panienka wybierze się na wycieczką rikszą? – zachęcał młody postawny Taj, pokazując całkiem solidny trójkołowy pojazd. – Zawiozę do pałacu, świątyń, może nad kanały... – oferował, pomimo że kobieta usiłowała go zniechęcić nieprzychylnym wyrazem twarzy. – Mój brat ma firmę przewozową i porządne nowe łodzie. To bardzo interesujące dla turystów. – Nie zrażał się i patrzył przymilnie w oczy potencjalnej klientki. W końcu Marysia stwierdziła, że jeśli ostatnim razem nie skusiła się na rejs po dzielnicy biedoty, to teraz powinna. Tam przynajmniej będzie mogła w ciszy i spokoju zebrać myśli i ułożyć plan działania.

- Dobrze, ale tylko rejs łodzią – oznajmiła.
- A zabytki później? – zapytał z nadzieją mężczyzna, który zgodziłby się na wszystko, byle coś zarobić.
- Nie – odwarknęła ostro, w związku z czym rikszarz nie próbował jej dalej namawiać.

Ponieważ kobieta nie chciała dołączyć do żadnej grupy rozbawionych wycieczkowiczów, zapłaciła należność za całą łódkę, usadowiła się wygodnie i z zainteresowaniem obserwowała życie nad kanałami. *Ależ nędza, ależ degrengolada*, powtarzała sobie w myślach. *Że też ludzie w dwudziestym pierwszym wieku żyją jeszcze w takich miejscach! Zgroza!*

– Proszę spojrzeć na ten piękny kompleks buddyjskich świątyń. – Mężczyzna kierujący łódką pokazywał palcem wielki obiekt w kolorze czerwieni i zieleni ze złotymi zdobieniami. – Jest znany z wykończeń dachu i frontowej galerii, którą ozdabiają fikuśne smoki.

– Tak, straszliwie piękne. – Mało zainteresowana przybytkami religijnego kultu turystka ostudziła zapal przewodnika. Bardziej oburzały ją panujące tutaj realia. – Jak można żyć wśród tylu tłustych szczurów, które żerują lub wygrzewają się na nabrzeżu?! Czy ci ludzie mieszkają tutaj na stałe? – Pokazała głową na starą kobietę moczącą w brudnej wodzie jakieś szmaty, które zapewne stanowiły jej przyodziewek.

– To ich dom – wyznał Azjata, a Marysi wydawało się, że słyszy dumę w jego głosie. – Niedaleko kanałów można znaleźć najdroższe ekskluzywne rezydencje, a prawdziwi, ciekawi świata turyści bardzo chętnie zatrzymują się w hotelach właśnie tutaj. To jest prawdziwa Tajlandia, kwintesencja Orientu. Połowa populacji Bangkoku mieszka w tym miejscu. Mamy tu restauracje, dyskoteki, salony masażu, domy publiczne...

– Rozumiem, że jeśli jakiś durny wycieczkowicz koniecznie chce złapać syf lub AIDS, to idzie do burdelu nad kanały? – Marysia kpiała do woli. – Na ulicy Czerwonych Latarni ma jedną szansę na dziesięć, żeby się zarazić, a tutaj gwarantowane sto procent.

Pod wpływem prezentowanych przez Taja pseudo wspaniałości i wszechobecnej nędzy i ubóstwa złość Marysi minęła, a nerwy powoli się uspokajały. Stopniowo z coraz to większą siłą zaczęło docierać do niej cudze nieszczęście, a nie tylko własne. Ze smutkiem i niedowierzaniem obserwowała otaczający ją nieznany świat i nie mogła oderwać wzroku od ludzkiego cierpienia.

- To straszne! – Teraz ona wskazała palcem Tajkę, która w brudnym kanale kąpała

swoje może dwuletnie dziecko. Inna w tej samej zanieczyszczonej wodzie prała tetrowe pieluszki. – Z czego oni się tak cieszą? – zapytała, widząc rozbawionych nastolatków siedzących na tarasie nad rynsztokiem.

– Zapewne umówili się na spotkanie i radują się każdą chwilą. Nie wiedzą bowiem, jak długo ona potrwa i czy jeszcze dziś ich śmiech nie przemieni się w łzy, których pełna jest nasza egzystencja.

– Nie musi tak być! – obruszyła się młoda kobieta.

– Droga pani, za młodu praktykowałem na buddyjskiego mnicha, więc znam całą świętą prawdę. Nasza religia mówi, że narodziny każdego z nas to przyczyna cierpienia, które ujawnia się w postaci chorób, starości, a w końcu śmierci. Nasza ziemską wędrówką to przeważnie udręka.

– O mój Boże! Co za negatywne podejście! – Marysia, będąc ni to muzułmanką, ni to chrześcijanką, nie mogła się nadziwić. – Skąd zatem ten ciągły uśmiech na waszych twarzach?

– Cieszymy się z danej nam szansy i dobrej karmy. – Przy tych słowach zwolnił i skierował się do nabrzeża. – Ja na ten przykład chcę teraz zaprosić panią na coś do picia do restauracji w moim nieukończonym hotelu. Marzenia i ideały miałem piękne, więc raduje mnie widok nawet tego szkieletu. – Wyszczrzył do niej poźółkłe nierówne zęby i Marysia nie była w stanie mu odmówić.

Łódka zatrzymała się, a przewoźnik wskazał na betonowe pale wbite w wodę, na których postawiono jedno piętro. Widać było, że budowę rozpoczęto dawno temu, bo wszystko dosłownie się rozsypywało. Na nielicznych ścianach wymalowano graffiti, a wszędzie po kątach wały się góry śmieci i opróżnionych butelek. Środek tarasu był jednak wyczyszczony – ustawiono tam parę plastikowych białych stolików i krzeseł, a w kuchni, niewidocznej z tego miejsca, gotowano chyba coś smakowitego, bowiem z wilgotnym, śmierdzącym zgnilizną powietrzem mieszał się zapach aromatycznych przypraw i ziół.

– Napije się pani najpierw herbaty czy od razu mogę zaoferować zimnego changa, najlepsze tajskie piwo? – zaproponował uniżenie mężczyzna.

– A zjeść u was coś można?

– Oczywiście! – wykrzyknął przeszczęśliwy, bowiem okazja podwójnego zarobku rzadko mu się trafiała. – Już przynoszę menu.

Po chwili wrócił z poplamioną tłuszczem, pomiętą kartką papieru i usłużnie wręczył ją turystce, po czym oddalił się od stolika i usiadł na brzegu tarasu, zwieszając bose stopy nad wodą. Gdy zastygł w bezruchu, wyglądał jak figurka azjatyckiego ascety odzianego w brudne potargane szmaty, z wklęsniętymi policzkami, zapadniętym brzuchem i zgrabiałymi rękami. Marysi zrobiło się go żal i postanowiła do niego zagadać.

– Czemu nie ukończono tego hotelu? – zapytała, a Taj jakby tylko na to czekał. Zerwał się z miejsca, podbiegł do jej stolika, stanął w odpowiedniej odległości i patrząc pokornie, szykował się do opowieści:

– Oj, droga pani... – rozpoczął, posapując i drapiąc się po głowie. – Pani też wygląda mi na Arabkę, ale porządną i normalną, a ja i moja rodzina poznaliśmy tych najgorszych. Tych drani z Arabii Saudyjskiej – wyznał szeptem, pochylając się do przodu.

– Siadaj i opowiadaj. – Marysia wskazała mu miejsce przy końcu stołu, bo koniecznie chciała usłyszeć tę historię.

– Miałem pięciu braci, dobrych chłopaków, a najlepszy z nich był Ram. – Oczy mężczyzny od razu zaszły łzami.

– Co się z nim stało?

– Och! Och! – Chłopina aż chwycił się za rzadkie włosy. – Mówiłem mu, żeby nie

jechał do Saudi, bo nas, Azjatów, traktują tam jak śmiecie, ale się uparł, bo dobre pieniądze można było zarobić. Ostrzegałem, że jeśli już musi, to nie na księżęcy sponsoring, bo zamiast kierowcą będzie niewolnikiem, ale nie posłuchał.

– Jak ten twój brat miał na imię? – dopytała Marysia, bo coś nagle zaświtało jej w głowie. Miała wrażenie, że los celowo prowadzi ją w jej prywatnym śledztwie jak po sznurku.

– Brachu mój miał na imię Ram... – powtórzył, a kobieta przerwała mu gwałtownie:

– U jakiego księcia służył?

– Żeby to u księcia! U księżniczki, takiej wrednej diablicy! Lamia na nią wołał. – Kobięcie aż zakręciło się w głowie. Wzięła wielki łyk zimnego changa i parę głębokich oddechów, żeby znów nie zemdleć. *Nie mogę tracić przytomności za każdym razem, kiedy usłyszę jej imię*, zakpiła w duchu.

– Co ona takiego złego zrobiła? – Marysia jak najszybciej chciała się wszystkiego dowiedzieć.

– Na początku było super. Przepraszałem brata, że odradzałem mu wyjazd. Ram spokojnie sobie szoferował, mył auto, robił drobne naprawy i rzeczywiście dostawał znakomitą pensję. Nie był to chytrus, więc przesyłał pieniądze do domu, a kiedy dostał kolejną podwyżkę, przyjechał do Bangkoku i wspólnie podjęliśmy decyzję o budowie tego hotelu. Wspaniała inwestycja... – westchnął ciężko. – Mogła być wspaniała.

– To dlaczego nie wypaliła?

– Matka zaczęła chorować i trzeba było zapłacić za szpital – zaczął wymieniać. – Mnie w międzyczasie dzieci się porodziły i nasz domek, ten o tam – pokazał na drugą stronę kanału, gdzie tkwiła budka z falistej blachy – stał się dla nas za ciasny.

– No tak... – Rozmówczyni już wiedziała, kto zdefraudował pieniądze i faktycznie jest wszystkiemu winien.

– Trza było postawić coś większego, więc pożyczyłem trochę dolarów. – Ze smutną miną Taj wygiął wargi.

– Ale Ram dawał ci na budowę hotelu, a nie prywatnej willi, prawda? Wiedział o tej pożyczce?

– No nie... – Zrobił głupią minę. – Ale na sfinansowanie studiów naszego najmłodszego braciszka się zgodził. Dobrze jest mieć w rodzinie kogoś wykształconego.

– A co z Ramem, księżniczką i saudyjskim sponsoringiem? – ponagliła Marysia, która powoli traciła współczucie dla naciągacza.

– Ona coś tam zmajstrowała niedobrego i zniknęła, dokładnie mi nie powiedział, ale musiał zmienić pracodawcę. Pensja była już nie ta, praca nie ta i mieszkanie nie w pałacu, ale w nędznej dzielnicy Bata w Rijadzie. Razem z Hindusami i Pakistańczykami. – Odplunął siarczyście.

– Znam ten rejon – wyrwało się kobiecie. – Rzeczywiście kiepskie otoczenie.

– To pani też Saudyjka? – Mężczyzna zmarszczył brwi i ścisnął usta, jakby nie zamierzał już powiedzieć ani słowa.

– Nie, skądże! Po prostu mieszkałam tam z mężem, który był na kontrakcie – błyskawicznie skłamała, nie chcąc utracić tak cennego źródła informacji.

– To dobrze, bo już się przestraszyłem. – Odetchnął z ulgą i kontynuował: – Potem księżniczka znów pojawiła się w życiu mojego braciszka, ale nie miała już ani takiej pozycji, ani takich pieniędzy. Na odchodne rodzinka dała jej jednak ponoć niezłe uposażenie i Ram, nie wiem jak, ale namówił ją na doinwestowanie naszego projektu.

– Że też się zgodziła! Musiała być mocno zdesperowana. – W końcu Marysia poznała

powód przyjazdu Lamii do Tajlandii, ale nadal dziwiła ją współpraca ze złodziejskimi Tajami.

– Brachu napomknął, że rodzina ją wykleła, przekleła czy coś w tym stylu – tłumaczył buddysta, najwyraźniej niemający pojęcia, na czym polega fatwa. – W każdym razie nie chcieli jej więcej widzieć, ot co! Ja tam myślę, że ona się doczepiła do mojego biednego Rama jak rzep do psiego ogona i pociągnęła go za sobą na samo dno.

– Zanim powiesz, jak to się wszystko skończyło, chciałabym usłyszeć, jak zareagowała jaśnie pani na widok inwestycji, w którą wpakowała zapewne niemałe pieniądze. – Kobieta postanowiła opanować ciekawość i dowiedzieć się wszystkiego po kolei.

– Cóż, zachowywała się bynajmniej nie jak na księżniczkę przystało. Krzyczała, wyzywała i wyglądało, jakby chciała wytrzasnąć Rama po pysku. Straszna baba, mówię pani. – Ufnie spojrzął jej w oczy.

– Co było dalej?

– Kazali się odwieźć na nabrzeże i pojechali do hotelu. Potem jeszcze włączyli się po Tajlandii, ale brat dzwonił i mówił, że dłużej z nią nie wytrzyma. Zdecydował, że muszą się rozstać, bo inaczej zniszczyłyby swoją karmę.

– Że co? Że jak? – dopytywała Marysia, nie rozumiejąc buddyjskich niuansów. – Co wy macie z tą karmą?

– Chciał jej łeb roztrząsać, ot co! A to spowodowałoby, że przyszłe życie miałyby przegrane. Nie wiadomo, kim by się odrodził, może podłym robakiem lub wężem...

– A czy czasem nie łączyło ich coś bliższego? – Zaczęła się zastanawiać, bo taka żywiołowa relacja rzadko powstaje pomiędzy pracodawcą a pracownikiem.

– Też tak podejrzewałem, a wtedy jedynie się upewniłem. Ale pani to ma łebek, nie od parady! – Z podziwem pokiwał krzywym wskazującym palcem.

– Ładnie! Dumna saudyjska księżniczka ma romans z azjatyckim szoferem. Ha! – Marysia zakpiła z wyraźną przyjemnością.

– Miała, miała – smutno zaakcentował przewoźnik. – Wszystko to już czas przeszły.

– Dokąd pojechali w Tajlandii? Na wycieczkę? Na odludną wyspę? Do jakiegoś kurortu?

– Nie wiem po co, ale polecili aż na wyspę Phuket. – Marysia zamknęła oczy, bo znów cały świat jej zawirował.

– Pamiętasz, do jakiej miejscowości? – Chwyciła się brzegu stołu, bo myślała, że zaraz wylądjuje na betonowym tarasie.

– Nie... tyle to już nie... – Widać było, że mężczyzna zastanawia się, ale nic to nie dawało.

– Może do miasteczka Kamala?

– Może... – Wyszczrzył się głupio. – Potem jednak Ram wrócił, ale jak na wariata, bo zaraz znów poleciał, i to do Rijadu. Nie wiem dlaczego, nie wiem w jakim celu, ale chyba po niechybną zgubę.

– Był sam czy z nią?

– Nie mam pojęcia, bo oczywiście do nas już jej nie przywiózł i unikaliśmy tematu ich związku jak ognia. Mało mnie obchodziła, a teraz wiem, że on już wtedy czuł nadchodzącą śmierć i przyszedł się pożegnać.

– Co się stało? – Marysia w końcu chciała usłyszeć finał opowieści.

– Po wyjeździe Ram nie dawał znaku życia, a zawsze przynajmniej raz w miesiącu wysyłał maila do naszego najmłodszego brata. Na pieniądze to już wiedziałem, że nie ma co liczyć, ale nie sądziłem, żeby aż tak się obraził, by zerwać kontakty z rodziną. To nie w jego stylu.

– Więc nie masz pojęcia, co się z nim stało, gdzie przebywa ani co robi? – Kobieta była zawiedziona, bo naiwnie spodziewała się rozwiązania zagadki lub przynajmniej jakiejś poszlaki, która pozwoli jej pójść dalej.

– Niestety, wiem... – Znów westchnął ciężko i się zamyślił. – Nasz najmłodszy braciszek poszedł w ślady Rama i też pracuje w tej przeklętej Saudii, ale jako człowiek wykształcony na wysokim stanowisku w biurze, a poza tym nie jest na sponsoringu żadnego księcia czy księżniczki.

– Co to ma do rzeczy? – Marysię denerwowała już ta pokrętna opowieść, chciała, by rozmówca wyłożył kawę na ławę.

– Proszę uzbroić się w cierpliwość – poprosił elegancko, bo pomimo że był jedynie zwykłym przewoźnikiem, rozumu mu nie brakowało, całkiem dobrze znał angielski i potrafił się wysłowić. – Gdy Ram zniknął, naciskałem młodego, żeby zaczął go szukać, a nawet sprawdził na policji co i jak.

– No i? Mówże wreszcie! – Kobieta siedziała jak na szpilkach, miała wrażenie, że za chwilę wyskoczy ze skóry albo naprawdę się wścieknie.

– Okazało się, że ktoś zastrzelił go w jego mieszkaniu na Bacie. Co dziwne, znaleziono przy nim małą buteleczkę po kwasie solnym. Była pusta, chociaż on nie był poparzony. Śledztwo już dawno zostało zamknięte i tyle. Odesłali nam ciało, nawet zapłacili pięćdziesiąt tysięcy riali odszkodowania i dlatego mogłem przynajmniej otworzyć tutaj restaurację. Na pamiątkę mojego kochanego brata nazwałem ją „U Rama”. Widzi pani ten szyld?

Marysi nie chciało się podnosić oczu, zresztą mało ją to obchodziło. W dalszym ciągu nie wiedziała, gdzie jest ta diaboliczna Lamia, czy maczała palce w śmierci swojego azjatyckiego kochanka, a przede wszystkim, czy miała coś wspólnego z porwaniem jej córki Nadii. Po wysłuchaniu wstrząsającej opowieści, która potwierdziła fakt pobytu księżniczki w Tajlandii w tym samym czasie, kiedy oni spędzali tu wakacje, kobieta straciła apetyt. Widząc jednak rozczarowane miny przewodnika i obsługi, zostawiła im tyle pieniędzy, jakby zjadła pełny obiad. Taj już bez słowa odwiózł ją do przystani. Widać było, że cały czas mocno nad czymś rozmyśla. Marysia miała dość przeżyć jak na jeden dzień i marzyła, aby znaleźć się w klimatyzowanym pokoju hotelowym. Wcześniej jedna myśl ścigała drugą, lecz teraz kobieta zapadła w letarg. Czuła jedynie dławienie w gardle, mdłości i zawroty głowy. Postanowiła jak najszybciej wziąć taksówkę, aby nie zemdleć gdzieś w obcym mieście.

– Proszę pani! – Kiedy szybkim krokiem oddalała się od łodzi, przewoźnik zamachał ręką i głośno krzyknął. – Przypomniałem sobie coś dziwnego – rzekł już ciszej, wiedząc, że zgiełk uliczny i tak zagłusza jego głos. – W pokoju brata znaleziono soczewki kontaktowe i czarną farbę do włosów. A przecież Ram miał dobry wzrok i jeszcze nie siwiał.

Po jednodniowym wypoczynku i relaksie nad hotelowym basenem Marysia postanowiła kontynuować działania i iść podjętym tropem. Poleciała na wyspę Phuket. *Może Lamia jeszcze tam jest? Może zaszyła się gdzieś i czeka na powrót kochanka i współnika?*, układała najróżniejsze scenariusze. Cały czas starała się unikać wspomnień słodkiej buzi swojej córki, jej dźwięcznego jak dzwoneczek głosu i zabawnego truchtu. Gdy tylko wracały do niej te obrazy, od razu wybuchała niepohamowanym płaczem. *Pójdę tym śladem, ale jeśli okaże się fałszywy, jeśli zaprowadzi mnie donikąd?* Nie miała pojęcia, co wtedy będzie. Jeśli jej marzenia i wiara w odzyskanie córki legną w gruzach, to nie będzie miała po co żyć. Wielokrotnie myślała już o tym, że całe swoje życie walczyła z wiatrakami, całe życie była raniona, krzywdzona i okłamywana. A teraz po kolejnym tragicznym doświadczeniu odechciało jej się

wszystkiego. Ostatkiem siły woli wykupiła jednak bilet lotniczy w jedną stronę i postanowiła zawalczyć jeszcze ten jeden raz.

Samolot wylądował o czasie i jak na Azję wszystko przebiegało nadzwyczaj szybko i sprawnie. Marysia chwyciła bagaże sunące na taśmie, wrzuciła je na wózek i pomaszzerowała żwawo do wyjścia z lotniska. Znow pchała ją do działania wrodzona żywotność i skłonność do niepoddawania się. Opędzała się jak od much od prywatnych kierowców nagabujących ją i wszystkich pozostałych turystów. Od razu skierowała swoje kroki do państwowej firmy transportowej. Już miała płacić za przewóz, kiedy zauważyła stojącego nieopodal miłego schludnie ubranego Taja.

– Ze mną dojedzie pani do Kamali za pół ceny – zaoferował, a że dobrze mu z oczu patrzyło, Marysia zdecydowała się na prywatną korporację.

Z lotniska w Phuket jechała górskimi serpentynami już prawie godzinę, a końca drogi wciąż nie było widać. *Ostatnio jakoś szybciej minęła mi ta podróż*, podsumowała i oddała się bolesnym wspomnieniom swojego szczęścia przy boku kochającego męża i cudownej córeczki. Do jej oczu znow nabiegły łzy, doszła do wniosku, że ostatnimi czasy stała się prawdziwą arabską płaczką. Postanowiła spróbować nad sobą zapanować i spojrzała przez okno na przepiękny nadmorski krajobraz. Przed jej oczami co chwila pojawiała się to plantacja palm, to zatoczka z rozrzuconymi przy niej bungalowami, rezydencjami oraz eleganckimi hotelami. W pewnej chwili kierowca gwałtownie skręcił w prawo, przejechał koło ogromnego resortu i skierował się w stronę niskiej lokalnej zabudowy. Taksówka powolutku pokonała mostek przerzucony nad kanałem, ponownie skręciła i zatrzymała się przed małym białym budynkiem, który stał nie więcej niż dwieście metrów od plaży. Wejście do pensjonatu było od strony ruchliwej ulicy, ale drugie, dla gości, od morza. Na tę stronę były też skierowane wszystkie okna oraz balkony wychodzące na nieduży basenik, nad którym stały plastikowe białe plażowe łóżka i stoliki.

– No i jak? – zapytał taksówkarz. – Podoba się pani?

– Zdjęcia widziałam już w Internecie, ale na żywo też niczego sobie. – Marysia była całkiem zadowolona.

– Do morza blisko, na dyskotekę w centrum też, a po drugiej stronie ulicy jest market Tesco, gdzie można zaopatrzyć się w tańsze produkty spożywcze czy kosmetyki. Życ nie umierać! Na jak długo pani przyjechała? – Wściubianie nosa w nie swoje sprawy było typowe dla mieszkańców tego regionu.

– Na jakiś czas – odpowiedziała, zbywając go.

– Jeszcze będzie pani chciała przedłużyć pobyt! Mówię pani, to raj na ziemi! – zachwalał żarliwie.

– Na pewno trochę lepszy jest ten wielki kompleks, który mijaliśmy po drodze. – Turystka ostudziła jego entuzjazm. – Może tam się przeniosę? Zobaczę. – Nie była przekonana do wyboru taniego pensjonaciku, bo przywykła do spędzania wakacji w miejscach o trochę wyższym standardzie. Tutaj trzymały ją jedynie cena i względy sentymentalne – brak jakichkolwiek wspomnień i skojarzeń z córeczką.

– Ach! Ten moloch to hotel dla bogaczy! – wykrzyknął szofer z niesmakiem. – Jedna doba kosztuje tam aż sto pięćdziesiąt dolarów! – oburzył się. – To rozbój w biały dzień, ale jak znajdują się naiwniacy, to niech płacą. Tutaj zaś da pani jedynie pięćdziesiąt za noc, a ma prawie to samo i do tego rodzinną atmosferę. – Taj konsekwentnie reklamował skromną noclegownię nad kanałem.

„Prawie” robi wielką różnicę, pomyślała ironicznie. *Ten moloch to najwspanialszy kompleks, w jakim byłam*, Marysia w duchu zripostowała kierowcy, lecz nie kontynuowała

jałowej dyskusji. Uważała, że w wielkim hotelu wszystko jest wspaniałe, z wyjątkiem bezpieczeństwa i śladów przeszłości. Ciężko westchnęła i zrobiła skwaszoną minę.

– Witamy panią. – Recepcjonistka wykonała głębokie *wai*, rozpluwając się w uśmiechu, co trochę poprawiło przybyłej humor. – Jak minęła podróż? Jakie pierwsze wrażenia? – wypowiadała wyuczone formułki. – Proszę łaskawie spocząć. Zaraz zaserwujemy przywitalnego orientalnego drinka. – Zakwaterowanie trwało bardzo długo, ale samotnej turystce nigdzie się nie spieszyło. Postanowiła trochę wygasić silniki, bo pomimo młodego wieku często szumiało jej w uszach, łomotało i kłuło serce i cały czas miała mdłości. Przypuszczała, że przyczyną wszystkich tych objawów są nerwy, i stwierdziła, że jeśli nad tym nie zapanuje, to zamiast odnaleźć swoje ukochane dziecko, wyląduje w szpitalu, i to najprawdopodobniej psychiatrycznym. – Konsjerż wskaże pani pokój. – Tajka ponownie się ukloniła i podeszła do taksówkarza, z którym filuternie romansowała. *Widać znają się, stąd ta promocja pensjonatu*, doszła do wniosku Marysia. *Nie ma nic bezinteresownie, nic za darmo.*

Po zameldowaniu i rozpakowaniu walizki, marszcząc nos, wyszła ze śmierdzącego zgnilizną, wilgotnego pokoiku. Przedtem otworzyła jeszcze na oścież drzwi balkonowe, żeby pod jej nieobecność kwatery choć trochę się przewietrzyła. Postanowiła od razu ruszyć do akcji, bo już teraz wiedziała, że w niedrogim pensjonacie długo nie wytrzyma. Po pierwsze, chciała jeszcze raz sprawdzić, kto w dniu porwania Nadii miał dyżur na recepcji, oraz ponownie przesłuchać niańkę, która ostatnio nic im nie powiedziała. *Jeśli Lamia była w Bangkoku, to czuję, że była i tutaj*, doszła do wniosku Marysia. *Ja to wiem! Aż zadrżała na samą myśl o tym, że ta wredna kobieta mogła choćby przypadkowo podążać ich śladem. Nie, to niemożliwe! Nie ma takich nieoczekiwanych zbiegów wydarzeń! Nigdy w życiu!* Klóćąc się sama z sobą, przemierzała nadmorską plażę, z obrzydzeniem patrząc na brudne *warungi*, oferujące dania wiejskiej kuchni tajskiej, które dla nieprzywykłego do tutejszych przypraw i dodatków nosa Arabki po prostu śmierdziały zgniłą rybą. Jednak przed każdym z nich ustawiały się kolejki cudzoziemców, którzy chcąc popróbować orientalnych specjałów, nie zważali na brak higieny i możliwość złapania paskudnej azjatyckiej bakterii lub wirusa. Przed hotelami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża ustawiono na piasku specjalne łóżka i bambusowe stoły. Leżeli na nich zagraniczni turyści – kobiety i mężczyźni – z uwielbieniem poddając się tradycyjnemu relaksacyjnemu masażowi.

Nic się tutaj nie zmieniło, podsumowała Marysia, wspominając swój ostatni pobyt. *Cały świat ciągnie do Azji, ciesząc się jej beztroską, służalczą i wiecznym uśmiechem, i ma w nosie ich biedę i tragiczne warunki życia.* Co chwila do bogatych turystów podchodzili lokalni sprzedawcy, oferując wyroby rękodzieła, takie jak wisioriki i bransoletki z pereł, muszelek czy kamieni półszlachetnych, miseczki, rzeźby, a nawet typowe dla krajów arabskich drewniane wielbłądy. Obdarci i brudni handlarze przeważnie byli jeszcze dziećmi – im łatwiej bowiem wzbudzić litość w bogaczach z Zachodu i naciągnąć na parę groszy. Oferowane przez nich towary kosztowały od pół do maksymalnie pięciu dolarów, ale i tak byli odganiani jak natrętne muchy. *Biedacy!*, westchnęła Marysia. *Przecież powinno im się dać parę groszy, nawet za nic.* Kobieta, która większość swojego życia spędziła w krajach arabskich, była przyzwyczajona do dawania jałmużny i wydawało jej się to zupełnie naturalne.

– Pokażcie, co tam macie! – Machnęła ręką do dwóch na oko dziesięcioletnich dziewczynek, które niosły na głowach paczki z sarongami.

– Madama! Madama! Ja mam piękne chusty! Madama! Ode mnie! Proszę! Tylko dziesięć dolarów! Tylko pięć! – Jak na komendę obskoczyła ją grupa młodocianych domokrażców. Inni biegli w jej kierunku wzdłuż wybrzeża, widząc, że trafiła się w końcu jakaś naiwna, która chce wydać pieniądze na nic niewarty towar.

– Poczekaście! Nie wszyscy naraz! – śmiała się Marysia, ale po chwili mina jej zrzędła.
– Bransoletki z pereł! Najpiękniejsze! Dolar! – Mały chłopczyk w łachmanach podsunął jej chudą rączkę prawie pod nos, prezentując wyrób. – Jeden dolar! Tylko dolar! – powtarzał w kółko.

– Pani kupi u mnie! – Dzieciaki stawały się coraz bardziej nachalne, chwytaly ją za ręce i ciągnęły za ubranie. – U mnie najlepsze! U mnie! U mnie! – darły się wniebogłosy.

– Uspokójcie się! Odczepcie się! – Przerażona kobieta zaczęła odpychać kupczyków, bo obawiała się, że za chwilę ją wywróca i wdepczą w ziemię.

Nagle usłyszała gwizdek i w tym samym momencie mali agresorzy błyskawicznie wzięli nogi za pas.

– Pani ich nie prowokuje! – Mocno podenerwowany rewirowy policjant spojrział na nią krytycznie. – Potem mamy tylko problemy, kiedy zginie portfel lub coś się komuś stanie.

– Chciałam dać im zarobić – tłumaczyła się. – Wspomóc...

– To nie jest dobry pomysł. Niech pani lepiej wraca do hotelu. – Stróż prawa wskazał jej wejście do wielkiego kompleksu, do którego właśnie zmierzała.

– Oczywiście. – Zdegustowana wyduła usta i w typowo arabski sposób zamokła językiem o podniebienie. – Co za swolocz! – skomentowała na koniec, a plażujący obok urlopowicze przyznali jej rację, kiwając głowami. Teraz już doskonale rozumiała ich niechętny podejście do namolnych tajskich biedaków.

Resort hotelowy nic się nie zmienił, Marysi wydawało się nawet, że wciąż wypoczywają tu ci sami ludzie. Była to na pewno ta sama grupa społeczna, czyli wyższa klasa średnia, bo hotel nie należał do tanich, ale za to oferował luksus i wygodę tym, którzy mieli nieźle wypchane portfele. Kobieta rozglądała się dookoła, jakby doznawała déjà vu – widziała wejście od strony basenu do pokoju, w którym mieszkali parę miesięcy temu, mały dziecięcy brodzik, w którym Nadia pływała, zaśmiewając się do rozpuku, komfortowe ratanowe krzesła na prywatnym tarasie, gdzie odpoczywali popołudniami. Wydawało jej się, że słyszy chichot swojej córeczki i głęboki, spokojny głos męża. Teraz z ich pokoju korzystała inna szczęśliwa rodzina, a ta, która jeszcze nie tak dawno cieszyła się urokami tego miejsca, już nie istnieje.

– Witam. – Marysia stanęła przed marmurową ladą recepcji. Starła się wyglądać na zrelaksowaną, choć ugięły się pod nią nogi i znów było jej niedobrze.

– Czym mogę służyć? – uprzejmie zapytała tajska dziewczyna ubrana w tradycyjny strój. – W czym pomóc? – powtórzyła, pochylając głowę, by okazać pełne służalczości oczekiwanie.

– Byłam tu z rodziną w tym okresie. – Kobieta położyła na ladzie kartkę z wypisanymi datami, żeby nic nie pomylić. – Nie wiem, czy pani wtedy pracowała w hotelu? – Nie przypominała sobie twarzy recepcjonistki, choć z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że nie rozróżnia ludzi o tym typie urody.

– Tak... – Było to ni pytanie, ni odpowiedź.

– Przedostatniego dnia naszego pobytu porwano z pokoju hotelowego naszą córkę – wyrzuciła z siebie, dokładnie wymawiając angielskie słowa.

– Tak... – Dziewczyna znów dziwnie zaakcentowała wypowiedź, jakby nie wiadomo na co czekała.

– Więc przyleciałam tu ponownie, żeby się dowiedzieć, czy może pojawiły się jakieś nowe szczegóły.

– Tak...

– Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?! – Już nie wytrzymała i huknęła na głupkowatą

dziewuchę, uderzając przy tym pięścią w marmurowy blat, na co pracownica podskoczyła, obróciła się i wybiegła tylnymi drzwiami na zaplecze.

Marysia drżała na całym ciele i trzęsącą się spoconą ręką podpierała czoło. *Miałam nad sobą panować*, karciała się w duchu. *W ten sposób nie uzyskam żadnej informacji, niczego nie osiągnę.*

– Słucham panią – usłyszała surowy głos. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła starszą kobietę. – Z czego jest pani niezadowolona? Jaki problem? – indagowała bez typowego w tym rejonie uśmiechu.

– To nie tak... Dziewczyna widocznie nie zrozumiała, co do niej mówiłam.

– Nasza obsługa świetnie zna angielski i nigdy nie ma problemów z komunikacją.

– Okej. Chodziło mi o sprawę sprzed kilku miesięcy...

– Przedawniona. – Marysia nie zdążyła jeszcze wyjaśnić co i jak, a jej prośba z góry została odrzucona.

– Ma pani dzieci? – zapytała, patrząc twardo w oczy Tajki.

– Nie rozumiem pytania. – Przyparta do muru, kobieta ściągnęła usta.

– To jest proste pytanie. Czy ma pani dzieci?

– Tak, bo co?

– Bo ja też miałam jedną, jedyną kochaną córeczkę, która została porwana właśnie w państwa hotelu. – Pomimo starań głos Marysi się załamał i do oczu napłynęły łzy.

– Ach! To ta sprawa! – Stosunek menedżerki do petentki całkowicie się zmienił. W końcu zaczęła przejawiać współczucie i troskę. – Zamknęli ją wieki temu, bo nie było żadnych nowych poszlak. Przykro mi.

– Podczas przesłuchania wynajęta przez nas opiekunka praktycznie nic nie powiedziała. – Marysia starała się naświetlić wydarzenia. – Bąknęła coś o wyjściu do łazienki, jakieś bzdury, że przyszła bliżej nieokreślona ciocia dziecka i zwolniła ją przed czasem. Potem dziewczucha przestraszyła się i uciekła. Ślad po niej zaginął, bo przecież w waszym kraju macie tyle wysp, wysepek i innych odludnych miejsc, że szukaj wiatru w polu.

– Niestety – westchnęła kobieta.

– Może ona ma tutaj jakąś rodzinę? Może opisała komuś tę pseudociocię, która się wtedy pojawiła? – Zdesperowana matka próbowała poddać jakąś myśl.

– Ja jej od tamtego czasu nie widziałam – wyznała szczerze kierowniczką. – Są rzeczy, z którymi człowiek musi się pogodzić.

– Nie! Nie! Nie! – Marysia zaczęła histerycznie krzyżeć. Z nerwów tłukła już teraz dwiema dłońmi w marmur.

– Proszę wziąć pod uwagę fakt, że nie ma pani żadnej pewności, że dziewczynka nie żyje. – Tajka starała się ją uspokoić. – Może jest gdzieś... szczęśliwa?

– Co? Bez swoich rodziców?! Do cholery! Co pani za bzdury opowiada?! – Furia zaczęła brać górę nad zdrowym rozsądkiem i dobrym wychowaniem.

– A jeśli zmarła, to może odrodziła się księżniczką, kwiatem, boginią. Śmierć to nie koniec...

– Co pani pierdoli?! – wrzasnęła Marysia na całe gardło. – Co to za, kurwa, buddyjski belkot! – Z rozmachem rąbnęła pięścią w blat, strącając przy tym piękny wazon z kwiatową dekoracją, i wyglądało na to, jakby za chwilę chciała się rzucić na menedżerkę.

– Przykro mi, moja droga, naprawdę, ale jeśli się nie uspokoisz, będę musiała wezwać ochronę – ostrzegła rzeczowo kobieta. – Nie przychodź tutaj więcej. Wszyscy dostaną twoje zdjęcie i nie zostaniesz już wpuszczona do środka. Sprawa była, została zamknięta i jest po sprawie.

– I taki drobiazg jak porwanie dziecka nie wpłynął na reputację hotelu? Nic a nic?! – Marysia uderzyła w czuły punkt, a z nerwów przed oczami latały jej czerwone mroczki.

– To musiały być jakieś arabskie wewnętrzne porachunki. Nasz resort został w to przypadkowo zamieszany. Z państwa nazwiskiem powinniście spędzać wakacje w lepiej chronionych obiektach. – Z tymi słowy Tajka szybkim krokiem opuściła recepcję.

Ona nawet pamięta, jak się nazywamy, podsumowała zszokowana i zarazem zraniona do żywego kobieta. *Dlaczego arabskie pochodzenie tak nas dyskryminuje, że wszyscy, nawet specjalne służby, mają w nosie uprowadzenie niespełna dwuletniego dziecka? Niewinnej dziewczuszki?! Biedny Hamid całe życie walczył, żeby zmyć piętno terroryzmu ze swojego nazwiska, a nawet tutaj, w kraju tak przyjaznym wszystkim nacjom świata, Bin Laden to fundamentalista i nikt go nie pożałuje ani nie wesprze. „Arabskie wewnętrzne porachunki” ...*, powtórzyła w myślach słowa Tajki. *Jakie porachunki?*, pytała samą siebie, idąc do wyjścia ze wzrokiem wbitym w marmurową posadzkę. *Zaraz! Zaraz!* Nagła myśl błysnęła jej w głowie i wbrew ostrzeżeniu Marysia rzuciła się biegiem z powrotem.

– Proszę pani! Halo! – Przechyliła się przez blat recepcji, parokrotnie waląc ręką w dzwonek, którego natarczywy dźwięk wwierał się w uszy. – Halo! Jest tam ktoś?!

– Słucham? – Kierowniczką z marsową miną w końcu przed nią stanęła. – Czy pani nie rozumie, jak się o coś grzecznie prosi? Co za ludzie!

– Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie. – Marysia twardo patrzyła na kobietę. – Skąd pani przyszło na myśl, że to były arabskie porachunki?

– No...

– Czy ta osoba, która się tu pojawiła, ta pseudociocia, była Arabką? – zapytała przez zaciśnięte zęby. – Nikt nie wspominał...

– Musiało to pani umknąć. Nasza pracownica dokładnie ją opisała. Elegancka wysoka Saudyjka, pańskie rysy i maniery. Duma aż biła z jej twarzy.

– Skąd pewność, że akurat Saudyjka? Może Marokanka, Syryjka, Libijka?

– Była ubrana w czarną abaję, a ten strój raczej przeważa u kobiet z tego regionu, nieprawdaż?

– Co jeszcze nie zostało nam przekazane?

– Nie wiem, nie pamiętam! Niechże mi pani w końcu da spokój!

– Czy może delikatnie kulała na jedną nogę? – Marysia próbowała podać jakąś cechę charakterystyczną dla Lamii.

– Nie znam takich szczegółów. Trzeba pójść na policję i sięgnąć do ich akt. A teraz niechże się pani stąd wynosi i nie wraca! – podniosła głos. – Nikt już nic pani nie powie.

Marysia wiedziała, że na posterunku nic nie wskóra. W tym kraju bez znajomości i łapówki niczego się nie załatwi. Zapewne powiedzą jej, że wszystko jest utajnione, wagi państwowej lub międzynarodowej. *I co mi z tego mojego śledztwa przyszło?*, zastanawiała się, ostatecznie opuszczając kompleks i obiecując sobie, że jej noga więcej tam nie postanie. *Jestem w tym samym miejscu, co przed przyjazdem, z tą tylko różnicą, że dowiedziałam się, iż księżniczka była tu równoległe z nami, a także odkryłam wątpliwe arabskie pochodzenie porywaczki. Niczego to nie zmienia, niczego nie wnosi, a na dokładkę nic nie jest pewne. Co robić?*, dręczyła się, nie widząc żadnego rozwiązania. *Jeszcze na coś wpadnę. Jeśli w ciągu dwóch dni zdobyłam tyle nowych poszlak, to mieszkając tutaj przez jakiś czas, muszę odkryć coś nowego.*

Marysia postanowiła choć trochę się zorganizować, kupić coś zwykłego, a nie tajskiego,

do jedzenia, nawiązać internetowy kontakt z matką i czymś się zająć. *Tylko czym? Co mam tu robić? Opalać się, poddawać masażom, chodzić na dyskoteki? Właściwie czemu nie? Nie mam męża, opiekuna, żadnego bata nad sobą. Mogę sobie poużywać*, postanowiła, zdesperowana, ale wcale nie cieszyła się na zabawę i swobodę, których w całym swoim życiu nie zaznała za wiele. *Mam duszę niewolnicy*, karciała się. *Trzeba chwytac każdą chwilę i każdy dzień. Dość tego poddaństwa!*

Plątała się bez celu po małej nudnej Kamali, włóczyła po uliczkach, wylegiwała na brudnej, zaśmieconej plaży, obserwowała przez szyby nocne życie w klubach i pubach, jednak sama nigdy nie odważyła się tam wejść. Wieczory przeważnie spędzała w pensjonacie, wylegując się na skrzypiącym łóżku, oglądając głupie stare filmy w telewizji kablowej i zajadając kokosowe chrupkie ciasteczka, które najbardziej przypadły jej do smaku z tajskiej kuchni. Pewnego leniwego popołudnia krytycznie spojrzała na swoje ciało, które obrosło już całkiem sporą warstwą tłuszczu. *Za chwilę będę jak cielna krowa! Boże! Jakiż mam balon!* Z przerażeniem chwyciła się za brzuch, który nie zapadał się już nawet w pozycji leżącej. *Dość tego! Albo się pozbieram i nauczę żyć sama, albo trzeba wracać do mamy i dać się wcisnąć w kierat codzienności. Przecież to jest Azja! Raj na ziemi!*, przekonywała się. Postanowiła wykorzystać szansę i nadać swojemu pobytowi jakiś sens. Ubrała się w atrakcyjne swobodne ciuchy i wyszła na miasto, kierując kroki do centrum dobrze znanymi wąskimi uliczkami.

– Masaaż, maasaaż... – Zachęcały młode Tajki, które siedziały na progach pustych o tej porze dnia salonów. – Madama... relaks. Dobry maaasaaż! – Przeciągały głoski w typowo azjatycki sposób.

– Szukam fryzjera – zakomunikowała Marysia, a dziewczyny z niezadowolonymi minami pokazały jej niewielką witrynę z reklamą farby do włosów. – Dziękuję. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Może jutro przyjdę do was, okej? – Na te słowa od razu się rozpogodziły.

– *Welcome*. – Młoda filigranowa Tajka na dźwięk dzwonka u drzwi wyszła z zaplecza. – Czym mogę służyć? – Była wyraźnie zdziwiona, tak jakby nie spodziewała się żadnej klientki.

– Chciałam się ostrzyć. – Marysia niepewnie rozglądała się dookoła, bo to miejsce wydawało jej się dość dziwne.

Przed lustrami ustawiono jedynie dwa fotele, nie było stolików, kosmetyków ani żadnych innych atrybutów salonu fryzjerskiego. Przez otwór drzwiowy na zaplecze zauważyła za to parę leżanek, a także lady z balsamami i olejkami. *Czy ja dobrze trafiłam?*, zastanawiała się skonsternowana.

– Proszę siadać. – Dziewczyna rozproszyła jej wątpliwości, wyciągając nożyczki i mały grzebień z kieszonki fartuszka. Przy pozostałych kusych ciuchach, które nie zakrywały ani półdupków, ani brzucha, wyglądała raczej jak aktorka z filmu porno niż jak fryzjerka. – Co robimy?

– Tniemy.

– Na jaką długość?

– Po całości! – Marysia chwyciła w garść swój gruby warkocz i pokazała palcem na wysokości uszu. – Mam już dość tego tradycyjnego uczesania – wyznała. – Czas na krótkie włosy.

– Ależ moja droga! – Fryzjerka aż się zachnęła. – Taka piękna czupryna?! Nie szkoda ci?

– Nie.

– Boże, ile ja bym dała za takie gęste falowane kędziory! Zobacz, jakie mam pióra. – Z obrzydzeniem wzięła w dwa palce cienki prosty kosmyk swoich włosów.

- Mam pomysł. – Klientka chciała dopomóc kadzącej jej dziewczynie. – Jak równo utniesz, to możesz sobie z nich zrobić perukę.
- Oj! Dzięki za podarunek! – Aż podskoczyła z radości. – W takim razie strzyżenie będzie gratis, a jak chcesz, to mogę zrobić ci jeszcze pedikiur i manikiur. Dobrze?
- Bardzo dobrze. – Zaśmiała się już beztrudno Marysia. Dla kurażu parę razy głęboko odetchnęła i poddała się sprawnym dłoniom drobniutkiej Tajki.
- A ty sama tutaj? – po chwili zagadnęła młoda. – Czy z rodziną?
- Sama.
- Nie nudzić się? – Kaleczyła angielski, ale miała ogromną ochotę na konwersację, więc niczym się nie przejmowała.
- Trochę... Co może robić samotna kobieta w takim miejscu, jeśli nie ma ochoty na masaż każdego dnia?
- Masaż dobry, na wszystko dobry. Dla zdrowia i dla odprężenia – pouczała Azjatka. – Ja mogę cię zaprowadzić do eleganckiego punktu.
- A oprócz tego, gdzie jeszcze można pójść, żeby nie zostać od razu zgwałconą? – Zażartowała klientka, na co młoda wytrzeszczyła czarne okrągłe oczy.
- U nas nikt nikogo na siłę nie bierze – uspokajała. – Bo i po co, kiedy jest tyle chętnych dziewcząt, żeby dawać po dobroci, z przyjemnością i zaangażowaniem – zaśmiała się kokieteryjnie.
- No tak, zapomniałam, gdzie jestem. To skrzywienie zostało mi po krajach arabskich. – Marysia próbowała się usprawiedliwić.
- Ale ty nie taka całkiem Arabka, no nie?
- Jestem mieszana.
- No to dobrze, boś może normalniejsza, bardziej bezpośrednia i nie taka ważniaczka jak one.
- Może wybrałabyś się gdzieś ze mną dzisiaj wieczorem? – Marysia szukała bratniej duszy, kogokolwiek, kto wprowadziłby ją w rurociąg towarzyski tej małej miściny. *Może przy okazji trafię na jakiś kolejny ślad Lamii?* Jej myśli nie opuszczało pragnienie odnalezienia zaginionej córki.
- Pewnie! – Tajka szczerze się ucieszyła, bo wiedziała, że w towarzystwie zagranicznej kobiety jej notowania znacznie wzrosną. – Bądź tutaj o dziewiątej, okej?
- Nie ma sprawy... choć trochę późno.
- No co ty? Dziecko jesteś? Dorośli bawią się w nocy, a bobasy po południu.
- Masz rację. A jak ci na imię?
- Nuh. To znaczy myszka. Pasuje do mnie, no nie? – Fryzjerka zabawnie zachichotała, szczerząc małe zębki.
- Tak, fajnie. – Marysia odwzajemniła uśmiech. – A ja jestem Mary. Zatem do zobaczenia wieczorem.

- Mamo, nie truj mi już dłużej. – Popołudnie Marysia postanowiła poświęcić na kontakty ze światem i rodziną. – Tutaj jest fatalne połączenie, nie wiem, czy zaraz się zerwie, a ty cały czas swoje! – Mówiła szczerą prawdę, bo nie miała Internetu w pokoju, jedynie sieć do ogólnego użytku w holu pensjonatu. Ponadto właściciel wykupił chyba najtańszy pakiet i jakoś była beznadziejna.
- Kochana, ja ci nie chcę truć, ale doradzić... – usprawiedliwiała się Dorota.
- Jak zawsze zresztą – przerwała jej niegrzecznie córka.

– Kończymy już pobyt w Saudii, bo jak ciebie tu nie ma, to traci on rację bytu – prędko informowała Dorota.

– Jak to? Przecież pojechaliście tam po pieniądze – znów burknęła Marysia i dodała z ironią: – Chyba że już jesteście wystarczająco bogaci?

– Marysiu... – Na linii słychać było głębokie westchnięcie. – Nie chcesz włączyć kamerki? Zobaczyłybyśmy się, spojrzwały sobie głęboko w oczy, to i rozmowa byłaby inna.

– Co? Chcesz mi pokazać, że przeze mnie płaczesz? – Dziewczyna uderzała w najczulsze miejsca, pragnąc za własne niepowodzenia wyżyć się na swojej rodzicielce.

– Nie, pragnę jedynie przekonać cię do mojego pomysłu. Jak już mówiłam, wracamy do Polski i w naszym domu zawsze znajdzie się miejsce dla ciebie.

– Jako gościa... niechcianego gościa?! – Marysia zobaczyła na ekranie laptopa kręcące się kółko, świadczące o ładowaniu kamery. Po chwili pojawił się zamazany obraz matki i rzeczywiście od razu zmiękło jej serce. – Schudłaś – stwierdziła smutno. – Jesteś na jakiejś diecie? Żle się czujesz? – Jednak zaniepokoiła się.

– Nie, nic takiego. Mam małe problemy ze zdrowiem.

– Znów psychicznym?

– Nie, tym razem ogólnym. – Widać było, że ostre słowa córki ranią Dorotę do żywego. – Takie tam...

– No dobrze. – Marysia zlekceważyła tę informację, będąc przekonana, że mama znowu popadła w depresję. *Na odległość jej nie pomogę*, stwierdziła nieczule. *Tym razem niech Łukasz się buja*. – A twój mąż coś ci pomaga? Wspiera? – indagowała poirytowanym głosem.

– Tak, tak, wszystko jest okej. – Dorota nonszalancko machnęła ręką. Ale pomimo złej jakości połączenia widać było luźno wiszącą skórę na jej ramionach. – A wracając do tematu: przyjedź do Polski, zamieszkać z nami, może skończyłabyś rozpoczęte studia, ułożyła sobie życie? Młoda jeszcze jesteś i cała przyszłość leży w twoich rękach. Proszę cię, kochanie – niemal wyjęczała.

– Nie jestem jeszcze na to gotowa. – Marysia bezwzględnie odrzuciła pomocną dłoń. – Może kiedyś – dodała typowo po arabsku.

– *Insz Allah68?! – Dorota już nie wytrzymała i podniosła głos. – Jak możesz tak do mnie mówić?!*

– Próbuję cię pocieszyć, ale jak nie chcesz dyplomatycznej odpowiedzi, to odmówię ci wprost. Nie przyjadę do twojej ojczyzny, bo to nie jest mój kraj, moje klimaty i moja kultura. Nie zamieszkać w domu, który nie jest moim domem. Nie będę żyć pod jednym dachem z ludźmi, którzy albo nie są moją rodziną, albo są nią tylko w kawałku...

– Co ty pieprzysz, do cholery?! – Wyrozumiała do tej pory matka aż się zagotowała.

– To, co słyszysz! Prawda w oczy kole?!

– To ja, twoja matka, nie jestem twoją rodziną?! Daria, siostra z krwi i kości, też nie?! A Adaś? Co ci zawinił taki mały chłopaczek? Twój przyrodni brat, do diaska?!

– Daj spokój! – wrzasnęła Marysia, nie znajdując argumentów, aby odeprzeć zarzuty. – Teraz nastał czas, abym wiodła życie dla samej siebie, a nie ciągle dla kogoś, pod nadzorem, kontrolą, z *mahramem* przy boku! Koniec! Nie dam się wcisnąć w kolejne ramki!

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz, moja droga. Wiesz, gdzie nas znaleźć, znasz numery telefonów, adresy mailowe, więc jeśli kiedyś zmienisz zdanie, to daj znać. Albo jak zabraknie ci pieniędzy, które zapewne zabrałaś twojemu biednemu mężowi Hamidowi – teraz ona docięła córce.

– Dobra, będziemy w kontakcie! – odparła Marysia luźnym, wesołym tonem, zupełnie nieodpowiednim w momencie, kiedy praktycznie zrywała kontakty ze swoją jedyną rodziną,

z ludźmi, którzy ją kochali i jako jedyni chcieli i mogli jej pomóc. – To *see you...*

- A gdzie ty właściwie jesteś? – zapytała na koniec Dorota.
- W Tajlandii – odpowiedziała córka z drwiną w głosie i rozłączyła się.

Marysia nie wiedziała, jak ubrać się na wieczorne wyjście, ale przypomniała sobie wyzywające stroje młodych Tajek, które widziała, gdy ostatni raz była w tutejszym lokalu, jeszcze z Hamidem. W pamiętną noc porwania ich córki. Otrzeptała się na wspomnienie tamtych chwil i wyciągnęła z szafy dzinsową minispódniczkę i podkoszulek od Gucciego we wrzaskliwym kolorze, z odblaskowym nadrukiem i przyklejonymi błyszczącymi cekinami na wysokości piersi. Wysokie obcasy jeszcze bardziej wysmukliły jej nogi i spowodowały, że wzrostem górowała nad mijającymi ją azjatyckimi dziewczętami, które hurmem zmierzały do centrum miasteczka. Przewyższała je prawie o półtorej głowy, ale nie przeszkadzało jej to – raczej bawiło i napawało dumą.

– Cześć. – Zajrzała przez uchylone szklane drzwi do zakładu fryzjerskiego i nie poznała tego miejsca. Cofnęła się i upewniła, że na witrynie wiszą nadal te same plakaty reklamujące farbę do włosów, i weszła do środka. Teraz w głównym pomieszczeniu znajdowały się wysokie łoża, obstawione stoliczkami i półkami z pachnidłami, kadzidełkami i innymi specyfikami do relaksacji, jarzeniowa lampa na suficie została zasłonięta czerwoną materią, a boczne plastikowe białe kinkiety zamienione na purpurowe papierowe chińskie lampiony ze złotymi napisami.

– *Hello!* – Drobnutka Tajka wybiegła z zaplecza, chwyciła swojego gościa za rękę i wyciągnęła na zewnątrz.

– Na wieczór zmieniasz branżę? – zapytała kpiarsko Marysia.

– Tak jakby – odparła enigmatycznie gospodyni. – A przeszkadza ci to?

– Nie, nic mnie to nie obchodzi – szczerze wyznała Marysia, choć tak naprawdę była ciekawa nocnego serwisu swojej nowej koleżanki.

– Chodźmy zatem. – Nuh wzięła kobietę pod pachę i ruszyły żwawym krokiem, wzbudzając zainteresowanie tak zagranicznych mężczyzn, jak i lokalnych alfonsów i prostytutek.

– Dokąd idziemy? – zapytała turystka.

– Najpierw do Taco Mexico Club, tej drewnianej wielkiej knajpy na rogu. Podają tam pyszne grilliady, a przecież na wstępie trzeba coś zjeść.

– Racja.

– A potem do Night Club w samym sercu Kamali.

– To ten biały budynek na drodze do Tesco? – Marysia chciała się upewnić.

– Właśnie ten – zachichotała dziewczyna, widząc, jak mijający ich na motorze facet tak zagapił się na nie, że omalże nie wpadł do rynsztoku biegnącego wzdłuż drogi.

Jedzenie w grill barze było rzeczywiście smaczne. Możliwe, że ze względu na klientelę dania przygotowywano nie w słodko-rybnym lokalnym smaku, lecz w zwykłym, zachodnioeuropejskim. Mięsa smakowały wyśmienicie, bo pachniały maggi, papryką, cebulą, czosnkiem i pieprzem, a jak ktoś chciał, to dosypywał sobie jeszcze ostrej chilli, która stała na każdym stole. Bar był okupowany przez licznych samotnych mężczyzn różnej narodowości i w różnym wieku. Pili oni litrami lokalne tanie piwo, ale nie gardzili też dobrze znanymi międzynarodowymi markami. Wszystkim pot perlił się na czołach, kapał z łokci i nadgarstków, płynął po szyjach, a co bardziej otyli mieli mokre nawet swoje zabawne hawajskie koszule w palemki. Z oddalonego od kontuaru miejsca przy stole spod swoich

długich rzęs Marysia dyskretnie obserwowała rozwój sytuacji. *Samce wyszły na łowy*, podsumowała z kpina, ale gdy dokładniej przyjrzała się niektórym, zrobiło jej się ich żal. Liczni starzy mężczyźni, najprawdopodobniej emeryci, prezentowali się kiepsko i niezdrowo wyglądali, a jednak przyjechali tu, do tego biednego i taniego dla nich kraju, aby może ostatni raz w życiu się zabawić, być adorowanym i poczuć coś, co gdyby nie było za pieniądze, mogłoby przypominać miłość. Nigdzie indziej za żadną kasę nie mogliby kupić aż takiego zainteresowania, dobroci, cierpliwości, szczerych uśmiechów i troski.

– Nuh, mogę cię o coś otwarcie zapytać? – Marysia nie wytrzymała, bo ciekawość nie dawała jej spokoju. – Czy te dziewczyny są takie biedne, głupie czy szalone, że zadają się ze staruchami nad grobową deską? Czy one grają, czy naprawdę tak się cieszą, a jeśli tak, to z czego?

– Czemu mają grać? – zdziwiła się Tajka.

– To niewiarygodne, że zachowują się jak kokieterijne kochanki i pielęgniarki z powołania w jednej osobie, martwią się o dziadków, głaszczą ich po spoconych twarzach i łysinach, ocierają pot, a jednocześnie tulą i całują. Czy usługa to obejmuje? Macie tak szeroko pojęty serwis?

– Ty uważasz, że to są dziwki? – Myszka zamarła z widelcem zawieszonym w powietrzu.

– No a nie?

– Nie! Kurwy znajdziesz na Patangu w Bangkoku, w Pattai, w barach w dużych miastach.

– A te to kto? – Marysia z wyraźnym rozbawieniem oczekiwała jakiejś pokrętej odpowiedzi. – Samarytanki?

– Tak bym tego nie nazwała. – Dziewczyna zadumała się nad odpowiedzią. – To są takie, powiedzmy... sanitariuszki. – Zadowolona, że znalazła dobre określenie, kiwała małą główką, szybko mrugając oczami.

– Że jak? Robią tym starszym o co najmniej trzydzieści lat papciom najpierw laskę, a potem zastrzyki? Podłączają kroplówki, kiedy są na wykończeniu?

– Żebyś wiedziała! Zdarza się! – Tajka obruszyła się na tak jawną ironię i jej głosik stał się jeszcze bardziej piskliwy. – Ci dżentelmeni przyjeżdżają do nas po radość i my im ją dajemy, a że lubimy naszą pracę, bo taką mamy naturę, to robimy wszystko z entuzjazmem, oddaniem i ogromną uciechą.

– Dajecie im po prostu dupy za kasę, a to nazywa się prostytutką – oświeciła ją szczerą do bólu Marysia.

– Nie, to rewanż, nagroda, pomoc... My oferujemy im coś, na co we własnych domach już nie mogą liczyć, a oni odwdzięczają się nam tym, czego my nie mamy, to znaczy pieniędzmi. Czasami dają też drobne prezenty, takie jak zegarek, biżuteria, modny ciuch, buty, komórka... no, mnóstwo rzeczy. Szczęściarzy nieraz dostają samochód, a te najlepsze i urodzone pod szczęśliwą gwiazdą zdobywają serca *farnagów* i wyjeżdżają stąd. – Ostatnie słowa Nuh wypowiedziała z rozmarzeniem.

– Dużo takich jest? – Półkrwi Arabka twardo stąpała po ziemi i nie widziała w kupczeniu ciałem żadnego romantyzmu.

– Jedna dziewczyna od nas, z Kamali, wyjechała do Niemiec, dwie do Ameryki, a moja siostra idiotka ma męża Duńczyka, ale nadal mieszka tutaj.

– O! To ciekawe! Muszę ich poznać!

– Jemu tak się u nas spodobało, że nie chciał już wracać do siebie. Kretyn jakiś! No ale są szczęśliwi, mają restaurację, taką porządną dla rodzin, wielki dom i trójkę małych dzieci. Ot,

co! Widzisz, że to żadna prostytutka, tylko miłość – znów przekonywała.

– To twoja siostra też... Poznała swojego męża w ten sposób? – W tym wypadku Marysia usiłowała ominąć dosadne określenia.

– No i co z tego? – Nuh pogardliwie wygięła wargi. Wróciła do posiłku i zadumana przestała się odzywać do zadufanej baby, która okazała się taka sama jak wszystkie wyfiokowane podstarzałe laleczki przyjeżdżające do Tajlandii jedynie po to, żeby pilnować swoich chłopów. *Ale bywa, że i tak im się nie udaje, bo mężczyźni nagminnie spierniczają od nudnych, nieczułych, białych pańcius!*, pomyślała z dużą satysfakcją. – Nie wiesz, jak to jest, nie mieć pieniędzy i perspektyw, moja droga – powiedziała po dłuższej chwili. – Żadnego zainteresowania i czułości z jakiegokolwiek strony. Nie miałyśmy tego w domu, a jedyne, czego przeważnie było pod dostatkiem, to razy i kopniaki. Więc cieszymy się, że *farangowie*, nawet niech będą starzy, przyjeżdżają do nas, adorują, hołubią i głaszczą po główkach, za co my możemy odwdziżyć się im z nawiązką.

– No tak, przepraszam. – Marysia w końcu zrozumiała swój nietakt, ale i tak wciąż wiele rzeczy do niej nie docierało. – Zamówić ci piwo? – Chciała się zrewanżować za cięty język i wścibstwo.

– Niech ci będzie. – Tajka nie potrafiła długo trzymać urazy. – Pijemy, jemy i idziemy – przedstawiła swój plan.

Co chwila do dwóch koleżanek podchodziły lokalne dziewczyny, witały się z Nuh i przedstawiały Marysi. Niektóre z nich były oszałamiająco piękne, inne miały poprawną ciekawą urodę, mało było brzydkich, ale wszystkie bez wyjątku otrzymały od natury dziecięcą, filigranową i przezgrabną figurkę. Marysia czuła się przy nich jak stara pociągowa klacz, zwłaszcza że one miały w okolicach metra pięćdziesięciu wzrostu i wyglądały góra na trzynaście lat, choć niektóre po cichu przyznawały się nawet do trzydziestki. Ubrane były bardzo skąpo, materiały ich kreacji były zwiewne jak puch, a też nie za wiele ich zużyto. Prawie każda miała odsłonięty brzusek, na którym według panującej mody znajdował się tatuaż i obowiązkowo pirs w pępku. Inne rysunki pokrywały ich gołe szczupłe ramiona, nogi i karki, a bardziej wyzywające kobiety umieszczały jakiś symbol na krągłych małych piersiach lub pięknie wyrzeźbionych półdupkach, które wystawały z przykusych szortów. Żadna nie miała cellulitu, rozstępów czy obwiśniętej skóry.

– Ja mam trójkę maluchów na utrzymaniu – wyznała kobieta o imieniu Kai-Mook. – Ciężko mi, zwłaszcza że stary oddaje się tylko picciu i biciu – skarżyła się.

– Nie narzekaj. – Ratana klepnęła ją w plecy. – Jak dzieci podrosną, to dopiero zobaczysz. Szkoły, droższe ciuchy, dodatkowe zajęcia, lekcje angielskiego...

– No pewnie! Języka sama będę ich uczyć!

– Chyba francuskiego i sztuki chędożenia – zaśmiała się figlarna Malie. – Ty ledwo po tajsku czytasz, bajoczku. – Czule pocałowała koleżankę w policzek.

– Lećmy już! Zajmą nam najlepsze stoliki! – Nuh zerwała się jak oparzona i poganiała koleżanki.

Wszystkie w butach na co najmniej dwudziestocentymetrowych obcasach lub koturnach ledwo trzymały pion na chudziutkich nogach, bowiem tutejsze chodniki pozostawiały wiele do życzenia. Dziewczyny, zaśmiewając się ze wszystkiego do rozpuku, wzięły Marysię między siebie – wyglądały jak grupa kolorowych ptaszków wokół wielkiej nieforemnej wieży. Nie przestawały pytlować, palić papierosów i pokrzykiwać do mijających ich na motorkach lokalnych chłopaków.

Kiedy przechodziły obok małego parterowego Tesco, które było w miasteczku największym marketem, jeden z przejeżdżających zatrzymał się i podszedł do wystrojonej

fryzjerki.

- Nuh!
- Czego?! – zapytała opryskliwie, robiąc przy tym pogardliwą minę.
- Znów idziesz się szlajać? – Chłopak chwycił ją za ramię i zmiażdżył w stalowym uścisku. – Ty kurwo pierdolona! – Jednym błyskawicznym pacnięciem odrzucił małą kobietkę od siebie, by po chwili przyciągnąć ją i wściekle szeptać coś do ucha.
- Odczep się! Jak zaczniesz zarabiać jakieś godziwe pieniądze, to pogadamy. – Nuh bez powodzenia próbowała się wyrwać. Marysia nie mogła się nadziwić, że żadna z jej kumpelek nie zrobiła nic, by jej pomóc.
- Spierdalaj, laluniu! Ale nie przychodź do mnie potem z płaczem – oświadczył wściekły facet, z obrzydzeniem odpychając od siebie drobną Tajkę. – Dziwka! – wydarł się na całe gardło. – Dziwka! – Wsiadł na motor i odjechał z piskiem kół.
- No to co? Lecimy, nie? – Nuh, masując policzek, wróciła do grupy.
- Pewnie!
- Oczywiście!
- Chodźmy!

Malutkie Tajki z uśmiechami na ustach ruszyły do nocnego klubu.

Budynek nie wyglądał okazale, ale jako jedyny w miasteczku był porządnie wybielony, miał świecące neony i duży parking od frontu. Parter nie miał okien, na wyższym poziomie były szyby od podłogi do sufitu, a z najwyższego przez małe otwory umieszczone tuż pod dachem padało czerwone migające światło. Marysia wzięła głęboki oddech i po raz pierwszy w życiu przekroczyła próg domu rozpusty. Kiedy była ostatni raz z Hamidem w klubie na zabawie, to było zupełnie inne miejsce, widać przeznaczone dla *farangów*, których żony nie chcą puścić samopas na dobrą zabawę i towarzyszą im na każdym kroku. Rzeczywiście, teraz przypomniawszy sobie, że w tym lokalu nie było żadnej miejscowej piękności, a nawet kelnerzy to byli Tajowie i jedna stara barmanka, na której nikt nie zawiesiłby już oka. Tutaj zaś roiło się od ślicznych dyspozycyjnych dziewcząt, a także młodych delikatnych chłopców o damskich rysach i zniewieściałym sposobie bycia.

- Cześć!
- *Hello!*
- Miło cię widzieć. – Nowe koleżanki Marysi witały się z ochroniarzami, jakby nie widziały ich od tygodni, a zapewne były tutaj najdalej wczoraj.
- Faceci pilnujący porządku, wbrew utartej opinii o drobnej budowie Azjatów, byli wysocy i wspaniale umięśnieni, a ich napompowane bicepsy prawie rozrywały opięte podkoszulki.
- Chodź, Mary! – Nuh pociągnęła nowicjuszkę do środka. – Żebyś się nie zgubiła! – Przytuliła swoje wątłe ciało do ramienia dziewczyny. – Jak już cię oprowadzę i trochę się usamodzielnisz, to dasz sobie radę, prawda?
- Na pewno! – Marysia rozglądała się dookoła. Była trochę spanikowana zarówno głośną muzyką, jak i otaczającymi ją tłumami. – Nie chcę cię blokować – bąknęła, bo teraz już całkiem jasno zdawała sobie sprawę, po co młoda fryzjerka tu przyszła.
- Co ty gadasz! Jakie blokowanie! – Dziewczyna była naprawdę słodka i naturalna i zupełnie nie peszył jej fakt, iż wszyscy dookoła wiedzą, że jest kobietą lekkich obyczajów. Marysia, stojąc przy niej, czuła się jednak jak napiętnowana. – Jakbyśmy się rozdzieliły, to wpadnij do mnie jutro. Może wymyślimy coś nadzwyczajnego, może gdzieś razem pojedziemy? – zaoferowała.
- Super! – Turystka ucieszyła się, że nie jest to jednorazowa znajomość, choć miała pełną świadomość, że pasuje do tego towarzystwa jak pięść do nosa. Była spięta i nie

wiedziała, czy gdyby teraz ktoś ją objął lub uczynił niedwuznaczną propozycję, nie dałaby mu od razu w pysk.

– Chodź, poznam cię z moim bratem. – Nuh w drodze do baru zatrzymała się przed jeszcze ładniejszą od siebie dziewczyną. – Oto Pravat – powiedziała z dumą. Marysia, która nie знаła tajskich imion, pomyślała, że to najbardziej zachwycająca i perfekcyjna ze wszystkich panienek w lokalu.

– A gdzie brat? – zapytała naiwnie.

– Pravat to właśnie mój brat. – Tajka wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

– Cześć, nowicjuszko. – Ni to chłopak, ni dziewczyna, odezwał się męskim, chropawym głosem. – Skąd jesteś? – zapytał uprzejmie. – Latino?

– Nie, z Europy.

– Ale chyba jakaś słodka mieszanka? – Z kokieterijną miną wyraził swoje zdanie, nawijając sobie przy tym kosmyk długich włosów na wskazujący palec.

– Oczywiście. – Marysia była tak zmieszana, że nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Stała przed nią chyba najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziała, i mówiła do niej tenorem, modelowanym na cienką nutę. *Zapewne pod tą kusą sukienką ma jeszcze jaja*, przemknęło jej przez myśl, na co histerycznie zachichotała. – Miło mi... – Usiłowała zapanować nad sobą, ale nie najlepiej jej to wychodziło.

– Fajna jesteś, wesoła, ale to raczej nie jest twoja bajka. – Pokazując ręką dookoła, mądrze stwierdził Pravat. – Bądź czujna – szepnął jej na ucho, a Marysia poczuła ekscytującą mieszankę męskiego potu i damskich ciężkich perfum.

– Dziękuję za ostrzeżenie! – zawołała na odchodnym, odciągana już przez Nuh.

– Pamiętaj! – Koleżanka trzymała ją za obie dłonie i poważnie patrzyła w oczy. – Uważaj na koktajle w szklankach, żeby ci czegoś nie dosypali, i nie daj się zaciągnąć na drugie piętro, bo to nie dla ciebie! – Tajka przekrzykiwała głośne disco i rozmowy rozbawionego tłumu. – Dzisiaj poobserwuj sobie, zobaczysz, czy ci pasuje, czy nie za bardzo, no wiesz... Zawsze weselej niż samemu przed telewizorem, no nie? Siedź sobie tu spokojnie i trzymaj się dziewczyn, a jak wszystkie znikną, to wracaj bezpiecznie do domu.

– Dzięki. – Marysia klapnęła pomiędzy znanymi i nieznanymi młodymi kurewkami. *Ale nisko upadłam*, stwierdziła w duchu. *I to ma być dobra zabawa?!*, pytała samą siebie.

– Może załatwię z ochroniarzem, żeby cię później odprowadził? – zapytała jeszcze troskliwa Nuh. – Żebyś nam się nie zawieruszyła.

– Nie rób sobie kłopotu.

– Na pewno? – Tajka czuła się odpowiedzialna za swoją zagraniczną podopieczną.

– Tak, spoko! – Turystka kiepsko udawała luz i radość, bo ze strachu dreszcz przebiegał jej po plecach. *Do domu! Ja chcę do domu!*, krzyczała w duchu. *Niech będzie nawet ten zawszony hoteliczek, byle dalej stąd!*, zamarzyła i nagle zrobiło jej się straszliwie smutno.

– Drink dla *madam*. – Rozneglizowana kelnerka postawiła przed Marysią oszronioną szklankę z margaritą.

– Ale ja nie zamawiałam... – zdziwiła się.

– Ten pan przy barze kupił to dla pani. – Dziewczyna pokazała brodą na siwego, zadowolonego sześćdziesięciolatka, który od razu pomachał Marysi na przywitanie. – Jeśli ma się przysiąść, to musi pani dać mu jakiś znak – instruowała nieobeznaną z panującymi zwyczajami.

– Jaki niby?

– Uśmiechnąć się chociażby czy kiwnąć zachęcająco.

Nowicjuszka stwierdziła, że lepiej już mieć przy sobie nieszkodliwego starego zgreda, niż siedzieć samotnie, jakby nie wiadomo czego się spodziewała, więc korzystając z porady profesjonalistki, wyszczerzyła sztucznie zęby. Facet tylko na to czekał – uszczęśliwiony dosłownie rzucił się w jej kierunku.

- Witam, jestem John – przedstawił się i szarmancko pocałował kobietę w rękę.
- Mary – odpowiedziała niepewnie. – Niech pan siada.
- Dziękuję. – Z westchnieniem ulgi padł na niską sofę. – Ja pierwszy raz w takim przybytku i trochę głupio się czuję. A pani?
- Proszę mi mówić na ty. – Zdziwił ją jego oficjalny ton. – Panów już dawno wymordowano, teraz wszyscy się bratają i nie stwarzają niepotrzebnych barier.
- Wspaniale! – Ośmielony, przysunął się bliżej. Marysia nie brała pod uwagę faktu, że tutaj każde przychylniejsze słowo będzie uznawane jako zaproszenie do spoufalenia. – Skąd pochodzisz? Chyba nie z Tajlandii? Jesteś turystką?
- Z Europy. – Jak zwykle nie chciała opowiadać swojej skomplikowanej historii, szczególnie teraz, gdy ani miejsce, ani czas temu nie sprzyjały. – Włóczę się po świecie, ot co. – Znow sztucznie się zaśmiała.
- To fajnie, bo ja też. – Mężczyzna z satysfakcją znalazł łączącą ich nić. – Robię Azję.
- Co robisz? – Nie zrozumiała, zwłaszcza że facet mówił kiepską twardą angielszczyzną i żaden z niego był John.
- Zwiedziłem już Wietnam, Laos i Kambodżę. Teraz robię dwutygodniową objazdówkę po Tajlandii, a potem ruszam do Malezji i Indonezji. Kończę na Bali parodniową labą nad basenem.
- Rewelacja! – Marysia była pełna podziwu dla zainteresowania światem mężczyzny, za którego wygląd nie dałaby pięciu groszy. – To chyba kosztuje straszne pieniądze – zainteresowała się, bo sama też marzyła o podróżowaniu.
- No cóż... Życie może być tanie, ale wtedy nie jest takie przyjemne, a kiedy jest przyjemne, to musi się za to zapłacić – wygłosił swoją teorię.
- Niekoniecznie. – Kobieta doskonale pamiętała czasy, kiedy żyjąc w biedzie, była jednak bardzo szczęśliwa.
- Więc zbierasz na podróżę? – zapytał mimochodem, a jego młoda niedoświadczona rozmówczyni nie odczytała z tego pytania żadnego podtekstu. – Mała globtroterka. – Przymilała się, pokazując nierówne poślizgnięcie.
- Na razie nie muszę – odpaliła Marysia, a Johnowi zrzędała mina. – Mam fundusze, a potem będę się martwić, ale też nie za bardzo.
- To czego tutaj szukasz, dziewczyno? – indagował, rozdrażniony, bo już wiedział, że wyrzucił w błoto pieniądze na drinka.
- Siedzę sobie i piję darmową margaritę – zaśmiała się szelmowsko. – I obserwuję życie – dodała konspiracyjnie.
- Pisarka jakaś czy dziennikarka? – Mężczyzna skrzywił starcze wyblaknięte usta i z trudem starał się wstać z miękkiej sofy. – Może jeszcze coś gorszego?! Detektyw, kapuś...
- Koleś, daruj sobie, okej? – Marysia ostro na niego spojrzała.
- Ukryta kamera?! – prawie krzyknął, z paniką rozglądając się dookoła.
- Opanuj się! Nie szpieguję ludzi! Mam prawo siedzieć, gdzie chcę, i robić, co chcę!
- W towarzystwie tajskich kurewek?
- To moje koleżanki – wyznała z przekąsem. – Myślisz, że są gorsze od sklepikarek czy kelnerek? Jak widać chociażby po tobie, ich zawód jest bardzo ważny, bo bez takich jak one twoje „robienie Azji” nie miałyby racji bytu – ironizowała. – Baw się dobrze, a na drugi raz

uważaj, co komu proponujesz. – Jednym haustem dopiła koktajl i zgrabnie wstała z kanapy, z której podrywacz w dalszym ciągu nie był w stanie się wygrzebać. – Margaritę proszę! – Tym razem postanowiła napić się za własne pieniądze. – Z podwójną miętą i dużo lodu. – Alkohol pomógł jej poczuć się swobodniej, a poza tym była dumna, że tak łatwo poradziła sobie z pierwszym nachalnym absztyfikantem.

– Całkiem niezłe jak na debiutantkę. – Pravat widać nie znalazł amatora na kobietę z jądrami, bowiem nadal siedział przy barze i sączył ciepłego już drinka.

– Ja w tej dyscyplinie nie startuję, więc...

– To co tutaj robisz? – powtórzył pytanie zramolałego podrywacza. – Nabierasz na darmowe trunki starców? Nieładnie, a fuj! – Machnął ręką jak klasyczny gej.

– Nudzę się. – Marysia postanowiła być szczerą. – I szukam rozrywek.

– Mało atrakcji jest w hotelach? Nie ma ciekawych miejsc do zwiedzania w okolicy? Czemu akurat szlajasz się z moją siostrzyczką, która chyba wiesz, czym tak naprawdę się zajmuje.

– Jest fryzjerką? – zażartowała, a chłopak o twarzy anioła zaśmiał się gromko.

– Tak, tylko bez nożyczek – odparował.

– Jak to? Przecież mnie ostrzygła. – Kobieta nie mogła zrozumieć, dlaczego taka przykrywka nie może być równie dobrze świetnym, uczciwym zawodem.

– Kiedyś, dawno temu zrobiła kursy, dostała jakiś dyplom, ale od lat robi zupełnie coś innego, bynajmniej niezwiązanego z cięciem włosów. Posiada zakład, płaci podatki, więc ma święty spokój z mafią i urzędami. Jest prawą obywatelką naszego wspaniałego małego miasteczka, które bez kurestwa przestałoby istnieć. Dziewięćdziesiąt procent zysków przynoszą nie te dwa wielkie kompleksy wypoczynkowe, hotele, pensjonaty czy restauracje, ale właśnie prostytutka. Poza tym bez nierządu te wszystkie obiekty stałyby puste. Tak jest u nas wszędzie, dlatego nikt nie ma zamiaru tego ukrócać. – Pravat wyjawiał turystce tajniki funkcjonowania tajskiego systemu budżetowego.

– Niezłe... – Marysia była zszokowana tak prawdą o Tajlandii, jak i ciekawą oracją młodego transwestyty. Nigdy by nie sądziła, że filarem państwa mogą być dochody z płatnego seksu.

– Pozwolisz, że powtórzę pytanie, moja droga. – Nowy znajomy położył jej wilgotną chłodną dłoń na ramieniu. – Czemu włączysz się po takich miejscach jak to?

– Uczę się życia i poznaję nowych ciekawych ludzi. – Kobieta zrobiła ukłon w jego stronę, na co tylko się zaśmiał. – A tak naprawdę wszystko po to, żeby nie siedzieć samej w brudnym, śmierdzącym, obskurnym pensjonacie.

– Nie wyglądasz mi na biedną czy porzuconą. – Pravat poważnie spojrzał jej w oczy. – Lepiej żyć na swoim miejscu w swoim, znanym świecie. Takie zmiany, dokonywane na siłę, nikomu nie wychodzą na dobre – mądrze pouczał, a Marysia wyrzucała sobie, że na początku potraktowała go jak idiotę, tylko dlatego że swoje męskie ciało oblekał w damskie ciuszki.

– Wierz mi, że czasami dobrze jest uciec... Nieraz chcąc przetrwać ciężki okres, trzeba zmienić otoczenie, środowisko, a kiedy człowiek sam z sobą dojdzie do ładu, będzie mógł albo wrócić, albo rozpocząć życie od nowa.

– Okej! Nie pytam o nic, bo nie jestem wścibski, ale tu mi zaimponowałaś. – Mina transwestyty wyrażała autentyczny podziw. – Jednak chcąc nie chcąc, muszę zaingerować w twoje troszkę nierozsądne poczynania, żebyś nie wykonała kroku w złym kierunku, o co nietrudno. Nie mogę pozwolić ci tu zostać, bo dla takich grzecznych, troszkę pogubionych pańienek jak ty jest restauracja mojej siostry, a nie ten burdel.

– Też, co ma męża Duńczyka?

– Właśnie. Chodź, zabieram cię stąd. – Chwycił ją za rękę i pociągnął do wyjścia. – Chłopaki, popilnujcie przez moment tej zblakanej turystki, dobrze? – zwrócił się do ochroniarzy, a oni, jak to małowówne mięśniaki, odpowiedzieli mu tylko skinieniem. – Zaraz wracam. Muszę się rozcharakteryzować. Starsza siostrunia wścieka się, kiedy widzi mnie w takiej wersji. – Figlarnie przejechał rękami od głowy aż do pupy, na której opinała się kusa kolorowa sukieneczka. – Daj mi pięć minut! – rzucił w stronę swojej towarzyszki, po czym zniknął za drzwiami męskiej toalety.

Po półgodzinie, kiedy Marysia stwierdziła, że chyba jednak pójdzie sama, z ubikacji wyszedł drobny, niski chłopak w wyblakniętym podkoszulku, obcisłych płóciennych korsarkach i skórzanych sandałach. Proste długie włosy miał spięte gumką recepturką z tyłu głowy na modłę japońskich samurajów, policzki pokryte licznymi bliznami po ospie lub przewlekłym młodzieńczym trądziku, a przez jego górną wargę szedł ślad po amatorskim szyciu. Spojrzał na zniecierpliwioną wczasowiczkę pięknymi czarnymi oczami, okolonymi firaną naturalnie podkreślonych długich rzęs.

– Sorki – powiedział rozbawionym, już naturalnym głosem. – Trochę mi to zajęło, bo nie miałem z sobą toniku.

– Musisz mieć rewelacyjny fluid – stwierdziła z uznaniem Marysia. – Podasz mi markę?

– Pewnie, zawsze z chęcią dzielę się z koleżankami moimi doświadczeniami. – Mrugnął do niej figlarnie i ruszyli wąskimi uliczkami w stronę wybrzeża.

– Wiesz co? Jest chyba trochę za późno, żeby odwiedzać porządných ludzi. – Kobieta zasmuciła się, patrząc na zegarek. – Poza tym nie najlepiej się czuję.

– Kurczę! Mam nadzieję, że ten staruch nie wrzucił ci czegoś do koktajlu – zaniepokoił się Pravat.

– Chyba nie, bo te objawy mam już od pewnego czasu – wyznała, zdziwiona swoim stanem. – Czasami robi mi się niedobrze, w głowie zaś kręci mi się ciągle, ale myślę, że to z nadmiaru emocji.

– Symptomy choroby mogły się wzmoczyć pod wpływem alkoholu, ale uważam, że trzeba dmuchać na zimne. Posiedzę z tobą, aż ci się poprawi.

Marysia, czując całą zawartość trzewi podchodzącą jej do gardła, już nie wytrzymała, pochyliła się i wymiotowała do przydrożnego kanału. Gdyby Pravat jej nie trzymał, to zapewne wylądowałyby w rynsztoku, bo przed oczami migotały jej już tylko czerwone plamki.

– Przepraszam... Dziękuję... – szeptała przez spieczone gardło.

– Może złapałaś jakąś naszą azjatycką zarazę?

– Nie, niemożliwe. – Dokładnie wycierała usta papierową chusteczką.

– Nie masz pojęcia, jakie u nas krążą wirusy i bakterie. Szczepiłaś się przed przyjazdem?

– Skądże! – Zaśmiała się, przypominając sobie swoją błyskawiczną decyzję. – Miałam może cztery godziny na wszystko, więc sam rozumiesz...

– To może być tyfus! – zawołał stroskany Pravat.

– Co? W dwudziestym pierwszym wieku? Takie choroby już nie istnieją!

– Niestety, dur brzuszny występuje u nas bardzo często. No i jest jeszcze salmonella.

– Nie jadłam surowych jajek ani nic, co by miało je w składzie. Żadnych tortów z masą ani lodów.

– Kochana! Pałeczki tej bakterii występują w kurczaku, dlatego nikomu nie polecam pysznych tajskich słodko-kwaśnych szaszłyczków z *warungu*, bo szczególnie te miejsca są jej siedliskiem, jako że mięso przetrzymywane jest poza chłodnią. Trudno o lodówkę na ulicy, no

nie? – zażartował, choć Marysi wcale nie było do śmiechu.

– To co mam robić?

– Zaparzę ci herbatę, najlepiej zieloną, pij dużo wody, ale też tylko z takich butelek, które mają zakrętkę powleczonej folią. Inne niestety napełniane są kranówką, twist jest przytwierdzany na błyskawicznym kleju i bywają toksyczne.

– Mój Boże! Nie wiedziałam!

– Mało kto z przyjezdnych wie i dlatego biznes się kręci. – Pravat znów zrobił zabawną minę. – Mieszkasz w tej ruderze? – zapytał, kiedy Marysia pociągnęła go w stronę swojego pensjonatu.

– Niestety, ale tylko tymczasowo. Planuję znaleźć sobie jakiś... inny hotel – skłamała, bo fundusze topniały bardzo szybko, a Tajlandia wcale nie była taka tania, jak ją reklamowano.

– Rozejrzę się za czymś dla ciebie.

Gdy weszli do hotelu, kobieta z recepcji rzuciła się z krzykiem na swojego rodaka:

– A ty tu co? – Po czym spojrzała spode łba w stronę Marysi. – Nie wolno wprowadzać gości spoza hotelu, a szczególnie w godzinach nocnych.

– Słuchaj, Pakpao, ona źle się czuje i ktoś powinien przy niej posiedzieć – odparł surowo Pravat. – Chcesz to być ty? A może wolisz za chwilę wzywać karetkę?

– Że też ty zawsze musisz wszystkim się opiekować! – Recepcjonistka zrobiła pogardliwą minę. – Trzeba było zostać w tym odludnym klasztorze, doić kozy, przygarniać bezdomne tygrysy i hodować kapustę.

– Nie bądź taka złośliwa. Pamiętaj, że nawet nieuprzejmą mową i bezmyślną paplaniną można zaszkodzić karmie. Chyba nie chciałabyś się odrodzić glistą albo ćmą? – Mężczyzna postraszył na buddyjski sposób i wredna baba już się nie odezwała.

Marysia, ledwo przekroczyła próg pokoju, od razu lepiej się poczuła. Uznała, że wszystkie chorobowe objawy były efektem stresu i lęków. *Upodabnam się do swojej matki*, podsumowała w duchu.

– Dziękuję, Pravat. – Już po chwili wypychała miłego chłopaka za drzwi. – Jesteśmy na jutro umówieni w restauracji twojej siostry. Nazwy na pewno nie zapomnę, bo już tam kiedyś byłam. Poza tym Hans Christian Andersen to autor moich ulubionych baśni, więc nazwę restauracji mam wrytą w pamięci od dzieciństwa. Teraz jest mi już naprawdę lepiej, więc ze spokojnym sumieniem idź do domu.

– Na pewno? Może mógłbym ci jednak w czymś pomóc? – Patrzył na nią tak serdecznie, że kobiecie aż zrobiło się ciepło na sercu.

– Cieszę się, że poszłam do tego parszywego burdelklubu, bo poznałam tam ciebie i mam już dobrą, szczerą i oddaną osobę w tym obcym miejscu. – Po koleżeńsku ścisnęła jego drobną dłoń.

– Nie ma czynów bezcelowych, bo nie idziemy w żadną stronę bez przyczyny. – Pravat był zadowolony z jej wyznania, bo od razu polubił tę młodą kobietę o dziwnej urodzie i ze smutkiem na dniu bursztynowych oczu. – Będę czekał na ciebie. W restauracji działałam każdego popołudnia od szesnastej. – Niezdarnie pomachał ręką na pożegnanie, a Marysia nie mogła pojąć, jak to możliwe, że wraz ze zdjęciem babskich łaszków ten transwestyta utracił wszystkie kobiece maniere i wdzięk. Teraz był normalnym, topornym facetem.

Przez dwa kolejne dni Marysia nie była w stanie zwlec się z łóżka i wyjść z pokoju. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jedyne kroki kierowała do łazienki, żeby po raz kolejny wymiotować, albo do lodówki po wodę. Dokładnie sprawdziła wszystkie plastikowe

zabezpieczenia nakrętek na butelkach i okazało się, że w większości półlitrowych założono je ręcznie albo w ogóle ich nie było. Zawartość tych podróbek wylała do umywalki, zastanawiając się, ile kranówki do tej pory wypila. *To musi być tyfus lub salmonella*, wmawiała sobie, choć w Internecie znalazła opis objawów tych chorób i poza wymiotami nic się nie zgadzało. Nie miała gorączki, bóle brzucha, biegunki, za to piersi jej napuchły i stały się niezwykle czułe. Co chwila dotykała swojego stwardniałego zaokrąglonego brzuszka, który z zapadniętego przekształcił się w małą górkę, a zawsze wklęsły pępek wyjrzał nieoczekiwanie z dziurki. *To nie może być to, o czym myślę*, mocno zaciskała zęby, żeby ponownie nie zacząć płakać. *Nie jestem przecież, do cholery, wiatropylna! Niemożliwe! Nie!* Znow biegła do toalety i po raz kolejny szarpała nią torsje.

– Madam. – Przez sen usłyszała pukanie do drzwi. – Madam... Czy dobrze się pani czuje? – rozpoznała głos Pakpao, ale teraz był on delikatny i zaniepokojony. – Może w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała cicho Marysia. – Wywiesiłam tabliczkę, że nie chcę sprzątanego pokoju, tylko spokoju! – Gwałtownie siadła na łóżku, zdenerwowana bezczelnym nagabywaniem, ale tak zakręciło jej się w głowie, że opadła bezwładnie na poduszki.

– Mary! – Jak przez watę doszło do jej uszu wołanie. – Mary, otwórz! – Znajomy męski głos wpływał na nią kojąco, ale nie mogła ruszyć nawet palcem, nie mówiąc już o podniesieniu bezwładnego ciała. Wydawało jej się, że sufit zaraz runie jej na głowę.

– O mój Boże... – wyszeptała, ostatecznie poddając się słabości. – Przyjdzie mi zdechnąć w obcym kraju, w samotności, opuszczona, niekochana... – Pochlipując, nie usłyszała kliknięcia zamka w drzwiach.

– Już dobrze, wszystko będzie dobrze. – Pravat z niepokojem pochylił się nad umęczoną mizerną kobietą. – Zaraz zawołam lekarza. – Marysia poczuła delikatny uścisk jego dłoni, otworzyła oczy i zobaczyła swojego przyjaciela w piaskowym mundurze policjanta.

– Nie trzeba... Mnie się zaraz poprawi... – broniła się ostatkiem sił.

– Jadłaś coś przez te dni? – zapytał troskliwie, przysiadając na brzegu łóżka.

– Coś ty – zaśmiała się słabo. – Nie ma co wsadzać do dzioba, bo wszystko z niego wylatuje.

– Pakpao, przynieś no kubek zielonej herbaty i tost z pszennej mąki, proszę. – Pravat zwrócił się do recepcjonistki, która wciąż stała w drzwiach, wyraźnie przestraszona.

– Chodź, zaprowadzę cię do łazienki. – Wziął cierpiącą pod pachę. – Musisz się odświeżyć, i to najlepiej chłodną wodą. A jak trochę wrzucisz do żołądka, to zaraz lepiej się poczujesz.

– Skąd masz takie pomysły?

– Moja siostra Junta każdą ciężą przechodzi tak ciężko, a poza tym mam uprawnienia ratownika medycznego, więc wiem, co mówię. – Z sympatią w oku lustrował znajomą od stóp do głów.

– Jesteś chodzącą skarbnicą wiedzy. Jaką tajemnicę jeszcze skrywasz, mój ty przyjacielu? – Marysia poddała się jego woli, bo czując bratnią duszę przy sobie, od razu odzyskiwała siły. – Były mnich buddyjski, policjant, pielęgniarz i do tego wszystkiego transwestyta.

– Wszystko się zgadza z wyjątkiem tego ostatniego. – Mężczyzna wcale się nie obruszył, podniósł tylko figlarnie jedną brew.

– Przepraszam, nie gniewaj się! Nie chciałam cię urazić! Mam taką niewyparzoną gębę.

– Jak zawsze ponieważ się ugryzła się w język.

– Coś ty! – Wybuchnął śmiechem. – Obrażać się o takie głupstwo? Musiałbym być

idiotą, a chyba jednak nie jestem. Jeszcze zdążę ci wszystko wyjaśnić, nic się nie martw.

A teraz myj się, zjadaj co nieco i idziemy.

– Dokąd? – Pod Marysią ponownie ugięły się nogi.

– Do restauracji mojej najstarszej siostry. Byliśmy tam umówieni, pamiętasz? Ona najlepiej ci pomoże i doradzi. – Pravat zamyślił się. – Nie rozumiem tylko jednego. Wyglądasz na Arabkę, przynajmniej po części.

– No i?

– Masz męża Araba? – zapytał niedyskretnie, ale widać było, że to go nurtuje, więc Marysia postanowiła szczerze odpowiedzieć.

– Tak, Saudyjczyka. W zasadzie to już mój były mąż – poprawiła się. – Rozstaliśmy się. – Zacisnęła usta.

– Kto z kim? – indagował, bo dla niego ta kwestia była istotna.

– On ze mną.

– Zaraz, zaraz! – Pravat pokiwał wskazującym palcem. – Czy czasami prawo szariatu nie nakazuje małżonkowi oczekiwać na ostateczny rozwód przez trzy miesiące, żeby się upewnić, że żona nie jest w ciąży? Na przestrzeganiu tego paragrafu zależy przede wszystkim arabskim facetom, bo to oni nie chcą oddawać na wychowanie swoich dzieci ich matkom. Choćby nie wiem co!

– Tak się przeważnie dzieje, ale nasz przypadek był specyficzny. – Marysia zamknęła za sobą drzwi łazienki i weszła pod prysznic.

Jeśli obcy facet widzi gołym okiem, że jestem w ciąży, to jestem, postanowiła pogodzić się z tym faktem. *Tyle czasu z Hamidem staraliśmy się i nie uważaliśmy, tak bardzo chcieliśmy mieć dziecko, a ja chciałam mieć je w końcu z nim, i się nie udawało. A na koniec taka wpadka!* Marysia nie miała pojęcia, co z tym niechcianym fantem zrobić, ale jedno wiedziała na pewno – ciążę utrzyma, bo jakżeby mogło być inaczej. Teraz, kiedy już zaakceptowała sytuację, od razu lepiej się poczuła, i fizycznie, i psychicznie.

– To co z tym transwestytyzmem? – Ciekawska kobietka zapytała od razu, kiedy tylko zajęli miejsca w restauracji, którą doskonale pamiętała. – Przebierasz się w babskie łaszki, więc jak to się tutaj nazywa?

– A ty uchylisz mi rąbka tajemnicy dotyczącej specyficznego związku z Saudyjczykiem czy nie? – Pravat odbił piłeczkę, bo był mocno zaintrygowany swoją nową przyjaciółką i chciał poznać przyczynę jej obecnych kłopotów.

– Nie. Na pewno nie dzisiaj i nie jutro – zdecydowanie odmówiła. – Może kiedyś...

– Opowiedzenie o tym, co człowieka dręczy, pomaga – namawiał delikatnie.

– Już wystarczająco dużo ludzi z mojego otoczenia zna tę historię i to właśnie oni dręczą mnie współczuciem. Dlatego też musiałam uciec na koniec świata, bo chcąc zapomnieć i pogodzić się z tragedią, która mnie spotkała, muszę normalnie żyć i przestać rozgrzebywać stare rany.

– Okej, zatem nie nalegam, żebyś nie musiała znów zwiewać na inny koniec świata – dowcipkował.

– Pravat! Mówiłam ci, żebyś nie przychodził do mnie w mundurze! – Nagle za ich plecami rozległ się wściekły krzyk. – Gości mi przestraszysz!

– Tak źle i tak niedobrze! W sukience nie wolno, bo Kamala to małe miasteczko i ludzie zaczną już na głos gadać i nie daj Bóg wyrzucą mnie z pracy. W policyjnym uniformie też nie, bo wzbudza trwogę. Siostrzyczko, jestem prosto po robocie i nie zdążyłem się przebrać – tłumaczył się, wstając i pokornie chyląc czoła przed ładną, choć korpulentną tajską kobietą. – Zaraz się przebiorę.

– Tylko odpowiednio! – Pogroziła mu ręką, jednak ciepło patrzyła za szybko oddalającym się od stolika bratem. – A ty kto? – obcesowo zwróciła się do Marysi.

– Znajoma.

– On nie miewa takich znajomych. W ogóle nie miewa znajomych, a już na pewno nie zagraniczne kobiety.

– Poznaliśmy się parę dni temu w night clubie. – Chcąc żyć w zgodzie z zadziorną siostrzycą przyjaciela, Marysia nie mogła jej zbyć półsłówkami.

– Uhm... To znaczy wiesz, kim on chce być? Ty jesteś po tych samych papierach? – Pochyliła się w stronę rozmówczyni i bacznie ją lustrowała, a potem bez skrępowania zajrzała za dekolt. – Już po kuracji hormonalnej? – zapytała, przysiadając się bez zaproszenia.

– Czy ja wyglądam na faceta? – Zszokowana kobieta wybuchnęła szalonym śmiechem.

– No nie... Ale masz spuchnięte piersi – stwierdziła gospodyni. – W ciąży jesteś? W ciąży jesteś! – W jednej chwili rozchmurzyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – A gdzie mąż?

– Rozwiódł się ze mną. – Marysia po raz kolejny musiała wyjawić smutną prawdę.

– A to skurczybyk! Takim to by należało jaja wybrać!

– No, może nie tak od razu...

– Jak to nie?! Od razu! Psubrat jeden! – Impulsywność i zaangażowanie Junty rozbawiło dziewczynę i patrzyła na Tajkę wielkimi oczami.

Wtem do stolika podszedł wysoki, szpakowaty, biały mężczyzna.

– Witam. Jak się masz? – zapytał, wyciągając do Marysi delikatną, zadbaną dłoń.

– Dziękuję.

– Słyszałem od Pravata, że szukasz lokum i pracy. – Widać jej przyjaciel już zaczął działać.

– Przydałoby się – potaknęła, ściskając wargi.

– No to musimy jej pomóc – zwrócił się do swojej żony, mówiąc perfekcyjnym tajskim.

– Czyś ty zgłupiał? Mało mamy własnych problemów i pijawek na karku? Dzieci, moje porabane rodzeństwo, chora matka! – Junta wyliczała na palcach. – Czy ty nigdy nie przestaniesz być konsulem? Wiecznie musisz wszystkich wspierać, ratować i przygarniać bezdomne psy i koty?!

– To jest człowiek, Junta – oznajmił mężczyzna, nie podnosząc głosu, i czule poklepał żonkę po ręce. – Wiem, że na pewno jesteś tego samego zdania co ja.

– Czemu awanturujecie się nad biedną dziewczyną, i to jeszcze w obcym dla niej języku? – Pravat, mówiąc po angielsku, prędko podszedł do stolika. – To niegrzecznie.

– Nic nie szkodzi. – Marysia domyślała się przyczyny kłótni, ale już trochę rozszyfrowała buńczuczną kobietę i wiedziała, że tylko udaje taką twardą, bo w jej oczach nie było za grosz złości czy podenerwowania.

Spojrzała na przyjaciela, który znów wyglądałby na zwykłego tajskiego chłopaka, gdyby nie fakt, że przez obcisły podkoszulek przebijał zarys stanika.

– Musicie coś zjeść. – Junta wstała od stołu i wymownie popatrzyła na swojego męża.

– Tobie zaserwuję dobrą tłustą zupę na kurczaku – wskazała palcem na Marysię – a ty bierz, co chcesz – klepnęła życzliwie brata.

– Kocham cię, siostrzyczko. – Pravat obrócił się w jej stronę i zrobił dzióbek, który Junta bez skrępowania pocałowała.

Kiedy gospodyni wszystko zarządziła w kuchni, wróciła na salę i pochyliła się nad Marysią.

– Rano, zanim wstaniesz z łóżka, radzę ci zjeść garstkę migdałów i popić je lodowatą

wodą. W ciągu dnia jedz często, ale małe porcje i codziennie fenkuł – jest znakomity na wszelkie dolegliwości, a przede wszystkim pobudza trawienie, pracę żołądka i jelit. Dzięki temu redukuje absmak w ustach i stopuje mdłości. Mówię ci, to działa!

– Ogromne dzięki. – Marysia doszła do wniosku, że jednak ma szczęście w nieszczęściu. – Jesteś cudowna.

– Dobra, dobra. Nie podlizywać się. – Junta wzięła jej dłoń w swoje szorstkie i spracowane ręce, obróciła wierzchem do góry i pogładziła. – Chyba nie myślisz, że damy ci zginąć – oświadczyła ze śmiejącą się buzią i pobiegła do swoich zajęć.

– Masz już zagwarantowane mieszkanie i niezbyt ciężką pracę, bo Hans to dobry chłop, a Junta tylko udaje taką srogą. – Pravat mrugnął do koleżanki.

– A ty masz stanik – odparła ni z tego, ni z owego Marysia, na co oboje zachichotali.

– Ale jesteś dożarta. Nie odpuścisz, co?

– Dzisiaj sobie wszystko wyjaśnimy i będziemy mieć to z głowy. Będziemy żyć dalej i przyjaźnić się bez obciążeń jakimiś głupimi tajemnicami lub niezdrowymi domysłami – odparła szczerze Marysia. – Ty o mnie wiesz aktualnie tyle, ile nie wie nawet nikt z mojej rodziny, więc nie łam się i opowiadaj. Teraz twoja kolej na zwierzenia. Czemu nosisz stanik i przebierasz się w babskie ciuchy, skoro twierdzisz, że nie jesteś transwestytą?

– Bo jestem kobietą, która omyłkowo znalazła się w paskudnym męskim ciele – oznajmił poważnie Pravat, a Marysia z trudem opanowała rozbawienie. – Widzę po twoich oczach, że z chęcią byś mnie wyśmiała.

– Nie, skądże...

– Taka jest prawda i ona wcale nie jest śmieszna. – Pokiwał karcąco palcem, a speszona rozmówczyni spuściła wzrok. – Dla mnie to ciągle cierpienie. Od dziecka czułem się nieswojo jako chłopak. Uważałem się za dziewczynkę, mówiłem jak dziewczynka, odmieniałem jak dziewczynka, nawet wymyślałem sobie dziewczynskie imiona, którymi kazałem się nazywać. Byłem przeszczęśliwy, kiedy siostry przebierały mnie w swoje kiecki, malowały i tańczyły ze mną. Pierwszy raz ojciec złapał nas na tym, kiedy miałem osiem lat. Ratna, Junta i Nuh szybko zwały, a ja dostałem takie wciry, że pękła mi górna warga, miałem złamaną rękę i parę żeber. Na koniec tatuńcio wyrzucił mnie z pierwszego piętra przez zamknięte okno, czego skutki widać do tej pory na mojej twarzy. – Pokazywał dziury i blizny, które okazały się rezultatem maltretowania, a nie ospy czy trądziku. – Później nie raz, nie dwa w nocy przyłaził do mnie do pokoju i mnie molestował. Okazało się, że był nie tylko szubrawcem, pijakiem, hazardzistą i sadystą, ale również pedofilem i pedałem. Sorki, nie pedałem, ale biseksualnym skurwysynem! – Marysia z coraz bardziej ściśniętym gardłem słuchała tej tragicznej opowieści. – Moja kochana, dobra mama, widząc, co się wyprawia, wysłała mnie do zakonu w górach. Ale wtedy się wściekł! Szkoda, że tego nie widziałem – zaśmiał się smutno. – Tam szczęśliwie żyłem przez trzy lata i utwierdziłem się w przekonaniu, że powłoka, która mnie przyobleka, została mi przyznana przez pomyłkę. Z czasem tak wprawilem się w medytacjach, że osiągnąłem najwyższy stopień wtajemniczenia – nirwanę. Stąd wiem na pewno, że moja świadomość, lub jak wolisz dusza, dostała niewłaściwy dla niej dom.

– I pomaga ci to przebieranie się? – przerwała Marysia, chcąc spowolnić tok zwierzeń, bo chłopak niebezpiecznie zbladł.

– Nie, nie o to chodzi! Nie jestem transwestytą, ale transseksualistą. Nie ubieram się w kobiecą odzież, bo to mi daje emocjonalną, psychiczną czy wręcz seksualną satysfakcję. To mnie nie zaspokaja, ale jest jedynie manifestacją, kim naprawdę jestem i kim niedługo fizycznie się stanę.

– W jaki sposób?

– Przechodzę od jakiegoś czasu kurację hormonalną i jak sama zauważyłaś, noszę stanik, bo zaczęły mi rosnać piersi – wyznał dumnie Pravat.

– O mój Boże! To jest bezpieczne dla twojego zdrowia?

– Oczywiście. Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek i taka terapia nie należy do rzadkości. W Ameryce hormony podaje się już ósmiolatkom, które zdeklarowanie źle się czują we własnej skórze.

– Co?! Dzieciom?! – oburzyła się Marysia. – To nieetyczne! Co one mogą wiedzieć o seksualności i o swoim nierozwiniętym jeszcze ciele?

– Wierz mi, że dużo. Takim właśnie dzieciakom wstrzymuje się okres dojrzewania, a kiedy mają około dwunastu lat, zaczyna się podawać hormony płci przeciwnej. Ja uważam, że to wspaniałe. Młody człowiek nie musi się męczyć, udawać kogoś innego i obserwować, jak dojrzewa jego zniechęcona skorupa. – Marysia tylko ściągnęła usta, bo poczuła mdłości, ale już sama nie wiedziała, czy to z powodu ciąży, czy szokujących informacji, z którymi zetknęła się pierwszy raz w życiu. *Jestem paskudną tradycjonalistką*, stwierdziła z rozgoryczeniem, *ale w świecie, w którym żyłam, takie zachowanie było uważane za chore*.

– Jesteś zdecydowany, żeby obcięli ci jądra i fujarkę? – zapytała o najbardziej bulwersującą część transformacji.

– Marzę o tym – wyznał Pravat, z rozanieleniem przymykając piękne oczy. – Już nie mogę się doczekać orchideoktomii i utworzenia mojej własnej pisiuni.

– Tak bez strachu i żalu oddasz swoją męskość?

– Ja nie jestem mężczyzną! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – zdenerwował się. – Mój narząd służy jedynie do sikania. Nigdy po dobroci nie odbyłem stosunku seksualnego ani z kobietą, ani z facetem, pomimo że mam już skończone dwadzieścia pięć lat. Nie urządza mnie to! Nie podnieca! – Gwałtownie chwycił ją za rękę. – Brzydzę się tego – wyszeptał z kwaśną miną.

– A sam? No wiesz? – Marysia zrobiła niedwuznaczny gest i poczuła, że Azja źle wpływa na jej skromność. – Stosujesz samoobsługę?

– Obrzydlistwo! Brać go do ręki?! Ja nawet jak sikam, to trzymam go przez papier. – Na te słowa oboje wybuchnęli młodzieńczym podekscytowanym śmiechem.

– A potem będziesz to robił? – Kobieta czuła na policzkach palące wypieki.

– Pewnie! Na to czekam! Mój członek sam w sobie mnie nie podnieca, ale ogólnie penisy są wspaniałe, jednak między nogami w mojej pisi, a nie w odbycie, po męsku. Dlatego też chcę się zdecydować na zabieg utworzenia pochwy nie tylko zewnętrznej, ale pełnej głębokiej waginy, wystarczającej do odbycia stosunku nawet z wielkim europejskim lub amerykańskim chujem! – wykrzyknął, nie kontrolując emocji.

– Hej! Nie wyrażać mi się tutaj! – Nagle nad głowami podnieconych przyjaciół pojawiła się sroga Junta. – Co to za słownictwo! – Żartobliwie pacnęła brata. – Jeść mi teraz! – Postawiła przed nimi parujące talerze.

– Przepraszam. – Uśmiechając się, Pravat wykonał skromne *wai*, składając ręce jak do modlitwy i dotykając nimi ust.

– Stać cię na taki zabieg? – Marysia jeszcze miała parę pytań.

– No coś ty! – odpowiedziała Junta, tak jakby uczestniczyła w ich rozmowie. – U nas państwo po części dotuje takie kuracje – oznajmiła z dumą.

– Jak to? – Turystka nie mogła się nadziwić, bo Tajlandia raczej nie zalicza się do azjatyckich gospodarczych tygrysów i bieda aż piszczy w każdym kącie tego pięknego kraju. – Przecież na całym świecie jest to uważane za fanaberię, a w niektórych krajach arabskich homoseksualizm, transwestytyzm czy transseksualizm są surowo zakazane i jeszcze

surowiej karane.

– Jak surowo? – zainteresowało się rodzeństwo, a Junta przysiadła do swoich gości, bowiem o tej porze restauracja była prawie pusta.

– W Libii czy innych krajach północnej Afryki tylko więzieniem czy symbolicznym napiętnowaniem.

– Ładnie mi tylko!

– Ale już w Arabii Saudyjskiej obawiam się, że groziłaby za to kara śmierci – obwieściła Marysia z pełną powagą.

– Co?! Debile! Upośledzeni! – przekrzykiwali się oburzony brat i siostra.

– A ja słyszałem, że tam jest mnóstwo homoseksualistów, którzy oficjalnie spacerują sobie za rączkę po ulicach czy centrach handlowych. – Pravat podał w wątpliwość słowa Marysi.

– Cóż... To taki lokalny paradoks. Gdyby złapali chłopaka z dziewczyną na randce, ukaraliby ich srogo, co najmniej batami, a pederasci bezproblemowo i otwarcie spotykają się na mieście w kawiarniach czy restauracjach, po cichu też współżyją z sobą i pomimo że jest to surowo zabronione, wszyscy przymykają na to oko. Sama tego nie rozumiem. Lecz powiem wam, że na pewno żaden Saudyjczyk, który zmieniłby płeć, nie miałby prawa bytu we własnym kraju. Przeciwstawić się woli Allaha i nie akceptować ciała przyznanego przez Boga to już śmiertelny grzech.

– Ależ zakłamanie! Idiotyzm! Arabowie, ot co! – wyrażali swoją opinię, z którą ich rozmówczyni teraz już całkowicie się zgadzała.

– To jak to tutaj jest z tym refundowaniem transformacji przez państwo? – powróciła do ciekawiącego i szokującego ją tematu. – Każdemu dają pieniądze?

– Nie, kochanieńka! – Junta pokręciła przecząco głową. – Tylko buddystom, bowiem tylko oni wiedzą, że ich świadomość trafiła pod zły adres. A ponieważ mój braciszek był mnichem i dostąpił nirwany, stając się tym samym arhatem, to należy mu się raj, a nie piekło na ziemi.

– Załatwianie formalności trwało dwa lata. Musiałem odbyć szereg sesji nie tylko z psychologami czy psychiatrami, ale też z najwyższymi mnichami. – Pravat włączył się do wyjaśniania. – Gdybym miał pieniądze, to obesłoby się bez tego wszystkiego i od ręki mógłbym stać się kobietą, a tak to niestety trwa strasznie długo. Ale co zrobić. Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy. – Zabawnie ułożył swoje piękne pomimo blizny usta.

– Tak czy siak, moje gratulacje! – Marysia nie miała już teraz wątpliwości i zaczęła cenić mężczyznę, który był tak zdeterminowany, aby uzyskać tożsamość kobiety. – Najważniejsze, że rodzina cię wspiera. – Pozazdrościła mu bezwzględnej akceptacji postępowania, które w świecie niejednokrotnie jest postrzegane jako zboczenie. – Jesteś prawdziwym szczęściarzem.

– No pewnie! – Pravat czule objął swoją siostrę, która promiennie się do niego uśmiechnęła. – Z całej rodziny tylko ojczulek trochę nam się nie udał, ale nigdy nie może być idealnie.

– Najważniejsze, że już drania nie ma między żywymi, a zapewne odrodził się jako gnida lub glista i życzę mu, żeby Pravat go kiedyś rozdeptał – wyznała żywiolowo Junta.

– Nie mów takich rzeczy, bo twoja karma na tym ucierpi. – Mężczyzna karcąco spojrział na ukochaną siostrzyczkę.

– Nic się nie martw, bo mam na swoim koncie dość pozytywów.

– No, no! Zemsta, moja droga, jest czynem nieszlachetnym i podłym i nie należy jej stosować. Nie wolno jej nawet pragnąć dla nikogo, choćby był najgorszym psubratem.

– Jeśli idzie o dobre uczynki... – Junta wymownie spojrzała Marysi w oczy i zawiesiła głos. – Jutro możesz się przeprowadzić do naszego małego mieszkanka nad zakładem fryzjerskim Nuh – rzekła autorytatywnie. – I pracę też już masz, więc bez obaw.

– U Nuh?! W jej... biznesie? – zapytała przerażona Marysia. – Jako fryzjerka?

– Nie! – Brat i siostra huknęli gromkim śmiechem. – U nas w restauracji – wyjaśniła Junta. – Będziesz nam naganiać klientów. Kiedy turyści zobaczą cudzoziemkę przed lokalem, która na dokładkę ma cnotliwy wygląd i uprzejmie przekonuje ich do zajrzenia, to na pewno uwierzą jej, że u nas jest porządnie i warto wejść. Do tej pory Hans się tym zajmował, ale jemu już to wychodzi bokiem. Facet, nawet taki uroczy jak on, nie zawsze potrafi być wystarczająco miły i przekonywający. Co ty na to?

– Dziękuję. Mój Boże, ocaliliście mi życie! – Łzy rozbłysły w oczach Marysi, a po chwili chwyciła się ręką za usta i pobiegła do łazienki.

66 Mahram (arabski) – męski opiekun kobiety (ojciec, mąż, kuzyn, wuj).

67 Siddhartha Gautama – Budda; ur. ok. 450 r. p.n.e. w Lumbini na pograniczu Nepalu i Indii; syn wojownika radży (króla); jego rodzina płaściła się w dostatku, jako dorosły człowiek wybrał życie w ascezie, opuścił swoją rodzinę i rozpoczął wędrówki po świecie.

68 *Insz Allah* (arabski) – Jak Bóg da; Jak Bóg pozwoli.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Okazało się, że kamieniczka, w której mieścił się zakład fryzjerski, należała do Junty. W zamian za rodzinny dom kobieta wzięła matkę do siebie i zagwarantowała jej dożywotnią opiekę. Jednak dobra kobieta nie była chytruską i nie chciała zagarnąć wszystkiego dla siebie. Kiedy Nuh ukończyła gimnazjum i oświadczyła, że na tym kończy całą swoją edukację, Junta postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Wiedziała, że jej młodsza siostra ma ciążotki tak do alkoholu, papierosów, haszu, jak i do mężczyzn, więc dała jej to, czego sama nie dostała i co spowodowało, że była zmuszona kupczyć ciałem. Wysłała dziewczynę na kurs fryzjerski aż do Bangkoku, a po jego zakończeniu urządziła jej zakład. Jednak niegłupia Junta wiedziała, że z tego typu usługowego biznesu nie jest w stanie utrzymać się nawet jedna osoba, dlatego też nie złościła się i przymykała oko na dodatkowe zajęcia siostry, takie jak nocne erotyczne masaże albo jednorazowy skok w bok z bogatym Amerykaninem, Niemcem czy Australijczykiem, którzy potrafili zapłacić ogromną kasę za specjalne usługi. W końcu Junta w ten sam sposób poznała swojego męża, który znając sytuację ekonomiczną Tajlandii, nigdy nie miał do żony pretensji o to, że za młodu pracowała w najstarszej profesji świata. Kobieta liczyła w duchu, że może siostrze też się powiedzie i w końcu się ustatkuje.

Przybytek działający pod przykrywką zakładu fryzjerskiego starał się być nowoczesną firmą, więc w kamieniczce podłączono szybkie łącze internetowe, bo Nuh miała swoją stronę w sieci i klientów na masaże znajdowała przeważnie w ten sposób. Dzięki temu nie musiała wysiadywać na progu i nagabywać przechodniów tak jak jej koleżanki po fachu.

Marysia tylko na tym skorzystała, bo teraz miała ułatwiony kontakt ze światem, chociaż nie miała jak tego wykorzystać. Nie miała żadnych przyjaciół z poprzedniego życia, kolegów czy koleżanek, rodzinę odsunęła na własne życzenie, a Hamid... Bardzo za nim tęskniła, bo był wspaniałym człowiekiem, dobrym przyjacielem, czułym kochankiem i jedynym mężczyzną, który kochał ją bezwarunkowo. Jednak to wszystko przepadło. Dlatego kobieta założyła sobie konto na Facebooku i zaczęła szukać nowych znajomych. Miała już paru w Ameryce Południowej, w Hiszpanii i nawet jedną Polkę. Zawsze mogła z kimś pogadać bez zobowiązań i nerwów, kiedy wracała wieczorem z pracy.

A robota, wbrew pozorom, nie była lekka. Ciągłe stanie na ulicy przed lokalem męczyło ją, a przymilanie się do przechodniów uwłaczało jej godności. Czuła się jak te biedne tajskie kurewki, usłużnie zapraszające do skorzystania z klubów i barów czy usług salonów masażu. Jednak nie miała wyjścia i doceniała fakt, że ma jakąkolwiek pracę. Pravat próbował załatwić jej wprawdzie niezłą fuchę na komisariacie policji – lekcje angielskiego dla funkcjonariuszy – ale że był to nowatorski pomysł, musiał się trochę przeleżeć. *Może w przyszłości...*

– Zapraszam państwa do naszego lokalu! – Kiedy tylko zobaczyła niezdecydowanych białych turystów, uśmiechała się uprzejmie. – Zapraszam! Restauracja u Hansa Christiana Andersena to idealne miejsce dla rodzin. – Przez cały długi dzień od pory lunchu aż do wieczora powtarzała w kółko ten sam slogan. – Mamy dania dla dzieci, specjalne wysokie krzeselka oraz kącik zabaw. Tylko u nas! Tylko tutaj!

Czasami ze względu na spuchnięte od upału nogi czy ból w krzyżach Marysia oddalała się od wejścia i odpoczywała w holu, gdzie Hans postawił specjalnie dla niej wygodne tapicerowane, choć rozchwierutane krzesło. Lecz kiedy tylko zauważała zagubionych w tajskich realiach turystów, spieszyła w ich stronę.

Przed restauracją zatrzymała się kolejna para i z ciekawością studiowała kartę dań. Młoda śniada kobieta o wyraźnych arabskich rysach wyłoniła się z przyciemnionego korytarza i stanęła usłużnie obok. Pod tradycyjnym tajskim strojem, który miał reklamować Tajlandię i region Phuket, zarysowywał się już jej mały ciężowy brzuszek.

– Zobacz tylko! W środku także są czerwone lampiony! – wykrzyknęła po polsku oburzona turystka, sądząc, że nikt jej nie zrozumie. – To kolejny kryptoburdel! – zdenerwowała się.

– Nie, proszę pani – Marysia zwróciła się do przybyłych całkiem poprawną polszczyzną. – Pod szyldem największego na świecie twórcy baśni nie można by przecież umieścić przybytku rozpusty – tłumaczyła spokojnie.

– A pani co? Pani kto? – Zszokowana krytykantka straciła rezon i patrzyła na dziewczynę wielkimi ze zdziwienia oczami.

– Ja tutaj pracuję – grzecznie odparła Marysia. – Jestem menedżerką lokalu. – Określiła swoją funkcję najładniej, jak potrafiła, bo przecież głupio by było powiedzieć, że robi za naganiaczkę.

– I na dodatek mówi pani po polsku! – Dużo młodszy od swojej partnerki mężczyzna też był zaskoczony.

– Jestem Marysia – przedstawiła się, wyciągając rękę. – Moja mama, Dorota, jest Polką, a ojciec był Libijczykiem – dodała swobodnie.

– To co pani... co ty tu robisz? – Urlopowiczka już bez obaw wspinała się po stromych schodach na pięterko, gdzie jej oczom ukazała się wielka sala pełna eleganckich par i rodzin z dziećmi.

– Takie zawirowane losy – odpowiedziała niejasno Marysia, po czym obróciła się i skierowała w stronę kontuaru, na którym leżało menu. – Zaraz do państwa wrócę – obiecała, a z jej ładnej twarzy wycierały smutek i melancholia.

– Ja też mówię po polsku. – Kiedy para usiadła przy stoliku, podszedł do nich nieznany Azjata i z szacunkiem wyciągnął dłoń na powitanie.

– Kurczę! Mamy polską knajpę na końcu świata! – ucieszył się wyluzowany i zadowolony Polak. – To przynieś nam pan po dobrze schłodzonym changu. Pyszne macie to piwko!

Mężczyzna przestępował z nogi na nogę, niepewnie spozierał dookoła i wyglądał, jakby nie wiedział, co ma zrobić.

– Nie macie changa? To może być heineken, już trudno – naciskał spragniony klient.

– Och! – Zakłopotana Marysia podbiegła do nich i ukłoniła się Azjacie, składając ręce. – Przepraszam ogromnie – zwróciła się do mężczyzny, podczas gdy turyści patrzyli na nich ze zdumieniem. – Zaraz przyślę do was kelnerkę, a panu znajdę dobre miejsce. – Uprzejmie wskazała drogę, prowadząc gościa w inny kąt sali.

– Ale dałem plamę! – wyszeptał polski miły facet. – Chyba pójdę go przeprosić.

– Daj spokój! – powstrzymała go partnerka. – Skąd mieliśmy wiedzieć, że to klient? Wygląda na lokalnego, a wszyscy konsumenci to zagraniczni turyści. Nie twoja wina, ale numer przedni – zachichotała jak nastolatka.

Polacy obserwowali arabsko-polską brzemienne Marysię i azjatyckiego nieznanego mężczyznę, o dziwo również mówiącego po polsku, zastanawiając się nad zrzędzeniem opatrności. *Jakież to życie bywa poplątane! Jak dziwne są losy ludzkie!*, myśleli, jednak już po minucie skupili się na karcie dań, zamówieniu i upajaniu własnym szczęściem.

– Jeszcze raz przepraszam pana za nieporozumienie – Marysia kajała się przed Azjatą, a on jedynie życzliwie na nią patrzył i miło się uśmiechał. – Takie *faux pas!*

– Nic się nie stało. – Machnął ręką. – A może znalazłaby pani później troszkę czasu i przysiadła się do mnie? Tak rzadko mam okazję rozmawiać po polsku, że boję się, iż całkiem zapomnę języka.

– Szkoda by było – potwierdziła kobieta, skromnie spuszczać wzrok, bo propozycja gościa trochę ją speszyła.

– Zwłaszcza że nie tak prosto było się go nauczyć.

– Proszę zamówić sobie obiad, a ja za chwilę przyjdę. Muszę najpierw znaleźć kogoś, kto by mnie zastąpił.

– Oczywiście! Niech się pani nie spieszy, ja mam czas. Jestem na wakacjach.

Marysia zwróciła się ze swoją prośbą do Hansa, a ten zgodził się natychmiast.

– Nie powinnaś się tak przemęczać – powiedział. – W końcu przez cały długi dzień nosisz parę kilogramów nadbagażu. – Wskazał na jej ciążowy brzusek. – Musisz częściej odpoczywać, a ja z chęcią będę cię zastępował. Idź i zjedz coś! – nakazał troskliwie.

– Dziękuję ogromnie. Ale nie jestem głodna. – Kobieta krępowała się naciągać swoich dobrodziei jeszcze na posiłki, za które oczywiście nie chcieli ani grosza.

– Ty nie, ale ono tak! – zażartował.

Gdy weszła do sali i spojrzała na puste miejsce, gdzie parę minut temu usadziła miłego nieznajomego, ze smutkiem stwierdziła, że już go tam nie ma. Westchnęła głęboko i powłócząc nogami, skierowała się do kuchni, bo kiedy usłyszała o jedzeniu, od razu poczuła ssanie w żołądku. Stan jej ducha nie wpływał na brak apetytu, bowiem rosnące dziecko domagało się swojej dawki pożywienia bez względu na to, czy jego mama była szczęśliwa czy załamana.

– Proszę pani! Proszę pani! – rozległo się nagle za plecami kobiety. Gdy się obróciła, zobaczyła wysokiego Azjata, który biegł przez salę, nieznacznie utykając. – Przesiadłem się, bo z tego punktu mam lepszy widok na ulicę, a lubię obserwować toczące się życie, a nie tylko jedzących – zaśmiał się bez troski.

– Już myślałam, że pan sobie poszedł – wyznała Marysia, zadowolona, że jednak tak się nie stało.

– Gdzież tam! Jakbym mógł? – W głębi duszy Azjata ubolewał nad swoim ogromnym pechem. Ta młoda kobieta spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, zafascynowała go jej niezwykła uroda, ale niestety nie jest wolna, a na dodatek spodziewa się dziecka. *Co za niefort!*, przeklinał w duchu. *Jestem pod zdechłym psem urodzony!*

Zrozpaczona ciężarna pomyślała, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów spotkała miłego mężczyznę, któremu dobrze z oczu patrzy i jest taki uroczy, że do serca przyłożył. Żałowała, że właśnie teraz musi być brzemienna, i to za sprawą człowieka, który ją porzucił. *Co za fatum nade mną wisi?! Jakaż ja jestem nieszczęsna!*, użalała się nad sobą.

– Proszę usiąść – zapraszał, wskazując na zaciszne miejsce na drewnianym tarasie. – Jestem Karim.

– A ja Marysia. – Wyciągnęła rękę i poczuła miłe ciepło płynące z jego dłoni.

– Jest pani... Jesteś głodna? Zamówisz coś?

– Tak, oczywiście. Od jakiegoś czasu jestem non stop przy apetycie. Żywię się głównie tajską zupką na kurczaku, którą w kraju nad Wisłą nazywają po prostu rosółem.

– Oj, pamiętam, jaki był pyszny! – Karim pogłaskał się po brzuchu, mruczając cicho, co rozweseliło ponurą ostatnio kobietę. – To miano jest zarezerwowane tylko dla polskiej zupy z kurczyny. – Znów zażartował. – Nie ma sobie równych!

– Świetnie mówisz po polsku! Jakim sposobem tak dobrze się nauczyłeś? A może też jesteś owocem mieszanego małżeństwa? Długo tam mieszkałeś? – zasypała go gradem pytań.

– Hej, hej! Powoli! – Podniósł ręce, udając, że się broni. – Odpowiem w jakiejś

logicznej kolejności, dobrze?

– Pewnie! Proszę.

– Jestem z mieszanego małżeństwa, a była to piorunująca mieszanka. Moja matka jest Indonezyjką, a ojciec Saudyjczykiem.

– O mój Boże! To znaczy ona była jego służącą, a on ją wykorzystywał do wszystkiego i przy okazji zrobił jej dziecko? – Marysia na poczekaniu ułożyła swój scenariusz, bo dobrze знаła stosunek Saudów do Azjatów i ich intymne stosunki z nimi.

– Nie, to jeszcze bardziej pokomplikowane. Tata pojechał do Indonezji, tam ożenił się z matką, zawarli tak zwane małżeństwo czasowe, a kiedy dowiedział się, że jest w ciąży, wyjechał, bo do niczego nie była mu już potrzebna. Jako dzieciak trafiłem w jego łapy, no i muszę przyznać, że dzięki temu żyję, jestem zdrowy i mam całkiem niezłe wykształcenie.

– To rzeczywiście nie masz co narzekać na ojca.

– No tak... w zasadzie... – Karim nie chciał wyjawiać wszystkich tajemnic dopiero co poznanej osobie, choć sądził, że pewnie i tak nigdy więcej nie zobaczy tej pięknej kobiety. – A co do nauki polskiego i mojego tam pobytu, to dostałem rządowe stypendium właśnie do Polski i w Warszawie studiowałem medycynę.

– Och! – Marysia aż klasnęła w ręce. – Ja też! Ale w Rijadzie.

– Co? Byłaś w Arabii Saudyjskiej? Słyszałem, jak mówiłaś tym ludziom, że masz ojca Libijczyka.

– No tak... A mój były mąż jest Saudyjczykiem. – Wykrzywiła usta, jakby jadła cytrynę.

– Były?

– Tak, były.

To znaczy, że dziecka spodziewa się z kimś stąd, snuł przypuszczenia mężczyzna. Tak czy owak, ja nie mam u niej żadnych szans, podsumował, smutniejąc, ale już po chwili przywołał typowy azjatycki uśmiech i tylko na dnie jego oczu tlił się żal.

– Tak więc już wieki temu skończyłem medycynę, a potem musiałem powrócić do Szpitala Gwardii Narodowej i odpracować pieniążki, które na mnie wydali. Harowałem długie pięć lat w centrum onkologii, ale dochrapałem się kolejnej delegacji, tym razem na specjalizację drugiego stopnia z rekonstrukcji narządów z użyciem technik mikrochirurgicznych płatów tkankowych przy odtwarzaniu rozległych okaleczeń onkologicznych. – Dla niego było to codzienne nazewnictwo, ale Marysia zrobiła wielkie oczy.

– Znaczą się odbudowujesz na przykład piersi po mastektomii? – zapytała ostrożnie.

– Tak. Między innymi.

– To masz niezły fach w ręce.

– A ty też robiłaś lekarski? Jaką masz specjalizację?

– Żadną – wyznała cierpko. – Zaliczyłam jedynie pierwszy rok, i to z dużym bólem.

Chyba się nie nadaję.

– Nie opowiadaj! Jeszcze możesz do tego wrócić. Nigdy nie jest za późno.

– Trochę wypadłam z rytmu – zakpiła, pokazując swój tajski regionalny strój i ciążowy brzuch. – Widać tak miało być, to mi jest pisane – powiedziała jak pogodzona z losem buddyjka.

– Najważniejsze to odnaleźć swoje miejsce w życiu – życzliwie pouczał Karim.

– Aktualnie jesteś na wakacjach? – Marysia chciała zmienić temat, bo czuła, że rozmowa zaszła za daleko.

– W zasadzie w drodze do domu.

– A skąd – dokąd?

– Postanowiłem przenieść się do Indonezji, bowiem po latach odnaleźliśmy się z moją

mamą i chciałbym spędzić z nią trochę czasu. Ot co!

– To tak jak ja i Dorota! – ucieszyła się Marysia. – Straciłyśmy z sobą kontakt, kiedy miałam sześć lat, a spotkałyśmy się ponownie, jak już byłam mężatką. – Posmutniała, bo nagle zdała sobie sprawę, że teraz zupełnie bez powodu odepchnęła swoją kochającą matkę, i bardzo ją to zabolowało.

– Poza tym w mojej ojczyźnie będę bardziej pomocny, bo nie mają tylu specjalistów, co w Saudii – kontynuował Karim. – Arabowie wyszkolili sporo swoich i na dokładkę ściągają całą śmietankę ekspertów ze świata. Indonezji na to nie stać.

– Jesteś więc takim indonezyjskim doktorem Judymem. Chcesz pomagać ludziom.

– Zgadza się. – Westchnął, bo pragnąłby też, aby los przyniósł i jemu trochę prywatnego szczęścia.

– Cóż, zatem życzę powodzenia i może się jeszcze kiedyś gdzieś spotkamy.

Marysia wstała z miejsca. Nie spostrzegła nawet, kiedy zrobiło się ciemno, restauracja wypełniła się i zapalono lampiony. Ona i Karim siedzieli w przytulnym, odludnym miejscu na tarasie, gdzie nikt im nie przeszkadzał i mogli swobodnie rozmawiać. Poruszane tematy, wyznania i wspomnienia tak w mężczyźnie, jak i w kobiecie poruszyły czułe struny. Ciężko im było się rozstać, ale wiedzieli, że nic więcej oprócz tej rozmowy ich nie czeka. Cieszyli się jednak z tych beztrudnie spędzonych chwil, z momentu, który w ich życiu może się już nie powtórzyć.

– Mam nadzieję, że nasze drogi jeszcze kiedyś się przetną. – Karim czule ścisnął dłoń Marysi i powolnym krokiem opuścił lokal.

Piękna kobieta, której oczy w kształcie migdałów w migającym świetle lampionów połyskiwały barwą bursztynu, tęsknie patrzyła za uroczym mężczyzną. Bezwiednie trzymała dłonie na brzuchu i czuła delikatne ruchy rosnącego w niej dziecka.

– Żegnaj, doktorze Karim – szepnęła.

– Musisz się zdecydować, czy będziesz rodzić w szpitalu czy w domu – powiedział z powagą Hans.

– Nie mam pojęcia. – Marysia była już po terminie, a brzuch sięgał jej prawie do brody, ale jeszcze nie podjęła decyzji. – Tak źle i tak niedobrze.

– U nas, w Kamali, szpitala jako takiego nie ma. – Junta wiedziała, co mówi, bo sama urodziła już trójkę dzieci. – Trzeba by było jechać do Phuket, lecz tam prędzej zaopiekują się turystami, którzy zachlali lub przyćpali, niż rodzącymi miejscowymi kobietami.

– Cholera jasna! – Przyszła mama zdenerwowała się. Wprawdzie nie planowała ciąży i nie chciała tego dziecka, lecz skoro już nosiła je pod sercem dziewięć długich miesięcy, to chciałyby spokojnie i bezpiecznie wydać je na ten świat.

– Czemu nie chcesz położnej? – dziwiła się Tajka. – To są świetne, doświadczone specjalistki, które odbierają mnóstwo porodów, i nie słyszałam jeszcze, żeby jakiemuś noworodkowi coś się stało.

– Kiedyś pięciu sekund bym się nie zastanawiała i wybrałabym poród naturalny, a własna położna w domu to już najwspanialszy pomysł, lecz... – Marysia zawiesiła głos i zamyśliła się. – Miałam problemy z urodzeniem pierwszego dziecka. Po ponad dwudziestu godzinach prób groziła mi cesarka i dopiero po podwójnej prowokacji udało się szczęśliwie zakończyć akcję porodową, więc nie wiem, czy podołam bez profesjonalnej pomocy medycznej.

Junta i Hans spojrzeli zdziwieni na Marysię, lecz zaraz opuścili wzrok, nie chcąc wchodzić z butami w sprawy z jej przeszłości. Byli dyskretnymi ludźmi, z których każde

miało swoje tajemnice, i uważali, że z nikogo nic nie należy na siłę wyciągać.

Marysia jednak stwierdziła, że w końcu musi wyznać im prawdę.

– Miałam córkę – powiedziała po dłuższej chwili. – Ciągle tli się we mnie nadzieja, że ona żyje, choć nie wiem, gdzie jest i co się z nią dzieje.

– Mąż ci ją zabrał? – Duńczyk, jako były konsul, jednak nie wytrzymał i zapytał.

– Nie! Porwano nam ją... Tutaj, w Kamali... Z pokoju hotelowego... – Do oczu Marysi napływały łzy.

– Słyszałem o tym zdarzeniu. To jakiś diabelny precedens, bo jak Tajlandia długa i szeroka, w życiu coś takiego się nie wydarzyło. Nigdy nie porwano dziecka turystom!

– Mówili, że to arabska wendeta – rzuciła Junta bez owijania w bawełnę.

– Możliwe... – Słyszając te słowa, Marysia zrobiła się popielata na twarzy. Zaciśnęła szczęki aż do bólu.

– Dlatego tutaj przyjechałaś? Dlatego tu siedzisz? – Hans chciał do końca wyjaśnić nurtujące go wątpliwości.

– Tak – przyznała nieszczęśliwa matka, a pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. – Może Pravat, będąc policjantem, mógłby zerknąć w akta sprawy, bo ja nie mam do nich dostępu.

– Pewnie! – przytaknął przyjaciel. – Mogę uruchomić moje znajomości, a nawet wynająć lokalnego detektywa. Zobaczysz, że jeszcze ją odnajdziemy. – Z całych sił usiłował ją pokrzepić.

– Dziękuję – wyszeptła Marysia.

– Ależ nie ma za co!

– A wracając do dość palącego tematu... – Junta czule objęła koleżankę i mocno przytuliła do siebie, chcąc okazać jej zrozumienie i wsparcie. – Jeśli nie za bardzo jesteś przekonana do naturalnego porodu, to co zrobimy?

– Pojedziemy do Phuket, żeby lekarz cię zbadał i zrobił analizy, a po obejrzeniu szpitala sama zadecydujesz. – Hans miał już pełną jasność i nie chcąc dłużej dręczyć dziewczyny, przeszedł do bieżących spraw.

– Dobrze. – Marysia odetchnęła z ulgą.

– Czy ty przez cały okres ciąży w ogóle wykonałaś jakieś badania? – Zaniepokojony mężczyzna popatrzył jej prosto w oczy.

– Nie. Jakoś tym razem poszłam na żywioł. Nie miałam pojęcia, gdzie się udać, a poza tym z wyjątkiem tych paru tygodni, kiedy męczyły mnie mdłości, świetnie się czułam.

– Czemu mnie nie zapytałaś?! – Junta była zbulwersowana. – Żyjemy w cywilizowanym świecie i takich numerów się nie robi. Chociażby dla dobra dziecka! – wykrzyknęła oburzona. – Kamala to nie jest jakaś dzicz. Tutaj też mamy punkt medyczny, a jakby co, to zawsze można pojechać kawałek dalej.

– Nie chciałam wam sprawiać więcej kłopotów. I tak pomagaliście mi we wszystkim, przyszykowaliście, zaopiekowaliście się...

– Dajże ty spokój! To naturalne! Tak się należy! Każdy by tak zrobił! – Dobre małżeństwo zgodnie wyrażało swoje opinie.

Marysia wiedziała, że postępowanie jej przyjaciół nie było takie zwykłe i powszechne, wręcz przeciwnie – w skomercjalizowanym świecie należało ono do rzadkości, bowiem tylko wyjątkowo do potrzebujących jest bezinteresownie wyciągana pomocna dłoń. Przeważnie wszystko ma swoją cenę.

Po wielkich nerwach i burzliwej dyskusji okazało się jednak, że tak jak przeczuwała przyszła mama, ciąża przebiegała prawidłowo, dziecko rozwinęło się nad wyraz dobrze, a ona

sama w życiu nie miała tak rewelacyjnych wyników badań krwi.

– Jednak położna? – Hans próbował jeszcze wpłynąć na decyzję młodej kobiety. – Jeśli nie masz pieniędzy na pobyt w szpitalu, to my ci pożyczymy, nie ma sprawy.

– Ja też się dorzucę. – Zawsze życzliwy Pravat również się zaoferował. – A tak z innej beczki, Mary, czy ty przedłużałaś sobie wizę, czy nadal jesteś na turystycznej sprzed prawie roku?

– Właśnie! Zapomniałam zapytać, jak to zrobić. – Marysia przyznała się do kolejnego zaniedbania.

– Kobieto! – Spokojny zazwyczaj człowiek wykrzyknął i chwycił się za głowę. – Jakby cię ktoś wylegitymował, to groziłaby ci deportacja, nie mówiąc o ogromnej karze pieniężnej!

– I co teraz?

– Nie po to pracuję w policji, żebym nie mógł tego załatwić – uspokoił się trochę. – Ale nie będzie łatwo, bo to straszliwie zaległa sprawa.

– To może to olać? – Marysia podsunęła zupełnie nieodpowiedzialną myśl.

– A jak chcesz, żeby dziecku wystawiono akt urodzenia? Powinnaś się też zarejestrować i zameldować, a potem swojego malucha.

– Dziecko oddam jego ojcu, już postanowiłam – oznajmiła Marysia, a jej towarzysze zrobili tylko zdziwione miny.

– Najpierw wydaj dzidziusia na świat, a potem zajmijmy się resztą. – Junta poklepała dziewczynę po plecach i odeszła do kuchni. Nie mogła zrozumieć, jak matka, która z dzieckiem ma naturalną biologiczną więź, może chcieć je z własnej, nieprzymuszonej woli komukolwiek oddać. *Widać takie jest przeznaczenie tej nieszczęsnej kobiety*, podsumowała i nie dążyła głębiej. Respektowała decyzje przyjaciółki i nie miała zamiaru ich zmieniać.

Marysia urodziła Adila w swoim małym mieszkanku bez żadnych komplikacji. Dziecko było duże, zdrowe i kropla w kroplę podobne do Hamida. *Tym razem nie będziesz miał wątpliwości*, pomyślała, jak tylko spojrzała na swojego rozkosznego synka. *Należy ci się ten pożegnalny prezent ode mnie, rekompensata za zdradę i kłamstwo, dar za wszystkie twoje dobre uczynki i ogromną miłość, którą obdarzyłeś tak mnie, jak i moją córkę. Muszę podarować ci to dziecko*, kobieta w duchu rozmawiała ze swoim byłym mężem, tak jakby przy niej był. Nie mogła sobie wybaczyć głupiej, szczeniackiej zdrady z libijskim kuzynem ani późniejszych haniebnych postępów. *Taka moja karma*, powtarzała stale i wiedziała już, że według buddyzmu jej przyszłe wcielenie nie wróży nic dobrego. *A może się nie odrodzę?*, pytała samą siebie, bo choć po części była muzułmanką, a po części chrześcijanką, to nowo poznana wiara i podejście do świata bardzo ją pociągały.

– Czy dałoby się wbić tajlandzką wizę wyjazdową do saudyjskiego paszportu? – zapytała Pravata, który patrzył tylko na jej dwa dokumenty z uniesionymi brwiami.

– Nie masz wjazdowej, to jak chcesz wyjazdową? – Mierzwiąc swoje włosy, zapytał z udawaną rozpaczą, bo Marysia, całkowicie nieobeznana w przepisach paszportowo-wizowych, kombinowała jak koń pod górę.

– Dobra, to na polskim stąd wyjadę, a na saudyjskim, jako prawowita obywatelka, wjadę do Arabii i potem oczywiście z niej wyjadę. Później wrócę tutaj i ponownie wbiją mi na lotnisku wizę turystyczną do polskiego dokumentu. Dobrze główkuje?

– Podsumujmy. – Pravat ciężko dumął, bo nie był lawirantem i zawsze przez życie szedł prostą drogą. – Wjechałaś do Tajlandii na polskim dokumencie, dostałaś do niego wizę, którą ja cudem ci przedłużyłem, a teraz na nim wyjedziesz, tak?

– Zgadza się.

– Do Arabii Saudyjskiej chcesz wjechać na paszporcie saudyjskim, bo jako obywatelka nie potrzebujesz wizy ani nic...

– Właśnie.

– Ale czy ty nie potrzebujesz mieć przy sobie opiekuna... jakiegoś faceta?

– Wracam do męża, no nie? Nie wyjeżdżam, ale przyjeżdżam. Na dokładkę mam saudyjskie dziecko, które chce do taty.

– No dobra. – Młody policjant niepewnie kiwał głową. – A co z wyjazdem? Co z opuszczeniem tego cudnego ortodoksyjnego kraju? Bez męskiego kuratora nosa stamtąd nie wyściubisz. – Dumny ze znajomości rzeczy, Pravat miał w stu procentach rację.

– Nie wiesz o jednym. – Marysia położyła przed nim dwa notarialne dokumenty. – Teraz tylko trzeba się zdecydować, który jest pewniejszy.

– Zgoda notarialna na wyjazd. – Pravat oraz jego siostry, Nuh i Junta, pochylili się nad papierami.

– Hm... Wszystko dobrze, ale data jest sprzed roku. – Nawet głupiutka fryzjerka od razu zauważyła problem.

– Akt rozwodowy też troszkę przeterminowany. Więc co robiłaś przez dwanaście miesięcy w Arabii bez męża? – Policjant był świetnie zorientowany w bliskowschodnich realiach. – Poza tym wydaje mi się, że jeśli Saudyjka się rozwiedzie, to chyba musi wracać do ojca, brata, kuzyna... pod kuratelę jakiegoś chłopca. A ty co?

– Mam jeszcze gdzieś moje świadectwo urodzenia. – Marysia przekazała śpiącego na jej rękach Adila Juncie i rzuciła się do szafki. – Tutaj jest czarno na białym napisane, że mam matkę Polkę, a ojca Libijczyka. Oznacza to, że chcąc być pod czymikolwiek opiekuńczymi skrzydełkami, muszę najpierw wjechać z Saudi.

– A ja to czarno widzę – westchnął Pravat.

– O czym wy w ogóle rozmawiacie? – Hans podszedł do nich i spojrział na wyłożone papiery. – Jeśli chcesz się stąd ruszyć, to dziecko najpierw musi mieć akt urodzenia, a potem trzeba mu wyrobić saudyjski paszport, ot co! – Na te słowa zebrany zrzędył miny.

– A nie można go wpisać do mnie? – Marysia nie miała zielonego pojęcia o formalnościach.

– Tak się robiło, ale lata świetlne temu. Teraz nawet noworodek nie przemknie przez granicę bez dokumentu wystawionego tylko i wyłącznie na niego.

– No to po ptokach. – Zrezygnowana Marysia opuściła rękę.

– A ty musisz oddawać to dziecko? – Junta jednak zapytała, bo nie była w stanie pojąć postępowania młodej matki.

– Muszę. Taką podjęłam decyzję. To moja karma. – Na te słowa Tajowie spoważnieli, a Hans, strapiony, jedynie ściągnął usta.

– Nasza najstarsza siostra od prawie dwudziestu lat mieszka w Rijadzie i pracuje dla bardzo dobrego Saudyjczyka, który nie tyle jest jej sponsorem, ile uczciwym pracodawcą. Wyszła za męża za Filipińczyka, który robi tam za kierowcę. Ich pan nieraz nawet pożycza im swoje auto na weekend, bo sam już jest stary i prawie nie rusza się z domu – powiedziała Junta jednym tchem. – Na terenie jego rezydencji mają samodzielny domek, także byłoby się gdzie cichcem zatrzymać na noc czy dwie.

– Mam dobrego kolegę, też trans, który pracuje w szpitalu w Phuket. – Pravat znów włączył się do rozmowy. – Podaj mi tylko dokładne imiona i nazwiska rodziców, a on wypisze akt urodzenia. W urzędzie miejskim jest zatrudniony mój drugi znajomy, który jest już po transformacji i nazywa się teraz Samanta. – Uśmiechnął się figlarnie. – Papier na pewno

wypisze.

– Teraz saudyjski paszport dla naszego maluszka... – Hans tajemniczo zawiesił głos. – Utrzymuję stały kontakt z jednym byłym dyplomatą, który tak jak ja wybrał wolność, miłość i życie w Tajlandii.

– Ale my potrzebujemy dostać się do ambasady Arabii Saudyjskiej i musimy mieć kogoś stamtąd. – Junta wymownie rozłożyła ręce.

– Facet jest Saudyjszczykiem i był konsularnikiem przez prawie dwadzieścia lat. Nadal ma układy, a co najważniejsze, zna tych, którzy robią idealne falsyfikaty wszelkich możliwych papierów – z dumą obwieścił Duńczyk. – Czy wiecie, ilu tu rocznie przyjeżdża Saudyjszczyków? Czy wiecie, co oni wyprawiają i ile jest z nimi kłopotów? Czasami chcąc coś załatwić bez rozgłosu, trzeba iść nieoficjalną drogą. Mój kolega ma wieloletnią praktykę i doświadczenie w kombinowaniu różnego rodzaju dokumentów, wyciąganiu z pierdła, a nawet w transporcie zwłok. Odszedł z dyplomacji, ale ciągle siedzi w branży, tylko że teraz już wyłącznie w szarej strefie – wyznał.

– Ja cię zawiozę na lotnisko do Bangkoku, bo mam metę u koleżanek z fryzjerskiego kursu. – Nuh też chciała być pomocna. – Ciągłe mnie zapraszają, a ja tłumaczę się brakiem czasu. Teraz będę miała okazję się przewietrzyć.

– Podaj mi dane do metryki. – Pravat wziął kartkę i długopis. – Mary jaka? – zachęcał.

– Matka... – Marysia wzięła głębszy oddech. – Miriam Ahmed Salimi Bin Laden. – Towarzystwo zasznurowało usta, bowiem jej ostatnie nazwisko było znane na całym świecie.

– A ojciec? – Przyjaciel niczym się nie zrażał, choć w jego oczach pojawił się błysk zdziwienia i strachu.

– Hamid Bin Laden, Saudyjszczyk. Mój syn będzie nosił imię: Adil ibn Hamid Bin Laden.

Tak jak zaplanowali, Marysia poleciała z Bangkoku przez Dubaj do Manamy, a stamtąd pojechała już terenowym samochodem do stolicy Arabii Saudyjskiej – Rijadu, jednego z najbardziej ortodoksyjnych muzułmańskich miast na świecie. Na lotnisku czekała na nią siostra zaprzyjaźnionych Tajów, Ratna, wraz z mężem, który już na pierwszy rzut wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Przewidywał on ostrą przeprawę na granicy bahrajńsko-saudyjskiej i wiele się nie mylił.

– Gdzie jest pani *mahram*? – Pierwsze o co zapytał Marysię celnik.

– Jak to gdzie? W Rijadzie! – warknęła, łypiąc na głupiego faceta spod zasłony. – Mój mąż, a ojciec mojego syna czeka na nas w domu. – Jej oczy podkreślone *kohlem* były czarne jak noc i groźnie patrzyły na mężczyznę.

– Musi być z wami – oznajmił i rozsiadł się wygodniej w swojej budce. – Bez opiekuna nie wjedziecie na teren Arabii Saudyjskiej. Nie ma takiej opcji. – Ścisnął wargi i wyglądało, że na tym zakończył dyskusję.

– Nie wpuścisz Saudyjki, która wraca do domu?! – Dziewczyna już nie wytrzymała i wrzasnęła na całe gardło, otwierając przy tym szerzej okno, co wzbudziło zainteresowanie pozostałych funkcjonariuszy. – Jadę z moim szoferem i nianią do dziecka, a ty mi mówisz, że mam koczować na granicy z miesięcznym noworodkiem?! Chcesz go zabić?! – Jej głos brzmiał histerycznie, na co paru mężczyzn w białych *tobach* i kraciastych chustach na głowach skierowało się w stronę zatrzymanego auta.

– Co się dzieje? – Starszy elegancki funkcjonariusz pochylił się do okna. – O co chodzi? – zapytał stanowczo, ale grzecznie.

– Ten młokos nie chce pozwolić mi wrócić do rodziny – wyznała Marysia drżącym

głosem. Wcale nie musiała udawać, bo była spanikowana jak nigdy w życiu.

– Co się dzieje? – Mężczyzna zwrócił się do celnika, który teraz siedział spięty i wyprostowany, jakby połknął kij.

– Nie ma *mahrama*, a bez *mahrama* nie wpuszczamy, no nie? – zapytał głupio.

– Przecież ta kobieta nie podróżuje sama, ty idioto! Nie dość że ma przy sobie dziecko, to jeszcze służbę. – Dżentelmen podniósł głos i z wściekłością pokręcił głową, aż chusta mu się przekrzywiła, a jej boki opadły mu na twarz. – Wszystkie dokumenty są okej? – zapytał, a złotodziób drżącą ręką wręczył mu dwa saudyjskie paszporty. Nie wiedział, że tylko jeden jest oryginalny, drugi zaś to idealnie zrobiony falsyfikat.

– No, dokumenty są w porządku... – Celnik w budce co chwila poprawiał się na siedzeniu, tak jakby chciał się precyzyjnie przesuwać przez małe okienko i stanąć obok.

– Ci dwoje służący?

– Sprawdzeni.

– W takim razie życzę udanej podróży. – Stary urzędnik zagadał miło. – Spieszcie się, bo zaraz zajdzie słońce, a do domu macie jeszcze co najmniej cztery godziny drogi. Niech was Allah prowadzi. – Uprzejmie pobłogosławił Marysię i jej synka, a ona poczuła się jak ostatnia oszustka.

– *Sza Allah* – odpowiedziała, pokornie spuszczać oczy.

Kierowca zapalił silnik, trzęsącymi się dłońmi włączył bieg i powoli przejechał granicę.

Z nerwów podróżującym umykało całe piękno otaczającego ich krajobrazu. Mijali wielkie targi wielbłądów, małe urocze miasteczka, a o zachodzie słońca przecięli rozpościerające się po obu stronach autostrady czerwone diuny największej na świecie pustyni piaszczystej Rub al-Chali. Czerwone, beżowe i lososiowe wydmy układały się płatami, tworząc niższe i wyższe wzniesienia. Czasami piasek był gładki jak tafla jeziora, innym zaś razem pofalowany jak wzburzone morze. Niekiedy na szczytach widziało się karawanę wielbłądów wracających z popasu. *Beduini żyją tutaj tak samo jak tysiąc lat temu*, pomyślała Marysia, rozczulona wspomnieniami i idyllicznym obrazem. Tubylcy rozbijają wielkie lub całkiem małe namioty, obok stoi studnia i zagroda dla inwentarza, przeważnie ogrodzona siatką, ale zdarza się też, że powbijanymi na krzyż patykami. *Oni nie mają stresu, bo nie oszukują i nie kłamią*, podsumowała kobieta. *Bytują w zgodzie z naturą i jej prawami*, westchnęła ciężko, bo teraz w pełni uświadomiła sobie, że jej życie zawsze opierało się na obłudzie, łgarstwach i nieuczciwości.

Kiedy promienie zachodzącego słońca oświetliły ostatnim blaskiem czerwone piaski, zdenerwowani podróżni nadal nie odzywali się do siebie. Pragnęli tylko znaleźć się w domu azjatyckiej pary, a Marysia marzyła już o tym, by jak najszybciej wypełnić narzuconą sobie misję i wrócić do bezpiecznej Tajlandii. Jednak serce matki drżało pod grubym materiałem czarnej abai i kobieta z całych sił tuliła swojego małego synka do piersi. *Nie oddam cię! Kocham cię! Bądź ze mną!*, krzyczała jej dusza, ale wiedziała, że teraz już nie może się wycofać. Wiedziała, że z Adilem z Arabii się nie wydostanie. Żaden celnik nie wypuści samotnej matki z saudyjskim dzieckiem, na to nie miała co liczyć. Po chwili przez łzy zobaczyła lunę nad horyzontem.

– Rijad – głuchym głosem oznajmił kierowca, a kobiety poprawiły czarne zasłony i odetchnęły głęboko.

Marysia czuła się, tak jakby miała *déjà vu*. Wróciła do siebie, do znanych sobie klimatów, do domu. Jednakże jej ognisko domowe w Rijadzie wygasło, zawaliło się, zniknęło

z powierzchni ziemi, pozostały po nim jedynie zimny, martwy gmach i tragiczne wspomnienia. Dokładnie pamiętała piękne rezydencje w dzielnicy dyplomatycznej, ale w porównaniu z nimi jej willa w Mudżamma Nachil to był pałac. Budowali się tutaj najbogatsi promineni stolicy, członkowie rodziny królewskiej i dorobkiewiczze. Do dziś stały na swoim miejscu pałace ze strzelistymi dachami, czasami nawet ze szkła, z witrażami w oknach, ogrodzone i odgródzone od reszty świata murami wysokimi na co najmniej trzy, cztery metry. Bramy wjazdowe to istne arcydzieła sztuki stolarsko-kowalskiej, a wszystko to oświetlało tyle lamp, że nawet o północy było jasno jak w biały dzień. Każdy dom miał przy frontowym murze stróżówkę, w której mieszkała dwudziestoczerogodzinna ochrona.

Willa Bin Ladenów była imponującym gmachem z żółtego piaskowca. Brama otwierała się automatycznie i zaraz zawsze zbiegała się służba, w pas kłaniająca się domownikom i gościom. W środku był ogromny podjazd, gdzie stało zaparkowanych parę samochodów, w tym ulubiony czerwony bentley Hamida i dwa czarne gmc yukony w rozmiarze XL, którymi członkowie rodziny jeździli na wycieczki lub na zakupy. Marysia pamiętała minę swojej mamy, kiedy po raz pierwszy ich odwiedziła. Z wrażenia ledwo łapała powietrze, a po chwili wyglądała, jakby miała lada moment zemdleć. Na wspomnienie tej sytuacji kobieta uśmiechnęła się pod nosem, choć nie było widać ani jej zadumy, ani rozpaczy, bowiem tego dnia postanowiła szczelnie okryć zasłoną całą swoją twarz, łącznie z oczami.

A jakież mieliśmy salon!, rozpamiętywała, chyba jedynie po to, aby jeszcze bardziej rozdrapać stare rany. Opływał po prostu bogactwem. Na środku relaksująco pluskała fontanna w kształcie małego wodospadu, wokół niej rosły zielone papirusy, a w przejrzystej wodzie pływały złote i kolorowe rybki. Kanapy i fotele rozrzucone na wielkiej, chyba osiemdziesięcymetrowej powierzchni, były wykonane z najlepszej mięciutkiej skóry i miały modernistyczną, awangardową formę. Duża niska ława na środku i stoliczki pod lampy reprezentowały sztukę saudyjskiego rękodzieła. Na rzeźbionych solidnych nóżkach umocowano drewnianą ramę, w której umieszczono tradycyjne rzeźbione odrzwia, zdobione mosiężnymi okuciami – wszystko to przykryte było hartowaną szybą. W jednym kącie salonu stała wysoka na półtora metra miedziana lampa w kształcie sziszy. Z małych szczelinek w obudowie wydostawało się delikatne złote światło rozchodzące się dyskretnie po całym pokoju – Marysia zawsze świeciła tę niezwykłą lampę, bowiem uwielbiała atmosferę tajemniczości, dawnych pałaców i haremu. Przy ścianach rozstawiono kredensy, biblioteczki i szafy z rzeźbionymi drzwiami i framugami, wszystkie oczywiście z litego drewna i ręcznej roboty.

Kobieta pamiętała każdy szczegół, każdy drogocenny bibelot, jaki tam stał. Była tu chińska prawie przezroczysta porcelana, były srebrne świeczniki, cukiernice i kindżały, zdjęcia w ramach z masy perłowej i srebrna zastawa do kawy, inkrustowana błyszczącymi szlachetnymi kamieniami. Biblioteczki zaś wypełniały wolumeny w skórzanych oprawkach zdobione złotym arabskim pismem. Na środku sufitu umocowano wielki kryształowy kaskadowy żyrandol, dający ze swych specjalnych żarówek światło imitujące dzienne, które odbijało się od nabłyszczanych tiulowych firan haftowanych w roślinne wzory oraz ciężkich szyfonowych zasłon upiętych w falbany jak na zamku królewskim. *A jakąż piękną mieliśmy z Hamidem sypialnię!*, znów westchnęła, aż czarny kwef podniósł się pod wpływem mocnego oddechu. Przypomniała sobie ich szaleńczą miłość ostatniej nocy, którą spędzili razem. Miłość zachłanną, zaborczą, obłąkaną i pełną rozpaczy, bo oboje czuli, że to już koniec, ostatni raz. Nie wiedzieli wtedy, że ukoronowaniem tej jakże krótkiej chwili będzie ten mały człowieczek, śliczny, bezbronny Adil.

Teraz Marysia siedziała przed swoją luksusową willą, przed swoim dawnym domem, z niechcianym, ale tak kochanym synkiem przy piersi i czekała na odpowiedni moment –

na chwilę, gdy zdobędzie się na odwagę i odda swoje dziecko. Kolejne dziecko, które straci, tym razem z własnej woli. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli wypuści synka z rąk, już nigdy go nie zobaczy. *Dlaczego podjęłam taką głupią decyzję?*, pytała samą siebie, ale było już za późno, aby zmienić zdanie.

– Jesteście pewni, że on o tej porze jest w domu? – zwróciła się do swoich przewodników. – Zawsze jadał lunch na mieście – dziwiła się.

– Ale teraz przyjeżdża do domu. – Kierowca dokładnie prześledził zwyczaje właściciela willi.

– Ratna, pójdziesz tam, położysz fotelik z Adilem przed wejściem i zadzwonisz. – Marysia wydawała dyspozycje przez ściśnięte gardło. – Sklepek spożywczy masz zaraz za rogiem, więc zanim ktoś zdąży wyjść i otworzyć bramę, na czas się w nim schowasz.

– Kobieta sama na ulicy?! – Tajka bała się i nie była przekonana co do swojej roli. – Straszne ryzyko – wykrzyknęła teatralnym szeptem.

– Tutaj babki, wychodząc na zewnątrz, nawet nie zakrywają włosów. To jest taka dzielnica – przekonywała Marysia, dla kurażu mocno chwytając Ratnę za lodowatą spoconą dłoń. – Jeśli ktoś cię złapie, to ja pójdę i przyznam się do wszystkiego. Zaufaj mi!

– Nie wiem, czy dam radę... – Kobieta sapała ciężko.

– Przecież my nie kradniemy tego dziecka, tylko je podarowujemy, no nie? – Młoda matka użyła ostatecznego argumentu. – To jest mój syn, mam jego akt urodzenia. Jestem Arabką i według szariatu oddaję potomka ojcu. Zgadza się? Takie jest prawo? – Spanikowana Ratna potakiwała, a przez szczelinę w materii było widać tylko jej wielkie przerażone oczy.

– Pani da tego małego. – Wyciągnęła ręce, bo została już ostatecznie przekonana i chciała mieć całą akcję jak najszybciej za sobą.

– Dobrze... Żegnaj, synku... – Marysia pochyliła się nad zawiniątkiem, pocałowała niemowlaczka w czółko i pogłaskała po dużym nosku. – Bądź w życiu uczciwy i sprawiedliwy, Adilku – prosiła, odsuwając się nieco. – Kochaj tatę, bo to dobry człowiek. – Głos całkiem jej się załamał i opuściła na twarz czarną chustę, chcąc zostawić swoje cierpienie w ukryciu.

Ratna szybko przemierzyła wąską spokojną uliczkę. Stała przed willą, chwilę się wahała, lecz ostatecznie położyła fotelik z niemowlakiem na progu. Zadzwoniła i natychmiast wzięła nogi za pas, znikając za rogiem.

– Wyłącz silnik! – Marysia rozkazała Filipińczykowi władczy, lodowatym głosem.

Uchyliła przyciemnioną szybę i obserwowała sytuację. Brama, o dziwo, otworzyła się prawie natychmiast i stanął w niej Mohammed, stary służący, którego doskonale pamiętała.

Spojrzał na przesyłkę, przestąpił z nogi na nogę i szerzej uchylił ciężkie, metalowe odrzwia. Oczom Marysi ukazał się przestronny podjazd, na którym stały trzy osoby. Był tam wysoki smukły mężczyzna w białej *tobie* z posiwiąłą skronią. *Hamid...*, szepnęła. *Jakże bardzo się postarzał.* Mężczyznę trzymała pod rękę młoda Arabka, ubrana w klasyczną domową suknię z długimi rękawami, sięgającą aż do ziemi. Jej czarne włosy i połowę twarzy zakrywała barwna chusta.

Naprzeciwko nich Marysia zauważyła człowieka, który bardziej wyglądał na Azjatę niż na Araba, bowiem miał rysy charakterystyczne dla ludzi z regionu, w którym aktualnie mieszkała. *Skąd ja go znam?*, zastanawiała się, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Mężczyzna miał na sobie jasnobrązową galabiję⁶⁹, na którą narzucił czarną pelerynę ze złotymi obszyciami, typowy strój *mutawwów*. Jego głowę zakrywała biała chusta równomiernie spadająca po bokach aż do ramion. *Odkąd to Hamid utrzymuje kontakty z takimi ludźmi? Przecież zawsze miał ich w głębokiej pogardzie!* Jednak widać towarzystwo bardzo się lubiło, bo śmiali się i żartowali na cały głos. Dopiero ujrzawszy niezwykle pakunek, leżący

na progu willi, zamilkli i rzucili się w jego kierunku. Pierwsza przyskoczyła kobieta.

– *Wallahi! Wallahi!* – krzyczała wniebogłosy. – Toż to dziecko! Maleństwo!

– Odejdź! – Hamid chciał ją odsunąć. – To może być bomba! – krzyknął, lecz Arabka już wyłuskiwała małego Adila z kocyka, a po chwili tuliła kwilące maleństwo do piersi.

Nic się jednak nie zmienił, z sentymentem stwierdziła Marysia. Wszędzie widzi terrorystów i ładunki wybuchowe. Nawet w beciku noworodka.

– Tutaj jest jakiś list. – Ich znajomy podniósł z ziemi kopertę, która podczas zamieszania wypadła z fotelika. – Przeczytaj.

Hamid otworzył i od razu rozpoznał charakter pisma swojej byłej żony. Treść go zszokowała; po przeczytaniu długą chwilę stał jak zamurowany z szeleszczącą kartką papieru w ręce, a jego oblicze przybrało wyraz nieruchomej maski. Marysia napisała: „Kochany. Za wszystkie cierpienia i ból, które ci sprawiłam, chcę cię obdarować czymś najdroższym i najważniejszym. Daję ci syna, który jest owocem naszej ostatniej nocy. Ma na imię Adil, czyli sprawiedliwy, i wierzę, że będzie tak prawym i uczciwym człowiekiem jak jego ojciec. Jest na pewno twój, zresztą widać to gołym okiem, ale zawsze możesz zrobić testy DNA. Niech Allah ma cię w swojej opiece. Miriam”.

– Hamid! Co tam jest napisane?! Kto to?! Co to?! – Podenerwowana kobieta histerycznie szarpała go za rękaw. – Mężu! Odpowiedzże w końcu!

– To mój syn, Adil – powiedział w końcu.

Saudyjczyk wyszedł przed dom i bacznie się rozglądał. Skupił wzrok na samochodzie, który stał naprzeciwko willi, po drugiej stronie ulicy, ale ze względu na przyciemnione szyby nie mógł dostrzec, kto jest w środku. Marysia wstrzymała oddech. Kierowca siedział wyprostowany jak struna i trzymał rękę na kluczyku w stacyjce. Bin Laden jeszcze raz rzucił okiem na okolicę i gwałtownie zatrzasnął bramę. Jej metaliczny dźwięk odbił się echem po okolicznych murach okalających rezydencje bogatych mieszkańców tej dzielnicy. Wraz z jej zamknięciem tak on, jak i jego była żona Miriam zaryglowali swoją przeszłość i wyrzucili klucz. To, co było i co ich łączyło – minęło bezpowrotnie, nigdy już nie będą mogli do tego wrócić. Nawet gdyby bardzo chcieli.

69 *Galabija* (arabski) – długa męska suknia w białym, zielonym lub brązowym kolorze tradycyjnie noszona przez Arabów.

STRACIĆ, BY ZYSKAĆ

Marysia opuściła Arabię Saudyjską o dziwo bez najmniejszych problemów. Zaprzyjaźniona tajska-filipińska para podwiozła ją do Dammam we Wschodniej Prowincji, skąd poleciała do stolicy Kataru, a stamtąd prosto do Phuket. Na lotnisku czekali już na nią przyjaciele: Junta z mężem Hansem, Pravat i Nuh. Kobieta nie spodziewała się tak licznej delegacji, lecz była szczęśliwa, widząc tak duże zainteresowanie swoją osobą. Teraz bardzo potrzebowała wsparcia i okazywania uczuć.

– I jak tam? – zapytała zaniepokojona Junta.
– Jak widać. Misja została zrealizowana, a konspiratorka wróciła zdrowo i bezpiecznie na swoje stare śmieci. – Marysia przytuliła się do kobiety, a następnie wycalowała wszystkich swoich oddanych popleczników.

– Teraz trzeba zacząć życie od nowa – oświadczyła wesoło wystrojona jak na imprezę Nuh.

– Masz rację. – Poważnie przytaknęła Marysia. – Znów wszystko od nowa.
– Należy zapomnieć o przeszłości – doradzał Pravat. – Musisz się od niej odciąć.
– Już to zrobiłam – zapewniła kobieta, wsiadając do samochodu. – Ale żeby nie wracać do minionych dni, to powiedz mi od razu, co znalazłeś w policyjnych aktach na temat porwania mojej córki.

– Nic. Nie ma żadnych akt, świstka ani choćby karteluszek. Nie ma nawet notatki w rejestrze, że taka sprawa miała miejsce.

– Jak to możliwe?! – Marysia była w szoku. – To jakiś cholerny przekręt!
– Może zajmowały się tym inne służby?
– Tak, również Interpol, bo sprawa była międzynarodowa – przyznała.
– No właśnie. – Pravat aż klasnął w ręce. – To dlatego gdy rozpytywałem dookoła i zacząłem głębiej dążyć, wezwał mnie komendant i ostrzegł, żebym dał sobie spokój. Przepraszam, Mary. – Patrzył na przyjaciółkę, a jego twarz wyrażała poczucie winy.

– A za cóż? – Marysia usiłowała udawać opanowanie, ale drżała na całym ciele. – To nie twoja wina, mój przyjacielu. Teraz mam przynajmniej jasność. Już nic więcej nie znajdę, nic nie odkryję i trzeba postawić na tym krechę i żyć dalej! – Ostatnie słowa prawie wykrzyczała.

– To ja proponuję pójść się zabawić. – Nuh na wszystko miała jeden sposób, ale tym razem spięte towarzystwo jej głupią propozycję przyjęło z pełnym ulgi śmiechem.

Jako że mieli im towarzyszyć również Hans i Junta, nie wybrali ulubionego klubu nocnego Nuh, lecz lokal porządniejszy, choć również w nim rzucały się w oczy prowokacyjnie ubrane młode Tajki.

– Ja to nazywam pruderią i wyrachowaniem. – Nuh wskazała brodą na swoją koleżankę po fachu oraz kumpelkę ze szkolnej ławy. – One tylko udają cnotliwe i liczą, że jak tutaj się załapały, bo płacą wysoką prowizję „mamuśce”, to prędzej złapią zagranicznego męża albo zarobią więcej kasy.

– Albo nie złapią HIV lub syfa – kąśliwie dodała Marysia.
– To już się nie zdarza – zaoponowała Junta. – Używanie prezerwatyw stało się powszechne, a comiesięczne badania ginekologiczne wszystkim już weszły w krew.
– Więc nie ma tu tego typu chorób? Tajska prostytutka jest bezpieczna? – nie mogła się nadziwić pół-Arabka. – Czemu zatem nadal panuje negatywna opinia i media ostrzegają ludzi

przed uprawianiem wolnego seksu? Szczególnie w Azji.

– Czytujesz nie te gazety i słuchasz nie tych programów – oświecił ją Pravat. – W Arabii Saudyjskiej wszystko, co wiąże się z uciechą, przyjemnością i nie daj Boże seksualnością, jest napiętnowane. HIV można złapać w Środkowej Afryce, w buszu, od czarnych dziwek na ulicach Chartumu czy Addis Abeby, choć nawet tam trzeba by pójść do totalnej speluny i mieć tragicznego pecha.

– Branża erotyczna pod kontrolą... Skoro tak mówicie, to wam wierzę. – Marysia przyjęła do wiadomości ten fakt, bo przecież kto jak kto, ale jej zaprzyjaźniona tajska rodzinka siedzi w branży i na pewno dobrze się w tym orientuje.

– Jeśli idzie o nasze reguły obyczajowe, które tak cię bulwersują... – zaczął Pravat z tajemniczą miną. – U nas zaleca się homoseksualistom, transwestytom i transseksualistom ujawnienie się, ponieważ ukrywanie skłonności seksualnych jest dla buddysty nie do pogodzenia z zen⁷⁰, a publiczne określenie własnej orientacji jest niezbędne do osiągnięcia duchowych postępów. Większość buddystów akceptuje relacje osób tej samej płci, jeśli znajdują się one w tych związkach z własnej woli. Na świecie powstało kilka świeckich organizacji zrzeszających homoseksualistów, na przykład w takich miastach jak San Francisco czy Singapur.

– Nie miałam o tym zielonego pojęcia. – Marysia słuchała z zainteresowaniem, podczas gdy pozostali biesiadnicy widać doskonale o tym wiedzieli, bo pochłonięci byli studiowaniem karty dań. – Zawsze sądziłam, że to jest wstydlivy temat i upodobania seksualne inne od powszechnie przyjętych na całej kuli ziemskiej pozostają w ukryciu i są czymś, z czym nie należy się afiszować.

– Nie tutaj! Nie w Azji! – zaśmiał się Pravat. – My jesteśmy ludźmi szczerymi i wiemy, że kłamstwo ma krótkie nogi. Jak grzyby po deszczu wyrastają również grupy skupiające biseksualistów, transwestytów i transseksualistów buddyjskich, umożliwiające im identyfikowanie się niezależnie od konkretnych tradycji, szkół czy mistrzów. Sam dalej zaleca okazywanie nam, czyli tym innym, szacunku i tolerancji.

– Czyli nawet mnich mógłby mieć takie skłonności i nikomu by to nie przeszkadzało, pod warunkiem że ogłosiłby to publicznie? – Marysia z zapalem zagłębiła się w intymną tematykę, bo z całych sił pragnęła zająć swój umysł czymś innym niż rozpamiętywaniem utraty córki i synka. A sprawy poruszane przez przyjaciela były dla niej tak bulwersujące, że skutecznie tłumiły ból i rozpacz.

– Nie żeby od razu ogłaszać wszem i wobec, ale nie powinien tego ukrywać! – oświecił dociekliwą rozmówczynię. – Buddyjskie reguły obyczajowe jednoznacznie potępiają zaś stosunki seksualne z nieletnimi, zmuszanie do prostytucji i cudzołóstwo, czyli wszystko, co szkodzi danej osobie lub innym. Nie wolno wykorzystywać ubóstwa kobiet, żeby kupeczyć ich ciałem, lecz jeśli moja siostra robi to dla przyjemności lub z chęci złapania męża *faranga*, to nie jest to nic złego. – Uśmiechnął się i dobrotliwie poklepał Nuh po plecach.

– Ty, słuchaj! Nie pozwalaj sobie! – Mała kurewka w ogóle nie przejęła się słowami brata, była wręcz zadowolona z okazanego jej zainteresowania.

– Wszystko jasne, Mary? – zapytał Pravat, zanim zamówił jedzenie i picie.

– Cóż, może nie wszystko, ale trochę światła rzuciłeś na tę sprawę.

– Świetnie. To teraz powiedz, czy wybierzesz się ze mną jako moja osobista świta na konkurs Miss Tiffany's Universe do Pattai?

– Miss świata? Miss piękności? Kiedy? Nigdy na czymś takim nie byłam! – Podekscytowana Marysia znów zasypała przyjaciela gradem pytań.

– Kochana! To nie jest taki zwykły konkurs. – Zachichotał mężczyzna, a jego

krewniacy mu zawtórowali. – To konkurs piękności co roku organizowany dla trans z całego świata.

– Dla trans? – Dziewczyna dalej nie rozumiała.

– Transwestytów i transseksualistów – oświeciła ją Junta. – Uczestnictwo w nim to niespełnione marzenie mojego braciszka.

– Do tej pory nie było mnie na to stać, ale teraz dostałem premię w robocie i już się zarejestrowałem on-line – oznajmił z dumą Pravat.

– W takim razie jedziemy wszyscy – zdecydował Hans. – W tak ważnym dla ciebie momencie musi towarzyszyć ci cała rodzina.

– Dziękuję, bracie. – Pravat podał szwagrowi dłoń, która utonęła w jego wielkiej grabie.

– Jednak dołączyć chyba dopiero na finały, bo ja się będę przygotowywał i walczył o punkty przez czterdzieści dni. Ależ mają rewelacyjny program! Nie macie pojęcia!

– Opowiadaj zatem! – Nuh aż podskakiwała na siedzeniu.

– Dawaj, chłopie! – Hans zachęcał dość dziwnymi słowy człowieka, który właśnie chłopem się nie poczuwał.

– Czy ci się to opłaci? – martwiła się zawsze przezorna Junta. – Nikt nie zwróci ci wpisowego i innych kosztów, które będziesz musiał ponieść, a przecież nie należysz do najbogatszych.

– Co ty opowiadasz?! Opłata rejestracyjna jest minimalna, jakieś głupie pięć tysięcy bathów, a przez cały pobyt i eliminacje będę mieszkać z wszystkimi uczestnikami na Beauty Camp w Pattai. Za darmo! – podał ostateczny argument. – Nie wiesz, jaka to dla mnie szansa!

– No właśnie jaka? – Starsza siostra nie przestawała się zamartwiać. – Że poznasz ludzi takich jak ty? Że nawiązesz przyjaźnie i znajomości?

– Żebyś wiedziała! Znajomości, kochanieńka! Czy ty masz pojęcie, że głównym sponsorem konkursu jest klinika chirurgii plastycznej i transformacji w Bangkoku, a także najwspanialszy znany na całym świecie szpital dermatologiczny? – Chłopak aż krzychał z podekscytowania. – W dodatku czterodniowe finały są nagrywane przez główną państwową stację telewizyjną w naszym kraju Tai TV 7 i ogląda je co roku jakieś piętnaście milionów widzów!

– A niech mnie kule biją! – Marysia była szczerze zdumiona. – Konkurs cieszy się aż taką popularnością?

– Sama widzisz!

– I odważyłbyś się wystąpić przed tak ogromną publiką?

– No pewnie! To jest ogromna szansa na zaistnienie w mediach, telewizji, radiu, prasie i przede wszystkim w reklamach, bo jak już mówiłem, u nas, w Tajlandii, ludzie transgeniczni to nie odmieńcy i nikogo nie będzie razić afisz, neon, spot czy filmik z transwestytą albo mężczyzną po transformacji, który zazwyczaj niczym nie różni się od kobiety i nikt by nie powiedział, że kiedyś był facetem, gdyby sam się do tego nie przyznał. Popatrzcie na Treechadę Petcharat! Nasza rodaczka z Phuket od lat już robi karierę i w tym roku będzie w jury!

– Kto taki? – Marysia znów nie wiedziała, o kim mowa.

– Wzór do naśladowania i ideał dla wszystkich trans – wyjaśniła Nuh, która oczywiście siedziała w temacie. – Teraz jest znana jako Nong Poy. Urodziła się jako chłopiec, lecz w wieku siedemnastu lat operacyjnie zmieniła płeć, w dwutysięcznym czwartym wygrała właśnie ów konkurs Tiffany's Universe i stała się najpopularniejszą modelką i aktorką w Azji. W życiu byś nie powiedziała, że kiedyś miała fujarkę i jajka – dorzuciła po swojemu, a Junta spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Takie osoby mogą reklamować zarówno kosmetyki dla pań, jak i dla panów. Zobaczcie, jaka oszczędność dla firm! Mają dwa w jednym, head & shoulders! – Pravat nie ustawał w zachwalaniu udziału w wyborach miss.

– I ciuchy też, na przykład typu unisex – dodała Nuh, fanka zakupów i mody.

– Wszystko, co jest dobre dla tych i dla tych – poparła Marysia, chociaż nadal szokowała ją tak szeroko pojęta tolerancja, z którą do tej pory w ogóle nie miała do czynienia. – Ach, ta Azja! – westchnęła.

– No dobrze, to śpiewka przyszłości, ale teraz zejdźmy na ziemię. – Junta zawsze twardo po niej stapała. – Czy ci się to zwróci? Teraz, zaraz, namacalnie? A jeśli nie teraz, to kiedy? Czy zdążysz się do tego czasu zestarzeć? – pokpiwała z brata, który zawsze bujał w obłokach i nie miał żyłki do interesów.

– Czy ty masz pojęcie, jakie tam można wygrać nagrody? – bronił się chłopak, bo wiedział, że siostra ciosa mu kołki na głowie tylko dlatego, że się o niego troszczy.

– Jakie?

– Główna, oczywiście oprócz korony miss, to honda jazz, warta pięćset tysięcy bathów plus vouchery na kwotę półtora miliona. Ha! – Na takie rewelacyjne wieści towarzystwo zareagowało bardzo żywiołowo, wszyscy klaskali i poklepywali odważnego transwestytę, tak jakby już zgarnął wymienione profity. – Drugie miejsce ma trochę gorzej, ale sto tysięcy piechotę nie chodzi, a za zajęcie trzeciego w zeszłym roku finalistka dostała siedemdziesiąt pięć tysięcy bathów w gotówce, nie licząc tytułu Miss Kiss Sexy Star – dorzucił zadowolony Pravat.

– To rzeczywiście organizatorzy się postawili – przyznał zdziwiony Hans. – A co dla pozostałych?

– Finalistki dostają po dziesięć tysięcy bathów na łebka!

– Braciszku! Przecież to jedynie po trzysta dolarów dla dziesięciu wybranych dziewcząt. Z ilu uczestniczek? – dopytywała Junta, wymownie sznurując usta.

– Z około stu przyjętych przez Internet i trzydziestu ostatecznie zakwalifikowanych podczas osobistej rejestracji w Bangkok's Central World dwudziestego siódmego marca. – Pravatowi trochę zrzędała mina, bo znająca życie siostra zawsze potrafiła wynaleźć dziurę w całym.

– No i sam widzisz! – zawołała zadowolona Junta, lecz kiedy spojrzała na brata, od razu zrobiło jej się go żal, bo wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze i zapął. – Czyli mówisz, że tylko pięć kawalków wpisowego i bilet do Bangkoku i z powrotem? – Próbowała wybrnąć z sytuacji. – W sumie to nie tak dużo, można zaryzykować, traktując to jako inwestycję w lepszą przyszłość.

– Nie uważam, żeby to było wszystko – włączyła się Nuh. – Ci, którzy tam przyjadą, to ludzie na co dzień ubierający się jak kobiety, a nasz brat raczej nie może nosić babskich kiecuszek, bo tego na posterunku policji by już nie znieśli – zakpiła.

– No i co z tego? Przecież mam parę sukienek i chodzę w nich, kiedy mam okazję. – Pravat nie wiedział, do czego zmierza tym razem młodsza siostra.

– Tak, masz, ale one są dobre do nocnego klubu na wiosze, takiej jak nasza Kamala. To nie są normalne markowe ciuchy, jakie noszą eleganckie babki, a ten konkurs promuje właśnie takie, chcąc pokazać światu, że transfaceci to nie tylko dziwki z baru, ale normalni w pełni wartościowi ludzie, studentki, lekarki, prawniczki, biznesmenki, policjantki... O to w tym wszystkim chodzi, mój drogi! Jak staniesz przed nimi w swojej kusej kiece z cekinami, nieprzykrywającej nawet do połowy twoich opuchniętych jąder, w odblaskowych butach na koturnie za dwa dolary i w peruce z pięknych, notabene, włosów Mary, to wykopią cię już pierwszego dnia. – Nuh aż się zadyszała, wygłaszając tę długą i rzeczową tyradę.

– Co racja, to racja – potwierdził Hans, bo znał ten kraj jak własną kieszeń i był już na niejednym takim konkursie. – Tiffany’s Universe to promocja trzeciej płci, hasło tej akcji brzmi zaś: „Jestem – kim jestem”, ale nie: „Jestem kurwą – bierz, kto chce”. Tego nie musi się w Tajlandii promować – zachichotał, a wszyscy spojrzeli na niego krytycznie.

– Ale ja nie jestem kurwą! – Pravat miał już oczy pełne łez, bo napięte jak postronki nerwy nie wytrzymały próby ognia. – Idąc do klubu, nikomu nic nie oferuję i nie daję, chcę jedynie sobie położyć w babskich łaskach, bo dobrze się w nich czuję. Gdzie mam to robić? Na ulicach, gdzie każdy mnie zna? U was w restauracji? – Z wyrzutem spojrzął na siostrę. – Na posterunku, to już Nuh powiedziała, jak jest. Nie sprzedaję się! Kiedy spodobam się jakiemuś gościowi, to od razu mówię, że może ze mną jedynie porozmawiać czy potaćzyć i tyle, bo jestem w trakcie transformacji. Jak to słyszą, to przeważnie uciekają, jakbym im oznajmił, że jestem nosicielem HIV, choć czasami trafi się jakiś ciekawski i poświęci mi trochę czasu.

– Dobra, przecież my wiemy, że jesteś pocziwym człowiekiem. Teraz zastanówmy się, co z tobą zrobić, żeby nie zdyskwalifikowali cię na starcie. – Zabawowa Nuh tym razem była zupełnie poważna.

– Wstępnie przyjmą cię na pewno, bo masz dobry zawód i na dokładkę państwową posadę. – Hans dodał szwagrowi otuchy. – A im właśnie o to chodzi. Transformacja odmienności w zwyczajność, ot co!

– Wysłałeś już swoje zdjęcie? – Do inwigilacji dołączyła Marysia, patrząc na pokancerowaną sznytami twarz przyjaciela.

– Nie potrafiłem załączyć – przyznał się Pravat. – Obiecałem, że zrobię to wkrótce.

– Masz je przy sobie? Pokaż.

Mężczyzna sięgnął do torby i wyciągnął fotografię, którą ze wstydem położył na stole. Nagle wokół zapadła wymowna cisza, a obserwatorzy zrobili przerażone miny.

– I bardzo dobrze, że nie poszło – szczerze stwierdziła Nuh. – Nie dość że wyglądasz jak kurwa spod latarni, to jeszcze stoisz pod latarnią – wykpiwała brak rozsądku brata. – Mary pożycz ci jakąś kreację, bo nawet za duża będzie lepsza od tego czegoś. Buty skombinujemy, a fotę walniemy w eleganckim kompleksie hotelowym, w którym pracuje moja koleżanka. Jutro rano przy dobrym świetle.

– I tak trzeba będzie zrobić komputerowy retusz, ale nad gładkością twojej cery musiałby popracować fachowiec. – Marysia też postanowiła uczciwie doradzić przyjacielowi.

– Przecież mam rewelacyjny fluid! – Pravat już nie miał siły i w duchu stwierdził, że jednak trzeba się wycofać. – Sama mówiłaś!

– To jest dobre na parę godzin, kiedy nie robisz nic nadzwyczajnego, ale parokrotnie oglądałam w telewizji relacje z wyborów Miss Kobiety Świata – Marysia specjalnie podkreśliła tę nazwę, co spowodowało rozbawienie wśród znajomych – i wierz mi, że te biedne dziewczyny przechodzą przez ciężką przeprawę. Fluid rozmaże się i spłynie wraz z potem, a peruka w najlepszym razie się przekrzywi, o ile nie spadnie.

– Trzeba zainwestować w ciebie, a nie tylko w fatalaszki – poparła ją Nuh.

– O czym wy mówicie? – zaniepokoiła się oszczędna Junta.

– Medycyna estetyczna lub kosmetyka na najwyższym poziomie – ostrożnie zaczęła Marysia. – Lasery, komputery, peeling, botoks, kwas...

– Chirurgia plastyczna – wsparła ją tajska kurewka. – Ten szew na wardze deformuje ci usta i bije po oczach – dodała, a Pravat odruchowo dotknął pamiątki z dzieciństwa.

– To kosztuje majątek! – wykrzyknęła Junta, chwytając się za głowę.

– Poczekajcie – włączył się opanowany Hans. – Mówiłeś, że konkurs sponsorują jakieś

wielkie znane kliniki, czy tak?

- I owszem – przyznał Pravat.
- Trzeba sprawdzić jakie i złożyć im propozycję nie do odrzucenia.
- To znaczy jaką?
- Żeby w ramach promocji zrobili ci to i owo za darmo.
- Na pewno!
- Co oni z tego będą mieć?
- Nie ma takiej opcji!

Towarzystwo przekrzykiwało się, kwestionując pomysł mężczyzny.

– Na tym opiera się ten biznes. Biorą osobę, ładną z natury, ale trochę... – Hans zamyślił się, jakby szukał odpowiedniego słowa – ...niedorobioną – wypalił w końcu. – Robią z dobrego materiału hollywoodzką gwiazdę, a potem reklamują, że oni to potrafią wszystko. Jakbyś podpisał z nimi umowę na wykorzystanie materiałów z zabiegów i twoich zdjęć przez taki ośrodek, to powinni na to pójść. Można im wcisnąć kit, że jesteś już zakwalifikowany do Tiffany's Universum, to tym chętniej się tobą zajmą.

- To jest jakiś pomysł – przyznała Marysia, a reszta słabo pokiwała głowami.
- Jak nazywają się te szpitale, pamiętasz? – drążył Hans.
- Skądże.

– To lećmy do domu, bo termin niedaleko. Wszystko przestudujemy w sieci, a od jutra zaczniemy działać już pełną parą – oświadczył Hans. – Mamy niewiele czasu, a przecież wszyscy chcemy, żebyś był najpiękniejszym trans i wygrał ten pieprzony konkurs. – Poklepał podłamanego Pravata po plecach, dodając mu otuchy i wiary w siebie, która w trakcie burzliwej dyskusji całkiem go opuściła.

Marysia zaangażowała się w transformację Pravata całym sercem i dzięki temu wspomnienie jej maleńkiego synka i matczynej bólu odeszły na dalszy plan. Nie miała kiedy o tym myśleć, nie miała kiedy płakać ani użalać się nad sobą i swoją błędną decyzją. Teraz żałowała jej jak niczego w życiu, ale było już za późno. Musiała iść dalej i zmagać się ze swoim przeznaczeniem.

– Szpital dermatologiczny nazywa się Asoke, a klinika chirurgii plastycznej i zmiany płci to Pratum Poly clinic. Rzeczywiście są znane i okupowane przez ludzi z całego świata, bo u nas, w Azji, nadal jest najtaniej. – Hans miał już parę zapisanych kartek z najważniejszymi informacjami. – W pierwszej mogliby się zająć jedynie twoją fizys, bo po paroletnim przyjmowaniu estrogeny skórę na całym ciele masz w porządku, miękką i gładką, owłosienie na ramionach, klatce czy nogach ci wypadło, a mięśnie się obkurczyły. – Okazało się, że szwagier bacznie obserwował krewniaka i widział zachodzące w nim zmiany. – A czupryną niech zaopiekuje się twoja mądralińska siostra fryzjerka.

– Żebyś wiedział, że się zajmę – obruszyła się Nuh. – Już zaopatrzyłam się w naturalne balsamy i odżywki i od dzisiaj zaczynamy rewitalizację. Na koniec położymy delikatną farbę, ostrzyżemy na pacynkę i gotowe. – Wcale nie przejmowała się słabymi włosami brata, który tak jak wszyscy Azjaci miał proste, miękkie i delikatne piórka.

– Za parę dni jadę do Bangkoku, możesz się ze mną zabrać – zaoferował Duńczyk. – Proszę mnie o konsultację w ambasadzie, więc zwrócą koszty benzyny i hotelu. – Zrobił minę niewiniątka, widząc kwaśną minę swojej żony.

– To ja walę z wami! – Nuh zerwała się na równe nogi i błagalnie spojrzała w oczy szwagra.

– A znalazłoby się miejsce i dla mnie? – Marysia koniecznie chciała dołączyć. – Mogłabym się przydać chociażby jako ekspert od eleganckiej odzieży.

– To kto zostanie w domu, zajmie się dziećmi, stetryczałą chorą matką i tą cholerną restauracją? – zapytała Junta, ale nikt nie udzielił jej odpowiedzi.

– Mary, a skąd weźmiemy pieniądze na te superciuchy? – Pravat pierwszy raz odezwał się dopiero po paru godzinach jazdy w kierunku Bangkoku. – Dostałem dziesięć tysięcy premii, z czego połowa poszła na wpisowe, sporo na inne drobiazgi i zostało już może jedynie na waciki – wyznał, odrzucając do tyłu zregenerowane, idealnie wydegażowane włosy.

– Ja mam trochę szmalu. – Nuh wymownie poklepała swoją torebkę. – Zbierałam na bliżej nieokreślony cel, który właśnie się skryształizował. – Czule pogłaskała braciszka po rękę.

– Ale ja nie chcę doprowadzić was wszystkich do bankructwa! – *Ladyboy*, co chwila poprawiając za duże, wiszące na nim ubranie Marysi, zamiast się cieszyć, był załamany. – Junta mnie zabije i będzie miała rację. – W jego pięknych czarnych jak węgle oczach okolonych firaną długich podkręconych rzęs zalśniły łzy.

– Nie zabije, nie zabije! – uspokoił go Hans, po czym sięgnął do schowka i wyciągnął opasłą papeterię. – Oto koperta od niej. Twoja siostra bardzo cię kocha, ale nie potrafi przestać się martwić i truć – zażartował, widząc w lusterku wstecznym pobladłego szwagra, który dzisiaj bardziej wyglądał na szwagierkę.

– Jak ja się wam wszystkim odwdzięczę? – Obdarowany zaszlochał jak dziewczyna.

– Wygraj ten konkurs! – zawołała Nuh. – Pokaż, kto jest najlepszy!

– A jeśli ci się nie powiedzie, to dobrze się baw i bądź szczęśliwy – dorzuciła Marysia, która sceptycznie podchodziła do każdej tego typu imprezy, bowiem uważała, że w większości są one ustawione.

Jako że wizytę w szpitalu dermatologicznym mieli dopiero późnym popołudniem, Hans zostawił swoje pasażerki w centrum miasta pod największym i najnowocześniejszym w Azji centrum handlowym Paragon. Dziewczyny, kiedy przekroczyły próg galerii, oniemiały z zachwytem.

– W życiu nie byłam w takim miejscu – wyznała Nuh z lękiem. – Nie stać mnie chyba nawet na spinki do włosów.

– Ja zaliczyłam pierwszy szok – oświadczyła Marysia – z moim byłym parę lat temu. – Już bez żenady opowiadała o swojej przeszłości. – Powiem wam jedno. Ten dom towarowy jest urządzony perfekcyjnie, bo na każdym piętrze znajduje się konkretny specjalistyczny dział i wszystkie możliwe firmowe sklepy z branży. Buty – jeden poziom, ciuchy – drugi, kosmetyki – trzeci i tak dalej. W podziemiach można smacznie zjeść i wypić, a na najwyższej kondygnacji jest rewelacyjne kino.

– Dobrze, że jednak z nami pojechałaś. Jesteś klasa babka. – Pravat przytulił się do Marysi. Następnie chwycił ją pod jedną rękę, Nuh pod drugą i ruszyli na podbój Bangkoku dla bogaczy.

– Wypróbujemy moją kartę. – Kiedy już uginali się pod ciężkimi od zakupów torbami, Marysia postanowiła zafundować przyjacielowi parę eleganckich błyskotek.

– Jak to: wypróbujemy? – wyszeptwała Nuh. – Jest kradziona?

– Zobacz, co tu jest napisane. – Marysia pokazała palcem na platynową plastikową fiszkę.

– Miriam Salimi – przeczytała zdziwiona fryzjerka. – To twoje kolejne wcielenie?

– Tak, tym razem libijskie – zaśmiała się konspiratorka, a jej towarzysze tylko nabrali wody w usta. – Na koncie leżą pieniądze z posagu, który dostałam lata temu w Jemenie – obwieściła z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Mam nadzieję, że nas nie zamkną. – Męski głos Pravata ze strachu komicznie się łamał.

– Tajskiego policjanta? Ubranego w sukienkę? Niemożliwe! – Dla relaksu Marysia robiła sobie hece, jednak jej ręka oparta na blacie przed kasą drżała ze zdenerwowania.

– Proszę podpisać – powiedziała rutynowo kasjerka, po czym oddała właścicielce jej kartę.

– Dziękuję. – Marysia z twarzą pokerzysty i godnością udzielnej księżniczki wsadziła kartę do portfela, zamknęła go, zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła przed siebie.

– Ale z ciebie hazardzistka! – Pravat był pełen podziwu.

– Guzik prawda. Hamid zostawił mi te pieniądze, bo taka jest procedura, kiedy arabski facet rozwodzi się z kobietą – oświeciła przyjaciół. – Bałam się, że może później zmienić zdanie, ot co. To moja forsa i moje konto! Miałam ochotę wydać czysto muzułmańskie petrodolary na tajskiego transseksualistę i to zrobiłam. *Allahu Akbar!* – zakpiła i w tym momencie chóralnie ryknęli śmiechem tak głośnym, że obsługa i inni klienci oglądali się za nimi z naganą.

Biedni azjatyccy kamraci nie mieli błędnego pojęcia, że dziewczyna, która pracuje w ich rodzinnej restauracji jako przynies – wynies – pozamiataj, ma na swoim prywatnym rachunku aż sto tysięcy dolarów minus parę groszy, które właśnie upłynęła.

– Teraz taksówka do kliniki! – zarządziła Marysia, która poczuła się przywódczynią grupy.

– Absolutnie! – Nuh chwyciła ją za rękę. – Autem dojedziemy tam na jutro rano. Lecimy do metra. Tylko Sky Train może nas uratować.

Obyta młoda Tajka, która przez ponad dwa lata mieszkała w Bangkoku, miała rację. Chwilę później z okien wagonu, który pędził nad miastem, obserwowali stojące w kilometrowych korkach auta.

– Pan Pravat Jinping – recepcjonistka wywołała mężczyznę akurat w momencie, gdy miał zamiar usiąść. – Do środka – warknęła opryskliwie i pokazała palcem na najbliższe drzwi.

W poczekalni nikogo już nie było, najwyraźniej właściciel kliniki, doktor Thai, chciał załatwić sprawę dyskretnie. Najważniejsze jednak, że zechciał ich przyjąć, bo tak Nuh, jak i Marysia były przekonane, że Hans miał genialny pomysł z tym sponsoringiem. Pravat po ledwie tygodniowej kosmetycznej kuracji, masażach, maseczkach i w nowych ubraniach wyglądał rewelacyjnie i już stanowił konkurencję dla wszystkich uczestników konkursu piękności. Darmowe kliniczne zabiegi mogły zostać wykonane, tylko jeśli pacjent dawał gwarancje późniejszej wygranej i reklamy kliniki, a Pravat wyglądał na osobę, która ma szansę zwyciężyć.

– Siada i pokazuje, co chce. – Lekarz zwrócił się do niego bezosobowo, tak jakby był nikim, co od razu ubodło dumnego mężczyznę. Przełknął jednak potwarz i uśmiechnął się uprzejmie.

– Mam blizny na policzkach, nierówności i paskudnie zszytą górną wargę – odpowiedział, ściągając usta.

– Pod tą warstwą fluidu nic nie widać. Pójdzie tam i zmyje. – Medyk wskazał

na drzwi prowadzące do przebieralni z umywalką. – No rzeczywiście – potwierdził po powrocie pacjenta. Nie musiał nawet używać szkła powiększającego, które trzymał w ręce, bo zezpeccenia było widać gołym okiem. – Co żeś ty robił za młodu? Lałeś się po pysku każdego dnia?

– Nie, proszę pana. Tatuś w dzieciństwie wyrzucił mnie przez okno. Ale niestety było zamknięte – odparł chłopak ironicznie, a doktor na te słowa trochę zmiękł i westchnął głęboko.

– Jesteś już po transformacji? – Zajrzał mu za dekolt. – Małe masz te piersiątko.

– Takie urosły.

– Bierzesz hormony?! – wrzasnął z oburzeniem. – Kto ci to zalecił?

– Lekarz w Centrum Chirurgii Plastycznej w Phuket. W ten sam sposób prowadził mojego kolegę.

– Metoda jak za króla Ćwiczka! Teraz jeśli ktoś jest zdecydowany być kobietą, to przeprowadza się zabiegi i po ptokach. Trucie się hormonami to zabójstwo. Lepiej uszkodzić sobie wątrobę gorzałą niż pigułkami.

– Ja nie piję i nic sobie nie uszkadzam. – Opryskliwość doktorka zaczynała coraz bardziej denerwować Pravata. – Niestety, na zmiany hop-siup nie mam pieniędzy, a kuracja refundowana przez państwo i naszego kochanego króla opiera się na hormonach i powolnej transformacji. – Lekarz spoważniał, bo zdawał sobie sprawę, że biedni zawsze dostaną w kość, a szczególnie podczas leczenia. – Jest pan buddystą? – wypalił pacjent ni z tego, ni z owego.

– Nie, chrześcijaninem – odpowiedział z dumą, a czystej krwi Taj stwierdził, że w takim razie nie ma co się dziwić jego manierom i podejściu do transseksualnego pacjenta. – A co? – zainteresował się zapytany.

– Ja jestem buddystą, byłem mnichem i arhatem – oznajmił, a medyk tylko ścisnął usta i postanowił zapanować nad swoim językiem, bojąc się człowieka, który może grzebać się w przeszłości i widzieć przyszłość. *Lepiej z takim nie zadzierać*, zdecydował.

– Myślę, że oprócz mojej interwencji potrzebuje pan skalpela mojego kolegi z Pratumam Polyclinic – doradził już dużo grzeczniej. – Zaraz do niego zadzwonię. On również sponsoruje konkurs piękności.

– Wiem, ale nie śmiałem uderzać aż tak wysoko. A co bym od niego potrzebował? – zapytał z drżeniem serca, bo nie był jeszcze przygotowany na ostateczny zabieg.

– Dobrze cycki, bo to, co na razie panu wyrosło, to dwa dziewczęce piegi. – Lekarz podniósł komórkę i wybrał numer. – Stary, cześć. Mam tutaj tego kandydata na Miss Kiss, ale trzeba go trochę doszlifować. Tak, tak, niewiele czasu, ale przecież robisz nowe biusty perfekcyjnie i na pewno się zagoi. Facet jest twardy i zdeterminowany, więc jak go coś będzie bolało, to wytrzyma. – Pravat, słysząc te słowa, pomyślał, że pomimo wszystkich nieprzyjemności jest jednak w czepku urodzony. – Dobra, daj nam pół godziny. – Doktor błyskawicznie ściągnął biały fartuch. – Jedziemy – oznajmił, podchodząc do drzwi.

– Okej! – Pravat aż podskoczył z radości.

– Panie możecie pojechać do hotelu... lub gdzie się tam zatrzymałyście. – Doktor impertynentnym tonem zwrócił się do przestraszonych towarzyszek swojego pacjenta.

– Mieszkamy w Hiltonie. – Marysia od razu usadziła go tak tembrem głosu, jak i dumną postawą.

– Dobra, niech wam będzie nawet Marriott – zaśmiał się kpiarsko. – A ty już po transformacji? – Najpierw lustrował pół-Arabkę na dystans, a później przybliżył do niej twarz. – Nieźle zrobiona. Gdzie?

– Cóż... – Marysia najpierw zbaraniała, lecz po chwili zachichotała, bo sytuacja wydała

jej się nad wyraz zabawna. – Taka jestem od urodzenia i kobietą zapewne umrę. Wiem, że na wasze warunki i normy jestem wielką kobyłą, ale nigdy nie sądziłam, że mam jakieś męskie cechy.

– Zobaczysz *ladyboys* na konkursie. W życiu byś nie powiedziała, że kiedyś byli, albo nawet jeszcze po części są, facetami. Mówi się nawet, że najpiękniejsze kobiety w Tajlandii to chłopcy. – Medyk już poufale poklepał dziewczynę po plecach, podał rękę Nuh i razem wyszli w ciemną bangkocką noc.

– Czyżby pan był tym koniem, którego trzeba obstawiać? – Właściciel Pratumam Polyclinic, ubrany w elegancki jasny garnitur i pod krawatem, przywitał swoich gości w progu. – Ja nie jestem tego taki pewny... – Wygiął pogardliwie usta.

– Stary! Zobacz na jego rzęsy. Są naturalne i tak podkrecone, że sięgają do brwi. A ten uśmiech! – przekonywał kolega po fachu.

– Z taką skancerowaną wargą?

– To jest do zrobienia, ale usta ma pełne i szerokie, że mógłby szparagi jeść w poprzek. Uśmiechnij się, mały – rozkazał, jakby pacjent rzeczywiście był koniem, lecz nie na wyścigach, tylko na aukcji. – Widzisz te białe zęby jak perełki? Ha!

Pravat stwierdził, że podjął dobrą decyzję, udając się najpierw do mniejszej, choć równie sławnej kliniki, bo facet z ośrodka transformacji był wyjątkowo arogancki.

– Nawet jeśli zrobię mu perfekcyjne cycki, to co będzie z tym pokancerowanym dziobem? Fluid może być rozwiązaniem do sesji zdjęciowej, ale nie na eliminacje, bo w ciągu pięciu minut z niego spłynie. – Edukowany doktor powtórzył słowo w słowo wypowiedź Marysi, która jako pierwsza namawiała Pravata do poddania się upiększającym zabiegom.

– Ty robisz swoje, a ja swoje. – Specjalista od cery postawił sprawę jasno. – Nie mogę mu wypeelingować buźki, usuwając wierzchnią warstwę skóry przed zabiegiem w pełnej narkozie, gdzie konieczna będzie maska, więc ty jutro zrobisz mu poważną rzecz, a ja za dwa dni doszlifuję nasz brylant.

– Co ja z tego będę miał? – zapytał chytry medyk, któremu ręka mdląła pod ciężarem złotego rolexa.

– To co my wszyscy tutaj obecni – rewelacyjną reklamę. Pan podpisze z nami umowę na wyłączność na promowanie naszych dwóch medycznych przybytków i zgodę na wykorzystanie materiałów z przebiegu zabiegów dla celów marketingowych. Czy tak?

– Oczywiście – potwierdził drżącym głosem pacjent, którego na myśl o tak poważnej chirurgicznej ingerencji oblał zimny pot.

– Dobra – zgodził się elegant, choć nadal miał niezdecydowaną minę. – Ale za implanty to już powinien mi zapłacić. – Nie potrafił jednak być do końca szczodroliwy.

– Ile? Może dam radę? – Pravat był dumnym i uczciwym człowiekiem i nie chciał nikogo na nic naciągać.

– Cała operacja kosztuje dwa i pół tysiąca, więc za materiały, powiedzmy, tysiąc – podsumował chirurg.

– Tyle to mam! – Chłopak wyciągnął portfel i zaczął skrupulatnie odliczać po setce bathów.

– Ty głupku! Tysiąc dolarów! – Medyk z pogardą uderzył otwartą dłonią w cienki plik pieniędzy, obrócił się na pięcie i ruszył oświetlonym jarzeniówkami korytarzem. – Dzisiejszą noc spędzi już u nas, bo trzeba mu zrobić wszystkie badania, a za dwa dni odwiezę go ambulansem do ciebie – zawołał jeszcze do kolegi, który dla pocieszenia poklepywał teraz

załamanego Pravata po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął mu do ucha. – On się tylko tak lubi handryczyć, ale ogólnie porządny z niego gość i świetny fachowiec. Jesteś w dobrych rękach. – Musnął policzek pacjenta swoimi oślinionymi wargami, a ten już wiedział, na czym będzie polegał ten sponsoring i jaki to rodzaj promocji. *Nie ma nic za darmo*, podsumował, lecz teraz nie mógł już uciec. Zawiódłby zbyt wiele osób, nie spełnił oczekiwań i rozczarował – najbardziej chyba samego siebie, bo przecież to był jego pomysł i jego pragnienie. *Gorsze od niespełnionych marzeń są tylko marzenia spełnione*, przemknęło mu przez myśl stare mądre chińskie przysłowie. *Lecz kto nie ma odwagi do marzeń, nie będzie miał siły do walki*, podsumował i ruszył pewnym krokiem do szpitalnej sali.

– Pomimo że operację wykonuję za darmo, muszę panu opisać przebieg, skutki uboczne i rezultat zabiegu. – Następnego ranka doktor ponownie podkreślał swoją hojność.

– Dziękuję uprzejmie. – Pravat wykonał głębokie *wai* do swoich złożonych dłoni.

– Od razu ostrzegam, że jest bardzo bolesny, zresztą podobnie jak długa rekonwalescencja, która czeka cię później. Przez jakiś czas nie będziesz mógł prowadzić samochodu, motoru, roweru i w ogóle jakiegokolwiek pojazdu. Nie będziesz mógł intensywnie ćwiczyć, a o hantlach czy bijatykach należy zapomnieć na dłużej. W wypadku plastyki piersi nawet wcieranie balsamu trzeba robić bardzo delikatnie, nie mówiąc już o mocniejszym dotykaniu czy pieszczotach. – Jego wygięte ironicznie usta świadczyły o heteroseksualnych preferencjach, co tylko ucieszyło pacjenta. – Nie jest to zmiana, która będzie na zawsze, bo pod skórą umieszczę ci silikonowe implanty, które tak jak wszystko się zużywają. Po dziesięciu, góra piętnastu latach trzeba będzie je wymienić. Zdarza się, że jakiś opadnie, a wtedy musi się zrobić korektę. Bywa też, że implant się zwinie i zaczyna ocierać od środka. Wtedy znów pod skalpel.

– Boże! To znaczy, że mogę ponownie potrzebować pomocy pana doktora?

– Hipotetycznie... – potwierdził medyk, z pogardą obserwując przerażenie transseksualisty.

– A skąd na to wtedy wezmę pieniądze?

– Jeżeli do roku coś było nie tak lub skomplikowało się z mojej winy, zrobię poprawkę na tak zwanej gwarancji. Lecz na wymianę radzę już teraz zacząć zbierać.

– To nie takie proste... – Wątpliwości zaczęły brać górę nad zdeterminowaniem Pravata.

– Jeśli sytuacja rozwinie się, jak obiecuje mój kolega po fachu, a muszę przyznać, że do chłopców to on ma oko, to podczas konkursu Tiffany's Universe Miss Kiss uzbierasz wystarczająco dużo pieniędzy na wszystkie przyjemności i zabiegi. Oczywiście, o ile nie rozpirzysz forsę od razu, jak to się dzieje w większości przypadków.

– Ale ze mnie głupek! Ze strachu przed operacją zupełnie zapomniałem o profitach z konkursu. – Pacjent odetchnął z ulgą. – A przy okazji mógłbym o coś zapytać?

– No to wal. – Zniecierpliwiony lekarz westchnął ostentacyjnie.

– Pańska klinika zajmuje się również wykonywaniem ostatecznych zabiegów zmiany płci, prawda? – Medyk tylko kiwnął głową. – Wyczytałem w Internecie, że kosztuje to jedynie sto dwadzieścia pięć dolarów, ale nie chce mi się w to wierzyć. Czy to możliwe? – indagował z nadzieją w głosie, lecz krótki rzut oka na doktorka od razu pozbawił go złudzeń.

– Chyba jakby rozwałać jaja dwoma ceglówkami – odpowiedział mężczyzna, śmiejąc się ordynarnie.

– Że jak? – Pravat ledwo łapał powietrze, wyobrażając sobie podobny incydent.

– Podana cena jest wstępna i na pewno zachęcająca. – Z poważną już miną tłumaczył lekarz. – Dotyczy tylko pierwszej wizyty, nie kastracji, a tym bardziej nie orchidektomii i waginoplastyki, o którą przeważnie chodzi transseksualistom.

– Więc?

– Więc... Jeśli mówimy o szybkim sposobie pozbawienia męskości, to uciekło ci jedno zero. Kastracja to prosty zabieg odjęcia jąder i członka, który trwa raptem dwie, trzy godziny, a pacjent może wrócić do domu jeszcze tego samego dnia. Plusem jest pozbawienie organizmu dostaw testosteronu, więc żeńskie hormony zaczynają dominować, sprawiając, że zainteresowany nabiera pełnych kobiecych cech. Już w latach pięćdziesiątych przeprowadzano takie zabiegi, lecz jeśli idzie o stosunki seksualne, to niczego nie daje i obecnie panowie trans decydują się raczej na skomplikowaną, ale dla nich bardziej satysfakcjonującą operację.

– No właśnie. To mnie nie interesuje – wyznał Pravat.

– Zabieg ten jest majstersztykiem i wymaga ogromnych umiejętności chirurga urologa oraz neurologa. Trwa nawet do sześciu godzin, pacjent leży w szpitalu dobę, a później jeszcze przez jakiś czas musi pozostawać pod kontrolą lekarza prowadzącego. Gojenie trwa dość długo, ale to już zależy od organizmu.

– A ile to kosztuje? – Mężczyzna czuł, że powoli dociera do celu swoich poszukiwań.

– Dużo mniej niż we Francji, Kanadzie czy Ameryce. Po znajomości jedynie sześć tysięcy dolarów. – Słyszając tak horrendalną sumę, Pravat zagryzł wargi.

– To ja do pana doktora wrócę – oświadczył jednak z pełną stanowczością. – Nie przepuszczę pieniędzy z nagród, bo bardzo mi zależy na zmianie płci. Trafiłem nie do tego ciała, do którego powinienem, i morduję się z tym od dziecka.

– Buddysta? – zapytał lekarz.

– Tak.

– Zatem zapraszam. Ale teraz wróćmy może do naszych cycków, bo za chwilę mam następny zabieg, a jak ci przeleci termin na pogaduszkach, to ani dzisiaj, ani jutro już cię nie wcisnę – ostrzegł już przyjaznym tonem, bo zdał sobie sprawę, że jego pacjent nie jest uliczną dziwką, ale człowiekiem godnym szacunku, który próbuje odzyskać utraconą tożsamość. – Co jeszcze muszę ci powiedzieć o korekcie biustu? Po zabiegu augmentacji przez cztery do ośmiu tygodni dzień i noc trzeba nosić usztywniający biustonosz. Można go kupić w naszej aptece – instruował poważny chirurg, a Pravat słuchał go z pełnym skupieniem. – Ból może się utrzymywać do tygodnia, więc później zalecę analgetyki i na wszelki wypadek antybiotyk, który przyda ci się jako antybakteryjna ochrona również po późniejszym laserze skóry – mówił spokojnym głosem, co działało uspokajająco na podenerwowanego pacjenta. – Czy masz jakieś wygodne, obszerne ubrania, zapinane i niewkładane przez głowę? – zapytał na koniec.

– Nie, nie spodziewałem się natychmiastowych działań. – Mężczyznę na progu transformacji ogarnęła panika, bo wszystko toczyło się zawrotnie szybko. – Ale nie ma problemu, moja siostra przyniesie jakieś ciuchy. Zadzwoń do niej.

– To dzwoni i jedziemy z tym koksem – zabawnie podsumował doktor z pogodną miną, bo widać tak trzeba było odnosić się do wszystkich spiętych pacjentów, których przed wjazdem na salę operacyjną ogarniał stres.

Wszyscy musieli przyznać, że Pravat jest twardym facetem i całkowicie zdeterminowanym, tak jeśli szło o zmianę płci, jak i wygranie konkursu piękności. Po dwóch dniach bez kwękania i uzalania się nad sobą, ze straszliwym bólem w klatce piersiowej i pod pachami przejechał do kliniki dermatologicznej, by poddać się kolejnej uciążliwej

terapii. Marysia i Nuh towarzyszyły mu, patrząc ze smutkiem na jego wychudzoną, ściągniętą twarz.

– Może dasz sobie z tym spokój? – niepokoila się siostra.

– W końcu mogę zapłacić za twoje nowe piersi, przecież mam u twojej rodziny ogromny dług nie tylko finansowy, ale też wdzięczności. – Marysia również nie chciała już dłużej oglądać udręki przyjaciela.

– Babeczki, kocham was, ale nawet nie bierzcie pod uwagę mojej rezygnacji! – poinformował z pełną stanowczością. – To nie jest nic takiego! Wiem, że wy, kobiety, macie większą odporność, na przykład ty, Mary, przeszłaś przez straszliwe bóle porodowe i ani pisnęłaś. Ale przecież ja też jestem kobietą, no nie? Tylko powłoka nie taka, jak należy, ale już niedługo. Przyświeca mi cel, a osiągnięcie go jest już bardzo blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki. – Jego oczy śmiały się, a zmizerowana buzia promieniała szczęściem, więc dziewczyny postanowiły więcej nie naciskać.

– Najważniejsze, że już dzisiaj zabieramy cię do domu. – Marysia cieszyła się jak dziecko.

– Do hotelu – poprawiła ją Nuh. – Ale to zawsze lepiej niż szpital z tym cholernym wszechobecnym smrodem chloru, formaliny i trupów – rzuciła dość kiepski dowcip, a słuchający najpierw przerazili się, ale po chwili wybuchnęli szalonym, młodzieńczym śmiechem.

– Ty, siostra, masz nierówno pod sufitem! – Siedzący na wózku Pravat wyciągnął do niej rękę, ale zaraz skulił się z bólu.

– Uważaj! Jeszcze się sprujesz! – Nuh doskoczyła do niego, a w tym samym momencie na progu gabinetu zabiegowego stanął znajomy doktor, wprost rozplywając się w uśmiechach.

– Zapraszam do siebie – powiedział, lecz kiedy chcieli wejść w trójkę, odepchnął osoby towarzyszące i wprowadził jedynie pacjenta. – Panie poczekają tutaj albo w kawiarni na dole. Nie potrwa to długo – oznajmił chłodno i zamknął kobietom drzwi przed nosem. – Jak tam nowe piersi? – zwrócił się z troską do Pravata, gdy zostali sami. – Bolał troszkę? – Niby mimochodem pogłaskał *ladyboya* po plecach, a temu przebiegł po nich dreszcz obrzydzenia. *Facet, ja nie jestem transwestytą, nie jestem homoseksualistą, jestem kobietą, a ty mi się zdecydowanie nie podobasz!*, wykrzyknął w duchu molestowany, lecz wiedział, że nie może teraz podskakiwać, bo wszystkie jego plany spalą na panewce.

– Dziękuję, nie jest tak źle – odpowiedział uprzejmie.

– Dzisiaj czas na zrobienie ślicznej bużki – przymirał się dalej. – Powiem ci, że najlepszy dla ciebie byłby frakcyjny laser, ale on, oprócz rewelacyjnych efektów, może początkowo wywołać podrażnienie w postaci zaczerwienienia, odczynów i opuchlizny. U niektórych przybiera ono ostrą formę, u innych nie pojawia się wcale. Nie wiem, jak będzie u ciebie, ale polecałbym właśnie to. – Lekarz delikatnie ujął Pravata za brodę i podniósł jego twarz do ostrego światła płynącego ze specjalnej stroboskopowej lampy, pod którą na skórze były widoczne nawet najmniejsze mikroskopijne uszkodzenia.

– Będzie bolało? – Pacjenta interesowała już tylko ta kwestia.

– Zaaplikuję krem znieczulający. Możemy też wzmocnić efekt lekami zmniejszającymi odczuwanie dyskomfortu podczas zabiegu. Jednak zrobienie samej facjaty, z czym w twoim przypadku będziemy mieć do czynienia, to maksymalnie dwadzieścia minut, więc nie wiem, czy warto się kluć.

– Igły?! No nie! – zaśmiał się nerwowo Pravat. – Już wolę na żywcą!

– Świetnie. Trzeba jeszcze tylko przemyć policzki, nos i czoło i zabieramy się

do roboty. W przebieralni jest specjalny dezynfekujący płyn, tonik i płatki. Przebierz się w szpitalną koszulę i zapraszam.

– Zaraz jestem z powrotem. – Chciał mieć kolejny zabieg jak najszybciej z głowy, więc szybko potruchtał do małego pomieszczenia znajdującego się tuż przy gabinecie i po dwóch minutach wrócił, ubrany jedynie w długą zieloną płachtę z rozcięciem przez całe plecy.

– Nałożę teraz grubą warstwę maści z anestetykiem, która zacznie działać za parę minut. Jeśli mimo to czułbyś ból podczas zabiegu, to nie łam się i powiedz, a wtedy zaaplikuję coś mocniejszego. – Doktor delikatnie ułożył Pravata na specjalnie wyprofilowanej kozetce i posmarował jego skórę żelowym mazidłem o zapachu mięty. Cały czas bacznie go przy tym obserwował, co chwila kierując rozbiegany wzrok na jego krocze.

– Przyjemnie chłodzi i ładnie pachnie – rzucił pacjent, chcąc rozluźnić napiętą atmosferę i zwrócić uwagę geja na inną partię swojego ciała.

– To dobrze. Proszę się teraz zrelaksować. – Wyraźnie podniecony lekarz wyszedł z gabinetu, zostawiając podenerwowanego Pravata samego.

Po jakimś czasie wrócił już opanowany, a wraz z nim pielęgniarka, na co oczekujący odetchnął z ulgą. Młoda instrumentariuszka założyła plastikową końcówkę na specjalistyczne urządzenie, przypominające kształtem nowoczesną maszynę do borowania zębów. Nakładka zakończona była częścią w kształcie podkówki i to stamtąd miały wypływać promienie lasera.

– Od ilu startujemy, panie doktorze? – Pielęgniarka uruchomiła aparaturę, która zaczęła cicho bzyczeć. Ekran, zupełnie jak komputerowy, migał od cyfr i wykresów.

– Na rozgrzewkę pięćdziesiąt, potem przejdziemy do konkretów. – Lekarz nałożył maseczkę i strzelił gumowymi rękawiczkami. – Zaczynamy – poinformował i przybliżył do twarzy Pravata cicho pobzykującą machinerię.

– Auć! – krzyknął mężczyzna, podskakując odruchowo.

– Spokojnie, to nie może boleć. Nie przesadzaj!

– Ale boli! – Pacjent błyskawicznie pokrył się potem, szczególnie na dekolcie, a świeże szwy pod biustem zaczęły go piec.

– Głębsze zmarszczki i blizny będzie trzeba potraktować większą mocą lasera i wykonać przynajmniej sto pięćdziesiąt ukuć. Inaczej nie będzie efektu – tłumaczył spokojnie medyk, usiłując zagadać panikarza, który wił się jak piskorz i wierzgał nogami, jedynie ramiona trzymając przyciśnięte do obolałego korpusu. – Na każdym odcinku zabiegowym muszę zniszczyć przynajmniej dwadzieścia procent skóry, żeby odbudowała się nowa, zdrowsza.

– Oj! – Pravat krzyknął już na całe gardło, waląc przy tym ręką w kozetkę, akurat wtedy, gdy promienie operowały tuż pod jego okiem.

– Do cholery! Tak się nie da! – Doktor stracił cierpliwość. – Jak ci wypalę oko, to zapewne podasz mnie do sądu, chociaż pomagam ci z łaski i za darmo. Nikt mi nie uwierzy, że ktoś dorosły tak histeryzował, chociaż sam dobrowolnie podstawił się pod laser. Siostró, zastryk! – zawołał, odchodząc od łóżka i nerwowo spacerując po małym gabinecie.

– Spróbuję wytrzymać, nie trzeba... – oponował Pravat, który od dziecka bał się igły jak ognia.

– Czy brałeś kiedykolwiek narkotyki, spożywasz notorycznie alkohol? – Lekarz był wściekły nie na żarty.

– Głupie pytanie! Mówiłem przecież, że byłem mnichem, a takim ludziom pozostają dobre nawyki. Żadnych dragów!

– Pytam dlatego, ponieważ chcę zaaplikować docelowy środek przeciwbólowy. – Od tej chwili zabieg przebiegał w całkowitej ciszy i skupieniu. Pravat zaciskał oczy, zęby, pięści, byleby już nie być więcej kłutym, a specjalista chciał jak najszybciej sfinalizować sprawę. –

Dwadzieścia cztery godziny proszę nie wychodzić z domu, bo podziurkowana skóra stanowi potencjalne wrota dla zakażenia – poinformował, kiedy Pravat, już w swoich ubraniach, wyszedł z przebieralni.

– Dobrze. – Zmaltretowany pacjent wyglądał strasznie, a obrazu nędzy i rozpaczy dopełniały cienkie czarne włosy przyklejone do jego spoczonej czaszki.

– Siadaj jeszcze na chwilę i wysłuchaj mnie, bo jak wda się infekcja, nie dość że będziesz cierpieć, to z twojego uczestnictwa w konkursie i naszej późniejszej współpracy będą nici. – Delikatnie, acz zdecydowanie medyk usadził mężczyznę na krześle. – A przecież zależy ci na tym jak na niczym w świecie? Słyszałem, że masz już antybiotyki, więc przepiszę ci jeszcze tylko leki antywirusowe. Przyjmuj je przez trzy dni. – Chwyć długopis i zamasztył pismem wypisał receptę.

– Dziękuję.

– Uważaj na siebie! To nie przelewki! Przez pierwszą dobę nie wolno przemywać skóry, pocierać ani stosować kosmetyków. Dopiero potem można delikatnie się umyć, a po dwóch dniach należy zacząć nawilżanie. – Pacjent słuchał uważnie jak grzeczny uczeń. – Niektórzy polecają wazelinę, ale ja proponowałbym specjalny krem, który można u nas kupić, ale ty dostaniesz go ode mnie w prezencie.

– Wszystko będę robił, tak jak należy – zapewnił pokornie mężczyzna. – Jeszcze raz ogromnie dziękuję.

– Niestety, teraz widzę, mój mały, że masz bardzo delikatną skórę i od razu pojawiły się odczyny alergiczne, które sporadycznie zdarzają się po takich zabiegach. Tego nie da się przewidzieć. – Trochę jednak się usprawiedliwił, patrząc na bordową poparzoną twarz Pravata. – Po siedmiu, maksymalnie dziesięciu dniach zobaczysz pierwszy efekt terapeutyczny zabiegu, ale całkowity widoczny będzie dopiero po miesiącu lub dwóch. Akurat na czas. – Lekarz ucieszył się, że wszystko idzie po jego myśli. – Nie sądzę, żeby była konieczna powtórka, bo w twoim przypadku chodziło tylko o oczyszczenie i naprężenie skóry oraz usunięcie płytkich, lecz licznych blizn. Już widać, że zniknęły. – Uśmiechnął się z satysfakcją. A wiesz, co ci na koniec powiem?

– Tak? – Pravat był tak zapuchnięty, że ledwo zdołał podnieść na doktora swoje piękne oczy.

– Po traumatycznych przejściach ostatnich dni najlepszą terapią i regeneracją będzie sen. Więc do łóżka, kochasiu!

Beauty Camp w Pattai, który przez czterdzieści dni eliminacji gościł transseksualistów wybranych w przedbiegach na tytuł Miss Kiss Tiffany's Universe i Miss International Queen, był ogromnym komfortowym obiektem znajdującym się w pewnej odległości od centrum kurortu. Odbywało się tam sporo konkursów, nagrań, wywiadów do telewizji czy radia, a także sesji fotograficznych. Kandydatki po wyczerpujących treningach mogły oddawać się relaksującym masażom, pływaniu i zabiegom spa w luksusowym ośrodku. Ale żeby nie było zbyt pięknie – przecież były tu tylko ze względu na promocję Tajlandii i miasta Pattaya – musiały reklamować sponsorujące konkurs kliniki i ośrodki, telefonię komórkową, towarzystwa i agencje turystyczne, hotele, resorty i spa, dlatego też pojawiały się w plenerze, w biurach i obiektach należących do lansujących się firm. Przy okazji międzynarodowego konkursu Tajlandia chciała zachęcić do przyjazdu do azjatyckiego raju większe rzesze turystów, coraz częściej wywodzących się z dotychczasowej niszy seksualnej, która w ostatnich latach niesamowicie się rozrosła i ujawniła. Jeszcze nie tak dawno w Tiffany's Theatre, gdzie miała

się odbyć finałowa gala, wystawiano znane tylko wśród koneserów rewie i przedstawienia dla transwestytów, homoseksualistów czy transseksualistów, w których grali aktorzy wywodzący się z takich środowisk. Jednak już od kilku lat na widowni zasiadała śmietanka Tajlandii – finansowa i intelektualna, były tu gwiazdy show-biznesu i świata przemysłu, a co najważniejsze, większa część audytorium była heteroseksualna. Natomiast kandydatki na Miss Kiss pochodziły z całego świata, przeważały oczywiście Azjatki, z Tajlandii, Japonii, Filipin czy Korei, ale były również *ladyboys* z Brazylii, Francji, Meksyku, Kanady czy Stanów Zjednoczonych. Tiffany's Universe przestał być konkursem lokalnym – teraz były to wybory na skalę światową.

– Wkładamy rękawice bokserskie, po kolei wchodzimy na ring i trenujemy z instruktorem. – Główny organizator konkursu koordynował działania każdego dnia. Wszystkie momenty były ważne, bo codziennie ktoś odpadał i codziennie można było dostać tytuł, a tytuły wiązały się z porządnymi nagrodami. – Dalej, dalej! – krzyczał do panienek, zaganiając je do szatni.

– Niech to licha... – Pravat szemrał pod nosem. – Rozpruję się i implanty wlecą mi do gaci. – Opuszczały go już siły, ból biustu i pod pachami nie zelżał, tylko się wzmaczał, a wysiłkowi nie było końca. *To ciągle kręcenie rękami jak wiatrakami, obcisłe ciuchy i gonitwa nie sprzyjają rekonwalescencji za grosz*, podsumował, wzdychając ciężko.

– Nie lenić się! Przed nami jeszcze mnóstwo przygotowań! – Opiekunka personalna też poganiała uczestniczki. – Po treningu lunch, godzinny relaks i znów ćwiczenia do finałów. Bo chyba chcecie się w nich znaleźć?

– Przepraszam, ale ja się nie biję. – Pravat postanowił jednak ominąć ten wyczyn.

– Że co? A kto ci każe się lać? Przecież to na niby – tłumaczyła oburzona liderka. – Mają nam tylko dobrze wyjść zdjęcia z napisami promującymi sponsora. Już ci się znudziła rywalizacja? – Była wściekła, bo do tej pory nikt nie śmiał jej niczego odmówić. – Naprawdę nie wiem, czemu ludzie tak na ciebie stawiają! – podsumowała, lustrując Pravata od stóp do głów.

– Proszę drogiej pani, ja jestem buddystą i mam swoje zasady – spokojnie wyjaśniał transseksualista. – Nie skrzywdzę ćmy ani robaka. Nawet jeśli wpadną mi do zupy, to je wyławiam i pozwalam odejść w pokój.

– Co za idiotyzm!

– Przecież jest jeszcze tyle innych dyscyplin sportu – uśmiechnął się słodko, wiedząc już, że uśmiech to jego niezaprzeczalny atut. – Nawet bokserzy muszą trenować biegi, to czemu ja nie miałbym wejść na bieżnię i trochę się przelecieć?

– No w sumie... – zastanawiała się wzięta pod włos uparta baba. – Spróbujmy zatem.

Pravat był zaprawiony w pokonywaniu długich dystansów w górskiej okolicy Kamali na Phuket, bo zanim stać go było na zakup motorynki, biegał do szkoły, do kolegów czy na imprezy, przemierzając zatokę wzdłuż i wszerz. Jako jedyny, który wyłamał się z głupiego programu, był oblegany przez fotografów i dziennikarzy. Włożył promowane przez organizatora ubrania firmy Nike, a do tego najnowszej generacji oddychające adidas, które były tak lekkie i komfortowe, jak jeszcze żadne obuwie w jego życiu. Następnie profesjonalnie się rozciągnął, prezentując idealny turecki szpagat, i wskoczył na taśmę. Jeszcze tylko rozpuścił delikatnie spryskane lakierem włosy, przytrzymał je odblaskową elastyczną opaską, wyszczerzył się do migających fleszy i wystartował. Zaczął od marszu na rozgrzewkę, ale później stopniowo zwiększał szybkość, aż przeszedł w trucht, a następnie w lekki bieg. Kątem oka obserwował rywalki, przy których nie było ani jednego paparazziego. Mordowały się z uniesieniem za dużych rękawic bokserskich do gardy i wykonywały koślawe ruchy, usiłując osiągnąć

treningowych gruszek, trzymanyh przez instruktora. Prawie żadnej nie udawało się w nie trafić, bo organizatorzy chyba złośliwie wymyślili dyscyplinę, gdzie trzeba używać mięśni, które po notorycznym zażywaniu estragonu u większości transseksualistów prawie całkowicie zaniknęły.

- Brawo!
- To nasza Miss Kiss Sport!
- To jest kondycja!
- Ale nogi! – Najpierw słabo, a później coraz głośniejszy wykrzykiwali dziennikarze i coraz liczniej otaczająca bieżnię publika.

Pravat aż się bał, że tak łatwo mu idzie. Wyglądało, że to on i tylko on zbiera wszystkie tytuły, premie i nagrody. Został nawet Miss Kiss Perfect Skin, a szarfę zakładał mu nie kto inny, jak doktor, który miesiąc temu wykonał mu frakcyjny laser. On też wręczył mu voucher na kwotę piętnastu tysięcy bathów. Takich talonów Pravat zebrał już na ponad sto tysięcy – czuł przez skórę, że termin jego całkowitej transformacji jest już bardzo blisko, okazało się bowiem, że bony można wymienić u fundatorów na gotówkę. Wprawdzie trochę mniejszą niż ta, na jaką opiewała usługa, ale zawsze coś, a głupotą byłoby chodzenie przez rok do spa czy na fitness, kiedy mężczyzna miał inne, bardziej pilące sprawy do zrealizowania.

Pragnął tylko jednego: stać się w końcu pełnowartościową kobietą. Jednak nie taką jak otaczające go ślicznotki, które w większości były słodkimi idiotkami, próżnymi Barbie lub zachowywały się jak pięcioletnie postrzelone dziewczynki. On miał głowę pełną poważnych myśli, idei i marzeń, a jedną z nich była zmiana pracy na taką, w której mógłby się zrealizować i rozbrzmieć jako *lady*. Może uda mu się powtórzyć sukces krajanki i zostać modelką lub aktorką? Może będzie mógł się realizować, pracując w fundacjach charytatywnych, i pomagać biednym i pokrzywdzonym przez los rodakom? Podczas zadań i wyczerpujących treningów śnił na jawie i sam nie wiedział, kiedy minęło prawie czterdzieści dni i pozostało jedynie trzydzieści kandydatek do tytułu Miss Kiss Tiffany's Universe. Tak jak przewidywał doktor, który pomógł mu usunąć mankamenty urody i dopracować ciało, Pravat stał się czarnym koniem, którego wszyscy obstawiali, czempionem w każdej konkurencji.

W przeddzień czterodniowych finałów na głównej nadmorskiej promenadzie w Pattai zorganizowano wielką paradę w iście amerykańskim stylu: z pokazami fajerwerków, żonglerami, połykaczami ognia, przebierańcami i bardzo głośną muzyką. Pretendentki do tytułu jechały na niskopodwoziowych naczepach, ciągniętych przez specjalne pojazdy. Wehikuły zostały pokryte szkarłatną materią i przyozdobione tysiącami kwiatów, wśród których przeważały typowe dla Azji orchidee. Po bokach uczepiono wielobarwne balony i zamontowano poręcze, żeby któraś z *ladyboys* nie spadła z sunącego powoli pojazdu. Utalentowany choreograf ustawił konkursowiczki według siebie tylko wiadomego schematu, jednak na centralny podest zaprosił Pravata, ubranego w cudowną brazylijską suknię karnawałową, ozdobioną setką piór i tysiącem cekinów. Teraz już wszystkie konkurentki patrzyły na niego spod łba, przewidując, że to on otrzyma tytuł. Nie mogły jednak zarzucić mu kumoterstwa czy korupcji, bo transseksualista Pravat Jinping był najpiękniejszą kobietą w całej Pattai, całej Tajlandii i na całym świecie. Oprócz olśniewającej urody, okraszanej cudownym szerokim uśmiechem, biła od niego niesamowita duchowa aura. Wszyscy szeptali, że to dlatego, iż jest buddystą, był mnichem i potrafi osiągać nirwanę.

- Boże! On nigdy tak nie wyglądał! – Marysia, stojąca wśród tłumów, nie mogła się nadziwić. – Nasz chłopak po prostu łśni! – Śmiała się i klaskała w ręce.
- To mój brat! Mój brachu! – Nuh z dumą pokazywała Pravata palcem. – Zawsze wiedziałam, że on jest nadzwyczajny!
- Ach! – Junta tylko płakała i siąkała nos do wielkiej chusteczki Hansa, a ten patrzył

na szwagra i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Ten facet spełni swoje marzenie – powiedział tylko Duńczyk, nadal określając krewniaka jako mężczyznę, na którego obecnie całkowicie nie wyglądał.

Podczas parady Pravat dostał kolejny tytuł – tym razem Miss Kiss Sexy Star. Rodzina aż skakała i pękała z dumy. Niestety, nie mogła podbiec do niego i go wyściskać, ale na odległość machali do niego i posyłali buziaki.

Jako że uczestniczkom konkursu nie wolno było opuszczać Beauty Camp i kontaktować się ze światem zewnętrznym, ośrodek, w którym przebywały, był zamknięty i pilnie strzeżony. Już na samym początku musiały zdać wszelkie środki komunikacji indywidualnej – telefony, iPhone’y, iPady, laptopy, a ich bagaż został dokładnie sprawdzony pod tym kątem. Czuły się jak w więzieniu, bo nie dane im było nawet spotkać się z rodziną, która niejednokrotnie przemierzyła pół świata, żeby być świadkiem tak ważnego wydarzenia w życiu syna, brata, partnera czy żony. Dzień przed finałami *ladyboys* nie odzywali się do siebie, skończyły się śmiechy i dowcipy, nikt nikogo nie chciał i nie umiał zrelaksować, bo wszyscy byli spięci do granic możliwości.

– Życzę wam powodzenia – powiedział do nielicznych już konkurentek udający się na spoczynek Pravat. – Połamcie obcas – zażartował.

– Pewnie! Łatwo ci mówić, kiedy wygraną masz w kieszeni – odburknęła ciemnoskóra Brazylijka, która ze względu na swoją karnację miała w konkursie niewielkie szanse.

– Nigdy nic nie wiadomo, co komu pisane – odparł i nie chcąc się wdawać w nerwową dyskusję, opuścił pokój wypoczynkowy.

Tiffany Theatre był imponującym gmachem, który od czasu pierwszych wyborów Miss Kiss rozbudowano i unowocześniono. Scena była wielka, pełna laserów, kolorowych świateł i ruchomych schodów oraz dodatkowych podestów. Zatrudniono setki profesjonalnych tancerzy, znanych piosenkarzy i zespołów, które miały tworzyć oprawę dla największej tego typu imprezy na świecie. Dziesięć finałowych kandydatek drżało na myśl o występach przed widownią, która liczyła tysiące osób, rodzin, fanów, sponsorów i turystów, ale przede wszystkim bało się srogiego jury, w skład którego weszli przedstawiciele mediów, kultury i sztuki. W ich obliczu każdy *ladyboy* czuł się maluczki i głupi. Jedyne, o czym byli przekonani, to ich niezaprzeczalna wielka uroda i wspaniałe kreacje, które organizatorzy zakupili lub wypożyczyli na finałową galę. Teraz trans musieli się prezentować w wieczorowych sukniach, kostiumach kąpielowych, strojach narodowych i maszerować po scenie tanecznym, ponętym krokiem modelki, pokonując liczne stopnie i nierówności.

Na koniec, jak to zazwyczaj bywa na takich imprezach, musieli również zabrać głos, co dla wielu było nie lada wyczynem. Zdarzało się, że transseksualiści, ubrani w cudowne kreacje, wyglądający na kobiety i często już będący kobietami, nadal mieli chropawy niski, męski ton. Do takich należał Pravat, który nie potrafił modulować głosu, uważał jednak, że najważniejsze jest to, iż ma coś do powiedzenia, a nie dźwięki, które wydobywają się z jego gardła.

– Jestem, kim jestem – zwróciła się do niego miła prezenterka, która na tle otaczających ją piękności wyglądała jak szara gąska. – Co sądzisz na ten temat? Kim ty jesteś?

– Od zawsze byłem kobietą uwięzioną w męskim ciele – cicho zaczął Pravat. – Na początku myślałam, że jestem złym człowiekiem, zboczonym, nienormalnym, w czym utwierdzał mnie mój ksenofobiczny prymitywny ojciec, niech Budda wybaczy mu złą karmę i da jeszcze jedną szansę. Jednakże później, kiedy oddawałam się medytacjom w zakonie buddyjskim, dowiedziałam się, gdzie tkwi błąd i że nie leży on po mojej stronie. Trzeba się cieszyć, że żyjemy w takich czasach, w otoczeniu wspaniałych tolerancyjnych ludzi i możemy tę pomyłkę naprawić. Życzę wszystkim tym, którzy znaleźli się w nie swojej powłoce, aby

mogli zmienić „opakowanie” jeszcze w tym życiu – zażartował, a publiczność, która początkowo milczała, wpadła w euforię i nagrodziła mówcę owacjami.

Następne typowe pytanie zadał kolejny członek jury:

– Co chciałabyś zmienić na świecie? Co chciałabyś zrobić dla innych?

– Nie będę rzucała sloganów o tym, że chciałabym ocalić świat, bo to nie leży w mojej mocy. – Pravat wziął głęboki oddech i jak profesjonalny orator zamilkł na chwilę. – Lecz chciałabym pomagać ludziom, biednym, chorym i starym, takim jakich odwiedziliśmy podczas przygotowań w domu spokojnej starości. Życzę sobie, żeby wszystkim naszym seniorom tak się powodziło i żeby godnie spędzili jesień życia. – Ostatnie słowa zostały zagłuszone przez oklaski, lecz mówca jeszcze nie skończył. – Chciałabym również, aby tak w naszym kraju, jak i na caluteńkim świecie rozwiązano problem przestępczości, korupcji i molestowania dzieci. Najgorsze, co może być, to przemoc w rodzinie, i należy jej zdecydowanie powiedzieć: nie! – ostatnie słowa wykrzyknął, przy czym z powagą podniósł do góry swoją szczupłą rękę z zaciśniętą pięścią.

– Wygraną ma w kieszeni – oszołomiona Marysia szepnęła do ucha Nuh, która trzymała dłonie na ustach i płakała rzewnymi łzami, nie przejmując się, że tusz i fluid spływają jej po twarzy. – Hej! Opanuj się! – Koleżanka wcisnęła Tajce chusteczkę higieniczną i objęła ją życzliwie.

– Trzecie miejsce zajmuje... – Prowadząca wzięła kopertę z rąk konferansjera i wyczytała nazwisko. – Drugie miejsce zajmuje... – Znow nie był to Pravat.

– Jeszcze nie on... – Podenerwowana Marysia siedziała na miękkim fotelu jak na szpilkach.

– Pierwsze miejsce i tytuł Miss Kiss Tiffany’s Universe... – Wszyscy na widowni wstrzymali oddech. – ...Otrzymuje *ladyboy* Pravat Jinping!

Bliscy Pravata padli sobie w ramiona, a zwycięzca z podekscytowania nie mógł zapanować nad łzami – przykucnął i przyłożył złożone dłonie do czoła. Dopiero po chwili powoli podniósł się, podszedł do gospodarzy programu i przyjął gratulacje.

Konkurs uświetniła koronacja nowo panującej królowej przez jej poprzedniczkę. Założyła ona Pravatowi na głowę piękną, lśniąca tysiącem barw i wartą piętnaście tysięcy dolarów koronę ze zdobieniami w kształcie motyla, które symbolizowały nie tylko piękno, ale też reinkarnację i odrodzenie duchowe. Po odebraniu wszystkich nagród, premii i voucherów oraz kluczy do apartamentu w Woodworld Hotel & Spa w Pattaya City, który przez cały rok miał być do dyspozycji zwycięzcy, Pravat w końcu rzucił się w objęcia stęsknionej, szczęśliwej i dumnej rodziny.

– Zapraszam do mnie na pokoje – powiedział drżącym głosem, po czym rozplakał się w głos ze szczęścia.

Po finałowej gali nastąpiło oficjalne przyjęcie, na którym laureatki konkursu mogły w końcu osobiście poznać ważnych dla nich ludzi: sponsorów, przedstawicieli mass mediów i bogaczy. Dziesięć najpiękniejszych finalistek było adorowanych, obdarowywanych i zapraszanych do uczestnictwa w setkach reklam, promocji, imprez i innych zachwycających spotkań. Najbardziej obleganą osobą był oczywiście Pravat, który już całkiem swobodnie używał żeńskiej formy swojego imienia – Pravi.

– Słuchajcie! Tutaj oprócz śmietanki towarzyskiej są też politycy, wojskowi i dyplomaci! – Cieszył się jak dziecko. – Oni wszyscy chcą ze mną gadać! – Śmiał się słodko, ukazując białe równe zęby.

– To wspaniale! – Marysia delikatnie pocałowała go w gładki policzek. – Zrobisz wymarzoną karierę! Osiągniesz sukces!

– Już zdobyłeś tak wiele! – Hans poklepał krewniaka po męsku, aż drobniutkiemu Tajowi zadudniło w płucach.

– Ale najważniejsze jeszcze przede mną – wyznał po cichu zwycięzca. – Za tydzień mam umówiony termin w Pratum Polyclinic, a doktor tym razem nie pytał, czy jestem wypłacalny. Zresztą zgłosiłem już wszystkim sponsorom, że wymieniam vouchery na kasę. Zostawiam sobie tylko samochodzik i apartament, w którym w sobotę robię wielką imprezę!

– Wyrzuć cię stamtąd, zanim zdążysz zagrażać miejsce – zaśmiała się Nuh. – W takich przybytkach nie wolno balować, bo ludzie tam odpoczywają.

– Coś ty! To jest specjalne skrzydło, gdzie znajdują się tylko sklepy, restauracje, disco, biura, fitness i spa. Wieczorem nikomu nie będę przeszkadzał. Oczywiście jesteście zaproszeni! – Wyciągnął ręce do swoich bliskich.

– Kotku, z chęcią, ale my niestety musimy lecieć do domu – tłumaczyła się Junta ze smutkiem w oczach.

– Dlaczego? Jak możecie?!

– Restauracja zapewne całkiem już zeszła na psy i jest rozkradziona, dzieci bez kontroli gonią rozbestwione, a malutka Rani ma grypę i gorączkuje. Nasza matka zaś tak daje w kostkę, że opiekunka grozi natychmiastowym odejściem.

– O mój Boże! To jakiś kataklizm! Ze też nie możecie się ruszyć nawet na tydzień, bo od razu cały wasz świat leży w gruzach! – Pravat już się nie złościł, bo doskonale znał sytuację swojej siostry i szwagra. – A wy, dziewczyny? – Zwrócił się do Marysi i Nuh. – Też chcecie uciec?

– Coś ty! Nie podarujemy sobie eleganckiego party, i to w takim ekskluzywnym miejscu! – Młodsza siostra aż drżała na myśl o tym wydarzeniu, a Marysia z aprobatą jej potakiwała. – Może uda mi się poznać jakiegoś bogatego przystojniaka i ja też się ustatkuję?

– Pojedziemy jeszcze raz do Bangkoku na zakupy. – Marysia miała typowo arabską żyłkę zakupoholiczki. – Musimy ładnie się prezentować, a przy twojej urodzie, Pravi, ciężko nam z Nuh będzie ci dorównać – stwierdziła, choć tak naprawdę nie miała kompleksów.

– To dobrze się składa – Hans włączył się do rozmowy. – Możemy was podrzucić.

Już na odchodnym Pravat szepnął dziewczynom:

– Poznałem takiego supergościa... Mówię wam, rewelacja. Spełnienie marzeń... ideał... cudo... – Aż brakowało mu tchu, a jego oczy lśniły pasją i pożądaniem.

– O! Trafiała kosa na kamień! – zaśmiała się Nuh, zabawnie wygrażając bratu palcem.

– Przecież mówiłeś, że ty do tej pory nigdy z facetami nie ten teges – dziwiła się Marysia. – Twierdziłeś, że nie masz takich upodobań. Więc co się nagle zmieniło?

– Nic z tych rzeczy – poważnie odparł *ladyboy*. – Jak najbardziej chcę z facetami ten teges, moja droga, ale jako kobieta. A teraz jestem nią w przeważającej części i brakuje mi tylko jednego drobnego elemenciku. Roger obiecał, że poczeka cały długi miesiąc na moją pełną gotowość. Widzisz, jaki dżentelmen?

– To tak z marszu o tym gadaliście?! – oburzyła się Marysia, która wbrew pozorom nadal była bardzo cnotliwa. – A gdzie podryw, gdzie gra wstępna, romansowanie, spotkania w parku, wyjście do kina, kolacje przy świecach?

– Kochana! W mojej sytuacji od razu trzeba kłaść kawę na łąwę. Czy wiesz, ilu już mi proponowało seks? Pierwszy był mój sponsor z Asoke Skin Hospital. Stary peda! – prychnął z pogardą Pravat.

– Niech to szlag! Słyszałam, że wszelkie wybory miss to jeden wielki burdel, ale żeby aż

do tego stopnia! – Marysia nie liczyła się ze słowami.

– Niestety, takie konkursy przyciągają amatorów szybkiego seksu z najlepszym „towarem”. Ta „misska”, która chce, będzie się szlajała, ale przecież nie wszystkie. Nie generalizuj, moja świętoszko. – Dla rozluźnienia klepnął przyjaciółkę w tyłek i spojrzał wymownie w oczy.

– Cóż, jak już znalazłeś tego jednego jedyne go wybrańca, to trzeba ci będzie kupić jeszcze wspanialszą kieckę, żeby facet dokładnie wiedział, że ma najpiękniejszą Miss Kiss na świecie – podsumowała udobruchana Marysia. Objęła Nuh i cała trójka wtopiła się w tłum gości.

Tak jak mówił Pravat, sponsorzy doskonale znali styl życia większości laureatek konkursu Miss Kiss i co roku przekazywali apartament w swoim hotelu z pełną świadomością, że będą tam organizowane niekończące się imprezy, a często nawet orgie lub nagrania do filmów porno, które mogą zakłócać ciszę nocną zwykłych turystów. Dlatego też dwupoziomowe mieszkanie z basenem umieszczono w wolno stojącej willi, odgródzonej wysokim murem od reszty obiektu. Składało się ono z wielkiego salonu, trzech sypialni i tyłu łazienek oraz w pełni wyposażonego aneksu kuchennego i znajdowało w specjalnej sekcji obiektu, przeznaczonej tylko na rozrywki, a zwyczajni hotelowi goście czasami w ogóle nie wiedzieli o jego istnieniu. Może i dobrze, bo rodziny z dziećmi zapewne nie byłyby zachwycone faktem, że ich pociechy oglądają przepiękne kobiety z genitaliami rozpychającymi obcisłe majteczki.

W sobotę od rana w apartamencie uwijały się hotelowe służące, ogrodnicy i restauratorzy. Z zamówieniem katering nie było problemu, tak jak z kwiatami czy dekoracją. Pravat przekonał się, że jeśli ma się kasę i bogatych znajomych, życie może być nad wyraz przyjemne. Szybko się do tego przyzwyczajał i szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Marysia nie śmiała zwracać mu uwagi, bo sama nie była lepsza – kiedy raz zapłaciła kartą z nienaruszonego dotychczas konta, strumyczek dolarów zaczął wypływać z niego coraz szerszym potokiem.

– Przedstawisz nas swojemu kochasiowi? – zapytała, kiedy do apartamentu zaczęli tłumnie napływać goście. – O ile znajdziesz go w takiej hałastrze. – Zszokowana liczbą i konduktą zaproszonych, Marysia przycięła przyjacielowi, który zupełnie nie przejmował się sytuacją.

Okazało się, że *ladyboy* nie był przewidujący i nie miał za grosz zmysłu organizacyjnego, bowiem zaprosił ponad setkę ludzi, a oni przyprowadzili swoich znajomych, co spowodowało, że apartament pękał w szwach i po półgodzinie jedyne wolne miejsca pozostały już tylko nad basenem lub w wodzie.

– Znajdę go, już ty się o to nie bój! – Od Pravata aż biło szczęście i Marysia postanowiła mu więcej nie dokuczać. – On jest tak niezwykły, że widać go w każdym towarzystwie, więc co dopiero wśród kurdupli Azjatów – swobodnie zadrwił ze swojej rasy.

– Dobra! Nie będę ci truć i psuć zabawy. Domówić więcej jedzenia? – Martwiła się jednak o przebieg imprezy, a na razie zanosilo się na wielki ochlaj pełen narkotyków.

– Pewnie! Dzięki! Jesteś cudowna! – Przyjaciel ucałował ją przelotnie i pognął przed siebie, bowiem w wejściu pojawiła się właśnie wielka sylwetka umięśnionego Afroamerykanina.

Na Boga! Pod Marysią aż ugięły się nogi. *Jakże oni się dobrali? Pod jakim względem? Biedny Pravat jest jak mały ptaszek, a ten tu to jakiś mutant, Hulk czy inny po napromieniowaniu albo raczej sterydach! Czyż ten mój przyjaciel zgłupiał?*, niepokoiła się całym

sercem i dlatego zamiast się bawić podczas tej niezwykłej imprezy, nic innego nie robiła, jak tylko nie spuszczała oka z *ladyboya* i jego nowego przyjaciela.

W końcu ściągnięty jej wzrokiem Murzyn podszedł do Marysi i zapytał otwarcie:

– Czyżbyś chciała się do nas później przyłączyć?

– Że co? – zapytała głupio przez ściśnięte gardło, bo była zupełnie zszokowana jego bezpośredniością.

– Pożerasz mnie wzrokiem, więc myślałem, że masz na to ochotę.

– Pravi to mój przyjaciel i trochę się o niego niepokoję – oświadczyła twardo.

– Chyba jest już pełnoletnia, no nie? – Wielkolud zaśmiał się lubieżnie, a Marysia znów się zastanowiła, co taki delikatny i inteligentny człowiek jak Pravat może widzieć w takim prymitywie.

– Mówił mi – kobieta nadal nie przywykła do żeńskiej formy imienia kolegi – że ponoć poczekacie na jego... na jej... – Zupełnie nie wiedziała, jak ująć to w słowa.

– Piśkę? – Mężczyzna wykrzywił mięsiste czarne wargi, a następnie oblizał je różowym wielkim jęzorem.

– Tak... raczej... na całkowitą transformację – poprawiła jego wulgarny styl.

– Pravi dzisiaj zmieniła zdanie. Jest napalona jak kotka w rui i jak najszybciej chce popробować mojej bitej śmietanki. – Na te słowa Marysi zrobiło się niedobrze, ale troska zdominowała jej prywatne odczucia.

– Czy czasami nie dosypałeś jej czegoś, żeby była gorętsza? – zapytała oskarżycielsko.

– Słuchaj! Jak jesteś taka święta, to spierdalaj do kościoła! – Mężczyzna pokazał swoje prawdziwe oblicze. – Odwal się, kryształowa laluniu!

Na te słowa Marysia rzuciła się pędem do swojego przyjaciela.

– Pravi, Pravi! – Niemal siłą odciągnęła go od rozbawionego towarzystwa. – Daj sobie spokój z tym czarnuchem! – krzyczała, szarpiąc go za ręce. – On jest wielkoludem nawet na światowe warunki, a co dopiero na azjatyckie. Totalnie do ciebie nie pasuje, moja ty kruszynko. Odpuść! Proszę!

– Kochana, przestań się zamartwiać, dobrze? – W oczach *ladyboya* nie było śladu zrozumienia. – Może właśnie taki facet jest moim wymarzonem? Może właśnie takiego chcę?

– Czyś ty oszalał?! – Marysia potrząsnęła nim ze złością. Doszła do wniosku, że udział w konkursie Miss Kiss fatalnie wpłynął na mentalność i zachowanie jej drogiego kolegi, bo zmienił się on nie do poznania, i to nie tylko pod względem fizycznym. Ze spokojnego człowieka z zasadami, który sporadycznie przebierał się w babskie ciuszki, Pravat uległ transformacji w Pravi, rozhukaną, wyzywającą i wulgarną, nieprzestrzegającą żadnych reguł ani norm. *Co mu się stało?*, pytała się w duchu. *Dlaczego? Gdzie jego buddyjskie obyczaje i uczciwość? Co by powiedzieli mnisi na używanie narkotyków i zachlewanie się? Czy pochwaliliby prostytutkę i kurestwo?* Nie miała jednak możliwości zadać tych pytań, bowiem Pravat najzwyczajniej w świecie ją zignorował i obrażony odwrócił się plecami. Przekaz był jasny: żadna obca baba nie ma prawa ingerować w jego życie. *Jak nie, to nie!*, wściekła się Marysia. *Ale nie widzę powodu, dla którego sama miałabym uczestniczyć w tym burdelu. Nie mój cyrk i nie moje małpy.* Chwyciła boki swojej długiej sukni, uniosła ją na wysokość łydek i wbiegła po schodach do sypialni, w której miała zatrzymać się na noc. Kiedy jednak otworzyła drzwi, zobaczyła na swoim łóżku urzędującą w najlepsze parę. Rozpoznała jedną z finalistek konkursu i doktora z kliniki dermatologicznej. *Ladyboy* miał podciągniętą sukienkę i odchylone majtki, a lekarz pieścił jego genitalia jedną ręką, drugą ugniatając obfite sztuczne piersi. Sam miał opuszczone spodnie, żeby trans mógł się zabawiać jego penisem. Byli tak zajęci sobą, że wejście Marysi w niczym im nie przeszkodziło. Ich języki się splatały, ciała

drżały, a ręce kontynuowały pieszczoty. Zniesmaczona kobieta otworzyła szafę, wyciągnęła małą podręczną walizkę i wrzuciła do niej swoje nieliczne rzeczy.

– *What the fuck?!?!* – Gdy zatrzasnęła pokrywę torby, doktor aż podskoczył. – Czego tutaj szukasz?! Nie widzisz, że ktoś tu jest zajęty?! – wrzasnął, a jego partner opadł na plecy z lubieżnym uśmiechem na ustach i kokieteryjnie położył upierścienioną dłoń na swojej niemałych rozmiarów męskości.

– Leżysz, kurwa, w moim łóżku i jeszcze drzesz na mnie mordę?! – Marysia nie przebierała w słowach, bo aż gotowała się ze złości. – Powinam was stąd wypierdolić, więc ciesz się, że sama się wynoszę!

– I dobrze. – Gej nie miał najmniejszej ochoty się rozpraszać, zwłaszcza że był już bliski spełnienia swych seksualnych dążeń. – Spadaj – rzucił przez ściśnięte żądzą gardło, po czym bez najmniejszego skrępowania opuścił spodnie jeszcze niżej, obrócił swojego partnera na kolana, wdrapał się na niego i pieszcząc jak szalony jego drżącego, nabrzmiałego członka, wszedł z okrzykiem rozkoszy w jego wąską, ale pojemną pupę.

Marysia wybiegła z pokoju, rozejrzała się jeszcze za Nuh, ale ponieważ przyjaciółki nigdzie nie było, wyszła, nie oglądając się za siebie.

Nie miała ochoty włóczyć się po Pattai w poszukiwaniu wolnego pokoju, więc postanowiła zapytać w tym samym obiekcie. W części turystycznej ogromnego kompleksu na szczęście było miejsce i kobieta z ulgą przekroczyła próg przestronnego pomieszczenia, wypełnionego ciszą i świeżym, chłodnym powietrzem. Zrzuciła wieczorową suknię, wzięła zimny prysznic, żeby zmyć z siebie wszystkie brudy tego parszywego, rozpasanego świata, i padła na łóżko. *Czas się stąd zwijać*, postanowiła i zapadła w ciężki sen, pełen koszmarów i reminiscencji z jej burzliwego życia.

Rano obudziło ją pukanie do drzwi.

– Madam! Madam! Proszę otworzyć! Pilna sprawa!

– Co jest grane? – zawołała, wściekła, ale że łomotanie nie ustawało i dołączyły do niego krzyki na korytarzu, postanowiła zorientować się, o co chodzi.

– Mary! – Nuh stała pod oknem w końcu korytarza i paliła papierosa. – Niestety... – wyszeptwała, a kiedy Marysia do niej podeszła, zobaczyła, że dziewczyna tonie we łzach.

– Co się stało? – zapytała chłodno, wciąż pomna wydarzeń ostatniego wieczoru.

– Niestety! – powtórzyła Nuh.

– O co chodzi, dziewczyno?! – Pomimo złości Marysia niepokoiła się o swoich tajskich towarzyszy.

– Mój braciszek...

– Co z nim?

– Załatwiony...

– Nie rozumiem! Czy ty nie umiesz się wysławić, do cholery?!

– Zabity! Nie wiadomo przez kogo! Leży tam... – wykrzyczała Nuh ostatkiem sił, a potem padła na kolana i skuliła się jak dziecko.

– Jak to? Gdzie? Dlaczego? – Marysia rzucała chaotyczne pytania. – Zaczekaj tu na mnie.

Wpadła do pokoju, błyskawicznie narzuciła na siebie sportowe letnie ciuchy i wybiegła z powrotem. Chwyciła załamaną Nuh za rękę i pociągnęła w kierunku skrzydła, w którym mieścił się apartament Miss Kiss. Kiedy weszły do środka, ich oczom ukazał się zrujnowany teren, po którym snuli się policjanci. W basenie pływały puste butelki, talerze i jedzenie, resztki leżały na zdeptanej trawie, wszędzie wały się niedopałki i kieliszki.

W salonie nikogo nie było, więc skierowały kroki na górę. Drzwi do wszystkich sypialni były pootwierane, lecz tylko z jednej dochodziły głosy. Podeszły tam na palcach i ich oczom ukazał się straszny widok. Na łóżku leżał roznegliżowany Pravat. Jego elegancka sukienka była potargana i zwinięta w pasie, biustonosz dyndał na zagłówku, a posiniaczone, podrapane piersi były odsłonięte i luźno zwiślały na boki. Rozerwane majtki wisiały na wygiętej nienaturalnie nodze. To co pozostało z jego krocza, przypominało krwawą miazgę. Ktoś odciął mu penisa razem z jądrami, dokonując domowej kastracji. Mężczyzna musiał się wykrwawić, bowiem całe łóżko było zalane posoką, która przybrała już czarnobordowy kolor. Do policzków Pravata przykleiły się rzadkie posklejane włosy, a w szeroko otwarte usta wepchnięto jego odciętą męskość. Czarne piękne oczy *ladyboya*, oprawione firaną długich podkręconych rzęs, patrzyły w próżnię, która nie miała końca. Były martwe.

Marysia nie wiedziała, co ma z sobą począć. Jej plan wyjazdu z Tajlandii spalił na panewce, bo wiedziała, że teraz nie może zostawić tak życzliwej i dobrej rodziny, która przygarnęła ją, kiedy była w potrzebie, i wyciągnęła do niej pomocną dłoń. Nikt nie mógł zrozumieć tego, co się stało z Pravatem. Dlaczego ktoś w tak bestialski sposób potraktował delikatnego, bezbronnego człowieka? Czemu z takim okrucieństwem pozbawił go życia? Śledztwo utknęło w martwym punkcie ze względu na brak poszlak. Zaproszeni przez *ladyboya* goście w większości byli anonimowi, nikt nie rejestrował ich wejścia czy wyjścia z apartamentu. Okazało się też, że gęsto umieszczone w całym kompleksie kamery w tej części dla ochrony prywatności stanowiły tylko atrapy. Opis mężczyzny, który Pravatowi tak przypadł do gustu, a według Marysi był głównym podejrzanym, też nic nie dał, gdyż policja nie miała ochoty ani szukać, ani oskarżać żadnego Afroamerykanina. Dla Tajlandii najważniejsze były dobre stosunki ze Stanami, ponieważ turyści zza oceanu zostawiali u nich rocznie miliony dolarów, a dwa państwa kochały się i kooperowały na licznych frontach. Człowiek ten był tak charakterystyczny, że odnalezienie go nie stanowiłoby najmniejszego problemu nawet w wielomilionowym Bangkoku, ale nikt nie zwracał uwagi na sugestie i naciski kobiety. Dla lokalnych władz życie jednego transseksualisty nie miało żadnego znaczenia i nie obchodziło ich, że był dobrym obywatelem i policjantem. Koledzy po fachu wcale nie czuwali się do solidarności z pobratymcem, a wręcz dziwili się, że taki dostał pracę w służbach mundurowych. Czar azjatyckiej tolerancji przysł.

Junta chlipała całymi dniami, a po południu, kiedy zazwyczaj przychodził Pravat, aby pomóc w restauracji, bez przerwy wystawała na schodach, tak jakby na niego czekała.

– Gwiazdeczko moja kochana. – Hans obejmował żonę ramieniem. – Chodź, zarządzisz coś w kuchni. Inaczej kucharki zaczną sikać do *tom yum*⁷² – żartował smutno, ale nic to nie pomagało. – Mary – zwrócił się pewnego dnia do pomocnicy. – Czy mogę mieć do ciebie prośbę?

– Oczywiście.

– Czy mogłabyś przez jakiś czas poprowadzić naszą restaurację, a ja zastąpię cię przy wejściu? Junta całkowicie pogrążyła się w bólu i rozpacz, a Nuh jeszcze bardziej pogubiła. Zanim pogodzą się ze śmiercią brata, minie trochę czasu.

– Nie ma sprawy. – Dziewczyna nawet się ucieszyła, bo było to nowe wyzwanie, a od dawna widziała, że przyjaciele są naciągani i okradani na wszystkich możliwych frontach i że nie nadają się do kierowania biznesem. – Czy mogę również koordynować dostawy? Bo wiesz, codziennie zamawiacie za dużo towaru, który następnie zabierają pracownicy. Nie wiem tylko, czy przymykacie na to oko, czy po prostu tego nie widzicie?

– Do tej pory nikt z nas nie zwracał uwagi na takie błahostki – przyznał Hans, zdziwiony przebiegłością młodej kobiety. – Przecież ciebie prawie nie ma w kuchni, więc jak na to wpadłaś?

– Kucharki, pomywacze i kelnerki przychodzą do pracy z pustymi rękami, a wychodzą z siatami. – Marysia uświadomiła właściciela. – Nieraz słyszę, jak brzęczą w nich butelki piwa czy wina, ale to nie była moja sprawa, więc się nie wtrącałam. Myślałam, że Junta jest taka szczodroblowa, a nie naiwna.

– To moja wina – przyznał się Hans. – Ona często wcześniej wracała do domu, do dzieci i matki, a ja zamykałem lokal. Niezły gapa ze mnie.

– Czy mam to ukrócić? – zapytała, już ostrząc sobie pazurki na bezczelnych złodziei.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny. Kochana jesteś.

– A mogę zwolnić połowę tych darmozjadów?

– Dlaczego?!

– Bo nic nie robią, objijają się po kątach, śpią w magazynku lub pod drzewkiem w ogrodzie. Tego też nie widziałeś?

– Nie. – Mężczyzna smutno pokręcił głową. – Ależ bezczelna nacja!

– To nie ich wina, tylko wasza, bo im na to pozwalaliście – zauważyła Marysia.

– Dobrze, jutro rano zrobimy spotkanie załogi i ustawisz sobie sprawy po swojemu.

Zgadzam się na wszystko, bo Junta naprawdę musi odpocząć. Może zabiorę ją gdzieś za granicę? Może czas, żeby pojechała ze mną do Danii i poznała moją rodzinę? – zastanawiał się na głos.

– A jeszcze tam nie była?

– Jakoś się nie składało. Zawsze mieliśmy coś ważniejszego na głowie, jak nie dzieci, to mamę, i cały czas tę restaurację, która ledwo co jest w stanie nas utrzymać. Co miesiąc dokładałam z konta, a chyba tak być nie powinno.

– Absolutnie! Taki wielki piękny lokal w centrum! Nie żartuj! Zobaczysz, jeszcze wyprowadzę wasz biznes na prostą – obiecała. – Potrzebny mi tylko nowy komputer i kasa fiskalna. Kupię też program do prowadzenia restauracji, wtedy będziemy wiedzieć, ile butelek wypili klienci, a ile dostało nóg. To samo tyczy się mięsa i owoców morza. Ogólnie rzecz biorąc – wszystkiego.

– Na Boga! Czemu wcześniej się tym nie zajęłaś?

– Nie chciałam się szarogęścić...

– Proszę cię zatem: szarogęść się! Rządź, zmieniaj, unowocześniaj, rób, co chcesz. Daję ci wolną rękę.

Marysia pierwsze, co zrobiła, to czystki wśród pracowników. Zwolniła połowę ekipy, zatrudniła nową kucharkę, bo stara była tak rozbestwiona, żeomalże nie pobiła dziewczyny, kiedy ta powiadomiła ją o nowych zasadach. Tym, którzy zostali, podniosła pensje, obiecując premie za dobrą pracę. Dzięki temu zabrali się za sprząatanie, przemeblowywanie i gotowanie z takim zapałem, że aż miło było patrzeć. Hans raz na jakiś czas zaglądał na górę i z rosnącym zdziwieniem obserwował kelnerki, które goniły z wiadrami wody, czyściły zaplamione stołowe blaty i rozkładały świeże obrusy. Wcześniej nie chciało im się nawet palcem ruszyć, nie mówiąc już o starciu rozlanej zupy czy piwa z podłogi. Ubikacja została dosłownie wydrapana grubą ryżową szczotką i zlana chlorem. W kafelkach można się było przejrzeć, a z podłogi niemal jeść.

Tuż przy barze w kąciu na wielkim nowym biurku Marysia rozłożyła swoje biuro. Stał

tam nowiutki komputer, na którym zainstalowano specjalne oprogramowanie, a drugi wraz z kasą fiskalną był na ladzie. Każda kelnerka musiała wbić do niego zamówione produkty, które sumowały się i automatycznie odliczały od towarów z magazynku, który najpierw został zdezynfekowany, a następnie odmalowany. Stały tam teraz wielkie lodówki, zamrażarki i regały, obok zaś były drzwi do małej chłodni, w której przechowywali warzywa i owoce. Nic nie miało prawa się zmarnować, nic nie wolno było wyrzucić i co najważniejsze: od teraz wszyscy pracownicy codziennie wychodzili z restauracji z pustymi rękami. Bez siatek, toreb czy worków.

Po miesiącu Marysia podliczyła dochód, a Hans i Junta wstrzymali oddech. Okazało się, że restauracja, pomimo licznych inwestycji, zarobiła ponad tysiąc dolarów.

– My się chyba do tego totalnie nie nadajemy. – Junta po raz pierwszy od śmierci Pravata uśmiechnęła się delikatnie. – Ja się nie nadaję – poprawiła.

– Coś ty! Potrzebujemy jedynie dobrego menedżera, ot co! – Hans żywo ją pocieszał, bo bał się, że jak żona załamie się na drugiej linii, to już nigdy nie wyjdzie z depresji.

– Kochani! Wy jesteście właścicielami i powinniście tylko liczyć kasę i kontrolować pracowników. A ludzie powinni na was harować. – Uświadomiła ich Marysia. – Ty, Junta, powinnaś odpocząć, zająć się dziećmi, mężem, gdzieś pojechać, a nie stać przy garach.

– Może masz rację – potaknęła kobieta i trochę się rozpogodziła.

– Zatem w końcu zrobimy sobie wakacje, a jak wrócimy, to ty dostaniesz wolne. –

Duńczyk był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. – W porządku?

– A kto będzie zapraszał gości do restauracji? – Junta nie chciała tak łatwo zrezygnować. – Nie mamy najlepszego położenia. Może i od ulicy, lecz na piętrze i trzeba się do nas wdrapywać po stromych schodach. Bez naganiacza ani rusz. I to nie może być jakaś tajska dziewczyszyna w kusej kiece i na piętnastocentymetrowych obcasach. My oferujemy lokal rodzinny dla cudzoziemców, a nie lokalny burdel.

– Już o tym pomyślałam. – Marysia cieszyła się, że uprzedziła obawy kobiety. – Do Kamali oprócz turystów z grubymi portfelami przyjeżdżają również młodzi ludzie, którzy przemierzają świat bez grosza przy duszy i muszą zarabiać pieniążki w każdym kraju, w którym się zatrzymają. Nazywają ich plecakowiczami. Śpią w najtańszych motelach czy hostelach, czasami wręcz na plaży czy ławce w parku bądź pod namiotem. Szukają pracy dorywczej, aby później móc ruszyć dalej. Udałam się więc do najtańszego pensjonatu w okolicy i zwerbowałam bardzo miłą parkę na najbliższy miesiąc. Będą pracować za dwieście dolarów i jeden posiłek dziennie. To chyba niedużo, prawda?

– A ja robiłem to bez forsy, za trzy posiłki dziennie i trochę seksu na dobranoc. – Hans udawał obrażonego. – Ale ze mnie frajer! – Wszyscy wybuchnęli spontanicznym śmiechem, ale zaraz spoważnieli, bo przed oczami stanął im jak żywy Pravat ze swoim zniewalającym uśmiechem i niewinnym, powłóczystym spojrzeniem. Tak bardzo im go brakowało!

Marysia coraz lepiej zarządzała lokalem. Nie dość że przychodziło do nich coraz więcej klientów, to dzięki pełnej komputerowej kontroli wzrosła wydajność produktów, nic się nie marnowało i nie znikowało, pieniądze zaś były coraz większe. Kobieta przypominała sobie o wszystkich chwytach reklamowych, które ją samą ciągnęły do zakupu jakiejś rzeczy czy pójścia w dane miejsce. Przerzucała gazety i strony internetowe, promowała ich restaurację on-line, a także we wszystkich większych hotelach, pensjonatach i kompleksach wypoczynkowych w okolicy, do których Nuh rozniosła małe ulotki i je zostawiła u koleżanek

pracujących na recepcji. Klient hotelu dostawał taką karteczkę na samym początku pobytu w Kamali, a jako premię za skorzystanie z restauracji Hansa Christiana Andersena już na miejscu otrzymywał piętnastoprocentową zniżkę. Był to strzał w dziesiątkę, bo jeśli ktoś przyszedł raz, to bardzo często zostawał stałym gościem już przez cały swój pobyt na wyspie. Powoli biznes zaczął się kręcić.

Pewnego razu, siedząc za swoim biurkiem przed komputerem, Marysia usłyszała miły cichy głos:

– Witam panią. – Znad kontuaru zobaczyła znajomą twarz, która pochylała się w jej kierunku. – Nadal pani tu pracuje? – Azjata mówił do niej po polsku, a ona wiedziała, że skądś go zna, lecz od natłoku ostatnich wydarzeń i tragicznych przeżyć nie mogła sobie przypomnieć skąd i jak ma na imię.

– Tak... – odparła niepewnie. – Ach, to pan był na stypendium w Polsce! – zawołała, zadowolona, że jednak pamięta. – Mieszkał pan w Rijadzie, potem nad Wisłą i na koniec wyjazd do Indonezji. Czyż nie tak?

– Mniej więcej. – Potwierdził mężczyzna ciepło. – Awansowała pani?

– Tak jakby. Właściciele niemal doprowadzili ten lokal do bankructwa, więc dali mi się pobawić w szefową. Powiedzmy, że spowolniłam upadek – zażartowała. – A jakie wiatry pana tu przywiały?

– Przywiążuję się do miejsc – odpowiedział niepewnie i zawstydzony opuścił wzrok. – Ale chyba ostatnim razem byliśmy na ty, nieprawdaż?

– Oczywiście! – Wyciągnęła rękę, a gdy poczuła dotyk jego gładkiej, miękkiej i ciepłej skóry, przeszedł ją dreszcz. – Marysia – przedstawiła się, licząc, że facet zrobi to samo, bo nadal nie była w stanie przypomnieć sobie jego imienia. *Totalna skleroza*, przeklinała w duchu swoje roztrzępanie.

– Karim. – W końcu wybawił ją z kłopotu. – Zjemy razem obiad czy jesteś zajęta?

– Szefostwo zawsze potrafi wygospodarować czas, więc z miłą chęcią. – Uśmiechnęła się serdecznie.

– Na tarasie?

– Dobrze, choć trochę się zmienił. Ciekawa jestem, czy ci się spodoba.

– Na pewno. – Zadowolony mężczyzna, trochę kulejąc, udał się w znanym kierunku. – Pięknie tu teraz. – Zachwycił się, wodząc oczami po całkowicie odmienionym miejscu. – Tyle zieleni i wielobarwne orchidee! Uwielbiam te kwiaty! Każdy rodzaj, a są ich setki, przyprawia mnie o zachwyty! Jak tylko jestem w jakimś azjatyckim kraju i idę do ogrodu botanicznego, nie jestem w stanie sobie odpuścić cieplarni ze storczykami.

– Ja też je kocham, co zresztą widać.

– Gdzie zamówiłaś te drewniane ażurowe parawany? Wiesz, że są bardzo w indonezyjskim stylu?

– W takim razie musi tam być ładnie.

– Jest niezłe, choć przez ten rok z haczykiem wiele nie zobaczyłem – wyznał ze smutkiem.

– Dlaczego? – zdziwiła się Marysia. – To podobno raj na ziemi! Tyle kultur, religii, plemion, języków. Ponad siedemnaście tysięcy wysp, które rozdzielają wody Oceanu Spokojnego i Indyjskiego, a każda inna pod względem kulturowym, krajobrazowym i religijnym. Słyszałam, że to największy muzułmański kraj na świecie, liczący około dwustu milionów wyznawców, co nie przeszkadza, żeby z islamem współegzystowały religie hinduistyczne i katolickie. Ty popatrz! W Arabii Saudyjskiej byłoby to nie do pomyślenia! – Była tak podekscytowana, że na policzkach wykwitły jej rumieńce.

– Skąd tyle wiesz o moim rodzimym kraju? – Karim był mile zaskoczony. – Byłaś tam kiedyś?

– Nie, ale kiedy się poznaliśmy, przeglądałam parę przewodników – wyznała i sama się sobie dziwiła, że tyle informacji utkwilo jej w pamięci, a imię tego miłego faceta nie. – Było mi trochę wstyd – szepnęła figlarnie – bo wiedziałam jedynie, że gdzieś tam pod równikiem jest wyspa Bali, ale byłam przekonana, że stanowi ona samodzielne państwo. – Z minką niewiniątka podniosła ramiona. – To ignorancja z mojej strony, wiem. A to przecież taki ogromny kraj! I te wyspy! Bali, Borneo, Celebes, Timur, Papua!

– Chciałabyś zobaczyć największy na świecie archipelag, rozciągający się wzdłuż ciągle aktywnego pierścienia ognia? – zapytał nieśmiało Karim.

– Pewnie! Jeszcze jak! – wykrzyknęła Marysia, bo jak powietrza potrzebowała zmian i wcale nie dziwiła się młodym ludziom, którzy z plecakami przemierzają świat. Sama też o tym skrycie marzyła, tylko ciągle brakowało jej odwagi, a przede wszystkim towarzystwa.

– To dla zachęty powiem ci jeszcze, że moja ojczyzna to największe sanktuarium flory i fauny na ziemi. Tropikalne lasy deszczowe pełne gigantycznych drzew, rajskich ptaków i naszych ukochanych niezwykłych orchidei sąsiadują ze szczytami pokrytymi wiecznym śniegiem lub ciągłym wulkanicznym pyłem.

– Widziałam zdjęcia wulkanu Bromo i Merapi, który nie tak dawno temu wybuchł i spowodował straty porównywalne do Pompei – powiedziała ze znanstwem kobieta. – Czy to prawda, że na jego zboczach stały osady i ludzie płonęli żywcem albo topili się w lawie?

– Niestety. – Karim ze smutkiem pokiwał głową. – Robiłem nawet transplantację skóry u małego pacjenta, który był tam podczas erupcji.

– Straszne! – Westchnęła, bo od razu pożałowała maluszka i współczuła mu cierpienia. – Ile miał lat?

– Wtedy dwa. Teraz ma już cztery i dzięki przeszczepom będzie mógł chodzić. A jak tam twoje dziecko? – Karim zapytał o sprawę, która najbardziej go interesowała.

– Tak, wszystko okej – odparła enigmatycznie, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

– Syn czy córka?

– Syn.

– Wynajmujesz do niego niańkę, kiedy jesteś w pracy, czy ktoś z rodziny ci pomaga? – Tak oszczędna odpowiedź mu nie wystarczyła, bo przyjechał tu specjalnie dla tej kobiety, której oczy wciąż śniły mu się po nocach. Musiał koniecznie dowiedzieć się więcej.

– Mój syn Adil jest ze swoim ojcem, bo jak ci ostatnio powiedziałam, rozwiedliśmy się, więc... Nie ma go przy mnie – wydusiła z siebie w końcu. – Czy tyle ci wystarczy?! – Jednak jej popędliwy arabski temperament wziął górę i na koniec się wściekła, bo nie podobała jej się nachalność i inwigilacja obcego faceta. – Czego ty w ogóle, do cholery, chcesz?! Po coś tu przyjechał?! Po co przyszedłeś do tej zasranej, zapyziałej restauracji?! – Wstała gwałtownie od stolika i ostro patrzyła na Karima spod ściągniętych brwi.

– Marysiu, przepraszam... – jąkał się jak sztubak, ale musiał odplacić kobiecie szczerością za szczerłość. – Przyjechałem tutaj nie dla brudnej miłośnicy zabitej dechami, nie dla zakażonych HIV-em małych kurewek... Jestem tutaj z twojego powodu – wyznał cicho.

– Że co? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale mężczyzna miał uczciwość wymalowaną na twarzy.

– Tak mnie zafascynowałaś, nasze losy są tak podobne. Oboje straciliśmy matki w dzieciństwie, żyliśmy w Saudi, w Polsce... I tak fajnie mi się z tobą gadało – tłumaczył się słabo.

– Ale przecież widziałeś, że jestem w ciąży.

– Mówiłaś jednak, że jesteś rozwódką, a mnie nie przeszkadza małe, niewinne dziecko. Lubię dzieci.

– Masz swoje?

– Nie.

– A nieślubne? – Teraz Marysia zaczęła go wypytywać.

– Nie! – wykrzyknął rozbawiony. – Mam jedynie zwichrowaną przeszłość i koślawą nogę po polio. Tyle. I cudowną mamę, którą dopiero teraz poznaję.

– No to ładne kwiatki! – Ostatecznie była zadowolona z tej niezwyklej i niespodziewanej adoracji i tego, że ten uroczy mężczyzna pojawił się w jej pustym beznadziejnym życiu, które tak bardzo pragnęła odmienić.

– Czy nie chciałabyś pojechać ze mną do Indonezji? – zaproponował ni stąd, ni zowąd. – Na rajski archipelag?

– Czy ja wiem?

– Bez zobowiązań. Pomyśl, że robisz sobie małe wakacje. – Nalegał, czule na nią spoglądając, a Marysia topniała pod jego wzrokiem.

– W sumie... Wakacje mi się należą... – Wahała się, choć pod wpływem zaskakującej propozycji i nowych wyzwania czuła, że krew szybciej krąży w jej żyłach.

– Chcesz czy nie chcesz, Marysiu? – Objął ją delikatnie i wyczekująco patrzył w oczy, przelewając na nią całe swoje uczucie.

– Dobrze, czemu nie – odpowiedziała, biorąc swój los we własne ręce i odmieniając go w ciągu jednej sekundy. – Pojadę z tobą, Karimie.

– Widzisz, tak bałaś się przyjazdu Karima i zwierzeń przed nim, a on nie mógł wyrwać się ze szpitala. – Meila powolutku przemierza plantację herbaty, mocno trzymając Marysię pod rękę.

– W sumie szkoda.

– Dzisiaj rano dzwonił i usprawiedliwiał się. Musisz mu wybaczyć, taką ma pracę – tłumaczy syna matka. – W zasadzie to nie praca, ale służba.

– Wiem, sama chciałam być lekarką, ale chyba się nie nadaję. – Marysia wzdycha ciężko.

– Bzdura! Jeszcze możesz spróbować. Młoda jesteś. Nie rezygnuj z marzeń, kochana.

– Pomyślę o tym.

– Karim po prostu działał w różnych krajach i teraz ma pacjentów tak w Polsce, gdzie ratował ich, robiąc specjalizację, jak w Arabii Saudyjskiej i tutaj. Śmiał się, że będzie się musiał sklonować, i to co najmniej ze dwa razy.

– Nawet chorzy z Polski chcą jego pomocy? – dziwi się młoda kobieta. – Przecież tam mają dość swoich specjalistów.

– Ale mój syn jest najlepszy – chwali się dumna matka. – A ty nie myślałaś, żeby odwiedzić swoich krewnych? Utrzymujesz z nimi jakiś kontakt? – indaguje delikatnie.

– Tak, tak... Czasami łączymy się na Skypie, ale tak naprawdę nie mamy już z sobą wiele wspólnego.

– Jak to? Nie masz wiele wspólnego z matką? Moja droga! Nie odsuwaj się od niej, tylko dlatego że skrzywdził cię los. Ty straciłaś dwójkę dzieci, jedno bez swojej winy, a drugie z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie oskarżaj jej o swoje nieszczęścia czy niepowodzenia. Matka jest jedna, a ty chcesz ją ponownie utracić? – Teraz Meila mówi już ostrym, karcącym głosem, a Marysia spuszcza głowę. – Czy wiesz, co ona biedna musi tam przeżywać?

– Jestem już dorosłą kobietą, a dorośli ludzie wychodzą z domu i prowadzą własne życie – ripostuje z uporem.

– Wypinają się dupą na rodzinę, bo są dorośli?! – Indonezyjka aż staje w miejscu. – Takie zachowanie nazywasz dojrzałością? A może raczej kamiennym serduszkim?

– Sama muszę decydować o swoim życiu.

– Ale dlaczego odcinać się od najbliższych? Czym ci zawinili? W czym ci przeszkadzają?

– Czy ty nie nawiązałaś przypadkiem kontaktu z moją mamą? Czuję się, jakbym jej słuchała. – Marysia staje się wroga i żałuje, że tyle opowiedziała o sobie tej w sumie obcej kobiecie.

– Każda matka odczuwa tak samo. Przemyśl sobie swoje postępowanie, moja droga, i nie złość się na mnie za szczerość.

Resztę trasy pokonują w milczeniu, każda oddając się swoim rozmyśleniom. *Ona na pewno ma rację, przyznaje w duchu Marysia. Ale ja znów nie wiem, jak wykonać ten pierwszy krok. Kolejny raz dźwigam na swoich plecach cały wór tajemnic. Boże, jak z tym żyć? Jak to rozwiązać?*

– Masz. – Po powrocie Meila wręcza Marysi swojego iPhone'a. – Zadzwoń i gadaj, jak długo zechcesz. Mam abonament i setki minut na darmowe rozmowy. – Usta jej się śmieją, ale oczy są poważne i smutne. – No dalej, nad czym tak dumasz? – pyta podenerwowana.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć. – W oczach młodej kobiety błyszczy panika.

– Najlepiej od przywitania. – Z tymi słowami Meila wychodzi z salonu, a Marysia wybiera tak dobrze znany sobie numer.

– Cześć, mamó – mówi słabym głosem. – To ja...

– Córeczko kochana! Jak dobrze, że dzwonisz!

70 Zen (japoński) – medytacja, nurt buddyzmu, który w pełni rozwiniętą formę uzyskał w Chinach, skąd w VI w. ewoluował na kraje płd. Azji, szczególnie Wietnam, Koreę i Japonię. Podstawą tej szkoły jest poddawanie się medytacji, która prowadzi do poznania swojej prawdziwej natury.

71 *What the fuck?* (angielski, wulg.) – Co do kurwy nędzy?

72 *Tom yum* (tajski) – najbardziej znana tajska potrawa zarówno w samej Tajlandii, jak i poza nią; pikantna zupa przeważnie gotowana na krewetkach z trawą cytrynową i mlekiem kokosowym; można przyrządzać ją również z kurczaka; je się ją z ryżem z parowaru lub makaronem ryżowym.

IV

CUDA SIĘ ZDARZAJĄ

ODNALEZIONA ZGUBA

- Panie doktorze – Dorota mówi słabym głosem albo połączenie telefoniczne jest kiepskie i źle słyhać. – Czy mogłabym mieć do pana prośbę?
- Ależ oczywiście! – odpowiada życzliwie Karim, bo bardzo lubi tę pacjentkę. – Jak się pani czuje? Jak wyniki? Wszystko w porządku?
- Tak, tak... to nie dotyczy mojego zdrowia.
- A czego, moja droga?
- To sprawa osobista.
- Tak? – dziwi się lekarz, bo z Polką nigdy nie był na prywatnej stopie. – Zatem słucham.
- Wiem, że ma pan saudyjskie obywatelstwo i zapewne mnóstwo znajomości w tym kraju.
- Tak. Wystąpiłem wprawdzie o indonezyjskie, ale to potrwa. Oni działają podobnie do Arabów. Długo i bezskutecznie – śmieje się.
- To w sumie w tym wypadku dobrze.
- Zgadzam się. Mam mnóstwo pacjentów rozsianych po całym świecie, tak w Polsce – słyhać rozbawienie, bo przecież mówi o Dorocie – ale najwięcej w Saudii. Ciężko mi ich zostawić, bo zwykle chcą kontynuować leczenie u lekarza, u którego zaczęli.
- To zrozumiałe – przyznaje Dorota. – Ja też uczepliłam się pana doktora jak rzep psiego ogona.
- Dlatego nie przyspieszam procedur, choć moja matka twierdzi, że za łapówkę w Indonezji można załatwić wszystko.
- Wracając do mojej prośby... Zatem jeździ pan jeszcze czasami do Rijadu?
- Wybieram się tam w przyszłym tygodniu. Coś pani przywieźć? Coś kupić? Wysłać? – dopytuje uprzejmie, bo wie, że cudzoziemcy często po latach pobytu nie mogą się obyć bez arabskich dań, przypraw czy ciasteczek. – Baklawę⁷³? Tahinę⁷⁴?
- To trochę poważniejsza rzecz... – Dorota zawiesza głos. – Może wyjaśnię w mailu?
- Oczywiście. Rozumiem, że lista będzie długa. – Lekarz dowcipkuje beztrzesko, ale po drugiej stronie nie słyzy już odzewu. *Chyba ma kolejne przerzuty*, dochodzi do smutnego wniosku. *Boże, ile ta kobieta zdoła jeszcze wytrzymać?* Wzdycha ciężko, bo nie jest typowym współczesnym medykiem z zawodową znieczulicą i przejmuje się każdym swoim pacjentem.
- Jakiż miły facet z tego Karima*, po raz kolejny stwierdza Dorota. Że też moja Marysia nie mogła sobie takiego znaleźć. Chociaż Hamid też był porządnym człowiekiem, ale to jego pochodzenie i obsesja walki z terroryzmem nie wyszły mu na dobre. No cóż! Ja, póki jeszcze żyję i mam trochę sił, muszę sfinalizować przynajmniej to jedno zadanie. Jedno, a zarazem najważniejsze. Muszę to zrobić dla mojej ukochanej krnąbrnej córki.
- Bierze iPada, wychodzi do ogrodu, siada pod ulubionym orzechem Marysi i zaczyna pisać:
- „Drogi Panie Doktorze. Nigdy nie Panu o sobie nie mówiłam, bo przecież nie można lekarza nadmiernie obciążać swoimi osobistymi problemami – dość ma kłopotów z utrzymaniem nas, pacjentów, przy życiu. Panu nadal się to w moim wypadku udaje. Jednak mam jedną sprawę, którą póki sił, chciałabym rozwiązać. Moja córka Marysia jest pół Polką, pół Arabką, a na dokładkę miała męża Araba. Porwano mi ją, kiedy była dzieckiem, ale po latach

jakimś cudem odnalazłyśmy się w Rijadzie. Byłyśmy tam całkiem szczęśliwe, do czasu kiedy w naszej rodzinie wydarzyło się kolejne ogromne nieszczęście. Córeczka Marysia, Nadia, została uprowadzona w Tajlandii, gdzie moja córka wraz ze swoim eksmężem była na wakacjach. Poszukiwania dziecka były zakrojone na szeroką skalę, ale zakończyły się fiaskiem. Ja wróciłam do Polski, a Marysia już po rozwodzie mieszka w Azji, licząc, że odnajdzie tam swoje dziecko. Teraz przejdę do meritum. Doktorze Karimie, jestem na sto dziesięć procent przekonana, że nasza malutka Nadia jest w Polsce, i to na sąsiednim osiedlu w Gdańsku. Codziennie przychodzi na skwer z Arabką, która wprawdzie nie nosi abai, ale wygląda mi na Saudyjkę. Mała ma oczy identyczne jak ja, tak w kształcie, jak i kolorze. Proszę mi powiedzieć, czy jest taka genetyczna możliwość, żeby dwójka rodziców, Arabów, Saudyjczyków miała dziecko o jasnoniebieskich oczach? Jej »matka« wkłada jej zawsze jakieś nakrycie głowy, ale jak to z dziećmi bywa, raz podczas zabawy czapeczka spadła z małej główki dziewczynki i zobaczyłam, że jej czarne włosy są farbowane. Dziecko ma rudoblond odrosty. Do tego momentu sama je obserwowałam, ale wtedy zatrudniłam już detektywa. Mam informację o tym saudyjskim małżeństwie, chciałabym jednak zweryfikować je w Arabii. Przede wszystkim, ile lat są po ślubie, bo mają jeszcze drugie dziecko, chłopca, którego ona urodziła w Polsce. Ale czy mają gdzieś w aktach córkę? Prawie trzylatkę? Potwierdzenie tego faktu wyjaśniłoby moje podejrzenia i rozwiało wątpliwości. Mężczyzna jest na stypendium doktoranckim na naszej gdańskiej politechnice. Wcześniej kończył informatykę na Uniwersytecie Warszawskim, więc to nie są jego pierwsze zagraniczne studia. Ona nazywa się Hanifa bint Abdurahman, a on Abbas Aburiza. Pochodzą z Madain Saleh. Przepraszam, jeśli proszę o zbyt wiele, jeśli ingeruję w prywatność Pana Doktora, ale jest to dla mnie sprawa życia i śmierci. Aktualnie nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić w Arabii Saudyjskiej, i dlatego ośmielam się prosić o to Pana. Ja próbowałam odszukać moją córkę przez kilkanaście lat i nigdy się nie poddałam, a teraz sytuacja się powtarza. Czasami ludzie po prostu muszą się sami odnaleźć, wpaść na siebie przez przypadek i liczę, że to jest właśnie taka sytuacja. Chcę, żeby moja nieszczęsna Marysia odzyskała swoje dziecko. Z góry dziękuję za zainteresowanie i okazaną życzliwość”.

Karim po otwarciu maila od swojej pacjentki z Polski zamiera. Zapomina oddychać, przełykać ślinę, mrugać. Nie może uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Czyżby świat rzeczywiście był tak mały i stał się jedną wielką globalną wioską? Marysia... jego ukochana Marysia... Dorota, jej matka, a jego pacjentka... Abbas... ten młody Abbas, którego pamięta z Warszawy, jak bał się wyjść na miasto, bo był tak straszliwie zagubiony. Ten sam Abbas, na którego ślubie był półtora roku temu. Półtora roku temu! Hanifa nie mogła być w ciąży ani mieć żadnego innego dziecka! On też nie! Nie w Madain Saleh, bo ona zostałaby ukamienowana, i to przez swojego ortodoksyjnego tatusia, a jemu zapewne ścięliby głowę.
Muszę lecieć do Rijadu, i to natychmiast!

„Szanowna Pani Doroto. Tak się składa, że znam Abbasa jeszcze z mojego pierwszego pobytu w Polsce, a jego młodą żonę z ich wesela. Wprawdzie wiele wtedy nie widziałem, bo cała była zakryta i oczywiście nie mogłem jej nawet podać ręki, ale wydawała się miła z głosu i bardzo szczęśliwa. To są uczciwi ludzie i nie mam pojęcia, jakim cudem miałyby się u nich znaleźć Pani wnuczka. Proszę nie podejmować żadnych gwałtownych kroków i poczekać na mnie. Jutro lecę do Rijadu, a za trzy dni będę w Polsce”.

Dorota, po przeczytaniu odpowiedzi, jest zszokowana takim zaangażowaniem, ale tłumaczy to sobie dobrym sercem doktora i męską przyjaźnią.

„To może mógłby Pan jeszcze zdobyć akt urodzenia Nadii? Tak na zaś. Urodziła się 20 lutego 2012 roku w szpitalu Hammadi w Rijadzie. Moja Marysia figuruje tam jako Miriam Ahmed Salimi. Dziękuję”.

Nie podaje nazwiska ojca wnuczki, żeby mężczyźnie wychowanemu w tradycji szariat u nie wpadło do głowy coś niedobrego. *Lepiej wziąć go z zaskoczenia*, postanawia.

Karim natychmiast dzwoni do ojca i prosi o pilne przygotowanie wszystkich dokumentów dotyczących Hanify bint Abdurahman oraz Abbasa Aburizy, wiedząc, że Komisja do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom, której od lat szefuje Fajsal, posiada teczki na wszystkich obywateli w Królestwie. Potem wykonuje jeszcze jeden telefon – do zaprzyjaźnionej doktor Singh, która pracuje w szpitalu Hammadi od ponad dziesięciu lat, i prosi ją o przysługę. Kobieta, słysząc imię dziecka, datę jego narodzin i dane Marysi, milczy przez dłuższą chwilę, ale nie może odmówić lekarzowi, który uratował jej życie. Karim na koniec usprawiedliwia się przed swoją ukochaną partnerką nagłym czterdziestoosmiodzinnym dyżurem w szpitalu i wysyła ją do Tugu wraz ze swoją matką, twierdząc, że kobiety jeszcze wiele mają sobie do opowiedzenia. Na koniec wykupuje bilet i leci do Rijadu. Pierwsze kroki kieruje do domu ojca.

– *Salamu alejkum!* – Stęskniony Fajsal rzuca mu się w objęcia i mężczyzna, pomimo zadawnionego żalu do ojca, znów utwierdza się w przekonaniu o jego wielkiej miłości.

– *Alejkum as-salam, baba*⁷⁵. – Poklepuje go po zgarbionych, chudych plecach.

– Mam dla ciebie wszystko, o co prosiłeś, ale najpierw siądziemy i napijemy się *szaju*⁷⁶. – Wprowadza syna do salonu, a później na ocieniony taras, na którym w kącie stoi wielki klimatyzator, chłodzący zarówno to piękne miejsce, jak i Rijad.

– Jak życie w Azji? – pyta Saud. – Lepiej niż tutaj? – Podśmiechuje się ironicznie, bo przecież zna odpowiedź.

– Tak, tato, dużo lepiej. Przede wszystkim mam większe pole do popisu jako lekarz – mówi Karim, a Fajsal słucha z zaciekawieniem. – Tam ludzie, zamiast udać się do szpitala, nadal korzystają z usług czarowników i uzdrowicieli.

– Czyli nic się nie zmieniło od czasów, kiedy tam byłem. – W głosie staruszka brzmi sentymentalna nuta. – Wiesz, tak się zastanawiam, że może zamieszkałbym tam na emeryturze – przyznaje się do swoich marzeń.

– W Tugu? – dziwi się syn.

– Coś ty! Wyrosłem z sentymentów do przebywania w muzułmańskich miejscach, choć to miasteczko na pewno zmieniło się i unowocześniło. Dziś już nikt nie sprzedałby mi żony za worek ryżu – kpi, a Karimowi jest smutno, że tak tanio przehandlowano cnotę jego matki. – Słyszałem o wyspie Bali. To ponoć raj na ziemi – wzdycha, przymykając oczy.

– I owszem. Mama ma tam swoją willę i kompleks hotelowy, więc miałbyś się gdzie zatrzymać. Tylko nie wiem, czy byłoby cię stać na jej resort. – Śmieje się ironicznie, bo gniew na ojca chyba nigdy go nie opuści.

– Synku, coś bym może uciulał... A twojej matce powiedz, że jestem z niej dumny. Zawsze miałem świadomość, że to niezwykła kobieta. – Fajsal zamyśla się. – Obawiam się jednak, że nie chciałaby mnie widzieć. Kiedyś byłem niezłym draniem.

– Wiem – potwierdza syn i już chce wstać i wyjść, kiedy służący wnosi typowy arabski lunch: placki chlebowe, humus, pastę z bakłażana, sałatkę z pietruszki i kuskusu oraz grillowane szaszłyki. – Och! – niecierpliwi się Karim.

– Chyba nie odmówisz poczęstunku? – Stary Saud smutno zaprasza, wskazując dłonią apetyczne potrawy.

– No dobrze – wzdycha syn.

Mężczyźni jedzą w milczeniu, rozkoszując się każdym kęsem przepijanym to wodą, to zieloną herbatą z miętą.

– Po co ci te papiery? – pyta w końcu Fajsal. – Ludzie są czyści jak łąka.

– Mam nadzieję. Ale istnieją pewne podejrzenia, które muszę rozwiać. Pa, starszku. – Mężczyzna pochyła się nad ojcem, całuje go, bierze teczkę z dokumentami i wychodzi.

Przerzucając kartki, potwierdza swoje informacje. Ślub był półtora roku temu i nigdzie w aktach nie widnieje córka, czy to rodzona, czy adoptowana. Zaraz potem wyjechali do Polski, ale wcześniej zatrzymali się na parę miesięcy w jego willi na osiedlu Alhambra. Pamięta podenerwowany głos Abbasa, kiedy prosił go o klucze. Cóż... nie wyruszyli z domu z Madain Saleh, lecz stąd, z Rijadu. *Czemu?* Na to pytanie nie zna jeszcze odpowiedzi.

W szpitalnej kafeterii już czeka na niego Hinduska.

– Witam, doktor Singh. – Karim kłania się uprzejmie.

– Bardzo mi miło, doktorze Al-Hidżazi – odpowiada śniada kobieta w lekarskim uniformie z siateczką zasłaniającą włosy.

– Jak się pani czuje?

– Bardzo dobrze. Wyciął pan wszystko do zdrowej tkanki i do tej pory nie ma przerzutów – oznajmia rzeczowym, lekarskim tonem.

– Doskonale. A czy udało się... – Mężczyzna przechodzi do sedna sprawy.

– Tak, oczywiście. – Hinduska ściska w ręce akta. – Proszę mi jednak powiedzieć, po co to panu? Nie powinnam ujawniać tych informacji, bo nie jest pan z rodziny. Dopuszczam się przestępstwa!

– Pani doktor... koleżanko... – Karim nie wie, jak wytłumaczyć kobiecie skomplikowaną sytuację, nie wychodząc przy tym na idiotę lub intryganta.

– Czy wie pan, co się stało z tym dzieckiem? – Singh nie wytrzymuje.

– Tak. Zostało porwane.

– Znam matkę i babcię Nadii i pamiętam, jak one to przeżywały. To straszliwa tragedia.

– Ja również znam Miriam – specjalnie używa arabskiej wersji imienia przyjaciółki. – Aktualnie jesteśmy partnerami. – Słyszac to, lekarka robi wielkie oczy. – Powiedzmy, parą... kochankami... Mieszkamy w Indonezji i planuję się z nią związać.

– Okej, okej, rozumiem. – Kobieta uspokaja mężczyznę, który nie wie, jak ma nazwać swój związek, bo w Saudii nie ma określenia na kontakty pozamałżeńskie, poza tym, że to przestępstwo i grzech.

– Dorota zaś jest moją polską pacjentką – wyjawia kolejny szczegół.

– No i? – Lekarka, coraz bardziej zainteresowana, poprawia się na krześle.

– Babcia twierdzi, że odnalazła porwane dziecko, a Miriam o niczym jeszcze nie wie, bo jakby się okazało, że to fałszywa poszlaka, cierpiałaby od nowa.

– I pan teraz chce potwierdzić przypuszczenia Doroty?

– Właśnie. – Karim aż się spocił, bo łamał sobie głowę, jak ująć w słowa niejasną sytuację i pokrętny plan. – Jeszcze dziś wieczorem lecę do Polski.

– W takim razie dobrze, że wydobyłam z bazy danych szpitala jeszcze inne istotne informacje. – Udobruchana Hinduska jest teraz zadowolona z siebie. – Oto badania DNA, grupa krwi i wzmianka o małym zabiegu chirurgicznym, który Nadia u nas przeszła. – Otwiera folder i przerzuca papiery.

– Jaki to zabieg? – Doktor wie, że to jest dowód nie do podważenia.

– Nic takiego, parę szwów na główce, bo przecięła skórę w czasie zabawy, ale że miało to miejsce nie tak dawno temu, to powinien być jeszcze ślad.

– Genialnie! Ogromnie dziękuję! – Chciałby wyściskać miłą lekarkę, ale wie, że nie może nawet podać jej dłoni. *Co za kraj!*, myśli i dziękuje Bogu, że jednak przeniósł się w końcu do swojej tolerancyjnej ojczyzny.

– Niech pan koniecznie napisze, czy udało się wam odnaleźć dziecko. Ogromnie lubiłam całą trójkę: Miriam, Dorotę i cudną błękitnooką Nadię.

– Oczywiście! – obiecuje Karim, wychodząc. – I zapraszam do nas na archipelag. Wycieczki na Bali są coraz bardziej popularne.

– Nie omieszkam. – Kobieta na pożegnanie kiwa ręką i aż promienieje. *Oby im się powiodło! Oby odnaleźli swoją małą zgubę! Wyroki boskie są nieodgadnione*, myśli i przytyka czubki palców do ust, a następnie całuje je, okazując tym samym ufność Allahowi i głęboką wiarę w niego.

– Pani Doroto, bardzo proszę o spokój. Idę z panią i wspieram w bardzo delikatnej kwestii, a ci dobrzy ludzie to moi przyjaciele, więc nie chciałbym ich stawiać pod ścianą i od razu oskarżać. Albo nie daj Bóg wsadzić do więzienia! – Karim, znając już zapalczywy charakter swojej pacjentki, usiłuje nad nią zapanować. – Niech im pani najpierw pozwoli się wypowiedzieć. Może jest pani w błędzie, a wtedy zbłaźnimy się, posądzając niewinnych ludzi o straszny czyn.

– Mamy włos małej i próba wykazała, że jest farbowany, naturalnie w kolorze rudozłotym, DNA zaś wykazuje pokrewieństwo z panią Dorotą. – Asystujący detektyw twardo stoi po stronie swojej klientki. – To są skurwysyńskie Arabcy, islamscy terroryści i porywacze! – ryczy, a mijający ich ludzie oglądają się i wykrzywiają z dezaprobatą.

– Czy zawsze w ten sposób prowadzi pan śledztwo? – Karim nie wytrzymuje i staje w miejscu. – Czy nie zna pan sztuki inwigilacji, zbierania dowodów, przesłuchania świadków, poszkodowanych i oskarżonych?! – ostro zaakcentował ostatni wyraz. – Z góry obwinia pan ludzi, bo są Arabami?! Muzułmanami?! Porwane dziecko też było arabskie, no nie? Więc co tu mają do rzeczy islamscy terroryści? Mała nosiła nazwisko Bin Laden, jeśli chodzi o ścisłość. – Patrzy poważnie Dorocie w oczy, a ona czuje się winna, że wykorzystując zaprzyjaźnionego mężczyznę, nie wyznała mu wszystkiego.

– Przepraszam... – zwraca się do doktora.

– Za co pani przeprosza? – włącza się detektyw, który okazuje się rasistowskim zwykłym chamem. – To pani wnuczka, więc płynie w niej również chrześcijańska krew!

– Zamknij się pan! – wykrzykuje oburzony Karim, bo nerwy ma już napięte jak postronki, a wrednego ograniczonego faceta nie jest w stanie znieść.

– Niech się pan zamknie albo w tej chwili płacę panu za dotychczasową usługę i wypierdala pan stąd w podskokach! – Dorota okazuje się twardą babą. Nie ma zamiaru zniweczyć długich miesięcy swojego ostrożnego śledztwa. – Jak ich spłoszymy, to wyjadą stąd nie wiadomo dokąd i tyle będę widziała moją wnuczkę. Rzeczywiście istnieje taka możliwość, minimalna, ale zawsze, że ta dziewczynka nie jest naszą Nadią, i jeśli napadniemy na nich, to my będziemy zbrojnymi, bo skrzywdzimy Bogu ducha winnych ludzi. Więc niech pan już, do cholery, będzie cicho, i nie odzywa się nieproszony!

– Dobra... – Mężczyzna wbija wzrok w ziemię i sunie za swoją pracodawczynią noga za nogą.

Arabscy to sami terroryści i porywacze, podsumowuje w duchu Polak. *Nikt mi nie powie, że jest inaczej. A ten tutaj też jakiś ciapaty jest*, krzywo patrzy na Azjatę.

Karim czuje przez skórę nacjonalistyczne nastawienie śledczego. Gorzej Dorota detektywa wybrać nie mogła, stwierdza, ale to już musztarda po obiedzie. Jednak dzięki temu szpiclowi mają adres rodziny Aburiza, ich numery telefonów, konta mailowe, profile na Facebooku i Twitterze. A co najważniejsze – mają kserokopie ich paszportów. Wszystkich

paszportów.

– *Salamu alejkum*. – Karim z duszą na ramieniu stoi w drzwiach mieszkania swojego starego przyjaciela. – Jak się masz? – pyta serdecznie.

– *Wallahi! Sadiki77! Alejkum as-salam*. – Uśmiechnięty Abbas otwiera na oścież drzwi. – Wchodź do środka! Wprawdzie ubogo, ale zawsze na swoim – mówi sympatycznym głosem i zapraszająco wskazuje drogę.

– Mogę z moimi znajomymi? – pyta Karim, a Abbas nie odmawia, choć trochę się dziwi. – Oto moja pacjentka, Dorota. A to jej znajomy. – Szpicel sznuruje usta i nie zamierza podać ręki.

– Siadajcie. – Abbas jest trochę zaskoczony, ale jego twarz nie wyraża obawy czy podejrzenia. – Żona wyskoczyła z dziećmi do sklepu, ale nastawię wodę i zaraz zrobimy herbatę. – Szybkim krokiem zmierza do małej kuchenki.

– Co słyhać? – woła za nim Karim. – Jednak wyjechałeś na te studia doktoranckie.

– Tak, udało się – przyznaje gospodarz. – Wprawdzie nie do Warszawy, ale Gdańsk to też piękne miasto. A co u ciebie?

– Teraz mam już pacjentów w Polsce – Karim skłania głowę w stronę Doroty – w Saudi i w Indonezji. Chyba się rozerwę – śmieje się sztucznie.

– A co cię do mnie sprowadza? – pyta Abbas, bo ciekawość jednak bierze górę. – Skąd masz mój adres? I czemu przyprawiasz do mnie obcych ludzi?

W tym momencie słyhać przekręcany w zamku klucz i dźwięk otwieranych drzwi.

– *Habibti78*, pomóż mi! – Z korytarza rozlega się miły kobiecy głos. – Ręce mi się urwą! Znowu za dużo nakupiłam.

Po chwili do pokoju wbiega mała okrągłutka dziewczuszka, patrzy po twarzach zebranych i bez strachu, stojąc na środku niewielkiego saloniku, ściąga z siebie kurteczkę i zrywa czapkę. Potem klapie na podłogę i mocuje się z bucikami. Dorota siedzi na kanapie, wyprostowana jak struna, i patrzy na swoją wnuczkę. Teraz jest już w stu procentach pewna, że to ona, bo po raz pierwszy jest tak blisko dziecka. Mała ma dwucentymetrowe jasne odrosty i oczy identyczne jak oczy jej babci. Karim także dostrzega miodową karnację małej, niesforne loki i semicki nos, tak podobny do nosa jego Miriam. Dziewczynka ma nawet ten sam tik ściskania ust.

– Ojej! To ta baba, o której ci mówiłam! – Przerazona Hanifa stoi w progu salonu. – Co ona tu robi? Czego chce? Ciągłe obserwuje mnie i Hanę! Chce zrobić krzywdę naszemu dziecku! – Zaczyna głośno zawodzić, na typowo arabską modłę.

– O co tutaj chodzi, Karim? – Gospodarz już całkiem pobladł. – Czegóż ty u mnie szukasz, na Boga?!

– *Wallahi!* Właśnie znalazłem, Abbasie – mówi przyjaciel przez zaciśnięte gardło. – Czy nie widzisz podobieństwa między moją znajomą a tym dzieckiem? Nie chciałem w to uwierzyć, bo znałem cię jako uczciwego, dobrego człowieka, ale teraz nie mogę już zaprzeczyć.

– O czym ty mówisz? Jakie podobieństwo? Wszyscy Polacy mają jasne oczy, ale i w genach arabskich zdarzają się takie figle – tłumaczy niepewnym głosem, mocno ściskając dłoń roztrzęsionej żony.

– Może i się zdarzają, ale w Syrii, Egipcie, Libanie, wszędzie tam, gdzie kolonialisci zostawili swoje nasienie. Nie powiesz mi, że to było możliwe w Królestwie Arabii Saudyjskiej! W naszym ortodoksyjnym miasteczku Madain Saleh, gdzie ojciec Hanify jest nie tylko zwykłym policjantem, ale również stróżem prawa religijno-obyczajowego.

– To nasze dziecko... Hana jest nasza... – Słabym głosem upiera się Saudyjka, ale łzy leją się już strumieniami z jej oczu.

– Nie wiem, o czym mówisz, Karimie, ale proszę cię uprzejmie, żebyś opuścił mój dom razem z całą swoją ferajną. – Abbas wskazuje palcem drzwi. – Od tej chwili nie nazywaj się już moim przyjacielem.

– Jeśli nawet popełniście błąd, to lepiej się do niego przyznać. – Azjata ani drgnie, a Dorota nadal nie spuszcza wzroku ze swojej wnuczki. Znajduje na kanapie lalkę, bierze ją do ręki i podsuwa w kierunku dziewczynki, a ta ufnie spogląda na obcą panią.

– Chodź do babci, Nadiu – mówi do małej po arabsku, bo zdaje sobie sprawę, że dziecko nie pamięta ani słowa po polsku.

Kruszynka, widząc swoją ulubioną zabawkę, robi dwa kroczyki w stronę nieznannej blondyny i wyciąga rękę. Na jej pulchym nadgarstku widnieje złota bransoletka ze zwisającymi z niej breloczkami w kształcie postaci z bajek Disneya.

– Ty jej to kupiłaś?! – Dorota robi się biała jak ściana. – To też jest twoje?!

Dłużej Arabka nie jest już w stanie kłamać. Zatyka tylko usta ręką i wydaje z siebie cichy żalony jęk, Dorota zaś czuje, jakby niewidzialne kleszcze chwyciły ją za serce, i pada na podłogę.

– Pani Doroto! Pani Doroto! – Karim pochyla się nad swoją pacjentką, rozpina jej bluzkę i usiłuje poluzować stanik. – Wody! Prędko przynieście zimnej wody!

Jako dobry lekarz ma zawsze z sobą zestaw do reanimacji, więc prędko wyciąga strzykawkę i robi kobiecie zastrzyk, a następnie przy pomocy przestraszonych mężczyzn delikatnie kładzie ją na kanapie. Przez rozchyłony dekolt bluzki widzi delikatny szew na jednej piersi, a na drugiej mocno zarysowany rumień. Odchyła stanik i jego podejrzenia się potwierdzają. Nowotwór zapalny – od razu stawia diagnozę, bo wprawne oko onkologa nigdy dotąd go nie zawiodło. *O mój Boże!*, żałuje kobiety, bo wie, że to jeden z najgroźniejszych raków, które od razu są kwalifikowane do grupy trzeciej. *Muszę jej pomóc!*

– Przepraszam... – Po chwili Dorota budzi się z omdlenia. – Zawsze tylko sprawiam kłopoty. – Drżącymi palcami szybko zapina bluzkę i spoziera na swojego doktora. Rozumieją się bez słów.

– Proszę się tak nie denerwować, proszę pani – mówi Abbas, mocno przestraszony całą tą sytuacją.

– Pokażę wam coś na dowód, że nie zwariowałam. – Dorota wyciąga z torebki sporych rozmiarów zdjęcie przedstawiające Marysię i Hamida, trzymających na rękach półtoraroczną Nadię. Dziewczynka zabawnie położyła rączkę na buzi swojej mamy, tak że na pierwszym planie widnieje jej złota bransoletka. – Kupili jej to cacko w Tajlandii, skąd została porwana.

– Myśmy tego nie zrobili – wyznaje w końcu Abbas. – Myśmy zostali w to wplątani, ot co!

– W życiu nie byliśmy w Tajlandii – dołącza do niego żona. – Nasze małe szczęście znaleźliśmy w Rijadzie i nic nie wiedzieliśmy o porwaniu. – Bierze na kolana przestraszoną przyszywaną córeczkę i mocno tuli.

– Wiedziałem, że z tą księżniczką będą kłopoty. Od początku nie chciałem się z nią zadawać, ale Hanifa uważała, że mamy wobec niej dług.

– Jaką księżniczką? – Dorota sączy zimną wodę małymi łydkami.

– Saudyjską oczywiście.

– Jak miała na imię?

– Lamia.

– To ta diablica z piekła rodem, co ukradła oszczędności mojej córki i sponsorowała terroryzm – szepcze Dorota. – Co za wiedźma!

– A nie mówiłem, że wszystkie Arabusy to terroryści?! – Detektyw, który po angielsku

rozumie piąte przez dziesiąte, odzywa się po raz pierwszy.

– Chciałabym już podziękować panu za współpracę. – Dorota wyciąga portfel i odlicza cztery tysiące złotych. – Będziemy teraz omawiać jedynie prywatne, rodzinne sprawy, więc pana obecność w naszym gronie nie jest już pożądana. – Wręcza mu plik pieniędzy i pokazuje drzwi. Facet się nie wyklóca, bo dostał wynagrodzenie z nadwyżką; ostatni raz spogląda na zebranych lekceważącym wzrokiem i wychodzi, trzaskając drzwiami. – Skąd znacie Lamię? – Dorota zwraca się do gospodarzy, którzy patrzą na nią z głębokim szacunkiem, widząc w niej osobę sprawiedliwą.

– Odbywała w naszej miejscowości swoją fatwę – mówi Hanifa, a mała Nadia usypia bezpieczna na jej rękach. – Przywieźli ją tam z Polką. Nie mam pojęcia, co Magda z nią robiła, ale również została uwięziona.

– Znalazła się w złym miejscu i o złej porze – enigmatycznie tłumaczy Dorota. – Miała pecha, nic więcej.

– I to dużego, bo umieszczono je w willi na całkowitym odludziu tuż koło nabatejskich grobowców.

– Ktoś jednak miał niezłe poczucie humoru. – Polce nie jest żal podłej księżniczki. – W jej wypadku zasądziłabym najwyższy wymiar kary, ale widać rodzinka królewska nie lubi przelewać własnej krwi.

– Tak więc ja przywoziłam jej produkty, a Abbas był moim kierowcą, bo jak wiadomo, w Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą prowadzić samochodu. Ja to w ogóle nic nie mogłam, bo ojciec uwięził moją mamę i mnie w domu. Całkowity zakaz wychodzenia. Moje pierwsze zetknięcie ze światem zewnętrznym nastąpiło po pięciu latach i to właśnie dzięki księżniczce. W dodatku pozwalała nam na spotkania u niej w domu – wyznaje biedna gnębiona Saudyjka i zarówno z Doroty, jak i z Karima uchodzi cała złość. – Mogliśmy posłuchać razem muzyki, porozmawiać, poczytać książki... robić to wszystko, co w naszym regionie było surowo zabronione.

– Potem ją wypuszczono. – Abbas, jak to mężczyzna, na dodatek o umyśle ścisłym, chce od razu przejść do rzeczy. – Pozostawiła nam wszystkie swoje cacka, telewizor, odtwarzacz DVD, wieżę hi-fi, telefony, antenę satelitarną, dekodery do Internetu... – Od wymieniania aż traci dech. – To wszystko, w co potajemnie ją zaopatrzyliśmy. Dała też grubą kopertę, bo wiedziała, że nie stać mnie na ożenek z Hanifą. Tak więc to dzięki niej mogliśmy się pobrać i wyposażyć swoje pierwsze mieszkanie.

– Zniknęła z naszego życia na rok, może półtora... – Arabka zastanawia się chwilę. – Nieważne. Potem ni z tego, ni z owego Lamia zadzwoniła do mnie, prosząc o drobną przysługę. Mieliśmy się z nią spotkać w Rijadzie, w wyjątkowo podłej dzielnicy. Zdziwiło nas to, ale cóż...

– Nie musieliśmy przyjeżdżać na Batę – wyznał Abbas. – Nie chciałem być na każde jej zawołanie, na każde skinienie, lecz Hanifa uważała, że powinniśmy, bo to księżniczka umożliwiła nam pierwszy bezpośredni kontakt i dopomogła zawrzeć małżeństwo, więc nie zrażała się moimi krytycznymi słowami, a nawet nazwała mnie niewdzięcznikiem. Moja żona stale mi przypominała, że Lamia dała nam pieniądze, które przeważały szalę naszego szczęścia i umożliwiły ślub, a jeszcze dorzuciła drogocenne podarunki. Podałem się więc, przygnieciony argumentami, i laźłem jak owca w paszczę lwa. Żadne z nas jednak nie wiedziało, czego chciała. Powiedziała jedynie, że musimy przez parę dni coś dla niej przechować. To nie było jakieś wielkie żądanie, nieprawdaż? Chcieliśmy to załatwić jak najszybciej i zmykać z tego niebezpiecznego rewiru. Tam w biały dzień mogliby człowieka zaszlachtować, a co dopiero w nocy. Baliśmy się jak diabli, ale w budynku nie było żywej

duży. W paskudnym smrodzie i półmroku weszliśmy na trzecie piętro. Hanifa zapukała do drzwi, na których grubym markerem był wypisany numer, podany wcześniej przez księżniczkę. Nikt nie odpowiadał, lecz w szczelinie przy podłodze widać było, że w mieszkaniu świeci się światło. Delikatnie nacisnąłem klamkę i zajrzałem do środka. „Halo! *Salamu alejkum!* Jest tam kto?”, nawoływaliśmy drżącymi głosami. Wewnątrz panowała cisza, lecz do naszych uszu dochodziło jakby cichutkie popiskiwanie. Wtedy zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi. Myślałem, że może coś się komuś stało, może ktoś potrzebuje pomocy, może zasłabł... Tysiące myśli przebiegało mi przez głowę, ale nigdy nie spodziewałbym się zastać tego, co zobaczyliśmy we wnętrzu małego niechlujnego mieszkania.

– „*Wallahi!*”, wykrzyknęłam, stojąc za nim, bo dostrzegłam na podłodze zimne już zwłoki Azjaty. Jego biała koszula na piersi była nasiąknięta krwią. „Kto to? Kto to może być?”, pytałam przerażona. „*Lamia! Lamia!*”, nawoływałam swoją dobrodziejkę, ale nikt się nie odezwał. – Młoda Saudyjka na to straszne wspomnienie robi się popielata i przykrywa dłońmi usta.

– Uciszałem ją, bo bałem się, że sąsiedzi coś usłyszą i ściągną policję! – mówi Abbas. – Ze strachu chwyciłem biedną Hanifę mocno za ramię. „Przecież nie myśmy to zrobili!”, tłumaczyła mi moja dobra żona, lecz ja wiedziałem, że nie będziemy mogli tego udowodnić. Chcieliśmy stamtąd natychmiast uciekać, ale nagle usłyszeliśmy żalony pisk.

– Wtedy na palcach przeszłam na drugą stronę łóżka i znalazłam siedzącą na podłodze dziecko. Ledwo stałam na nogach, bo byłam tak podenerwowana. Tu dzidzius, a tam trup!

– Powiem wam, że tkwiłem tam jak zamurowany i nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa. Moja kochana żona podniosła welon, kucnęła i patrzyła na malutką, śliczną, ale zaniedbaną dziewczynkę. W końcu wzięła ją na ręce i posadziła na brzegu brudnego barłogu. Hana miała zapalenie spojówek, to odkryliśmy od razu, Hanifa położyła więc na jej twarzyczce dłonie i kciukami delikatnie usiłowała przetrzeć jej ślepka. Po chwili wraz z ropą z oczek bobasa wyślizgnęły się koloryzujące szkła kontaktowe i dziecko spojrzało na nas naturalnie błękitnymi oczami...

– Na Boga! – podekscytowana Hanifa przerywa mężowi. – Odskokczyłam jak oparzona i obsunęła mi się z głowy chusta, ukazując moje długie falujące włosy o miedzianym połysku. – Wbrew prawu szariatu i wszelkim zakazom ściga kolorową zasłonę, prezentując pukle prawie w tym samym kolorze co kędziory Marysi. – Hana od razu wyciągnęła do mnie rączki. „*Mama! Mama!*”, krzyczała. Jak mogliśmy zostawić ją w tym piekle?! – pyta, szlochając, a pozostałym ze wzruszenia zaciskają się gardła. – Żeby trafiła do sierocińca? Takie piękne dziecko! Taki skarb! Zdecydowanie oznajmiłam mężowi, że nie możemy odejść bez niej, i porwałam małeństwo na ręce, a ta mała dziewczuszka objęła mnie z całej siły za szyję.

– Pamiętasz, jak na ciebie krzychałem? – Abbas znów wchodzi jej w słowo. – Jak przekonywałem? „To dziecko białych”, mówiłem. „Spójrz! Ma oczy w kolorze nieba, a włosy ufarbowane, bo przy skórze są jasne!”. Ale nic to nie dało, bo Hanifa zakochała się w waszej pięknej dziewczynce od pierwszego wejrzenia. Twierdziła, że nie możemy wezwać policji, bo jeszcze oskarżą nas o morderstwo. Wtedy pierwszy i ostatni raz tak na mnie naskoczyła. „Jak to sobie wyobrażasz?”, darła się. „Zostawisz tę kruszynę na pastwę losu? Na pewną śmierć? Z trupem do towarzystwa?”. Doskonale znała moją odpowiedź. – Hanifa czule, a zarazem przepraszająco klepie męża po ręce. – Szamotaliśmy się po pokoju, w którym na dokładkę straszliwie śmierdziało jakimś plastikiem czy paloną skórą. Obrzydlistwo! Nie wiedzieliśmy, co robić. Byliśmy dopiero parę miesięcy po ślubie i nikomu nie dałoby się wmówić, że to nasze dziecko, a jeśli nawet, to za taki grzeszny czyn mielibyśmy religijno-obyczajowy wyrok pewny

jak w szwajcarskim banku. „Gdzie mamy się z nią ukryć? Jak załatwić dokumenty? Co będzie dalej?” rzucałem pytania, ale jakby grochem o ścianę. Miałem ogromne wątpliwości i jako matematyk nie potrafiłem wydedukować żadnego ciągu przyczynowo-skutkowego, aby rozwiązać tę sytuację. Ale kobieta, która widzi nieszczęście i pokocha jego ofiarę, nie potrzebuje takich rzeczy. Hanifa wiedziała, że dziecka nie zostawi i musi się nim zaopiekować, więc ja z kolei wiedziałem, że nie mam wyjścia. – Mąż i żona przytulają się do siebie. – „Ty już coś wymyślisz”, powiedziała, nie wypuszczając małej z objęć. „A za parę miesięcy będziemy już daleko stąd. Przecież dostałeś stypendium”. Próbowałem się bronić, bo byłem jak w matni.

– Wtedy się zdenerwowałam i znów nawrzeszczałam na mojego cudownego męża – przyznaje Hanifa. – Odpowiedziałam mu, że przecież w Polsce nikt nas nie będzie pytał o datę ślubu i inne bzdury. W końcu udało mi się go przekonać i uciekliśmy z miejsca zbrodni.

– Schodząc wtedy po schodach, zadzwoniłem do ciebie, Karim – wyznał Abbas. – Stwierdziłem, że najlepszą kryjówką będzie osiedle dla białych, którzy uznają nas za mieszaną parę... Chociaż nie wiem, w jakim kierunku pomieszaną, bo dwójka rodziców arabskich, tylko dziecko nie z tej bajki, ale wiesz... Amerykanie pod wpływem ich głupich gier, filmów i kreskówek tykną wszystko – zaśmiał się, a reszta cicho mu zawtórowała.

– Gdy tylko stanęliśmy na chodniku, opatuliłam swój maleńki skarb w brudny kocyk. Po chwili zatrzymała się taksówka i szybko do niej wsiedliśmy. – Hanifa wygląda na całkowicie załamaną. – Odjechaliśmy z tego przekłętego miejsca tak szybko, jak się dało. Od pierwszego wejrzenia pokochałam Hanę głęboką, czystą matczyną miłością... Przepraszam. – Pochyla się i żałośnie szlocha.

– Uratowałaś jej życie. – Dorota nie wytrzymuje i obejmuje biedną przybraną matkę swojej wnuczki. – Za to mogę ci być tylko wdzięczna. Bez waszej pomocy mogłaby w tej norze umrzeć z głodu lub pragnienia albo rzeczywiście wylądować w jakimś arabskim przytułku.

– Bądź jako dawca narządów – włącza się obeznany z życiem Karim.

– Daj spokój! – Obie kobiety wymachują rękami, chcąc odegnać złe słowa i nieszczęście.

– Wtedy w samochodzie byłam taka szczęśliwa, że mam to niespodziewane, ale też nadzwyczajne dziecko – wyznaje cicho Hanifa. – Każda Arabka marzy o tym, żeby córka miała jasną karnację i blond włosy. Nie wiem czemu, ale tak jest. Pamiętam, że przymknęłam wtedy oczy i oparłam głowę na ramieniu mojego najukochańszego męża. On jeszcze nie wiedział, że niedługo będziemy mieć dwójkę dzieci. Zawsze uważałam, że dobry z niego człowiek, a to doświadczenie utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że wygrałam los na loterii. Całowałam przerażoną dziewczynkę, która w dalszym ciągu wtulała się we mnie jak przerażone małe zwierzątko. Dotknęłam jej rączki i poczułam pod palcami grubą bransoletkę. Zdziwiło mnie to, ale nie chciałam już niepokoić męża. „Jesteś moja”, szeptałam jej do ucha. Obiecywałam, że dam jej normalny, szczęśliwy dom i bezpieczeństwo, jakiego w swoim krótkim życiu nie zaznała. Dlatego nadałam jej imię Hana, co oznacza szczęście.

Towarzystwo milknie. Wszyscy patrzą na smacznie śpiące, bezbronne dziecko. *Co zrobić z tą cudownie odzyskaną zgubą, zastanawia się Dorota. Jak to rozegrać, żeby nie skrzywdzić niewinnej dziewczynki i kochającej ją kobiety? Jak nie zranić tych ludzi? To jest niemożliwe. Ktoś zawsze musi cierpieć, dochodzi do smutnego wniosku. Przecież nie zostawię im dziecka mojej córki! Mój Boże!, wzdycha ciężko.*

– Sytuacja jest patowa, ale jakoś musicie ją rozwiązać – ciszę przerywa Karim. – Proponuję, żeby nie zgłaszać tego na policję, bo zrobi się niepotrzebny szum. Stosunek Polaków i większości świata do Arabów jest taki, jak widać na przykładzie tego parszywego detektywa.

A jak ktoś jest Saudyjczykiem, to ma już całkiem przechlapane – oznajmia, choć wszyscy doskonale o tym wiedzą.

– Dacie mi dziecko, a ja spróbuję jakoś załatwić jej polskie dokumenty – mówi Dorota, choć nie ma pojęcia, jak się za to zabrać.

– Tak od razu? – Hanifie trzęsie się głos i mocniej przyciska małą. Po chwili Nadia budzi się i uśmiecha rozkosznie. – Dajcie nam trochę czasu. – Łzy znów pojawiają się w pięknych czarnych oczach kobiety.

– Blondi. – Dziewczynka wyciąga rączki i dotyka jasnych włosów babci. – Blondi...

– Tak nazywali mnie w libijskiej rodzinie męża... – Dorota nie wytrzymuje i wybucha płaczem. Teraz już obie kobiety szlochają.

– Drogie panie... – Abbas nie wie, co ma zrobić, i tylko bezmyślnie kręci się po małym pokoju.

– Dziewczyny! Powoli! – Karim kuca przed nimi i bierze je za ręce. – Dorota, przecież ci dobrzy ludzie nigdzie nie uciekną – przekonuje. – Dzisiaj jest już późno i nie ma sensu tak gwałtownie wyrywać małej z jej rodzinnych pieleszy.

– Tak mówisz? – Polka zdaje się na mężczyznę, do którego ma pełne zaufanie.

– Jutro przyjdziemy tutaj ponownie i wszyscy razem pojedziemy do ciebie, okej? – Obie kobiety zgodnie kiwają głowami.

– A co potem? – pyta Hanifa, wydmuchując nos.

– Może przychodziłabyś do mnie w odwiedziny? – proponuje Dorota. – Albo będziemy razem chodzić na plac zabaw?

– Dobrze, dziękuję. – Kobieta próbuje zapanować nad zdenerwowaniem. – Więc będę mogła jeszcze z nią jakiś czas pobyc?

– Oczywiście! Przecież ja nie chcę pani zranić, bo sama doskonale wiem, jak boli taka strata. Jakaś klątwa nade mną wisi, bo najpierw porwano mi córkę, a potem wnuczkę – wyznaje Polka, a Arabowie z dezaprobatą cykają językiem. – Ale to dzięki wam Nadia żyje i mam nadzieję, że teraz moja córka odzyska radość i zazna trochę szczęścia.

– *Sza Allah!* *Sza Allah!* – potakują muzułmanie.

– Nikogo już więcej nie skrzywdzimy, dobrze?

– Oczywiście.

Kobiety solidarnie ściskają sobie dłonie.

Karim i Dorota wychodzą z bloku mieszkalnego, zostawiając arabską rodzinę z ich rozpaczą i nieszczęściem. Stoją na świeżym powietrzu, z przyjemnością nadstawiając rozgorączkowane policzki na chłodny powiew wiatru. Wdychają zapach ziemi i liści, żadne z nich się nie spieszy, żadne nie ma zamiaru odejść. Mają sobie jeszcze bardzo wiele do wyjaśnienia.

– Czy mogę zaprosić panią na drinka? – Karim jest wykończony dzisiejszymi przejściami, które nałożyły się na nerwy z Saudii i niewyspanie spowodowane długimi międzykontynentalnymi lotami. – Chyba musimy szczerze pogadać. – W oczach wymizerowanej Doroty widzi niepomiarowy smutek i czającą się śmiertelną chorobę.

– Jeszcze raz przepraszam, że nie powiedziałam panu o ojcu Nadii, Hamidzie Bin Ladenie, ale mam pewną starą obsesję na temat arabskich i muzułmańskich mężczyzn.

– Tak, wiem. Jednak jest jeszcze parę innych spraw, które musimy sobie wyjaśnić.

– Zobaczył pan mój stan zapalny piersi. – Dorota doskonale wie, o co chodzi troskliwemu lekarzowi. – To chyba nic takiego, bo termin USG wyznaczali mi dopiero za trzy

miesiące, a w ośrodku przecież wiedzą, co robią.

– Ten temat też mnie nurtuje, ale wszystko po kolei. – Karim chwyta ją za rękę. – Nienawidzę tajemnic, ukrywania prawdy, choćby nie wiem, jak zła ona była. Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa – podpira się polskim przysłowiem, wymawiając je poprawną polszczyzną. – I może mówmy w pani języku? Pani będzie się czuła swobodniej, a ja ciągle próbuję trenować wymowę, żeby ogromny wysiłek, jaki włożyłem w naukę, nie poszedł na marne.

– Wychodzi panu całkiem niezłe. Ale jeśli mam pić z panem wódkę, to najpierw musi mi pan zacząć mówić po imieniu. – Kobieta śmieje się i rusza w stronę centrum dzielnicy. – Jestem Dorota – żartuje.

– A ja Karim – dołącza do zgrywy. – Bardzo mi miło panią poznać.

Za kilka chwil oboje wygodnie rozsiadają się na wysokich barowych stołkach i zamawiają dzin z tonikiem. Milczenie im nie ciąży, więc obserwują lokal, w którym panuje miła atmosfera, tworzona przez przyciemnione światła i delikatną muzykę. Nie jest to żadna tancbuda ani knajpa na podryw. Stoliki są zajęte przez eleganckich ludzi, kobiety w drogich markowych sukniach i facetów w garniturach. Przychodzą tutaj po pracy na krótki relaks.

– Czy pani... sorki, ty... Czy rozmawiałaś ostatnimi czasy z córką? – zagaja Karim.

– O dziwo, parę dni temu zadzwoniła do mnie... – przyznaje Dorota, zastanawiając się, czemu nieznajomy pyta o Marysię, zamiast zasypać ją pytaniami o wnuczkę, utajnionego byłego zięcia czy o nią samą. – Mieszka teraz w Indonezji i nawet zapraszała mnie do siebie – dodaje z dumą.

– A wcześniej? Gdzie była wcześniej?

– W Tajlandii, na wyspie Phuket, tam, gdzie porwano jej córeczkę. – Sondowanie coraz bardziej ją niepokoi. – Dlaczego o to pytasz? Co to ma do rzeczy?

– Czy twoja córka ma polski paszport wystawiony na Marię Salimi?

– Skąd wiesz? Przecież podałam ci tylko... Coś mi tu śmierdzi, doktoru! – Dorota zaczyna się poważnie niepokoić i podnosi się z krzesła. – Co jest grane?!

– Uspokój się, dobrze? – Karim chce ją chwycić za dłoń, lecz nie udaje mu się to. – Tak dziwnie się składa, że aktualnie twoja córka jest ze mną. – Blondyna robi głupią minę i zastyga w pół ruchu. – Taki zbieg okoliczności. – Mężczyzna rozkłada ręce na boki.

– Wspomniała mi, że poznała faceta, mieszańca, jak ona, i że jest szczęśliwa... Jednak żadnych szczegółów mi nie podała.

– A jak często kontaktowałyście się, kiedy była w Tajlandii?

– Raz na samym początku, a potem sporadycznie. Nigdy nie włączyła kamery i zawsze mówiła półgębkiem. O co chodzi? Czy coś jej się stało? Miała wypadek? Ma uszkodzoną twarz? – Wypowiada pytania coraz głośniejsze.

– Spokojnie! – Karima bawi nadopiekuńczość matki w stosunku do dorosłej córki. – Wygląda znakomicie i zapewniam cię, że nic jej nie jest. Jednak uważam, że musisz do nas przylecieć. Powinnyście poważnie z sobą pogadać.

– Czy ja wiem? – Dorota waha się, bo znowu obrosła siecią sekretów i niedomówień.

– Nie rozumiem cię, ani jako lekarz, ani jako człowiek. Nikomu nie powiedziałaś o swojej chorobie, jestem o tym przekonany. Nigdy nie przyszłaś do mnie na wizytę z mężem, kochankiem, dzieckiem, matką, kuzynką, przyjaciółką... z kimkolwiek, kto mógłby podtrzymać cię na duchu podczas trudnego leczenia. Takie wsparcie jest bardzo ważne.

– Widać nie mam nikogo bliskiego – ripostuje Dorota.

– Przecież masz męża.

– Już od dłuższego czasu tylko na papierze – wyznaje. – Oddaliliśmy się od siebie,

bo... ja zawsze miałam problemy, tak życiowe, jak i emocjonalne. Po wyjeździe do Libii moje małżeństwo legło w gruzach, ale Łukasz nie ma serca, żeby ode mnie odejść. Widać myśli, że załamałabym się, cierpiałam, ale jest w wielkim błędzie, bo ja, niestety, już nic do niego nie czuję. Wszystko się wypaliło, rozmyło, rozpadło, przywalone ciągłymi nieszczęściami, które mnie dotyczą. Nikt by nie wytrzymał z taką babą jak ja. On i tak długo dawał radę – ironizuje.

– A powiedziałaś o tym Marysi?

– Oczywiście, że nie! Ma dość swoich problemów!

– Naprawdę tego nie pojmuję! – powtarza Karim. – Obie jesteście takie tajemnicze!

Robicie wielkie halo z niczego!

– Widocznie mało o nas wiesz, jeśli uważasz, że z niczego – kpi Dorota.

– Dość sporo. Marysia doszła do wniosku, że ma już dość ukrywania czegośkolwiek.

Albo ją zaakceptuję taką, jaka jest, z jej wadami i bagażem grzechów z przeszłości, albo nie będziemy nawet próbowali być z sobą. – Mężczyzna nie wspomina, że i tak ma jeszcze z setkę pytań, których boi się zadać.

– Czyli wiesz, że Nadia nie jest dzieckiem Hamida? – strzela Dorota prosto z mostu.

– Tak... ale nie znałem imienia ani nazwiska jej ojca.

– Też ci nie powiedziała? – Matka cieszy się z podobieństwa charakterów.

– A to dla mnie dość istotne, bowiem Hamid i jego żona są moimi bliskimi znajomymi

– wyznaje Karim, a Dorota patrzy na niego z nieufnością.

– Co to jest? Co to za cholerne zbiegi okoliczności? – Kobieta aż uderza dłonią w stół.

– Niewyobrażalne! – Wybucha, wyrzucając ręce do góry.

– To się nazywa przeznaczenie – oświeca ją mężczyzna. – Nasze linie życia przeplatają się lub pośrednio z sobą łączą. Oznacza to, że jesteśmy sobie przeznaczeni i na wieki związani. Nie uciekniemy przed sobą i przed naszym wspólnym losem. Ot co!

– Czekaj, powiedziałaś żona Hamida? To on się ożenił?! Szybki jest, drań jeden! – oburza się.

– To dobra kobieta, a Hamid zrobił to bardziej ze współczucia niż z miłości.

Przeprowadzałem u niej rekonstrukcję twarzy...

– Co znowu za nieszczęście? Miała raka szczęki, poparzona, po wypadku czy jak?

– Nie. Jest ofiarą ataku terrorystycznego, podczas którego straciła policzek z przyległościami, stopę i duże fragmenty tkanki. Nadal ma odłamki cholernego ładunku rozsiane po całym ciele.

– Czyli Bin Laden ciągle walczy z terrorystami? – Dorota zamyśla się i jak żywą widzi przed oczami postać swojego poważnego zięcia. – Nie odpuścił sobie.

– Teraz raczej wspiera działania prewencyjne, pomaga niwelować skutki, ale sądzę, że skoro urodził mu się syn, to całkiem się z tego wycofa.

– Ha! To nawet ma syna! – Karim specjalnie podpuścił kobietę, aby się zorientować, czy wie o drugim dziecku Marysi, jednak teraz widzi, że córka nic jej nie powiedziała. Postanawia jednak sam nie ujawniać tego sekretu.

– Tak, udało mu się i jest bardzo szczęśliwy.

– A ja mam nadzieję, że moja pierworodna będzie szczęśliwa z tobą. – Na koniec Dorota kładzie drobne dłonie na rękach Karima i mocno je ściska. – Bo ty jesteś dobrym człowiekiem, bez tajemnic, obciążeń i ciężkich przeżyć, które wywracają uczucia, charakter i duszę człowieka do góry nogami.

– Trochę też mam na sumieniu, ale my, Azjaci, zupełnie inaczej do tego podchodzimy – oględnie tłumaczy Karim. – Godzimy się ze swoim losem, nie wściekamy, nie walczymy z wyrokami niebios, lecz jedynie staramy się omijać to, co złe, i sięgamy po coraz to nowe

wyzwania. Odrzucamy niedobłą karmę.

– Buddyzm? Hinduizm?
– Coś w tym stylu. Podtrzymuję swoje zaproszenie do Indonezji, Marysia na pewno też, lecz pod jednym warunkiem. – Dorota ze zdziwienia unosi brwi. – Najpierw muszę cię przebadać.

– Ach, to! – Macha lekceważąco ręką.
– Jutro jedziemy do Warszawy do instytutu onkologii, w którym robiłem specjalizację – oznajmia jej głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Oddam cię w ręce dobrego lekarza, których tam nie brakuje. I błagam cię, nie czekaj na termin USG, mammografii czy biopsji w twoim ośrodku. Oni od razu powinni cię skierować do specjalistycznej placówki, a nie robią tego... z głupoty, niechlujstwa, lekceważenia pracy, życia pacjenta, sam nie wiem. – Z oburzenia aż sapie przez nos. – Chamy! – Wściekły na kolegów po fachu, wykrzykuje piękną polszczyzną.

– Ale jak teraz mam pójść do szpitala, skoro jutro muszę odebrać dziecko? To niemożliwe!

– Daj tym dobrym ludziom tydzień na pogodzenie się z ciężką dla nich sytuacją. Przez ten czas w Warszawie ustawią ci leczenie, które będziesz mogła kontynuować tutaj na miejscu, w Gdańsku.

– Nie wiem, doktorze, czy od razu nie zrobić mastektomii, i to podwójnej – oświadcza poważnie zdesperowana Dorota. – Jestem skazana na raka piersi, który prowadzi do przerzutów i rychłego zgonu. Jednego całkiem ładnie udało ci się wyharatać, oszczędzając mój biust, ale już po dwóch latach pojawił się następny, więc... Mam Internet i wiem, co oznacza ten rumień, Karimie.

– Sama się nie diagnozuj, proszę. Nie jesteś obiektywna, a przede wszystkim nie znasz się na rzeczy.

– Daj spokój, to nowotwór zapalny. Kiedy go zobaczyłeś, w twoich oczach wyczytałam smutek. Startuję z przegranej pozycji, prawda? Grupa trzecia? – ni to pyta, ni stwierdza Dorota.

– Nie stawiamy rozpoznania tak poważnej choroby nad szklanką dżinu, dobrze?

– Wiesz co? Teraz jestem już spokojna, bo znów trafiłam w twoje dobre ręce. – Przytula się do jego ramienia. – A Marysi zrób rakowe receptory – doradza fachowo. – Lepiej żyć bez piersi, ale żyć, no nie?

– Teraz pomyślmy o tobie i o naszej małej odnalezionej zgubie. – Karim zmienia temat, bo nie chce nawet myśleć o tym, że jego ukochana może już nosić w sobie złośliwe komórki. – Mam zadzwonić do Abbasa i przenieść jutrzejsze spotkanie? – pyta, a Dorota potakująco kiwa głową. – Zatelefonuję też do mojego kolegi z branży i umówię nas na jutro.

– Okej. – Chora poddaje się decyzji medyka z pełnym zaufaniem.

Po dziesięciu minutach wszystko jest już załatwione i Karim z westchnieniem ulgi opiera łokiec na blacie.

– Czy masz pomysł, jak można wyrobić Nadii jakiś dokument, jednocześnie nie wsadzając moich przyjaciół za kratki? – pyta Dorotę, bo w tym temacie to on zupełnie się nie orientuje.

– Cały czas się nad tym zastanawiam. – Kobieta poważnieje. – Jak zaczniemy w Polsce grzebać w naszych pokreślonych papierach, w których nic się nie zgadza, to niechybnie wszystkich nas posadzą – żartuje z przekąsem. – Marysia miała w swoim życiu tyle paszportów, że od razu dostałaby pięć lat, i to bez zawieszenia. Na dokładkę w akcie urodzenia swojego dziecka figuruje pod zupełnie innym imieniem i nazwiskiem, niż ma w polskim dokumencie.

– Wiem, bo przecież w Indonezji sam załatwiałem jej wizę pobytową – zauważa Karim.

– No właśnie. A na dokładkę chciałabym to wszystko sama odkręcić i, jak już mnie tak szczerze zapraszacie do siebie, to pragnęłabym przywieźć jej Nadię do waszego domu. Taki mój podarunek dla was na szczęście.

– Bez zgody rodziców chyba nie wyrobisz dziecku paszportu? – Karim powątpiewa w takie cuda.

– Marysia ma podpis podobny do mojego, a z Hamidem jest rozwiedziona...

– Ale jednak – przerywa mężczyzna, marszcząc brwi – trzeba być uczciwym i mu powiedzieć, bo z tego, co wiem, kochał Nadię jak własną córkę i był dla niej dobrym ojcem.

– Później na pewno powiemy mu o odnalezieniu naszej zguby, ale teraz nie komplikujmy jeszcze bardziej sprawy. W akcie rozwodowym nie ma mowy o opiece nad dzieckiem, bo dziecka wtedy już nie było.

– Ja jednak będę nalegał, żeby go poinformować.

– Już ci powiedziałam: zrobimy to, ale nie teraz! Trzeba przede wszystkim udowodnić, że te dwie kobiety, Maria Salimi i Miriam Ahmed Salimi Bin Laden, to ta sama osoba. Coś mi już kołacze po lepetynie i chyba wiem, jak to ugryźć.

– Nie ma takiej opcji! Bez stawienia się w urzędzie samej zainteresowanej to całkowicie nierealne! Nie odkręcisz tego! – Karim uśmiecha się z pobłażaniem, ale widzi błysk w oku blondyny, który daje nadzieję na załatwienie niemożliwego.

– Trzeba mieć znajomości w „diplomacji”, mój panie. – Dorota robi wytworną minkę.

– Potrzebuję jedynie skanu jej dwóch paszportów i papierów rozwodowych. Jesteś w stanie mi to dostarczyć? – pyta słodko.

– Jak tylko wyląduję w Indonezji, od razu wyślę. Ale z ciebie spryciara i konspiratorka. – Choć Dorota niczego jeszcze nie dokonała, mężczyzna już ją podziwiał.

– Lata doświadczeń. Ale powiem ci, że wolałabym móc to załatwić prostą, uczciwą drogą. – Oboje patrzą sobie głęboko w oczy i cieszą się, że los ich z sobą zetknął.

– Kiedy rozsypłamy wszystko, co się poplątało, będziemy już zawsze szli prostą drogą – oznajmia mężczyzna.

– Mam taką nadzieję.

– Umawiamy się na jutro, dobrze? O ósmej rano mamy ekspres do Warszawy – potwierdza Karim, a Dorota jedynie potakuje.

Badania niestety potwierdziły przypuszczenia Doroty i Karima. Zdiagnozowano u niej raka zapalnego i od razu zdecydowano o czerwonej chemii, przygotowującej do mastektomii.

– Dupa zbita, mój Karimku! – Dorota regularnie rozmawia ze swoim lekarzem, a także przyjacielem, przez telefon bądź Skype’a. – Nie poddam się terapii, bo sam wiesz, że w trakcie i potem będę strzępem człowieka. Na razie musi mi wystarczyć coś na wzmocnienie.

– Jak to?! – wybucha lekarz. – Chcesz umrzeć, do cholery?! Nie rób nam tego, babciu! Nie wolno ci – łagodnieje. – Jest jeszcze dużo osób, którym na tobie zależy i dla których warto żyć.

– Wiem, wiem... Chcę jedynie najpierw sfinalizować dostarczenie wam Nadii. A potem niech się dzieje wola boska.

– Zapalimy papieroska – figlarnie dodaje Indonezyjczyk, a Dorota stwierdza, że nawet w najśmielszych marzeniach nie śniła o takim cudownym prawie polskim zięciu. – A jak tam formalności? – pyta Karim, bo wciąż zależy mu na jak najszybszym odtajnieniu przed swoją partnerką sprawy odnalezienia dziecka.

– Prawie gotowe – śmieje się rozradowana Dorota. – Piotr, mój zaprzyjaźniony konsul, jest na kolejnej misji w jednym z dzikich arabskich krajów północnej Afryki i zobowiązał się pomóc. To on wspierał mnie przy odnalezieniu Marysi w Libii, później już w Saudii wyrobił jej polski paszport i co najważniejsze, jest konsulem z powołania – opowiada. – Nie trzyma się kurczowo głupich ograniczających przepisów, jedynie za wszelką cenę stara się służyć ludziom. Poza tym doskonale wie, że Marysia miała saudyjski paszport i pod jakimi danymi tam figurowała, bo tak się złożyło, że równocześnie dostała oba te dokumenty: jeden od swojego ówczesnego męża, a drugi z polskiej ambasady. Facet zna na wylot nasze losy i sytuację i nie bawi się w biurokrację, bo jest pewien, że nikogo nie chcemy oszukać.

– Ty to masz łeb! – Karim jest zadowolony, że sprawa tak bezboleśnie zostanie rozwiązana. – Naprawdę jesteś supermama!

– Póki wystarczy mi sił, będę kombinować, jak uszczęśliwić moje dzieci – wyznaje Dorota. – Jednak tylko Marysia całkiem wdała się we mnie i ma totalny niefart w życiu.

– Zła passa powolutku się od was odwraca – zapewnia doktor. – Musimy jeszcze tylko cię wykurować i już będzie z górki. A jak twoje kontakty z Nadią i Hanifą?

– Dzięki temu, że znam trochę arabski, nie ma między nami bariery językowej. Wyobraź sobie, że mała zaakceptowała mnie prawie całkowicie i nawet nazywa już babcią. – Pomimo kiepskiego łącza widać ogromne szczęście na twarzy Doroty.

– Kiedy dotrą do ciebie papiery dziecka?

– W przyszłym tygodniu. Już mam wykupione bilety na piątek. Oby tylko celnicy nie skomplikowali nam życia. – Kobieta boi się, wiedząc, że te służby bywają bardzo dokładne i wręcz nadprogramowo akuradne. – Dlatego lecimy emirackimi liniami, bo w krajach europejskich mają obsesję na punkcie porwań dzieci.

– W sumie to chyba dobrze – stwierdza z przekąsem Karim.

– W sumie tak, ale nie w naszym przypadku. Nadii odrosły już jej naturalne włoski i powiem ci, że wygląda jak mój odmłodzony klon. Wezmę parę zdjęć z dzieciństwa, to ci pokażę. Będziesz miał ubaw!

– Z chęcią. Więc witamy cię na lotnisku w Denpasar na Bali. Praktycznie za tydzień! – wykrzykuje, rozentuzjasmowany.

– Pamiętaj o niespodziance – przypomina Dorota. – Ani pary z ust.

– Jak bym mógł zapomnieć?

– Nadia, chodź pobawimy się w ogrodzie – Dorota woła swoją ulubienicę, która w domu zamęcza dwa wielkie perskie koty. – Mam dla ciebie podwieczorek.

– A co takiego? – Mały żarłoczek jest już przy swojej babci, która obdarza ją serdecznym uśmiechem.

– Twoja ulubiona galaretka z truskawkami.

– Pyszne – z rozmarzeniem szepcze dziewczynka. – Mogę jeszcze zjeść biszkopcika? – pyta grzecznie.

– Pewnie, ale potem troszkę pobiegamy, żeby wytrześć sadelko. – Dorota delikatnie łaskocze dziewczynkę, a ta jak iskierka puszcza się przed siebie pędem, zaśmiewając się przy tym do rozpuku.

Hanifa i Abbas zatęsknili za dzieckiem i zdecydowali się bez zapowiedzi odwiedzić Dorotę. Byli tu już nie raz i czuli, że zawsze są mile widziani. Dorota, kiedy poznała ich historię, nie żywiła już do nich urazy, bo i o co? Oni też zostali oszukani przez podłą księżniczkę, a że pokochali Nadię całym sercem, to łatwo mogła zrozumieć. Sama żywiła

do dziecka to samo gorące uczucie.

– Słyszę je w ogrodzie. – Hanifa przyspiesza kroku, chcąc jak najszybciej wziąć swoją małą córunię w ramiona, a Abbas ciągnie za nią, mordując się z wózkiem ich małego synka. – Patrz na nie! – Razem zbliżają się do drewnianych sztachet ogrodu i obserwują idylliczną scenkę przez szczelinę.

Dorota z rozwianym włosom udaje, że chce złapać swoją wnusię, która zaśmiewa się głosikiem dźwięcznym jak dzwoneczek loretański. Obie mają jasne włosy, błękitne oczy i ten sam owal twarzy. Przybrani rodzice stoją nieruchomo. Czują się jak w teatrze, tylko że to nie jest przedstawienie, w którym mogliby dłużej uczestniczyć, nie jest ich świat, bo oni wtargnęli do niego na siłę. Mała biała dziewczynka nie jest ich córką i nigdy nie będzie, choćby kochali ją nad życie.

– Hanifa – Abbas chwyta za rękę zrozpaczoną żonę – ona należy tutaj. Nie róbmy jej krzywdy naszą miłością. Nie każmy jej wybierać między nami a jej prawdziwą rodziną. My będziemy jeszcze mieć własną córkę, której dasz na imię Hana. – Kobieta tylko kręci głową, ściskając usta. – Niestety, kochana. Trzeba stąd odejść! – mówi bardziej stanowczo i czule ociera łzy spływające po policzkach ukochanej kobiety.

– Ale nasza Hana... Ja ją tak kocham... – Hanifa nie potrafi zapanować nad łkaniem.

– Ona nie jest nasza. I nie ma na imię Hana. Tam po ogrodzie biega Nadia. – Mężczyzna ściska żonę w objęciach, obraca od ogrodu i delikatnie ciągnie za sobą. – Musimy odejść i pozwolić jej wrócić do bliskich. Oni też ją kochają.

– To o której mama przylatuje? – Marysia niepokoi się już od paru dni. – Może trzeba wcześniej wyjechać? Po południu są straszne korki i dwie godziny to jest zdecydowanie za mało.

– Spokojnie, będziemy na czas, na pewno zdążymy. – Karim czuje się teraz wyjątkowo głupio, że nie powiedział swojej kobiecie o wszystkim, tylko wdał się w konspirację z jej matką. Dorota w międzyczasie zaczęła korespondować z Meilą i obie tak przypadły sobie do gustu, że mężczyzna czuł się dezorientowany. *Jak takie dwie baby po przejściach zabiorą się za kombinowanie, to nic dobrego z tego nie będzie*, myślał. – Pójdziemy na spacer? A może chcesz pobiegać? – pyta Marysię, usiłując znaleźć sposób na zrelaksowanie.

– Czyś ty zgłupiał? Od kiedy uprawiasz jogging? Albo się zabijesz, albo złamiesz tę swoją biedną nogę!

– Mogę zacząć od dzisiaj – śmieje się. – Chcę cię czymś zająć, rozerwać, odstresować.

– I żebyśmy przegapili samolot?

– Przylatuje dopiero wieczorem, kochanie...

Karim stwierdza, że jego partnerka ma chyba szósty zmysł, bo zachowuje się, jakby wiedziała, iż za chwilę zdarzy się coś niezwykłego. Coś, co odmieni ich życie.

– Dobrze – decyduje Marysia. – Pójdę popływać, ale ostrzegam, jak jeszcze trochę pobędę na tym mocnym podzwrotnikowym słońcu, to nie będę już wyglądała jak Arabka, ale jak Murzynka – sili się na żart. – A o Polce z białą delikatną skórą to w ogóle zapomnij. – Delikatnie dotyka jego dłoni, co jak zawsze przyprawia go o dreszcz rozkoszy.

Kobieta bierze ręcznik i kieruje się w stronę *gazebo* ustawionego na brzegu basenu. Tradycyjny indonezyjski tarasik z zadaszeniem postawiono tutaj dla wygody plażowiczów, bowiem dach w kształcie chińskiej pagody daje cień, a opuszczone tiulowe zasłony zapewniają intymność. Marysia kremuje się jaśminowym olejkiem z filtrem i układa na wygodnym materacu, pokrytym satynowym, cienkim prześcieradłem, które przyjemnie chłodzi jej rozgrzane

ciało. Dziewczyna jest tak podenerwowana, że jej serce bije jak oszalałe. *Co się ze mną dzieje? Przecież to tylko mama, upierdliwa, wiecznie pouczająca, kochająca i zaborcza mama. Ta, którą pamiętam z dzieciństwa, ta, z którą tak zbliżyliśmy się podczas arabskiej wiosny w Libii i zaprzyjaźniłyśmy po narodzinach Nadii. Jak idiotka zerwałam łączące nas więzi, znów odsunęłam się od niej, tak jak wtedy, kiedy znalazła mnie jako nastolatkę w Trypolisie, a ja nie chciałam z nią pojechać do Polski. Cały czas ją odtrącam i krzywdzę, dochodzi do smutnego wniosku. Jestem wredna, wredna pod każdym względem!*, podsumowuje z dezaprobatą. Ciepło i rześkie morskie powietrze usypiają ją. I nagle jak przez mgłę słyszy znajomy głos i... dziecięcy szczebiot.

– Babcia! – Nadia ledwo wygramoliła się z auta i od razu biegnie nad brzeg basenu wypełnionego błękitną wodą. – Babcia! Mogę? – Mówi już parę słów po polsku. – Babcia! Motylki, mam dmuchane motylki? – Drepcze niecierpliwie w miejscu, w międzyczasie rozbierając się do samych majteczek.

Meila z Dorotą powoli zmiierzają w jej stronę, bo Polka co chwila przystaje i z zachwytem rozgląda się dookoła.

- Jezus Maria... – szepcze. – Ależ tutaj pięknie...
- Witam w Indonezji. – Karim ściska dłoń przybyłej.
- A gdzie Marysia? – pyta stęskniona matka.
- Chyba usnęła. Od rana była w takich nerwach...

Jednak młoda kobieta, słysząc głosy, gwałtownie siada i patrzy przez cienką tiulową zasłonę. *Nadia?* Nie może uwierzyć własnym oczom. *Nieemożliwe... Mam przywidzenia. To niemożliwe!* Zrywa się na równe nogi i biegnie w kierunku dziewczynki.

– Nadia?! – krzyczy jak obłąkana. – Nadia?! – Malutka w pierwszym odruchu przestraszyła się dziwnej pani, lecz nadal stoi w miejscu i wbija w nią wielkie zdziwione niebieskie ślepką.

– Marysiu! Spokojnie! – Karim łapie ukochaną, która poślizgnąwszy się na mokrym marmurze, niemal ląduje na ziemi. – Marysiu!

– To jest moje dziecko?! – wciąż krzyżąc, zwraca się do swojego mężczyzny, a kiedy ten potakuje milcząco, już spokojnie podchodzi do odzyskanej zguby. – Nadia, córeczko moja... – Wyciąga ręce, a ufna dziewczynka podchodzi do niej i obserwuje ją badawczo. Dotyka swoimi pulchnymi paluszkami niesfornych kręconych włosów kobiety, przejeżdża po nosie, ustach, rozmazuje płynące po policzkach łzy. Czuje jej zapach, tę specyficzną i jedyną w swoim rodzaju odurzającą woń jaśminu, bo Marysia nie zmieniła upodobań i nadal wszystkie kosmetyki ma o tym aromacie.

– Mama? – pyta cichutko. – Mamuś – wzdycha i wtula się w gorące ciało roztrzęsionej kobiety.

– Jak wyście ją odnaleźli? – szlocha Marysia. – Jakim cudem?

73 Baklava – ciasteczka z orzechami pistacjowymi popularne w krajach arabskich i w Turcji.

74 Tahina (arabski) – pasta z nasion sezamu używana m.in. do przygotowania humusu.

75 Baba (arabski, potoczny) – tata.

76 Szaj (arabski) – herbata.

77 Sadiki (arabski) – Mój przyjaciel.

78 Habibti (arabski) – Mój kochany.

79 Sza Allah (arab.) – Jak Bóg da!; Jak Bóg zechce!

RAJSKA WYSPA BALI

- Jutro razem z Meilą wyskoczmy na parę dni do Dżakarty – mówi Dorota przy śniadaniu po dwóch idyllicznych dniach, pełnych wyjaśnień i wyznań miłości.
- Ależ dlaczego? Przecież ledwo co przyleciałaś? – Marysia oburza się i jest jej straszliwie przykro, że po tak długiej rozłące matka wybiera się na zakupy do centrów handlowych w stolicy, zamiast spędzić z nią więcej czasu.
- Najpierw, moje panie, powinnyście z sobą szczerze pogadać – sugeruje poważnie Karim, wodząc wzrokiem od matki do córki. – Było obiecane, że nie robimy już żadnych tajemnic. Macie sobie wszystko uczciwie mówić. – Patrzy wymownie na Dorotę, a ta z zażenowania głośno przełyka ślinę.
- Mamo! Co za sekrety? Kolejne? – Podenerwowana Marysia ścisną dłonie. – O co tym razem, do cholery, chodzi?
- To strasznie długa i skomplikowana historia, którą można by w zasadzie ująć w jednym zdaniu... – Dorota bierze głęboki oddech.
- Zaraz, zaraz! – przerywa jej córka. – Skąd ty w ogóle znasz Karima? Wyglądacie na starych przyjaciół. Hej, co się tu znowu wyprawia za moimi plecami?! – złości się.
- To ja się może wycofam, a wy się rodzinie pokłóćcie. – Meila wstaje i z filiżanką kawy w ręce zmierza na taras.
- Nie, nie, nie! – Dziewczyna usadawia drobną kobietkę z powrotem na krześle. – Ty też jesteś w to zamieszana i zapewne we wszystko wtajemniczona.
- Nie sądzę, żeby we wszystko, ale wyznam ci, że wiedziałam, iż twoja mama chciała ci zrobić niespodziankę i bez uprzedzenia przywieźć zaginioną córeczkę.
- Zatem zostajesz z nami – mówi rozkazującym tonem, na który Azjatka w ogóle się nie obraża, tylko swoim zwyczajem promiennie uśmiecha.
- Skąd znasz Karima i od jak dawna? – Córka rozpoczyna inwigilację.
- Już parę ładnych lat... – Dorota robi usta w ciup.
- A gdzie się poznaliście?
- W Warszawie, robił tam specjalizację drugiego stopnia.
- Karim jest onkologiem. – Marysia spuszcza wzrok. – Miałaś raka?
- Tak.
- I nic mi nie powiedziałaś?!
- Byłaś tak ogarnięta cierpieniem po stracie Nadii, że nie chciałam ci dodawać nowych zmartwień.
- Ale...
- Poza tym sama nie miałaś ochoty utrzymywać żadnego bliższego kontaktu. Ile razy dzwoniłaś do mnie z Tajlandii, pisałaś maile, łączyłaś się na Skype? Hej?! Najchętniej wykreśliłabyś mnie ze swojego życiorysu. Widać w ten sposób chciałaś pozbyć się wspomnień. – Jednak próbuje tłumaczyć swoją pierworodną. – Jak ty to sobie wyobrazasz? Kiedy z łachy półgębkiem gadałaś ze mną dwie minuty, to miałam ci powiedzieć: córeczko, ratunku, mam raka? Proszę cię o zainteresowanie, wsparcie... Miej litość! – mówi teatralnym głosem. – Ja nie potrzebuję współczucia, jeżeli nie wiązałoby się ono z miłością. Mam w dupie takie udawanie!
- Przecież ja cię kocham i wiesz o tym doskonale! – Marysia chwyta matkę za zimną z podenerwowania rękę. – Masz rację, krytykując moją izolację i odseparowanie się

od wszystkich. Najpierw odsunęłam się tylko na chwilę, tylko troszeczkę, a potem powstała taka przepaść, że już nie potrafiłam jej przeskoczyć.

– A ty, córeczko, nie miałaś przede mną żadnych tajemnic? – Teraz matka chce się czegoś dowiedzieć. – Czemu nawet kiedy gadałyśmy on-line, nie chciałaś włączyć kamery? Pytałam Karima, czy coś ci się nie stało, czy nie miałaś wypadku...

– Byłam w ciąży – w końcu wyznaje Marysia.

– Z kim?

– Z Hamidem.

Zapada cisza. Marysia międli lnianą serwetkę, jej matka obraca filiżankę w rękach, a Karim i Meila zamierają w bezruchu.

– Nigdy nie wymieniłaś imienia czy nazwiska swojego byłego męża – w końcu głucho stwierdza mężczyzna. – Tak jak twoja matka nie podała nazwiska dziecka, tylko imię. Dlaczego? Co to za kolejnny głupi sekret?

– Jakże to mogło mieć dla ciebie znaczenie? – dziwi się Marysia. – Arab jak Arab.

– Tak się składa, że dobrze znam tego Araba i jego nową żonę – wyznaje Karim, a Marysia wstrzymuje oddech. – Byłem u nich tego dnia, kiedy podrzuciłaś mu waszego syna – oznajmia, patrząc jej prosto w oczy. Meila już nie wytrzymuje, wstaje i sięga po paczkę papierosów. Dorota i Marysia równocześnie wyciągają do niej ręce, prosząc o poczęstowanie.

– Palicie *kretek*? – pyta z niedowierzaniem.

– Czy coś mi jeszcze może zaszkodzić? – kpi Polka.

– Ja mam arabskie płuca, nawykłe do wszystkiego – wtóruje jej córka.

– No więc, Marysiu... – Karim nie odpuszcza swojej partnerce, bo chce raz na zawsze wyjaśnić wszystkie niedopowiedzenia. – Twój najbliższy chciałby się czegoś dowiedzieć w tej sprawie, ale ty jesteś taka sama jak twoja matka. Robisz tajemnice tam, gdzie nie trzeba, i odsuwasz się od ludzi, którzy cię kochają i chcieliby ci pomóc.

– Uważam, że postąpiłam słusznie, ofiarowując Hamidowi jego syna. Oszukałam go już w przypadku mojej córki i chciałam mu to zrekompensować – tłumaczy, skrepowana.

– Z Nadią to nie twoja wina – włącza się Dorota. – To ja namówiłam cię do tego kłamstwa. Uważałam, że lepszy kochający mąż, wprowadzie trochę rogacz, ale cóż... – Kobieta pokpiwa sobie, lecz Karim z marsową miną wyraźnie solidaryzuje się z przyjacielem. – *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*⁸⁰. – Polka trochę groteskowo bije się w piersi. – Chciałam jak najlepiej, choć wiem, że to nie jest dobre wytłumaczenie.

– Ale czy nie można było powiedzieć o ciąży matce albo mężowi? – Karim nadal nie rozumie jej postępowania.

– Jakiemu mężowi? – włącza się Meila. – Facet, nie pytając o zdanie, rozwiódł się z nią. Dał jej podpisane i zatwierdzone sądownie papiery i... wypierdalaj! – Wścieka się na wrednego Araba, który potraktował kobietę w typowo męski, szowinistyczny sposób. – Ja bym takiemu skurwielowi dziecka nie oddała, no ale...

– Jedno oddałaś. – Marysia próbuje bronić się przed zarzutami, określającymi ją jako wyrodną matkę.

– Karim był umierający i mieszkał w Tugu – w biedzie i nędzy. Wcześniej lub później pożegnałby się z tym światem, a jeśli jakimś cudem by przeżył, to nie wiadomo, jak bardzo mogłaby się pogłębić jego dolegliwość. Nie było innego wyjścia – twardo odpowiada Indonezyjka.

– Ja też byłam w dość patowej sytuacji – wyznaje Marysia. – Nie miałam środków do życia, mieszkałam w klitce nad burdelem i prowadziłam restaurację dla byłej prostytutki, która dawała mi jakieś marne grosze, żebym nie umarła z głodu. Z litości mnie przygarnęli

i za to jestem im ogromnie wdzięczna. Nie miałam wtedy nikogo, kto mógłby i zechciał mi pomóc, oprócz tej pokręconej, a zarazem cudownej rodziny. – Patrzy wymownie na matkę. – Ty ciągle miałaś muchy w nosie i jak rozmawialiśmy, to jakbyś mi robiła grzeczność, tylko „a” i „ę”, a nigdy szczerze, tak po prostu. Albo były łzy, wyrzuty i pretensje! Nie zdobyłaś się na to, żeby normalnie ze mną porozmawiać i nie rozgrzebywać ran, które tak straszliwie bolały.

– To jest twoje podejście, Marysiu – łagodnie stwierdza Dorota. – Według mnie to ty odpowiadałaś na odczepnego „tak”, „nie” i „aczkolwiek”. Sądzę, że powinnyśmy zamknąć ten okres i do niego nie wracać, bo każda z nas inaczej odbierała własne słowa i reakcje. Tak jak powiedziałaś, nie rozdrapujmy więcej ran, które dopiero co się zagoiły. Ty nie wspomniałaś o ciąży, ja o raku i jesteśmy kwita.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! Odkreśliłyśmy to grubą krechą i koniec kropka! Okej?! – Dorota denerwuje się, bo doskonale wie, że już nigdy nie będzie tak całkiem okej. Zgadza się z Meilą i nie rozumie, jak można dobrowolnie oddać swoje dziecko. *Widać wzięła w niej górę bezduszna arabska natura*, podsumowuje w duchu swoją córkę, ale wie, że tego również nigdy jej nie powie. – Akceptujmy się takimi, jakie jesteśmy, bo inaczej w życiu nie dojdziemy do porozumienia – prosi na koniec.

– A ty nie bądź taki hop do przodu, panie bez skazy! – Nagle Marysia ostro zwraca się do Karima. – W domu Hamida byłeś ubrany w strój *mutawwy*. Czyżby to twój drugi fach? – kpi, patrząc prosto w oczy swojego partnera. Dorota i Meila są w szoku, bo obie mają wyrobioną opinię na temat religijnych fanatyków, którzy zajmują się łapaniem niewinnych obywateli.

– Mój ojciec, Fajsal, jest szefem wszystkich szefów w Komisji do spraw Krzewienia Cnoty i Zapobiegania Występkom – spokojnie wyznaje mężczyzna. – Od dziecka podobały mi się jego pelerynki i często podprowadzałem mu jakąś. A że zawsze wisiała ich cała galeria w szafie przy wejściu, były pod ręką. Bawiło mnie, jak wszyscy na mnie patrzą, kiedy wchodziłem w takim stroju do centrum handlowego.

– Więc dla hecy przywdziewałaś specjalny strój, żeby straszyć ludzi? – Marysia dalej nie może zrozumieć.

– Takie miałem poczucie humoru. Gdy byłem nastolatkiem, z kolegami paradowaliśmy po Tahlii w abajach, kolorowych turbanach, wymalowani jak transwestyci – uśmiecha się krzywo.

– No cóż... – wzdycha Meila. – Myślę, że już dość grzebania się w przeszłości, trzeba żyć teraźniejszością i walczyć o przyszłość. Dlatego też, Marysiu, zabieram twoją matkę do Dżakarty na leczenie alternatywne.

– To znaczy?

– Chińskie bańki, grzybki halucynogenki, refleksologia, czary-mary i wysysanie choroby u chińskiego specja – z przymrużeniem oka przedstawia swój plan.

– Mamo! Miej litość! – Karim łapie się za głowę. – Toż to średniowiecze!

– Ja też nie wszystko ci zawsze mówiłam, mój synu. A szczególnie tuż po tym, kiedy ponownie nawiązaliśmy kontakt. Już nie byłeś moim malutkim ukochanym Karimkiem, ale dorosłym dumnym obcym mężczyzną, który taksował mnie od stóp do głów i patrzył pogardliwym saudyjskim okiem na biedną głupią Indonezyjkę. – Mężczyzna tylko ścisną usta i zaprzecza, machając rękami. – Tak właśnie było, mój drogi. Wyniosłe spojrzenie Araba w wykonaniu azjatyckim. Teraz, Bogu dzięki, trochę odpuściłeś, więc mogę ci powiedzieć. Ja też miałam raka. Z moim guzem na piersi nie zgłosiłam się do ciebie i nie poddałam

wszystkim tym wyniszczającym nowoczesnym kuracjom, bo uważam to za ostateczność. Możliwe, że już miałabym po cycku, a tak proszę, nie ma nawet draśnięcia. Dlaczego? Bo wierzę w gusła? Nie! Powiem ci, że medycyna chińska od wieków leczy ludzi z najgorszych zaraz, trądu i syfilisu. Do Chińczyka poszłam na dzień przed zabiegiem ze świeżutkim wynikiem mammografii i biopsji w ręce. Powiedział, żebym o tydzień przełożyła operację, a po tygodniu nie było już co ciąć. Nikt w szpitalu nie chciał uwierzyć, że guła o średnicy dwóch centymetrów gdzieś zniknęła. Ale pomyślną terapię potwierdziły wszystkie możliwe badania, włącznie z komputerową tomografią. Ot co!

– Wspaniale! Cudownie! Może jedźcie od razu, dzisiaj! – Marysia jest podekscytowana i dołącza w drodze na taras do dwóch dojrzałych kobiet, pytlując z nimi bez skrępowania. – To powiedz mi, Meila...

To, że udawałem mutawwę, to moje najdelikatniejsze wykroczenie, jakiego dopuściłem się w Saudii, podsumowuje pozostawiony samemu sobie Karim. A Marysia nadal o nic nie pyta! Nic jej nie interesuje? To, kim byłem za młodu, co robiłem w Królestwie, jak żyłem, o czym marzyłem i czego tam doświadczyłem? To niemożliwe, to wbrew kobiecej naturze, dochodzi do wniosku. Po prostu jej na mnie nie zależy i tyle... Robi mu się straszliwie przykro, bo czuje się odsunięty i niezrozumiany przez dwie kobiety, które kocha – krytykującą matkę i partnerkę, z którą marzy o stworzeniu stałego związku.

– Nie marszcz czoła, panie doktor! – Marysia niespodziewanie wraca, podbiega do niego i obejmuje za szyję. – Oby żadna z nas nigdy nie musiała korzystać z twoich usług. – Całuje go w usta, a on niesamowicie się peszy, bo Azjaci nigdy publicznie nie okazują swoich uczuć. – Masz zawód podobny do grabarza, więc nie dziw się, że klienci... pacjenci nie chcą trafić w twoje ręce. – Wybuch beztroskim śmiechem.

– Dziękuję ci bardzo! – Rozbrojony mężczyzna czule patrzy na kobietę swojego życia. – Prawie dziesięć lat studiów po to, żeby ludzie mnie nienawidzili. – Komicznie wykrzywia twarz.

– Ale jak już trzeba by się oddać w łapy takiego łapiducha, to Bogu dzięki, że mamy ciebie. – Marysia znów chichra, siadając mu na kolanach. – A tak na poważnie, to kiedyś jeszcze wezmę cię na spytki. – Zabawnie grozi mu palcem. – Szykuj się, a najlepiej już rób notatki. Lecz teraz jest taka rewelacyjna pogoda, jestem taka szczęśliwa i podekscytowana, że lecę do moich bab – oznajmia, mierzwiąc mu włosy. – Wiesz, że w tym domu jesteś w tragicznej mniejszości!

Wszystkie wątpliwości Karima znikają w jednej chwili. Uspokojony, kładzie się w cieniu na plażowym łóżku i obserwuje sielski obrazek. Mała Nadia smacznie śpi w hamaku, bujana przez troskliwą indonezyjską nianię, trzy całkowicie różne kobiety o odmiennym pochodzeniu, kolorze skóry i włosów plotkują, polegując na gazebo, w oddali szumi ocean, a w koronach drzew, otaczających ich prywatny basen, ćwierkają ptaki. Mężczyzna patrzy na te wszystkie cudowności i stwierdza, że chciałby tę chwilę zatrzymać w kadrze.

– Ależ wielkie jest to miasto! – Dorota podziwia Dżakartę z lotu ptaka. – Jakie rewelacyjne nowoczesne wieżowce i hotele!

– I slumsy – dorzuca ironicznie Meila.

– No tak, słyszałam, że wszystkie te piękne gmachy są oklejone budami żebraków.

– Nie wszyscy są żebrakami. Żyją tu ludzie, którzy jakoś zarabiają na miskę ryżu dziennie i usiłują coś zrobić, żeby wyrwać się z tego gnoju – oświadcza dumnie Meila. – Ja

sama mieszkałam w największych chyba slumsach w Dżakarcie, w dzielnicy Kota. Potem w trochę lepszym miejscu na Glodok, a teraz już w całkiem dobrym – śmieje się.

– Coś niesamowitego! – Dorota jest pełna uznania. – Że też można się wydostać z takiego szamba! Ale i tak uważam, że jesteś wyjątkiem potwierdzającym regułę.

– Trzeba tylko mieć szczęście i znaleźć kogoś, kto poda ci pomocną dłoń. A ja właśnie takich wspaniałych ludzi spotykałam na mojej drodze i dlatego teraz sama staram się wspierać innych. – Indonezyjka małą dłonią ściska mocno rękę koleżanki.

– Dzięki. – Polka z wdzięcznością całuje ją w policzek, a ona peszy się i oblewa rumieńcem jak mała dziewczynka.

– Nie dziękuj przed czasem. Chociaż masz tyle dobrych wibracji wokół siebie, że musi się udać.

– Ja też zaczęłam już w to wierzyć. A Marysia to w ogóle jest w stu procentach pewna mojego uzdrowienia. – Matka lekko pokpiwa z zapalczego, typowo arabskiego charakteru swojej córki.

– Może jeszcze uda się odzyskać tego jej synka – zastanawia się Meila, bo tak jej, jak i pozostałym ciągle ciąży ta sprawa.

– Kochana! Skoro ona go dobrowolnie oddała, to już po herbacie. – Dorota zna swoją pierworodną. – A z drugiej strony, nie będzie tam miał źle. Tatuś Bin Laden obsypie go złotem i dolarami i będzie rozpieszczal jak mało kto.

– To on jest przyzwoitym Arabem? – z powątpiewaniem pyta Meila, bo jakoś nie chce jej się w to wierzyć.

– Zdarzają się i on do takich należy – potwierdza Polka. – Nawet byłabym za tym, żeby mu kiedyś powiedzieć, że Nadia się odnalazła. Bardzo ją kochał, pomimo że wiedział, iż nie jest jej biologicznym ojcem.

– To rzeczywiście dobry chłop.

– Chciałabym też, żeby Marysia miała jakikolwiek kontakt ze swoim synem, nawet jako ciocia, ale żeby choć czasami mogła go zobaczyć.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Ona na pewno cierpi i tęskni za nim. – Meila nie popiera tej idei swojej nowej przyjaciółki. – Myślę, że nie powinnyśmy się wtrącać. To jest ich życie, Karima i Marysi, więc niech je sobie układają, jak chcą. Pragnę tylko, żeby wzięli ślub. Może wtedy zdecydują się na własne dziecko, a my już będziemy go pilnować jak oka w głowie.

– Masz rację. Niech rządzą się sami. Teraz najważniejsze, żebyśmy zdążyła uciec przed kostuchą, bo bardzo chciałabym dożyć tej chwili, kiedy moja pierworodna znów stanie na ślubnym kobiercu. Na pierwszej uroczystości nie byłam, a wypadaloby przynajmniej w jednej uczestniczyć.

– Wyzdrowiejesz. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze – pociesza ją Meila, choć w głębi duszy boi się, że wypowiada te słowa bezpodstawnie. *Nie zawsze się udaje*, myśli, ale nie okazuje smutku, tylko swoim zwyczajem przywdziewa maskę z radosnym uśmiechem.

Zachwyt Doroty Dżakartą szybko stygnie, kiedy okazuje się, że droga z lotniska do centrum miasta zajmuje im trzy i pół godziny. Kawalkady motorów, starych ciężarówek, wielkich, głośno trąbiących autobusów i rozklekotanych samochodów otaczają ich komfortowe klimatyzowane auto. Wleką się w korku, który nie ma końca. Indonezyjka, przyzwyczajona do takiej sytuacji, w ogóle się nie przejmuje – rozgląda się beztrzesko, wysyła SMS-y, mailuje i przerzuca kolorowe damskie pisma. Dorota zaś siedzi jak na szpilkach i wydaje jej się, że zaraz wyskoczy ze skóry.

– Najpierw się odświeżymy, potem zrobimy badania, a na koniec pojedziemy coś zjeść

– zdradza swój plan Meila.

– W porządku – zgadza się Polka. – Tylko kiedy my dojedziemy?

– Już niedługo, maksymalnie pół godziny.

– Ale przecież na opis badań trzeba będzie czekać z tydzień, a to niesamowicie przedłuży nam początek terapii – martwi się chora.

– Nie u nas, kochana. Jedziemy do prywatnego szpitala, robimy testy, idziemy na kawę, a po jej wypiciu czekają na nas gotowe wyniki. – Meila oświeca kobietę nieświadomą tego, jak sprawnie działa służba zdrowia w tym kraju.

– A mówi się, że u was jest źle.

– Dla tych, których nie stać, jest niewesoło, ale my nie musimy oszczędzać – mówi, jednak nadal pamięta, że sama musiała kiedyś jak żebraczka błagać o leczenie syna. – Powiedz mi jeszcze, czy na obiad chcesz iść do eleganckiej restauracji dla cudzoziemców, czy do tradycyjnego dobrego *warungu*?

– Pewnie że wołałabym spróbować miejscowej kuchni, ale słyszałam, że tu nie wolno jeść w budach na ulicy, bo jak nic złapie się tyfus czy salmonellę.

– Nie wszędzie! – oburza się lokalna patriotka i dodaje autorytatywnie: – W moim *rumah makan* na pewno nie!

– To super! Chodźmy zatem do *warungu*! – Dorota czuje się bezpiecznie pod opiekuńczymi skrzydełkami malutkiej Azjatki.

Z wyjątkiem dojazdów wszystko tutaj urzeka Polkę. Ogromny apartament Meili w wieżowcu z cudnym widokiem na stolicę zapiera jej dech w piersiach. Nie może wyjść z podziwu, że tak wysoko nad ziemią można mieć na tarasie ogród, w którym na dokładkę rosną strzeliste palmy.

Badania rzeczywiście wykonano i opisano błyskawicznie. Potem, niestety, znów kobiety godzinę wleką się w korku.

– Szybciej by było motorem, ale nie chcę cię narażać na kolejny stres i nie daj Bóg kalectwo – żartuje Indonezyjka, widząc zniecierpliwienie swojej towarzyszki.

– A ty jeździsz taką pyrkawką? Nie boisz się? – dziwi się Dorota. – Przecież jest ich tu tysiące i suną jeden przy drugim, są niczym inwazja moskitów! Mijają się na odległość centymetra, ocierają o samochody, zajeżdżają drogę. To istne szaleństwo!

– Oczywiście, że na co dzień, i to szczególnie w centrum, nie tłukę się autem. Każdy Indonezyjczyk, nawet ten bogaty, używa motoru – uświadamia cudzoziemkę Meila. – Jesteśmy na miejscu. – Otwiera drzwi i wyskakuje na brudny chodnik przed swoją restauracją na Glodoku, którą odziedziczyła, jak zresztą cały swój wielki majątek, po panu Shinto.

– No, no, no... – Dorota, oblepiona wilgotnym, pełnym spalin powietrzem, ledwo łapie oddech. – To jest tradycyjne miejsce, tak? – Niepewnie rozgląda się wokół i widzi tylko brud, smród i ubóstwo.

– Nie załamuj się! – Meila czyta jej z oczu. – W środku jest chłodno i czysto. Naprawdę nie zamierzam cię otruć. – Wybucha zaraźliwym śmiechem. – Witaj, Aiko! – chcąc przekrzyczeć hałas, wykrzykuje do okrągłutkiej starej i pomarszczonej Chinki. – To moja dobrodziejka, która na początku kariery pomagała mi w pracy i w wychowaniu Adindy – przedstawia kucharkę.

– A co takiego robiłaś? – interesuje się Dorota.

– To co ona. Stałam przy kotle i mieszałam zupę – wyznaje zwyczajnie, a Polka nie może sobie wyobrazić, że ta zadbana, elegancka, inteligentna kobieta, mówiąca po angielsku lepiej od niej, kiedyś wykonywała taką nikczemną robotę. – Nie chce ci się wierzyć, co?

– Masz rację, jakoś cię tutaj nie widzę.

– A wiesz, że byłam wtedy całkiem szczęśliwa? To dopiero paradoks! – Meila bierze Dorotę pod pachę i omijając *warung*, witrynę z papierosami i lodówkę Coca-Coli z zimnymi napojami, ciągnie do wnętrza lokalu. – Aiko! Weź czyste talerze ze środka i nałóż pani trochę zupy *bakso* i *nasi goreng* – wydaje polecenia pracownicy. – W restauracji serwujemy chińskie dania, ale musisz spróbować naszego lokalnego indonezyjskiego specjału – tłumaczy Dorocie.

Kobiety rozsiadają się wygodnie przy czystym, przykrytym kolorową ceratą stoliku i popijają pyszną jaśminową herbatę. Zapachy rozchodzące się z lady, gdzie stoją podgrzewane pojemniki z jedzeniem, są oszalamiające. Kelnerzy przynoszą potrawy na małych talerzykach wielkości podstawek pod filiżanki; jest ich taka różnorodność, że stół zaraz zostaje w całości zastawiony.

– Muszę cię uprzedzić, że nasz Chińczyk cudotwórca, przyjmuje w dość kiepskich warunkach. – Meila nawiązuje do czekającej je nazajutrz porannej wizyty. – Nie jest to ani szpital, ani ośrodek, jedynie blaszana szopa w ogrodzie. – Dorota zgadza się na wszystko, byle wyzdrowieć, bo zdaje sobie sprawę, że nowotwór zapałny jest jednym z najbardziej parszywych złośliwców. – Już cię zapisałam, ale i tak trzeba będzie czekać, bo po ratunek przychodzą tam setki ludzi.

– Nic się nie bój. Będę cierpliwa. Nie zrażam się tak łatwo – obiecuje. – To moja ogromna szansa, być może jedyna.

– Wszystko będzie dobrze – znów wspiera ją koleżanka. – A teraz jedz i rozkoszuj się smakiem. To najlepsze chińskie zarcie w całej Dżakarcie! – zachwala z uśmiechem, lecz w oczach ma powagę, bo boi się o tę kobietę jak o siebie samą.

Słowa Meili były oględne, kiedy opisywała miejsce, w którym przyjmował chiński uzdrowiciel. Realia przekraczają wszystko, co Dorota mogła sobie wyobrazić. Kierowca parkuje samochód dobry kawałek dalej, bowiem od natłoku pojazdów uliczka jest praktycznie zablokowana. Ponieważ zawsze są tu tłumy chorych, kwitnie też obwoźny biznes. Rozstawiono szereg *warungów* ze smażonym jedzeniem, papierosami, zimnymi i gorącymi napojami, świeżymi owocami, a nawet kapeluszami i czapkami chroniącymi od słońca. Po przekroczeniu bramy kobiety widzą całe zastępy ludzi. Część z nich siedzi w typowo indonezyjski sposób – prosto na ziemi, inni rozścielili maty i leżą na nich lub nawet śpią. Widać wózki inwalidzkie z chorymi, małe dzieci spokojnie drzemiące na rękach matek czy niań lub goniące w kółko. Harmider jest nie do wytrzymania – wszyscy się przekrzykują albo rozmawiają przez telefony komórkowe. Nie ma ściśle określonej granicy wiekowej, są tu tak noworodki, jak i ludzie starzy, stojący już właściwie nad grobową deską. Wszyscy chcą żyć i być zdrowi, wszyscy wierzą też w uzdrawiającą moc niezwykłego mężczyzny. Papiery czy tacki z jedzeniem, plastikowe kubki i opakowania walają się pod nogami, tak że Dorota, prowadzona za rękę przez Meilę, musi lawirować między śmieciami a nogami oczekujących.

– Chodź! – Meila poganiana koleżankę. – Widzę już kobietę, która zbiera opłaty. – Wspinają się na małe betonowe podwyższenie. Siedzi na nim gruba brudna baba, ledwie widoczna z za palet jaj, które wystawiła na prażące słońce. Najwyraźniej oprócz roli recepcjonistki robi tu również własne interesy. – Jesteśmy zapisane. – Meila zwraca się do niej po indonezyjsku. – To stówka za wizytę, a to druga dla ciebie, żebyś dała nam jakiś bliższy numer. – Wciska pieniądze w błyszczące od tłuszczu dłonie kobiety.

– Nie ma już nic bliskiego – oznajmia ta, wyginając nonszalancko wargi. Widać, że czuje się bardzo ważna. – Macie. Jak nadejdzie kolej, będę wołać.

– *Bagus! Bagus!* – Meila, biorąc numer sto trzynaście, cieszy się, jakby wygrała los na loterii.

– O mój Boże! – woła Dorota. – Będziemy tu siedzieć do wieczora!

– Nic się nie martw. To babsko nie umie liczyć, daje to, co wpadnie w jej brudną łapę. Normalnie dostaje rebuchę dwadzieścia tysięcy rupii, ja dałam jej stówę, to zobaczysz, że o nas nie zapomni.

Indonezyjka zna realia swojego kraju – korupcja kwitnie wszędzie, nawet w takich prymitywnych warunkach. Kobiety siadają pod drzewem na niewielkim wolnym jeszcze skrawku klepiska i w milczeniu oczekują na wezwanie. Po niespełna piętnastu minutach baba wydziera się, podając ich numer.

– Wejść z tobą, bo tam rozmawia się tylko w *bahasio*. – Meila natychmiast oferuje Dorocie swoją pomoc.

– Oczywiście! Dzięki!

Wchodzą do środka blaszanki i ich oczom ukazuje się skromny, wręcz ascetyczny widok. Jest tam jedno dość przestronne pomieszczenie, w którym znajdują się tylko stary klekoczący wentylator na nóżce, drewniany nieoheblowany stół z tłustymi papierami po jadle i rojem much na blacie, dwa krzesła i mata rzucona w kąt, której barwę trudno odgadnąć ze względu na pokrywającą ją warstwę brudu. Mały człowieczek stoi na środku pokoju i spoziera na blondynę spod półprzymkniętych powiek. Twarz ma tak pomarszczoną i wysuszoną, że wygląda jak Matuzalem, ubrania zaś niechlujne i wyblaknięte. Jest wzrostu dziecka, liczy nie więcej niż metr pięćdziesiąt. Dorotę ogarniają wątpliwości, lecz kiedy patrzy na rozpromienioną Meilę, znów zaczyna wierzyć w cud. Mężczyzna wskazuje jej krzesło, a sam siada naprzeciwko.

– Pokazać gdzie – bezosobowo zwraca się w *bahasio*.

– Proszę. – Dorota chce mu wręczyć wyniki USG i mammografii, ale on z lekceważeniem odtrąca papiery.

– To mnie nie interesuje. Pokazać palcem. – Po przetłumaczeniu polecenia przez Meilę kobieta niepewnie kreśli kółka nad swoją lewą piersią.

– Rozebrać się.

Meila wcześniej nie widziała objawów chorobowych koleżanki i teraz musi mocno nad sobą panować, żeby nie wlepić oczu w chorą tkankę. Skóra piersi jest w większości pokryta czerwonobordowym rumieniem, który w okolicach sutka przechodzi w pomarszczoną pomarańczową skórę, a sama brodawka jest w połowie wciągnięta do środka. *Na Boga!*, wykrzykuje w duchu Indonezyjka. *Nie spodziewałam się, że to jest takie ogromne! Ciężko będzie...*

Chińczyk w milczeniu wpatruje się w stan zapalny. W końcu bierze cienką bibułkę, przykładając ją do skóry Doroty, przybliża małe usta na odległość centymetra i bierze głęboki wdech. Potem sięga po niewielką blaszaną miseczkę i odpluwa. Ślina, która z niego wylatuje, ma czarnobordowy kolor zakrzepłej krwi. Czynność tę wykonuje jeszcze dwukrotnie, a na koniec wyciera czoło z potu i dyszy ciężko.

– Są przerzuty? – pyta piskliwym głosem.

– Nie wiem – odpowiada przerażona Dorota, bo to, co zobaczyła, nie mieści się jej w głowie. – Nie mam żadnych innych objawów, bóleści ani...

– Położyć się – przerywa jej Chińczyk.

Wskazuje matę, a chora siada na niej pokornie, choć z obrzydzeniem. Meila podkłada jej swoją jedwabną chustę i stoi tuż przy wezglowiu, magik zaś klęka, pochyla się nad kobietą i nie dotykając, przesuwając wzdłuż jej ciała pomarszczone ręce. Zatrzymuje się na chwilę nad wątrobą, zamyka oczy i ścisną dłoń w pięści. Po chwili cieknie z nich substancja w tym samym ciemnym kolorze, w jakim była jego ślina. Kobiety są przerażone, ale nie odzywają się. Dorota z nerwów cała drży.

– Ubrać się i siadać tutaj – rozkazuje Chińczyk. – Jest to rozległa sprawa – tłumaczy Meili. – Nie będzie prosto... – Zamyśla się. – Przychodzić tutaj codziennie przez tydzień, ale o piątej rano. – Kobieta bez słowa potwierdza. – Wtedy mam największą moc, bo co pacjent, to jej ubywa. Dzisiaj na przykład już nikogo nie przyjmę.

– Dobrze, panie. – Indonezyjka jest pełna podziwu. Kłania się ze złożonymi przy czole rękami, patrząc uniżenie w oblicze guru o kolorze kości słoniowej. Widać po nim ogromne wyczerpanie.

– Nic nie zażywać, żadnej innej terapii się nie poddawać – zastrzega. – Potem zrobimy tydzień przerwy, a następnie znów przyjdzie – kontynuuje bezosobowo. – Na koniec możecie sobie zrobić szpitalne badania. Jednak nic nie obiecuję... Trzeba było przyjechać wcześniej. – Ostatnich słów Meila już nie tłumaczy, bo Dorota mogłaby się załamać. Wie, że nadzieja to połowa sukcesu, i nie chce jej pozbawiać tego światelka.

Cały następny tydzień kobiety wstają skoro świt, załatwiają niezwykle wizytę, a potem buszują po Dżakarcie. Meila pokazuje koleżance najciekawsze miejsca, zabiera ją nawet do slumsów i oczywiście do outletów, z których słynie Indonezja. Dorota za pół darmo kupuje markowe torby, ubrania i buty dla siebie i dla Marysi, a przede wszystkim dla Nadii. Jak każdej kobiecie ta część pobytu sprawia jej największą przyjemność. Wieczorami, żeby nie siedzieć na zmysłach i nie układać czarnych scenariuszy, chodzą do pubów na Kemangu, do kina, na kariokę, a także na lekcje salsy do Polki Luizy, która mieszka w Indonezji od dwudziestu lat. Dorota jeszcze nigdy nie była w azjatyckim multipleksie, więc jest to dla niej niemały szok. Kupują bilety do części VIP-owskiej i każda z nich ma do dyspozycji sofę z poduszką i mięciutkim pledem. Między każdymi dwoma leżankami stoi mały stoliczek, bowiem podczas seansu można popijać wino, piwo, koktajle i zjadać smaczne dania, zamówione wcześniej w kinowej restauracji. Malutka kelnerka siedzi na schodach i czuwa nad widzami. Kiedy tylko opróżni się kieliszek lub szklanka, natychmiast dolewa napoju. Życie nie umierać, myśli szczęśliwa Dorota, której w takim przybytku rzeczywiście udaje się zapomnieć o swojej śmiertelnej chorobie. *Cóż za sprawiedliwość na tym świecie! Z jednej strony ludzie żyją w slumsach na pograniczu ubóstwa, a z drugiej – są rozpieszczani w kinach, teatrach, salonach masażu.* Nie podoba jej się taki podział, jednak cieszy się, że jest tutaj.

– Okej. – Po ostatniej sesji Chińczyk wypowiada pierwsze słowo w innym języku niż *bahasa*. – Myślę, że jesteś już wystarczająco oczyszczona, żeby przejść do najważniejszej części terapii – oznajmia, lecz ani Dorota, ani Meila nie mają pojęcia, co teraz nastąpi.

Mężczyzna jak zawsze kładzie cienką bibułkę na piersi kobiety, przybliży usta do samego sutka i nie dotykając go, intensywnie zasysa powietrze.

– Ach! – krzyczy chora, prężąc się jak struna, bo dzisiaj po raz pierwszy poczuła ból. Znachor odpluwa, lecz jego ślina jest już tylko jasnoczerwona. Zabiera papierek i oczom kobiet ukazuje się różowa brodawka, która znów jest wypukła i wygląda, jak należy. – Niemożliwe! – Dorota ma ochotę wycalować kruchego starca, ale wie, że nie byłoby to na miejscu.

Patrzy w oczy swojej przyjaciółki i obie uśmiechają się do siebie. *Może jednak mam jeszcze szansę, jest pełna dobrych myśli.*

Meila i Dorota postanawiają dołączyć do swoich dzieci i wnuczki na Bali, bowiem już bardzo się za nimi stęskniły. Marysia zadzrecha matkę codziennymi telefonami, rozmowy trwają godziny. Znów zaczęły sobie opowiadać o wszystkim, znów zbliżyły się do siebie, choć zgodnie omijają temat choroby i kuracji. Córnica czeka, aż matka sama jej powie, i nie chce naciskać, żeby jej nie stresować.

– Nie wiem, czy to coś dało, ale bezsprzecznie stwierdzam, że jest lepiej – oznajmia Dorota podczas uroczystej powitalnej kolacji nad brzegiem basenu. – Nie pokładałam zbyt

wielkich nadziei w tym faciu, szczególnie kiedy go zobaczyłam, ale muszę wam wyznać, że jest niesamowity. Jeśli mi nie pomoże, to tylko dlatego że sprawa była już przeleşała i zbyt rozleşła, a nie ze względu na brak nadzwyczajnej mocy. Jest genialny! – wykrzykuje, a wszyscy cieszą się, że ma tak dobry humor i wierzy w wyzdrowienie.

– Powiem ci, Karim, że lżejsze przypadki w początkowym stadium choroby powinieneć kierować do niego – doradza Meila, chociaż na twarzy syna maluje się niedowierzenie. – Jakbym nie widziała na własne oczy, to też mogłabym wątpić, ale jak Boga kocham, cuda się zdarzają.

– Dobrze, już dobrze! Jeśli pozwolisz, Doroto, to jutro cię zbadam i wtedy wypowiem się na ten temat. – Lekarz poddaje się, bo nie chce psuć miłej atmosfery.

– Po co czekać do jutra? – woła pacjentka. – Wszyscy w tym towarzystwie widzieli już moje cycki, więc nie mam się czego wstydzić. – Z figlarną minką rozpina bluzkę, a następnie biustonosz i wyciąga pierś. Stan zapalny zniknął, a w miejscu pomarańczowej skórki pozostał jedynie wysuszony obszar, który Chińczyk kazał kremować. Sutek, dotychczas wciągnięty do środka, teraz zwyczajnie sterczy do przodu.

– Do cholery! – Karim podnosi głos, gwałtownie wstaje i podchodzi do swojej pacjentki. – Nie do wiary! – Marszczy czoło i masuje podbródek, przybliżając twarz do piersi Doroty, jakby źle widział. – Kiedy testy?

– Za tydzień wracamy do Dżakarty i potem badania.

– Jeśli wyjdą poprawne, to obiema rękami zacnę się podpisywać pod naturalnymi metodami i medycyną chińską, a cudotwórców, magików i czarownice będę nosił na rękach. – Wszyscy wybuchają beztróskim śmiechem, a Dorota szybko się ubiera.

– Skoro mamy taki radosny wieczór i pomyślne wieści, to teraz my chcielibyśmy wam coś oznajmić. – Do rozmowy włącza się nieco speszona Marysia.

– Tak? Co takiego? Mówcie? – Mamy mówią jedna przez drugą, bo liczą, że za chwilę usłyszą to, o czym skrycie marzą.

– Zaręczyliśmy się z Marysią i pragniemy trwale związać się węzłem małżeńskim – poważnie oznajmia Karim, a jego wybranka kładzie mu dłoń na ramieniu i z miłością patrzy w oczy.

– Hura! W końcu! Wszystkiego najlepszego! Oby wam się dobrze działo! – Wiwatom i toastom nie ma końca, a balijska noc pozwala im świętować jeszcze długie godziny, otulając ich swoim ciepłem jak w kokonie.

Czas narzeczeństwa upływa młodym na planowaniu ślubu, który oczywiście musi się odbyć na Bali. Ta indonezyjska wyspa, która dla przyjezdnych stanowi raj na ziemi, stała się ogromnie popularnym miejscem zawierania związków małżeńskich. Bo gdzie indziej ołtarz można postawić nad brzegiem oceanu, zrobić ślubne zdjęcia o zachodzie słońca kryjącego się wśród fal i mieć gwarantowaną pogodę przez cały rok? Jeśli przyjeżdżają tu ludzie z całego świata, to byłoby dziwne, gdyby mieszkańcy archipelagu nie wykorzystywali pod tym względem swojej urokliwej wyspy. Zwłaszcza jeśli mają na niej własną rezydencję i kompleks hotelowy.

– Na ile osób planujecie ucztę? – Meila chce zawczasu wszystko zorganizować, bo z dostaniem ekskluzywnych produktów, które chce zaserwować, nie jest w Indonezji łatwo.

– A ilu ty będziesz miała gości? – Karim pyta matkę.

– Cóż... Rodziny nie mam zbyt dużej, a przypadkowych znajomych nie będę spędzać, bo to nie ma sensu. Proponuję oczywiście Janka – mówi z dumą i nutą kokieterii – Adindę,

twoją milusią siostrzyczkę, no i... może Aiko? – Zastanawia się jeszcze, ale wyraźnie smutnieje.
– Mówiłam, że nie mam prawie nikogo.

– A nie chciałabyś ściągnąć z Tugu swojej matki, a mojej babki? – nieśmiało proponuje syn.

– Co? – Mała kobietka wścieka się nie na żarty. – Tę kurwę, co wyrzuciła mnie z domu na ulicę, abym szeszła?! Własną niewinną córkę w ciąży! To może zaprosimy jeszcze mojego ojczyma, Hariego?! – wykrzykuje, nie panując nad sobą. – Nie chcę widzieć tych świń na oczy i mam ogromną satysfakcję, że ja mam w Tugu willę z basenem, a oni nadal mieszkają w drewnianej chałupie na palach.

– Słyszałaś coś kiedyś o przebaczeniu? – pyta spokojnie Karim.

– Nie jestem święta ani nadmiernie dobroduszna, a oni niech się modlą, żeby było im po śmierci wybaczone to, że tak straszliwie mnie skrzywdzili. Jakby ta szmata, Fatuma, chodziła głodna po prośbie, tobym ją psami poszczuła.

– Mamo, przecież ona jest już rozsypującą się starowiną...

– Niechby nawet była truchłem! Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! A jak mi zrobisz niespodziankę i zaprosisz ją wbrew mojej woli, to nie zobaczysz mnie na swoim weselu! Wybieraj! – wrzeszczy załamującym się głosem.

– Dobrze, już dobrze, mamo. – Karim podnosi ręce w obronnym geście, bo widzi jasno, że z jego rodzicielką nie ma co iść na udry.

– A ty kogo zapraszasz? – Meila bierze parę głębszych oddechów i uspokaja się.

– Marysiu, chodź do nas! – Mężczyzna woła swoją narzeczoną, która cały czas spędza z odzyskaną córeczką, bawiąc się z nią lalkami, w dom, w sklep, w gotowanie albo pluskając w przydomowym basenie. – Planujemy naszą ucztę. Ilu będzie gości z twojej strony?

– Już lecimy! – odkrzykuje, a Karim podziwiał swoją śliczną kobietę i jej słodką córeczkę. Obie mają już ten sam odcień mocnej opalenizny i ich skóra aż opalizuje w słońcu. – Moja rodzina to parę osób, mama, ojczym, Daria i Adaś oraz może polska babcia, ale nie wiem, jak ona zapatruje się na loty samolotem – zastanawia się Marysia, sadzając sobie córunię na kolanach. – Z mojej babusi już starsza kobitka.

– A jakieś koleżanki, przyjaciółki?

– Brak – wyznaje i rozkłada ręce.

– A ta familia, która pomagała ci w Tajlandii?

– Wiesz, że o nich zapomniałam? Można by, choć najbliższy memu sercu przyjaciel, Pravat, niestety już nie żyje. – Karim robi zdziwioną minę, bo nie uczestniczył w wyznaniach dziewczyny w Tugu i prawie nic o tym okresie w jej życiu nie wie. Patrzy na nią zatem pełen wyczekiwania. – Spokojnie, był transseksualistą – chichocze kobieta, a Meila przybija jej piątkę, narzeczoną zaś głupio się czuje z powodu nieuzasadnionej zazdrości.

– Ja natomiast chciałbym zaprosić tylko... – Mężczyzna bierze głęboki wdech – ...mojego ojca Fajsala.

– Chyba żeś zgłupiał! – Matka aż podskakuje na krześle. – Nie ma mowy!

– Mamo, sama powiedziałaś, że gdyby nie on, mógł bym nie żyć, a na pewno byłbym większym kaleką, niż jestem. Dzięki niemu otrzymałem znakomite wykształcenie, a przede wszystkim – wyciąga rękę, nie dając sobie przerwać – ten islamista i fanatyk obdarzył mnie ogromną miłością, o którą sam ciągle musiał walczyć. Nie tylko ze mną, krnąbrnym chłopakiem, ale przede wszystkim ze swoją żoną i córkami, które darzyły mnie czystą, okrutną nienawiścią.

– No cóż... – Meila nie znajduje już argumentów przeciwko. – Jeśli tak mówisz.

– Wielu gości nie będziemy mieć, ale za to jakie doborowe towarzystwo! – Szczęśliwy

Karim obejmuje swoją ukochaną i mruga porozumiewawczo do matki.

W dniu ślubu na Bali – jak zawsze na tej wyspie – jest przepiękna słoneczna pogoda. Wszyscy mają wspaniałe humory, nawet Adinda od czasu do czasu się uśmiecha. Możliwe, że dzieje się tak za sprawą adoracji ze strony Łukasza, który nie jest w stanie oderwać od niej oczu. Małeńka filigranowa Indonezyjka o długich zgrabnych nogach i biuście jak dwa małe jabłuszka całkowicie przesłoniła mu świat. Prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna zachowuje się jak młody chłopak, a sądził, że jakiegokolwiek uczucia i emocje są poza nim i że radość życia nie jest mu już pisana. Nie myśli teraz o Dorocie i swoim małżeństwie, o dzieciach i obowiązkach. W batikowej cienkiej koszuli z palemkami czuje się młody, pełen wigoru i nadziei. *Jeszcze wszystko przede mną*, powtarza sobie, wodząc wzrokiem za kobietą, która wygląda jak nastolatka. Oczywiście sytuacja ta nie umyka uwagi Doroty, która jest bardzo zadowolona z obrotu spraw, bo sama czuje się wypalona uczuciowo w stosunku do swego męża i ich związek od dawna ją męczy. Woli być sama, niż tkwić w kajdanach sztuczności i niezrozumienia. *Niech się chłopina na starość jeszcze trochę zabawi*. Postanawia otwarcie porozmawiać z mężem i oddać mu wolność. *Dość już udawania!*, podejmuje ostateczną decyzję.

Meila jest dumna ze swojego polskiego przyjaciela. Janek góruje nad wszystkimi wzrostem i zagłusza kaskadami zaraźliwego śmiechu. Sama ujawnia też przed polskim towarzystwem, że i ona potrafi władać ich językiem – wprawdzie nie tak biegle jak jej syn, ale zawsze trochę.

– Nie sądziłam, że tak daleko od ojczystej ziemi będę słyszała polską mowę, i to jeszcze z ust Indonezyjczyków. – Daria jest zaskoczona, bo sama, ucząc się w Anglii, coraz bardziej kaleczy swój rodzimy język.

– Bierz przykład i pracuj nad wymową – poucza ją Dorota. – Mamy polsko-indonezyjską rodzinę na rajskim archipelagu pod równikiem. Kto by się spodziewał!

– Och, mamó! – Nastolatka klaszcze w ręce. – Tak sobie właśnie wyobrażam niebo.

– Zgadzam się z tobą i dlatego na jakiś czas przenoszę się na tę wyspę – informuje towarzystwo. – Ty, Łukasz, urządz sobie wreszcie życie po swojemu. Adaś jest synusiem tatusia, więc wystarczy mu przyjazd do mamy raz w roku na dwumiesięczne wakacje. Daria z domu już wyszła, Marysia też, więc... Nasza rodzina dawno przestała istnieć, a zachowała się jedynie proforma na papierze.

– A co ty tutaj będziesz robić? – nieprzyjemnym głosem indaguje mąż. – Za co się utrzymasz, bo wybac, ale ja mam już dość kosztów. Płacę za Londyn, prywatną szkołę małego, utrzymanie wielkiego domu w Gdańsku, więc sorki, ale nie będę w stanie ci tego zafundować – oznajmia twardo.

– Nic się nie bój – uspokaja go żona. – Zaoferowano mi pracę i mieszkanie, dam sobie radę. A dom trzeba sprzedać i uczciwie podzielić się pieniżkami.

– Co?! Mamó, co ty mówisz?! – pyta Daria.

– Akurat w dniu mojego ślubu decydujesz się na rozwód?! – Marysia jest wściekła. – Myślisz, że to przyniesie mi szczęście?

– Nie bądź przesadna. – Matka poklepuje ją po plecach. – Lepiej okazać uczciwość w takiej ważnej chwili niż kłamstwo i fałsz. Nie uważasz?

– To my się przespacerujemy, a wy sobie swobodnie pogadajcie. – Janek duszkiem dopija piwo, chwyta Meilę za rękę i odciąga od stolika.

– Nie ma co uciekać – oznajmia Dorota. – Nikt się nie kłóci, nikt nie jest obrażony, a nam z Łukaszem chyba ulżyło. – Patrzy rozbawiona w oczy swojego długoletniego partnera.

– To racja – potakuje mężczyzna. – Wszystko uczciwie sfinalizujemy, a ja życzę ci

powodzenia... w raj.

– Ja też będę mogła przyjeżdżać do ciebie na wakacje? – W głosie Darii wciąż brzmi zdziwienie, choć jest już uspokojona.

– A jakżeby! – Dorota klaszcze w dłonie. – Koniecznie!

– Przecież jeszcze ja tu jestem, siostrzyczko. – Marysia w głębi duszy cieszy się, że będzie miała matkę tak blisko siebie. – Może my też przeprowadzimy się na Bali, co Karim? – pyta narzeczonego. – Dżakarta to paskudne miasto.

– A co niby miałbym tutaj robić? Łowić ryby?

– Czemu nie? Jako lekarz musisz mieć niezmierną cierpliwość, więc może byś jakąś złotą rybkę chwycił! – żartuje Janek.

– Słuchajcie! – Meila włącza się do rodzinnej dyskusji. – Wszyscy się tutaj przeprowadźmy i będziemy sakom-pakom żyli długo i szczęśliwie.

Towarzystwo nagradza jej słowa okrzykami i aplauzem, bo świetnie się bawią w hotelowym kompleksie. Ze swojego miejsca przy stoliku nad basenem doskonale widzą ocean i fale rozbijające się o brzeg. Mogą obserwować surferów, którzy gromadnie przyjeżdżają tu, kuszeni ciepłą wodą i łagodnymi falami, bądź liczne rodziny baraszkujące na plaży. Wzdłuż brzegu ciągnie się ścieżka joggingowa, na której co chwila widać biegacza. Siedzą przy niej też indonezyjskie kobiety zachwalające towary na sprzedaż: wisiorki z pereł i koralu, obrazy malowane od sztancy, torebki oraz ręcznie tkane barwne batik i *ikaty*. Na dużym zadaszonym podeście nad samym oceanem pracownicy hotelu ustawiają dwa wielkie fotele dla państwa młodych oraz krzesła dla gości. Wszystko jest udekorowane białym i różowym tiulem oraz girlandami kwiatów.

– Dzisiaj wieczorem będzie wspaniale. – Para młoda odłącza się od grupy i idzie w kierunku brzegu oceanu. – Już się nie mogę doczekać. – Marysia aż promienieje radością.

– Ja też – wyznaje Karim.

– W ogóle się nie stresuję i nie boję. Przy tobie jestem taka spokojna. – Przytula twarz do jego ramienia. – Dajesz mi niewypowiedziane poczucie bezpieczeństwa.

– A ty mi największe szczęście.

– Mama! Tata! – Mała Nadia, widząc swoich najbliższych, wrywa się niance i pędzi do nich, ile sił w jej krótkich pulchnych nóżkach.

– Będę dla niej najlepszym tatą, jakiego można sobie wyobrazić – obiecuje Karim.

– Wiem i za to cię kocham. – Marysia chwytą córeczkę na rękę.

Kobieta po tragicznych przejściach i mężczyzna z bagażem życiowych doświadczeń idą ramię w ramię, wsłuchując się w szum fal. Mają nadzieję, że przed nimi są już tylko cudowne chwile i że czeka ich świetlana przyszłość. Przecież zła passa nie może trwać wiecznie i każdy powinien otrzymać od życia to, na co zasłużył. A oni zapracowali na dobry los. Spotkali się na końcu świata, lecz nici ich życia od dawna się splatały, a to może oznaczać tylko jedno: są sobie pisani.

80 *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* (łac.) – Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina; formuła wyrażająca żal za grzechy w spowiedzi katolickiej.

INDONEZYJSKIE ABC

Historia

III–I w. p.n.e. Przodkowie Indonezyjczyków, plemiona austronezyjskie, przybyli na Archipelag Malajski prawdopodobnie z południowych Chin.

I w. n.e. Otwarcie morskiego szlaku handlowego pomiędzy Indiami i Chinami. Mieszkańcy Indonezji nawiązali kontakty z Indiami, na wyspach powstały ośrodki kolonistów, którzy szerzyli indyjską kulturę i religię. Na Sumatrze i Jawie stopniowo kształtowały się królestwa buddyjskie.

VII–XII w. Królestwo Śriwidżaja na Sumatrze, zachodniej Jawie oraz Kedah było morską potęgą; rozpościerało się na drodze handlowej między Chinami i Indiami.

X w. Królestwo Mataram na południowej Jawie; handel przyprawami z Wysp Korzennych (Moluki) do Chin i na Bliski Wschód; religią państwową był hinduizm (kompleks świątynny w Pambranan). Pokonani przez Śriwidżają.

XIII–XVI w. Królestwo Majapahit na Jawie, które pochłonęło upadającą Śriwidżają. Jego panowanie i wpływy objęły w XIV w. prawie całą obecną Indonezję, Archipelag Malajski, Czampę, Tajlandię i Kambodżę. Oba królestwa były państwami morskimi, odgrywającymi znaczną rolę również w rejonie cieśniny Malakka. Terytorium Majapahit było porównywalne z terytorium Chin.

ok. 1400 r. Pochodzący z Sumatry książę Parameswara założył na krańcach Półwyspu Malajskiego państwo Malakka, które w krótkim czasie podporządkowało sobie znaczną część półwyspu oraz północną Sumatrę.

1410 r. Książę Parameswara przeszedł na islam, co sprzyjało rozpowszechnianiu w tym regionie nowej wiary, a także ułatwiało kontakty z muzułmańskimi kupcami z Arabii i Indii, których kolonie zaczęły się pojawiać już na początku XIII w. w większych portach Sumatry i Jawy. Islam szybko rozprzestrzenił się na wyspach indonezyjskich, gdzie powstało kilka sułtanatów (m.in. Bantam i Aceh). Przyczyniło się to do upadku królestwa Majapahit.

XVI w. Przybycie kolonizatorów europejskich, którym penetrację archipelagu ułatwiło rozdrobnienie polityczne.

1511 r. Portugalczycy podbili Malakkę.

1521 r. Na wyspach wylądowali Hiszpanie.

1596 r. W Indonezji pojawili się Holendrzy, by przejąć handel przyprawami korzennymi z Moluków, takimi jak gałka muszkatołowa, goździki i pieprz.

1602 r. Powstała Holenderska Kompania Wschodnioindyjska, która podporządkowała sobie większość państw Jawy i kontrolowała handel w całej Indonezji.

XVIII w. Likwidacja Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej – archipelag stał się kolonią Holandii pod nazwą Holenderskie Indie Wschodnie.

1799–1815 r. W okresie napoleońskim Indonezja przeszła we władanie Francji.

1811 r. Brytyjczycy zaczęli okupację Jawy, gubernatorem wyspy został Thomas Stamford Raffles, autor m.in. reformy administracji i podatków.

1824 i 1871 r. Na mocy uchwał konferencji w Londynie ziemie dzisiejszej

Indonezji zostały zwrócone Holandii.

1825–1830 r. Powstanie Diponegoro – pierwszy zbiorowy przejaw oporu wobec administracji kolonialnej. Obecnie powstanie to jest postrzegane jako początki jawańskiego nacjonalizmu i ideologiczna podstawa dla powstania późniejszych ruchów niepodległościowych, Diponegoro zaś zyskał sławę pierwszego bohatera narodowego. Powstanie pochłonęło życie 15 tys. żołnierzy armii rządowej i 200 tys. Jawajczyków.

1895 r. Zakończył się podbój archipelagu przez Holandię, a Indonezja stała się największą i najbogatszą kolonią holenderską.

po 1918 r. Po I wojnie światowej nasiliły się dążenia niepodległościowe. Z działających wówczas ugrupowań politycznych największe znaczenie zdobyła Indonezyjska Partia Narodowa (założona w 1927 r.) – z Sukarno na czele.

Ahmed Sukarno (1901–1970) – pierwszy prezydent niepodległej Indonezji, syn jawańskiego nauczyciela. Był przywódcą indonezyjskiego ruchu niepodległościowego. Po odzyskaniu wolności 17 sierpnia 1945 r. ogłosił powstanie Republiki Indonezji. Ustanowił system polityczny, który nazwał demokracją sterowaną. Polegał on na skupieniu w rękach prezydenta większości władzy wykonawczej przy utrzymywaniu skłóconego i rozbitego wewnątrznie parlamentu. W czasie swoich rządów coraz bardziej polegał na armii i Komunistycznej Partii Indonezji (PKI). Ustanowił rządową kontrolę nad mediami oraz prawo dyskryminujące Chińczyków zamieszkujących Indonezję. Doszło do zwiększenia pomocy dla Indonezji z krajów bloku wschodniego. Od 1966 r. aż do śmierci Sukarno był przetrzymywany w areszcie domowym.

1930 r. Działalność Indonezyjskiej Partii Narodowej została zakazana przez Holendrów.

1942–1945 r. Okupacja japońska. Japończycy popierali nacjonalizm, zwłaszcza o antyeuropejskim charakterze.

1945 r. Sukarno sformułował *Pancasila* („pięć zasad”) – zasady polityki wewnętrznej Indonezji (wiara w jednego Boga, humanizm, jedność narodowa, demokracja, sprawiedliwość społeczna). Niepodległa Indonezja współtworzyła ruch państw niezaangażowanych, a prezydent Sukarno stał się jednym z jego przywódców.

17 VIII 1945 r. Pod koniec japońskiej okupacji Sukarno proklamował niepodległą Republikę Indonezyjską. Po przybyciu (kilka tygodni później) oddziałów holenderskich doszło do walk zbrojnych.

1946 r. Pomimo uznania przez Holandię republiki (Jawa, Sumatra, Madura) nie doszło do zakończenia walk.

1949 r. Holandia uznała suwerenność Republiki Stanów Zjednoczonych Indonezji (zatrzymując do 1962 r. Papuę Zachodnią), które w 1950 r. utworzyły Republikę Indonezji.

1955 r. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Republiką Indonezji a Polską Rzeczpospolitą Ludową.

1957 r. Sukarno zastąpił „zachodnią” demokrację parlamentarną tzw. demokracją sterowaną o cechach autorytarnych. W nowym systemie politycznym zwiększono władzę prezydenta, uprawnienia administracji i wojska. Jednocześnie Sukarno, mimo pogarszającej się sytuacji gospodarczej, popierał reformy zmierzające do wprowadzenia w Indonezji gospodarki socjalistycznej (ułatwiał mu to oficjalny kult jego osoby).

1963 r. Indonezja wywołała konflikt z Malesją. Sytuacja polityczna i gospodarcza kraju stała się krytyczna.

1965 r. Generał Suharto przejął władzę, udaremniając nieudolnie przeprowadzony przez komunizujących oficerów zamach stanu. Armia przeprowadziła krwawą rozprawę

z komunistami (liczby zabitych i zaginionych kształtują się od 600 tys. do 2 mln). Ci, którzy uniknęli czystek, zostali zesłani do obozów koncentracyjnych na wyspie Buru w zachodniej części Moluków (również dzieci, nawet w wieku przedszkolnym). Osoby te do początku lat 90. uznawano za „byłych więźniów politycznych”, co obejmowało również ich rodziny do trzeciego pokolenia (wyłączeni z życia publicznego). Dopiero w 2005 r. otrzymali dowody osobiste.

Generał Suharto (1921–2008) – indonezyjski polityk, wojskowy, wieloletni prezydent (32 lata u władzy, sześć kadencji). Studiował w holenderskiej akademii wojskowej. Służył w holenderskiej armii kolonialnej, od 1945 r. dowodził partyzantką niepodległościową, a od 1949 r. piął się po szczeblach kariery w indonezyjskiej armii państwowej. Należał do frakcji prawicowej. W 1965 r. krwawo stłumił próbę przewrotu lewicowych wojskowych i komunistów oraz stopniowo odsunął od władzy prezydenta Sukarno. W latach 1966–1998 pełnił funkcję prezydenta, opierając się na władzy wojskowej i stosując do teorii „order baru” (nowy porządek), polegającej na depolityzacji społeczeństwa. W 1998 r. został odsunięty od władzy w wyniku powszechnych protestów społecznych przeciwko łamaniu praw człowieka, korupcji oraz cenzurze. Spowodowane to było również kryzysem gospodarczym, który ogarnął Azję.

1966 r. Zakończenie konfliktu z Malezją.

1967 r. Generał Suharto został mianowany prezydentem i przystąpił do odbudowy gospodarki Indonezji, korzystając z pomocy państw zachodnich.

1967 r. Indonezja podjęła współpracę z sąsiednimi państwami i przystąpiła do ASEAN.

1975 r. Indonezja zajęła Timor Wschodni, przemocą narzucając swoje panowanie miejscowej ludności.

1993 r. Suharto został po raz szósty prezydentem. Mimo sukcesów gospodarczych jego wieloletnie autorytarne rządy oparte na armii spotykały się z coraz większą krytyką społeczną.

1997–1998 r. Kryzys gospodarczy (pochodna dalekowschodniego kryzysu finansowego), kolosalny spadek wartości rupii i wzrost cen żywności przyspieszyły procesy polityczne w Indonezji. Doszło do zamieszek skierowanych głównie przeciwko zamożnej ludności pochodzenia chińskiego, dominującej w handlu i bankowości, oraz do burzliwych demonstracji studentów, protestujących przeciwko korupcji władzy i domagających się demokratyzacji systemu rządów.

III 1998 r. Suharto zostaje wybrany na siódmą kadencję prezydencką.

13–15 V 1998 r. Eksterminacja ludności chińskiej (Dżakarta, Medan, Solo) pochłonęła ponad 220 tys. ofiar, wartość zniszczeń przekroczyła 2,5 bln rupii (równowartość 250 tys. dolarów). Plądrowano sklepy, podpalano centra handlowe, zabijano mężczyzn, gwałcono kobiety.

21 V 1998 r. Ustąpienie prezydenta Suharto i przekazanie urzędu popieranemu wiceprezydentowi J. Habibiemu.

X 1999 r. Parlament Indonezji uznał wyniki referendum w Timorze Wschodnim, podczas którego ok. 80% głosujących opowiedziało się za niepodległością kraju. W latach 1999–2002 dawna kolonia portugalska administrowana była przez oddziały pokojowe ONZ. W 2002 r. proklamowano niepodległość.

VII 2001 r. Parlament indonezyjski wybrał na prezydenta przywódczynię opozycji Megawati Sukarnoputri (od X 1999 r. wiceprezydent Indonezji).

Megawati Sukarnoputri – córka byłego prezydenta Sukarno; liderka Indonezyjskiej Partii

Demokratycznej; prezydent Indonezji w latach 2001–2004.

X 2002 r. Zamach terrorystyczny na Bali, podczas którego zginęło ponad 200 osób, a drugie tyle zostało rannych. Jedną z ofiar była polska dziennikarka Beata Pawlak.

W Indonezji uaktywniły się międzynarodowe islamskie ugrupowania terrorystyczne, które dopuszczały się szeregu zamachów. Jedności państwa zagrażały zamieszki na tle religijnym i etnicznym (głównie na Molukach i Celebesie) oraz tendencje separatystyczne w prowincji Papua Zachodnia, a zwłaszcza w Aceh na Sumatrze.

2003 r. Zamach bombowy w Dżakarcie w hotelu Marriott, 13 zabitych. Hotel znajduje się w dzielnicy Mega Kuningan, gdzie mieści się również Ambasada RP.

2004 r. W wyborach do parlamentu krajowego i władz ustawodawczych zwycięstwo odniósł opozycyjny Zjednoczony Sekretariat Grup Funkcjonalnych, Golkar, który pokonał rządzącą Demokratyczną Partię Indonezji – Walka.

IX 2004 r. Pierwsze w historii bezpośrednio wybory prezydenckie, podczas których M. Sukarnoputri została pokonana przez gen. Susilo Bambang Yudhoyono, popieranego przez Golkar.

2008 r. Śmierć gen. Suharto. Egzekucja trzech terrorystów skazanych za przeprowadzenie zamachów na Bali w 2002 r.

2009 r. Prezydent Susilo Bambang Yudhoyono zostaje wybrany na następną kadencję.

IX 2013 Oficjalna wizyta prezydenta S.B. Yudhoyono w Polsce, podczas której zostają podpisane liczne umowy dwustronne.

INFORMACJE GEOGRAFICZNE

Indonezja leży pomiędzy dwoma kontynentami – Azją i Australią w Azji Południowo-Wschodniej i Oceanii. To największe wyspiarskie państwo w tym regionie o powierzchni prawie 2 mln km² (15. miejsce na świecie), zamieszkane przez 240 mln ludzi (4. miejsce na świecie), zróżnicowanych pod względem etnicznym, językowym i wyznaniowym. Wyspy opływają wody oceanów Spokojnego i Indyjskiego.

Indonezja składa się z ponad 17 tys. wysp, z czego 6 tys. jest niezamieszkanymi i jedynie 6 tys. ma oficjalną nazwę. Należą one do Archipelagu Malajskiego. Największe z nich dzielą się na Większe Wyspy Sundajskie (Sumatra, Jawa, Kalimantan [Borneo] i Sulawesi [Celebes]) oraz Mniejsze Wyspy Sundajskie (Bali, Sumbawa, Sumba, Lombok, Flores, Timor, Moluki, Papua Zachodnia i inne).

Stolica kraju – Dżakarta – znajduje się w północno-zachodniej części Jawy i oficjalnie liczy 12 mln mieszkańców (nieoficjalnie ich liczba dochodzi do 20 mln).

Na wyspach znajdują się liczne wulkany i mówi się, iż Indonezja rozciąga się wzdłuż pierścienia ognia – miejsca zderzenia płyt tektonicznych Eurazji oraz Indoaustralii. Często nękana jest przez trzęsienia ziemi, tsunami, powodzie i wybuchy wulkanów.

KLIMAT

Jest uwarunkowany wyspiarskim położeniem Indonezji pomiędzy Azją i Australią. Dwie pory roku wyznaczają monsuny: od grudnia do marca panuje pora deszczowa, a od czerwca do października pora sucha. Temperatury są stałe i wysokie (w nocy 24–27°C; w dzień 32–40°C). Tropikalny klimat utrzymuje się przez cały rok.

SPOŁECZEŃSTWO

Indonezja jest zamieszkała przez ponad 240 mln ludzi różniących się pod względem etnicznym i językowym. Występuje tu ok. 300 grup etnicznych posługujących się 700 różnymi dialektami. Oficjalnym językiem jest Bahasa Indonesia (utworzona na podstawie narzecza malajskiego, które uzupełniono wieloma wyrazami z innych języków: jawajskiego, holenderskiego, a nawet arabskiego – 30%).

Najliczniejsze grupy etniczne to: Jawajczycy (40,6%), Sundajczycy (15,0%), Madurowie (3,3%), Malajowie, Minangkabau (2,7%), Bugijczycy (2,4%), Batakowie, Balijszczy i Aczinowie.

RELIGIA

Większość mieszkańców Indonezji to wyznawcy islamu.

Oficjalnie rząd uznaje sześć wyznań: islam, katolicyzm, protestantyzm, buddyzm, hinduizm i konfucjanizm, ale do dziś życie Indonezyjczyków przepełnione jest magią i wiarą

w duchy. Nadal kultywuje się stare zwyczaje i praktykuje prawo zwyczajowe, tzw. adat.

Najliczniejsze grupy religijne to: muzułmanie: 85% (sunnici), chrześcijanie – protestanci: 6% (głównie kalwini, zielonoświątkowcy i luteranie) i katolicy: 3% (zamieszkują przede wszystkim Flores, Timor, płn. Sulawesi, Moluki, Kalimantan i Papuę), hinduiści: 5% (92% mieszkańców Bali), animiści, religie chińskie i buddyści.

KATASTROFY NATURALNE

VIII 1883 r. Erupcja wulkanu Krakatau – jedna z największych odnotowanych w dziejach ludzkości. Huk było słycać z odległości 3200 km. Wybuch wywołało tsunami, które zabiło 36 tys. osób. Erupcja spowodowała niezwykle zjawiska na niebie – przez ponad rok utrzymywały się w atmosferze popioły i gazy, które zabarwiły słońce na niebiesko, księżyc na zielono, a pyły dotarły aż do Europy.

Po wybuchu Krakatau powstały trzy wyspy, na jednej z nich pozostał aktywny wulkan. W 1927 r. w tym miejscu wyłoniła się aktywna do dziś góra wulkaniczna (ok. 320 m wysokości), nosząca nazwę Anak Krakatau („Dziecko Krakatau”). Stożek wulkanu wciąż rośnie w tempie ok. 5,1 m rocznie. Obecnie ma wysokość porównywalną z dawnym Krakatau. Zranił do tej pory cztery osoby i zabił jedną (dane z 2006 r.). Ustanowiono zakaz zbliżania się do wulkanu w promieniu 3 km, lecz niektóre biura podróży (w tym polskie) organizują wycieczki ze wspinaczką na jego zbocza.

26 XII 2004 r. Katastrofa wywołana przez tsunami, która pochłonęła ok. 236 tys. ofiar (głównie w prowincji Aceh na Sumatrze). Pół miliona osób zostało bez dachu nad głową. Trzęsienie ziemi na Oceanie Indyjskim o mocy 9,1° w skali Richtera wywołało piętnastometrową falę, która dotknęła Indonezję, Tajlandię, Sri Lankę i południowe Indie.

2005 r. Silne trzęsienie ziemi na Sumatrze – na wyspie Nias ginie ok. 1000 osób.

2006 r. Erupcja błotnego wulkanu w powiecie Sidoarjo we wschodniej Jawie (na południe od Surabai) – zniszczonych 16 wsi, ewakuacja 40 tys. osób. Przyczyną były odwierty przeprowadzone celem wydobycia gazu ziemnego (gaz łupkowy). Nie udało się zatrzymać wycieku gorącego i trującego błota spod ziemi. Istnieje groźba, że błotne erupcje potrwają kolejne kilkadziesiąt lat.

2006 r. Silne trzęsienie ziemi w Yogyakarcie w południowej części Jawy – ginie 5 tys. osób, zniszczeniu ulega wiele drogocennych fragmentów kompleksu hinduistycznych świątyń Pambranan z IX w.

2010 r. Erupcja wulkanu Merapi w środkowej Jawie – w płomieniach, zaspanych popiołami bądź zalanych lawą ginie 350 osób. Wybuch i jego skutki uznaje się za drugie w dziejach Pompeje.

2010 r. Tsunami na wyspach Mentawai przy zachodnim brzegu Sumatry – ginie 350 osób.

2010 r. Po 400 latach uśpienia budzi się wulkan Sinabung w północnej części Sumatry, 50 km od stolicy prowincji Medan. Wyciek lawy i wyrzucenie w powietrze dymów i pyłów na wysokość 5 km. Ewakuowano 19 tys. mieszkańców.

IX i XI 2013 r. Kolejne erupcje.

I i II 2014 r. Ponowne wybuchy (około 80), którym towarzyszą chmury gorących pyłów i gazów (lawiny piroklastyczne). Ewakuowano 30 tys. mieszkańców 24 wsi.

II 2014 r. Następuje erupcja wulkanu Mount Kelud (1731 m n.p.m.), który jest jednym ze 130 aktywnych wulkanów. Znajduje się on w gęsto zaludnionej prowincji Jawa Wschodnia. Ewakuowano 100 tys. ludzi. Wybuch osiągnął wysokość ok. 10 km i był słyszalny na odległość 130 km, a pył wulkaniczny okrył całą prowincję i dotarł aż do Surabai, a nawet Yogyakarty, gdzie półmetrową warstwą okrył świątynię Borobudur. Smog powulkaniczny przez tydzień spowijał stalową poświatą stolicę kraju, Dżakartę.

KONTAKTY POLSKO-INDONEZYJSKIE

Stosunki dyplomatyczne oraz dwustronna współpraca pomiędzy Indonezją i Polską trwa nieprzerwanie od 1955 r. Za rządów Ahmeda Sukarno rozwijała się ona na wielu polach, m.in. współpracy wojskowej i technologicznej; Indonezja wysyłała tysiące studentów do Europy Wschodniej i Środkowej, w tym również do Polski, która była jednym z aktywnych partnerów Indonezji w budowie jej gospodarki i kształceniu kadr, ale też rozwijała współpracę wojskową i bliskie relacje polityczne.

Niestety, podczas trzech dekad rządów gen. Suharto współpraca wyhamowała, ponieważ Republika Indonezji oraz PRL znalazły się w przeciwnych zimmowojennych blokach.

Impulsem do ożywienia wzajemnych stosunków w ostatnich latach były wizyty najwyższego szczebla na przełomie 2003–2005. Prezydent Indonezji Megawati Sukarnoputri odwiedziła Polskę w kwietniu 2003 r., a w lutym 2004 r. polski prezydent Aleksander Kwaśniewski złożył rewizytę w Indonezji. W ślad za nim, w lipcu 2005 r. Indonezję odwiedził premier Marek Belka, a w czerwcu 2006 r. wizytę w Indonezji złożył minister obrony narodowej Radosław Sikorski.

W maju 2010 r. były prezydent Polski Lech Wałęsa odwiedził Indonezję i podczas swojego pobytu wygłosił w pałacu prezydenckim wykład na temat zmian demokratycznych w Europie. W lipcu tego samego roku indonezyjski minister spraw zagranicznych Marty Natalegawa odwiedził Polskę na zaproszenie ministra spraw zagranicznych i wziął udział w spotkaniu wysokiego szczebla na rzecz demokracji. Przy tej okazji Natalegawa spotkał się również z wicepremierem, ministrem gospodarki Waldemarem Pawlakiem oraz ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim.

Godny odnotowania jest fakt, że nasze kraje współpracują również w dziedzinie międzyparlamentarnej i samorządowej.

Ukoronowaniem współpracy stała się wizyta państwowa prezydenta Susilo Bambang Yudhoyono w Polsce we wrześniu 2014 r., która zdecydowanie odblokowała potencjał wzajemnych relacji w wymiarze politycznym, gospodarczym oraz wszechstronnej współpracy sektorowej.

Przez długi okres współpracy Polska i Indonezja podpisały wiele umów, które zbliżają nasze kraje i ułatwiają wzajemne stosunki. Jednakże relacje te nie ograniczają się jedynie do umów politycznych czy gospodarczych. Indonezja i Polska są w równej mierze aktywne w kwestii promowania dialogu międzywyznaniowego. W październiku 2011 r. Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP wraz z Ambasadą Indonezji w Warszawie zorganizowały konferencję nt. dialogu międzywyznaniowego i międzykulturowego. Kontynuacja dialogu (II runda) nastąpiła w Indonezji w maju 2013 r. i była zorganizowana przez MSZ RI, Ministerstwo ds. Religii RI oraz Ambasadę RP w Dżakarcie.

Jeśli mówimy o tolerancji i religii, to nie można nie wspomnieć, że polscy misjonarze od 1966 r. licznie przybywali ze słowem bożym do Indonezji, i to na prośbę strony indonezyjskiej, wyrażonej przez indonezyjskiego ambasadora w Warszawie. W szczególności byli to księża werbiści (Zgromadzenie Słowa Bożego – SVD) oraz księża sercanie (Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego – SCI). Polscy misjonarze, którzy przybyli do Indonezji w latach 60. czy 70., mieli po dwadzieścia lat i choć minęło już prawie pół wieku, oni nadal mieszkają w kraju, któremu poświęcili swoje życie, zdolności i wiarę.

Jeśli idzie o młodych Polaków, którzy przybywają do Indonezji i zostawiają tu swoje

serce albo zostają na zawsze, należy powiedzieć też o polskich studentach. Rząd indonezyjski przyznaje zagranicznym studentom stypendia Darmasiswa, aby umożliwić im naukę języka i kultury Indonezji. Polscy studenci zaliczają się do najliczniejszej z grup – od momentu wprowadzenia stypendium Polakom przyznano aż 234 miejsca. Nasi absolwenci są najbardziej aktywni na świecie i organizują imprezy kulturalne dotyczące Indonezji, utworzyli m.in. Warszawską Grupę Gamelanową, która koncertuje w Europie Środkowo-Wschodniej, a także grupy tańca indonezyjskiego.

Obecnie na terenie Indonezji mieszka wielu Polaków, tak na Jawie, Sumatrze, jak i na Bali, Kalimantanie, w Timorze Wschodnim czy na wyspach Lombok i Flores. Żyją oni na rajskim archipelagu, pracują jako specjaliści w tutejszym handlu i biznesie, zakładają własne firmy, ale też uczą w szkołach i na uniwersytetach, są lekarzami lub głoszą słowo boże jako misjonarze. Dlatego też Indonezja, pomimo że jest krajem tak odległym od naszego, pozostaje bliska sercom wielu Polaków.